

Egz. archiwalny

10 LAT NASZEGO PISMA



ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

WOCIE WÓDZKI KULTURALNY
INFORMATOR KULTURALNY

MIEŚCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 11 (121) • ROK XI • LISTOPAD 2005

CENA 4 ZŁ (w tym 0% VAT)

Laureaci Nagrody ORŁA ŚLĄSKIEGO 2005

Powroty HENRYKA BERESKI



Dyskusja
o wielokulturowości

Fenomen
MYSŁOWITZ

Katowice
KONRADA
SWINARSKIEGO

Panewnickie
pola śmierci

Esej
STEFANA
SZYMUTKI

Proza
RADOSŁAWA
KOBIERSKIEGO



Ten niedawno ustanowiony medal z inicjatywy Ministra Kultury Waldemara Dąbrowskiego: „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis”, zyskał z miejsca wielki prestiż. Wśród odznaczonych tym medalem znaleźli się także od początku związani z miesięcznikiem „Śląsk”: jego redaktor naczelny – Tadeusz Kijonka, który otrzymał medal srebrny, zastępcę redaktora naczelnego Feliksa Netz – medal brązowy oraz wieloletni kierownik działu krytyki Marian Kisiel – uhonorowany również medalem brązowym. Medale te zostały przyznane z okazji dziesięciolecia „Śląska”, a także w uznaniu zasług dla rozwoju kultury i życia literackiego na Śląsku. Uroczystość wręczenia medali „Gloria Artis” odbyła się 7 października br. w Ministerstwie Kultury. Tego samego dnia Tadeusz Kijonka odebrał w Domu Literatury Nagrodę im. Witolda Hulewicza przyznaną przez Kapitułę tej nagrody i Ministra Waldemara Dąbrowskiego „za redagowanie na wysokim poziomie miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”. Na zdjęciu po akcie dekoracji medalem „Gloria Artis” – od lewej: Feliks Netz, minister Waldemar Dąbrowski, Tadeusz Kijonka i Marian Kisiel.



Foto: Paweł Majerski



Ksiądz profesor Remigiusz Sobański, światowej sławy wybitny znawca prawa kanonicznego, związany z Uniwersytetem Śląskim i Uniwersytetem Kardynała Wyszyńskiego, został uhonorowany nagrodą Lux ex Silesia, przyznaną przez metropolitę górnośląskiego abpa Damiana Zimonia osobom szczególnie zasłużonym dla dziedzictwa naukowego i duchowego regionu śląskiego. Uroczystość wręczenia Lux ex Silesia odbyła się 11 października 2005 roku podczas międzyuczelnianej inauguracji roku akademickiego w katowickiej Archikatedrze.

W pierwszą rocznicę śmierci Jerzego Dudy Gracza w Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach otwarta została wystawa „Remanenty”, na którą złożyło się około 120 prac Artysty, powstałych w latach 1966-2004. Obejmowała obrazy olejne, akwarele i rysunki w siedmiu cyklach tematycznych. Kuratorem wystawy była Agata Duda Gracz – córka Artysty (na zdjęciu pierwsza z lewej). Była to wielka retrospektywa twórczości Jerzego Dudy Gracza. Natomiast ogromny cykl 295 prac malarskich zatytułowany „Chopinowi”, który był hołdem złożonym przez Jerzego Dudę Gracza Fryderykowi Chopinowi, prezentowano do 5 listopada br. w salach ekspozycyjnych Teatru Wielkiego w Warszawie. Każdy obraz inspirowany był innym utworem kompozytora. Cykl powstał w latach 1999-2003. Towarzyszył 15. Międzynarodowemu Konkursowi Pianistycznemu im. Fryderyka Chopina. (O twórczości Jerzego Dudy Gracza (1941-2004) więcej w cyklu sylwetek laureatów Śląskiego Orla 2005 na str. 82).



Foto: Zbigniew Sawicz

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO- KULTURALNY

Nr 11 (121). Rok XI. LISTOPAD 2005 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13, Tel. 253-62-21
e-mail: slask@neostrada.pl
www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny
FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego
WIESŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji
KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny
BARBARA GRUSZKA-ZYCH
dział krytyki

BOGDAN WIDERA
dział społeczno-historyczny
WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny

MIROŚLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

ANNA STRUMIŁOWSKA
IRENA FALKIN-SIBIGA
korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 206-82-71.

DTP: STP „KorGraf”, 40-081 Katowice,
ul. Dąbrówki 15/12, tel. 354-09-88, 781-06-48

Druk: PW „Tolek”
DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI
43-190 MIKOŁÓW, ul. Zwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumerat: – poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpłatnie – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Ślask”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 48 zł., półroczna – 24 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza – 4 zł (w tym 0% VAT).
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

W NUMERZE:

Józef Wycisk SWĄD CENTRALIZMU	3
Tadeusz Kijonka CO MIESIĄC PRZEZ 10 LAT	4
Rozmowa z prof. Florianem Kuźnikiem, rektorem Akademii Ekonomicznej w Katowicach REGION Z PRZYSZŁOŚCIĄ CZY BEZ TWARZY?	6
Rozmowa z Jarosławem Świerszczem ZNAKI NA NASZEJ DRODZE	9
ŚLĄSK WOBEC UNII EUROPEJSKIEJ – SZANSE I PERSPEKTYWY. Ankieta „Ślaska”	10
Henryk Waniek GDZIE SZUKAĆ ŚLĄSKA?	16
WIELOKULTUROWOŚĆ: KONTEKSTY HISTORII I WYZWANIA PRZYSZŁOŚCI. Dyskusja redakcyjna	19
Tadeusz Kijonka HENRYK Z HELGOLANGU	24
Henryk Bereska WIERSZE	29
Feliks Netz Z FAMILOKA POD MUR BERLIŃSKI	32
Irma Kozina NIKISZOWIEC W SOSIE BRUKSELSKIM	34
Stefan Szymbutka GDZIE SIĘ PODZIAŁ KAROL?	36
Adrian Chorośbala 10 LAT MYSŁOVITZ	40
Grażyna Barbara Szewczyk 3 WRZEŚNIA W CELLE	44
Grzegorz Bębniak PANEWNICKIE POLA ŚMIERCI	49
Maria Korusiewicz WIERSZE	52
Radosław Kobierski MISTRZ	54
Zbigniew Kulik MOGĘ ZAMIESZKAĆ W NIEISTNIEJĄCYM DOMU	60
Danuta Trojnar TO BOLI	64
Zdzisław Janeczek KADRA DOWÓDCZA POWSTAŃ ŚLĄSKICH	65
Ryszard Jasnorzewski DO DAMASZKU	72
Jerzy Lucjan Woźniak TERAPEUTYCZNA ROLA POEZJI	75
Wiesław Koterski ŚLUCHAM, KINO	76
Barłomiej Majzel WIERSZE	78
Krzysztof Karwat NIEPOKORNI, NIEZALEŻNI, INNI	80
Wiesława Konopelska NOTATNIK OSOBISTY	81
ŚLĄSKI ORZEŁ 2005: Jerzy Duda Gracz, Henryk Mikołaj Górecki, Wojciech Kilar, Wojciech Kuczek, Kazimierz Kut, Lech J. Majewski, Stanisław Niemczyk, Magdalena Piekorz, Jarosław Świerszcz, Henryk Waniek	82
Barbara Farska PAŁAC O RYSACH WŁAŚCICIELA	104
ŚLĄSKI MIESIĄC	2
PEJZAŻ MITOLOGICZNY Antoni Halor PAWANA NA ŚMIERĆ CYNKOWNI	15
NOTATNIK SPÓŻNIONEGO PRZYBYŚZA Marek S. Szczepański DIALOG SPOŁECZNY W MNIEJSZYM NIEBIE (I)	43
POZA KADREM Feliks Netz BROKEN FLOWERS	59
EKOLOGIA Jolanta Matiakowska TAKA GMINA	62
Janusz Moszalski ŚLĄSK Z NIEBA	63
KONFERENCJA Grażyna B. Szewczyk SPOTKANIE KULTUR, JĘZYKÓW I NARODÓW	92
TEATR Bogdan Widera SMOK NIE MA WYJŚCIA	93
WYSTAWA Wiesława Konopelska CHUDZIK & CHUDZIK	94
Magdalena Dziadek MIĘDZY NUTAMI	95
KSIĄŻKI Marcin Halaś POD ŚCIANĄ ZE ZNUŻENIA I MGŁY	96
Barbara Pytlos DROGI AWANGARDY	97
Barbara Gruszka-Zych TAJEMNICA BOWLESA	98
Katarzyna E. Zdanowicz TAJEMNY KRĄG	98
Aleksandra Franke ZAPISKI Z DNA	99
Józef Górdzialek PARADOKSY POGRANICZA	99
Aleksandra Franke Z OKRUCHÓW ZAGINIONEGO ŚWIATA	100
Bogdan Widera ŚMIERĆ W PIASKOWNICY	101
NOTY	102
ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŹNA Jan Miodek SJECHAĆ I UWARZIĆ	103
WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY	105
NOTATNIKI KULTURALNE Wiesława Konopelska KATOWICE	114
Jan Picheta BIELSKO	116
Elżbieta Kot CZĘSTOCHOWA	117
Marek Świercz OPOLE	118
Jacek Sikora ZAOLZIE	119

W kolorze:

● Katowicki Undergrand (str. A) ● Henryk Bzdok. Grafiki digitalne. Galeria Art. Nova 2 ZPAP Katowice (str. B) ● 20 lat Muzeum w Sosnowcu (str. C) ● Znaki i Twarze Miasta – Paweł Steller w Galerii Gwiazd w Katowicach (str. D)

Na okładce:

Ślaski Orzeł 2005 – statuetka wykonana w brązie według projektu Zygmunta Brachmańskiego.

Fotografia:

Zbigniew Sawicz

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH” S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48/022/532-87-31.
www.ruch.com.pl

■ **GŁÓWNE** uroczystości z okazji 25-lecia podpisania porozumień kończących największy w 1980 r. strajk na Śląsku odbyły się 3 września w Jastrzębiu Zdroju. Uroczystą mszę św. z tej okazji koncelebrowali m.in. metropolici: gdański – abp Tadeusz Gocłowski i śląski – abp Damian Zimoń. Pod odnowionym pomnikiem „Solidarności” złożono kwiaty.

■ **PRO** domo sua – twórca i naczelny miesięcznika „Śląsk” – Tadeusz Kijonka został laureatem tegorocznej Nagrody Kulturalnej Śląska, fundowanej od 14 lat przez rząd Dolnej Saksonii.

■ **PO** zwycięskim meczu 3:2 nad Austrią (3 IX, białoczerwony tłum opanował piwne ogródki w centrum Katowic i świętował zwycięstwo – jasnější punkt na tle sportowych afer.

■ **ŚLĄSKI** Bank Żywności nie ma już pieniędzy na rozdawanie jedzenia najuboższym. Tysiące ludzi za kilka dni nie będą już dostawać porcji mleka, ryżu i sera, które pomagają im przeżyć. Powód: z kilkudziesięciu śląskich gmin tylko dwie pomagają bankowi. Bank rozdaje jedzenie dla 100 tysięcy osób w ponad 70 gminach naszego województwa. Bank dostaje żywność z Unii, ale za jej transport i magazynowanie musi sam płacić, inaczej żywność pójdzie do innych gmin w Polsce.

■ **KATOWICKI** IPN interesuje się byłym szefem prokuratury w Dąbrowie Górniczej, który nadzorował śledztwa przeciwko działaczom „Solidarności” z Huty Katowice. Nazwisko Andrzeja Kołacza pojawiło się w prowadzonym śledztwie dotyczącym przekroczenia uprawnień przez sędziów i prokuratorów, którzy oskarżali i skazywali w stanie wojennym działaczy „Solidarności”. Działania te zostały uznane za bezprawne.

■ **UDANA** akcja w centrum Katowic – przed magistratem. Policja zatrzymała 6 IX dwóch bandytów podejrzanych o serię napadów na banki. Goniący ich funkcjonariusze musieli oddać serię strzałów ostrzegawczych. Były skuteczne.

■ **PROFESOR** Kornel Gibiński, wybitny lekarz internista i humanista, skończył 7 września 90 lat. Podczas urodzin usmiechał się promiennie, goście zgotowali mu owację na stojąco, a prof. Franciszek Kokot – pierwszy habilitant prof. Gibińskiego – nie krył łez, kiedy wygłaszał jubileuszową laudację. Kliniczna dbałość o godność i etyczny wizerunek lekarza jest dla Profesora imperatywem kategorycznym.

■ **RODZICE** dzieci, które były kiedyś leczone na oddziale dziecięcym w zawierciańskim szpitalu, dostają wyborcze agitki Marii Gajeckiej-Bożek. Kandydatka na posła z rekomendacji SLD jest ordynatorką oddziału i otwarcie przyznaje, że adresy wzięła z pracy. Dokładnie taki sam numer wykreślił podczas poprzednich wyborów Mariusz Łapiński, który był za to bardzo krytykowany, ale wymógł się od odpowiedzialności. Czy tym razem Maria Gajeczka-Bożek złamała ustawę o ochronie danych osobowych bezkarnie?

■ **JAWORZNO** wygrało organizowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji ogólnopolski konkurs „Bezpieczna gmina”. W nagrodę miasto otrzymało 100 tys. zł. W finale Jaworzno pokonało Gdynię i Radom.

■ **PONAD** stu dziennikarzy mediów polonijnych z całego świata zawitało 8 IX na Śląsk. W gmachu Sejmu Śląskiego spotkali się z władzami województwa. W programie mają zwiedzanie naszego regionu.

■ **POTÓMEK** słynnego i zasłużonego dla Śląska rodu Ballestremów odwiedził dawne rodowe posiadłości w Plawniowicach. Wspólnie z rodziną zwiedził miasto i muzeum, gdzie przechowywane są dzieła sztuki należące przed wojną do tego rodu.

■ **UROCZYSTA** sesja Rady Miasta odbyła się 8 IX w sali Sejmu Śląskiego. Świętowano 140-lecie uzyskania przez Katowice praw miejskich.

■ **REKTOR** Śląskiej Akademii Medycznej prof. Ewa Malecka-Tendera zwolniła 9 IX ze stanowiska dyrektora uczelni Adama Salaniewskiego. Powód: brak zaufania. Salaniewski – chociaż nie miał nawet wyższego wykształcenia – był najdłużej, bo 25 lat, urzędującym dyrektorem uczelni w Polsce, i to tak skomplikowanej jak Śląska Akademia Medyczna.

■ **PRAWIE** 800 lekarzy przyjechało 9 IX do Wisły najazd Polskiego Towarzystwa Hematologów i Transfuzjologów. Wśród nich ponad 40 światowej sławy ekspertów w leczeniu chorób krwi. Jeszcze nigdy Polska nie gościła ich tylu naraz. A nie byłoby ich, gdyby nie sława prof. Jerzego Holowieckiego, gospodarza spotkania, który jest szefem Kliniki Hematologii i Transplantacji



Szpiku w Katowicach i uznanym w świecie autorytetem w leczeniu białaczki.

■ **ZNAKOMICIE** zachowane fragmenty drewnianych wodociągów z XVI wieku odkryli archeolodzy na bielskim rynku. Drewniane belki sprzed pięciu wieków są w tak świetnym stanie jakby miały najwyżej 10 lat.

■ **PROFESOR** Grzegorz Opala, kierownik Kliniki Neurologii Wieku Podeszłego w Centralnym Szpitalu Klinicznym w Katowicach, został nowym prezesem Polskiego Towarzystwa Neurologicznego. To pierwszy w historii Towarzystwa prezes ze Śląska.

■ **PONAD** 10 tys. ludzi naliczyli strażnicy miejscy na ulicy Dworcowej, którzy przybyli tu na 140. urodziny Katowic w sobotę, 10 września. Największe zainteresowanie wzbudziły: gala operowa, występ Myslovitz i... kramy.

■ **UROCZYSTOŚCI** Matki Boskiej Piekarskiej – patronki archidiecezji katowickiej – obchodzone są co roku w rocznicę odsieczy wiedeńskiej – 12 września. W tym roku przypada też 80. rocznica koronacji obrazu koronami papieskimi. Uroczystościom odpustowym przewodniczył metropolita górnos Śląski abp Damian Zimoń.

■ **PRZEZ** kilka dni w Zabrze, w prywatnej kopalni „Sittech” (d. Pstrowski) m.in. posła SLD Jana Chojnackiego, trwała wielka akcja przeciwpożarowa. Dopiero po enuncjacjach prasowych do akcji wkroczyli profesjonalni ratownicy. Wcześniej co najmniej dwóch górników zatruto się tlenkiem węgla.

■ **UNIKATOWE** polichromie ukazujące budowlę i ulicę Ziemi Świętej, symbole zwierząt i 12 plemion Izraela, piękne, mieniące się barwami kolumny. To wszystko można zobaczyć na ścianach i suficie synagogi Mizrachi, po raz pierwszy otwartej dla zwiedzających 12 IX w Będzinie.

■ **WYBITNY** tłumacz literatury polskiej na język niemiecki i poeta Henryk Bereska, rodem z Szopienic, zmarł 11 września w Berlinie. Żył 79 lat.

■ **TO** jedyna taka klasa na Śląsku, a dziewiąta w Polsce. Na pierwszy nabór do jedynej na Śląsku klasy z wykładowym językiem hiszpańskim zgłosiło się 200 chętnych, przyjęto 34 najlepszych. Istniejąca od września w II Liceum Ogólnokształcącym w Katowicach klasę „hiszpańską” odwiedził 14 IX ambasador Hiszpanii w Polsce – Rafael Mednivil Peydro.

■ **CO** piąte dziecko na Śląsku jest niedożywione! Po weekendzie dzieci przychodzą do szkoły wygłodzone. Lekcje zaczynają od dziesięciu kromek chleba i kilku talerzy zupy mlecznej. Tak mówią nauczyciele z Rudy Śląskiej. Ale wiadomo, że nie lepiej jest w całym województwie.

■ **KONFERENCJA** naukowa poświęcona zagadnieniom żydowskiej na terenach Polski, wcielonych po agresji hitlerowskiej do Rzeszy rozpoczęła się 15 IX w Katowicach. Spotkaniu patronują Instytut Pamięci Narodowej oraz Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie.

■ **PRAWIE** 3 mln euro mogą otrzymać firmy, które zatrudnią byłych hutników. Według Górno-

śląskiej Agencji Rozwoju Regionalnego, dzięki unijnym pieniądzą pracę może w ten sposób znaleźć ponad 1600 osób.

■ **STAŁOWA** konstrukcja pomnika Powstańców Śląskich jest w fatalnym stanie. Ustawiono już rusztowania, by oczyścić pomnik z zewnątrz. Jednak największa praca czeka na konserwatorów wewnątrz. Stałową konstrukcję przeżarła rdza. Prace renowacyjne potrwać kilka miesięcy.

■ **MA** półtora metra wysokości i tylko kilka centymetrów w obwodzie. W siedzibie Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Katowicach zasadzono 6 IX Papieski Dąb. Krajowy duszpaسترz leśników, bp Edward Janiak, przypilnował by mocno tkwił w ziemi. W ten sposób uczczono 60-lecie Dyrekcji.

■ **SAMODZIELNY** Publiczny Szpital Kliniczny im. Andrzeja Mieleckiego Śląskiej Akademii Medycznej obchodzi 110. urodziny. Kamień węgielny pod jego budowę wmurowano w 1895 r. Dzisiaj szpital to 34 wyremontowane pawilony i uzasadniona renoma.

■ **ŁÓDZIANIE** mają Tuwima, poznaniacy Starogo Marychę, a Ślązacy Karlika i Karolinkę. Rzeźba stanęła w rosarium Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku. 16 września odsłonięto uroczystość i serdecznie śląską parę.

■ **UNIwersytet** Śląski był gospodarzem tegorocznego VI Ogólnopolskiego Forum Nauczycieli Przedmiotów Przyrodniczych. Na weekendową 17-18 IX konferencję do pomieszczeń Wydziału Nauk o Ziemi w Sosnowcu przyjechało 350 biologów, geografów, fizyków i chemików z różnych szkół. Uczestnicy forum zwiedzili też atrakcje turystyczne Śląska.

■ **MAFIA** okradła kopalnię „Staszic” w Katowicach. Gangsterzy wywieźli z niej co najmniej kilka tysięcy ton węgla. 20 IX śląska policja rozbiła gang, który się tym zajmował. Zatrzymano siedemnaście osób zamieszanych w kradzież i handel węglem.

■ **KOLEJNY** sukces lekarzy ze Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrze. Po raz pierwszy w Polsce dokonali podwójnego przeszczepu płuc, o czym dowiedzieliśmy się 20 IX. Samą operację wykonano trzy tygodnie wcześniej, lekarze bali się jednak o los chorego, który wyraźnie przychodzi do siebie.

■ **ZNAKOMITA** pianistka i wspaniały pedagog profesor Klara Langer-Donceka zmarła 18 września. Była m.in. laureatką Nagrody Prezydenta Miasta Katowic w dziedzinie kultury. Żyła 82 lata.

■ **LEGENDARNY** bramkarz gliwickiego „Piasta” – Jerzy Apostel zmarł 20 IX w Gliwicach w wieku 63 lat.

■ **PRAWIE** 5 tysięcy lekarzy z całej Polski oraz znakomici goście z zagranicy przybyło do Katowic na Kongres Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego, by zapoznać się z najnowszą wiedzą o leczeniu chorób serca. W ciągu trzech dni kongresu (22-24 IX) zaplanowano aż 107 sesji naukowych, seminariów i spotkań specjalistycznych.

■ **AŻ** 20 milionów złotych otrzyma Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku, z czego połowę na zoo. Tak dużych pieniędzy naraz ta zielona spółka jeszcze nigdy nie dostała.

■ **NIEZWYKŁA** ekspozycja w Muzeum Górniczym Węglowego w Zabrzu. Można zobaczyć, jak mieszkali Ślązacy w końcu XIX, na początku XX wieku i 40 lat temu.

■ **NAJWIĘKSZE** w Europie muzeum pożarnictwa w Mysłowicach świętuje swoje 30-lecie. Można podziwiać m.in. sikawkę z 1717 roku czy konną drabinę mechaniczną z początku zeszłego stulecia.

■ **ARCYBISKUP** Damian Zimoń poświęcił 29 IX pomnik Jana Pawła II, który odłano w komunistycznych Chinach. Artystom musiały wystarczyć obraz przedstawiający Ojca Świętego i e-maile, w których ksiądz proboszcz tłumaczył jak wyglądają papieski krzyż i mitra. Mierząca ponad dwa metry rzeźba stanęła przy kościele św. Teresy w Rybniku-Chwałowicach. Ufundowała ją anonimowa parafianka, prowadząca firmę zajmującą się m.in. importem chińskiego granitu.

■ **UROCZYSTĄ** akademią i projekcją filmu o Gerardzie Cieśluku uświetniono 29 IX obchody 85-lecia Ruchu Chorzów i 70-lecia zbudowania stadionu przy ul. Cichej.

■ **PREZYDENT** Aleksander Kwaśniewski spotkał się 30 IX w wiślańskim zamczku z prezydentami Czech, Słowacji i Węgier – państw tworzących wraz z Polską Grupę Wyszehradzką.

O siem lat temu, w kampanii wyborczej mówiło się o tym, że należy przeprowadzić reformę samorządową. Cztery lata temu o samorządach mówiło się zdecydowanie mniej; a jeśli już – to tylko negatywnie. Unosił się wówczas nad Polską swąd centralizmu. A potem pojawił się i sam centralizm, zastępując, na przykład, kasy chorych jednym funduszem. W tym roku w czasie kampanii wyborczej o samorządach nie mówiło się wcale. Ani dobrze, ani źle. Po prostu – wcale. Pomimo tego, że czasu na przedstawienie własnych koncepcji było wiele. Wiosna, lato i jeszcze jeden dzień jesieni.

Utarł się w naszym kraju jakiś dziwny zwyczaj, że w czasie kampanii parlamentarnych czy prezydenckich mówimy o całym kraju, o państwie, o Polakach, ale nie mówimy o samorządach, które decydują przecież o jakości życia Polaków. Z kolei o samorządach mówimy w czasie wyborów samorządowych. Z pozoru wydaje się logiczne i normalne. Ale nie jest zdrowe. Samorząd może obracać się tylko w takich warunkach, jakie stworzy mu parlament. Jeśli w czasie wyborów samorządowych rozmawiamy o roli i miejscu samorządów, to znaczy, że rozmawiamy o tym za późno. To z kandydatami na posłów należy rozmawiać o kształcie samorządu, bo właśnie oni stwarzają (lub nie) możliwości działania samorządów lokalnych i regionalnych.

Tymczasem kampanię urządzono nam unitarną, bo przecież państwo mamy unitarne. Kampania była jednakowa, adresowana do wszystkich. Do tych bardziej lotnych umysłów, mniej lotnych i do zupełnych nielotów. Dla wszystkich to samo. Jeden z komitetów wyszedł nawet z założenia, że wszyscy mamy takie same łódki, z których znikają te same ogórki. Nie dowiedziałem się tylko, co leżało w zamrażarce.

W kampanii prowadzonej w takim stylu właściwie nie dziwi, że problem rozwoju polskiej samorządności w ogóle nie był podejmowany. Owszem, raz ktoś z prominentnych działaczy prominentnej partii coś tam powiedział o regionach, ale od razu sprowadzono tę kwestię do pytania – ile powinno być województw. W naszym kraju zawsze, kiedy tylko ktoś podejmuje kwestię samorządności, od razu sprowadza się ją do pytania o liczbę województw. Czyli do pytnia o coś kompletnie marginalnego. Nie chodzi bowiem o to, ile ich jest, ale jakie są.

Oczywiście jeśli zamienić choć kilka słów z oboma regionalnymi, śląskimi szefami obu zwycięskich ugrupowań, to od razu widać, że problem rozwoju samorządności leży im na sercu. Być może dlatego, że obaj z samorządu się wywodzą.

Kampania wyborcza zaczęła się wiosną, choć wielu mówiło, że jest jeszcze za wcześnie. Z tego powodu nawet filmik reklamowy jednego z kandydatów trzeba było zdjąć z anteny. Kampania trwała latem, choć lato było gorące i niewiele oglądało reklamowe spoty, trawiąc czas w stylu klasy próżniaczek, czyli na plaży lub przy grillu. Kampania zakończyła się pierwszego dnia jesieni ostrym zwarem obu największych ugrupowań, choć wszyscy mówili, że przecież powinni się raczej dogadać, bo i tak będą musieli stworzyć koalicję.

Swąd centralizmu

Powiadają mianowicie, że złotówka wydana przez samorząd znaczy więcej, niż ta sama złotówka wydawana przez rząd. Ale dlaczego nikt o tym nie mówił w kampanii? Czy jest to zbyt duży problem intelektualny, którego nikt z obywateli nie jest w stanie zrozumieć? A może partie wyszły z założenia, że samorządność nie przynosi punktów procentowych? Po co mówić o samorządności, skoro istnieje realne zagrożenie, że po takich dyskusjach pojawi nam się jeszcze społeczeństwo obywatelskie...

Czyż nie lepiej mówić o tym, że potrzebne jest silne państwo? Silny prezydent i silny premier. A w silnym państwie raczej nie jest mile widziany silny samorząd. To rząd wie najlepiej, co jest komu potrzebne. Oczywiście silny rząd silnego premiera...

Zwycięskie ugrupowanie nieraz podkreślało, że jako jedyne ma program dla Śląska. Problem w tym, czy Ślązacy tego programu potrzebują. Ślązacy mają już własną strategię rozwoju województwa, własną strategię rozwoju innowacyjności, kilka innych strategii, a znalazłoby się i kilka miast z jeszcze lepiej zarysowaną własną strategią. Ślązacom brakuje jedynie możliwości realizowania tych programów, a nie samych programów. Powiedziałbym nawet, że nie chodzi wcale o to, by rząd może zaoferować Śląskowi. Chodzi o to, co nowy parlament i nowy rząd może zaoferować wszystkim regionom. Jakie widzi dla nich ramy działania, jak postrzega problem dalszej decentralizacji finansów publicznych. Ślą-

skowi nie przeszkadza to, że takie same ramy działania będzie miała i Wielkopolska, i Małopolska, i Mazowsze, i Śląsk Opolski i wszyscy inni. Niech tylko będą jakieś ramy. Niech będzie cokolwiek...

Tymczasem zanosi się na to, że silny premier będzie miał silnego ministra do spraw rozwoju regionalnego, a ów zapewne stworzy silne ministerstwo. Miasta będą aplikowały o unijne fundusze, wnioszek taki trafi do marszałka województwa, stamtąd do wojewody, od wojewody do ministra od spraw regionalnych, który być może będzie się konsultował z ministrem finansów lub gospodarki. W tej sytuacji nie powinniśmy się martwić o to, czy Unia Europejska ma już budżet na lata 2007-2013 czy nie. W zarysowanej wcześniej strukturze silnego państwa nasze wnioski i tak dotrą do Unii w latach 2013-2019.

„Rząd się sam wyżywi” – powiedział kiedyś jeden z ministrów i wszyscy pamiętają mu to do dzisiaj. Jednak rząd nie jest w stanie sam rządzić. Potrzebuje samorządów. Nie da się wszystkimi sprawami zawiadywać z Warszawy. Szpitale, szkoły, drogi, komunikacja, ścieki, odpady, szkoły muzyczne i nie tylko, jakaś opera, czy teatr, do tego muzeum – tym zajmują się samorządy. Więc kto decyduje o jakości naszego życia – silny premier czy one?

Wiele miesięcy upłynęło, zanim Ministerstwo Skarbu zrozumiało, że można przekazać Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku – województwu. Kolejne miesiące urzędnicy tej centralnej instytucji analizowali, dlaczego, zdaniem Ślązaków, 80 procent to nie jest to samo co 100 procent. Dzięki Bogu zwierzęta w ZOO nie zdechły, bo samorząd pożyczyl pieniądze na karmę. Przez kolejne miesiące Ministerstwo Skarbu zastanawiało się, czy można przekazać gminom spółkę Tramwaje Śląskie. Ministerstwo dalej się zastanawia, a tramwaje – pomimo dwunastomilionowego deficytu – jeszcze nie upadły, bo wsparły je samorządy lokalne.

Tak się jakoś składa, że samorządy, z natury będące bliżej obywatela, niż parlamentarzyści i członkowie rządu, nie mogą podejmować decyzji nieodpowiedzialnych. Takie postępowanie rodzi natychmiastową reakcję mieszkańców, którzy protestują, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że w ten oto sposób dokładają swoją cegiełkę do budowy społeczeństwa obywatelskiego.

W kampanii wyborczej A.D. 2005 nikt nie używał słowa – centralizm. Jednak swąd centralizmu unosił się nad wszystkimi regionami, nad całą Polską.

JÓZEF WYCISK

ORŁY ŚLĄSKIE 2005



Redakcja „Śląska” postanowiła uhonorować dziesięciolecie pisma, przyznaniem 10 nagród indywidualnych za wybitne dokonania twórcze. Nagrodę tę stanowi statua orla wykonana w całości z brązu według projektu katowickiego rzeźbiarza Zygmunta Brachmańskiego. Jej wzorcem jest znana sylwetka orla umieszczona na zworniku Kaplicy Piastowskiej, w kościele Franciszkanów w Opolu. Tej prestiżowej – w uznaniu redakcji – nagrodzie – nadano nazwę Orla Śląskiego, która ma wyrażać jej ideowy sens wynikający z trwałych związków laureatów tej nagrody ze Śląskiem a także rangi ich twórczych dokonań w latach 1995-2005, licząc od daty pojawienia się naszego pisma.

Nie było łatwo sprecyzować charakter tej nagrody i ustalić wiążące kryteria, skoro w dziesięciolecie tym miało miejsce wiele ważnych dokonań godnych uhonorowania. Dlatego nasz wybór został ograniczony do trwałych faktów twórczych – dzieł powstałych w tych latach, które stanowią nie tylko najwybitniejsze osiągnięcia twórców utożsamianych ze Śląskiem w podstawowych dziedzinach sztuki, ale są także ich uznanym wkładem do kultury narodowej i zyskały ogólnopolski rozgłos.

Nagrody te, które zostaną wręczone podczas uroczystości 10. urodzin „Śląska” redakcja przyznała: Jerzemu Dudzie-Graczowi (pośmiertnie), Henrykowi Mikołajowi Góreckiemu, Lechowi Majewskiemu, Wojciechowi Kilarowi, Wojciechowi Kuczokowi, Kazimierzowi Kutzowi, Stanisławowi Niemczykowi, Magdalenie Piekorz, Henrykowi Wańkowi, Ingarowi Villqistowi (Jarosław Świercz).

Sylwetki Laureatów prezentujemy na stronach 82-91.

Nagroda Orla Śląskiego zostanie przyznana jednorazowo z okazji 10. rocznicy „Śląska”.

Co miesiąc – przez dziesięć lat

A jednak pismo stało się faktem, choć można było już zwątpić, czy realnie jest powołanie na Śląsku czasopisma społeczno-kulturalnego... i to ogarniającego swoim zasięgiem nie tylko macierzyste województwo, lecz także regiony sąsiednie. Tym zdaniem rozpoczynał się artykuł wstępny otwierający pierwszy numer nowego miesięcznika, który po nieustępliwych staraniach pojawił się wreszcie w listopadzie 1995 roku. Od tego czasu w okresie 121 miesięcy, a więc regularnie, co miesiąc, ukazało się łącznie 121 numerów „Śląska” – bez zmian wydawniczego rytmu, redakcyjnych przestoju, płatniczych zatorów, ani też z konieczności łączonych numerów, co stało się w polskich warunkach praktyką częstą – i to nawet w przypadku prestiżowych tytułów o uznanych od lat zasługach. A tu co miesiąc – bez względu na trudności – nowy „Śląsk”... I tak przez lat dziesięć, jak to zaznaczono w tytule, a na miesięcznik przystało.

W artykule tym pod tytułem *p o p i e r w s z e: Ś L Ą S K...* bo takie od początku było – jest i pozostanie! – przykazanie główne nowego pisma, nie kryłem obaw czy nowy miesięcznik okaże się tytułem stabilnym, gdy tyle periodyków o wysokich aspiracjach zapada się i znika, odkąd sfera kultury znalazła się na upokarzającym marginesie w budżecie państwa. Toteż po zaznaczeniu, że *każde pismo tworzy się i formuje w czasie*, padło nie wolne od rozterek i wątpliwości pytanie: *Czy jednak czas ten będzie nam dany, czy starczy nam wytrwałości by pozyskać sojuszników, tak aby „Śląsk” na Śląsku mógł stać się instytucją służącą wnikliwym diagnozom i rzeczowej wymianie myśli!*... Były to w tym momencie uzasadnione odczucia, skoro nowy miesięcznik, zarysowany wcale ambitnie, miał stać się z założenia przedsięwzięciem społecznym, zaś przyszła redakcja – i tak pozostało do dziś – składać się z osób niezwiązanych umowami o pracę, rzecz można – wolontariuszy, aby maksymalnie obniżyć koszty. Stąd i to jakże ważne oczekiwanie: *Oby tylko starczyło mądrego mecenatu, by tworzone od podstaw pismo mogło się rozwinąć i żyć w miarę stabilny byt.*

Pisząc te słowa miałem na uwadze także stan, który nastąpił po przeprowadzonej w odachu politycznego odwetu likwidacji w roku 1990 potężnego koncernu RSW PRASA, gdy rozpadła się – po rozgrabieniu intratnych tytułów – wcale bogata mozaika czasopism kulturalnych i artystycznych, z których niewiele ocalało. Pamiętałem też o bezpardonowych aktach egzekucji kolejnych czasopism kulturalnych na Śląsku wykonanych w trybie nagłym, a zawsze z politycznego wyroku. Tę listę straceń otwiera katowicka „Odra”, człowy polski tygodnik kulturalny pierwszych powojennych lat. A likwidacja „Przemian”, tygodnika wielkiego formatu powstałego na fali październikowej odnowy... A wychodzące od 1962 roku „Poglądy”, które nie przeżyły stanu wojennego...

Historia tych tytułów, okoliczności ich likwidacji, mogły stanowić ostrzeżenie, choć obecnie w kraju pozbawionym cenzury nie decyduje już arbitralna wola politycznych mocodawców. Wystarczy jednak brak środków, na przykład odmowa dotacji – i pismo

pada z przyczyn finansowych. Ileż to ambitnych periodyków znalazło się na rumowisku prasowym w ostatnich latach? A czym realnie dysponował na starcie „Śląsk” – kwotą z dotacji wojewody pozwalającą wydać 3 pierwsze numery... i to przy założeniu, że wszystkie koszty redakcyjne a także honoraria autorskie zostaną pokryte z bieżących przychodów pisma, którego jeszcze nie było – warunek, który mógł okazać się wnet niewykonalny.

Czas niestety długo nie sprzyjał uruchomieniu miesięcznika, zaś przeszkód przybywało. Oto powołane w grudniu 1992 roku Górnośląskie Towarzystwo Literackie stanęło przed nieuchronną utratą siedziby w tzw. „Domu Literatury” na Koszutce, czyli bezdomnością, co nastąpiło niebawem. Mogło też dojść do utraty praw do tego tytułu przyznanego nam nieodpłatnie w kwietniu 1993 roku przez Komisję Likwidacyjną RSW PRASA, które już 2 czerwca gwarantowała decyzja Sądu Wojewódzkiego w Warszawie pod warunkiem dotrzymania terminów. Przytoczona data dowodzi, że rozruch „Śląska” mógł nastąpić dwa lata wcześniej, gdyby przyrzeczenia wojewody potwierdziły się w wiążących decyzjach... Pismo ówczesnego dyrektora Wydziału Kultury (skandalicznej pamięci!) o przyznaniu dotacji na ten cel okazało się jednak bluffem, bowiem wnet wyszło na jaw, że przyznana kwota nie została zagwarantowana w budżecie. I tak pierwszy impet organizacyjny został zmarnowany, co mogło doprowadzić do załamania i zaniechania bezskutecznych starań.

Decydującym czynnikiem, który mobilizował do wytrwałych działań i nie dopuszczał, pomimo mnożących się trudności do rezygnacji z wydawania „Śląska” były niewątpliwie żywotne ambicje Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, stowarzyszenia utworzonego w stulecie powołania organizacji o tej nazwie w 1892 roku w Bytomiu. Gdyby do powołania pisma wówczas nie doszło, mogło to się skończyć trwałym kryzysem tej ledwo co zawiązanej organizacji i poważnym ograniczeniem jej aspiracji. Idea powołania GTL-u wynikała z atmosfery tamtych lat, która sprzyjała inicjatywom regionalnym i samorządowym w nawiązaniu do tradycji lokalnych. Był to jednocześnie czas, gdy wiele stowarzyszeń twórczych i artystycznych targających napięciem prowadzące do podziałów i zbiorowej niemocy. I stąd zamiar powołania organizacji społeczno-literackiej o historycznej nazwie skupiającej ludzi pióra z obszaru historycznego Górnego Śląska. Doszło też rychło – po spotkaniu założycielskim – do utworzenia planowanych Kół GTL-u w Opolu, Bielsku i Cieszyńsko-Zaolziańskiego. Od początku jednym z głównych postanowień była wola powołania czasopisma, które miało integrować życie kulturalne tego obszaru, służyć rozwojowi kontaktów ponad granicami ówczesnych województw. Miało powstać pismo reprezentatywne dla życia kulturalnego i umysłowego nie tylko macierzystego regionu, pismo o zasięgu ogólnopolskim, otwarte, suwerenne, politycznie niezależne, respektujące wysokie kryteria wartości.

W programie zakładano, że miesięcznik „Śląsk”, z powołania i misji mocno zakorzeniony na macierzystym obszarze, nie może

kontynuować zastanego modelu kultury wojewódzkiej, ani ciasnych regionalistycznych starych wzorców. W nowej sytuacji kultury otwartej na wiele krzyżujących się wpływów projektowany miesięcznik miał dążyć do ogarniania zjawisk i problemów w szerokim oglądzie, a jednocześnie odtwarzać i ożywiać dawne pomosty ponadregionalnych kontaktów i jakże bogate zasoby dziedzictwa kultury lokalnej zatracane i zmarnowane w warunkach centralistycznych struktur czasów PRL. Należało także nawiązać do tradycji historycznego i kulturowego pogranicza Górnego Śląska, w tym do wielokulturowego dziedzictwa. A więc miał powstać tytuł o wielu funkcjach, rejestrujący i promujący życie kulturalne i artystyczne regionu – pierwsze po latach czasopismo całego Śląska o zasięgu ogólnopolskim, miesięcznik o szerokiej skali problemów, otwarty na wszystko i wszystkich, których łączy troska o stan życia duchowego i społecznego na Śląsku, w sytuacji nie wolnej od nowych zagrożeń na przełomie wieków.

Już sam wybór tytułu, czytelny i jednoznaczny, oznaczał deklarację programową. Zawierał wizję pisma całego Śląska, wychodzącego na Śląsku i reprezentującego Śląsk – w tym jego niepowtarzalną problematykę i miejsce w narodowej kulturze... jak to zostało wyłożone jeszcze przed wydaniem pierwszego numeru. Pismo to o profilu społeczno-kulturalnym miało rozpoznawać najważniejsze problemy i zagrożenia na tym szczególnie zapalnym obszarze. No i skupiać najlepsze pióra głównie macierzystego regionu. Wiele uwagi poświęcać dorobkowi młodych i najmłodszych twórców stwarzając warunki do prezentacji osiągnięć, stanowisk i opinii.

Aż tyle powinności i zadań – i to na szczególnie zdezastrowanym obszarze kultury i życia społecznego. Lecz na razie bez żadnych środków i możliwości organizacyjno – technicznych. Kapitałem wyłącznym była wizja tak zdefiniowanego pisma wpisanego w program GTL-u jako suwerennego wydawcy. Nie będę przypominał ile trzeba było wykazać hartu i uporu, by doszło w końcu do uruchomienia pisma o tak zarysowanym, szerokim programie. I tak minął rok 1993, po nim następny i rozpoczął się kolejny, trzeci rok starań. Nastal w końcu czas gdy mało kto wierzył, że miesięcznik „Śląsk” wreszcie się wyłoni. Przez te lata stowarzyszenie, którego powstanie zainicjowałem i od początku byłem prezesem, starało się wykazać zwracającą uwagę energią i aktywnością zbiorową, aby pozyskiwać poparcie wpływowych sojuszników dla powołania pisma pod tym tytułem. Będzie ich z czasem wielu, lecz rolę decydującą odegrali w tym pierwszym okresie – marszałek sejmiku Janusz Frąckowiak, wojewoda Eugeniusz Ciszak (przyznana dotacja pokryła koszt wydawnicze 3 pierwszych numerów) oraz prezydent Katowic Henryk Dziewior, któremu zawdzięczaliśmy pierwszy lokal redakcyjny. Ze skuteczną pomocą przyszła także posłanka Barbara Blida, która wnet uzyskała gwarancję finansowego wsparcia przez ministra Kultury Kazimierza Dejmka.

Gdyby przypomnieć te wszystkie zabiegi oraz ich dramaturgię z perspektywy 10 lat, które minęły od wydania 1 numeru „Śląska”, byłoby to opis uporczywych wysiłków aż do startu pisma w warunkach, które mogą się wydawać teraz nieprawdziwe. Gdy możliwe było wreszcie ruszyć z miejsca, pierwszy numer miesięcznika – po przyznaniu środków przez wojewodę – musiał zostać zredagowany i przekazany do druku w nieprzekraczalnych terminach. Bez prób i możliwości korekt: od razu start ostry. Po wielomiesięcznej szamotaninie, rozlicznych wizytach i rewizytach dopiero w połowie lipca



Redakcja „Śląska” w pierwszym składzie – od lewej: Tadeusz Kijonka, Feliks Netz, Wojciech Łuka, zafrasowana Wiesława Konopelska, Jan F. Lewandowski, Krzysztof Karwat i z butelką Stocka Marian Kisiel. Numer skomponowany i zesłany do druku – w terminie niewykonanym.

wyłoniła się nagle realna szansa otrzymania pomieszczenia dla redakcji (wówczas w „Domu Prasy”). Ostateczna decyzja zapadła 7 sierpnia, gdy uchwała Zarządu Miasta przyznano na ten cel lokal przy ulicy 3 Maja 7.... Adres świetny: samo centrum, lecz czym redakcję wyposażać?... I za co! Rozpoczęły się penetracje piwnic Urzędu Miasta, gdzie wały się wycofane z użycia meble, a raczej biurowy złom. Sporo zdezelowanych sprzętów zostało wytopionych także w innych graciarniach. I tak oto po reperacjach i naprawach, została jako tako wyposażona redakcja. Choć dziesięć lat minęło, żaden mebel nie został dotąd dokupiony; to co zdobyliśmy wówczas służy z powodzeniem do dziś. Historia wyposażenia redakcji sama w sobie jest zabawną opowieścią; sam redaktor naczelny miał w tym niemalże udział nie tylko jako zapobiegliwy, ale i sprawny renowator.

I tak nastal dzień gdy w poniedziałek, 4 września 1995 roku, przy pustym stole doszło do pierwszego spotkania przyszłego zespołu. W tym składzie osób pojawił się w pierwszej redakcyjnej stopce: Wiesława Konopelska (sekretarz redakcji), Krzysztof Karwat (dział kulturalny), Marian Kisiel (dział krytyki i eseju), Jan F. Lewandowski (dział społeczno-historyczny), Wojciech Łuka (dział graficzny), Feliks Netz (zastępca redaktora naczelnego) i niżej podpisany – redaktor naczelny. Powstał zespół doborowy – najlepszy jaki był wówczas możliwy. Wszyscy członkowie nowej redakcji byli jednak związani na codzień pracą w innych instytucjach, co stwarzało poważne ograniczenia w dyspozycyjności. Tamto pierwsze spotkanie sprowadzało się do podjęcia decyzji o starcie z miejsca bez asekuracji... i wynagrodzenia. Cztery dni później, w czwartek, odbyło się pierwsze kolegium. Rozruch musiał nastąpić natychmiast, w nieprzekraczalnych terminach, by po kilku tygodniach skomponowany „od zera” numer mógł trafić do druku i wyjść w ustalonym terminie.

Uruchomienie nowego tytułu to jednak nie tylko praca redakcyjna, lecz stworzenie od podstaw instytucji, która jest także przedsiębiorstwem obciążonym licznymi zadaniami organizacyjnymi, gospodarczymi, finansowymi. ...A przecież „Śląsk” nie dysponował odpowiednim zapleczem administracyjnym i technicznym, no bo kogo zatrudnić i zatrudniać? Przy tym był miesięcznika musiał od początku opierać się w znacznym stopniu na stałych przychodach własnych. I tak jest do dziś. Decydujące znaczenie w zabezpiecze-

niu wydawniczych potrzeb mają niewątpliwie dotacje pozyskiwane co roku z Urzędu Marszałkowskiego, z Urzędu Miasta Katowic oraz z Ministerstwa Kultury. To trzy stałe źródła zasilania stwarzające gwarancję prasowej obecności. Szczególnie wiele pomocy pismo zawdzięcza od początku niezawodnej życzliwości władz miasta Katowic (w tym także obecną siedzibę przy ulicy Dworcowej) oraz Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Śląskiego, co podkreślamy przy każdej okazji.

Pierwszy numer „Śląska” ukazał się w listopadzie 1995 roku. Nieodżałowanej pamięci Jerzy Duda Gracz, z okazji kolejnej rocznicy miesięcznika, fakt ten skomentował dowcipnie: *Chociaż powołaliście „Śląsk” do życia w Święto Zmarłych (...)* Wasza pięciolatka jest widocznym zwycięstwem ducha nad materią... Od tego czasu minęło kolejnych pięć lat. Bez względu na nieuniknione trudności „Śląsk” co raz potwierdza ów życzliwy sąd Wielkiego Jerzego, bo nie tylko ukazuje się regularnie, ale ani razu pismo nie popadło w stan zagrożenia.

Czy jednak „Śląsk” wypełnia swoją misję i realizuje to co zawierał program, poczynając od pierwszego przykazania: po pierwsze: Śląsk?... Nie mnie, ani Redakcji to orzekać. Do oceny przedstawiamy wiele tysięcy stron dziesięciu kolejnych roczników pisma aż po numer ostatni, który ukazał się w poszerzonej objętości. Jeśli prezentować roczniki, musi zwrócić uwagę kolekcja wybitnych nazwisk, w tym luminarzy nie tylko śląskiej kultury i nauki. A liczne redakcyjne inicjatywy, patronaty i przedsięwzięcia potwierdzające rozległą, społeczno-kulturalną obecność pisma, która trwa i poszerza się z każdym rokiem.

Nie byłyby te osiągnięcia jednak możliwe bez licznych a niezawodnych w potrzebie Przyjaciół „Śląska”. To im w pierwszym rzędzie zawdzięczamy ów fakt niepodważalny, że w ciągu 121 miesięcy życia pisma, ukazało się 121 numerów „Śląska”. Ten dorobek – bez względu na uchybienia, braki i uzasadnione krytyczne oceny – ma już zapewne swoje trwałe miejsce nie tylko w życiu kulturalnym Śląska i historii tych lat.

No a co przed nami? To samo co dotąd: miesiąc po miesiącu – nowy numer „Śląska”. I co roku kolejny rocznik. Dzięki Wam – wierni Czytelnicy. I Wam – Przyjaciele niezawodni.

TADEUSZ KIJONKA

Z prof. FLORIANEM KUŹNIKIEM,
rektorem Akademii Ekonomicznej im. Karola Adamieckiego
w Katowicach,
rozmawia WIESŁAW KOSTERSKI



Region z przyszłością, czy bez twarzy?

– Czy kilkanaście lat likwidacji kopalń jest dla Śląska czasem przeszłym straconym?

– Z całą pewnością – nie. Mam jak najlepsze zdanie o tym, co na początku lat 90. zaczęło się nazywać restrukturyzacją przemysłu, czy też restrukturyzacją gospodarki

regionu. Restrukturyzacja jaka dokonała się w gospodarce Śląska była i konieczna i nieuchronna. To do brze, że kolejne rządy RP zaangażowały się w proces przebudowy gospodarki regionu, że pomogły łagodzić negatywne skutki restrukturyzacji. Państwo było i nadal jest do-

minującym właścicielem restrukturyzowanych przedsiębiorstw.

– Zatem, jako właściciel kopalń państwo musi podejmować decyzje i ponosić ciężar odpowiedzialności, głównie za los górników.

– Jak rozmawiam z ludźmi i to o różnych poglądach ekonomicznych, którzy pytają mnie dlaczego państwo ingeruje, przeznacza środki publiczne na restrukturyzację przemysłu, w tym górnictwa, to mam swoją odpowiedź: to jest własność państwa, niech państwo zrobi porządek ze swoją własnością. Niech ma odwagę powiedzieć: albo to zlikwidujemy, albo do tego dopłacamy, albo to zrestrukturyzujemy, albo prywatyzujemy. Państwo nie może powiedzieć, że go to nie interesuje, trwanie w bezczynności, tolerowanie negatywnych skutków też jest decyzją i to bardzo niedobłą.

– Trochę przypomina to sytuację, że gasimy światło, a po nas to choćby potop.

– Różnego rodzaju procesy likwidacyjne w górnictwie miały doprowadzić do przywrócenia trwałej rentowności przedsiębiorstwom tego sektora. Byłbym skłonny usprawiedliwiać działania kolejnych rządów i kolejne programy restrukturyzacyjne. Wchodzimy tu już na grunt sporów politycznych. Na początku lat 90. ekonomiczno-finansowe załamanie się górnictwa uderzyło w nas jak młotem. Państwo nie było do tego przygotowane, społeczeństwo regionu także tego się nie spodziewało. Świat nauki, ludzie zajmujący się zawodowo problematyką rozwoju regionalnego i rekonwersji gospodarki wiedzieli, co to jest restrukturyzacja przemysłu w Niemczech, Francji czy Wielkiej Brytanii. Wiedzieć, co to jest, a zrozumieć do końca mechanizm działania takiego zjawiska u siebie, na miejscu, to dwie różne rzeczy.

– Z wielu powodów Śląsk trudno porównać do dawnych górniczych regionów Francji i Niemiec.

– To prawda, Śląsk jest inny, bo jego waga jako regionu przemysłowego w całej gospodarce narodowej jest mimo wszystko większa niż Zagłębia Ruhry w Niemczech, czy regionów górniczych we Francji. Jeżeli więc Śląsk cały się łamie i trzęsie, to odbija się to negatywnie na całej gospodarce.

– Po wejściu Polski do Unii Europejskiej sprawa nabrała także europejskiego wymiaru, bo nasz region stał się największym unijnym producentem węgla.

– Zaczniemy od wymiaru polskiego. Od lat robione są różne szacun-

ki, które utrzymują się na zbliżonym poziomie. Mówi się tak: dla zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego Polsce potrzeba 60 do 80 mln ton węgla rocznie. Do tego dochodzi węgiel dla koksowni i odbiorców indywidualnych do opalania gospodarstw domowych. Gdyby produkcja odpowiadała takiemu zapotrzebowaniu, wszystko byłoby w porządku. Natomiast problem polega na tym, że zawsze kilka, czy kilkanaście milionów ton węgla było za dużo. A to „za dużo” robiło straty w całym sektorze. Kopalnie sprzedawały węgiel za bezcen, żeby mieć trochę pieniędzy na najbliższą wypłatę, żeby załatwić jakiś bieżący problem. Później zostało to trochę uporządkowane.

Jeśli zaś chodzi o Unię, to Unia nie robi nam tej przyjemności i nie postawi zaporowo barier celnych na swoich granicach i nie będzie chronić polskiego węgla przed węglem australijskim, południowoafrykańskim, a tym bardziej amerykańskim, który jest tani i jakościowo bardzo dobry. Musimy być zatem konkurencyjni. Niech się nikomu nie wydaje, że zbyt węgla mamy zapewniony z góry, że można spokojnie spać, a wszystkie kopalnie z obecnym wydobywaniem będą utrzymane. O rynki trzeba stale walczyć.

– Przy ogromnym wzroście cen ropy mamy do czynienia z renesansem węgla, co tworzy nową sytuację nie tylko dla Śląska.

– Nowa sytuacja jest, ale trudno mi powiedzieć, czy mamy do czynienia z renesansem węgla. Jako ekonomista zauważam sporo czynników, które ostatnimi kilku laty preferowały węgiel, ale mogą to być czynniki przejściowe, koniunkturalne. Do końca nie wiemy jakie będzie – na przykład – zapotrzebowanie Chin na węgiel, na ile podaży węgla na rynkach światowych regulują wielcy producenci i jak w najbliższej przyszłości ukształtują się ceny ropy naftowej.

Trzeba także pamiętać, że gdyby nawet doszło do renesansu węgla, to w pierwszej kolejności skorzystają na tym silni; ci, którzy mają dobrze zorganizowane, silne kapitałowo i technologicznie firmy węglowe. Do tego dochodzi jeszcze sprawne zaplecze transportowe. Natomiast słabe firmy, a w Polsce górnictwo ciągle jest w fazie organizowania się, nie osiągną tak dużo.

– Likwidacja kopalń niesie ze sobą zjawiska zarówno negatywne jak i pozytywne. Z jednej stro-

ny oznacza utratę miejsc pracy, wzrost bezrobocia i poczucia kryzysu, rozsypkę majątku, z drugiej zaś pozwala na ograniczenie degradacji środowiska i budowanie nowych firm. Które elementy przeważają?

– Przytłaczająca opinia jest taka: restrukturyzacja górnictwa to wyłącznie negatywy. Jest ich sporo. I to tych po stronie społecznej, bo mamy do czynienia z utratą miejsc pracy, utratą dochodów ludzi i gmin. Do tego dochodzą sprawy związane z opóźnionymi, a czasami błędnymi decyzjami. To bez wątpienia są bolesne zjawiska. Ale są też pozytywy: ochrona środowiska, zatrzymanie wydobywania w olbrzymiej skali, ograniczenie rabunkowej gospodarki złożem. Wystarczy zobaczyć, co się stało w Bytomiu. Bilans zrobić jest ciężko. Gdybym miał go wykonać, powiedziałbym, że negatywów ciągle jest więcej. Pamiętać jednak trzeba o nieuchronności zjawisk restrukturyzacyjnych.

Górnictwo zmieniło się jednak na lepsze w sferze zarządzania, ma nowocześniejszy menagement. To już nie jest rozkazywanie i pokrzykiwanie na górników z użyciem ostrych słów, że mają wydobywać coraz więcej i wykonać plan. Zmieniło się myślenie – już nie tylko kategorią techniczną, wydobywania, ale kategorią rynku, handlu. To gwarantuje, że powstaną z czasem silne firmy górnicze, które będą mogły sprawnie poruszać się po europejskim i światowym rynku.

– Jak, biorąc pod uwagę sumę doświadczeń, będzie dalej wyglądała restrukturyzacja górnictwa, która ma decydujący wpływ na gospodarkę regionu?

– Widać kumulację pozytywnych efektów. Aktualnie w strukturze sektora dominują trzy duże firmy górnicze: Jastrzębska Spółka Węglowa, Katowicki Holding Węglowy i Kompania Węglowa, które w ostatnich dwóch latach były w stanie wypracować zysk, mimo, że ciągną za sobą pewne zadłużenia z przeszłości, czego szybko nie da się spłacić. Te trzy firmy stają się prawdziwymi przedsiębiorstwami.

Teraz najważniejsze jest to, żeby spróbować pociągnąć restrukturyzację dalej, nie zmarnować i nie zaprzepaścić tego, co już osiągnięto. A osiągnęło się dużo, czego miarą jest liczba ponad 100 tysięcy ludzi, których z górnictwa wyprowadzono. Spokojnie, dając środki do życia w biednym przecież państwie polskim. Nie jesteśmy Anglią, czy

Niemcami z czasu zamykania kopalń.

– Śląsk oblepiły hipermarkety, w których kwitnie nowy rodzaj niewolnictwa pracowniczego. W budowie są kolejne centra handlowe. Z monokultury węgla wpadamy w monokulturę lada?

– Sektora handlu wielkopowierzchniowego bym się nie obawiał. Dlatego, że on jest w stu procentach prywatny i całkowicie niezależny od struktur władzy. Musi się sam utrzymać. To prawda, że są negatywne zjawiska polegające na zatrudnianiu pracowników za bardzo małą stawkę, na dziwnych warunkach – delikatnie mówiąc. Ludzie się na to godzą. Dlaczego? A no dlatego, że ciągle mamy w woj. śląskim 16 – 18 procentowe bezrobocie. Biorą więc pracę jaką się nadarzy. Ożywienie gospodarcze i spadek bezrobocia sprawi, że inaczej zaczną zachowywać się pracodawcy, jak i ludzie szukający zatrudnienia.

– Co może powstać na gruzach kopalń i pozostawionym majątku, przy skromnych możliwościach stosunkowo młodych ludzi jacy odeszli z górnictwa?

– Nie chciałbym udzielać odpowiedzi na zasadzie, że w miejsce górnictwa wejdzie przemysł samochodowy, czy produkcja butów, bo tego nikt nie wie. Ale na pewno trzeba stworzyć warunki do zagospodarowania tego, co jest. Trzeba kształcić ludzi, co już się w woj. śląskim dzieje, a co zaprocentuje za kilka, kilkanaście lat. Jeśli chodzi o edukację na poziomie wyższym, to jesteśmy po Warszawie drugim ośrodkiem akademickim w kraju.

Ten ogromny potencjał jest na Śląsku i dostrzegają go duże firmy zagraniczne. Inwestorzy chcą tutaj lokalizować swój kapitał. Dla nich, a często traktują nasz region jako śląsko-krakowski, jest to – poza Warszawą – najatrakcyjniejsze miejsce w Polsce. Mimo różnych negatywów. To nie są peryferia, ten obszar ma szanse rozwoju.

– Zaraz, zaraz, uciekł nam Wrocław, Poznań, Kraków. W rankingach atrakcyjności inwestowania Śląsk nie zajmuje pierwszych miejsc.

– Ale też nie jest ostatni. Jesteśmy w czołówce. Czasami inwestorzy wyżej sobie cenią Śląsk niż inne regiony. Choćby z powodu wysokiej kultury pracy. Oczywiście, Kraków jest potężny, trudno z nim konkurować pod wieloma względami, choćby w kulturze. Ale wykrzystajmy to, że jest blisko. Jak

Kraków będzie kwitł, to Śląsk na tym nie straci.

– Czy istnieje śląska filozofia rozwoju i na czym ona jest albo też może być oparta?

– Myślę, że tak. Śląska filozofia rozwoju osadza się na dwóch sektorach gospodarki. Jest stary sektor, który powinien być zmieniany, restrukturyzowany, właściciel powinien zrobić z nim porządek i drugi, młody sektor, który obejmuje nowe dziedziny gospodarki, choćby przemysł samochodowy, czy też małe i średnie przedsiębiorstwa.

Kolejnym elementem tej filozofii może być sprawniejsze wykorzystanie pomocy publicznej. Są obiekty i tereny poprzemysłowe – na przykład – po kopalni „Katowice”, znakomicie położone, niemal przy rynku katowickim. To niezwykle atrakcyjny obszar. Gdyby tam rozkwitły różnego rodzaju firmy, a są na to szanse, to skala obrotów ekonomicznych byłaby wiele razy większa niż obroty kopalni w okresie jej świetności. Jeżeli pieniądź publiczny w to nie wejdzie i nie uporządkuje tego typu obszarów, to zawsze będzie tam bałagan, byle jaki i szemrany biznes. Tu jest miejsce na pieniądź publiczny, na projekty europejskie, na naszą pomysłowość. Naszą, czyli także środowisk akademickich.

– Tyle, że wiedza wynikająca z badań naukowych prowadzonych przez wyższe uczelnie, w tym także przez Akademię Ekonomiczną, nie przekształca się w szybkie i odpowiedzialne decyzje kręgów władzy różnego szczebla, w tym władzy centralnej?

– Obawiam się, że wiedza o Śląsku bardzo słabo dociera do kręgów decyzyjnych, umownie mówiąc do Warszawy. Śląsk widziany jest poprzez węgiel, hutnictwo, transport kolejowy. Nie patrzy się na nasz region jak na całość. Na ogół władza jest w stanie albo wyzywać na górników, albo ich obrażać, albo im schlebiać w zależności od okoliczności politycznych. Nie traktuje się nas zbyt poważnie, ale powód tego jest taki, że to my siebie nie traktujemy poważnie.

Nie umiemy się przebić z nowym myśleniem o gospodarce Śląska. Nasze elity są słabe. Ciągłe przebijają się tylko politycy albo związkowe ośrodki nacisku, reprezentowane przez duże przedsiębiorstwa.

– Politycy, co pokazała ostatnia kampania wyborcza do Sejmu

i Senatu, nie potrafią jednak mówić głośno o sprawach Śląska.

– Dyskusja wyborcza była na temat kilku spraw ekonomicznych – na przykład – na temat podatków. Nie było natomiast elementów dotyczących konkretnych regionów. Pojawiły się za to różnego rodzaju sugestie dotyczące górnictwa, głównie prasowe, nie podpisane z imienia i nazwiska przez konkretnych polityków, które mnie przeraziły. Jak słyszę, że trzeba zrezygnować z prywatyzacji górnictwa, bo jest to nasze bogactwo narodowe, bo górnictwo powinno być oparte na sektorze publicznym, bo musimy go utrzymywać i do niego dokładać, to to oznacza zatrzymanie procesów restrukturyzacyjnych.

– Do tego obraz Śląska budują górnicy bijący się pałkami z policją pod Sejmem, co ogląda w telewizji każdy Polak...

– ... i ma do nich negatywny stosunek. Mam nadzieję, że dyskusja przed wyborami samorządowymi będzie zupełnie inna i wniesie wiele nowego.

– Zapowiadana jest likwidacja kolejnych kopalń. Czy dalej będziemy ćwiczyć te same figury jak przez ostatnie kilkanaście lat?

– Najgorsze mamy za sobą. Teraz czekają nas likwidacje wynikające głównie z powodu wyczerpywania się złóż węgla. Popatrzmy na Kompanię Węglową. Nie ogłasza, że jest jakaś kopalnia do zlikwidowania, co rodzi zazwyczaj różnego rodzaju niedobre skojarzenia, tylko wzięła się na sposób konsolidowania kopalń. W rezultacie pozostaje w przedsiębiorstwie już tylko ta część produkcyjna, która jest efektywna i daje możliwości rozwoju. Ludzie w sposób naturalny odchodzą na emerytury albo przenosi się ich do innych kopalń.

Nadmiernych zdolności produkcyjnych w górnictwie już za dużo nie ma. Jeżeli nie będzie silnego załamania na krajowym, czy zagranicznym rynku węglowym, to nie będą nam grozić nagle, drastyczne likwidacje, które mogą stać się problemem społecznym i politycznym.

– Problemem społecznym już dzisiaj jest brak górników na śląskim rynku pracy. Znam dużą firmę górnictwą, która od zaraz przyjmie 100 ludzi do roboty „na dole”. Ale ich nie ma. Nikt nie przychodzi.

– To rzeczywiście poważny problem. Przeszliśmy ze sposobem wyprowadzania górników z likwidowanych kopalń, zamykając im

możliwość powrotu do górnictwa, a także z likwidacją szkolnictwa górniczego, które się całkowicie rozsypało.

– Jak z tego wszystkiego Śląsk może wybrnąć?

– Najważniejszą barierą jest chyba bariera mentalna. Ludzie w naszym regionie boją się zmian, chcieliby utrzymać to, co jest. Ale ten stan jest nie do utrzymania. Nie zareagowaliśmy na ogromną recentralizację państwa. Samorządy stoją w miejscu, nawet wojewódzki. To uniemożliwia rozwiązanie problemów na miejscu, u dołu. Trzeba czekać aż władza centralna nam coś zafunduje, a władza centralna ma naprawdę inne kłopoty narodowe na głowie – nasze miejsce w Unii, NATO, armię, transport. Zatem, nie zajmuje się produkcją. Projektów regionalnych różnego rodzaju jest dużo. Choćby w dużych gminach, jak Katowice. Proszę popatrzeć, ile w Katowicach w ostatnich latach zrobiono w układem drogowym.

Niestety, w naszym regionie nie mamy najprostszej rzeczy – centrum miejskiego całej aglomeracji. Katowice mają pomysł, pieniądze. Metropolia mogą się stać za 5 do 7 lat. Teraz są tylko średniej wielkości miastem. Jak porównuje się największe polskie metropolie to słyszę: Warszawa, Kraków, Wrocław, a potem długo nic i na samym dole są Katowice. Błąd – nie Katowice, tu trzeba myśleć kategorią metropolitalnego zespołu miejskiego.

– Z tego wylania się obraz człowieka bez twarzy.

– Trafnie to Pan ujął. Nie ma nazwy własnej, którą miasta naszego regionu zostałyby określone.

– Jaka rysuje się perspektywa czasowa pozwalająca na dojście do poziomu choćby Zagłębia Ruhry, gdzie region ciężkiego przemysłu przekształcony został skutecznie w obszar o bardziej cywilizowanym obliczu...

– ... gdzie powstało kilkanaście uniwersytetów i centra nowych technologii – dodajmy. Mamy na to 20 do 30 lat. Wyszliśmy z fazy bałaganu, jesteśmy w fazie porządkowania, teraz powinna przyjść faza rozwoju. Wymaga to jednak czasu, okrzepnięcia nowych rozwiązań, zbudowania wielu firm i ukształtowania się kultury przedsiębiorczości, innej niż ta górnicza.

– Dziękuję za rozmowę.

– Narodowy Program Kultury „Znaki Czasu” powstał z inicjatywy ministra kultury Waldemara Dąbrowskiego jako reakcja na niedostatki w zakresie kolekcjonowania dzieł sztuki współczesnej. Jak Pan osobiście odczytuje to hasło? Dlaczego znaki? I jakiego czasu?

– W dziełach sztuki współczesnej odbijają się zawsze aktualne problemy i dylematy. Można wręcz powiedzieć, że są świadectwem tego wszystkiego, co jest ważne dla człowieka żyjącego w określonym, dzielonym z artystą, tu i teraz. Jednocześnie, współczesna przestrzeń podlegająca nieustannej wizualizacji – chociażby na ulicach miasta lub w supermarketach – i to, co proponują, często agresywnie, media elektroniczne, wpływa na strukturę dzieła sztuki. Można uznać zatem współczesne dzieła sztuki za swoiste znaki oglądane lub przyswajane jak gdyby w drodze.

Niezwykle ważny jest kontekst, w którym wypowiada się artysta. Sztuka współczesna nie daje gotowych odpowiedzi. Szukając wartości, raczej diagnozujemy sytuację ze świadomością braku recepty. Stawiamy pytania. Może tak się stawia znaki na drodze. Ich odczytanie należy do odbiorcy.

– Budowanie kolekcji jest już próbą ukierunkowania zainteresowań odbiorców, wyborem znaków, na które należy zwrócić uwagę...

– Na początku 2005 roku wręczono mi nominację na przewodniczącego komisji zakupów Śląskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych przy Fundacji dla Śląska, którą minister Dąbrowski uczynił dysponentem pieniędzy, konkretnie 400 tysięcy złotych przekazanych na gromadzenie dzieł sztuki współczesnej. W komisji spotkało się grono niezwykle kompetentne. Otrzymałem możliwość współpracy z profesjonalistami nie tylko o sporym doświadczeniu i dorobku, ale co najważniejsze jasno deklarującymi swoje wizje i oczekiwania. Członkami komisji zakupów zostali: Jakub Byrczek (artysta fotografik, kurator wielu wartościowych wystaw fotografii, kierujący Galerią Fotografii Współczesnej w Górnos Śląskim Centrum Kultury), Sebastian Cichoński (krytyk sztuki i szef Galerii Kronika w Bytomiu), Mieczysław Dobkowski (dyrektor Muzeum Górnos Śląskiego w Bytomiu), Tomasz Janikowski (dyrektor Górnos Śląskiego Centrum Kultury w Katowicach), Leszek Lewandowski (artysta plastyk i kurator sztuki współczesnej), Krzysztof Mazik (właściciel

Rozmowa
z JAROSŁAWEM ŚWIERSZCZEM,
przewodniczącym komisji zakupów
Śląskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych
w Katowicach



Foto: Janusz Szewczyk

Znaki na naszej drodze

Galerii Inny Śląsk w Tarnowskich Górach) i Agata Smalcerz (dyrektor Biura Wystaw Artystycznych w Bielsku-Białej). Ten zespół gwarantował nie tylko przemyślane zakupy, lecz również od początku stał się grupą połączoną wspólnym – powiedzmy – marzeniem, aby proces tworzenia kolekcji doprowadził do powstania stałej ekspozycji, załączka regionalnego Muzeum Sztuki Współczesnej. Z moich doświadczeń krytyka i kuratora sztuki wynika, że konsekwentnie budowana kolekcja może i powinna wykreować określone wartości ekspozycyjne, edukacyjne i związane z promocją sztuki współczesnej. Zakupy są efektem analizy rynku sztuki współczesnej. Ale krokiem dalej powinna być synteza, możliwość stawiania dzięki kolekcji określonych pytań, wobec których nie będzie obojętna ślaska publiczność i krytyka.

– Jakim trybem podejmowano decyzje i co udało się zakupić?

– Spotykaliśmy się w siedzibie Fundacji dla Śląska, w lipcu zorganizowaliśmy sesję wyjazdową w Bielsku-Białej. Członkowie komisji proponowali określone zakupy, a decyzje zapadały większością głosów. Nabyliśmy m.in.: instalację Między Stanisława Dróżdża, jeden z najbardziej spektakularnych obiektów

polskiej sztuki XX wieku, duży zestaw fotografii Zofii Rydet z różnych okresów twórczości, portret *Ślązaczka* Urszuli Broll, jedno z kontestacyjno-metaforycznych płócien Andrzeja Urbanowicza z lat 60., instalację Piotra Lutyńskiego, fotografie Andrzeja J. Lecha z okresu amerykańskiego, alegoryczny obraz Piotra Szmítke, prace Cezarego Bodzianowskiego, Edwarda Dwurnika, Adama Gamka, Andrzeja S. Kowalskiego, Grzegorza Szwiertni i Pawła Warchoła. Ceny proponowane przez artystów (lub spadkobierców – jak w wypadku Rydet) podlegały zawsze negocjacji, gdyż na pierwszym planie musi być interes kolekcji, a nie oczekiwania twórców. Analiza finansowa była równie ważna, jak aspekty merytoryczne decyzji o zakupie.

– Gdzie przechowywana jest kolekcja?

– Odpowiednie warunki dla zabezpieczenia dzieł zapewniło Muzeum Górnos Śląskie w Bytomiu. Pierwszy publiczny pokaz kolekcji odbędzie się w lutym 2006 roku, w katowickim Biurze Wystaw Artystycznych.

– Czy „Znaki Czasu” będą znakami lepszej przyszłości dla zasobów sztuki współczesnej w regionie?

– Nie kwestionuję wartości różnych kolekcji sztuki

współczesnej zgromadzonych przez muzea. Tyle, że trzeba jasno podkreślić, iż dalsze rozproszenie wartości będzie pogłębiało proces separacji sztuki poszukującej od potencjalnych odbiorców. Rzykujemy po prostu, że nie tylko pozyskamy tych, którzy nic albo niewiele wiedzą o sztuce współczesnej, lecz i utracimy publiczność otwartą i do pewnego stopnia przygotowaną do odbioru.

Nie umiem przesądzić, jakie będą dalsze losy projektu, który powstał z inicjatywy ministra Dąbrowskiego. Nie wiadomo także, jak potoczą się losy naszej kolekcji – losy ekspozycyjne i związane z całością działań dokumentacyjnych i promocyjnych. Z góry jednak wiadomo, że łatwiej prowadzić rozmowę o sztuce współczesnej tam, gdzie istnieją specjalistyczne muzea. Dlatego też chciałbym, aby kolekcja, będąca efektem kolektywnych decyzji komisji zakupów Śląskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, była pretekstem do poważnej dyskusji. Dyskusji o potrzebach związanych z obecnością sztuki współczesnej w przestrzeni społecznej. Zatem zauważam, że na Śląsku takiej debaty dotąd nie podjęto.

Rozmawiał:
RYSZARD JASNORZEWSKI

W przededniu 10-lecia naszego miesięcznika zwróciliśmy się do kilku polityków, przedstawicieli władz samorządowych oraz naukowców z prośbą o udział w ankiecie dotyczącej, najogólniej mówiąc, miejsca naszego regionu w Europie. Poprosiliśmy ich o udzielenie odpowiedzi na trzy pytania:

1. Jakie szanse dla Śląska, uwzględniając wszystkie uwarunkowania, stwarza wejście Polski do Unii Europejskiej?

2. Czy Śląsk wystarczająco zmobilizował swoje działania programowe w pozyskaniu środków unijnych, a jeśli nie – dlaczego?

3. Jakie są główne atuty naszego regionu w przełamywaniu kryzysu i wykorzystaniu obecności Polski w UE w obecnych warunkach gospodarczych i społecznych, przy bardzo wysokiej skali bezrobocia, ucieczce młodzieży ze Śląska i regresie demograficznym?

Poniżej przedstawiamy wyniki naszej ankiety.

REDAKCJA

Śląsk wobec Unii Europejskiej – szanse i perspektywy

Barbara Blida

posłanka 5 kadencji
na Sejm RP

1) Unia Europejska to dla nas duża nadzieja na rozwój. Szansa to przede wszystkim fundusze, dzięki którym możemy pozyskać środki finansowe na inwestycje, służbę zdrowia, rewitalizację obiektów zabytkowych, szkolenia.

2) Niestety, nie potrafimy jeszcze w pełni skorzystać z możliwości jakie stwarza Unia; jest jeszcze duża niewiedza o tych możliwościach a również trochę zwykłego lenistwa i małej przebojowości.

3) **Dotąd, dokąd władze gmin będą bardziej politykami aniżeli gospodarzami, młodzi ludzie będą migrować tam, gdzie będą mogli zarobić na swoje utrzymanie, a więc z małych miejscowości do dużych aglomeracji bądź za granicę.** Śląsk ma dzisiaj swoje „pięć minut” w związku z koniunkturą na stal i węgiel. Jeżeli nie wykorzystamy tych możliwości dla rozwoju, będziemy sami winni jego degradacji.

Prof. Jerzy

Buzek

deputowany do
Parlamentu Europejskiego

1) Śląsk ma wyjątkowo wielką szansę.

Po pierwsze – jest geograficznie blisko największych europejskich ośrodków, dobre położenie drogowe z zachodem i południem, a przede wszystkim z pozostałymi regionami Polski, istnieją autostrady i trasy szybkiego ruchu we wszystkich kierunkach. Inne polskie regiony tego nie mają.

Po drugie – od wieków uprawiamy tutaj międzynarodową i międzykulturową współpracę.

Zawsze byli tu Polacy, a także Niemcy, Czesi, Słowacy, Austriacy czy Żydzi. Mamy wielką otwartość i poczucie wartości.

Po trzecie – **mamy świetnie wykształconych ludzi, bo od 8. pokoleń istnieje tutaj wysoka cywilizacja i kultura techniczna.** Możemy do-
brze zorganizować nasze uczestnic-

two w Europejskich Programach i powinniśmy mocno liczyć się w Europejskiej Współpracy i Rozwoju.

2) Znam projekty wielu śląskich miast. Są świetne i już się przebiły. W ogólnopolskim konkursie Rzeczypospolitej takie miasta, jak Rybnik, Katowice, Ruda Śląska, Częstochowa czy Dąbrowa Górnicza zajęły miejsca w pierwszej dwunastce! Gmina wiejska Konopnica pod Częstochową jest na trzecim miejscu w kraju.

Niestety, odchodzący rząd zostawił nam takie przepisy i regulacje, że wykorzystanie i spożytkowanie funduszy to ekwilibrystyka urzędnicza, a nie solidne administrowanie.

3) Atuty podałem w punkcie 1. Śląsk, ale i cała Polska musi postawić na szybki rozwój i konkurencyjność. Edukacja – badania – innowacje to słynny już trójkąt postępu. Na Śląsku trzeba stworzyć fundament – stale i trwale funkcjonujący przemysł węglowy, źródło energii dla Polski i Europy. Dlatego organizujemy i już działają Śląski Klaster Czystych Technologii Węglowych. Na tej bazie, dobrze działającego przemysłu ciężkiego... najnowocześniejsze przemysły – elektronika, samochodowy, lotniczy, przetwarzanie danych. Wtedy warto będzie mieszkać na Śląsku i w Polsce. To potrwa parę lat, ale warto przejść tę drogę, bo nie ma innej.

Michał Czarski

marszałek
województwa śląskiego

1) Jeszcze przed przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej województwo śląskie było objęte pomocą przedakcesyjną koncentrującą się na wspieraniu przedsiębiorczości. Poczawszy od maja 2004 r. region uzyskał możliwość korzystania ze wsparcia funduszy strukturalnych i funduszu spójności. Największą pomoc możemy uzyskać z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego, który pozwala na podjęcie szeregu działań skutkujących rozwojem naszego województwa. Poprawa stanu dróg, infrastruktury technicznej, przyciągnięcie inwestorów, co w rezultacie utworzy nowe miejsca pracy. Dofinansowanie małych i średnich przedsiębiorców wzmocni potencjał gospodarczy regionu. Dużą część pieniędzy, z Europejskiego Funduszu Społecznego w ramach ZPORR, przeznaczona jest także na aktywizację zawodową i społeczną osób będących na marginesie życia społecznego. Fundusze unijne stawiają przede wszystkim na rozwój społeczno-gospodarczy państw i regionów, a na tym naj-

bardziej zależy samorządowi województwa.

2) Dzięki aktywności i profesjonalizmowi samorządów lokalnych i innych beneficjentów ZPORR projekty przedkładane na konkursy były bardzo dobre i tylko ze względu na ograniczone środki finansowe byliśmy zmuszeni zaakceptować 1/3 projektów (z 763 złożonych projektów, do dofinansowania zaakceptowano 269 wniosków). Pieniądze wydawane są nie tylko na bieżące potrzeby, ale finansują też długoterminową strategię, która jest podstawą rozwoju województwa, tj. Strategii Rozwoju Województwa Śląskiego na lata 2000-2020. Realizacja nawet najlepszej strategii nie jest jednak możliwa bez odpowiednich instrumentów, a fundusze strukturalne dają samorządom szerokie możliwości wsparcia finansowego.

3) **Głównym atutem województwa śląskiego jest fakt, iż jego dogodne położenie geograficzne, potencjał surowcowy i ludzki powoduje, iż jesteśmy regionem atrakcyjnym inwestycyjnie.** Ciągła transformacja gospodarki oraz potencjał badawczo-rozwojowy przyciągają firmy, które dzięki zlokalizowaniu swoich inwestycji w naszym regionie tworzą nowe miejsca pracy, a to z kolei pozytywnie wpływa na zmianę tendencji migracyjnych młodego pokolenia.

Sukces rozwojowy województwa w dużej mierze zależy od racjonalnej, wewnątrzregionalnej organizacji procesów rozwojowych oraz skutecznej współpracy gmin i powiatów. To dzięki ścisłej współpracy w regionie będziemy w stanie efektywnie promować nasze województwo jako to, które racjonalnie wykorzystuje szansę jakie stwarza członkostwo Polski w strukturach unijnych.

Niedawno aktualizowana Strategia Rozwoju Województwa Śląskiego na lata 2000-2020 zakłada m.in. rozbudowę oraz unowocześnienie systemów infrastruktury technicznej, wzrost innowacyjności i konkurencyjności gospodarki, poprawę jakości środowiska naturalnego i kulturowego oraz zwiększenie atrakcyjności przestrzeni, a także wzrost wykształcenia mieszkańców oraz ich zdolności adaptacyjnych do zmian społecznych i gospodarczych w poczuciu bezpieczeństwa społecznego i publicznego. Jeżeli wspólnymi siłami społeczności regionalnej uda się zrealizować zamierzone cele, to województwo śląskie podniesie swoją atrakcyjność nie tylko na mapie Polski, ale także na mapie Europy.

Adam Fudali
prezydent Miasta Rybnik

Śląsk, wbrew temu, co głoszą niektórzy polscy, a za nimi europejscy

politycy, wcale nie jest najbardziej problematycznym regionem Europy. Dobitnie świadczy o tym choćby ilość inwestycji zagranicznych, lokowanych w naszym regionie. Wejście Polski do Unii Europejskiej otworzyło polską gospodarkę, uwiarygodniło nasz kraj w oczach partnerów gospodarczych. Widać to wyraźnie także w moim mieście – Rybniku, gdzie nie ma miesiąca, a czasem nawet tygodnia, by nie przychodziły zapytania od różnych firm zagranicznych o możliwość ulokowania działalności gospodarczej. Uczymy się wykorzystywać nasze położenie geograficzne. **Jako region przygraniczny jesteśmy otwarci na Czechy, Słowację, a poprzez autostradę A4 także na Niemcy i całą zachodnią Europę.** Racionalnie korzystając z funduszy strukturalnych UE, w najbliższych latach zbudujemy autostradę A 1 i wtedy znajdziemy się na europejskim szlaku Północ – Południe, co w połączeniu z terminalem w Ślawkowie, uczyni Śląsk jednym z „przewilęjowanych” ośrodków europejskich. Staniemy się prawdziwym „zagłębiem logistycznym” Europy środkowej. Niebagatelną szansą dla Polski, a co za tym idzie, także dla Śląska, jest możliwość kształcenia się młodego pokolenia we wszystkich uczelniach zjednoczonej Europy. Ma to kapitalne znaczenie dla rozwoju tzw. zasobów ludzkich. Ta wszechstronnie wyedukowana młodzież będzie w przyszłości zmieniać oblicze naszego regionu.

2) Śląsk jest dobrze przygotowany do absorpcji środków zewnętrznych. Świadczy o tym choćby ilość projektów złożonych w różnorakich konkursach na dofinansowanie różnego rodzaju inwestycji. Myślę w tym momencie tak o gminach, jak i o przedsiębiorstwach. Wypracowanie Strategii Rozwoju Regionu, już w trakcie poprzedniej kadencji samorządu wojewódzkiego, kierowanego wtedy przez dzisiejszego eurodeputowanego Jana Olbrychta, pozwoliło nam na stworzenie spójnej wizji rozwoju regionu. Wtedy także pomyśleliśmy o stworzeniu odpowiednich struktur w administracji i szkoleniu ludzi, którzy dziś praktycznie bezbłędnie potrafią aplikować o środki UE. Niestety, z pewnym niepokojem patrzę na przyszłą perspektywę finansową Unii, na lata 2007–2013. Brak porozumienia krajów członkowskich w sprawie funduszy strukturalnych bardzo utrudnia nam skuteczne przygotowanie się do programowania przyszłych działań. Myślę także, że w przypadku niektórych projektów o charakterze ponadlokalnym, powinniśmy zdecydowanie odejść od idei konkursów, na rzecz tworzenia partnerstw wielu podmiotów. Za przykład niech tu posłuży budowa trasy średnicowej Pszczyña-Racibórz. W przypadku tak wielkiej inwestycji przygotowanie choćby

tylko dokumentacji budowlanej na konkurs o nieprzewidywalnych wynikach, byłoby zwyczajnym marnotrawstwem.

3) Istotnym atutem naszego regionu jest fakt, że Śląsk w Europie był zawsze, choć Europa na jakiś moment go opuściła. Mamy dobrze wykształcone kadry techniczne, mamy także swój śląski etos pracy. Jestem przekonany, że bezrobocie w perspektywie paru najbliższych lat uda nam się znacząco zredukować. W samym tylko Rybniku, na przestrzeni najbliższego roku, zostanie utworzonych ok. 3 tys. miejsc pracy i zainwestowanych w działalność gospodarczą prawie pół miliarda złotych. Paradoksalnie na naszą korzyść działa także dzisiejszy światowy kryzys energetyczny i galo-pujące ceny ropy naftowej. Śląsk ze swoimi wieloletnimi zapasami węgla, może stanowić poważną „rezerwę energetyczną” dla wszystkich krajów UE. Parę miesięcy temu, z inspiracji byłego premiera RP Jerzego Buzka, zaczęły współpracować ze sobą jednostki badawcze, wyższe uczelnie i samorządy. Celem tej współpracy jest utworzenie klastru czystych technologii węglowych. Spróbujemy przebić się z tą ideą na forum Parlamentu Europejskiego i Komisji Europejskiej.

prof. Genowefa Grabowska
deputowana do
Parlamentu Europejskiego

1) Dla Śląska – regionu poddanego po roku 1989 brutalnej transformacji gospodarczej i społecznej – wejście Polski do Unii Europejskiej stało się prawdziwą i niepowtarzalną szansą na szybszy rozwój oraz na stałą poprawę warunków życia mieszkańców. Po pierwsze – Śląsk uzyskał dostęp do unijnych pieniędzy (szeroka gama unijnych instrumentów finansowych w postaci funduszy strukturalnych i innych funduszy celowych). Dzięki tym środkom mamy na Śląsku nie tylko nowe inwestycje, ale także tworzymy nowe miejsca pracy oraz dbamy o nasze środowisko, słowem – poprawiamy jakość życia w Regionie. Po drugie – korzystamy ze swobody podróżowania po całym obszarze UE, już bez wiz i formalności na granicach. A to znacznie ułatwia podjęcie nauki, studiów, stażu czy pracy w krajach członkowskich UE. Po trzecie – mamy szansę na samodzielną obecność i własną aktywność w Unii. Jesteśmy przecież jednym z jej największych regionów. Pomaga nam w tym nasze Biuro w Brukseli, które nierzadko „śląską ambasadą”

działa w naszym imieniu i na rzecz naszego Regionu

2) Trzeba przyznać, iż Śląsk całkiem nieźle sobie radzi z pozyskiwaniem funduszy unijnych. Uczyliśmy się zresztą tej trudnej sztuki na przykładzie funduszy przedakcesyjnych, takich jak: PHARE, ISPA, SAPARD. Nasze województwo otrzymało łącznie 510, 7 mln euro, plasując się dzięki temu na trzecim miejscu w rankingu krajowym. Pytanie o wykorzystanie aktualnie dostępnych środków unijnych, w tym funduszy strukturalnych, jest jednak przedwczesne, gdyż wiele projektów jest w trakcie realizacji. Można jedynie wskazać, że na dzień dzisiejszy Śląsk może się pochwalić 8 projektami z zakresu ochrony środowiska finansowanymi z funduszu spójności (łączna dotacja dla Śląska w 2004 roku wyniosła 289.320 tys. euro). Są jednak i cienie w tej konstrukcji. W dotychczasowej praktyce obserwujemy, np. niskie wykorzystanie środków unijnych w ramach ZPORR-u (6,5 mln euro/279 mln euro), ale trzeba pamiętać, że nie ruszyły jeszcze największe inwestycje oraz że na wykorzystanie tych środków mamy czas do roku 2008. Należy jednak być świadomym, iż stopień ich wykorzystania zależy nie tylko od sprawności urzędów odpowiedzialnych za ich wdrażanie, ale przede wszystkim od aktywności mieszkańców. A to niestety stanowi poważny problem w niektórych miastach województwa śląskiego, gdzie aktywność gospodarcza mieszkańców jest wciąż niewystarczająca. I chociaż unijna biurokracja jest równie bezwzględna dla wszystkich państw członkowskich, to jednak nasze wewnętrzne, polskie procedury i nasza polska biurokracja towarzysząca procedurom europejskim mocno utrudniają nam dostęp do tych funduszy

3) Śląsk „od zawsze” był traktowany jako ogromny potencjał gospodarczy i ludzki. Korzystne usytuowanie wzdłuż międzynarodowych szlaków komunikacyjnych i transportowych, chłonny rynek zbytu oraz dobra infrastruktura transportowa gwarantują naszemu regionowi dużą atrakcyjność inwestycyjną. **Teraz ważne jest to, aby gospodarka naszego regionu rozwijała się dalej w kierunku nowoczesnych technologii i usług.** Mam nadzieję, że tradycyjne oblicze naszego regionu, bazujące głównie na przemyśle ciężkim (węgiel, stal), będzie powoli ustępowało jego nowoczesnej wizji wykorzystującej nowoczesne technologie, a przede wszystkim energię, mobilność, wiedzę i coraz lepsze wykształcenie mieszkańców. Tylko w ten sposób zapewnimy sobie szansę na rozwój, uczynimy skutecznym krok w walce z bezrobociem, a także zapobiegniemy „ucieczce” młodzieży, która przecież jest naszą przyszłością i prawdziwym bogactwem naszego Regionu.

Kazimierz Kutz

senator RP

Warunki, jakie dla Śląska stwarza wejście do UE są z natury swej zachęcające i korzystne. A w wielu przypadkach zbawienne. „Wszystkie warunki” zawarte są w grubej książce przepisów UE, których prawdopodobnie nikt w całości nie przeczytał. Wyciągi dotyczące spraw polskich są może o połowę mniej obfite, ale jak wszystkie, zapisane są językiem europejskich biurokratów, w których zwyczajny śmiertelnik nie jest w stanie się rozszarpać. Ja do nich należę. Myślę, że nasi euro-deputowani (pani Grabowska, panowie Buzek i Olbrycht) spełniają lepiej niż ja życzenia autora tej ankiety. Choć tak czy inaczej będą to truizmy. Na moje wrażenie szansa Śląska na uzyskanie pieniędzy największych leży w jego zgłiszczach poprzemysłowych (to są te nasze „główne atuty”), czyli w sakiewkach Unii na rewitalizację natury a także zdewastowanych obiektów przemysłowych i miast. W potrzebach ekologicznych. W tej konkurencji jesteśmy w Polsce monopolistami. Ale ważne są także fundusze pomocowe projektów oryginalnych poszczególnych gmin i miast, dotyczących zwłaszcza edukacji i przystosowania ludzi do nowych zawodów. A także w ochronie zabytków. Wielkie szanse tkwią w projektach dotyczących infrastruktury, zwłaszcza w rozbudowie szybkich dróg i systemów informatycznych.

Dobrodziejstwem naszego wejścia do Unii Europejskiej jest pobudzenie i wzmoczenie inicjatyw samo rządzenia się w konkretnych miejscach przez ludzi wybieranych do samorządów. To zależy od ich inwencji, możliwościach współudziału finansowego i umiejętności uszeregowania projektów wedle ważności społecznej. Wielkie znaczenie mają inicjatywy i pomysły organizacji społecznych i pozarządowych. Procesy te na Śląsku mają charakter dynamiczny i są powszechne. Relacje formalne z agendami UE są już opanowane.

Natomiast takie problemy jak bezrobocie czy odpływ młodzieży ze Śląska odnoszą się do polityki państwa a nie UE. Świat jest otwarty i każdy może w nim szukać miejsca dla siebie, jeśli nie może go znaleźć we własnym kraju. Trzeba tworzyć nowe miejsca pracy i wieemy, co jest potrzebne, aby powstały.

Andrzej Stania

prezydent Miasta
Ruda Śląska

1) Normą europejską jest podmiotowość regionów. Nasz region, dzięki obecności w Unii Europejskiej, ma wreszcie szansę na podmiotowe traktowanie przez Unię.

Śląsk – jako jeden z najsilniejszych gospodarczo regionów Polski (ponad 400 tysięcy zarejestrowanych podmiotów gospodarczych), ma możliwość unowocześnienia infrastruktury gospodarczej i wzrostu innowacyjności dzięki realizacji i wykorzystaniu programów unijnych dla przedsiębiorstw, a także programów skierowanych na restrukturyzację i zagospodarowanie obszarów zdegradowanych.

Możliwość korzystania z pieniędzy unijnych jest szansą poprawy stanu technicznego infrastruktury komunikacyjnej i telekomunikacyjnej. Poprawa stanu dróg, jak również budowa nowych (A1, A4, DTS), jest warunkiem sine qua non pozyskania inwestorów, a tym samym utworzenia nowych miejsc pracy.

Ponadto obecność regionu śląskiego w UE wymaga realizacji polityki zrównoważonego rozwoju. Konieczne jest zdecydowanie współdziałanie wszystkich miast i powiatów śląskich w staraniach o poprawę stanu środowiska. Dziś problemem jest utrudniony dostęp do środków finansowych oraz niewydolność urzędów centralnych w Warszawie.

Szansą dla Śląska jest położenie geograficzne na europejskim szlaku: wschód – zachód, etos pracy, poziom świadomości technicznej, koncentracja infrastruktury przemysłowej, a także bogactwa naturalne, takie jak węgiel. To atuty, które m.in. powodują zmniejszenie kosztów pracy, dają szansę rozwoju firm i ekspansji na rynki innych krajów Europy środkowej.

2) Wyniki ogłaszanych konkursów jasno pokazują, że wartość, na którą opiewają złożone projekty znacznie przewyższa wartość alokowanych na poszczególne działania środków unijnych. Kto o tej alokacji decyduje? Wbrew wcześniejszym obawom, samorządy doskonale odnalazły się w nowej rzeczywistości, oferującej możliwości rozwoju poprzez fundusze strukturalne.

Na poziomie województwa istnieje „Strategia Rozwoju Województwa Śląskiego na lata 2000-2020” oraz inne strategie sektorowe, natomiast działania poszczególnych samorządów zależą od aspiracji i determinacji władz. Miasto Ruda Śląska opracowało „Plan Rozwoju Lokalnego Mias-

sta Ruda Śląska na lata 2005-2013" oraz „Lokalny Program Rewitalizacji Miasta Ruda Śląska na lata 2005-2013". Są to dokumenty konieczne, aby ubiegać się o fundusze na restrukturyzację poprzemysłowych obszarów miejskich.

Dobrym przykładem działań na rzecz współpracy regionalnej jest baza PARTNER, która stanowi narzędzie szybkiego przepływu informacji.

Ważnym elementem rozwoju społeczno-gospodarczego naszego regionu na tle regionów europejskich powinny być działania zmierzające do ograniczenia centralnego zarządzania i decyzji opartych na roztropnej trosce o wspólne dobro w sprawie przyszłości Śląska. Miasta muszą ujednolicić stanowiska w podejmowaniu zadań, a także wymiany doświadczeń w celu umiejętnego wykorzystywania pomocy finansowej oferowanej w zakresie polityki regionalnej UE. Niechłubnym przykładem jest brak determinacji w sprawie budowy drogi dojazdowej do portu lotnicznego w Pyrzowicach.

Takie i podobne działania muszą zostać wyeliminowane gdyż świadczą o braku odpowiedzialności, co może skutkować wzrostem ryzyka inwestycyjnego dla instytucji finansujących rozwój i w efekcie ograniczeniem środków przeznaczonych na nasz region w następnym okresie programowania.

3) Głównym atutem Śląska jest **atrakcyjna lokalizacja**. Województwo śląskie, znajdujące się na przecięciu europejskich szlaków komunikacyjnych (drogowych i kolejowych), powinno doprowadzić do przyciągnięcia i zatrzymania jak największej liczby inwestorów. W aglomeracji naszej żyje ok. 2,5 mln ludzi, a w promieniu 100 km jest ich 9 mln. **Potencjał demograficzny** – kolejny nasz atut – oznacza duży rynek zbytu oraz oferuje znaczny kapitał ludzki. Już istnieje **silny sektor otoczenia biznesu**, w regionie funkcjonuje około 200 instytucji zajmujących się rozwojem i wspierających przedsiębiorczość, które należą do grupy beneficjentów funduszy strukturalnych, skierowanych na rozwój małej i średniej przedsiębiorczości.

Śląsk posiada **rozbudowaną sieć placówek edukacyjnych**, w tym **znaczną liczbę szkół wyższych oraz jednostek badawczo-rozwojowych**.

Aglomeracja górnośląska jest drugim po Warszawie ośrodkiem szkolnictwa wyższego.

Śląsk to również **obszar zróżnicowany i atrakcyjny przyrodniczo i kulturowo** – daje możliwość do stworzenia nowej i unowocześnienia istniejącej infrastruktury turystyczno-wypoczynkowej, zapewniającej nowe miejsca pracy oraz dodatkowy wpływ z tej gałęzi gospodarki.

Prof. Marek S. Szczepański

Uniwersytet Śląski
Wyższa Szkoła
Zarządzania i Nauk
Społecznych w Tychach

1)
• Dostęp do nowoczesnych technologii.

• Dostęp do funduszy strukturalnych.

• Po okresach przejściowych dostęp do rynków pracy starej Unii Europejskiej.

• Zniesienie barier granicznych i celnych w powiększonej Unii Europejskiej.

• Swoboda podróżowania i przemieszczania.

• Swoboda transferu kapitałów.

2) Województwo śląskie jest stosunkowo dobrze przygotowane do pozyskiwania środków unijnych, choć w wielu przypadkach ich wykorzystanie budzi wątpliwości i zastrzeżenia. Sztandarowym przykładem, szeroko komentowanym przez media, jest budowa drogi dojazdowej do lotniska Pyrzowice – portu lotniczego o największym przyroście pasażerów.

3)

• Ludzie, duży rynek wewnętrzny – kluczowy atut regionu o niepowtarzalnym w Europie środkowej potencjale demograficznym, produkcyjnym i nabywczym. Istotnym atutem Śląska jest sieć dużych miast z konurbacją katowicką na czele. W granicach regionu znajduje się 68 gmin o statusie miasta. Aglomeracyjny charakter Śląska sprawia, iż jego przestrzeń nasycona została gęstą siecią infrastruktury społecznej, zwłaszcza szkół, ośrodków leczenia otwartego i zamkniętego. Ponadto Śląsk cechuje wysoka koncentracja firm i terenów przemysłowych; gospodarka regionu skupia ponad 300 tysięcy firm, zatrudniających ponad 3 miliony ludzi. Już same te liczby pokazują potencjał gospodarczy. Na Śląsku ulokowane zostały dwie specjalne strefy ekonomiczne (Częstochowska Specjalna Strefa Ekonomiczna oraz Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna). Ta druga, zwłaszcza jej podstrefy tyska i gliwicka, przeżywają okres gorącej *prosperity* zagranicznych inwestycji.

• Względnie tania siła robocza i inne czynniki pracy oraz produkcji, zwłaszcza ziemia.

• Gęsta infrastruktura transportowa i komunikacyjna na szlakach europejskich,

porównywalna ilościowo ze wskaźnikami Unii Europejskiej. Natomiast zupełnie inna – trudno zestawialna – jest jej jakość, a głównie nawierzchnia dróg oraz ogólny ich standard. Omawiając sieć infrastrukturalną trudno pominąć łatwą dostępność nośników energii i rozwiniętą sieć przesyłową. Za ważny atut uznać należy także korzystne ułożenie geograficzne, transportowe i komunikacyjne, w tym usytuowanie transgraniczne i stosunkowo rozległą granicę regionu z Republiką Czeską oraz Słowacją.

• **Paradoksalnie atutem Śląska w Unii Europejskiej okazać się może – choć w pewnym tylko stopniu – zacołanie rodzimego rolnictwa i innych sektorów gospodarki.** Otworzyła się przed regionem, a dokładniej przed rolniczymi jego częściami, szansa rozwoju agroturystyki, produkcji żywności ekologicznej i produktów naturalnych. Podobne możliwości pojawiły się przed polskim rzemiosłem, dziedzina gospodarki o dużych tradycjach, choć przeżywającą czas uwiąznięcia i zaniku wielu reliktowych zawodów, atrakcyjnych obecnie rynkowo i turystycznie (np. kowalstwo artystyczne, rusznikarstwo, snycerstwo, piekarstwo).

• Rosnące aspiracje edukacyjne i profesjonalne znaczącej części mieszkańców Śląska, zwłaszcza młodszego pokolenia, *homo novus* wykształconych na rodzimych uniwersytetach, uczelniach biznesowych i politechnikach już po 1990 roku.

Piotr Uszok

prezydent Miasta
Katowice

1) W powszechnym odczuciu taką szansą jest dostęp do znaczącej pomocy finansowej, jaką można uzyskać od Unii w ramach tak zwanej polityki spójności. Mam tu na myśli fundusze strukturalne oraz fundusze spójności – a są to pokaźne środki zważywszy, że od maja 2004 do 2006 roku Polska będzie mogła skorzystać z pomocy w wysokości 12 miliardów euro, natomiast w latach 2007-2013 może to być kwota nawet pięciokrotnie wyższa. Te pieniądze mają posłużyć rozwojowi miast i regionów, więc musimy je jak najlepiej spożytkować. Jednak tak naprawdę największą korzyścią, wynikającą z faktu naszej obecności w strukturach Wspólnoty, jest symboliczne otwarcie drzwi dla szybkiego rozwoju gospodarczego, co przed laty wykorzystywała na przykład Irlandia, która z kraju ekonomicznie zapóźnionego,

a wręcz biednego, w krótkim czasie przeobraziła się w nowoczesne państwo o dochodzie przewyższającym unijną średnią.

Patrząc na przemiany, jakie dokonały się w ostatniej dekadzie na Śląsku, można z optymizmem szacować nasze szanse rozwojowe w Unii, a nawet pokusić się o poszukiwanie analogii ze wspomnianym irlandzkim „cudem gospodarczym”. Mamy przecież nie mniejszy – i co ważne – intensywnie modernizujący się potencjał gospodarczy. Ponadto po ostatnich wydarzeniach na światowym rynku ropy zupełnie nowego znaczenia nabierają dziś rozmowy o modernizacji górnictwa i produkcji czystej energii z węgla. Zauważmy, że Unia wraca do prac nad zwiększeniem wykorzystania energii pochodzącej z węgla, a przecież na Śląsku znajduje się połowa europejskich zasobów tego surowca! Jeśli do tego dodać, że w naszym regionie ma dziś miejsce niezwykle dynamiczny rozwój rynku usług edukacyjnych, i że Śląsk staje się dla kraju prawdziwym zagłębiem firm high-tech, to nasze irlandzkie porównanie staje się jak najbardziej uzasadnione.

2) Zdecydowanie tak, mając na uwadze, że Unia Europejska programuje swoje działania w siedmioletnich cyklach budżetowych. Obecny cykl zamyka się w 2006 roku, a myśmy weszli do Unii dopiero 1 maja 2004 – a zatem w połowie okresu programowania budżetu Wspólnoty. Fakt ten wiąże się z oczywistymi konsekwencjami, w tym z koniecznością przyjęcia reguł gry, obowiązujących już od 1999 roku. Dopiero w pracach nad kolejnym okresem budżetowym lat 2007-2013 mamy pewne możliwości „wykrojenia pod siebie” poważniejszych funduszy. Teraz obowiązuje nas scentralizowany system wdrażania funduszy strukturalnych, poprzez programy sektorowe, zarządzane przez poszczególnych ministrów. Nawet Zintegrowany Program Operacyjny Rozwoju Regionalnego jest programem zarządzanym przez ministra, w którym samorządy województwa mają dalece skromniejszą rolę do odegrania, niż wojewodowie. Dlatego nasze, śląskie przygotowanie tylko w części zależało od nas samych, gdyż musiało uwzględniać pewną wizję rozwoju regionu w postaci strategii rozwoju województwa i planu zagospodarowania przestrzennego. Nie zmienia to w niczym faktu, że pomimo ograniczeń poszczególne miasta i gminy realizują cały szereg wartościowych i obiecujących programów inwestycyjnych. Znów, jak to na Śląsku, wygrała jakość zgłaszanych projektów. Nie mamy zatem czego się wstydić, gdyż co

dziesiąty projekt unijny realizowany w Polsce pochodzi właśnie z naszego regionu, wliczając w to granty uzyskane przez śląskie firmy i przedsiębiorstwa.

3) Region posiada wiele atutów, jednak naszym **największym skarbem są z pewnością cechy osobowościowe Ślązaków, takie jak specyficzny, wykształcony przez wiele pokoleń etos pracy, rzetelność, czy poczucie własnej wartości.** Nie mniej cenne są również te cechy, które wykształciły się w nas stosunkowo niedawno, w tym zaradność, elastyczność oraz umiejętność radzenia sobie w sytuacjach ekstremalnie niekorzystnych. Jednak we współczesnej Europie nie dokonamy wielkiego postępu, będąc uzbrojeni jedynie w siłę ducha mieszkańców. Dlatego inwestujemy w infrastrukturę – i uwzględniając istniejące jeszcze problemy – mamy już dobrze rozwiniętą sieć drogową, a także najdynamiczniej rozwijający się w Polsce port lotniczy. Niewątpliwym walorem Regionu jest trzymilionowa aglomeracja katowicka, będąca jednym z największych skupisk ludzkich na kontynencie, co stanowi nie tylko wielką atrakcję z punktu widzenia konsumencko-handlowego, ale przede wszystkim łakomy kąsek dla inwestorów z całego świata. Dodatkową szansę stwarza nam wspomniane wcześniej zamieszanie na rynku paliw, dające możliwości szeroko rozumianemu powrotu do węgla. Zrestrukturyzowana branża górnicza z silnym zapleczem naukowo-badawczym i oczywiście wsparta przez poważny biznes mogą okazać się wyjątkową szansą rozwojową, przynoszącą wiele tysięcy nowych miejsc pracy.

Widąc zatem, jak ważne jest, aby wykorzystać wszystkie pojawiające się ostatnio trendy, tym bardziej że dla Śląska znalezienie zajęcia dla setek tysięcy studiujących dziś młodych ludzi jest wielkim wyzwaniem. Nie możemy przecież dopuścić do masowej migracji tej młodej kadry na Zachód, tym bardziej że nasze prognozy demograficzne nie są zbyt optymistyczne, tak zresztą jak i w pozostałych krajach Unii. Samorządy wiedzą o tym najlepiej, dlatego od lat optyjemy za gwarantowanymi zmianami prawnymi, w tym z zakresu prawa podatkowego, dla stworzenia odpowiedniego wachlarza zachęt dla młodych ludzi, zarówno do zakładania rodzin, jak i do odważniejszego uczestnictwa w niełatwej grze rynkowej. Mam nadzieję, że nowy rząd nie uchyli się od tych wyzwań, gdyż w wielkiej mierze od jego decyzji będzie zależało miejsce, w jakim się znajdziemy na mapie współczesnej Europy.

Prof. Jacek Wódz

socjolog

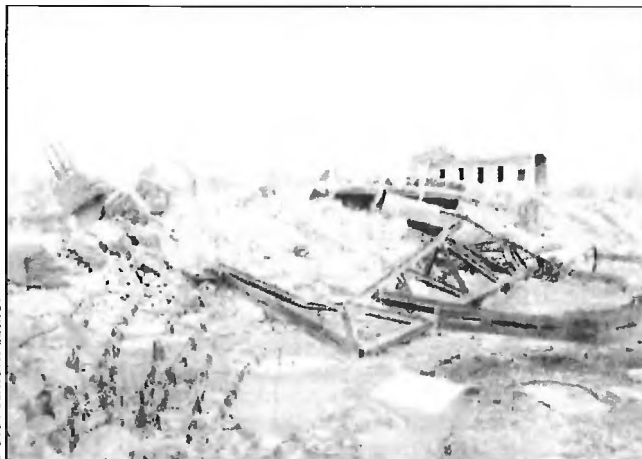
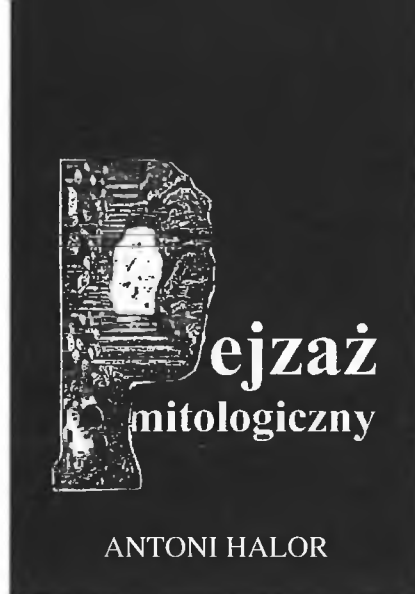
WOJEWÓDZTWO ŚLĄSKIE W UNII

Zajęci naszymi problemami codziennymi ani nie zauważyliśmy, że oto nasze członkostwo w Unii jest dla przeciętnego Polaka swoistą oczywistością. Tymczasem z tego członkostwa trzeba umieć korzystać głównie poprzez to, iż uczestniczy się w dynamice zmian jakie dzieją się i w całej Unii i w poszczególnych jej krajach. I tutaj leży pewien ogólniejszy problem Polski i Polaków, ale także województwa śląskiego i jego mieszkańców. Staramy się traktować fakt naszej obecności w Unii jako fakt a nie jako element procesu szerokiej zmiany, w której programowaniu mamy prawo i winniśmy współuczestniczyć. Nasze województwo, jako jednostka administracyjna, ale i jako swista całość społeczna jest istotnym ogniwem tego procesu zmian, bo w Unii logika rozwoju regionalnego jest bardzo mocno akcentowana i powstają coraz to nowe jej formy. Jako zbiorowość o wielu cechach szczególnych winniśmy je mocno akcentować i szukać i w Polsce i w całej Unii przyjaciół dla wspólnych projektów przyszłościowych. Jesteśmy województwem – mozaiką i to mozaiką złożoną z bardzo różnych elementów. Trzeba je eksponować, pokazać, że w tym tkwi jeden z naszych atutów. Tymczasem ciągle jeszcze zbyt koncentrujemy się na kiedyś faktycznie istniejącej monokulturze gospodarczej (węgla i stali) kładąc innym wspomagać rozwiązywanie tych problemów. Mamy położenie tranzytowe, przygraniczne, też z tego nie czynimy naszego atutu. Mamy wreszcie duży potencjał intelektualny, który pozwala wierzyć, że w przyszłości nie będziemy tylko „szukać środków”, ale także będziemy ciekawym partnerem dla innych.

Dlaczego tego nie wygrywamy? Nie ma jednej odpowiedzi na to pytanie, ale zwrócę uwagę na fakt często pomijany w naszych debatach – bo **koncentrujemy się bardziej na naszych kompleksach niż na budowaniu wspólnej dla tej mozaiki ludzkiej jaką jest województwo śląskie, wizji przyszłości.** Niech więc powróci hasło – więcej odwagi w poszukiwaniu nowych rozwiązań a wówczas i w Polsce i w Unii nie trzeba będzie „walczyć o to, by nas zauważyli” a staniemy się partnerem w teje właśnie dynamice ciągłej zmiany, na której ufundowana jest Unia.

Dziś coś z zupełnie innej beczki, choć całkowicie zanurzone to w świecie pejzażu mitologicznego, który tu z różną intensywnością „obmawiamy”. Otóż zdarzyło mi się któregoś sierpniowego dnia (po dłuższej nieobecności w rodzinnych stronach, a było to dokładnie 9 sierpnia 2005 roku po południu) jechać od Katowic do Siemianowic aleją Korfanteo, przez wiele dziesięcioleci Armii Czerwonej, a przedtem (od Koszutki aż po Siemianowice) przez długi czas zwanej *chaussée*, czyli po prostu szosą (zbudowaną w roku 1836) i gdy już na Wełnowcu minąłem zakręt „na Poczcie” i stojącą tam od dawna stację benzynową, gwałtownie i niespodziewanie uderzyło mnie coś, co w pierwszej chwili wywołało niesłychane wrażenie wyobcowania, niezwykle i niesamowite uczucie znalezienia się nagle w zupełnie innym, cudzym pejzażu, nieomal marsjańskim (co dodatkowo wzmagał fakt siedzenia w ograniczonej w końcu przestrzeni osobowego samochodu), gwałtowne odczucie braku czegoś bliższego (po czymś takim ogarnia człowieka już tylko egzystencjalne *na-ussée*). Za chwilę, rzecz jasna z naturalnym opóźnieniem, dotarło do świadomości, że po prawej stronie owej dawnej szosy znajomego horyzontu już nie wykańcza monumentalna, z upływem lat coraz bardziej niszcząca rudera fabryczna, ze ślepyimi oczodołami wybitych okien, ale wciąż wznosząca się w górę charakterystyczną bryłą z wyniosłą, o wysmakowanym kształcie, XIX-wieczną frontową ścianą hala pieców destylacyjnych dawnej wełnowieckiej Huty Cynku. Oto całkiem po prostu znikła. Jakby ktoś niespodziewanie, w sposób nieuprawniony, brutalnie a podstępnie wyjął z tego punktu przestrzeni coś znajomego, od dzieciństwa oswajonego, przez wiele, wiele lat wciąż, niemal dzień po dniu z okien trzynastki albo autobusu numer pięć oglądanego.

Przejrzałem potem regionalne gazety (co nie zajęło mi zbyt wiele czasu), dowiedziałem się tylko że wysadzono ostatni kawałek cynkowni w poprzedzający piątek; dokonana tego fachuwo krakowska firma, co mnie nieco zdumiało, jeszcze bardziej zdumiało mnie z kolei, że właścicielem terenu jest pewna inna



Pozostałości po hucie cynku

Pawana na śmierć cynkowni

krakowska firma, a w nastrój elegijny wprowadził podpis pod serią „poklatkowych” zdjęć wysadzanego obiektu: „*W piątkowe popołudnie dopełnił się los katowickiej cynkowni. Została po niej tylko wspomnienie i... atrakcyjna działka*”. Dziennikarze, większość z pokolenia postpampersowego, nawet nie zająknęli się nad sensem ukrytym w podpisie, by nie wspomnieć zupełnie nieistotną utratę kolejnego zabytku, cennej pozostałości onegdajszego pleneru industrialnego (trzeciego co do znaczenia na kontynencie europejskim). I nawet nie mam o to do nich pretensji.

Przypomniały mi się za to, przywiane z nie tak znów odległej przeszłości obrazy. Na samym początku czasu przemian (1989), w kręgach ówczesnej nowej władzy

entuzjastycznie i jednogłośnie przegłosowano wtedy (czy wam to czegoś nie przypomina?) uratowanie dla potrzeb kultury regionu (rzeczywiście tak to górnolotnie brzmiało) nie czego innego (np. kompletnie zapomnianego pałacu w Siemianowicach, za czym sam jak palec /psując ową jednogłośność/ bezskutecznie optowałem), ale właśnie tej, bezcennej, jak mówiono z przejęciem, wyjątkowej wartości, jedynej tak świetnej w GOP-ie pozostałości ery przemysłowej i jedynej jaka pozostała po dawnej „Silesii” (co zresztą było wyraźnie, dużymi literami na fasadzie tej hali uwidocznione, jeśli mnie pamięć nie myli „obiekt zabytkowy, chroniony prawem”). Zaś najkrócej mówiąc, niestety, dziś już nie istniejącej potężnej hali prażalni cynku.

Od dawna taka kolej rzeczy dotkliwie uwiera. Przy okazji ujawniania naszą bezduszną i totalną niemożność wobec podobnych akcji ratunkowych na niby. Pojąłem to kilka lat temu, gdy przejeżdżaliśmy autostradą obok potężnej huty żelaza w Völklingen (Żagłębie Saary). „Kierujący wycieczką” mąż kuzynki wręcz natarczywie zmuszał mnie do utrwalenia na zdjęciu rzeczywiście imponującego obiektu. Stawiałem mu wtedy, nie uświadamiając sobie tego, niechętnie opór. Nie tylko dlatego, że „zabytki przemysłowe” interesują mnie znacznie mniej niż katedry i malownicze zamki (o czym zapewne wiadomo), ale bezbłędnie za-

działał też wdrożony przez lata oddech Pawłowa, prawdziwy wstręt do fotografowania „obiektów strategicznych” (jeszcze do tego w innym kraju!) co tak skutecznie mnie zmroziło, że m się bronił przed przyciśnięciem migawki jak Ordon na ostatniej redukcji. Padłem zaś ze śmiechu natychmiast, gdy się dowiedziałem, że właśnie ową potężną hutę, od dawna zamkniętą z powodu nierentowności, rok wcześniej wpisano jako cenny obiekt do katalogu dziedzictwa kulturowego ludzkości UNESCO i teraz służy po wykupieniu ulgowego biletu wycieczkom szkolnym do nauki podstaw ekonomii i wiedzy o własnym kraju i świecie współczesnym. Z drobnym marginesem poświęconym ochronie zabytków.

Najsluszniej będzie rozpocząć odpowiedź na to pytanie od dziecięcej nieświadomości, z której wylaniał się mój osobisty atlas świata. Jego pierwsze karty pokazują dom rodzinny, podwórze w środku Katowic, szkołę, okoliczne ulice, całe miasto, miasta sąsiednie, wreszcie większe fragmenty aglomeracji. Kartkując te wczesne doświadczenia, poszedłbym dalej tropem najwyższego prawa dzieciństwa, czyli ciekawości, która kierowała mój wzrok ku peryferiom. Może jeszcze nie znałem słowa Śląsk, ale już odczuwałem jego odmienność.

Gdzie szukać Śląska?

HENRYK
WANIEK

Zaczynała się tuż za Gliwicami, Bytomiem czy Tarnowskimi Górami na zachodzie, a na wschodzie gdzieś od Będzina, przez Sosnowiec po Mysłowice i dalej. Odmienność, powtarzam, nie obcość, bo chociaż nieznaną, to jednak rozpoznawalną. Nie było w tym nic więcej niż pospolita ciekawość żyjątką, chłonną swe otoczenie naturalne, a wszystkie nienaturalności odkładającego na później, niektóre uświadamiając sobie dopiero po latach. Taki atlas osobistej geografii nie jest rzadkością. Posiada go wielu, jeśli nie każdy, często nawet o tym nie wiedząc, aż do chwili, gdy pod presją impulsu, odkrywa coś, co przecież ma od zawsze – mapę własnej przestrzeni z silnie zaznaczonym jej centrum.

Jako dziecko miasta postrzegałem świat poprzez geometryczny rygor architektury, równo wytyczone ulice, sztuczne oświetlenie i skąpy drzewostan. Niebo widywałem pomiędzy dachami kamienic. Moje pojmowanie przestrzeni kształtowały podwórza, przecznice, przystanki tramwajowe. Jeśli dodać tu jeszcze zapachy, dźwięki i specyficznie miejski rytm, to krajobraz mojego dzieciństwa będzie kompletny. Że możliwe są inne przestrzenie, dowiadywałem się tylko z wakacyjnych wyjazdów poza górnośląską powszedniość. Widok pól, lasu czy morza zaskakiwał. Ale to były tylko krótkie przerwy w całorocznym bytowaniu.

W miarę dorastania stawało się jasnym, że ta przestrzeń codzienna powinna nazywać się Śląskiem, choć częściej słyszało się określenie administracyjne – województwo katowickie. Rzadziej i słabiej manifestowała się tradycyjna nazwa Górny Śląsk, zwykle przekształcana w GOP – Górnośląski

Okręg Przemysłowy. Tożsamość regionu ginęła w gąszczu onomastycznych uników, takich jak na przykład Zagłębie Śląsko-Dąbrowskie, przy czym Zagłębie zwykle określano jako czerwone, podczas gdy Śląsk honorowano czernią. Był też Śląsk zielony, Opolszczyzna, czy inne nazewnictwo subtelności, których sens pozostawał zagadką. Jednym słowem, dorastałem w przestrzeni zatamizowanej, zresztą nie tylko pod względem nazw, bo także geograficznie. Co oznaczało i czemu służyło to jej rozdrobnienie, było trudno zrozumieć. Najpewniejszy w tym wszystkim był tylko adres zamieszkania w śródmieściu Katowic, za dnia przeludnionych, a po południu i wieczorem zamieniających się w pustynię.

Dwa światy

Zacząłem od dzieciństwa, więc nie zapomnę lat szkolnych. Z powodu oficjalnej rejonizacji, moja szkoła podstawowa znajdowała się przy ulicy Dąbrowki, rozdzielającej śródmieście od przedmiejskiego wtedy Załęża. Dziś to zaledwie spacer, ale dla pierwszoklasisty spora wyprawa. Znosiłem to przez siedem lat, podobnie jak – tylko ćwierć wieku wcześniej – mój ojciec, który był także jej uczniem. Pamiętało go nawet kilku nauczycieli, którzy tam już pracowali przed rokiem 1939. Kresowy akcent zdradzał, że należeli do pionierów przybyłych na Śląsk jeszcze przed wojną, aby nauczać po polsku. Odwrotnie niż pewien stuknięty nauczyciel rosyjskiego, podejrzewany o romansowanie z polonistką. Plakał opowiadając nam o towarzyszu Stalinie. Może bolał go ząb?

Koleczy z ławy szkolnej w większości byli Załężokami. Szkoła bynaj-

mniej nie była elitarna ani nobliwa, w przewadze robotnicza i zdominowana przez dialekt załęski. Po jej ukończeniu szło się na dalszą naukę – jeśli w ogóle – do tzw. zawodówki. Jeśli robiło się karierę, to głównie w drużynie hokejowej KS Baildon. Po lekcjach oni zostawiali w Załężu, a ja w gronie mniejszości wracałem do śródmieścia. U nas w domu mówiło się poprawną polszczyzną, musiałem więc lawirować między dwiema strefami językowymi. Używanie gwary śląskiej nie znajdowało uznania w oczach szkoły, mówiąc zaś tak jak mówiłem, dla większości kolegów nie byłem „swój”. Raczej obcy. Gorol. Może nawet przed sobą ukrywałem fakt, że mój ojciec, dziadek i tak dalej, byli Ślązakami. Cała edukacja, informacja publiczna, stosunki w hierarchii społecznej – wszystko było nastawione wobec Śląska i Ślązaków lekceważąco. Każde dziecko by to wyczuło. To przecież wypróbowana metoda wszystkich systemów – korumpować dorosłych indoktrynując dzieci. Spójrzmy zresztą na dzisiejsze reklamy komercyjne. Ale moi koledzy z Załęża byli zastanawiająco odporni na wszelkie próby przekabacenia. Jakoś im nie imponowały pochodzących pierwszomajowe ani czerwone chusty do białych koszul, tym bardziej, że Śląsk był nieludsko brudny. Biała koszula w kwadrans z białej stawała się szarą. Trudno to nawet dzisiaj opisać.

W każdym razie, to było następne pięknięcie jakie dostrzegłem, przemierzając przez siedem lat odległość między dwoma punktami miasta. W jednym świecie miałem dwa, przedzielone niewidzialną granicą. Zresztą to słowo – granica – miało jakiś demoniczny urok. Szczególnie w latach czterdziestych, pięćdziesiątych i jeszcze później. Nawet zbliżenie się do niej można było przypłacić życiem. Jakiegokolwiek wyjazdu, podróże, nie daj Boże krewni za granicą, wszystko wykluczone. Rzeczy o których mówiło się: „zagraniczne” istniały na prawach relikwii, podobnie jak „przedwojenne”. Mniejsza o to namaszczenie, z jakim się trąbiło, że ojczyzna wróciła wreszcie w priapostowskie granice. Znacznie bardziej tajemnicze było to, że jadąc tramwajem z Katowic do Zabrze, w okolicach Rudy Śląskiej mogłem się dowiedzieć od dziadka, że tu właśnie przebiegała granica Polski i Niemiec. Albo, że w okolicach Mysłowic spotykały się granice trzech cesarstw – austriackiego, niemieckiego i rosyjskiego. A także – tyle, że później – gdzieś na wschód od Dąbrowy Górniczej znajdowała się granica III Rzeszy. Cała rzeczywistość była pełna granic niewidzialnych i przebrzmiałych, obok twardych i groźnych. Myślę dzisiaj, że bardzo mnie to wykształciło na wszelki problem granicy. Nie tylko tej fizycznej, skoro centrum Bytomia, już nie będącego miastem zagranicznym, tętniło gwarem językowym dawnych kresów wschodnich,

które także wciśnięto w ramę praprapia-stowskiej domeny. W obcym sobie świecie usiłowali być u siebie. Gdyby tu dodać jeszcze granice społeczne (wówczas mówiono – klasowe), roz-warstwiającej ludność Śląska na miejscowych wyrobników i mundurowych (ale także cywilnych) nadludzi przyby-łych tu z Kielc czy Radomia; granice kulturowe, poróżniające jednych z dru-gimi; granice narodowościowe, bo jed-nak na Śląsku czuło się obecność szczątkowej niemieckości – to i tak jeszcze wiele zostałoby do powiedze-nia. Ta gęstość sytuacji granicznych przemieniała życie potoczne w istną klątkę.

W zafalszowanej przestrzeni

Mając już za sobą doświadczenia lat szkolnych i późniejszych, co-raz trudniej było mi pogodzić się z tym, że jestem skazany na miejsce tak sprzeczne i wewnętrznie rozdrobnione. Dziś powiedziałbym – ciekawe. Ale wtedy? W tamtym czasie Śląsk nie tyle oznaczał jakiś obszar ziemski, ile ra-czej klimat abstrakcji, obrotową scenę mrocznego spektaklu, a nad nią snujące się dymy i powiewy politycznych at-mosfer. Wszystko śmierdziało farbą drukarską „Trybuny Robotniczej”. Śląsk był ciasny i zepchnięty do kąta. Nie miał nic do gadania. Przeliczony na miliony ton węgla i stali, ładowany był na wagony jadące na wschód lub pół-noc. Nielatwo było się poruszać w tej sfalszowanej przestrzeni.

Wychowałem się i dorastałem w otoczeniu, o którego pięknie można tylko powiedzieć, że jeśli w ogóle ist-nieje, to jest głęboko ukryte. Więc mo-że wcale go nie ma? W samym cen-trum przemysłowego miasta, które jeszcze niedawno – zaledwie sto lat te-mu – było leśnym zakątkiem nad rzeką, z pięcioma lub siedmioma zagrodami wiejskimi. W tym krótkim czasie stało się nie tylko miejscowym metropolis, ale trzykrotnie zmieniało swoją pań-stwowość. Nie były to ewolucje, łag-odnie przechodzące z jednego w dru-gie, lecz gwałtowne wstrząsy. To przy-jeżdżał na koniu generał Szeptycki. To jakiś gauleiter. To znowu Aleksander Zawadzki. Zmieniano wszystko, a w szczytowym momencie nawet na-zwę miasta. Był to jeden z tych policz-ków, może najgłośniejszy, jaki Polska wymierzyła Śląskowi. Nie znalazł się nikt, kto zwróciłby uwagę, że zastąpie-nie nazwy Katowice (czytaj: wieś ka-ta) Stalinogrodem, dla wielkiego gene-ralissimusa była też obraźliwa. Miałem więc wokół siebie miasto młode, a już garbate; politycznie skłamane; wyci-snięte jak cytryna. Swoista Katanga. Górny Śląsk. Katowice jak klatka. Trochę więzienie. Na szczęście, dla mnie nie tak bardzo, jak dla innych. Tych z Załęża, Dębu, Bogucic, przy-kutych do lokalnych zakładów pracy – kopalni, hut, fabryk. Skazanych na do-żywanie. Z upływem czasu odkrywa-łem dla siebie różne tajemne przejścia i wyjścia: Twórczość.

Konstanty A. Jeleński pisząc esej o Hansie Bellmerze, również katowi-czaninie (BELLMER ALBO ANA-

TOMIA NIEŚWIADOMOŚCI), mą-drze zauważył, że... *dzieło prawdziwie wyzwajające rzadko kiedy jest doko-naniem człowieka prawdziwie wolne-go, przeciwnie, najczęściej rodzi się w umyśle człowieka udręczonego przegrodami, które powstrzymują, udaremniają lub wynaturzają jego pożądanie. To praca więźnia, która żłobi wymyśloną drogę do wolności.*

Pojawia się tu słowo *dzieło*, całkiem adekwatne do wysokich lotów Hansa Bellmera, ale do mojego przypadku ra-czej nie pasujące. Bo sam fakt gapienia się trochę dalej, poza krąg spraw naj-bliższych i doskwierających, jest ra-czej dziełem szczęśliwego przypadku. Dziękuję Bogu, że dość wcześnie za-uważyłem, jak grubymi nićmi są po-zszywane te kawałki krajobrazu gór-nośląskiego. I te między nimi wszyst-kie dziury, szpary i otwory, zza któ-rych przypominał o swoim istnieniu świat inny. Jakieś obiecujące zarysy prawdy i wyzwolenia. Żeby odetchnąć swobodnym powietrzem trzeba było wymykać się poza ten uciążliwy ob-szar. Ale moja próba odbycia studiów we Wrocławiu skończyła się niepowo-dzeniem. Dlaczego właśnie w tamtym kierunku pobiegł mój wzrok?

Z perspektywy Górnego Śląska

Teoretycznie, do wyboru miałem wszystkie kierunki świata, ale mniejsza o inne, skoro zachodni był najbardziej kuszący. Dla Górnego Ślą-ska najbliższym zachodem jest Śląsk



Repr. ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

Dolny, ten większy, poważniejszy, lepiej wpisany w historię i kulturę. Dziś jest to już niestety Śląsk tylko z nazwy, chociaż – kto wie? – może nie bezpowrotnie przepadły. Dlaczego właśnie na zachód? Rozumiem to dzisiaj, bo wtedy dwudziestolatek, w najlepszym razie kierowałem się intuicją, pragnieniem, niejasnym przeświadczeniem. Dziś więc odpowiadam, że zachód jest kierunkiem, w jakim zazwyczaj wędruje się, marzy lub odkrywa, o czym dobrze wie każdy antropolog. Zamiłowanie do zachodniego horyzontu jest archetypową inklinacją całego rodzaju ludzkiego. Patrząc więc w tamtą stronę róży wiatrów uświadomiłem sobie – choć nie od razu – że jeśli gdziekolwiek, to właśnie tam musi znajdować się piękno. A ono jest tym co ratuje świat przed upadkiem.

Zatem Wrocław. A równocześnie nie tylko miasto, bo także całe, już nieco mi znane, rozległe tło okolicy. Widziany z perspektywy Górnego Śląska, Dolny wydawał się górować. Być bliżej raj. Bliżej nieba, choć nieźle poturbowany przez wojnę i jej następstwa. W sytuacji mojego dorastającego życia czułem, że należało – uciekając tak czy inaczej – udać się właśnie tam. Gdzie oczy niosą. Zostać z sobą ten niegdyś Stalinogród. Zdezerterować w przeszłość, możliwie odległą. Ona tam była zapisana, podczas gdy na miejscu przeważała odrażająca teraźniejszość. Ale ze studiami nie wyszło. Ostatecznie musiałem je ukończyć w Katowicach. Próbowałem jeszcze później migrować w tamtą stronę, ale za każdym razem bezskutecznie. Aż z tego wszystkiego został mi obsesyjny nawyk pielgrzymowania po przestrzeni Śląska, a wreszcie i w poprzek jego czasu. Dzięki temu mogę dziś z przekonaniem powiedzieć, że piękno należy oglądać dwojako, najpierw z bliska, a potem z odległości. Wtedy nie powszednie tak szybko. W dodatku staje się cenniejsze, gdy ma się je raczej od święta niż na zawołanie. I tak pozostało. Krajobraz Dolnego Śląska stał się moim świętem. Powszedniość przeżywałem gdzie indziej.

Za sprawą bliskiego spotkania z Dolnym Śląskiem, dokonał się też upadek wartości, których dotąd nie brałem za dobrą monetę, ale przymuszały nas wszystkich do tego natrętne jak mucha urzędowe „prawdy”. Nafaszerowane nimi było najdosłowniej wszystko – informacja publiczna, nauki historyczne i społeczne, regulacje polityczne i gospodarcze. Upadek ten w tym samym stopniu dotyczył postrzegania świata prozaicznego, co estetycznych przeświadczeń, którym dotąd ufałem. Uprościłbym jednak sens tej przemiany, sprowadzając go do wyłącznie wrozkowego doświadczenia. Żeby krajobraz odczytać głęboko, nie wystarczy sama optyczna delektacja. Dziś jestem przekonany,

że cała seria tych zdarzeń rozciągniętych na lata, nie mogłaby się dokonać w żadnym innym miejscu, ani innych okolicznościach. Z nich wyłonił się Śląsk rozumiany już integralnie, bez tych wszystkich podziałów i granic.

Jego krajobraz objawił mi się jako „pismo”. Być może coś podobnego można zobaczyć gdzie indziej, ale chyba nigdzie aż tak wyraziście. A co jest, mianowicie, treścią owego „pisma”? Ślady ludzkiej pracy, trudu, mądrości, miłości. Czasem również – niestety – barbarzyństwa, zła i cierpienia. Z wymienionych tu i niezliczonych innych powodów, dość późno otwarły się moje oczy na pismo krajobrazu. Już dobiegałem trzydziestki. Przedmiotem tych wypraw byli nie tyle ludzie, co miejsca i różne scenerie. Oglądałem je nagim okiem, później dopełniając ich kontur literaturą – piękną, etnologiczną, historyczną. Czy nie wtedy po raz pierwszy zwróciłem uwagę, że więcej o Śląsku napisali Niemcy? A polskojęzyczna literatura jak gdyby miała Śląsk w niższym poważaniu. Jeszcze na Górnym trochę jej istniało i powstawało – przy czym mniejsza o wysokość jej lotów – ale jeśli idzie o resztę Śląska, wystarczy zajrzeć do ówczesnych dzieł państwa Maleczyńskich, głównych historyków Śląska. Mówiąc krótko; Śląsk jako całość był obszarem, który dopiero należało odkryć. Cekał na swego Kolumba.

W pełni piękna

Dopiero później na to osobiste postrzeganie Śląska nałożył się film o większej wyrazistości poznawczej. W wieku już całkiem dojrzałym musiałem nadrobić edukacyjne zaniebdania w zakresie dziejów, geografii, obyczaju i legendy regionu. Zaniedbania nie całkiem z mojej winy. Programy nauczania historii raczej zbywały Śląsk ogólnikową półprawdą. Zaś o geografii powojennej Polski, wyssanej z palca w Jalcie i Poczdamie, lepiej w ogóle nie mówić, dopokąd jej polityczna parentela nie zostanie sformułowana na nowo. Tym razem już bez komunałów, które zadomowiły się w naszych umysłach tak dobrze, że zgodnie z teorią dr. Goebelsa, stały się prawdą. Uczyliśmy się tego wszystkiego mniej więcej tak samo jak tabliczki mnożenia.

Wbijano w młode głowy gazetowe slogany, w rytm których terytorialny kształt Śląska był jak plastelina. A nad jego substancją czuwała polityka ludnościowa. Śląsk już nie był rozdarty między Polską a Niemcami, pomijając jego czeskie rejony. Odzyskał integralność w ramach granic historycznych, podobnie jak to było w pruskim królestwie, ale 94.9% ludności do końca roku 1947 zostało stąd usuniętych. W zachodniej części Śląska Górnego w 1950 roku uchowało się zaledwie 57% „tutejszej” ludności.

Z upływem czasu liczby te ulegały dalszym zmianom. Przemieniał się ludnościowy obraz Śląska więc nie mogło się to nie odbić na stanie krajobrazu. Ale to należało samemu zobaczyć, bo tego nie obejmował przedmiot nauczania w żadnej szkole. Jeszcze mniej miejsca zajmowała etnologia i legenda, zgarnięte wówczas w całości dla potrzeb politycznej inscenizacji. Czyniono więc liczne hokus-pokus, na które nikt poważnie myślący nie powinien się nabrać.

Wydać się może zabawnym, że Śląsk zaczął mi się najpierw objawiać jako całkowity i oświetlony pełnią piękna (które należy także rozumieć jako synonim prawdy) pod warunkiem, że patrzyłem nań z zewnątrz. Kilkumiejsiczne, nawet kilkutygodniowe wyjazdy, chwile oddalenia czy pobytu za granicą, samoistnie przemieniały obraz miejsca skąd przybywałem. Pamiętam na przykład niektóre samotne wieczory w Nowym Jorku, gdy obsesyjnie nawiedzało mnie pragnienie, by po powrocie do Polski natychmiast odwiedzić Bytom. Po co? Dlaczego? Nie mam pojęcia. We wczesnym dzieciństwie spędzałem tam krótkie okresy, ale ich ważność przypominała o sobie dopiero czterdzieści lat później, w zimowe wieczory na Manhattanie. Paradoksalnym zrzędzeniem, po powrocie do Polski, zamiast od razu pojechać do Bytomia, wyprowadziłem się ostatecznie do Warszawy. Ale nie żałuję tego o tyle, że właśnie dopiero z odległości Mazowsza zobaczyłem – chyba pierwszy raz w życiu naprawdę – Śląsk w jego całości. Niewątpliwie miała w tym udział owa szczypta patosu, z jakim patrzymy na oddalający się ład. Bodaj wtedy dopiero pomyślałem, że to chodzi właśnie o Śląsk, a nie o rozproszone migawki miejsc i ludzi, które teraz zintegrowały się w jedno. Tak się toczyły rzeczy w moim prywatnym przypadku. Banalnie. Samorodnie. Bezinteresownie.

* * *

Aby już nie przeciągać opowieści, dodam tylko, że musiało minąć czterdzieści lat z nawiązką zanim w pełni uznałem fakt, że jestem człowiekiem Śląska. Ślązakiem. I nic to nie mało wspólnego ze sprawą śląskiej narodowości, która dopiero nie tak dawno, z taką mocą, odezwała się – zresztą nie po raz pierwszy – przy okazji Powszechnego Spisu Ludności w 2002 roku. Moja identyfikacja dokonywała się wiele wcześniej i miałem przed sobą jeszcze wiele zakrętów zanim dotychczasowa ambiwalencja ustąpiła przed tym prostym pytaniem – gdzie jest ziemia, o której mogę powiedzieć, że ją znam? A czego nie znam, chcę poznać. Nie odwracając oczu od Śląska, gdziekolwiek bym nie był.

TADEUSZ KIJONKA: – Wielokulturowość Śląska – to dziś jedno z najczęściej używanych pojęć, które pojawia się regularnie w licznych wypowiedziach, sporach i publikacjach, choć nie zostało, jak sądzę, wystarczająco wyjaśnione, zdefiniowane. Konteksty tego pojęcia mają z reguły wielorakie odniesienia a także cele doraźne: sytuacja zrozumiała w tak złożonych czasach. Ostatnie lata to wielka dyskusja o problemach tożsamości, regionalizmie i autonomii, a także spór na temat wyodrębnienia narodowości śląskiej.

Zapewne decydującą kwestią dla dyskusji o wielokulturowości jest charakter pogranicza Górnego Śląska – w wymiarze zarówno geograficznym, historycznym i kulturowym. Te sfery wiążą się i nakładają jako teren „wzajemnego styku i współistnienia różnych grup językowo-etnicznych, narodowości i społeczności narodowych”, że użyję słów Józefa Chlebowniczka. Ożywa także pojęcie „narożnikowego charakteru Górnego Śląska”, w powołaniu na klasyczną rozprawę ks. Szramka.

Mając to w pamięci – warto podjąć i rozważyć ten problem: wielokulturowość Śląska. Teraz, już po wieku XX, w którym w jego I połowie miały miejsce największe zmiany polityczne i terytorialne na Górnym Śląsku, następnie zaś – po indoktrynacji politycznej i ideologicznej dyktatury totalitarnej czasów stalinowskich niemożliwe było realne współżycie różnych kultur i ich żywych źródeł. Teraz – po raz pierwszy – kto wie, czy nie od czasów Kulturkampfu – takie dyskusje są możliwe bez ograniczeń. No właśnie, lecz o jaki Śląsk w tym rozumieniu chodzi, po tym wszystkim, co zaszło, skoro nie jest to obszar jednolity. I co owa wielokulturowość oznacza – w odniesieniu do stanu obecnego i zasobów kulturowego dziedzictwa?

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: – Czym jest pogranicze kulturowe Śląska, rozumianego szeroko, od Goerlitz do Opawy? Na pewno – w skali europejskiej – niczym wyjątkowym, bo można wskazać wiele obszarów, które cechują podobne parametry. Nie należy więc tworzyć mitu, że jest to region uni-

W dyskusji udział wzięli profesorowie:

EWA CHOJECKA – historyk sztuki,

RYSZARD KACZMAREK – historyk,

MAREK S. SZCZEPAŃSKI – socjolog

oraz **STEFAN SZYMUTKO** – literaturoznawca.

Redakcję „Śląska” reprezentowali:

TADEUSZ KIJONKA i **KRZYSZTOF KARWAT**

Wielokulturowość: konteksty historii i wyzwania przyszłości

„To słowo w politycznym dyskursie
nie jest neutralne”

katowy. O jakich parametrach mowa? Wszystkie te regiony, np. Śląsk, Alzacja czy Istria, zmieniały w ciągu stuleci przynależność polityczną. Po drugie: na pograniczu krzyżowały się różne kultury (na Śląsku: Niemcy, Polacy, Czesi i Morawianie, także Żydzi). Po trzecie: człowiek pogranicza często nie będzie deklarował przynależności narodowej, mówiąc o sobie: „Jestem Ślązakiem. Jestem Istrianką”. Po czwarte: regiony pogranicza charakteryzuje labilność narodowa bądź konwersja lojalności obywatelskiej (np. ks. Jan Kapica uwikłany był w działalność niemieckiej partii Centrum, by potem, w okresie poplebiscytowym, na dzwonie świątyni, w której pracował, napisać: „Chwała Panu, który wyzwolił swój naród”). I jeszcze jedno: na pograniczach

ludzie często skłonni są dzielić się na „swoich” i „obcych”, „tutejszych” i „przyjezdnych”.

Dzisiaj ludzie pogranicza odchodzą do lepszego ze światów... Coraz częściej młodzi, pytani o to, kim się czują, odpowiadają: „Europejczykiem”, „Planetariuszem” albo po prostu – „Polakiem”. Ludzie pogranicza pozostają na kartach książek i prac naukowych. Unieśmiertelnianie ich pozostaje także naszym zadaniem.

KRZYSZTOF KARWAT: – Czy to oznacza, że skoro klasyczne pogranicze odchodzi, a przynajmniej zawęża się, to i pojęcie „wielokulturowość” powinno być redefiniowane?

TADEUSZ KIJONKA: – Ono nigdy nie oznaczało tego samego. Trzeba je traktować dynamicznie. Raz będą przeważały



Prof. Ewa Chojecka

składniki z innych epok, innym razem – współczesne. Dziś nie może oznaczać w odniesieniu do Śląska tego, co kiedyś, bo inna jest mapa geograficzna, inne realia. Nakładają się zmiany generacyjne; o tym mówił prof. Szczepański. Czym innym był Śląsk, który odchodzi, czym innym – dzisiejszy.

EWA CHOJECKA: – Zastanówmy się, czy słowo „wielokulturowość” nie jest dzisiaj nadużywane. Mówię o tym, bo w Zakładzie Historii Sztuki Uniwersytetu Śląskiego penetrowaliśmy ten obszar przez 25 lat, wydając podręcznik o sztuce Górnego Śląska. Czy zatem: nadużywając pojęcia „wielokulturowość”, nie uciekamy od problemu? Mamy bowiem do czynienia z dziedzictwem, z którym musimy się uporać, z historią, z którą musimy się pojednać. Pamiętam czasy, kiedy dawano do wierzenia mit piastowski, ubrany w peerelowską propagandę. Przedtem: wszystko miało być tylko niemieckie. Potem obszar ten przykrajano do różnych koniunktur politycznych. I my teraz próbujemy się z tego wydobyć, czując, że wcale nie jest to takie łatwe. Jakie bowiem przyjmujemy normy i kryteria wartościowania? Historyk sztuki powiada: „Interesuje mnie tylko jakość dzieła i nie obchodzi mnie, że ono powstało w czasach pruskich”. Jeśli więc przyjdzie mu oceniać na przykład architekturę neogotycką, to powie: „Tak, ona jest dobra, nie gorsza od tej stawianej w Kolonii”.

Zapytajmy również o kulturę artystyczną tego regionu w okresie

Foto: Zbigniew Sawicz

międzywojennym. Moi młodszy koledzy z Zakładu Historii Sztuki odpowiedzieli: „To była dobra sztuka, na poziomie europejskim, którą kazano później wymazać, bo była równoznaczna z Polską sanacyjną”. Jeżeli zatem przyjmujemy, że ten region jest poszatowany, ale i pokaleczony, to nasze rozumienie jego wielokulturowości będzie wymagało precyzji. I rzeczywiście – ono się będzie zmieniało w zależności od tego, czy mówimy o dawnym Śląsku, tym dzisiejszym albo – ostrożnie – o tym Śląsku projektowanym, Śląsku jutra. Podkreślenie, że Europa jest bogata w obszary wielokulturowe, ma charakter antytotytaryny. Każdy totalitaryzm zakłada monokulturę, monopartię, monokonfesję, monopolitykę. My zaś mówimy o wielości...

KRZYSZTOF KARWAT: – Pojęcie „wielokulturowość” jest narzędziem, które pomaga nam w opisie rzeczywistości. W każdym razie jest dość poręczne i „podręczne”...

RYSZARD KACZMAREK: – ... i o tym właśnie chciałem powiedzieć. Słyszysz się to słowo bardzo często. Na ogół zawiera w sobie element oceny. „Wielokulturowy” oznacza wtedy „wartościowy”. W dyskursie politycznym to słowo nie jest neutralne. A według mnie, nie zawsze tak powinno być. Szukając źródeł wielokulturowości jakiegoś terenu myślimy – na przykład – o kulturze niemieckiej, a wtedy przecież nie wartościujemy. A jednak chętniej będziemy się przypisywali do Eichendorffa czy Goethego, a nie epoki totalitaryzmów, o których mówiła pani profesor Chojecka. Podobnie rzecz się ma w odniesieniu do polskich źródeł kulturowych. Zgadza się zatem, że tego pojęcia nie należy absolutyzować i nadużywać, bo jest ono obecne nie tylko na innych obszarach pogranicznych, ale w ogóle w całej Europie.

STEFAN SZYMUTKO: – Wielokulturowość Śląska jest czymś oczywistym, co dobrze widać w języku, w gwarze śląskiej. Więcej pytań pojawia się, gdy odwołujemy się do dwóch nurtów tradycji: tej szlachecko-intelektualnej, której symbolem mógłby być Eichendorff, i tej plebejskiej, która mnie jest bliska, bo się z niej wywodzę. Kiedy myślę o tym regionie, to za-



Prof. Ryszard Kaczmarek

wsze mam w pamięci te straszne słowa Goethego o ciemnocie, z cofaniem, o trwaniu „z dala od ludzi wykształconych”. Historia Śląska zaprzeczyła tym słowom. Jednocześnie dostrzegam manipulację w usiłowaniu budowania dzisiejszej tożsamości śląskiej wyłącznie w oparciu o przeszłość. Jesteśmy ilustracją tezy Nietzschego o „szkodliwości historii”. Nagromadziliśmy wokół siebie niepotrzebne archiwum, które obarcza i jest nie do zgłębienia. Oczywiście historia jest ważna, ale także ta wcześniej pomijana, a pisana poprzez jej „nieme podmioty”. Otarłem się o ten problem, przygotowując referat na pewną konferencję i grzebiąc w archiwum parafii myślowickiej. Ks. Kudera pisząc kronikę cmentarza, zanotował, że pierwszymi pogrzebanymi byli dwaj górnicy. Nazwiska – niestety – nie padły. Jeśli więc myślimy o historii, to nastawiamy się też na jej „nieme podmioty”, na plebejską tradycję. Tymczasem zauważam, że z przekonania, iż Śląsk to tylko przeszłość, czerpią ludzie, którzy chcą uratować swe pozycje społeczne. Inaczej by nie istnieli. Konkrety? Kiedy widzę górników atakujących Sejm, a z drugiej strony – Michała Smolorza piszącego o Śląsku, to dla mnie jest to samo: żerowanie na Śląsku, którego już nie ma, rozpaczliwe bronienie umarłych tradycji.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: – Prof. Kaczmarek podkreślił, że wielokulturowość może kojarzyć się z dobrymi i złymi epizodami. Z prawdziwą przyjemnością oglądamy – na przykład – rzeźby Au-

Foto: Zbigniew Sawicz



Prof. Stefan Szymutko

Foto: Zbigniew Sawicz

Polska nie wykształciła mieszczaństwa w wydaniu znanym w Europie Zachodniej i Środkowej. Śląsk nie był więc mitogeny, dla Polaków były nim Kresy Wschodnie. Litwa, Ruś – oto kierunki kulturowej ekspansji. Bliżej było do Baczyseraju niż do Opola czy Katowic. Stosuję pewne skróty myślowe, ale sądzę, że czytelne.

Plebejskość Śląska, o której mówił pan Szymutko, została w PRL-u w swoisty sposób zmitologizowana. Od tego odchodzimy, bo jest to perspektywa miałka. Ale istnieje druga strona medalu: europejskość Śląska, która nie mieści się w tradycyjnie polskich standardach. I tutaj dochodzi do kulturowych, także interpretacyjnych zderzeń. Czym innym była Polska przedrozbiorowa, czym innym był Śląsk. Także potem różnice były znaczące. Oto źródło tych trudności, z którymi – także w tej rozmowie – musimy się konfrontować. Jak tu wyznaczyć tę „górnos Śląską ścieżkę”...

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: – A może szerzej? „Śląską ścieżkę”...

EWA CHOJECKA: – To dobra perspektywa, bo kieruje nas w stronę stolicy tego regionu – Wrocławia. To obszar także bardzo zróżnicowany. Po roku 1945 okazało się, że odziedziczyliśmy dwa modele miast. Z jednej strony – Kraków, który miał przywilej ciągłości kulturowej, także mieszczańskiej, pielęgnowanej do dzisiaj, z drugiej – mamy Wrocław, który leży w gruzach i opustoszał. Po 60 latach Wrocław kwitnie, jest chyba dzisiaj nowocześniejszy i bardziej europejski od Krakowa. Jakiś czas temu rozmawiałam z młodym wrocławskim historykiem sztuki, który w trakcie rozmowy użył sformułowania: „Ten nasz Langhans”. Zdziwiłam się bardzo, ale te słowa mówią wszystko. „Nasz Langhans”... Autor Bramy Brandenburskiej, postawił pół klasycystycznego Wrocławia... Oto świadectwo zakorzenienia się na obcej glebie...

TADEUSZ KIJONKA: – Rzeczywiście, Wrocław jest fascynujący i przypomina czym był dla kształtujących się tutaj Górnoślązaków. Z drugiej strony mamy Kraków. Gdy mowa o związkach z kulturą polską i jej rosnącymi wpływami na Śląsku, musimy pamiętać jaką rolę odgrywał



Tadeusz Kijonka

Foto: Zbigniew Sawicz

w tym Kraków. Na przełomie wieku XIX i XX dochodzi do fenomenu – Ślązacy zaczynają pielgrzymować do tego miasta, jako źródła polskości. Granice niewiele znaczą, gdy w roku 1910 zostaje odsłonięty Pomnik Grunwaldzki wyprawia się ich do Krakowa tysiące. To już była demonstracja polityczna. Pytanie, jaką rolę odgrywała literatura – recepcja Mickiewicza, Słowackiego i Sienkiewicza na Śląsku? Skąd brało się to zainteresowanie, wręcz kult? To ważny element w rozwoju odrodzenia narodowego na Śląsku – ale także element aktywnej wielokulturowości, wbrew polityce Kulturkampf. Zjawisko niezwykłe. Gdy mowa o tych problemach należy pamiętać, że kultura może być także obszarem konfrontacji. Wielokulturowość w naszym polskim rozumieniu to głównie mit jedności, związany z Kresami, Z Rzeczpospolitą Jagiellońską. To wyraz tęsknoty za wielkością. Czasem jednak zapominamy, że mit jedności i koegzystencji różnych wartości zderzył się potem z twardymi realiami. Choćby po roku 1918, gdy na Kresach dochodziło do konfliktów, lokalnych zamieszek. Gdy wybuchały nacjonalizmy. Wielokulturowość może więc być także znakiem antagonizmów i rewindykacji, a nie tylko symbiozy i wzajemnej fascynacji. Warto pamiętać o tym także dzisiaj, bo i na tym polu dochodzi do napięć. Trzeba niewątpliwie uszanować wielowarstwową kulturę

gusta Kissa z Paprocan, a dystansujemy się do tradycji faszystowskiej, totalitarnej...

RYSZARD KACZMAREK: – ... ale także stalinogrodzkiej.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: – Oczywiście. Nowoczesna wielokulturowość zaś pozostaje zawsze w związku z rozwojem regionalnym. To jest udowodnione empirycznie. W kwietniu Richard Florida opublikował dzieło, które pokazuje, jak „trzy razy T” wpływa na rozwój regionu. Pierwsze „T” to technologia, drugie – talent (poziom wykształcenia mieszkańców, a trzecie – tolerancja (zawierająca „indeks różnorodności kulturowej”). Florida pokazał na różnych przykładach amerykańskich i europejskich, jak mnogość kulturowa, etniczna i wyznaniowa pozytywnie koreluje z rozwojem regionalnym. Warto o tym pamiętać. Pozostaje pytanie: czy to rozwój przyciąga wielokulturowość, czy odwrotnie? Prawdopodobnie mechanizm działa w obie strony.

EWA CHOJECKA: – Wróćmy jeszcze raz do Goethego. Na ogół cytuje się przywołaną tu opinię, a zapomina o fragmencie dalszym, gdzie poeta mówi o rzetelności i pracowitości mieszkańców Śląska. Ale to na marginesie... Wydaje mi się, że sytuacja kulturowa Górnego Śląska jest niejako odwrotnie proporcjonalna do tego, co ma miejsce w Polsce początków XXI wieku. Kultura polska Rzeczypospolitej przedrozbiorowej nie obejmuje swym zasięgiem obszaru Górnego Śląska. Tutaj nie było kultury sarmackiej, a ona wyznaczała granice tożsamości polskiej.



Prof. Marek M. Szczepański

materialną. Ale nie tylko ona jest świadectwem wielokulturowości. A rola i miejsce literatury? Obyczaju i języka?... Musimy mieć na uwadze co z czego wynika. Liczy się nasz stosunek do całego dziedzictwa – funkcja tradycji. Ważna jest więc rozwinęta świadomość. Bez niej trudno mówić o wielokulturowości. Podobnie jest z historią polityczną.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: – Chciałbym wrócić do tematu Wrocławia. Przy tamtejszym uniwersytecie afiliowane będzie, przy udziale naukowców opolskich, katowickich i czeskich, Międzynarodowe Centrum Studiów Śląskich, które zamierza spojrzeć na ten region raz jeszcze, od Goerlitz aż po Opawę i Ostrawę. Ta instytucja może odegrać integrującą rolę. Podkreślę również, że władze Uniwersytetu Wrocławskiego uznały ciągłość istnienia tej uczelni. Jej biografii nie rozpoczynają od roku 1945.

RYSZARD KACZMAREK: – Powiem prowokacyjnie, że zawsze łatwiej odnieść się do tradycji austriackich niż pruskich.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: – Być może... Warto też dodać do tego, o czym mówiła pani profesor Chojecka, że po roku 1945 ze Śląska, Pomorza, Warmii i Mazur wysiedlonych zostało (świadomie nie używam słowa: wypędzonych) 3,5 miliona ludzi. To pogranicze kulturowe zostało więc wykrwawione.

RYSZARD KACZMAREK: – Też jestem pod wrażeniem dzisiejszej dynamiki Wrocławia.

Foto: Zbigniew Sawicz

A jednak proste zestawienia tego miasta z Górnym Śląskiem nie wydaje mi się szczęśliwe. Po roku 1945 – paradoksalnie – sytuacja we Wrocławiu była prostsza. Łatwiej buduje się na ruinach, bo można z nich wyjąć tylko pewne elementy i na nich skonstruować nową tożsamość. Na Górnym Śląsku trudno identyfikować się z wszystkim, co było wcześniej. Historia jest dla młodych ludzi bagażem, tłoczonym przez media i szkołę, a jednocześnie znaki kulturowe tu obecne, są dla nich nie-me. Na owej historycznej wielokulturowości nie narodziła się zatem jakaś nowa tożsamość górnośląska. Jesteśmy więc w punkcie zwrotnym: albo narodzi się nowa świadomość kulturowa, ani nie plebejska, ani już nie oparta na dawnych konfliktach narodowych, albo ten region swą tożsamość będzie tracił. We Wrocławiu, jak się wydaje, udało się stworzyć pewną nową wartość.

EWA CHOJECKA: – Kiedy spojrzymy z pewnego dystansu na dziedzictwo kulturowe Górnego Śląska, niejako z góry, to zobaczymy coś na kształt sceny obrotowej, na której krzyżowały się wpływy Berlina, Wiednia, Pragi czy Krakowa. Nie mamy wtedy obowiązku składania lenna wobec którejkolwiek z tych opcji.

RYSZARD KACZMAREK: – Ja nie przepadam za pojęciem „wielokulturowość”, bo ono mi trąci – nie wiem, czy się nie mylę – takim bardzo amerykańskim podejściem do kwestii społecznych. W Niemczech ma to nawet wymiar ironiczny: „multi-kulti”. Wydaje się więc, że cenniejsze jest poszukiwanie nowych elementów tożsamości regionalnej, które wyznaczą nam przyszłość, niż wyłuskiwanie z całości poszczególnych „cegiełek”.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: – Region się wykrwawiał kulturowo nie tylko z powodu wysiedleń i procedur łączenia rodzin, ale także dlatego, że wielu młodych ludzi stąd wyjeżdża. Spośród moich 22 seminarzystów 18 opuściło nasz kraj. Uznali, że tutaj nie mają szans na godną egzystencję, na rozwój. Nie dramatyzuję. Nie mam nic przeciwko podróżom, ale wolalbym, by ci ludzie kiedyś do nas wrócili.

Tożsamość regionalna musi wspierać się na kilku wymiarach,



Krzysztof Karwat

plaszczynach. Po pierwsze: wymiar psychiczny (tożsamość buduje się tam, gdzie ludzie mówią: „Czuje się związany z tą ziemią”). Po drugie: wymiar społeczny (ludzie dzielą się na „my” i „oni”). Po trzecie: wymiar ekonomiczny (wspólnota gospodarowania, dziś na Górnym Śląsku zanikająca). Po czwarte: wymiar utrwalonych wzorców wyborczych, politycznych (też już wątpliwy). Dalej: wymiar antropologiczny (w zniknięciu). Dalej: urbanistyczno-architektoniczny (mocno zniszczony). A zatem pytam: czy da się w szybkim planie zbudować nową tożsamość?

RYSZARD KACZMAREK: – To, o czym pan mówi, tylko potwierdza moje podejrzenie, że znaleźliśmy się w stanie pewnego zawieszenia.

STEFAN SZYMUTKO: – Dziedzictwo Śląska bywa bagażem ideologicznym, który niekiedy służy jakimś podejrzanym interesom. Kultura zaś – twierdzą jako ktoś, kto uczył się na Brzozowskim – to zadanie dla przyszłości.

Zastanawiam się, jak będą kształtowały się problemy, o których mówimy, gdy ludzie jeszcze szybciej i częściej będą migrowali? Jak będzie się kształtowała świadomość regionalna? Walka z bezrobociem często musi oznaczać zmianę miejsca zamieszkania. Tożsamość będzie więc oznaczała zachowanie tradycji myślenia, przenoszona w nowe, inne warunki.

KRZYSZTOF KARWAT: – Dziedzictwo kulturowe Górnego Śląska w dużej części nie mieści

Foto: Zbigniew Sawicz

się w tradycji polskiej. Przypomniała o tym pani profesor Chojeczka. Może zatem uprawnione jest odcinanie, częstsze niż dawniej, przymiotników „polski” i „niemiecki”, który stawiamy przy dziełach czy nazwiskach, na rzecz określenia: „śląski”. Tak dzieje się – na przykład – w odniesieniu do wielokroć tu przywoływanego Eichendorffa. A jednak chyba Niemcy postrzegają go przede wszystkim jako poetę niemieckiego, a nie śląskiego.

RYSZARD KACZMAREK: – Niemcy tej sprzeczności nie odczuwają. Niemiec nie zapyta: „To był Ślązak czy Niemiec?”. To tylko w polskich uszach brzmi dość dziwnie...

STEFAN SZYMUTKO: – Niedawno zmarły Henryk Bereska otrzymał na jednej z sesji pytanie: „Dlaczego pan nie tłumaczy literatury śląskiej?”. Odpowiedź brzmiała: „Bo chcę tłumaczyć tylko dobrą literaturę”. Wniosek? Nasz śląski wkład w kulturę może być rozliczany tylko jako oferta dla innych kultur.

TADEUSZ KIJONKA: – Gustawa Morcinka tłumaczył... Ukazał się – nie licząc antologii – osobny tom opowiadań.

EWA CHOJECKA: – Wisi w powietrzu pytanie o przyszłość. Górny Śląsk to obszar dwu- a nawet trójjęzyczny: polsko-niemiecko-czeski. Kiedyś młody człowiek stojący przed progiem awansu społecznego, musiał dokonywać wyboru. Dzisiaj – nie musi. Oczywiście wpisanie w swoje życie różnorodności i jakości, o której mówił pan Szymutko, nie jest łatwe. Niebezpieczeństwem dla Górnego Śląska jest osunięcie się w prowincjonalizm.

STEFAN SZYMUTKO: – Nie możemy być antykwariatem. Wcześniej mówiła pani o „specjalnym traktowaniu” śląskiej plebejskości przez propagandę PRL-u. Ale czym innym jest prawda. Już w czasie mojego dzieciństwa dostrzegano szansę, jaką daje edukacja, a kopalnię traktowano jako coś gorszego. Mnie starano się przed nią ustrzec. To był negatywny wzorzec kariery.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: – Pański przykład nie jest typowy. W roku 1989 po raz pierwszy miałem nieskrępowany dostęp do danych, które mnie poraziły. Z każdej setki młodzieży, która kończy-



Pałac Baildonów w Lubiu

ła podstawówkę, tylko 18,9 proc. kierowało się do liceów. A zatem o połowę mniej niż w innych regionach.

KRZYSZTOF KARWAT: – Dzisiaj te statystyki są zapewne korzystniejsze?

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: – Zdecydowanie.

TADEUSZ KIJONKA: – Przez całe dziesięciolecie dominowała tu monokultura pracy związana z wielkimi organizmami produkcyjnymi, które decydowały o rytmie i porządku życia. W tej chwili po upadku wielu dziedzin produkcji, gdy samych kopalń zlikwidowano bodaj 28, jest oczywiście inaczej. No i pojawia się kwestia globalizacji, która też zmienia ogólny obraz i kształt stosunków społecznych. Potrzebna jest zapewne głębsza edukacja o sprawach śląskich, no i prowadzenie regionalnych badań. To niedobrze, że młodzi nie identyfikują się ze Śląskiem. Wielka szkoda, że zlikwidowano Instytut Śląski, bo byłby dzisiaj bardzo potrzebny. Nie chodzi przecież o to, by „konserwować”, lecz by prowadzić prace badawcze, by przygotować ludzi do tego nowego Śląska, który nadchodzi.

RYSZARD KACZMAREK: – Muszę skontrolować. To już nie jest dzisiaj sprawa edukacji, a szans na rozwój – o tym mówił pan profesor Szczepański. Młodzi wyjeżdżają nie dlatego, bo im się ten region

nie podoba albo się z nim zbyt słabo identyfikują.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: – Dokonałem pewnego bilansu. Obliczyłem, ilu w naszym regionie ludzi do 30. roku życia nie ma pracy. Okazuje się, że aż 30 proc.

EWA CHOJECKA: – Mówimy o interabiliach kulturowych, tymczasem ten kontekst gospodarczy rzeczywiście jest ważny. Ludzie nie dysponują tutaj własnym kapitałem, który pozwoliłby im na samodzielną rozwój.

MAREK S. SZCZEPAŃSKI: – Chodzi też o „kapitał ryzyka”. Młodzi ludzie mają idee, ale nie mają pieniędzy. W regionach, które udało się przekształcić, dochodziło do spotkania tych, którzy dysponują pieniędzmi z tymi, którzy mają „pomysł”.

KRZYSZTOF KARWAT: – Zgodziliśmy się, że wiele cennych więzi kulturowych i społecznych popękało. Inne się dopiero tworzą. Ale jeśli ten proces jest zbyt długi i zbyt bolesny, to może również dlatego, że nie wszystkie reformy się udały. Reforma gminna pewnie najlepiej, ale czy regionalna? Można mieć wątpliwości. Jak budować i wzmacniać więzi wewnątrzregionalne i kulturowe, skoro o tak wielu sprawach decyduje się daleko stąd. Ale to już zacząć innej debaty, którą pewnie też trzeba będzie kiedyś w naszej redakcji odbyć. Dziękuję wszystkim uczestnikom rozmowy.



Zyl 79 lat, lecz nie uchodził za człowieka starego, bo jakby go omijały ulomności podeszłego wieku. I to była też jedna z intrygujących tajemnic jego osobowości. Oczywiście, że zewnętrznie z czasem się zmieniał – a znaliśmy się lat ponad 40. I na pewni nie byliśmy tacy sami. Wciąż te bystre, przenikliwe oczy, pulsujący uśmiezek w kącikach ust świadczący o ironicznym stosunku do życia i otoczenia. Zawsze jak najdalej od pozy, celebry i zadęcia, demonstrował to również stylem bycia dalekim od oficjalności. Prawie nie pamiętam go w wizytowych garniturach – nie licząc kilku sytuacji, gdy wynikało to z konieczności. Nosił najchętniej kurtki, jakieś sportowe bluzy, czy sztruksowe spodnie (w ogóle z materiałów, które nie respektowały żelazka), by wyglądać najzwyczajniej, jak przystało na bywalca berlińskich knajp z kręgów tamtejszej bohemy.

Nie przypadkiem w zbiorze wierszy z roku 1991 zatytułowanym „Berliner Spätlese” („Berlińskie późne winobranie”) pojawiło się zdjęcie Bereski w kaszkiecie, które tu przypominam. Podkreślał tym rodzinną plebejskość rodem z szopienickiego Helgolandu, ale i proletariackie sympatie, które manifestował podobnie jak Bertold Brecht noszący również z upodobaniem kaszkiety. Odwiedzający go w Berlinie Tadeusz Różewicz – jeszcze w jego poprzednim mieszkaniu w kamienicy przy Schamhorststrasse 8 – zapamiętał widok z 4 piętra na nieodległy cmentarz, gdzie spoczywają zmarli w 1956 Bertold Brecht i Helena Weigel. Zbieżność podobnych nakryć głowy była oczywiście przypadkowa, choć ten zawadiacko noszony kaszkiet wyrażał ważne cechy Henryka Bereski i jego osobowości: bezpośredniość, naturalność, szczerość a przy tym skłonność do sarkazmu i przekory. Wyobrażam sobie jak musiały wyglądać spotkania i rozmowy Bereski z Różewiczem. A była to przyjaźń trwała i serdeczna (Różewicz prowadził nawet jego wrocławskie spotkania autorskie). Jak te pogawędki musiały iskrzyć się i musować, pełne przewrotnych stwierdzeń, ironicznych podtekstów, ale i głębokiego zatroskania z widokiem na Mur Berliński.

Przez lat 28

Ten czas w końcu minął lecz w jego wierszach natarczywie powracał; zresztą Bereska nie ulegał łatwo złudzeniom i pozostał człowiekiem nieufnym wobec historii. Tym bardziej jednak zdumiewał fenomen jego młodości. W notatce pt. 75 lat, Adam Zagajewski pytał: *Kim jest ten młody starszy pan? Nie jest z pewnością profesorem, nie wygląda na to; ani jego noszenie, ani sposób by-*

Henryk z Helgolandu

TADEUSZ
KIJONKA

Szkic do portretu Henryka Bereski

Ktoś taki już się nie pojawi – jeden z największych tłumaczy literatury polskiej w całych jej dziejach o imponującym dorobku a zarazem człowiek z dramatycznie piękniłą biografią, która mogła się przytrafić tylko komuś takiemu jak on: synkowi z szopienickiego Helgolandu. To był decydujący moment, gdy wkrótce po powrocie z wojennej tułaczki, pod presją – lecz czy tylko politycznego zagrożenia?... 20-letni Henryk Bereska musiał uchodzić z rodzinnego familoka. Jednak z tym najważniejszym miejscem na ziemi duchowo nigdy się nie rozstał, a nawet wracał tu potem coraz częściej, choć głównie w pamięci, o czym świadczą późne wiersze wpisane w zmitologizowany pejzaż miejsc utraconych. W jego przypadku nasuwa się zapewne i to pytanie: kim byłby gdyby nie tamta wojna, która tak pogruchotała losy większości Ślązaków. No bo kim w istocie był, choć tego akurat do końca rozstrzygnąć nie sposób. Lecz czy ma to jakieś znaczenie: kim był i czuł się?... W jakim stopniu Niemcem, w jakim Polakiem, choć rdzennym Ślązakiem rodem z Helgolandu był i pozostał na pewno. Najbardziej trafna odpowiedź sprowadza się, jak sądzę, do stwierdzenia, że Henryk Bereska był przede wszystkim – a z upływem lat nawet coraz bardziej – właśnie sobą, czyli Henrykiem Bereską; kimś w każdym znaczeniu wyjątkowym – i ktoś taki jak on już się nie pojawi.

cia nie wskazują na to. Rozmawia z bardzo młodymi i bardzo starymi pisarzami, mówi po niemiecku albo po polsku. (...) W NRD żyło mu się niełatwo; należał do niepokornych. Przetłumaczył dziesiątki książek najwybitniejszej polskiej prozy. Teraz zaś, kiedy od dziesięciu lat znalazł się w wolnym kraju, stoi w obliczu nadzwyczajnie trudnego dylematu: czy już może zacząć się starzeć? Nazywa się Henryk Bereska, ma podobno 75 lat, ale nikt w to nie wierzy.

I to się narzucało: jego autentyczna młodość, która nie przejawiała się jednak w absorbującej otoczenie ekspansywnej żywotności. Miał bowiem w sobie coś równocześnie z samotnika, outsidera, który nie dbał o miejsce w życiowej hierarchii, o materialne dobra i zewnętrzne atrybuty pozycji. Właśnie dlatego stworzył i dokonał tak wiele realizując z tytaniczną wolą swą życiową misję.

Do końca pozostał młodym... Potwierdza to również zdjęcie z literackiej biesiady z okazji 75. Rocznicy urodzin Henryka Bereski, której byłem gospodarzem. Członkiem honorowym Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego został niemal od narodzin naszej organizacji. Od początku był też obecny w „Śląsku” – jeszcze w maju tego roku ukazały się na 3 kolumnach jego wiersze w przekładzie Feliksa Netza. Rodzinną atmosferę tamtego spotkania oddaje nasze wspólne zdjęcie, choć tylko jego uczestnicy mogą potwierdzić jakie wrażenie wywarła wówczas niezwykle szczerza panoramiczna opowieść Henryka sięgająca wspomnieniami rajskich lat Helgolandu. W soczystym słońcu czerwcowego popołudnia kopiała piana wybijała nad szklanicami tyskiego. Na patelni skwierczały krupnioki z chrupką cebulą nasączające aromatami naszą literacką salkę. Atmosfera, jaką lubił, przypominająca dawne spotkania biesiadne w „Pogładach”. Wilhelm Szewczyk towarzyszył nam tu zresztą spozierając z rozbawieniem z pysznego portretu Jerzego Dudy Gracza, uchwycony pewnie na rauszu, a także z jego malowidła prezentującego „parnas śląski” z dawnych lat: obraz, który wisiał w sławnej ongiś „Piwniczce”, gdzie również Henryk Bereska zachodził ochoczo i trwał do ostatniej kolejki.

Zburzenie Muru Berlińskiego w listopadzie 1989 roku spowodowało przełom w życiu Henryka Bereski, który przez nieskończenie długie lata nie mógł przekroczyć zachodniej granicy. Co to musiało znaczyć dla th-

GÓRNOŚLĄSKIE
LITERACKIE
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO
ŚLĄSK
TOWARZYSTWO
W KATOWICACH

SALA PORTRETOWA

Wtorek - 5 czerwca 2001 r., godz. 17.00

zapraszają na

biesiadę literacką

z okazji 75. urodzin

HENRYKA BERESKI

członka honorowego
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego

z udziałem Jubilata

Mecenat nad imprezą sprawuje Samorząd Miasta Katowice

Katowice, ul. Dworcowa 13, III p.



Spotkanie przy „rybku” a piankę



Z Henrykiem Bereską podczas biesiady w Sali Portretowej GTL-u.

macza tej rangi, bo nie tylko dramatyczne ograniczenie zawodowych kontaktów, ale życie w stanie wiecznego podejrzenia, pod kontrolą tajnych służb policji politycznej Stasi. Do jakiego stopnia był śledzony i podsłuchiwany przekonał się po wglądzie do materiałów w archiwum Urzędu Gaucka. Dowiedział się (nie bez rozbawienia), że uznawano go za herszta kontrrewolucjonistów... *Ja zaś, jeśli w ogóle byłem hersztem, to najwyżej grupy pisarzy pijaków...* – dodawał z przekąsem. Dowiedział się również, że miał zostać aresztowany za szerzenie antypaństwowych dowcipów – być może uratował go wówczas kolejny wyjazd do Polski, która odgrywała pewną rolę ochronną w podejściu Stasi, skoro – jak to przeczytał w nocie sekretarza związku enerdowskich literatów – *Polscy koledzy – pisarze nie byłiby zadowoleni, gdyby Beresce zabroniono wyjazdu do Polski*. Dowiedział się przede wszystkim, że donosy składała na niego także koledzy literaci, i to

również ci, którzy bywali w jego domu. Kto był w tym gronie – nigdy nie ujawnił, choć właśnie to go bolało najbardziej, bo nie raporty zawodowych funkcjonariuszy.

Mur Berliński w jego życiu codziennym odgrywał szczególną rolę skoro Bereska miał bezpośredni widok z okna swojego mieszkania na Berlin Zachodni i na to co działo się po drugiej stronie. W wierszu z roku 1965 zapisał: *trudno zasnąć nocą, gdy o rzut kamieniem pada strzał*. Już po zburzeniu Muru przypomni:

*Moje spojrzenie z balkonu, czwarte
piętro
Scharnhorststrasse: mur, zasieki,
psie liny,
Dróżka śmierci. Przeczuwany i na
starym planie
Odczytany kanał: Spendauer
Schiffahrtskanal.*

*(.....)
Mój wzrok ogarnia sześć
domów po tamtej
stronie.*

*Ten sam styl, secesja,
pewnie podobni
mieszkańcy.*

*Świece w oknach na
Boże Narodzenie.*

*Przez 28 lat moje
spojrzenie na te domy –
bolesne.*

*Pół kilometra linii
powietrznej. Nie do
przebycia.*

*(pierwsza część wiersza
pt. „Spojrzenie
z Scharnhorststrasse”
w przekładzie
Leszka Szarugi)*

Raj dzieciństwa nad Rawą

Od tego czasu, gdy otworło się *Niezamurowane spojrzenie ku Zachodowi*, odkąd *Nie ma już śladów dziesięciu tysięcy dni w getcie*, czas ten powoduje w życiu Bereski jeszcze jeden zasadniczy przełom: może otwarcie ujawnić okoliczności potajemnego opuszczenia rodzinnego familoka na Helgolandzie: decyzję nagłą i dramatyczną! A także lata poprzedzające, gdy jako młokos przeżył okres fascynacji nazizmem w szeregach Hitlerjugend. Biografia Henryka w tym czasie jest podobna do życiorysu wielu rówieśników: mundurki, werble, przemarsze, biwaki i odurzenie zwycięskim pochodem niemieckich armii. Gdy przyjdzie otrzeźwienie – jest już za późno. Zresztą hitlerowski system był absolutnie szczelny i obejmował wszystkie kategorie wieku. O tych latach Bereska opowie

z bezwzględną szczerością: z własnej woli, z poczuciem ulgi, choć po tym czego dokonał dla polskiej kultury, a będą to zasługi w pełni docenione, nie musiał przecież odczuwać potrzeby ekspiacji.

Z perspektywy tych lat czas przed wybuchem wojny jawi się w opowieściach Bereski jako raj krainy dzieciństwa – bo tak postrzega swoje Szopienice i mityczny Helgoland: mroczne osiedla familków, dwupiętrowych budynków z poczerńiałej cegły wzniesionych w równym szyku. Szopienice *miasteczko na wzgórzach* były sporym ośrodkiem przemysłowym – zdominowanym przez huty cynku, na czele ze słynną Wilhelminą, lecz znajdowała się tu również huta ołowiu „Paweł” i kopalnia węgla „Giesche”, toteż w okolicy wyrosło wiele hałd a pełną wyziewy zatrzymywały powietrze. To tutaj 17 maja 1926 roku przyszedł na świat Henryk Bereska, który uznał potem czas do wybuchu wojny idyllą. W rozmowie z Ewelina Puczek zamieszczoną w „Śląsku” (nr 9/1997r.) jego Szopienice tych lat były *otoczone polami i zagonami, które uprawiali pracujący pod ziemią mężczyźni. Przed domkami, które tonęły w kwiatkach i sadach siedzieli starzy w dużych kapeluszach. Miałem wspomnianych rodziców, dziadków, wujów, ciotki. W niedzielę rołada i kluski, na co dzień wodziona i żur. (...) Egzystencja była trudna, życie biedne, ale dla nas dzieci wszystko wydawało się rajem. Hasaliśmy po hałdach, a w niedzielę balkonem jeździliśmy do okolicznych lasów na festyny, lub popływać na Sztalwajer.*

Ten świat magicznego Helgolandu z rzeką Rawą przed domem, na niej moje łódki, pod wodą mieszkanie wodników ożyje w późnych nostalgicznych wierszach Bereski z wyrazistością i soczystością kolorowych obrazów Pawła Wróbla, który też pochodził stąd. A także Kazimierz Kut, epik i liryk tego świata z pulsującymi pieczęciami żywej historii.

Bo nie było to miejsce nigdy obojętne, położone gdzieś na peryferiach – wcześniej ani później. Czy nie miał znaczenia fakt, że według spisu z 1910 roku spośród 9729 mieszkańców Szopienic – 8026 mówiło językiem polskim, 242 – polskim i niemieckim a 1371 językiem niemieckim. Te liczby nie miały jedynie biernej wymowy. Nadgraniczne Szopienice odgrywały ważną rolę w okresie powstań śląskich – w trzecim stanowiły nawet centralny ośrodek dyspozycyjny władz powstańczych. Do historii przeszły głównie jako miejsce gdzie został ogłoszony akt przyłączenia części Górnego Śląska do Polski. To tu 20 czerwca 1922 roku generał Stanisław Szepczyński przekroczył na koniu przy

dźwiękach hymnu graniczną Przemszą a powstaniec inwalida, Juliusz Chowaniec, rozbił wielkim młotem łańcuch na znak zerwania okowów niewoli. Siedemnaście lat później na Śląsk wkroczyły wojska niemieckie a z wielu okien spłynęły flagi ze swastyką. Lecz data wybuchu II wojny światowej oznacza koniec dotychczasowego porządku z konsekwencjami, których tu nikt jeszcze nie może przewidzieć: *W pierwszych latach wojna biegła jakby obok, nie zaprzętała mojej uwagi. Czytałem książki, pasjonowałem się lataniem na szybowcach. Poza tym rodzicom zdawało się, że dzieci trzeba chronić przed straszną prawdą o tym, co działo się w Sosnowcu, Będzinie, miastach z żydowską ludnością – powie we wspomnieniach w rozmowie zamieszczonej w „Śląsku”.*

zaciągu rzuconych na front wschodni przed trującą lawiną Armii Czerwonej. Nie honorowa niewola u Amerykanów byłaby mu sądzona, ale los jeńca skazanego na zbiorową ekspiację w jednym z radzieckich łagrow – jak tego doświadczył Karl Dedecius. A powrót, gdyby wrócił – no właśnie, gdzie? Jeśli do rodzinnych Szopienic, to wyniszczonego fizycznie i moralnie czekał go los śląskiego robola.

Stało się jednak inaczej: po odysei wojennej wraca do Helgolandu, gdzie rodzice – przed rokiem 1918 poddani Wilhelma II, w roku 1945 po raz czwarty zmieniają narodowość. Jak zdecydowana większość rodowitych Ślązaków narodowości polskiej Bereski znaleźli się w III grupie Volkslisty przeznaczonej do poddania germanizacji. Henryk ma sprecyzowane plany: chce się



10 kwietnia 2002 roku – Aula Leopoldyńska Uniwersytetu Wrocławskiego. Uroczystość nadania Henrykowi Beresce tytułu Doktora Honoris Causa. Przy mikrofonie laureat.

W sowieckim sektorze

Lecz już niedługo 18-letni Henryk Bereska, jak wielu rówieśników, będzie mógł się przekonać co oznacza to miejsce na ziemi, czyli śląski los, który tak zawazył na biografii dziesiątków tysięcy Ślązaków wcielonych do Wehrmachtu. Co prawda, ostatecznie uniknie wyruszenia na front, a wybawieniem okaże się zamilowanie do lotnictwa. Lecz skierowanie do Luftwaffe będzie miało później trwałe konsekwencje. Na razie przechodzi przeszkolenie lotnicze w Alpach, by ani razu nie wznieść się w powietrze: już brakowało sprzętu i nieba. Bez jednego lotu i strzału kończy wojnę. Ten fakt trzeba uznać za szczęśliwy finał – ocalenie dzięki młodzieńczej pasji lotów. Mógł przecież zakończyć wojnę jak wielu rówieśników, żołnierzy Wehrmachtu z ostatniego

kształcić. Już wybierał swoje miejsce nastawiony na edukację i kontynuowanie nauki, ale właśnie wtedy przyszło zapłacić cenę za Luftwaffe; to jednak nie było to samo co mundur żołnierza Wehrmachtu. Wezwany do Urzędu Bezpieczeństwa w Katowicach miał podjąć tajną współpracę: presja bez wyboru. Po tym co przeżył i przemyślał po kapitulacji Niemiec postanowił nie poddać się już nigdy ideologicznej indoktrynacji, choć jako wielomilionowy anonimowy X znalazł się w globalnym bilansie kontraktów z Jalty i Poczdamu. Pojedynczy człowiek, taki jak on z rodem z Helgolandu – i totalne prawa historii! Jeden z wierszy Henryka Bereski rozpoczyna się od znamiennej wyznania („Oderfahrt” – przekład: Ewa Maria Śląska):

*Urodziłem się
na górnośląskim styku trzech krajów
– Rosja, Prusy, Austria –*

8 lat po pierwszej
i 13 lat przed drugą wojną
z Marii i Józefa,
moich rodziców.

I rzuciło mnie w berliński
styk czterech krajów. Sektory:
Amerykański, angielski, francuski,
sowiecki.

Rzuciło mnie
w sowiecki.

To była decyzja najtrudniejsza w życiu, której ostatecznych konsekwencji nie mógł przewidzieć gdy w roku 1946 przedzierał się przez Austrię do Niemiec. Opowieść wręcz filmowa, pełna niezwykle spotkań i licznych perypetii zanim dotarł w końcu do Berlina (podczas postoju na Łużycach, gdzie najął się jako rolnik spotkał jakaś o nazwisku Bóg..., od którego dowiedział się o szkole w Berlinie wschod-

sty, lecz w kontaktach tych liczy się przede wszystkim przerażająca prawda o Dachau i Oświęcimiu autora „Pożegnania z Marią”. Są właściwie rówieśnikami, jednak Borowski ma już w dorobku swe najważniejsze książki, Bereska natomiast jest zaledwie początkującym tłumaczem, który jednak już wie kim w życiu będzie. Los Borowskiego, gdy ten ostatecznie sam rozstał się z życiem, stanowi przejmujące ostrzeżenie, czym grozi poddanie się komunistycznej utopii. Tej tragicznej lekcji Bereska nie zapomni: *Komunizm typu NRD-owskiego zaczął się okazywać coraz bardziej tożsamy z tym, co dobrze znam. Znów okrzyki, mundury, fanfary i marsze. Rozpalała się szalona propaganda, z uniwersytetów rugowano starą, dobrą generację profesorów. Nastal czas ludzi niedouczonej. (...) Mając za sobą hitlerowski totalitaryzm, przyzwyczajenie do braku samodzielnego myślenia, łatwo poddano się schematowi sowieckiemu. Z dnia na dzień, towarzysze naziści, przeobrazili się w towarzyszy partii komunistycznych.*

Młody tłumacz, który zadebiutował w 1953 roku przekładem Mickiewicza („O krytykach i recenzentach warszawskich”), dwa lata później porzuca pracę w wydawnictwie Aufbau-Verlag: wie kim nie jest a być nie chce – wybiera pracę wolnego tłumacza, która okaże się „zbawienną niszą”. W swej wrocławskiej mowie wyznał: *Byłem szczęściarzem.*

Przez pół wieku – pośród zimnej wojny, mieszkając do tego przy złowieszczym Murze, który rozdzielał oba ustroje – dane mi było robić coś sensownego i nie znającego granic. Jakież to cud! (...) Ta nisza w NRD, gdzie szpiclowanie przetrwało światowe standardy, była dla mnie niezwykle szczęśliwym przypadkiem. Ale oznaczała jednocześnie sytuację dobrowolnego outsidera z widokiem na Wedding i Moabit, obce planety po drugiej stronie Muru.

Powroty

Wielkie dzieło translatorskie Bereski, stworzone z iście śląskim uporem, wydaje się być ponad siły jednego człowieka. Jak on tego dokonał w tych warunkach, stając się jednoosobowym instytutem translatorskim, który ogarnął obszar literatury polskiej od Jana Kochanowskiego po autorów urodzonych po wojnie. Gdy-

by zestawić listę przekładów według alfabetu, znajdują się na niej autorzy od A do Ż... Od Andrzejewskiego – do Żukrowskiego. Przy niektórych literaturach można wymienić cały szereg nazwisk, na przykład B: Borowski, Brandys, Bereza, Broszkiewicz... Przy M: Mickiewicz, Miłosz, Morcinek, Myśliwski, Malewska, Mrozek... Przy N: Nałkowska, Newerly, Norwid, Nowak, Nowakowski... Są w tym wyjątkowej skali translatorskim dziele tomy poezji, dziesiątki powieści, wyборы i antologie opowiadań, liczne dramaty – w tym Witkacy, wszystkie sztuki Różewicza od „Kartoteki”. Jest uznane za przekład doskonały nieprzetłumaczalne „Wesele”. Co roku prezentował przeciętnie 100 tytuły. W sumie przełożył ponad 100 pozycji, których łączny nakład wyniósł ponad 2 miliony egzemplarzy. Do książek ostatnich należy nowy wybór wierszy Tadeusza Różewicza z roku 2004 pod znamienym tytułem – „Drugie poważne ostrzeżenie”.

Ten obszar translatorskich dokonań należy ogarnąć z perspektywy dziesiątków lat pracy w samotności i dobrowolnie ograniczonych kontaktów; podporządkowania życia misji całkowitego oddania nadrzędnej idei przeniesienia rozległych połaci polskiej literatury w język niemiecki. Tak obronił w sobie mowę lat wczesnych, język pierwszy – polszczyznę, ale i uczynił z niej duchową ojczyznę pomnażaną z każdym rokiem. Sztuka przekładu była w jego przypadku także formą obecności i trwałego zakorzenienia w polskim życiu i polskiej historii. Co bowiem oznaczało wejście w świat Borowskiego i Różewicza, któremu oddany był do końca życia: wielki duchowy dialog z problemami tego pisarstwa wyrastającymi z najgłębszych doświadczeń polskich.

Od połowy lat pięćdziesiątych, gdy już okazało się to możliwe, stale wyprawiał się do Polski. Już pierwszy, miesięczny pobyt w Państwowym Instytucie Wydawniczym był niezwykle ważny dla rozeznania w polskim życiu literackim i zawarcia wielu znajomości z polskimi pisarzami. Ten krąg będzie się stale poszerzał gdy pobyty w Polsce okażą się regularne. Gdyby je zsumować, ueziera się tego kilka lat.

Wypracował Bereska także własne zasady sztuki przekładu, które sprowadzają się do generalnej reguły, że *Tłumacz to sługa, który wedle najlepszej wiedzy i z najlepszą wolą spełnia jedynie swoją powinność. Nagrodą jest dobrze wykonana robota, radość z jej powodzenia, satysfakcja trudu, zmagania się. To jak dlubanie pod ziemią...* Te cechy wiązał ze swoim śląskim rodowodem z Helgolandu. W mowie wrocławskiej w Auli Leopoldińskiej wyraził to z wyjątkową sugestywnością. Mówił Bereska:



Z profesorem Norbertem Honsz – promotorem doktoratu – po nadaniu tytułu.

nim przygotowującej do studiów). To czas, gdy nie ma jeszcze Muru Berlińskiego i może wybrać inny adres. Lecz co w tym czasie mógł przewidzieć. Podczas laudacji wygłoszonej 10 kwietnia 2002 roku z okazji przyznania Doktoratu Honoris Causa Uniwersytetu Wrocławskiego powie: *wówczas, uchodząc stąd, nie miałem nic poza swoją dwujęzycznością, wiedzę o tym, że nic nie wiem, i determinację, by nadrobić edukację i nauczyć się myślenia o świecie.*

Wybór Berlina wschodniego i podjęcie studiów na Wydziale Germanistyki i Sławistyki Uniwersytetu Humboldta w Berlinie, oznaczał pozostanie w strefie radzieckiej. Wielki wpływ wywrze na nim poznany jeszcze w okresie studiów starszy o 4 lata Tadeusz Borowski – wówczas już autor „Kamiennoświata”, który w Polskim Biurze Informacyjnym w Berlinie kierował sprawami kultury. Tłumaczy dla niego tek-

W górnośląskim „familoku”, wielorodzinnym domu, szanowano pewne cechy, stwarzały tłumacza: kult sumiennej pracy – podstawowa sprawa dla tłumacza. Nie: puszenie się tym, czego się dokonało – ale: solidność pracy. Fuszerka oznaczałaby śmierć. Cierpliwość rozumiała się sama przez się. Także skromność.

W tej postawie wypowiadała się rodzima śląskość Bereski, jego przywiązanie do rodowodu i miejsca magicznego – Helgolandu nad smolistą Rawą. Na Śląsku zjawiał się odtąd w miarę systematycznie a miejscem stałych wizyt była redakcja „Poglądów”, gdzie poznałem Henryka bodaj w 1963 roku, jeszcze gdy redakcja mieściła się w Klubie Związków i Stowarzyszeń Twórczych przy Warszawskiej 31. Przedstawił go nam zaprzyjaźniony już z Bereską Wilhelm Szewczyk, któremu wpisał się do domowej Księgi Gości 7 października 1961 roku. Wiele zdarzyło się potem tych spotkań, barwnych i biesiadnych. Szewczyk przyjmował Henryka zawsze z wielką serdecznością. Po kilku grzecznościowych zdaniach: co słychać, jak minęła podróż, natychmiast zanurzaliśmy się w naszych warsztatowych problemach, w literaturze polskiej, niemieckiej i śląskiej. Byliśmy tak pochłonięci rozmową, że bywało, nie zauważyliśmy upływu czasu, zmroku, który dawno już spowił redakcyjny gabinet Szefa. „Poglądy” i tamci ludzie znaczyli dla mnie wiele, toteż do Katowic przyjeżdżałem z uczuciem prawdziwej tęsknoty, złakniony myśli na najwyższym poziomie – wspominał Bereska w rozmowie zamieszczonej w „Śląsku”.

W dawnych latach gdy odbywał swe śląskie peregrynacje i odnawiał kwerendy wspomnień, mający w sobie coś z kpiarskiego wandrusa, po katowickim biesiadnym dniu powracał Henryk ostatnim tramwajem, jeśli nie taksówką, do domu rodziców. I stawiał się znowu około południa w redakcji „Poglądów”, gdzie czekali już Wilhelm Szewczyk z kompanią. O swoich wyjazdach uprzedzał wcześniej, zresztą wyjazdy ze wschodniego Berlina wymagały w jego sytuacji dopełnienia uciążliwych formalności. Były to z reguły podróże planowane z wyprzedzeniem, zazwyczaj dłuższe i rozpisane na więcej adresów, co wynikało z jego kontaktów literackich rzetelnego tłumacza. Ale choć zdarzało mi się spotykać Henryka poza Katowicami, kilkakrotnie

w dniach poetyckich jesieni w Warszawie, tam wylaniał się jakiś inny: nie ten koloryt, nie to przydymione niebo i smak powietrza.

Na Śląsku ożywał jakby odzyskiwał pełny rejestr sensualnej wrażliwości – ożywał i chłonał. Było w nim to, co się później objawi w jego śląskich wierszach – autentyczna, rodzima plebejskość, osadzona w pejzażu i realiach ziemi od Szopienic po Janów, z Nikischem i Helgolandem, kulturowo przetrawiona przez lata rozłąki. Z miejsca znów był u siebie, z tym słuchem chłonnym na intonację gwary, rdzenny smak słów, które tylko wymówione znaczą to co znaczą. Chętnie wyczekiwał na przystankach tramwajowych, by nasycić leksykalny głód gwary. Zaciągał do knajp z repu-

Ostatni telefon

Zył lat 79 i nic nie zapowiadało jego niespodziewanego odejścia. W maju po raz ostatni gościł w Polsce, gdy w Krakowie wręczono mu podczas I Światowego Kongresu Tłumaczy Literatury Polskiej po raz pierwszy przyznaną nagrodę „Transatlantyk”, która zamyka kolekcję prestiżowych polskich nagród i odznaczeń za translatorskie dokonania. Jakiś czas potem dozwoniłem się do Henryka, bo miał wygłosić laudację podczas wręczania mi Nagrody Kulturalnej Śląska Kraju Dolnej Saksonii, o czym powiadomił mnie w liście oczekując na nadesłanie materiałów. To nie był głos Henryka jaki znałem – wygaszony i drzący.

Powiedział, że właśnie wrócił z kliniki po kardjologicznych perypetiach: – Już jest dobrze. Zaraz zabiorę się za twoją laudację.

Henryk, który znany był z żelaznego zdrowia, miał wiosną przykry wypadek: potrafił go rozpedzony skuter. Następstwa okazały się poważne. Nie do końca zdrowy i sprawny, jeszcze wybrał się do Krakowa. Niewiele dni po powrocie do Berlina ponownie trafił do kliniki z powodu groźnego stanu serca. Już się do niego nie dozwonię – ten kryzys będzie miał nieodwracalne następstwa. Zmarł w Berlinie 11 września. Liczne uroczystości z okazji 80. Rocznicy urodzin w maju przyszłego roku już się nie odbędą.

Pogrzeb odbył się na wiejskim cmentarzu w zapadłym Kolbergu w sobotę 15 października. To miejscowość, gdzie Henryk Bereska miał skromną drewnianą chatę, która była przez wiele lat miejscem stałych, samotniczych pobytów, gdzie zaszywał się i oddawał katorżniczej pracy: tysiące stron przekładów z literatury polskiej przy współpracy z żoną Gildą, której zawdzięczał niezawodną pomoc: pierwszej czytelniczce – a jej krytyczne oceny wysoce cenił. Zaprzyjaźniona z Panią Gildą Grażyna Szewczyk, która wybrała się do Kolbergu i uczestniczyła w pogrzebie była pod wrażeniem tego miejsca i relacji o ostatnich chwilach życia Henryka. Jednak na krótko przed śmiercią odzyskał przytomność. Ostatnie słowa wypowiedział po polsku – w języku dzieciństwa, gdy Helgoland był rajem.

Berlin, 7.3.05

Drogi Tadeusz,

Cieszę się, że będę mógł wygłosić laudację na Twoją cześć.

Prześlij mi swoje materiały – bibliobibliograficzne. Dziękuję mi bardzo za to, że się nie rusza. Czy będziesz 15-16. 4. w Wiedniu?

(.....)

Pozdrawiam
Odecko
Henryk Bereska

Pisał z Berlina, że powierzono mu wygłoszenie laudacji...

tacją „Baru pod żelazniakiem” i podobnych pospolitych mordowni, by przy piwie i secie przytknąć ucha do tego co mówią.

Należy o tych katowickich wizytach i śląskich kontaktach literackich Bereski pamiętać, bo były dla niego nie tylko ważne, ale są także częścią jego biografii. Od jakiegoś czasu konsekwentnie się je pomija a nawet zaciera i fałszuje fakty – w jakim celu?... i to wbrew prawdzie. Podobnie ma się rzecz z nagrodą Prezydenta Katowic przyznaną na wniosek GTL-u (z moim podpisem), która została przyznana Beresce w 1997 roku. Odebrał ją w późniejszym terminie, bo w tym czasie wręczono mu w Niemczech Federalny Krzyż Zasługi na Wstędze. Nagroda ta stanowiła niewątpliwie dopełnienie literackich kontaktów Bereski ze Śląskiem i Katowicami, który – jak sam podkreślał – uważał owe powroty za odnawianie swej śląskości „wprost od korzeni”.

MANEKINY

(Po likwidacji butiku Benja II przy Friedrichstrasse 106 c wiosną 2000 r.)

Jako ostatnie dygocą z zimna w pustym pomieszczeniu – manekiny,
płci obojga; stały tu latami, siedziały, w wytwornych pozach,
szlachetnie odziane, w płaszczach, garniturach,
kostiumach z delikatnego materiału, wąskie główki kokieteryjnie
zwrócone na lewo, na prawo, jak u fotografa, ręce sterczące,
nogi kroczące, albo założone jedna na drugiej.

Teraz pustki – już nie ma szlachetnych materiałów, nie ma rzadkiej klienteli,
nie ma kasjerek, sprzedawczyń, drogich mebli.

W opuszczonym pomieszczeniu oddychają jeszcze tylko one – manekiny,
rozebrane, śmieją się, wyglądają dość mizernie,
głodomory, już nie sexy, w tych swoich majteczkach osłaniających srom,
jakby naprawdę się wstydziły, obnażone piersi,
a jednak na ufryzowanych główkach modelowe kapelusze.

Panowie bez genitaliów, nie przewidziano, że pokażą się nago.

I tak sobie siedzą, stoją dookoła w wykarczowanej przestrzeni, zamówione,
nie odebrane, wygnane z ich wystawy.

Do raju? A gdzie tu wąż, gdzie jabłko.

I co Adam pocnie z jabłkiem?

Sierpień 2000

NIEWIELE BRAKOWAŁO

Niewiele brakowało a przeczytałbym trzy kiepskie powieści,
niewiele brakowało a zajmowałbym się życiem miernego autora,
niewiele brakowało a pojechałbym
do Nadrenii Północnej Westfalii,
odwiedziłbym miejsca, które znam ledwie z nazwy,
daremnie szukałbym hałd i wież wyciągowych,
daremnie chciałbym porównać mój Górny Śląsk z Zagłębiem Ruhry,
bo ta niecka węglowa już od dawna jest muzealna, cała w zieleni,
spałbym w hotelu, sam w dwuosobowym pokoju,
musiałbym przeczytać kiepskie powieści
i prowadzić spotkania z zarożumiałym autorem,
lecz ten na szczęście obraził się,
bo miał mniej spotkań od innych.

A więc nie ma odczytu, nie ma prezentacji, dwa tysiące przeszły koło nosa,
za to mogę pomieszkać osiem dni w mojej leśnej chacie,
jeszcze nigdy nie mieszkalem tak drogo na własnych śmieciach,
a więc muszę się nimi specjalnie nacieszyć:

Otoczyć się ciszą, brzozaami i sosnami,
i deszczem, który bębni na dachu krytym papą,
mogę sobie czytać Lichtenberga i Herberta,
i podążać śladem wielkich duchów,
nie prześladowany przez kasę i przymus.

A zatem dzięki składam panu Obrażalskiemu,
który podarował mi cały tydzień w lesie.

10.10.2000



Rys. Wojtek Łuka

HENRYK BERESKA

POEZJA I PARANOJA

Towarzysze ze Stasi,
którzy przez trzy dekady
mieli mnie za element wywrotowy,
wiedzieli o mnie dużo, ale nie wszystko:
Mieli w swoim rejestrze moje listy, rozmowy telefoniczne,
ba, nawet rozmowy w moim mieszkaniu,
ale moich przemilczanych myśli – nie mieli.
Bardzo wiele zmyślali: moich zacnych przyjaciół,
kochankę, znajomych uznali za spiskowców,
którzy planują przewrót.
Ja byłem szefem.
Urodziny, uroczystości, przypadkowe spotkania
nazywali kontaktowaniem się agentów.
Wskutek przypisanej mi przynależności
do zmyślonych kół objęli mnie zakazem
wyjazdów na Wschód i na Zachód.
Polscy dysydenci, Kuroń i Michnik,
których niestety nigdy nie spotkałem,
byli moim warszawskim kontaktem;
miałem szczęście poznać ich
po upadku Muru Berlińskiego.

Moi nadzorcy nie mieli łatwego życia. Każda
rozmowa o pogodzie kryła w sobie wywrotowe szyfry.
To, co ukryte, nie pozwalało im spokojnie spać.
Nadto balast wykształcenia, sprawdzanie w leksykonach
było ponad ich siły, przekreślali nazwiska,
kaleczyli ortografię;
a przecież robili na mnie karierę, na mnie, „głowie
wrogiego ugrupowania”, który był raczej „głową
ugrupowania pijaczków i szachistów” w knajpie Franka;
a niejeden kapitan, który mną się zajmował,
awansował na pułkownika pod koniec tej ponurej próby
pomieszczenia prawdy z paranoją.



Rys. Wojtek Łuka

BEZGŁOŚNY DZIEŃ

Nie krzyczy wrona,
nie skrzeczy sroka,
cichy jest wiatr.

Z mojego okna widzę szpaka:
nieruchomy i milczący
wpatruje się w głowę karpia,
której już dawna najadł się do syta,
ale nie zamierza ustąpić –
głód może jeszcze wrócić.

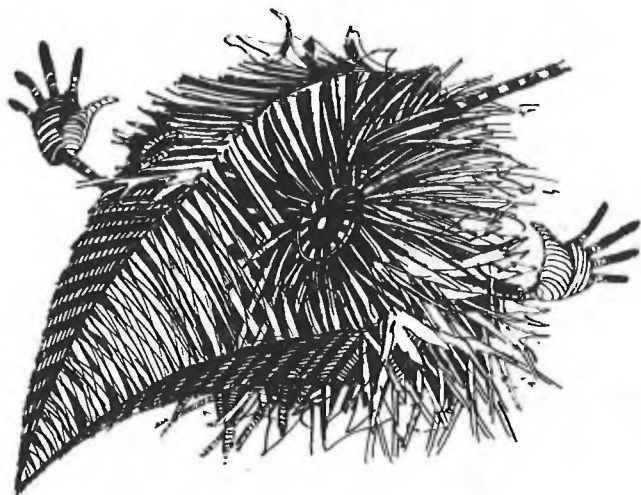
Skostniały stoi na kupie kompostu,
trzyma straż przed głową karpia,
złakniony głodu.

Ten wiersz wart był milczącego szpaka,
który ten dzień wyjął mi z niemoły.

POETKA Z WALII

Na trybunie,
na której siedziało 40 poetów,
przysiadła się do mnie
poetka z Walii,
Broński pochwalił jej wiersze, ja bym
pochwalił jej twarz;
przed nami w blasku reflektorów
rzeka Drim,
Macedończycy na jej brzegu
uważnie przyglądają się obcym;
gruchaliśmy sobie,
gdy przyszła kolej na mnie
pogłaskała mnie po plecach,
a kiedy ona miała przeczytać swój wiersz,
ja pogłaskałem ją po plecach.
Na bankiecie w zamku
nad Jeziolem Ohrydzkim, z udziałem władz,
siedzieliśmy naprzeciwko siebie, a obok niej
Uzbek, którego oczy robiły się coraz mniejsze,
kiedy ukradkiem prawil jej komplementy;
i zgubiliśmy się w tłumie;
przy śniadaniu siedziałem sam,
przyszła ze świtą, skinęła do mnie
wskazując swój stół – ja skinąłem do niej, wskazując mój;
żadne z nas nie zrobiło upragnionego kroku,
i tak straciliśmy siebie z oczu.

Struga, koniec kwietnia 2000



1 WRZEŚNIA 1939

Ten piękny letni dzień krył w sobie kilka niespodzianek. Bomba spadła na fabrykę porcelany pod Katowicami. Schowaliśmy się w piwnicy, starzy się modlili, a my, dzieciaki, na złość im śpiewaliśmy wesoły przebój z ostatniego już przedwojennego polskiego filmu: „Ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal, gdy szumi, szumi woda i płynie sobie w dal”. Tymczasem owa dal wcale nie była tak daleka: tuż za rogiem powstała Generalna Gubernia. Wstęp surowo wzbroniony. Niemieckie działa ciągnięte przez potężne konie, toczyły się drogą do Mysłowic. Weseli wojacy cieszyli się z kwiatów, jakie im rzucał lud, w oknach wywieszone flagi ze swastyką – skąd one się wzięły? Jakiś roześmiany Niemiec podarował mi kartkę z dwoma słowami wydrukowanymi gotykiem, którego nie znałem: Heil Hitler. Którego jeszcze także nie znałem. Wprowadzono Volkslistę, cztery grupy wedle przydatności dla Niemiec. Tuż za rogiem powstała Generalna Gubernia. Wstęp surowo wzbroniony. A więc skończyło się zabawne targowanie się z żydowskimi kupcami w Sosnowcu. Mówienie po polsku zabronione. Chleb teraz nazywał się Brot, Skąpo przydzielany na kartki żywnościowe. Harcerze nazywali się teraz Hitlerjugend. Rozbrzmiewały krzykliwe komendy. Skonfiskowano radioodbiorniki. A więc żadnych wrogich radiostacji, i tylko gazety bez ograniczeń rozmiękczały mózgi komunikatami o zwycięstwach. Byliśmy po stronie zwycięzców. I Opatrzności. I moi rodzice po raz trzeci zmienili obywatelstwo (dostali trzecią grupę: warunkowo zdolni do bycia Niemcami) nie zmieniając miejsca zamieszkania.

Kolberg I.IX. 2003

NIE POMYŚLANE ZE STRACHU

myśli,
takie śmiałe, takie śmiałe,
szkoda ich.

Nie napisane ze strachu
wiersze,
takie gorzkie, takie gorzkie,
szkoda ich.

Trwożliwie, ze strachu napisane
teksty, takie mdłe, takie mdłe,
szkoda ich.

Zaniechany ze strachu
sprzeciw,
taki wygodny, taki wygodny –
szkoda mi ciebie.

Z wierszy DLA GILDY

Kiedy po długich miesiącach,
jakie spędziłem w lasach
w towarzystwie kawek i srok,
chodziłem po ulicach wieczorową porą -
miasto wydało mi się raptem bez ładu i składu.

Słowa przyjaciół były zbyt krzykliwe,
ich twarze zbyt udręczone,
bali się samotności jak dżumy,
noce im schodziły na kłótniach.

W pierwszych dniach brakowało mi
mgły snującej się między trzcinami,
szumu deszczu w sosnach,
krzyku wron i srok.
Dla przyjaciół byłem nieprzystępny.

Ale wkrótce mówiłem coraz głośniejsze,
I stałem się tak samo gorzki jak oni.
Moja twarz była pełna udręki,
A noce schodziły mi na kłótniach.
Budziłem się w południe z ciężką głową,
Byłem gotów wrócić do lasu w deszczu,
Do kojącego szumu deszczu wśród sosen
Ale jak mam stąd odejść?
Uwięziony w pajęczynie goryczy.

1961

To jest zwyczajne w translatorskiej robocie. Ale ten przypadek był inny! Bo wiem tłumacząc czułem na sobie uważne spojrzenie Autora. To, co napisałem, brzmi cokolwiek teatralnie, ale to prawda! Nie było między nami żadnych relacji przyjacielskich, mogliśmy się co najwyżej nazwać „kolegami po piórze”. W życiu spotkałem Henryka Bereskę dwa, trzy razy, kilkakrotnie rozmawialiśmy przez telefon, wymienialiśmy natomiast niezliczoną ilość krótkich, rzeczowych e-mailów, zawsze odnoszących się do konkretnych wierszy. Ostatni jego list, napisany po niemiecku, zawierający podziękowania za publikację trzech kolumn Jego wierszy w moich przekładach, kończy zdanie: „Ein paar Bemerkungen folgen”. Co znaczyło, że niebawem przyśle mi kilka uwag. Tych uwag już nie przysłał.

Jak rzekłem: tłumacząc czułem na sobie wzrok Poety, który o języku, na który przekładałem Jego wiersze, mógłby powiedzieć, że to jego język ojczysty, czy też język matczyny – Muttersprache... To Jego baczne spojrzenie było z jednej strony krępujące, z drugiej mobilizujące i dyscyplinujące. Czułem, jak bardzo mu zależy, aby przekłady były nie tylko przekładami Jego wierszy, ale Jego wierszami. Tak zatem, jakby je był napisał po polsku.

A dlaczego nie napisał ich po polsku? Zadałem Henrykowi Beresce to pytanie, odnosząc je do wierszy domowych, szopienickich. Odrzekł, że to niemożliwe. Niemożliwe, dodał, bo pierwszy wiersz napisał po niemiecku. Nie zastanawiał się nad wyborem języka. To było rozstrzygające. A ten wiersz otworzył, by tak rzec, poetycki album domowy. Te najwcześniejsze wiersze powstały może z narastającej tęsknoty za Soplicowem, jakie by nie było, a już trudniej naprawdę o bardziej żalose nad to szopienickie Soplicowo... Możliwe też, że napisał je podczas pierwszego po latach pobytu w Polsce, u progu lat sześćdziesiątych, lub po powrocie do Berlina, słowem, gdy z familków powrócił pod Mur Berliński.

To nie metafora. Z okna domu, w którym Henryk Bereska mieszkał całe lata, widać było Mur Berliński. To właśnie okno władza ludowa na własny koszt zamurowała. Lecz strzały nadal było słychać. To jeden z powodów, dla których na długie tygodnie, a potem jeszcze dłuższe miesiące uciekał do swojej chaty, skleconej uprzednio przez jakiegoś samotnika, niedaleko od Berlina, w wiosce Kolberg, wśród lasów.

Stąd też trzy główne nurty tej liryki, główne, i w gruncie rzeczy jedyne, bo

Na dorobek poetycki Henryka Bereski – nieomal nieostrzegalny wobec góry przekładów – patrzę okiem tłumacza, a więc kogoś, kto dla każdego obrazu, każdego pojęcia, każdego związku frazeologicznego, każdego wreszcie pojedynczego niemieckiego słowa, szukał możliwie najlepszej figury, formy w języku polskim.



Z familoka pod Mur Berliński

FELIKS
NETZ

Henryk Bereska przez całe swoje poetyckie życie pisał na trzy tematy, jeśli w poezji można mówić o tematach. Zgódźmy się, że czasami można. A więc pierwszy temat – to Górny Śląsk, mała szopienicka ojczyzna. Drugi – egzystencja w cieniu Muru Berlińskiego – dosłownie i w przenośni. Temat trzeci – to natura, przyroda, wieś, rzeka, las, ptaki i zwierzęta. „*Märkische Gedichte*”, a więc: „wiersze brandenburskie, poezje, rzecz by można, francuskańska, choć takie pojęcia jak „dusza”, czy „Bóg” nie są w tej poezji obecne.

W tej poezji obecna jest pamięć miejsca urodzenia, miejsca, z którego każdy Polak, nawet, gdyby miał w dorosłym życiu pisać wiersze w języku niemieckim, zabiera ze sobą na cały dalszy żywot, swoją rzecz, czy zgoła biblię czarnołęską! Z obyczajami i porzekadłami dziadów, z ziołami babki, z burzliwymi romansami ciotki jednej i drugiej, z awanturami wujów i stryjów, z pierwszymi wyznaniami

miłości, z pierwszymi obrazami zmarłych.

Śląskie, domowe wiersze Henryka Bereski pisane są językiem niemal całkowicie sprozaizowanym, jakby to były notatki, prywatne zapiski, a nie poezje. Jakby tu w ogóle nie szło o napisanie wiersza, ale o utrwalenie na papierze czyjejs jedynej i niepowtarzalnej, osadzonej w konkretnym bycie egzystencji.

Taki wiersz powstaje mimo woli. Celem nie jest, jak rzekłem, wiersz, celem jest maksymalne zbliżenie się do opisywanego miejsca, do wywoływanej w ciemni pamięci postaci. W której dostrzegamy coś aż banalnie swojego, lecz jednocześnie coś homerycznego. Tylko postaciom homeryckim przydarzały się rzeczy nadzwyczajne.

*Mój dziadek spadł
z konia przed cesarzem
Wilhelmem
w czasie parady
wojskowej –
przyzwyczajony był
wyłącznie do kopalnianych
szkap.*

Pyszny to musiał być widok, godny dobrego wojska Szwajkara, ale ten zwięzły komentarz późnego wnuka: „przyzwyczajony był wyłącznie do kopalnianych szkap” sprawia, że to przyzwyczajenie definiuje jego ludzką formę. Z wiersza *Mój drugi dziadek*:

*Kiedy zbliżał się do setki,
zbliżyło się do niego
dzieciństwo. Ogrzewało go
słońce dawnych wiosen.
Niosły go piosenki i pieśni.
Polskie i niemieckie.*

Zaryzykowałbym komentarz, że pisząc o stuletnim dziadku, Henryk Bereska – też już wtedy niemłody – czuł, jak do niego zbliża się dzieciństwo.

Ogrzewało go słońce dawnych wiosen, w którego blasku rzeczy szopienickie widział po proustowsku: „jasno, w zachwyceniu”. I po swojsku – przytomnie! Późno, bo w roku 2003 – (z czasem badacz poezji Henryka Bereski napisze, że „pod koniec życia”) zdecydował się napisać wiersz o 1 września 1939 roku, z jednym zdaniem tak trudnym dla nas do przyjęcia. Tu dygresja: Autor przysłał mi ten wiersz z adnotacją: dotychczas niepublikowany, nietłumaczony, z prośbą, abym przekład posłał pocztą e-mailową na nazwisko pewnej pani uczącej w gimnazjum niemieckim w Berlinie języka polskiego. Spełniłem życzenie Poety, ale zanim to zrobiłem, wysłałem e-maila do Autora, z pytaniem, czy na pewno napisał to zdanie, które mnie zamurowało. Te cztery słowa: *Byliśmy po stronie zwycięzców*.

Pomyślałem, że może to omyłka. Wołałbym, żeby tak było, nie ukrywam. Ale było inaczej i Poeta nie miał prawa – przed samym sobą – skłamać. Ten wiersz

o polskim wrześnie oglądanym okiem trzynastolatka z Szopienic mógłby się obejść bez tego zdania. Ale nie mógł obejść się bez niego Henryk Bereska. To musiał być dla niego test prawdy. Tak to wtedy odczuł, niedawny harcerz. Zło miewa uwodzicielską moc. Poeta odpisał mi wtedy: *To nie jest pomyłka.*

Zauważmy: ten wiersz, w którym „Chleb teraz nazywał się Brot (...), Harcerze nazywali się teraz Hitlerjugend”, powtarza dwukrotnie słowo „teraz”. To jest ten moment, w którym zaczęła się na trzynastoletnim chłopaku operacja rozmiękania mózgu, na pozór bezbolesny zabieg zmiany skóry. Książki czytane po polsku zamieniły się w książki napisane po niemiecku i ku zdumieniu chłopca czytane z coraz większą swobodą. To jest także ten moment, kiedy trzynastoletni chłopiec obserwuje przechodzenie słów z jednego języka w drugi. Widzi rzeczy, ale widzi też słowa. Słowo *chleb* przechodzi w słowo *Brot*. Brot w chleb. Trzynastoletni chłopak jeszcze nie wie, że do końca życia będzie przeprowadzał słowa z jednej mowy do drugiej. Że to w tym momencie, jeszcze tego nie wiedząc, zaczął pisać wiersz pt. „Przewoźnik” z poruszającym wyznaniem w ostatniej strofie:

*Ja zostałem przewoźnikiem
w świecie liter,
i przewoziłem kosztowny ładunek:
poezję –
z Polski do Niemiec.*

Traktował to zatrudnienie jako misję, to pewne, ale za tą górą przetłumaczonych książek – pisał ręcznie, każdą stronicę przepisywała na maszynie żona poety, Gilda, której poświęcił wiele czułych wierszy, za tą górą książ – od Kraszewskiego do Zagajewskiego – trochę na uboczu pisał wiersze, które znali jedynie przyjaciele poety. Ale te wiersze pisane przez człowieka spod Muru Berlińskiego nabiorą, już nabierają, szczególnej wagi, szczególnego znaczenia. Ten, na pozór zapis zwyczajnego bytowania w dość ponurym mieście, jest bezcennym świadectwem stanu moralnego Europy, a właściwie współczesnego świata, w ciągu trzech dziesięcioleci, od dnia wzniesienia Muru po godzinę jego upadku.

Żona poety próbuje go uspokoić, że jakoś się przyzwyczaimy, przecież mieszkają tu także inni ludzie... Ale poeta wie, że nigdy się nie przyzwyczai, bo nie sposób przyzwyczaić się do sytuacji, w której nad spokojem naszego snu czuwa nie Anioł Stróż ale kat. Życie w cieniu Muru Berlińskiego przypomina mu w każdej minucie, że moralność współczesnego świata zeszła na psy, skoro możliwy jest tak ordynarny i – zdawało się przez długie lata – nienaruszalny, nieusuwalny – symbol podziału ludzi na wolnych i niewolnych. Ale życie jest zawsze silniejsze od śmierci, jak napisał Tadeusz Borowski, którego Henryk Bereska poznał osobiście, i którego opowiadania oświecimskie przełożył na język niemiecki. Mur Berliński był w gruncie rzeczy miejscem straceń, nad którym – tak to jest w wierszach Bereski – po strzałach, kończących czyjeś marzenie o wolności, wzbijały się w powietrze ptaki, przelatowały, nie bacząc na podziały, z jednego

Berlina do drugiego, z jednych Niemiec do drugich, z jednego świata do drugiego. Jeśli z kimś Henryk Bereska odczuwał wtedy prawdziwą wspólnotę, to właśnie z tymi ptakami.

Książki, to było także miejsce ucieczki w strefę niekontrolowaną, tam była jakaś forma niezależnego życia, ale życie było także gdzie indziej: w berlińskich „bierstubah”, w knajpach, gdzie Poeta zawierał mocne przyjaźnie z prostymi berlińczykami, którzy prawdopodobnie nie dowiedzieli się nigdy, że piją sznapasa wzmocnianego potężnym kuflem piwa z kimś wyjątkowym, nadzwyczaj wrażliwym, z człowiekiem, który nosi w sobie potężne brzemienie dwu kultur, dwu wielkich literatur, dwu tak niepodobnych do siebie języków. Po latach, gdy padnie Mur Berliński, i niebawem zaczyną padać małe piwiarnie i knajpki, poświęci tym miejscom i swoim kompanom, piękny, elegijny wiersz pt. *Gdzie są stali goście?* Przywołuje w nim nazwy owych bardzo pospolitych przybytków, niczym imiona pięknych kobiet, pytając „gdzie się podziewają, gdzie?” Niczym Villon, gdy pytał „gdzie są niegdysiejsze śniegi?” Gdzieś są ci, nieliczni prawdziwi ludzie, z jakimi gotów był wówczas utrzymywać przyjacielskie stosunki.

*Czy przenieśli się na okoliczne
cmentarze,
Albo na Marzahn i Hellersdorf*

*Czy jeżdżą zachodnimi autami,
albo siedzą w kucki przed
telewizorem z piwem od Aldiego?
Albo odkładają na Majorkę
i południowe morza?
Niekiedy spotykam niektórych
z nich w trakcie moich nocnych
wypraw,
Wyglądają wyjątkowo blade. Hej,
dawno to już umarli?*

*Gdzie popijasz swoje piwko?
Na starym mieście nic się nie dzieje.
Trza do Wedding, do Moabitu,
tam jeszcze da się
Popić, połażyć, pobajdurzyć.
No, no, jakoś to będzie. Co tam,
gadka-szmatka.*

*Pora umierać, chłopie, trzymaj się.
Pod tym wierszem zapisany jest rok:
1999. Jest to więc świadectwo nostalgii,
już w świecie wolnym, ale w inny sposób
dotkliwym, a nawet opresyjnym, za tamtą
maleńką nawiązką wolności w świecie
do cna zniewolonym. W świecie, w którym,
jak zapisał w wierszu *Poezja i para-
noja*:*

*Towarzysze ze Stasi.
Którzy przez trzy dekady
Mieli mnie za element wywrotowy,
Wiedzieli o mnie dużo, ale nie wszystko.
Właśnie „to nie wszystko” – to była
mała kraina niepodległości. Pisze poeta:
Znali rozmowy w moim mieszkaniu, ale
Moich przemilczanych myśli nie znali.*

Z Berlina, spod Muru Straceń uciekał do lasu, do swojej chaty, raczej altany, pewnie powiedziałby: do lauby, gdzie miał łóżko, stół i krzesło. A za oknem pola, drzewa i ptaki. Każdy ptak ma u Henryka Bereski swoją nazwę, jest to kos, szpak, wrona lub sroka, nigdy po prostu ptak. Podobnie z drzewami. Poeta nigdy

nie oparł się o pień drzewa. To drzewo, jak ptak, także ma swoje imię.

Ale i w tym świecie, jak w berlińskiej klatce, jest samotny. Nie obcy. Ale samotny. *Kiedy w nocy ujada pies we wsi* – pisze Henryk Bereska – *to przeze mnie.* W Berlinie nie mógł spać, bo ze snu wybijały go odgłosy wystrzałów. Tutaj także cierpi na bezsenność.

*Wzdłuż płotu
Ciagną za mną kundle,
Ale już dalej idę SAM.*

Powiedziałem wcześniej o nurcie franciszkańskim w liryce tekstów brandenburskich, ale ten święty Franciszek w ceratowym kaszkiecie, enerdowskich farmerach i starej marynarskiej kurtce, jest obserwatorem świata roślin i zwierząt. Nie zatracą się w nim. Po prostu jest mu niezbędny do życia. Nie jest mu obojętny ich los, to wszystko. Jest bowiem pełen nieufności do świata. Do cywilizacji. Lecz także do natury. Po latach zakończy wiersz pt. *Las porzucony przez armię* (oczywiście, bratnią armię radziecką), trzema zastanawiającymi wersami:

*Ach, ta tęsknota lasu
Za kolczastym drutem
I mundurem*

Nie tylko las, bo i człowiek, zażęskni czasem, choć trudno w to uwierzyć, za niewolą. Tę gorzką prawdę zapisał Henryk Bereska, bo gdyby tego nie zrobił, miałby z pewnością poczucie, że uchybił prawdzie. W jednym z najpiękniejszych wierszy, napisanym we wsi Kolberg, pod koniec października w roku dwa tysiące trzecim, a zatem w jednym z najpóźniejszych „wierszy brandenburskich,” zatytułowanym *Kiedy nocą chodzę bez celu*, tak oto opisał stan swego ducha, stan ducha człowieka przeciw wolnego, ale czy możliwa jest wolność pełna, całkowita:

*W mojej chacie
Zostawiam światło,
A nuż ktoś przyjdzie*

*Odwracając się
Widzę je chwilę
Przez gałęzie sosen.
Jezioro jest spokojne
w świetle księżycy.
Umilkły ptaki.*

*Na drugim brzegu
Błyskają światła.
Świetlista ścieżka do mnie.*

*A teraz droga powrotna:
Pastwisko, cienie koni,
Gdzie nagle zabrzmiało uderzenie*
kopyt.

*Wszedłszy na wzgórze
Widzę światło w moim domu:
niepewność.*

Po długiej, blisko osiemdziesięcioletniej wędrówce z szopienickich familków pod Mur Berliński, gorzka wiedza o naturze wszechrzeczy zawarta będzie w kilku słowach, które powtórzmy raz jeszcze:

*Widzę światło w moim domu:
Niepewność.*

Kilka lat temu w okresie poprzedzającym Święta Bożego Narodzenia wybrałam się do Wiednia na wielką wystawę malarstwa okresu historyzmu. Stare centrum stolicy Austrii z placem przy katedrze Świętego Stefana, ekskluzywne śródmiejskie ulice, Hofburg i plac Marii Teresy lśniły wówczas od dekoracji świątecznych z neonami wyobrażającymi choinki, gwiazdy i aniołki. Miasto zamieniło się w iglasty park, którego jodły przybrane były złotymi bańkami i wielkimi szyszkami z włoskich sosen. Wiedeńskie śródmieście przypominało scenografię hollywoodzkich produkcji filmowych oglądanych przez dzieci w wigilijne poranki. Z małych sklepików i kawiarenek unosił się zapach sernika i kawy. Nic więc dziwnego, że przechodniom udzielał się nastrój świąt, zrelaksowania, życzliwości i rodzinnego ciepła.

wszechnie przez architektów, którzy planują budowle i ich otoczenie z uwzględnieniem zapachów, jakie będą im w przyszłości towarzyszyć.

Nikiszowiec w sosie brukselskim

IRMA
KOZINA

W wielu środowiskach pod adresem ludzi nauki jest często wysuwany zarzut, że ich wypowiedzi „nafaszerowane są” zwrotami zaczerpniętymi z języków obcych, chociaż owe zwroty mają przecież dokładne odpowiedniki w języku polskim. Problem tkwi w tym, że zwroty polskie łączą się czasem z inną tradycją i wywołują przez to inne skojarzenia niż te, które odpowiadają używanym przez danego naukowca zwrotom obcym. Ja sama mówiąc o mieście stosuję często francuski zwrot „lieu de mémoire”. Polscy romanści bez chwili wahania przetłumaczyliby ten zwrot jako miejsce pamięci. I wtedy zacząłby się cały kłopot. Dużo osób wspomina przecież jeszcze te wszystkie miejsca i izby pamięci bohaterów komunizmu, którym trzeba było oddawać kiedyś hołd w formie obowiązkowej wizyty w ramach lekcji przygotowujących młodzież do życia w społeczeństwie socjalistycznym. Tymczasem „lieu de mémoire” nie zawiera w sobie żadnych treści heroicznych. Jest to raczej miejsce odtwarzane z pamięci. Zapamiętany fragment miasta, w którym mieszkało się przez jakich czas lub który zapamiętało się podczas jakiejś krótkiej nawet wizyty.

Nie pamiętam już, z jakiego powodu zaczęłam odchodzić od centrum miasta, idąc wzdłuż jednej z ulic rynkowych. Po kilku minutach znalazłam się w szarym i smutnym blokowisku, bez neonowych światel i choinek, całkowicie wyciszonym zmęczeniem kończących dzień pracy wiedeńczyków i odpychającym odrapanymi tynkami długo nie remontowanych elewacji. Przechodząc obok ciemnych zaułków czułam zapach ludzkiego moczu. Pomyślałam sobie wtedy, że wiedeńczycy zbyt dosłownie potraktowali rady dziewiętnastowiecznego austriackiego urbanisty Camillo Sitte, który pisał o tym, że miasto powinno mieć swoją szatę niedzielą oraz strój codzienny. Sittemu chodziło w tym stwierdzeniu raczej o skalę budowli. Jego zdaniem punkty centralne w mieście powinny być bardziej monumentalne, ze skalą

wynikającą z poruszania się szybkim tempem kolumny jeźdźców konnych lub powozu, dzielnice mieszkaniowe natomiast cechować miała mniejsza skala, obierająca jako moduł zwykłego przechodnia i nacechowana intymnością codziennego życia rodzinnego. Bez względu na skalę warunkiem sine qua non była dla tego urbanisty dbałość o czystość i dobry stan zachowania budynków w mieście.

W mojej głowie pojawiło się wtedy także inne jeszcze skojarzenie. Kiedy byłam studentką, wielkim hitem czytelniczym stało się *Pachnidło* Patricka Süskinda. Ta książka nauczyła nas, że architektura odbierana jest przez nas wszystkimi zmysłami i na ogólne wrażenie o przestrzeni, w której się poruszamy, wpływają nie tylko doznania wzroku i dotyku, ale także informacje odbierane węchem i słuchem. Dzisiaj pogląd ten przyjmowany jest dość po-

W moich prywatnych „lieu de mémoire” jest pewne miejsce zapamiętane z pobytu w Brukseli. Także tam „zapaściłam się” w głąb miasta i odchodząc od centrum trafiłam do pewnej mieszkaniowej dzielnicy. Ale wrażenia stamtąd wyniesione były zupełnie inne od tych wiedeńskich. Osiedle, które zobaczyłam, wybudowano około 1900 roku. Było to takie typowe dla ówczesnej architektury robotniczej założenie z czerwonej cegły, z dużymi dziedzińcami wewnętrznymi, dookoła których wznosiły się szeregowe ceglane bloki z malowniczymi wykuszami i balkonikami. Ponieważ te dziedzińce były bardzo rozległe, nie brakowało w nich słońca. W części z nich urządzono place zabaw dla dzieci, we

wszystkich założono nowoczesne bruki i małe ogródki z trawnikami, na których eksponowano sadzone na ziemistych zakolach rosnące pojedynczo wielkokwiatowe pacioreczniki. Przy schłodnych parkingach krzątały się panie pachnące Coco Chanel, w eleganckich kostiumkach, z jedwabnymi szalami na szyjach i torebkami „od Valentina” w ręku.

Zorientowałam się dość szybko, że zobaczone tam budowle są mi dobrze znane, ale wyglądają jakoś inaczej od tych, które były już wcześniej zapisane w mojej pamięci. No tak! Przecież my w Polsce też mamy takie osiedle! Przecież to jest nasz katowicki Nikiszowiec! Te same malownicze układy ceglanych bloków, dekoracyjnych wykuszy i balkonów, te same arkadowe zaułki, te same secesyjne motywy kwiatowe w elewacjach. Cegła ta sama i układ architektoniczny ten sam, a jednak coś nieporównywalnie innego. Wybudowany na początku XX wieku według projektu dwóch architektów berlińskich, Emila i Georga Zillmannów Nikiszowiec jest dzisiaj dzielnicą Katowic, w której nawet ci najbardziej odważni nie wychodzą z domu po godzinie siedemnastej. Niegdyś robotnicza dzielnica płaci potworne koszty transformacji przemysłu ciężkiego i znana jest przede wszystkim z często poruszanego w miejscowych mass mediach problemu najbardziej niedożywionych w Polsce dzieci, młodzieży pozbawionej możliwości skorzystania z dobrodziejstw edukacji na poziomie wyższym, biedy emerytów i bezrobotnych, która wyziera tam z każdego zaułka.

Można zaryzykować stwierdzenie, że dzisiejszy los tej dzielnicy był jej przeznaczony od samego początku. Jeszcze pod koniec XIX wieku wielu urbanistów ostrzegało, że nie należy tworzyć dzielnic robotniczych, które prędzej czy później zamienią się w getta odseparowanej od reszty miasta ludności o jednolitym statusie. Takie odcięcie od reszty świata zamyka dany teren przed wszelką wymianą myśli i uniemożliwia poznanie różnych postaw i różnych sposobów życia.



Zdjęcie: Janusz Szewczyk

Już wtedy uważano, że w lepszej sytuacji są robotnicy mieszkający w przyziemiach i poddaszach kamienic czynszowych, których sąsiadami byli zarabiający mniej więcej podobnie nauczyciele i malarze. Tego rodzaju wspólnota, oczywiście wcale niełatwa, była bardzo korzystna z wielu względów. Mieszane małżeństwa i bliskie kontakty sąsiedzkie budowały wzajemny szacunek społeczności o odmiennym statusie i siłą rzeczy sprzyjały naturalnemu procesowi podnoszenia poziomu życia.

Bloki Nikiszowca powoli pustoszeją. Pozbawieni perspektyw życia w miejscu rodzinnym młodzi mieszkańcy tej dzielnicy wyjeżdżają stamtąd do innych regionów w poszukiwaniu pracy. W prasie pojawia się wiele ogłoszeń o możliwości kupna

mieszkania, atrakcyjnego nie tylko ze względu na niską cenę, ale także z uwagi na usytuowanie na obrzeżach dynamicznego ośrodka miejskiego, jakim bez wątpienia są Katowice. Wielu mieszkańców Śląska ze smutkiem obserwuje ten proces, mówiąc że stary Nikisz powoli traci swój dawny górniczo-przemysłowy charakter. Ja przyznam, że obserwuję to z wielką nadzieją. Być może nowi mieszkańcy tej dzielnicy będą w stanie ponieść duże inwestycje finansowe i przekształcić Nikiszowiec w ekskluzywną dzielnicę podmiejską, równie piękną jak ta, którą podziwiałam w Brukseli. Architektura już jest. Potrzeba jeszcze tylko kilku entuzjastów z odpowiednio grubymi portfeli.



Zdjęcie: Janusz Szewczyk

Między jednostkowym i społecznym
(na przykładzie własnym)

Gdzie się podział Karol?

STEFAN
SZYMUTKO

Sformułowanie problemu

Wuj Karol, Karol Lelonek, książd Karol Lelonek – teraz tak myślę – był jedną z najważniejszych osób w moim życiu (urodzony 29 stycznia 1937 roku, zmarł 15 marca 1973). Wuj, podkreślmy, Stefana Szymutki, nie wuj Brunona Schulza, znany z opowiadania pt. *Pan Karol*, wolno było Stefanowi mówić do niego po imieniu, chociaż głównie chyba z powodu starszych kuzynów, którzy zwracali się do Karola tak samo. Wuj dawał mi książki, wycygańłem nawet *Autopamflet* Gerharda z frywolnymi scenami, o których dowiedziałem się od rówieśnika. Karol namówił mnie (Karol, nie Czesław Miłosz), żebym przeczytał autobiografię Thomasa Mertona, mistyka (*Siedmiopiętrowa góra*). Dziwne też, iż dał do czytania *Oścień smutku* Edwina O'Connora, gdzie opowiada książd alkoholik, głównie – o samotności. Jakaś jego tajemnica, ból? Te książki nadal są w mojej bibliotece.

Karol umierał. Najpierw nie do uwierzenia, mimo drenu w boku i plastikowej torebki, którą zastępował nieużyteczne jelito. Żartowaliśmy i śmialiśmy się, (dajmy na to) gdy oszukiwał w szachach, wymuszając ustępstwa w ruchach. Były jednak i poważniejsze chwile. Kiedyś, trzymając się ręką za bok (prawie stale tak robił), przygarbiony, a jednak wpatrzony w niebo, wykazywał, że świat nie mógł powstać sam. Słuchałem, nie mogąc słyszeć. Miałem czternaście lat, byłem w wieku, kiedy ma się historię przed sobą i nie chce się o niej my-

śleć. Inaczej Karol, którego życie zanikało – jeszcze tylko przeżyć, dokończyć perypetię z rakiem. I przygnieciony fizycznością próbował mówić o metafizyce... Może myślał o czymś zupełnie innym niż mówił, był na zewnątrz swoich słów, patrzył w górę bez myśli, wykorzystując jedną z końcowych okazji, by się przyjrzeć gwiazdzystemu niebu? Nie mogę wiedzieć. Pewnikiem tylko polna droga, którą szliśmy, letni wieczór, zapach pola i ogrodów, jego kapelusz, chociaż było ciepło.

Nie przeminęło, nie, nie. Jeszcze. Trwa, co było¹. Zgadzam się z Benjaminem, że przeszłość to „tylko [...] obraz”², lecz dodam, iż także dźwiękowy. Pogłos i powidok przeszłości, która już jako współczesność nie udostępnia nam się inaczej, prymarnie niż zmysłowo, przeważa w zmysłach. Można więc (twierdząc na przekór dzisiaj) uobecniać to, co właściwie nie przestało być obecne i jest wciąż, choć dawno tego nie ma. Słusznie Husserl, o czym szczęśliwie przypominał mi Ricoeur, rozdzielił uobecnienie od przedstawienia³, mimo że przedstawienie (szczególnie: słowne, literackie) – wiem po sobie – wysya obecność. Gwiazdziste niebo, w które patrzyliśmy razem z Karolem (ja szczył pewnie raczej w ziemię), nie musi koniecznie kojarzyć się z Kantem. Prędzej z kiepską sztuką: kapelusz Karola, kapelusz pana Anatola, słońce w kapeluszu, królik z kapelusza itd. Własna przeszłość jest bowiem obecna, niestety, tylko dla mnie, innym mogę ją jedynie przedstawić. Chcę i potrafię pamiętać, natomiast nie dam rady napisać pamięci, mimo iż robię

wszystko, co w mojej mocy, żeby obecność nie zginęła mi w przedstawieniu. Szukam słów i przytrzymuję obecność jednocześnie. Pyszni poststrukturaliści, nadęci (po)krytycy metafizyki obecności, oczywiście, zaprzeczają. Jałowe wyrzekania, że najpierw przedstawienie, tylko słowo, wiadomo. Jakbyśmy nigdy nie byli obecni. Irytują mnie ci z drzwiami na plecach (określenie Irzykowskiego), niby naśladowcy Derridy, a tak naprawdę ładziwie Iwana Bezdomego, który omal szatanowi nie wmówił, że nie istnieje⁴. Psy niebytu.

Potem Karol poszedł do szpitala i nie chciał, żebym go odwiedzał. Byłem tam tylko raz i po tej jedynej wizycie powinienem spodziewać się tego, co nastąpiło później: z trudem poznawałem Karola w jego coraz bardziej bezładnym, cierpiącym ciele, wymiętoszonym bardziej niż pościel. Nie umiałem go rozpoznać, kiedy zwłoki przywieziono do rodzinnego domu. Tępo wpatrywałem się w trupa. Ciała prawie żadnego, ubyto za życia: obciągnięty skórą kościotrup, ubrany w za dużą sutanę, czaszka zamiast twarzy i jeszcze (groteska!) książdowski biret na głowie. Bardziej był podobny do światka niż do człowieka. Do Karola w ogóle. Co się z nim stało? Gdzie podział się Karol, który uczył mnie, że przykład w kazaniu to łatwizna: im więcej miejsca zajmuje, tym mniej roboty ma kaznodzieja. Po latach z nazwiska będę cytował te słowa na wykładzie z retoryki, tłumacząc studentom funkcję *exemplum* w wypowiedzi. Gdzie podział się Karol? A prędzej: po co w ogóle był? Po co on, po co ja?

Problem dojrzał do sformułowania. Czy już wtedy, w tamtym czasie zdarzeń? Byłoby mi łatwiej ze względu na przodków, zwykłych ludzi, których nazwisk próżno by szukać w kronikach i w indeksach osobowych uczonych dzieł⁵. Odpadała więc możliwość pocieszenia, że zostawili ślad, przetrwali w słowie. Zresztą cała ta koncepcja śladu jest mocno naiwna, bo cóż właściwie może przetrwać? Odczułem zatrąę, brak, pozbawienie i to one (gdybyjąc, co mogło się wtenczas stać) określiły moje myślenie – moje prywatne, aczkolwiek bynajmniej nieosobliwe, skłócenie intelektu z nacznością. Jak to? Więc życie nie ma żadnego znaczenia? Niezależnie, jak wiele się wydarzy, jak wiele może się wydarzyć, jeden przewidywalny i jałowy koniec: przerwanie, śmierć w dekoracjach pogrzebowego rytuału, zgon wszystko wymazujący, wydrapujący do bieli zapomnienia?

Bezsilność historii wobec biologii, fizjologii, a w dodatku obojętność historii na swoich bohaterów, zwłaszcza – tych szeregowych, do których muszę zaliczyć Karola i mnie. Ich nieważność, wypchnięci poza historię, pozbawieni w niej miejsca. Albo odwrotnie: zawłaszczeni przez nią, niewidoczni w masie, którą dzień w dzień mieli maszynka dziejów.

Niepotrzebność zatem własnej historyczności w historii, mimo iż taka swoja, taka inna, taka różnorodna. Jak tedy zapobiec wyobcowaniu? Mogę się jedynie złościć, gdy ignoruje się niepowtarzalność mojego istnienia i w odwecie nie traktować historii świata poważnie.

Historyczność jednostki w historiografii i historiozofii, czyli nieistotność problemu

Historia powszechna zamyka się przed indywidualnym. W refleksji na temat przeszłości zagadnienie historii jednostki, pojedynczości występuje rzadko i na krótko. Najprawdopodobniej z powodu domniemanej oczywistości przemijania, błahości sprawy, iż coś, co pojawia się, jest nietrwałe i znika (zmarły, po prostu, to „osoba [która] już się nie pojawi”⁶). Naprawdę nic tutaj nie zastanawia? – np. że nicości przemijania (w przemijaniu) odpowiada nicość języka, w którym nie można przechować ani rzeczy, ani ludzi. Dwie nicości przeglądające się w sobie?

Zrozumiałe zaś o tyle, o ile trudno wyobrazić sobie metodologię, która pozwalałaby w historycznym opisie uwzględnić wielość ludzkich istnień inaczej niż statystycznie. Tym niemniej ignorowanie tej wielości może przynębiać i denerwować. Ładne słowa – np. przygodność istnienia, „świat przygodnych faktów”⁷ – za którymi odnajdujemy brzydkie i zwyczajny ból swojej znikomości. Określenia bytowe w dyskursie o historii porażają zubożeniem na egzystencję. Ranke pisze, że „historia jest zdana na żywioł realny”⁸, jakby zajmowała się czymś nierozumnym, albo czymś, czemu rozumu przypisać nie można lub nie należy. Droysen z kolei ostentacyjnie pogardza historycznym ja: „[...] nędzne, samolubne, efemeryczne »Ja«; pojedynczy człowiek w dziejach – według Droysena – reprezentuje „swą małą i zapomnianą indywidualność”⁹. Nawet Nietzsche, tak wrażliwy na „osobliwe poszczególnie żywoty”¹⁰,

który pyta o to samo, co ja – „[...] po co jesteś ty jeden”¹¹? – zawodzi. Chyba obawiał się tematu pojedynczości, przewidując, iż mu się wymknie, nieuchronnie wymknie. Kpił z tych, którzy przedwczesną śmierć Rafaela łączyli z wyczerpaniem się jego artyzmu: „[...] Rafael musiał umrzeć w wieku trzydziestu sześciu lat”, ponieważ „wyraził wszystko, co w sobie miał”, „nie stworzyłby piękna nowego”¹². Lecz oprócz szyderstwa niewiele więcej miał do powiedzenia. Czy jego milczenie oznacza, że Nietzsche wiedział, iż żadna historia, nawet heroiczna, nie jest korzystna dla jednostki – że przejście do historii dla jednostki oznacza zawsze przejście do zatury?

Karol też miał trzydzieści sześć lat, gdy umarł¹³. Także przerwane życie, również żadne tam spełnienie, z przerwanej historii nic nie wynika! Zostały jedynie lata, których nie przeżył. Autor rozprawy *O pożytkach i szkodliwości historii...* omija problem jedynego życia szerokim łukiem teoretycznych rozważań – równie szerokim, jak teoretycznym. Niewiele pisze o sposobie istnienia jednostki w dziejach.

Przeszłościowi frustraci

Współczesność, zwłaszcza taka nowoczesna i ponowoczesna, jak nasza, nie znosi przeszłości. Każde lgnięcie do niej jest podejrzane – głównie o niedostosowanie do teraz. White, referując poglądy Sartre’a, przypomina, że historia to możliwość manipulacji i kłamstwa (jednostka „pamięta tylko to, co chce pamiętać”), którą wykorzystuje się, tworząc mity, usprawiedliwiające teraźniejszość („retrospektywna racjonalizacja samych siebie”¹⁴). Takiemu rozpoznaniu z pewnością patronuje nasz Fryderyk Nietzsche. Swoją słynną szkic przeciw historii rozpoczyna od pochwały życia, obrony życia przed historią, co „usypia aktywność”¹⁵, a może i – jak historyczna sprawiedliwość, absurd według Nietzschego, w dodatku zbędny – „podkopuje życie i doprowadza je do upadku”¹⁶. Zwierzę jest szczęśliwe, „wolne od melancholii i znużenia”, ponieważ – wyjaśnia filozof – nie myśli o historii¹⁷. Po Nietzschem nie można już było bezpiecznie podawać się za bezinteresownego miłośnika przeszłości, traktującego minione jako byt sam w sobie. Benjamin wyszpiewował w takiej empatycznej postawie („Jest to metoda wczuwania się”) aceduję, „gnuśność serca”, którego nie stać na

prawdziwe uczucie¹⁸. Po nim White mógł bez skrępowania rozważać hipotetę, że zajmujący się przeszłością musi być „antykwarium uciekającym od problemów teraźniejszości w czysto prywatną przeszłość, czy też kimś w rodzaju kulturowego nekrofila, to jest kogoś, kto w tym, co martwe i umierające, odnajduje wartość, jakiej nigdy nie odnalazłby w tym, co żywe”¹⁹. Mimochodem (boć oczywiste!) White nazywa historię „domeną śmierci i umierania”²⁰.

Ergo: zanurzony w przeszłości to frustrat – zanurza się w niej, gdyż boi się dziś i nie rozumie wczoraj. W postlacanowskiej psychoanalizie jestem chorym niezdolnym w pełni przyjąć „przygodności mojego bycia”²¹ (buntowałem się przeciwko temu przygodnemu słowu parę akapitów wcześniej). Będąc za słabym, by zmierzyć się z „potwornością Realności”, uciekam w obrazkową historię przeżytych dni, gdzie jednak nieuchronnie muszę się z tą samą Realnością spotkać. Jak Hamletowi mija mi pożądanie Ofelii, kiedy dostrzegam w jej ciele zapowiedź rozkładu, czekającego każdego z nas, a jednocześnie z lubością wciągam w nozdrza odór gnicia (strach pomyśleć, już się boję, co to będzie, jak dotrę do ostatniego podrozdziału pt. *Cmentarz?*). Nie potrafię kochać kobiety, która gardzi dezodorantem, mimo że jestem (zob. poprzedni akapit) nekrofilem. Inaczej niż w amerykańskich filmach nie całuję jej po przebudzeniu, dopóki nie umyje zębów i pozbędzie się przykrego zapachu.

Czuje się winnym, uznaję się za nieudacznika, nie zasługuję na nic więcej niż współczucie, bynajmniej – na uwagę. Moja historia jest tylko moją histerią.

Wybrane mankamenty teorii

Nie jestem wszak postacią łatwej zgody. Pojedynczy człowiek ma, sędzę, prawo do „historycznej” histerii, prawo, żeby się bać. Przyznaje mu je ten sam filozof, który szczególnie pojedynczością się nie zajmował, we fragmencie o mózgach „załęknionych zwierząt krótkiego żywota, które wciąż na nowo wynurzają się z niebytu i przez krótki czas z wysiłkiem stawiają opór zniszczeniu”²². Podobno cierpię na narcystyczny uraz, a gdyby nawet, czy moja choroba cokolwiek wyjaśnia? Uchylam się od przyszłości? Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że to raczej

przyszłość uchyla się od nas – w pewnym momencie raz na zawsze, ostatecznie. Przeszłość zezwala nam na być, mimo naszego wcześniejszego niebytu, i ściąga nas tam z powrotem. Woody Allen o Tintoretcie we *Wszyscy mówią: Kocham cię*: „Urodził się w 1519 po to tylko, by znów umrzeć w 1594”. Dziwaczna chwilowość, pokosztowanie bytu przez niebyt i obejście się smakiem. Nie wiadomo, na co i po co... Zresztą, jeśli mam być chorym (zdrowym na pewno nie jestem), przyznam się do jeszcze jednego szaleństwa: uważam się za adwokata znanych zmarłych – nie tylko dlatego, że z tymi zmarłymi lepiej się czuję, lepiej ich rozumiem, mogę mówić za nich wśród żyjących. Reprezentuję więc interesy zmarłych przed nieznany trybunałem. W niniejszej pozornie wyzywającej deklaracji zbanalizowaną metaforą rozgarniam ciemność śmierci. W dodatku nieadekwatną metaforą, ponieważ w procesie, w jakim uczestniczę, słowa mniej liczą się niż... życie.

Nie chcę być humanistą, który udaje, iż śmierci nie ma, albo on sam nie ma dość sił, żeby pisać wbrew niej. Nie przywołałem historii Karola, inaczej niż swego czasu ciotki Cili (zob. *Nagrobek ciotki Cili*), aby biadolić. Rozumiem przemijanie (jego mechanizm, strukturę, celowość...), przynajmniej tyle rozumiem, i wiem dobrze (zapewniam), że żadna rzeka nie płynie do źródeł. Nieuchronność straty, chociaż przystając na jej warunki z goryczą, mniej teraz (dawno po) waży niż miejsce tej straty w uczonych opowieściach. Po co różnorodność i rozmaitość, kiedy celem jest bezbarwna, mimo efektownych pasaży, ogólność syntezy? Na co taka prawda nauki, która wyrwa mi prawdę samego siebie? Zarazem nieczyste sumienie scjentyzmu, coś jednak dręczy tę wykształconą historię – poczucie jakiejś nieadekwatności – skoro posługuje się kategoriami przygodny fakt, indywidualny żywot itp., jakkolwiek poza Teodorem Parnickim o pojedynczości pisać potrafi niewiele.

Procesuję się o miejsce pojedynczego człowieka w historii. Starożytni Grecy, których niemal utożsamiamy z losem i przeznaczeniem, poparliby najprawdopodobniej wniesienie sprawy albo – przynajmniej – poruszenie kwestii. Arystoteles wciąga „sprzyjający los” na długą listę warunków szczęścia, z których każdy właściwie jest na-

rażony na przypadek. Jeden z nich jeszcze przed życiem: „szlachetne urodzenie”. Pozostałe są darem („zdrowie, uroda, siła, odpowiedni wzrost”) lub zależą od okoliczności: „[...] posiadanie wielu i uczciwych przyjaciół, bogactwo, dorodne i liczne potomstwo, piękna starość”²³. Cytuję Arystotelesa, żeby wśród optymistycznej ciszy zabrzmiało, że mało, malutko w życiu zależy od pojedynczego człowieka. Karol jako ofiara tego, na co nie wpływamy.

Dochodząc sprawiedliwości w procesie przeciwko pojedynczemu człowiekowi, jako jego obrońca nie kieruję się pobudkami społecznymi – nie odgrywam się w słowie na rzeczywistości, aczkolwiek trudno, żebym ja potomek proletariuszy nie widział, że nierówność historyczna jest towarzyszką socjalnej, ekonomicznej. To ciągle ten sam problem niedopasowania historii jednostkowej do społecznej, egzystencjalności nie jest jedynie kłopotem historiozoficznym. Narzekamy na upadek etyki, ale jak możemy wymagać moralności od kogoś, czyjego istnienia się nie uważa? Bądź dziwić się, że przystępuje on do faszystów, gdzie dobrowolnie i samowolnie zrzuca się jednostkowości? Korzyść i zysk, podstawa kapitalizmu, uniważniają jednostkową historię i opiekuńcze programy społeczne niewiele mogą w tym względzie zmienić. Idealem byłoby, gdyby każdemu dano szansę na własne dzieje, ponieważ tylko w ten sposób jednostka mogłaby się w dziejach rozpoznać. Inaczej w historii nie można się zadomowić, mimo iż to nasz jedyny dom. I to dotyczy zarówno humanistyki, jak i ekonomii, egzystencji i pracy. Bieda, samotność i wyobcowanie nie są znowuż od siebie tak odległe.

Kapitalizm mógłby mieć ludzką twarz, lecz twarz jest zawsze czyjaś.

Cmentarz

Historia mysłowickich cmentarzy²⁴ nie różni się zbytnio od historii cmentarzy w innych miastach. Wyznacza ją brak ziemi do grzebania umarłych²⁵: najpierw przenoszenie terenu pochówku z miejsca na miejsce, potem – poszerzanie istniejącego cmentarza. „Ciasno się stanie niezadługo w ziemi”, czytamy w ostatniej, pośmiertnie wydanej powieści Parnickiego²⁶. Ta ciasnota śmierci powoduje, że groby trzeba przekopywać. Przekopać groby? Nie znajduję lep-

szej figury dla wyrażenia współczesnej myśli o historii. Przekopywanie oznacza koniec mitu eleuzyjskiego, „agrokultury” śmierci, gdyż ni o sianiu, ni tym bardziej o płonach mowy już być nie może. Ostateczne pożegnanie z sensem umierania.

Nie wolno nam bowiem w obecnym stanie refleksji wypatrywać ciągłości w dziejach²⁷, mamy się wyrzec sztucznych porządków i (zwłaszcza) nie ulegać złudzie narracji, opowieści, która nadaje sens temu, co samo w sobie znaczenia nie ma (m.in. naszemu życiu), ponieważ – twierdzi Hayden White – „[...] bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy historii, która wychowa nas w duchu braku ciągłości, gdyż to właśnie brak ciągłości i chaos są naszym losem”²⁸. Czy, powtarzam, coś lepiej spełnia ten postulat niż przekopywanie grobów, chowanie w tym samym grobie zwłok osób, których nic ze sobą nie łączyło, usuwanie przeszłości? Następstwo, jakie nie jest ciągłością i nawet (właśnie) nie zostawia śladu. Coś lepszego niż chaos, bo następstwo to porządek bez porządku, porządek przypadkowy (oksymoron). Cmentarze też się przekopuje, nie tylko poszczególnie groby, cmentarze są ruchome i znikają, dlatego gdzie były niegdyś cmentarze w Mysłowicach, teraz stoją domy. Swoją drogą: przekopywanie wskazuje, że i do śmierci trzeba się dopchać, wepchnąć. Nowe trupy są ważniejsze niż stare.

Według Bataille’a cmentarze robią miejsce młodości²⁹. Karol nie musiał mi go robić, on sam umarł młodo, ale i jego pochowano w przekopanym grobie, chociaż ni by kaplicy przekopać się nie da. Kiedyś był to grobowiec bogatej rodziny Klausów, o czym dzisiaj jeszcze powiadomiamy zatory, a właściwie rożnity napis nad drzwiami: „Familie Klaus”. Co się z ową rodziną stało, nie wiem; przed II wojną światową (podaje ks. Kudera) mieszkała we Wrocławiu³⁰ – więc może najpierw zabrała prochy przodków tam, a potem po wojnie jeszcze dalej na zachód, choć Marcin Cieński mówił mi, że to kompletnie nieprawdopodobne? Historia nie kończy się wraz ze śmiercią, śmierć ma też swoją historię, zmarli nadal w niej występują, lecz uwolnić się od rozkładu i tak nie mogą.

Karola właśnie to spotkało, fizjologia upokorzyła go jeszcze po śmierci, jakby mało za życia, kiedy miała gdzieś jego uczucia, myśli i plany. Trumna była podwójna,

metalowa – zalutowana, a jednak coś nie było w porządku i fetor rozkładających się zwłok wydobywał się z niej. Obmurowujący trumnę w krypcie w jakiś czas po pogrzebie – wiem od jednego z nich, wuja Emila, brata babki – pracowali w odróżającym, dławiącym smrodzie. Opowiadał obryzgliwie historie? Nie, kończę opowiadać dzieje pojedynczego człowieka, których częścią jest też gnienie, cytując Macieja Zembatego: „zresztą sami przekonacie o tym się” (z utworu: *W prosektoium najweselej jest nad ranem*). Historia, jak człowiek u Grochowiaka, wcale nie pachnie, śmierdzi, „nie, raz brud po sobie zostawi”. W podziemiu kaplicy Klausów, wybudowanej w gotyckim stylu³¹, fizjologia mieszała się z kulturą. „To są zwyczajne dzieje”, ludzkie dzieje, jeszcze.

Oczywiście, zamiast doprowadzić indywidualną historię Karola dalej niż jej zakończenie, mógłbym (łatwiejsze rozwiązanie) zaprezentować tę historię jako wariant społecznej. Karol był księdzem, jego los potwierdza tezę znawcy miasta (odnośnie XVI wieku), „że w Mysłowicach ludzie garnęli się do nauk, a szczególnie do stanu duchownego”³². Dla dziecka niewykształconych Ślązaków „pójście na księdza” było najkrótszą drogą do inteligencji. Zresztą, gdyby nie został księdzem, nie spoczywałby w kaplicy Klausów. Dwie z trzech kaplic na tzw. (dzisiaj) starym cmentarzu w Mysłowicach były „nieduchowne”, druga: „awanturniczej” rodziny Müllerów³³. Obecnie wszystkie są grobowcami księży, związek rodzinny został wyparty przez kościelny, więc Karol leży z myślowickimi proboszczami z XIX i XX wieku³⁴. Dziwne, że tak świeckie zjawisko, jak śmierć, świeckie aż do trywialności rozkładu, zostało wyparte i zaprzepaszczone. Nie umiano go oswoić i zagospodarować. Historyk myślowickiej parafii kpiąco opowiada o tym, jak odsuwano cmentarz od centrum miasta: „[...] wypędzano ludzi ze cmentarzami daleko poza obręb miejscowości, aby panom liberałom już nie przypominało śmierci, wieczności i Boga”³⁵. Zbyt pochopnie jednak triumfuje, gdy ów cmentarz powraca do miasta po tym, jak „w pobliżu stanęły domy mieszkalne”³⁶. Albowiem nie wróciła myśl o niebycie, uzwyczajniono jedynie cmentarz, który dzisiaj tyle samo mówi o śmierci, co o codziennym życiu. Gadżety współ-

czesności i świecidelka dnia tak naprawdę niezmarłych, niegroźnie zmarłych.

Karol

A co z tym, od czego zacząłem – historycznością mojego wuja? Historia społeczna użyczyła jej swojego sensu, wszakże to sens bezosobowy. Taki, twierdzi White, jaki lepiej zastąpić chaosem, gdyż człowiek jest rzeczywistością, nie – sensem. A ja właśnie pytałem o to, co stało się z Karolem, gdzie się podział Karol? Od tego pytania zacząłem i nim kończę. Został tylko w ludzkiej pamięci i słowie, jedynych miejscach, gdzie może się schronić rzeczywistość, zanim ją wicher zaświatów ogarnie – użyłem katachrezy i zrobiłem aluzję do Lechonia świadomie, jako że problem nie jest anachroniczny, zawsze aktualny. Powiada Ranke, iż „historię świata zna tylko Bóg”³⁷, jedynie on zatem mógłby zachować myśli, uczucia i przeżycia Karola. Taki bóg bytu jednak, zważywszy na niewyobrażalną wielość ludzkich istnień, musiałby mieć nieskończenie rozległą pamięć. Korzystając z myśli Heideggera, lepiej więc powiedzieć Karola bogom, którzy, jak człowiek, wystawieni są na zmienność i przemijanie – przelotnym bogom bycia³⁸.

¹ „Dlatego rozstrzygające znaczenie ma fakt, że bycie nie znika w swoim pokazywaniu się [*Sich-Zeigen*], lecz z taką samą źródłowością, w jakiej się pokazuje, także skrywa się i umyka” – H. – G. Gadamer, *Język i rozumienie*. Wyb., przekł. i posł. P. Dehnel i B. Sierocka. Warszawa 2003, s. 105.

² W. Benjamin, *O pojęciu historii*. Przel. K. Krzemieniowa. W: *Antoł historii. Eseje, szkice, fragmenty*. Wyb. i oprac. H. Orłowski. Poznań 1996, s. 415.

³ „[...] ze wspomnieniem łączy właściwość »uobecniania« (*Vergegenwärtigung*), będąca czymś innym od zwykłego przedstawiania się zmysłom” – P. Ricoeur, *Drogi rozpoznania*. Przel. J. Margański. Wykłady Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu. Kraków 2004, s. 107.

⁴ Mowa, rzecz jasna, o poststrukturalistycznej przeciętności; wybitni potwierdzają. Hayden White, twórca lingwistycznego zwrotu w historiografii, pisze w liście do Ewy Domańskiej: „Prawda oczywiście jest ważna, ale tylko dlatego, że często ukrywa rzeczywistość. Obecnie zaś bardziej interesuje się rzeczywistością” – H. White, *Poetyka pisarstwa historycznego*. Pod red. E. Domańskiej i M. Wilczyńskiego. Kraków 2000, s. 27.

⁵ W historii parafii myślowickiej, z której będę korzystał w ostatniej części tekstu, jej autor wspomina, iż w dwóch pierwszych grobach na cmentarzu na rogu Oświęcimskiej i Mikołowskiej pochowano górników, ale ich nazwisk, rzecz jasna, nie podaje, choć przeczytał o nich „w metryce zgonów” – J. Kudera, *Historia Parafii Myślowickiej*. Katowice 1937, s. 224. Dziękuję Katarzynie Chmielowskiej za pomoc bibliograficzną.

⁶ P. Ricoeur, *Drogi rozpoznania*, s. 52.

⁷ Sformułowanie Jerzego Kałężnego, autora wstępu do antologii pism o historii – *Opowiadanie historii w niemieckiej refleksji teoretycznoliterackiej i literaturoznawczej od późnego oświecenia do współczesności*. Wybór, przekład i opracowanie Jerzy Kałężny. Poznań 2003, s. 10.

⁸ L. von Ranke, *Idea historii powszechnej*, W: *Opowiadanie historii...*, s. 82.

⁹ J. G. Droysen, *Podstawy historyki (fragmenty)*, W: *Opowiadanie historii...*, s. 136.

¹⁰ F. Nietzsche, *O pożytkach i szkodliwości historii dla życia*. W: *Niewczesne rozważania*. Przel. M. Łukasiewicz. Posł. K. Michalski. Kraków 1996, s. 102. „Tamże”, s. 154.

¹¹ Tamże, s. 154.

¹² Tamże, s. 145.

¹³ Rafael, pomyłka Nietzschego, miał trzydzieści siedem: 26.03.1483-6.04.1520.

¹⁴ H. White, *Brzemie historii*. W: *Poetyka pisarstwa historycznego*, s. 58.

¹⁵ F. Nietzsche, *O pożytkach i szkodliwości historii...*, s. 84.

¹⁶ Tamże, s. 132.

¹⁷ Tamże, s. 86.

¹⁸ W. Benjamin, *O pojęciu historii*, s. 416.

¹⁹ H. White, *Brzemie historii*, s. 61.

²⁰ Tamże, s. 49.

²¹ S. Żiżek, *Przekleństwo fantazji*. Przel. A. Chmielewski. Wrocław 2001, s. 51 – kursywa Żiżki. W następnych zdaniach robię aluzję do s. 131.

²² F. Nietzsche, *O pożytkach i szkodliwości historii...*, s. 97.

²³ Arystoteles, *Retoryka*. Przełożył, wstępem i komentarzem opatrzył H. Podbielski. W: Arystoteles, *Dzieła – wszystkie*, tom 6, s. 318.

²⁴ Zgodnie z zapowiedzią informacje o nich czerpię z książki księdza Jana Kudery.

²⁵ Oryginalny jest jedynie powód „zaknienicia” cmentarza przy kościele Najświętszej Marii Panny: skażenie przestrzeni śmierci przez śmierć – cmentarz „stracił swoje poświęcenie przez rozlanie krwi w pojedynku między szlachcicami Stanisławem Tęgorobskim i Korulskim z Pogonji. Musieli oni być wielkimi zawadzakami, że swojej zapalczowości pohamować nie mogli, ale na świętym miejscu do szabli się dorwali”. J. Kudera, *Historia Parafii Myślowickiej*, s. 224.

²⁶ T. Pamicki, *Ostatnia powieść*. Tom III, *Abdykacja*. Warszawa 2003, s. 140.

²⁷ O tym pisał już Nietzsche, cytując ostrzeżenie Grillparzera, że umysł „łączy rzeczy, które Bóg wie, czy łączyć się ze sobą” (F. Nietzsche, *O pożytkach i szkodliwości historii...*, s. 127).

²⁸ H. White, *Brzemie historii*, s. 76.

²⁹ G. Bataille, *Historia erotyzmu*. Przel. I. Kania. Kraków 1992, s. 85: „Czy istniałaby młodość, gdyby cmentarze nie zapelniali się, aby zrobić jej miejsce?”.

³⁰ J. Kudera, *Historia Parafii Myślowickiej*, s. 183.

³¹ Tamże, s. 183.

³² Tamże, s. 64.

³³ Wolalbym, żeby w tej kaplicy był pochowany Karol. Aptekarz Müller „zginął w bardzo tragiczny sposób”, tak tragiczny, iż ks. Kudera pomija szczegóły jakimś znaczącym milczeniem (tamże, s. 183-184). Karol, zmarły na raka, w grobie (np.) zamordowanego lub samobójcy, przeplatanie się śmierci... Historia popsuła mi historię.

³⁴ Co prawda w kaplicy Müllerów pochowano księdza wraz z rodziną (domniemywam na podstawie tego samego nazwiska w napisach nagrobnych).

³⁵ J. Kudera, *Historia Parafii Myślowickiej*, s. 123.

³⁶ Tamże, s. 15.

³⁷ L. von Ranke, *Idea historii powszechnej*, s. 91.

³⁸ Por. M. Heidegger, *Przyczynki do filozofii (Z wydarzania)*. Przel. B. Baran i J. Mize-
ra. Kraków 1996, s. 381 1465.

10 lat Myslovitz

ADRIAN
CHORĘBAŁA
(„Ultramaryna”)



Kiedy zaczynali na początku lat 90., nikt nie przypuszczał, że ten przeciętnie grający gitarowy zespół będzie 13 lat później wizytówką nie tylko miasta, od którego wzięli nazwę, ale także Śląska, a nawet Polski. Muzycy Myslovitz nie byli nigdy bohaterami skandali, ich historię najlepiej przedstawia ich muzyka. Nieustająca ewolucja muzyczna, ciągle poszukiwania na niwie muzyki popularnej z ambicjami każą uważać ich za jeden z najważniejszych polskich współczesnych zespołów.

Prehistoria zespołu sięga roku 1992, kiedy w myśłowickim MCK – dwaj studenci: Artur Rojek i Wojtek Powaga zakładają grupę o nazwie The Freshman. Ich pierwszy występ następuje już w składzie z Jackiem i Wojtkiem Kuderskimi. Pierwszy sukces przychodzi dopiero w 1994. Formacja wygrywa prestiżowy przegląd – Mokotowską Jesień Muzyczną w Warszawie. Zmie-

niają też nazwę na obowiązującą do dzisiaj: Myslovitz.

Wojtek Kuderski perkusista wspomina ten sukces w jednym z wywiadów: „Siedzieliśmy trzy lata w MDK-u, graliśmy próby, jakieś koncerty w okolicy Myśłowic... Wydawało nam się, że takiej muzyki się w Polsce nie tylko nie gra, ale przede wszystkim nie słucha. Przecież teraz wszyscy: Ameryka, grunge itp. A my co? Beatlesi, Velvet Underground, z nowszych rzeczy Ride, Suede. Okazało się jednak, że to właśnie dzięki temu wygraliśmy, że ludzie jednak są w stanie docenić inne dźwięki niż te katowane w MTV”.

Muzyka z miastem w tle

Ich płytowy debiut zostaje wydany 10 lat temu. 10 października 1995 na półki sklepowe trafia album zatytułowany po prostu *Myslovitz*. Gitarowej muzyce towarzyszą teksty, które tworzą specyficzny klimat. „Z pewnością wynika

to z tego, jak komponujemy. Teksty są bardzo zbliżone do muzyki. Przez to są może też trochę psychodeliczne. Dużo jest w nich o miłości, o rzeczach, z którymi jesteśmy silnie związani. Nie mamy żadnej ideologii, którą chcielibyśmy przekazać ludziom. Robimy piosenki, śpiewamy piosenki. Jeśli ktoś chce słuchać, niech słucha, jeśli nie, niech nie słucha. Po prostu...” – tak muzycy kwitowali wtedy swe pierwsze próby tekstowe.

Można stwierdzić, że teksty nie były najmocniejszą stroną grupy. Po latach Artur Rojek zapytany o to, czy słowa były tylko tłem do muzyki, stwierdza: „Na początku rzeczywiście tak było, ale taki był też ten okres. Chociaż nie tłumaczyłem sobie wtedy tekstów moich faworytów takich, jak Ride, House Of Love czy My Bloody Valentine, to miałem wrażenie, że tam też największe znaczenie ma nie tekst, ale cały ten jazgotliwo-romantyczny klimat”. Nie przeszkadza to jednak fanom. Myslovitz stają się grupą rozpoznawalną. Ich twórczość z tego okresu dzieli się na brit-popowe, bezpretensjonalne piosenki i psychodeliczne improwizacje. Porównania do modnych wówczas Oasis są drażliwym tematem dla grupy. Idąc za ciosem wydają drugi krążek *Sun Machine* (1996). Podczas jego nagrywania dołącza do grupy Przemek Myszor. Zespół w niezmienionym pięcioosobowym składzie gra do dzisiaj.

Pierwsze przeboje

Ich druga płyta przynosi przeboje kosztem rezygnacji z rozbudowanych kompozycji. „My z tego nie zrezygnowaliśmy – opowiada Artur Rojek – wytwórnia w pewnym sensie zdecydowała za nas. Byłem na to wściekły, ale zgodziłem się. Teraz by to nie przeszło! Z pierwszej płyty zostały 4 piosenki, które nam do całości nie pasowały, a że były to przeboje typu *Z Twarzą Marilyn Monroe, Peggy Brown* itd. to wytwórnia postanowiła, że do tych 4 nagramy resztę i powstanie płyta. Pamiętam czas, kiedy ją robiliśmy. Myślenie moje było takie, żeby te lepsze pomysły zostawić na trzecią płytę, a te słabsze na *Sun Machine* jako wypełniacze. W ten sposób nagraliśmy płytę, która sprzedała się w ilości 70 tysięcy egzemplarzy i staliśmy się znanymi w Polsce zespołem”. Sukces komercyjny wiąże się z etykietką, którą przyklejają Myslovitz dziennikarze. Myslovitz według nich gra brit-pop.

raczej o tym, co dzieje się wewnątrz nas...”.

Muzyka czasów popkultury

Sukces artystyczny *Z rozmyślań przy śniadaniu* nie przełożył się na sprzedaż. Przed wydaniem kolejnego albumu zespół znalazł się w nieciekawej sytuacji. Artur Rojek wspomina te czasy w następujący sposób: „Gdy nagrywaliśmy demo *do Miłości...* nasze stosunki z Sony były bardzo napięte. Doszło do tego, że kiedy przyjeżdżaliśmy do siedziby firmy, jeden z głównych szefów nas unikał. Mało kogo obchodził Myslovitz. Demo im się nie podobało. W pewnym momencie doszło do tego, że myślałem o powrocie do swojego zawodu. Sytuacja była krytyczna. Wierzyli w nas niektórzy z pracowników Sony’ego, w tym Sławek Jórász i Maciek Pilarczyk, którym w tym czasie złożyliśmy propozycję współpracy, bo rozstaliśmy się z poprzednim managerem”.

W takich warunkach powstał album-manifest zarówno dojrzałości artystycznej grupy, jak świadectwo dokumentujące obraz współczesnej Polski: *Miłość w czasach popkultury* (1999). Teksty na tej płycie celnie opisują polską rzeczywistość, ale zgodnie z tytułem jest to płyta o uczuciach. Jak pisał Marcin Prokop w „Machinie”, recenzując ten album: „Jaka jest więc miłość w czasach popkultury? Czasami jest jak gorzka pigułka, placebo na własną niemoc (*Dla Ciebie*), przejmujący krzyk w obliczu nieuchronnego rozstania (numer tytułowy). Chwilami ewokuje eteryczne wspomnienia minionego uczucia (*Kraków*), innym znów razem obraca się w rozczarowanie podkarmiane złudzeniami (*Alexander*). Ale jest też owa miłość uczuciem dojrzałym (*My*), a nie tylko erotyczną fascynacją, przesyconą „chłopacką” naiwnością, jak w czasach przeboju *Z twarzą Marilyn Monroe*. Jakby wbrew tytułowi krążka – jest miłością przeżywaną, a nie zachłannie konsumowaną. Ten longplay robi wrażenie. A już myślałem, że polski rock umarł...”. Entuzjastyczne recenzje płyty spotkały się z licznymi nagrodami w tym z tymi najbardziej prestiżowymi jak Paszport Polityki czy Fryderyki.

Myslovitz znaleźli się niewątpliwie w pierwszej lidze polskiej muzyki rozrywkowej, i nie chodzi tylko o to, że ich koncerty zapelniają stadiony, ale o to, że konsekwentnie wypracowali swój autorski styl nie godząc się na kompromisy. Listopad 2000 przynosi uko-

ronowanie sukcesu *Miłości w czasach popkultury* w postaci platynowej płyty.

Bar Mleczny Korova

Korova Milky Bar to miejsce, „gdzie spotyka się gang Malcolm McDowell’a w filmie Mechaniczna Pomarańcza Kubricka. Każdego wieczoru spotyka się tam czterech gangsterów spędzających wieczory na popijaniu mlecznych drinków, które działają na nich bardzo pobudzająco, wywołując w nich uczucie nienawiści i chęci destrukcji” – opowiada o tytule kolejnego albumu grupy Artur Rojek. Piąta płyta Myslovitz musiała przede wszystkim walczyć z wielkimi oczekiwaniami słuchaczy po wyśmienitych recenzjach *Miłości z czasów podkultury*. Wiele tu przestrzeni, wysublimowanych rozwiązań brzmieniowych unoszących się w lekkiej, melancholijnej mgiełce. Inteligentne, gitarowe granie, z tekstami.

Jak napisali w „Polityce”, „Artur Rojek z kolegami stworzyli dzieło godne najbardziej wybrednych uszu. Nie oglądając się na sezonowe nadwiślańskie mody postawili na subtelność dźwięku, wysmakowane aranże tudzież teksty, które śmiało nazwać można poezją. Więcej nawet – poezją jest tu również sama muzyka, łagodnie psychodeliczna jak w piosenkach *Acidland* czy *Wieża melancholii* albo, w najlepszym sensie tego słowa, przebojowa jak w *Sprzedawcach marzeń*. Wysoki, niemal falsetowy głos Rojka świetnie koresponduje z gitarami i lekko pulsującym basem. Rytm potrafi wzmacniać napięcie, niezbyt jednak natłaczające, ale wystarczające, by każdy zamieszczony na płycie utwór zapadł głęboko w pamięć słuchacza”.

Zarzucono trochę Rojkowi, że jako tekściarz rozminął się z rzeczywistością, ale teksty miały mieć wymiar bardziej uniwersalny. Jest to ważne o tyle, że w maju 2002 Myslovitz ruszyła w trasę koncertową po Europie jako support przed gwiazdą z Wielkiej Brytanii, zespołem Simple Minds (zagrali we Francji, Szwajcarii, Hiszpanii, Portugalii i we Włoszech). Ich koncertowanie po Europie nie skończyło się tylko na supportowaniu zespołu Simple Minds, latem 2002 zagrali także parę koncertów na europejskich festiwalach. „Ten wyjazd nauczył nas więcej pokory – wspomina Artur Rojek – gdy graliśmy przed Simple Minds, ludzie, którzy przechodzili ich posłuchać, czekając na nich słuchali też nas. Naszym zada-

Prawdziwy przełom w muzyce grupy następuje dopiero przy kolejnym długogrającym wydawnictwie. „Ta płyta jest bardziej psychiczna, niż psychodeliczna. W zasadzie o tym są wszystkie utwory. O tym, co ja mam w sobie. I co ty masz w sobie. O tym, co siedzi bardzo głęboko, ale czasami wychodzi na wierzch” – tak o albumie *Rozmyślenia przy śniadaniu* (1996) w dniu premiery opowiadał Przemek Myszor. Ich status gwiazdy od przebojów (*Peggy Brown*, *Z twarzą Marilyn Monroe*, *Historia jednej znajomości*) z poprzedniej płyty stał się dla nich swego rodzaju pułapką. Zaczynają być postrzegani jako grupa komercyjna. Co było prawdą, jeśli weźmie się pod uwagę słowa Artura Rojka, który uważa: „Jeżeli ktoś myśli, że »grać komercyjnie« znaczy grać po to, by się dobrze sprzedać, to Myslovitz nigdy tak nie robił. To, że staliśmy się zespołem, którego płyty są kupowane, stało się przy okazji i niezamierzenie. Po prostu takie piosenki lubiliśmy i tak chcieliśmy grać, nie kierując się tym czy puści to RMF, czy nie. Z jednej strony Myslovitz to grupa umiejąca napisać zgrabne melodie, a z drugiej lubiąca długie improwizacje. Jesteśmy tacy i tyle, bez żadnej kalkulacji na sukces”.

Płyta przyniosła zespołowi, długo oczekiwany sukces artystyczny. Muzyka kwintetu staje się dojrzała, a co godne uwagi *Z rozmyślań przy śniadaniu* to pierwsza płyta grupy, gdzie słowa stają się równie ważne co dźwięki. Jak Artur Rojek często podkreślał w wywiadach, „zespołowi zależało przede wszystkim na tym, żeby teksty na tej płycie były prawdziwe, żeby trafiały w emocje. I żeby mówiły coś naprawdę ważnego. Są tu jakieś rozterki, jakieś zwątpienia, jakieś załamania nerwowe. O to właśnie chodziło. Przecież nie każdy człowiek chodzi po świecie szczęśliwy i zadowolony z tego, co robi. Z tego, co się dookoła niego dzieje. Życie składa się z różnych chwil. Są chwile radości. I są momenty, gdy coś ciebie boli. O tym właśnie jest ta płyta. O lękach. O samotności. O wszystkim. Także o miłości. Kiedyś mówiliśmy, że już nigdy nie będziemy pisać piosenek o miłości. Ale tu jest kilka takich utworów. Zmieniło się tylko nasze podejście. To już nie szczeniackie, nasycone erotyzmem uczucie. Teraz nasze piosenki o miłości mówią

niem było zagrać jak najlepiej, żeby nas zapamiętano, co w efekcie się udało. Czekali na swój ulubiony zespół, słuchali supportu i mówili „tak, tak, dobry zespół”. Tym razem było inaczej, bo graliśmy głównie na wielkich festiwalach – tam czasem jest nawet po dziesięć scen, na których w tym samym czasie grają różne zespoły. Trzeba naprawdę się starać, żeby zainteresować słuchaczy. My na tamtym rynku jesteśmy debiutantami, nie mamy przebojów w angielskim radiu, nikt nie zna naszych piosenek. Ale było nieźle – gdy rozpoczynaliśmy występ pod sceną było kilkadziesiąt osób, po trzech piosenkach było ich już kilkaset. Pomimo to wiemy, że czeka nas jeszcze dużo pracy”.

Rok 2002 jest także rokiem zmiany wytwórni grupy. Myslovitz opuszcza Sony Music i rozpoczęła współpracę z nową firmą fonograficzną – Pomaton EMI. Co jest tyle ważne, że nowy kontrakt daje im większą wolność. Dobrą passę zespołu na koniec przypieczętowują nagrody: MTV European Music Awards w kategorii Best Polish Act 2002, nagrodę V edycji konkursu Trofea Elle 2002 w kategorii „Najbardziej stylowa gwiazda muzyki” oraz Nagroda Yach Film Festiwalu za Teledysk „Acidland” autorstwa Anny Maliszewskiej i Łukasza Jankowskiego zwyciężył w kategorii „Scenariusz”.

Filmowy zawrót głowy

2003 rok to poza licznymi trasami koncertowymi rok niezwykle intensywnych kontaktów z filmem. Myslovitz byli jednym z bohaterów filmu dokumentalnego Sylwestra Latkowskiego *Nakręcenie czyli szolbiznes po polsku*. Film ten obnaża kulisy polskiego rynku fonograficznego. Zespół Myslovitz pokazany jest jako przykład grupy niezależnej, która swoją karierę zrealizowała w czysty sposób, bez chodzenia na kompromisy ani godzenia się na układy.

Drugi występ Myslovitz w filmie to ich rola w filmie Jerzego Stuhra *Pogoda na jutro*. Zagrali w nim zespół zakonny występujący na festiwalu piosenki religijnej. Ich rola świadczy o dużej autoironii muzyków i wielkim dystansie do własnego wizerunku. Warto podkreślić, że jest to drugi kontakt Myslovitz z Jerzym Stuhrem jako reżyserem. W 2000 roku zespół nagrał piosenkę *Polowanie na wielbłąda* do jego filmu *Duże zwierzę*. „Boże, jaka to była ulga – wspomina Artur Rojek. – Wreszcie ktoś normalny zgłosił się do nas i poprosił o piosenkę. (wcześniej piosenki Myslovitz ukazywały się w filmach niezbyt wyso-



kich lotów, jakimi są obrazy *To My i Młode Wilki 1/2* – przyp.aut.). Byłem strasznie szczęśliwy, bo cenilem Stuhra jako aktora oraz jego filmy. Zaczęło się to tak, że jakiś czas wcześniej przeczytałem w magazynie „Film”, że Jerzy Stuhra kręci film w Krakowie, to był chyba *Tydzień z życia mężczyzny*. Poprosiłem menedżera, żeby skontaktował się z producentami i zaproponował, że jak chcą, to my im damy piosenkę *Kraków*. Niestety ścieżka dźwiękowa była już zamknięta. Ziarno jednak zostało zasiane i rok później dostaliśmy propozycję ze strony pana Stuhra!”.

Improwizacje w bezpiecznym stylu

Ostatni jak dotąd album Myslovitz *Skalary, Mieczyki, Neonki* (2004) to psychodeliczne improwizacje, które zostały zarejestrowane przy okazji sesji nagraniowej do płyty Korova Milky Bar w lutym 2002. Podstawowym wyznacznikiem, jaki sobie dali muzycy przy nagrywaniu tej płyty, była całkowita wolność. Brak zasad doprowadził zespół do absolutnego rozpasania, co przekłada się na pójście w trans, pokazania swych umiejętności gry na instrumencie w całej krasie (tak jakby każdy muzyk chciał nam zakomunikować: a teraz posłuchajcie jaki ze mnie wirtuoz gitary, perkusji etc.), co doprowadziło, że improwizacja zamienia się miejscami w mało przemyślaną kaskadę (Isn't Anything). Co ma jeszcze swój urok w porównaniu z utworami, w których nie zajmujące motywy sąsiadują z niespecjalnie interesującą melodią, a wszystko podane jest w przewidywalny sposób narastającej dramaturgii (*Man on the Machine*, Nr 9). Tak, jak będę chciał płyty z gitarowymi instrumentalnymi szaleństwami to raczej sięgnę po płytę Explosions In The Sky lub Mogwai.

Paradoksem tej płyty jest to, że najlepiej wyszły na niej piosenkowe formy, ale o rozmytej marzycielskiej konstrukcji. *Życie to surfing*, *W sieci*, *Czerwony notes*, *blekitny prochowiec*, *Marie Minn Restaurant* ratują ten album przed całkowite popadnięcie w nudę. Senne, eteryczne piosenki pozawalają uwierzyć, że *Skalary*, *Mieczyki*, *Neonki* są tylko taką muzyczną wprawką, i zespół jeszcze nas zaskoczy na miarę *Młodości w czasach popkultury*. Po przesłuchaniu płyty nasuwa się pytania, gdzie jest koncertowy killer zespołu: Mickey, który przebija wszystkie improwizacje nagrane na tej płycie pomysłowością?

10 lat i plany na przyszłość

10. huczne urodziny zespołu odbyły się oczywiście w Mysłowicach – rodzinnym mieście muzyków. Dwadzieścia tysięcy widzów świadczy o tym, że rzesza ich fanów rośnie w siłę i że warto było być niezłomnym przez tyle lat. Na scenie wystąpili w towarzystwie gości – Johna Portera, Ani Dąbrowskiej, Leszka Możdżera, Kasi Nosowskiej. Są przykładem na to, że należy uparcie robić. Ich konsekwencja pokazała młodym, że chceć to móc.

W ciągu ostatnich kilku lat Mysłowice stały się prawdziwym zagłębiem muzycznych talentów – Penny Lane, Delones, Lilli Marlene czy Negatyw – to tylko niektóre z nich. Jedno jest pewne – Myslovitz to najlepszy towar, jaki w ostatnich latach powstał w tym mieście. Na początku przyszłego roku zespół zapowiada premierę kolejnej płyty.

Korzystałem z materiałów prasowych oraz własnego wywiadu przeprowadzonego z Arturem Rojkiem w sierpniu 2005.

Dialog społeczny obecny w ideologii realnego socjalizmu, nadużywany w partyjnej retoryce, był zjawiskiem niemal nieznanym w realiach życia codziennego. Nawet unieśmiertelnione przez Edwarda Gierka pytanie, *towarzysze pomożecie*, było w istocie początkiem monologu *genseka*. Do krótkotrwałych dialogów dochodziło niemal wyłącznie w sytuacjach dramatycznych, skutkujących społeczną traumą, takich jak wydarzenia w Poznaniu w 1956 czy strajki z sierpnia 1980 roku.

Spółeczna rozmowa pojawiała się pod presją, a z punktu widzenia władzy była elementem destabilizującym system oraz poszczególne jego elementy. Mówiąc inaczej, nie było dialogu jako trwałego elementu życia społecznego, jego regulatora i źródła poczucia obywatelskiego sprawstwa. Jedną z zapowiedzi fundamentalnego przełomu solidarnościowego i początkiem dialogu w skali lokalnej był – w moim przekonaniu – mało znany fakt odnotowany w kwietniu 1979 roku w *nowym mieście socjalistycznym*. Tak jeszcze do niedawna określano Tychy, przestrzenną i społeczną emanację upadłego już ustroju. Oto bowiem miejscowy sekretarz partii zdecydował, że powaga marszu pierwszomajowego wystawiona zostanie na szwank przez niepozorną kapliczkę kamienną, ufundowaną przez rodzinę Czardybonów w początkach XIX stulecia i ułożoną, *nomen omen*, przy ul. Dzierżyńskiego. Poleciał zatem kłopotliwy zabytek wykopać i przenieść w mniej eksponowane miejsce.

Okazało się jednak, że pomysł ten zakwestionowali zgodnie i *hanysy* (Ślązacy), i *gorole* (przyjezdni), i *werbussy* (pracownicy kopalń zwerbowani do pracy spoza Śląska). W dobie, w której nie było Internetu, telefonii komórkowej, a stacjonarny telefon był towarem niezwykle cennym i latami oczekiwanym, tysiące ludzi zgromadziło się wokół krzyża, broniąc go przed buldożerem i koparką. Podstawą tego niezwykle dialogu była modlitwa, archetyp rozmowy *tout court*. Sukces społeczny był pełny i zaskakujący. Partyjny demiurg wycofał się z pomysłu i kapliczka do dzisiaj pozostaje na swoim historycznym miejscu. Samo zaś zdarzenie pokazało głęboką potrzebę nie tylko zmian fundamentalnych, ale również dialogu obywatelskiego w skali lokalnej, w *mniejszym niebie*, *najmniejszym świecie*, gdyby użyć



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Dialog społeczny w mniejszym niebie (I)

określić przedwcześnie zmarłego pisarza śląskiego Stanisława Bieniasza.

W okresie transformacji idea dialogu społecznego, pojmowanego nie tyle jako krzyk obywateli, efekt ich postaw rewindykacyjnych, ale jako naturalny regulator relacji między władzą wszystkich szczebli i mieszkańcami, z trudem toruje sobie drogę. I choć w wielu wypowiedziach politycznych, naukowych czy publicystycznych pojawiają się uwagi o jej randze i znaczeniu, to jednocześnie powszechnie wyrażane jest przekonanie o deficycie dialogu, symetrycznym nieprzygotowaniu elit i obywateli do jego podjęcia czy braku wzorców takiego społecznego dyskursu.

Nie wnikając w szczegóły warto przynajmniej wstępnie podjąć re-

fleksje nad warunkami nieodzownymi dla społecznego dialogu i jego imponderabiliami. Niezwykle użyteczne w tym przedsięwzięciu okazać się mogą różnorakie koncepcje socjologii dramaturgicznej, kojarzone zazwyczaj z nazwiskiem nieżyjącego już od ćwierćwiecza Ervinga Goffmana. Dialog, podobnie zresztą jak i monolog, jest formą przedstawienia, spektaklu odgrywanego przed zróżnicowaną widownią, w zgodzie jednak z kanonicznymi wymogami teatru. Można zatem przyjąć, że o jakości dialogu społecznego decydować będą w pierwszej kolejności jego *aktorzy*, głównie pierwszoplanowi, choć niekiedy, ważną funkcję do spełnienia mają epizodyści czyli halabardnicy, jak się ich określa w teatralnym żargonie.

Aktorzy pierwszoplanowi, gwiazdy socjometryczne dialogu, a zarazem jego reżyserzy i konstruktorzy, orzekają o tematyce dialogu, narracji i wartości. Każda rozmowa społeczna musi mieć swój *przedmiot*, a jej uczestnicy wyposażeni są w argumentację czyli przygotowani do odegrania roli. Nieodzowna jest jak w każdym *teatrum scena*, którą mogą być zarówno zamknięte miejsca, takie jak sale obrad, studia telewizyjne, jak i otwarte przestrzenie, lokalne, regionalne czy narodowego agory. Czasem od sceny ważniejsze bywają *kulisy*, a o ich roli i randze dowodnie zaświadcza śledztwa prowadzone przez komisje sejmowe, zwłaszcza jeśli tworzący je parlamentarzyści mieli szczególne zdolności analityczne i rozbudowaną potrzebę autokreacji. W dialogu, podobnie jak w każdym widowisku teatralnym, potrzebne są *rekwizyty*, takie choćby jak białe księgi, kodeksy etyczne, programy czy strategie.

* * *

Dialog społeczny jest także wyposażony w *didaskalia*, swoje dopiski na marginesach ról odgrywanych przez protagonistów. Zachowania Jana Rokity po porażce w wyborach parlamentarnych bogate jest właśnie w takie ulotne treści, rzutujące jednak na przebieg dialogu, w tym przypadku zmierzającego do sformowania rządu. I wreszcie dialog społeczny potrzebuje *kanatów przekazu* i *komunikacji*, takich jak media i te elektroniczne, i te bardziej tradycyjne, pisane czy mówione.



Tegoroczna uroczystość wręczenia Nagrody Kulturalnej Śląska Kraju Dolnej Saksonii (Kulturpreis Schlesien des Landes Niedersachsen) miała wyjątkowo piękną oprawę, odbyła się w reprezentacyjnej sali zamku w Celle.

3 września w Celle

GRAŻYNA
BARBARA
SZEWCZYK

Zamek, którego budowę rozpoczęto w 13. wieku i który do 18. w. był rezydencją książąt Brunswiku i Lüneburga, zachował swój wystrój z okresu baroku. Z tego czasu pochodzi nadal użytkowana widownia teatru i większość starannie odrestaurowanych pomieszczeń. Położona nad rzeką Aller, w bliskości wielkiego rezerwatu przyrody Lüneburger Heide dolnosaksońska miejscowość Celle, przyciąga dzisiaj tłumy turystów. W przeciwieństwie do Hannoveru i innych sąsiadujących z nią miast nie została zniszczona przez działania drugiej wojny światowej. Niemal wszystkie domy starego miasta wybudowane w 16. i 17. w. (jest ich prawie pięćset), a właściwie dekoracyjne fasady budynków, ponieważ ich wnętrza zostały zmodernizowane, zwracają uwagę swoim kształtem architektonicznym (mur pruski) i tworzą zwartą zabudowę. Każdy z nich, np. ratusz z renesansowym dachem, barokowy kościół parafialny, budynek lacińskiej

szkoły, czy książęce stajnie mają swoją długą, pasjonującą historię. W 18. w., kiedy miasto przestało być rezydencją książęcą i utworzono tutaj siedzibę sądu apelacyjnego, który jest najwyższą instancją sądową w księstwie hannowerskim, zmienił się charakter Celle. Dzisiaj liczy ponad 70 tys. mieszkańców i jest prężnym, rozwijającym się centrum turystycznym i handlowym.

W dniu 3 września 2005 r. na uroczystość wręczenia Nagrody Kulturalnej Śląska przybyło do miasta wiele distinguished gości, wśród nich obecni byli przedstawiciele rządu Dolnej Saksonii i województwa dolnośląskiego, ludzie polityki i sztuki, miłośnicy polskiej literatury w Niemczech, członkowie Towarzystw Polsko-Niemieckich w Dolnej Saksonii. Warto przypomnieć, iż nagrodę przyznano po raz pierwszy w 1977 r. i że pierwszym jej laureatem był urodzony w Leśnicy pod górą św. Anny niemiecki pisarz Hans Gottersdorf-Lipinsky (1920–1991), autor wie-

lu wspaniałych nowel, opowiadań i powieści z tematem śląskim. W następnych latach otrzymali ją znani i popularni niemieccy twórcy pochodzący ze Śląska, m.in. pisarze: Horst Bienek, Heinz Piontek, Leonie Ossowski, Janosch, kompozytorzy: Günther Bialas i Heino Schubert, rzeźbiarze, malarze i graficy np. Karheinz Goedtker czy Markus von Gosen, aktorzy np. Dietrich Hildebrandt, tłumacz literatury polskiej na j. niemiecki Karl Diedecius, reżyserzy, dziennikarze. Od 1991 r. nagrodę zaczęto przyznawać także zasłużonym dla kultury i literatury Polakom zamieszkującym na Śląsku. Na liście literatów znaleźli się wówczas: Tadeusz Łagiewski, Tadeusz Różewicz, Henryk Mikołaj Górecki, Franciszek Pieczka, biskup Alfons Nossol, Urszula Koziół, artysta – malarz Józef Halaś, Olga Tokarczuk, germanista Norbert Honsza, historyk kultury i sztuki Jan Harasimowicz i in. Nagroda Kulturalna Śląska Dolnej Saksonii pełni dzisiaj ważną rolę w niemiecko-polskich stosunkach kulturalnych, wspiera – o czym mowa jest w jej statucie – *pielęgnowanie wspólnego dziedzictwa kulturowego Niemców i Polaków*, służy porozumieniu i dialogowi między obu narodami i wymianie myśli i idei między niemieckimi i polskimi intelektualistami.

Nagroda, w moim przekonaniu, pełni również inną ważną funkcję. Kieruje uwagę zarówno polskich jak i niemieckich ludzi sztuki i nauki, także polityków wspierających inicjatywy kulturalne w regionach na osiągnięcia przedstawicieli obu narodów. Dzięki niej współcześni Polacy i Niemcy, reprezentujący różne generacje, w tym także pokolenie wkraczających w życie zawodowe młodych naukowców, artystów i dziennikarzy, poznaje dokonania ludzi urodzonych na Śląsku bądź związanych z nim swoją działalnością. Tworzona przez nich muzyka, film, malarstwo, literatura, historia i sztuka, wykorzystując bogactwo idei i wątków związanych z regionem, staje się europejskim dziedzictwem kulturowym i pełni w dialogu kultury rolę integrującą.

Tegoroczna nagroda przyznana została dwóm wybitnym twórcom, nieustraszonej badaczce „widoków topograficznych”, w tym „śląskiej ikonosfery” pani Angelice Marsch z Berlina oraz „wybitnie zasłużonemu dla rozwoju swojego regionu” poecie i publicyście Tadeuszowi Kijoncz z Katowic. Nagroda Specjalna, którą w minionych latach otrzymali m.in. pisarka Ruth Storm, córka niemieckiego wydawcy katowickiego Carla Siwinny, pisarz Michael Zeller, tłumacz Henryk Bereska, kompozytorzy Wojciech Kilar i Witold Szalonek, reżyser Kazimierz Kutz, historyk Norbert Conrads i in. przypadła w tym roku Herbertowi Hupce. Uehonorowano w ten sposób *dziennikarskie i pisarskie*

dzieło jego życia, w Polsce prawie nieznane, dokumentujące drogi politycznego życia i pracy kulturalnej byłego posła do niemieckiego parlamentu i „obrońcy praw wypędzonych”. Herbert Hupka, którego wspomnienia pt. „Niespokojne sumienie” ukazały się w 2001 r. w polskim przekładzie, otrzymał w Celle akwarelę śląskiego malarza Gerharda Neumanna.

Osiągnięcia Angeliki Marsch w dziedzinie badania widoków miast Śląska znane są tylko wąskiemu kręgu miłośników topografii. Przybliżając jej warsztat badawczy w laudacji wygłaszanej na uroczystość wręczenia nagrody, wrocławski historyk sztuki prof. Jan Harasimowicz podkreślił, że wykształcenie laureatki w zakresie metalurgii w połączeniu z ogromną wiedzą z historii i historycznej ikonografii, pozwoliło jej dokonać niezwykłych i cennych dla potomności odkryć. Zalicza do nich m.in. „odnaleziony w głębi magazynów Biblioteki Uniwersyteckiej w Würzburgu album widoków dawnych miast z podróży palatyna Ottheinricha z Neuburga nad Dunajem do Krakowa” na początku 16. w., zawierający także widoki Górnego i Dolnego Śląska; „nieznaną panoramę Wrocławia z 1668 r. autorstwa Daniela Datschitzkyego i Davida Tscherninga”, a ostatnio szkice i rysunki do miedziorytów miast, które wyszły spod ręki Ślązaka żyjącego w 18. w. Friedricha Bernharda Wernera. „Angelika Marsch jest niekwestionowanym autorytetem w skali europejskiej (...), – stwierdzono w laudacji – jest nie tylko wielką uczoną, rzecznikiem polsko-niemieckiego pojednania (...), jest także wspaniałym człowiekiem, wzorem dla młodego pokolenia”.

Wręczenie Nagrody Kulturalnej Śląska Tadeuszowi Kijoncy w dowód uznania dla jego twórczości poetyckiej oraz zaangażowania w rozwój życia kulturalnego regionu poszerza galerię laureatów o znakomitego przedstawiciela polskiej i górnośląskiej sceny literackiej. Tadeusz Kijonka jest autorem nie tylko wielu zbiorów wierszy, ale także, co zaakcentowane zostało w laudacji Andreasa Lawatego, twórcą tekstów do oratoriów i widowisk muzycznych, librett do oper i musicali, reportaży, felietonów i artykułów publicystycznych. Ilość przyznanych mu nagród literackich, np. nagrody im. Stanisława Bursy (1967), nagrody im. Stanisława Piętaka (1975), nagrody i medalu im. Zygmunta Glogera (2002) i wiele innych prestiżowych wyróżnień jest wyrazem uznania dla jego poetyckiego talentu i indywidualnego stylu, bogatego w oryginalne metafory i obrazy. Krytycy i recenzenci wskazują na modlitewny i dialogiczny ton jego utworów, ich wieloaspektowy i polifoniczny charakter, na historiozo-



Na zdjęciu: minister Uwe Schünemann wręcza dyplom Angelice March. W głębi – wicemarszałek województwa dolnośląskiego Andrzej Pawluszek.

ficzny poziom przesłań. Przypisany K. Dedeciusowi poemat T. Kijonki pt. „Wizyta”, napisany w 1984 r. po wizycie poety u niemieckiego tłumacza w Darmstadcie zacytował A. Lawaty na wstępie swojego wystąpienia, stwierdzając m.in.: *Czarny i biały to kolory jego poezji (...). Ale jego poezja nie jest bynajmniej czarno-biała. Żyje ona konfrontacją światów mitu i doświadczenia, żyje konfliktem romantycznego ducha martyrologii narodowej i bezsensowności ofiary „straconych pokoleń”*.

Tadeusz Kijonka, o czym nie należy zapominać, znany jest także w Niemczech, w gronie polonofilów, jako autor zbioru wierszy powstałych podczas stanu wojennego w Polsce, zatytułowanych „Czas zamarty” w tym dedykowanych strajkującym w grudniu 1981 r. górnikom z kopalni „Wujek”. Jest poetą związanym od pokoleń ze Śląskiem i służącym rodzinnej ziemi piórem i zaangażowaniem społecznym. W laudacji znalazła się obszerna refleksja dotycząca górnośląskich korzeni laureata, jego stosunku do skomplikowanej historii regionu, do jego teraźniejszości i związanej z nią sprawy tożsamości Górnoślązaków. *Samego Kijonkę dręczy troska, że jego ojczyzna Polska nie troszczy się szczerze o dobro jego malej regionalnej ojczyzny, Górnego Śląska, – zauważa A. Lawaty – że Polska – Polska międzywojenna, powojenna i poprzelomowa – traktuje swoją górnośląską prowincję nie jak część siebie, ale jak swego rodzaju „wewnętrzną kolonię”, której zasoby można wyzyskiwać odgórnie.*

U honorowanie niemieckiej badaczki dr h.c. Angeliki Marsch i polskiego poety Tadeusza Kijonki Nagrodą Kulturalną Śląska za rok 2005, uznać można za znak wzajemnego zrozumienia w rozwijających się i umacniających niemiecko-polskich stosun-

kach kulturalnych. Na szczególne znaczenie nagrody dla dialogu Niemców i Polaków w przyszłości wskazał dolnośląski minister spraw wewnętrznych i sportu Uwe Schünemann. Charakteryzując bilateralne kontakty Dolnej Saksonii i Dolnego Śląska, przytoczył słowa Jana Pawła II o polsko-niemieckim sąsiedztwie i podkreślił, iż Nagroda Kulturalna Śląska jest „nagrodą spotkań”. *Tegoroczna uroczystość jest wyzwaniem (...) i szansą na to, by w dialogu ponownie otworzyć się na siebie nawzajem – powiedział. – Każdy z laureatów Nagrody Kulturalnej Śląska jest powołany do tego, by służyć polsko-niemieckiemu porozumieniu (...). Polacy i Niemcy mają sobie wiele do powiedzenia, także w odniesieniu do historii. W obliczu wspólnej przyszłości w Unii Europejskiej mają nawet obowiązek. Natomiast wicemarszałek województwa dolnośląskiego Andrzej Pawluszek wręczając obu laureatom statuetki nagrody, zaprojektowane przez dolnośląskiego rzeźbiarza Stanisława Wysockiego, nazwał ich osobami niezwykle zasługowymi dla Śląska i przypomniał, że redagowane przez T. Kijonkę czasopismo „Śląsk”, podejmując szeroko rozumianą problematykę regionalną (...) cieszy się zainteresowaniem daleko poza Śląskiem”.*

W poprzedzonej koncertem muzycznym uroczystości na zamku w Celle wzięli także udział: konsul generalny RP z Hamburga Jan Granat i były konsul generalny RFN we Wrocławiu Bruno Weber, laureaci poprzednich edycji Nagrody Kulturalnej Śląska, licznie przybyli ludzie kultury i sztuki. Ich obecność podkreślała wyjątkowy charakter spotkania, tegoroczną nagrodę wręczono bowiem w Roku Polsko-Niemieckim – 2005/2006, zainicjowanym przez rządy Polski i Republiki Federalnej Niemiec.

Laudacja ANDREASA LAWATEGO
z okazji wręczenia
Tadeuszowi Kijonce
Nagrody Kulturalnej Śląska
Kraju Związkowego Dolnej Saksonii
za rok 2005

Śląskie rozdarcia

Tegoroczna Nagroda Kulturalna Śląska przyznana została w osobie Tadeusza Kijonki poecie, publicyście, menażerowi kultury i przynajmniej okresowo praktykującemu politykowi, od wielu lat angażującemu się na rzecz regionu, który my zwiemy „Górnym Śląskiem”, a który z polskiej perspektywy określany jest często po prostu jako „Śląsk” (Schlesien). Śląsk (lub Górny Śląsk) jest Śląskiem na Śląsku, regionem, którego potencjał gospodarczy był raczej wyzyskiwany niż wykorzystywany, którego potencjał kulturalny często musiał pozostać tylko potencjałem, regionem, który równolegle i po kolei wystawiony był na wpływ kilku tradycji i idei narodowych i państwowych.

Kiedy myślę o Górnym Śląsku, nieodparcie i niemal obsesyjnie przychodzi mi na myśl zdanie alzatczyka René Schickele, brzmiące: „Moje serce jest zbyt wielkie na jedną ojczyznę i zbyt małe na dwie”. Znajomość tego zdania zawdzięczać nie lekturze samego Schickele, a powieści „Wiatr od wschodu” z 1932 roku, której autor August Scholtis dodał podtytuł „Historia górnośląskiej katastrofy”. Górnośląskie katastrofy muszą się skończyć i skończą się. Ale co zrobić z sercem, któremu grozi przytłoczenie ciężarem przeszłości? Tadeusz Kijonka formułuje swój osobisty dylemat – fakt, że przeżyte cierpienia i ich pamięć przesłaniają widok na aspekty pozytywne – w wierszu pod tytułem „Wizyta”, napisanym w 1984 roku po wizycie u Karla Dedeciusa w Darmstadcie i w domu Goethego we Frankfurcie. Kluczowe przesłanie ujęte zostało w formie pytania: „ile trzeba zapomnieć, by o tym pamiętać?”. Wiersz jest apoteozą przeczącą własnemu doświadczeniu tłumacza, który zalicza się do „zwykłych ludzi” pracowicie próbujących udowodnić, „że ogień może współżyć z wodą”:

*In der geteilten Welt – der
unteilbare Mensch*

*Über den Grenzen zweier
Staaten und Sprachen,
Feindlichen Staatsraisons
und historischen Karten
Fließend wie Blut, zum Beweis
der
Vergeblichkeit der Kriege
Und der Morde, ausgeübt
im Namen der Nationen.*

*W świecie podzielonym
– niepodzielny człowiek
Ponad granicami dwu państw
i języków,
Złowrogich racji stanu i map
historycznych
Płynnych jak krew, na dowód
daremnosci wojen
I mordów dokonanych w imieniu
narodów.*

Zarówno prywatne jak i zawodowe życie Tadeusza Kijonki związane jest w Górnym Śląskiem. Po studiach polonistycznych odbytych w Katowicach i Krakowie rozpoczął w 1960 pracę dziennikarską w Radiu Katowice. Bezpośrednio przedtem ukazał się jego pierwszy tom wierszy „Witraże” (Kirchenfenster). Do dziś jego życie płynie dwoma splecionymi ze sobą, a jednak wyraźnie rozdzielonymi nurtami publicystyki i organizacji kultury oraz poezji.

A on sam nieustannie żałuje, że życie, które kocha, pozostawia mu ciągle za mało czasu na poezję, która jest mu szczególnie droga.

Jednak ten sposób życia nie przeszkodził mu wydać w ciągu lat dziewięciu tomików wierszy i zająć stałe miejsce w poezji polskiej, niezwykle bogatej i szczytującej się wielką tradycją, co znalazło odbicie w recenzjach i kilku nagrodach literackich. Przeciwnie, właśnie to życie dyktowało mu tematy, stawiało otwarte pytania i wymagało artykulacji w języku odległym od publicystycznego żargonu. Kijonka nie należał do żadnej szkoły literackiej, nie miał też ambicji, by takową stworzyć. Swoją własną, indywidualną styl poetycki wypracował pokornie w obcowaniu z wielkimi gwiazdami na poetyckim firmamencie swego czasu, od Juliana Przybosa po Tadeusza Różewicza. Specyficzną dla swej poezji emfazę i metaforykę czerpał z kolei z dwu zdawałoby się nieporównywalnych źródeł: polskiej poezji romantycznej i związanej z ziemią śląską mistyki.

Legendarny Duch Ziemi trzyma poetę Kijonkę w swojej mocy. Kiedy w 1991 złożyłem mu – Kijonce – krótką wizytę w Katowicach, stałem się nawet ofiarą owego Ducha, ponieważ zostałem zwyczajnie porwany do Bytomia, miejsca mego urodzenia, gdzie nie byłem wówczas od 32 lat, czyli od mego 6. roku życia, czego Kijonka w żaden sposób nie mógł pojąć. Metafizycznie zakorzeniona wierność małej ojczyźnie i związany z tym udział w jej cierpieniach jest częścią jego osobowości i boli go, że to przywiązanie powoli zanika, nie tylko wokół niego, ale i w nim samym.

Czarny i biały to kolory jego poezji. Czarny – górnośląskiego węgla, śmiercionośnych kopalni, wojny, bezsensownej śmierci. Biały – słońca, które oślepia wychodzącego z ciemnego szybu, i słońca, które jaśniej nad Akroplem. Ale jego poezja nie jest bynajmniej czarno-biała. Żyje ona konfrontacją światów mitu i doświadczenia, żyje konfliktem romantycznego ducha martyrologii narodowej i bezsensowności ofiary „straconych pokoleń”. Jest to uciążliwa, choć poetycko i filozoficznie pełna artyzmu, podróż do źródeł jego własnych, a jednocześnie uniwersalnych, jakżeż ludzkich obsesji i lęków. W latach 90. jeden z krytyków stwierdził, że Kijonka, poszukujący „patriotycznego etosu”, należy do ostatniego pokolenia tych, którzy mają do wyrównania rachunki z historią. Ta ocena może się jednak okazać błędna.

Osoba Tadeusza Kijonki przypomina o tym, że Górny Śląsk ma skomplikowaną historię i różne oblicza, wszystkie prawowicie do niego należące. Nie każdy, kto twardo stoi na górnośląskiej ziemi, potrafi spojrzeć na nią z lotu ptaka. Ale i nie każdy, kto ma zdolność spojrzenia z dystansu, automatycznie przysłużył się Górnemu Śląskowi. Debaty, które Kijonka prowadził w swoim życiu publicystycznym i które niechybnie odzwierciedlają jego stanowisko, wymagają jednak pewnego dystansu, aby móc w przybliżeniu zrozumieć, co jest ich istotą i za czym się opowiadają.

Jeżeli obserwowaliśmy w ostatnich latach stosunki polsko-niemieckie, a przy tej okazji i nas samych, z pewnością zauważyliśmy, że na kształtowanie naszego pojmowania historii w większej mierze wpływają osobiste losy i nasza osobowość, niż konkluzje komisji historyków czy nawet mediów, mimo, że te dostarczają potrzebnych nam pojęć. W najlepszym przypadku szukamy prawdy, którą już znamy i bronimy własnej tożsamości przed tymi, którzy wydają nam się zbyt silni albo godni pogardy. A kiedy należymy do poszukujących, nie mających niepodważalnych prawd ani socjalnie czy narodowo usankcjonowanej tożsamości, stajemy się obiektem odrzucenia lub integracji.

Być może takie rozważania w ramach krótkiej laudacji nie są typowe, ale wydają mi się istotne z punktu widzenia tego, czym jest dla Śląska Tadeusz Kijonka i jakie reprezentuje wartości.

Urodził się w 1936 roku w polskiej części Górnego Śląska, w Radlinie pod Rybnikiem. Miał zaledwie trzy lata, gdy II wojna światowa rozpoczęła się i w jego małej ojczyźnie. Kiedy jego rodzice, którzy nie przyjęli volkslisty i działali w polskim podziemiu, zostali aresztowani przez Gestapo, został oddany wraz z młodszym bratem w czerwcu 1944 roku na wychowanie do innej śląskiej rodziny. To doświadczenie ma dla Kijonki znaczenie centralne ponieważ świadom jest tego, że w przypadku odesłania w głąb Rzeszy mógł być wykształcić zupełnie inną tożsamość narodową. Był w wieku, w którym raczej nie podejmuje się decyzji politycznych, w którym jednak jak najbardziej można stać się obiektem takich decyzji.

Jednak Kijonka wyrasta w górnośląskim domu rodzinnym, w którym nie ma problemów tożsamości. Praktykuje się w nim polski i – jak sam mówi – wręcz „walczący pa-



Dr Andreas Lawaty wygłaszający laudację. Na stoliku po prawej widoczne statuetki nagrody symbolizującej Nike.

Dr Andreas Lawaty urodził się w 1953 roku w Bytomiu. W 1969 roku rodzina wyjechała z Polski. Po tryletnim pobycie w USA, osiadła na stałe w RFN. A. Lawaty po ukończeniu studiów historycznych i slawistycznych w 1982 roku związał się z Instytutem Niemiecko-Polskim w Darmstadt założonym przez Karola Dedeciusa – wpięrow jako asystent a następnie zastępca Dedeciusa. Był redaktorem książek z serii Biblioteka Polska i współautorem bibliografii do historii stosunków polsko-niemieckich. Od roku 2002 A. Lawaty jest pracownikiem naukowym w Nordost-Institut w Lünenburgu k. Hamburga.

triotyzm”, naznaczony jednocześnie antagonizmem polsko-niemieckim jak i polsko-czeskim z czasów przed 1920 rokiem. Do dziś w historycznej świadomości Górnego Śląska skutki I wojny światowej są tak samo żywo obecne jak skutki II wojny. W pamięci rodzinnej Tadeusza Kijonki dominuje walka o polski Śląsk, roszczenie niepodlegające dyskusji, związane z wyrzuceniem i ofiarą. W oczach jego rodziny ze strony ojca i matki, jak i w jego własnych, mówiący po polsku Górnioślązacy mieli prawo, czy wręcz obowiązek, być Polakami nawet wówczas, gdy w pewnym sensie znajdowali się „po drugiej stronie”, gdy podpisali volkslistę i służyli, lub służyć musieli, w Wehrmachcie. Wszystko to wydawało się być częścią krzywdy, jaka ciągle od nowa stawała się udziałem tych Górnioślązaków i która także w czasach przynależności do Polski nie została wyrównana. Wręcz przeciwnie.

Świadomość krzywdy, przekonanie, że jest się poszkodowanym i wykorzystywanym, wyartykułowało się na Górnym Śląsku w różnych formach społecznych i narodowych. Spisanie historii poczucia krzywdy na Górnym Śląsku nie doprowadziłoby w żadnym razie do ostatecznego znalezienia „prawdy”, ale pomo-

głoby, co wydaje się ważniejsze, w zrozumieniu motywów, przyczyn i skutków, zrozumieniu, które i dzisiaj ułatwiłoby odpowiedzialne i jednoznacznie umotywowane działania.

W rozmowie o Górnym Śląsku, opublikowanej w 1998 roku, Kijonka stwierdza: „Dla mnie tradycja Śląska [Górnego Śląska] jako regionu pogranicza to nie jest tradycja, w której na równych prawach egzystowały różne kultury i religie.” Pokojowe współżycie jest dla niego niezwykle ważnym wymogiem, nie znajduje go jednak w historycznej rzeczywistości Górnego Śląska, którą od czasów polskiego odrodzenia narodowego i polityki Kulturkampfu charakteryzują raczej antagonizmy narodowe.

I dzisiaj wzajemna akceptacja polskich i niemieckich Górnioślązaków, a także tych, którzy pragną być tylko Górnioślązakami, a wreszcie osób przybyłych do tego regionu, które stają się Ślązakami albo chcą tu przynależeć, nie może bazować na wspólnym poczuciu krzywdy – gdyż ono bardziej dzieli niż łączy. Skłonić się raczej należy ku akceptacji faktu, że Górny Śląsk może być ojczyzną różnorodnych form tożsamości narodowej, a to oznacza, że rozwijać należy także kulturę sporu o pojmowanie historii. Przy czym nie jest to

w żadnej mierze problem wyłącznie górnośląski.

Fakt, że antagonizmy bardzo powoli odchodzą w przeszłość i że ciągle od nowa odżywają wyjaśnia Kijonka tym, iż wywalczona przez polskich Górnoślązaków przynależność do Polski przyniosła rozczarowania i nowe poczucie zagrożenia. Samego Kijonkę dręczy troska, że jego ojczyzna, Polska, nie troszczy się szczerze o dobro jego małej regionalnej ojczyzny, Górnego Śląska, że Polska – Polska międzywojenna, powojenna i poprzelomowa – traktuje swoją górnośląską prowincję nie jak część siebie, ale jak swego rodzaju „wewnętrzna kolonia”, której zasoby można wyzyskiwać odgórnie, występując jednocześnie jako „kulturträger” (*przynoszący wyższą formę cywilizacji*), a więc z czystym – za Lecem „nieużywanym” – sumieniem.

Z tego powodu całe jego zaangażowanie skierowane było na wzmocnienie życia kulturalnego i poczucia własnej wartości, na rozwój szkolnictwa i nauki na Górnym Śląsku. Nie sposób w ramach tego wystąpienia wymienić wszystkie jego działania. Pracował dla różnych czasopism kulturalnych zanim w 1995 roku powołał do życia miesięcznik „Śląsk”, który wydaje do dzisiaj. Jest ściśle związany z Operą Śląską w Bytomiu, gdzie jest kierownikiem literackim, a także autorem librett. W latach 1986-1991 jako poseł do Sejmu całą swoją uwagę poświęcał Górnemu Śląskowi. W 1992 roku założył Górnośląskie Towarzystwo Literackie, któremu przewodniczy. Jego troska o ojczysty Śląsk znajduje wyraz także w raportach o stanie kultury, przygotowanych z okazji zainicjowanych przezeń w dużej mierze Kongresów Kultury na Górnym Śląsku: pierwszy, w 1981 roku, nie doszedł do skutku ze względu na ogłoszenie stanu wojennego, drugi odbył się w 1998 roku.

Nagroda Kulturalna Śląska Kraju Związkowego Dolnej Saksonii honoruje w osobie Tadeusza Kijonki Górnoślązaka wyjątkowo zasłużonego dla rozwoju swojego regionu. Pokazuje ona przy tym po raz kolejny swe wielkie serce, w którym jest miejsce dla różnych ojczyzn, a jednocześnie napomina tych, którzy czują się adresatami tego przesłania, że przyszłość Europy nie leży w jedynych wyłącznie prawdziwych tożsamościach, ale, jak to zawsze bywało, w dialogu tożsamości *jak i ich ojczyzn*.



Na zdjęciu: Tadeusz Kijonka wygłaszający przemówienie po odbiorze nagrody. Po prawej tłumacz Peter Bartetzky.

Z wystąpienia Tadeusza Kijonki

To wielki dla mnie zaszczyt, że zostałem uhonorowany tak prestiżową nagrodą (...) Ma dla mnie szczególne znaczenie, że jest to właśnie Śląska Nagroda Kulturalna – śląska, bo jestem przecież rodowitym Ślązakiem z Górnego Śląska, dla którego Śląsk był, jest i pozostanie ziemią jego życia, z którą utożsamiam się i której wiernie służę i to w wielu społecznych rolach.

Nie będę szerzej rozwijał tego wątku, bo głównym przedmiotem uwagi są tu moje poetyckie zasługi, które zostały przedstawione tak sugestywnie w pięknej laudacji Andreasa Lawatego. A mam, jako poeta właśnie, poczucie poetyckiej winy, że nie dość byłem poezji oddany – i to głównie ze względu na Śląsk oraz związane z nim liczne powinności w pracy na rzecz jego kultury i odczytywania stygmatycznych znaków czasu tej ziemi, jakże często obolalej i nie dość rozumianej, której problemy były zawsze złożone, takimi też nadal są i długo pozostaną.

Mocno przeżywam od szeregu lat odchodzenie starego, robotniczego

Śląska, ziemi kopalń i hut. Lecz właśnie dlatego teraz, na pograniczu epok, staram się aktywnie uczestniczyć w formowaniu diagnoz, programów, zadań i celów związanych z przyszłością mojego Śląska już w wieku XXI, który nastał. A są liczne zwiastuny, że będzie to Śląsk nowych aspiracji zbiorowych, o czym świadczy masowy pęd na studia wyższe na skalę tu dotąd nieznaną. Wiele znaczy w tej sytuacji nasza obecność w rodzinie państw Unii Europejskiej – a więc w Europie bez granic, gdy poszerzone zostały aż tak rozległe możliwości kontaktów międzyludzkich i rodzą się nowe pomosty więzi i współpracy.

Może z tej perspektywy, wynikającej z dystansu do starego Śląska, który mija, wypowie się o nim pełniej literatura, by wyrazić to wielkie bogactwo związane z historią i losami ludzi na tym mrocznym skrawku ziemi ciężkiej pracy i powikłanych losów zbiorowych.

W to chcę – i muszę wierzyć, bo takie są prawa nadziei.

Dziękuję serdecznie Państwu za uwagę.



Jedne ze zwłok, wydobytych z grobu nr 3.

„W wewnętrznym odcinku oczodołu lewego rozpoczyna się przedziurawienie, od którego biegnie kanał ku tyłowi, na tyłogłowi zaś po stronie prawej jest przedziurawienie wylotowe ze strzaskaniem kości w otoczeniu. Otwór wylotowy mierzy 11 mm. Rozmiaru wlotowego przedziurawienia nie można stwierdzić z powodu strzaskania cienkich blaszek oczodołu. Innych obrażeń nie stwierdzono...”

Fragment protokołu ekshumacji
z września 1947 roku;
opis zwłok mężczyzny,
oznaczonych numerem 26

Panewnickie pola śmierci

GRZEGORZ
BĘBNIK

Nigdy już zapewne nie poznamy dokładnej liczby ofiar pierwszych dni września 1939 roku w Katowicach. Ustalenia umorzonego niedawno śledztwa w tej sprawie, jakie prowadził katowicki oddział Instytutu Pamięci Narodowej, mówią o około 150 zabitych – zarówno w walkach, jak i egzekucjach. W większości trudno ustalić tożsamość ofiar, w wielu wypadkach nie wiadomo też, gdzie szukać miejsc ich pochówku. Tych było zapewne wiele – my wiemy natomiast ledwie o kilku. I, paradoksalnie, nawet te znane nie zostały zbadane na tyle, by pomóc wyświecić choćby część prawdy o tamtych dniach. Mowa tu przede wszystkim o zbiorowej mogile w Ligocie, naprzeciw klasztoru ojców Franciszkanów. Jednak również o tajemniczej do dziś mogile na cmentarzu przy ulicy Sienkiewicza, a także – o grobach w lasach panewnickich.

Wkraczające 4 września do Katowic niemieckie oddziały nie składały się wyłącznie z regularnych jednostek – przed nimi posuwały się grupy bojowników w cywilnych ubraniach, od nazwiska

swego dowódcy zwanych *Freikorps Ebbinghaus*. Wzięli oni udział zarówno w walkach ulicznych, jakie toczono z pozostałymi w mieście członkami polskiej samoobrony i zagubionymi podczas odwrotu regularnymi pododdziałami WP, jak i późniejszych działaniach, od których stroniły na ogół jednostki regularnej armii, a które nazwać można pacyfikacyjnymi. W tym i w rozstrzeliwaniach wziętych do niewoli cywilów. Pierwsze egzekucje miały charakter wręcz publiczny – jak wynika z licznych relacji, wejścia na położone niemal w centrum miasta podwórze przy ówczesnej ulicy Zamkowej (dziś Korfantego) nikt specjalnie nie zabraniał, a i sami wykonawcy nie kryli się ze swym zajęciem. Rozstrzeliwano w biały dzień, skazanych prowadzono ulicami wśród gęstych szpalerów gapiów, niektóre zwłoki strącano do płynącej opodal Rawy...

Te swoiście pojmowane funkcje porządkowe *Freikorps* pełnił do czasu ściągnięcia na polski Górny Śląsk oddziałów niemieckiej policji oraz złej sławy *Einsatzgruppen*. Z chwilą ich przybycia sytu-

acja uległa znaczącej zmianie – rozstrzeliwano nadal, lecz już w ukryciu, z dala od oczu ewentualnych świadków. Jednym z takich miejsc były właśnie panewnickie lasy.

Jedyny świadek

Miejsce to, stosunkowo nieodległe od miasta, zdawało się gwarantować niezbędną dyskrecję. Uznano też widzieć, że okoliczna ludność do tego stopnia oswoiła się z odgłosem karabinowych wystrzałów, iż nie będzie zainteresowana salwami, rozlegającymi się w głębi lasu. Jak miało się okazać, założenie to nie do końca było słuszne.

Informacje o kaźni w panewnickich lasach krążyły uporczywie wśród okolicznej ludności przez całą wojnę. W marcu 1945 roku zainteresował się nimi wójt graniczącej z panewnickimi lasami gminy Piotrowice, Paweł Dworaczek. Odszukał on jedyne chyba naoczne świadka tamtych wydarzeń, miejscowego gajowego Franciszka Kuźnika. Dociekliwy leśnik okazał się świadkiem wręcz bezcennym – na dobrą sprawę tylko dzięki niemu panewnickie lasy odsłoniły fragment swych mrocznych sekretów.

W stosownym protokole przesłuchania, jaki w 1949 roku sporządził okręgowy sędzia śledczy w Katowicach, Zygmunt Brzycki, gajowy Kuźnik relacjonował: *W dniu 10 września 1939 roku o godzinie 4.30, jadąc do młyna do Mikołowa i przejeżdżając w odległości około 500 metrów od miejsca, z którego słyszałem pojedyncze strzały karabinu, zatrzymałem furmankę i poszedłem w tym kierunku, gdzie strzały pa-*

dłty. Podchodząc stwierdziłem, że w dziale trzecim Nadleśnictwa Murcki stał samochód ciężarowy kryty, na którym siedziały osoby ubrane w cywilne ubrania, obok samochodów stała większa ilość osób umundurowanych w jasno-zielone mundury niemieckie. Z koloru umundurowania wnoszę, że była to żandarmeria. Około ośmiu metrów od samochodu była grupa cywilów otoczona przez żandarmerię. Ci cywile zdzierali darń, czyli nawierzchnię. Zauważyłem również, że jeden grób był świeżo darniną zamaskowany. Przy aucie na ziemi widziałem zastrzelonych, leżących mężczyzn. Jaka była ilość osób, tego dzisiaj dokładnie określić nie mogę.

Ten stan rzeczy zaobserwowałem z odległości około 50 metrów. Zorientowawszy się, że są wykonywane masowe egzekucje, zawróciłem czym prędzej i pojechałem furmanką w kierunku Mikołowa.

Franciszkowi Kuźnikowi trudno odmówić odwagi. Nie ulega raczej wątpliwości, że gdyby został zauważony przez któregoś z żandarmów, sam znalazłby się w jednej z masowych mogił. A na poczynionych przez siebie obserwacjach nie poprzestał; w feralne miejsce powrócił raz jeszcze. I jak później relacjonował: Na drugi dzień rano, poszedłem w to miejsce i z trzech masowych grobów odnalazłem jeden. Natrafiłem na mężczyznę, który został zastrzelony z tyłu, gdyż żebra wystawały mu na zewnątrz. Na nowo zagrzebałem ziemię. Wówczas naocznie przekonałem się, że były to masowe groby. Przez około miesiąc czasu, wieczorem lub nad ranem słysząc było strzały z lasów należących do Nadleśnictwa Murcki. Po strzałach wnosilem, że dokonywano nowych rozstrzeliwań. Ja osobiście stwierdziłem i odnalazłem sześć masowych grobów, innych nie można było odnaleźć, ponieważ znajdowały się na terenie świeżo wykarczowanego lasu, gdzie ziemia była zruszona i przez to utrudniała rozpoznanie grobów masowych. Na podstawie informacji innych osób odnalazłem razem dwanaście masowych grobów, położonych na terenie gminy Podlesie i Panewnik.

Dysponując takimi informacjami, zdecydowano się dokonać we wskazanych przez gajowego Kuźnika miejscach ekshumacji. Przeprowadzone siłami katowickiego oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża, a nadzorowane przez doktora Tadeusza Pragłowskiego doszły do skutku w początkach wrze-



Grób nr 2 po ekshumacji.

śnia 1947 roku. Odstonięto wówczas trzy masowe groby, zawierające łącznie 46 zwłok. Dlaczego tylko te trzy? Z pewnością zidentyfikowanych wówczas mogił było więcej. Zdecydowała bez wątpienia szczupłość środków i ograniczone możliwości organizatora poszukiwań (ekshumacje są działaniem naprawdę kosztownym).

Szkoda, bo utracono w ten sposób nie tylko możliwość zidentyfikowania kolejnych ofiar. Nikt nie pomyślał o odpowiednim oznaczeniu pozostałych mogił, a dziś już ich odszukanie nie jest chyba możliwe. Wyjątkiem jest grób w lasach w pobliżu Piotrowic, w którym odnaleziono ciała 38 rozstrzelanych ofiar; dziś spoczywają oni na



Gajowy Franciszek Kuźnik, naoczny świadek zbrodni.



Układanie wydobytych zwłok w trumnach

cmentarzu w Katowicach-Podlesiu. Zaś mogił, starannie nieraz zamaskowanych, musiało być dużo więcej – i tu znowu przychodzi z pomocą Franciszek Kuźnik. Znajomy tegoż, zamordowany później w Oświęcimiu Konrad Preis miał mu opowiadać o przejeżdżających w pobliżu jego domu w Murckach wypełnionych kobietami ciężarówek. Po jakimś czasie słyhać było strzały, po czym samochody wracały – puste. Wspólnej ich mogiły, mówił w 1949 roku Kuźnik, nie mogliśmy z Preisem odnaleźć, mimo że szukaliśmy jej przez połowę dnia.

Bezimienni na zawsze

Protokół ekshumacji trzech wspomnianych grobów, szczegółowy wręcz do bólu, nie jest przyjemną lekturą. Podobnie, jak archiwalne już relacje z odsłaniania katyńskich mogił – ta sama sucha forma i tak samo porażająca treść. Wśród opisów stanu zachowania zwłok, szczegółów ubioru czy zachowanych przedmiotów codziennego użytku, wreszcie ran (przeważnie w głowę, zawsze z broni palnej) uwagę nieodmiennie chyba przykuwa opis znalezionych w drugim z ekshumowanych grobów zwłok, oznaczonych kolejnymi numerami 21 i 22. Dlaczego? Przeczytajmy.

Zwłoki nr 21: Zwłoki kobiety, ubrane jedynie w sukienkę z ciemnej zielonkawej welenki, ubranej na lewą stronę. Żadnego innego ubrania ani bielizny i obuwia na zwłokach nie znaleziono. Zwłoki te były tak silnie zespolone ze zwłokami mężczyzny oznaczonymi nr 22, że musiano je razem wydobyć z mogiły, a dopie-

ro potem rozdzielić. Zwłoki kobiety były zwrócone twarzą ku zwłokom mężczyzny, a głowa umieszczona na jego klatce piersiowej. Prawa ręka kobiety miała umieszczoną dłoń w okolicy serca. Obydwie kończyny dolne były zgięte w stawach kolanowych. Zwłoki zaś mężczyzny zespolone ze zwłokami kobiety wykazywały wzniesioną lewą rękę ku górze i zwinętą w pięść, a prawa ręka obejmowała zwłoki kobiety. Zwłoki kobiety wykazywały przeobrażenie tłuszczowo-woskowe [typowe dla ciał znajdujących się w podmokłych grobach – GB]. Na szczycie głowy u zbiegu szwu wieńcowego i strzałkowego, nieco na lewo od linii środkowej ciała znajdowało się przedziurawienie wylotowe, mierz. 28 x 25 mm. W okolicy skroniowej lewej znajdowało się okrągławe przedziurawienie wlotowe mierzące 9 mm średnicy. Wokoło tego przedziurawienia były liczne pęknięcia kości. Zwłoki te mierzyły 155 cm długości.

Zwłoki nr 22: Zwłoki mężczyzny dł. 165 cm, przeobrażenie tłuszczowo-woskowe. Na stopach znaleziono czarne półbuty, których podeszwa mierzy 30 cm. Ubranie cywilne, brązowe z odcieniem czerwono-fioletowym ze słabo zaznaczonym prążkiem. W kieszeni znaleziono okulary w ciemnej oprawie rogowej, z odłamaną jedną nożką o szklach dalekowzrocznych. Prócz tego znaleziono trzy ołówki, z których jeden mniej więcej był połową normalnej długości, okrągły, drugi nieco dłuższy sześcioboczny, trzeci 5 cm długi również wieloboczny. Drewno ołówek lakierowane na zielono. Dalej znaleziono różaniec o pe-

relkach z masy, barwy ciemno-stalowej. Wreszcie dwa kawałki gumy do wymazywania. W jednej kieszeni znaleziono urywek polskiej gazety, w której jedna z notatek nosi datę 4.8.1939 r. Nadto znaleziono białą chusteczkę wykazującą szlak z szeregu pasków czerwonych. Koszula z dość grubego materiału w brązowo-zielonkawo paski, spodnie na pasku rzemiennym czarnym, spiętym zwykłą sprzączką, 2 cm szerokim. Obok zwłok znajdował się kapelusz jasno-zielonego koloru, nie wykazujący śladów monogramu lub firmy. W kieszeni marynarki znaleziono jeszcze męską jedwabną koszulę koloru jasno-popielatego. Na twarzy jest zarost co najmniej kilka dni nieogolony, a na górnej wardze krótki wąs. W tylnym odcinku kości ciemieniowej prawej znajduje się 2 cm na prawo od linii środkowej ciała przedziurawienie wlotowe średnicy 9 mm. Podobne przedziurawienie stwierdza się na czole tuż powyżej wewnętrznej oczodołu lewego jest podobne przedziurawienie o brzegach dość stromych. Kości szczęki czaszki są strzaskane. Poza tym w lewej połowie czaszki stwierdza się włamanie kości w głąb czaszki, przy czym szczeliny pęknięcia ograniczające włamanie są współśrodkowo ułożone i leżą poza miejscem uszkodzeń postrzałowych. Innych obrażeń nie stwierdza się.

Nie udało się wyjaśnić, kim byli ci ludzie. Spośród wszystkich 46 ofiar identyfikowano jedynie cztery osoby: Izidora Szczepanka (policjanta z Szopienic), Józefa Musialika, Emanuela Oślizło z Katowic i Waltera Urbanka. Tych rozpoznały rodziny po szczegółach ubioru czy odnalezionych przy zwłokach przedmiotach. O ile ciała nie były zeskieletowane, pomagały też np. zachowane tatuaże. Nikt z rozstrzelanych nie miał przy sobie bowiem jakichkolwiek dokumentów; zapewne zostali ich pozbawieni podczas rewizji i ewentualnych przesłuchań. Co jeszcze? Szczególnego posmaku dodaje sprawie także to, że na wypełniających drugi z ekshumowanych grobów zwłokach (w nim spoczywały opisane powyżej ciała) znaleziono... trzy puste butelki po koniaku. Czemu posłużyły? Libacji na zakończenie koszmarnego zajęcia czy może stępieniu nagłych wyrzutów sumienia? Również i tego nie dowiemy się już nigdy.

Czak i bezsenność na pewnym tarasie

Góry mokną w mroku
Zmarznęte trawy połyskują pasemkami szronu
Czak żółty labrador tańczy pod olchami
wpatrując się z napięciem w mokry kijek który wysoko
jak najwyżej unoszę nad głową
Przez chwilę
– dwa liście wyłowione z nurtu świata –
zastygamy w bezruchu
równie płomiennym i niepojętym
jak najdalsze cypelki Chaosu przed Wielkim Wybuchem
(w ciemnych gałęziach irgi poruszył się ptak)
Wokół nas wirują srebrne krople rozlane smugi
gwiazd latarnie przy drodze sięją mokre splachetki czerni

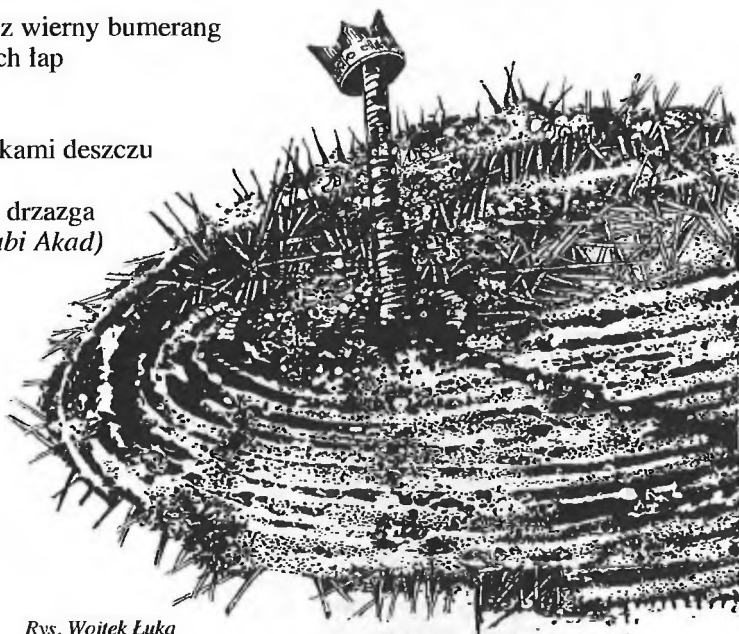
i
znowu wiem
że jest czas czasu i ten drugi –
moment szarego światła przed odejściem burzy
mała ścieżka która wiedzie poza
Czas w którym Gajusz Publiusz co noc wychodzi na wysoki taras
i stoi w rozgrzanym powietrzu w milczeniu wyłamując palce
(wśród pęknięć pustyni kwitną małe niebieskie kwiatuszki o dziwacznej
aramejskiej nazwie)
Armie dawno odeszły Na odległych wzgórzach żółte włosy umarłych
rozwiewa wiatr
(w żółtym mroku sypialni
miękką linię kreśli ciepły oddech jej pleców)

Jest więc (dobrze znany) czas budowniczych piramid
i czas otwierania murów
Czas zwodzenia mostów
i czas wody
(*ludzie są studniami odpędzanymi od wody mówi Rabi Matias*)

i jest czas tańców w ciemnościach
Więc hoop! Ciężkie nasiąkłe wodą drewno nasz wierny bumerang
szybuje nad skołtunioną wełną traw Tętent psich łap
Czak wraca dumnie niosąc kijek
Jak dziwaczny biały jednorożec
to wylania się to niknie między szarymi paciorkami deszczu
Czuję nagły ból w palcu
Powoli wysysam krew z miejsca gdzie utkwiała drzazga
(*trudność jest bytem samym w sobie mówi Rabi Akad*)
Odchodzimy
Powoli
Pochłania nas zimna
coraz większa coraz śmielsza
ściana mgły



Rys. Wojtek Łuka



Rys. Wojtek Łuka

Ja, Marlowe (myśląc o Malfi)

(osoby: Christopher Marlowe, porównywany z Szekspirem tajemniczy dramaturg elżbietańskiej Anglii, w wieku 29 lat zamordowany w tawernie przez niejakiego Frishama; księżna d'Amalfi, bohaterka tragedii Webstera, zamordowana przez brata z powodu miłości do Antonia)

Cóż moja droga cóż księżno

Zdradzono nas oboje więc razem
patrzmy na tańce odległych traw
Twój ostry profil odciska się w miękkim powietrzu
jaskółki latają nisko idzie deszcz

Więc czuję w martwych szkarłatach twych sukni
stęchłą woń dusznych włoskich pokoi
Odgłos pióra skrobiącego papier fiołki fioletowych trucizn
Przez złote szybki okien prześwieca noc

Pomiędzy snem a marzeniem jest
jeszcze jedna ścieżka Siedzą na niej nasze
samotne figurki Otluczone kamienne noski
otwarte ramiona zarasta bluszcz

Wiem, nie wędrowałem w życiu prostymi drogami
Raczej błąkałem się między przeznaczeniem
a butną dzikością serc
Byłem tutaj ale miejsce zbyt rozległe
aby się odnaleźć

U wejścia do doliny
chłopiec w ubłoconych spodniach grabi siano
Dwie kozy potrząsają brązowymi łbami
skubiąc żółknące kępki między kamieniami Już czas

Tak, moja droga, tak księżno

To prawda nie potrafiłem kochać tak wiernie jak ty
pamiętać o powrotach nim będzie za późno
o pieszczotach, co rozświecła purpurowy mrok
Czysta radość pokory ulga obowiązków nie były mi
pisane
(Jeśli bóg istnieje to dlatego że jest w księdze)

Już raczej otwierałem coraz szerzej butwiejące drzwi
tawern. Sekretne życie nocy i zdrady i krwi I teraz
leżę w ciemnościach w chłodzie potu
tuląc jakieś imię jakieś sny

co noc czekam na znak jakąś miłość może śmierć
Cichy
odgłos pióra skrobiącego papier nikły
szkarłatny cień sukni na ścianie

Co noc nasłuchuję szeptów idących
ze wzgórz
Ale to przecież tylko karty i gra
I w drżącym świetle świec powoli odkrywam jej mały
test –
Więc to ten mdlący fetor piwa i to już
Ingram Frisam o bladej szczurzej twarzy
po drugiej stronie
zielonego stołu
Wiec to ten uśmiech cierpki ten gest
doskonały
i ten nóż

Czterej królowie

Śniło mi się, mówi Agnieszka,
Że w wielkich grzybach na skraju pola Przybyłów
Urodziło się czterech królów
I wszyscy byli bohaterami. I co dalej, pytam, chociaż
Wiem, że w ten sposób nigdy
Nie otrzymam odpowiedzi
No nic, wzdycha Agnieszka i furkocze
Żółtą peleryną biegnąc
Przez wilgotne, niebieskawe powietrze
Do najbliższej kałuży,
By zachwycić się śliskimi kulkami
Żabiego skrzeku.

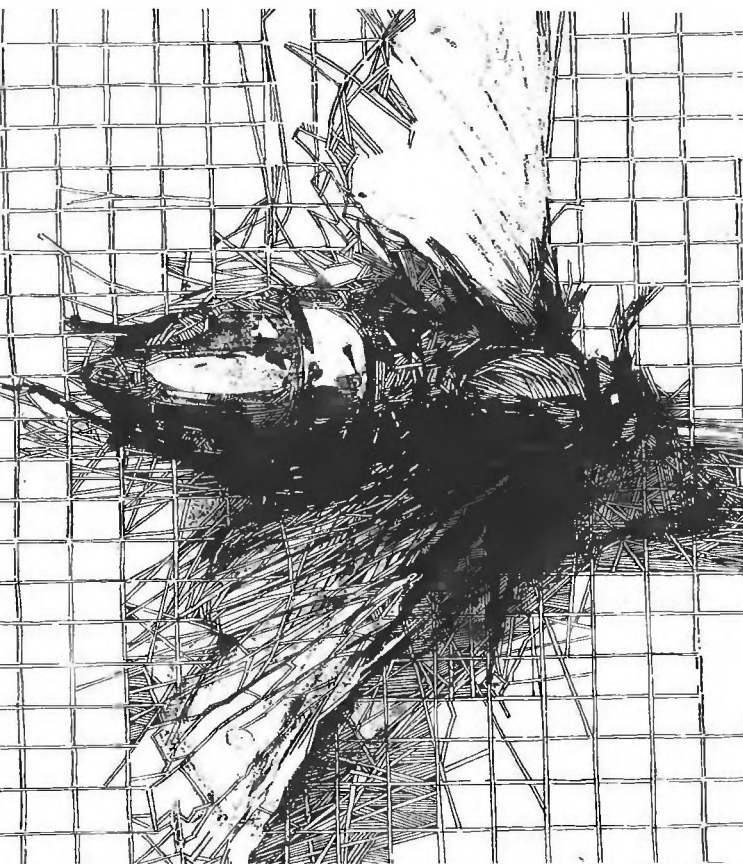
a po niebie chmury idą
jak wielbłądy

Vermeer (1658)

Nalewająca mleko nie uрони kropli
W szarym świetle poranka czysta żółć rękawa
Chleb stół dzban i misa
Imię niepotrzebne
Żaden zmierzch żadne niebo nigdy tu nie dotrze
Żadnych drzwi żadnych szeptów
I nikogo obok
Na delikatnych wargach lekko lśni cień perły
Łagodnie czuwa nad biegnącą bielą
To jak ran omywanie jak witanie zmarłych
ostateczna czułość tkwi w porządku Rzeczy
W mrocznym tunelu dzbanka drzemie nienazwane
ciemny rytuał przejścia gdzieś na inną stronę
tam gdzie ślepi prowadzą głuchych przez puste
mokradała
krochmalona biel płótna kryje twarz
I tylko pochylenie ramion
sen ciała i gliny
farba na brzegu pędzla co rozkwita
prosto w błękit

Mistrz

RADOSŁAW KOBIERSKI



Rys. Wojtek Łuka

Sierpień trzydziestego czwartego roku przyniósł wreszcie ocieplenie. Słońce jakby zatrzymało się nad miastem, w ciągu kilku dni osuszyło wielkie bajora na Zamkowej, w których niemrawo gnił szpaler wierzb, po kałużach na Wąskiej i Wekslarskiej zostały zwąły błota, góry śmieci, papierów, odpadków, słomy i resztek jedzenia.

Wyglodniałe psy rzucały się na wszystko, a potem w męczarniach zdychały w półmroku sieni i podwórek.

Uliczki, zaułki, bramy ogarnął smród nie do wytrzymania, wiatr potężnymi podmuchami przenosił go

w kierunku Lwowskiej i na rynek; ludzie mdleli nawet na placu Rybnym, gdzie wszyscy do odoru byli przyzwyczajeni. Tam to bowiem znajdowały się szalety miejskie, rdzewiejące klozet, którego trujące miazmaty przyprawiały o mdłości i zawroty głowy. Roje wściekłych much obsiadały stoiska z jatkami, kosze przegniłych, brunatnych jabłek, maliny, pożółkłe kapusty, które układane w pryzmach przypominały kule armatnie. Ludzie wymachiwali przetłuszczonymi gazetami lub przeczekiwali atak owadów w cieniu kamienic. Tam dopiero przypominali sobie, że w tej codziennej pogoni za wiktuałami nie są sami, spotykali się tu i kindry spod kina Apollo i biedota ze Strusiny, ale i panie z Krakowskiej, gimnazjaliści z Brodzińskiego, uczennice w granatowych berecikach z literką U – od Urszulanek, studenci ze szkoły Jawne. Oczywiście wszyscy narzekali. Najpierw, że powódź, że zalana Dąbrówka i Mościce, potem, bo upał nie do wytrzymania, i co to z tego będzie, najpewniej jakiś kataklizm. Krążyły historie o czerwonym księżycu, o śniętych rybach w Białce, ludzie podobno zapadali na dziwne choroby, dostawali czyraków, wpadali w obłęd.

– A słyszała pani o doktorowej Zabłockiej? Podobno w jedną noc zaniemogła biedaczka – tłumaczy pani w kapeluszu z pikowaną woalką. – Sprowadzili nawet medyków z Krakowa. Całe konsylium. I nic nie pomogło. Przedwczoraj rano zmarło się biedaczce. No niech pani sama powie!

– Ta, ci doktorzy! Doktorzy! U nas proszę pani leczyło się tylko bańkami. Bańki, okłady, herbatki z kwiatu lipowego. Człowiek trochę poleżał, wypocił się, i po kilku dniach wstawał zdrów jak ryba.

– Z tej wody pewnością cosik będzie. Ino cholera, albo inne paskudztwo – zachrypiał jakiś hrunio, jak nazywały prostaków damy z porządných domów.

– Co pan opowiada, co pan straszy ludzi! – oburzała się pani z kapeluszem.

– Podobno nowy burmistrz już wydał rozporządzenia.

– Ależ droga pani, doktorowa Zabłocka chorowała już od wielu lat. Wszystko od tej szkarlatyny się zaczęło. Ledwo ją wtedy odratowano. Cała kamienica na Kapitulnej wymarła. Rok minął spokojnie, a potem zaczęła słabnąć, kaszleć. Strasznie schudła. Ja się proszę pani szanownej zupełnie nie dziwię. Przy takim trybie życia, jakie prowadziła doktorowa Zabłocka...

Rzeczywiście nowy burmistrz wydał rozporządzenia. Studenci z I gimnazjum i Handlówki zamiatali ulice, bezrobotni ze Strusiny naprawiali wały nad Dunajcu, Krakowską, Targową i Wałową kilka razy dziennie jeździł beczkowóz odświeżający powietrze. Wspinał się po nieco pochyłym bruku, i kiedy osiągał żydowską kawiarnię Avenue, zawracał w kierunku Plant Kolejowych. Był podobny do ogromnego chrabąszcza, niczym endemit, który nagle zbudził się z wielowiekowego snu i stwierdził, że jest ostatnim osobnikiem dawno wymarłego gatunku. Oczywiście beczkowóz nie docierał tam, gdzie był najbardziej potrzebny.

Na Grabówkę nie dotarły nawet wieści o zmianie władzy w magistracie. Oczywiście mieszkańcy tej dzielnicy nie byli narażeni na powódź, ani Dunajec ani Biała nie przepływały przez Grabówkę, jednak ulewne deszcze padały wszędzie. Deszcz jest kosmopolityczny, nie uznaje granic ani paktów o nieagresji. Deszcz jest niezależny od nikogo na ziemi, jest wolny.

Mosze Weltsch od kilku dni wynosił wiadra z wodą, której, mimo upałów, nie ubywało w piwnicy domu i sklepu zarazem. Ściany sklepu Ubioru męskie i dziecińne, mocno zawilgły, pojawiły się geometryczne wy-

kwity, farba zaczęła odpadać, a na jej miejscu pojawił się biały mineralny puch. Dzieci Weltscha zeszkrobywały go kartonowym papierem i wynosiły na podwórkę z tyłu domu. Urosła wielka przyzma przypominająca łąkę śniegu. Dom opalano chrustem, papierami, nawet skrawkami materiałów. Okna otwarte były dzień i noc.

Mosze był jednak przede wszystkim skrybą. Na tym samym podwórku z tyłu domu stały trzy drewniane ramy, na których rozpiął skóry owcze, kozie, czasem bydlęce. Wyrabiał z nich pergamin, na którym pisał ketuby, wkładał to teffilim i mezuz. Zamówienia szły zewsząd. Z Buska, Dąbrowy, Dębicy, od przyjaciół przed stanem małżeńskim, na bar i bat micwy.

Najgorzej było nad Białą. Ogromne połacie pól i łąk znalazły się w ciągu jednej nocy pod wodą. Czegoś takiego dawno tu nie widziano. Młyny rzeka zabrała w pierwszej kolejności. Popękały palisady, słupy, budynki przewracały się jak domki z zapalek, z kart, rozpiływały w rwącym nurcie jak czekolada w rondlu. Na drugi dzień nie było gdzie okiem zacząć: wszędzie srebrzysta i mętna tafla niczym lodowisko Samsona w powiększeniu. Gdziekolwiek tylko wystawały wierzchołki drzew owocowych, kępy zagajników, fragment komina, którego cudem woda nie wymyła. Jak na ironię, zaraz po wielkiej fali pojawiło się słońce, błękit nadzwyczaj czystego nieba przeglądał się w spokojnej już powierzchni wody, pomiędzy nimi zawisła cisza i pustka.

– Bóg tę ziemię opuścił – mówiła Anna Ettinger do swoich córek, Marii i Lei. – Opuścił tę ziemię wasz ojciec, a teraz i sam Bóg. Nic tu po nas.

Siostry były już gotowe do przeprowadzki na Breń. Siedziały na furmance na dwóch walizkach, które zostały z całego dobytku. Ale Anna nie dawała znaku do odjazdu. Wpatrywała się w miejsce, gdzie do niedawna stał dom. W wyobraźni, świeżych jeszcze wspomnieniach rysowała linię dachu, węglów, maleńkich okien, przez które wpadała od razu na stół struga światła, mocno pofalowany gont. Pierwsze drzewa sadu; tam robotnicy położyli ciało jej męża, którego przygniótł dąb podczas prac w Gumniskach. Pierwsze kroki Marii. Ostatnie kroki Lei zanim choroba przykuła ją na stałe do łóżka, do fotela. Pożegnanie z przyjaciółką Romą, Cyganką, którą porwał wielki świat, rozśpiewany i błyszczący tabor i zawiódł gdzieś pod Warszawę.

Nic nie zostało nam oszczędzone – myślała wciąż wpatrując się w polyskującą topliw. – Pod koniec życia wracam do punktu wyjścia. Tak jak przepowiedziała Roma przed odjazdem.

Miała wtedy piękną, surową twarz, błysk w oku, który onieśmiał każdego a jednocześnie każdego pchał w jej ramiona. Włosy zawsze rozwiązane, sięgały aż do delikatnych małych piersi, odgarniała je z twarzy dwoma wskazującymi palcami, ścigała do tyłu, wiążąc prowizoryczny, krótkotrwały warkocz, który następnie spuszczała z przodu, zawsze po lewej stronie. Anna nie nawidziła jej mężczyzn i nigdy nie zwierzała się mężowi z tej potajemnej, głęboko w duszy skrywanej słabości do Romy.

– Jedź! – krzyknęła i zakryła twarz w rękach. Woźnica smagnął batem w powietrze i fura, grzęznąc niemal po osie, ciężko ruszyła z miejsca. Pozostał za nimi brunatny maślisty cypel, roziskrzona toń i głęboki, wrzynający się w ziemię ślad po kołach.

Miasto powracało do życia. Z ulicy Nadbrzeżnej płaskimi szuflami ściągano szlam, który naniósł Wątok. Na ścianach domów, tuż pod oknami widniały brunatne pasy, które jeszcze przez wiele miesięcy mieszkańcy pokazywali sobie z trwogą. Wyciągano na podwórka na pół przemoczone kilimy, gałganiarze, czasem dywany.

Całe śródmieście obwieszane było jak w święto narodowe flagami pościeli, kołder, poduszek, kuchennymi sztandarami ścierek i wszelkiego rodzaju szmat, chorągiewkami betów, bielizny. Niemal każde okno, każdy balkon, antresola i taras ugięły się pod ciężarem stęchłego dobytku, przemoczonych i wilgotnych posagów, ludzie wykorzystywali framugi, haki, balustrady. Na podwórkach i patiach zaczęło się masowe trzepanie dywanów, głuche dudnienie ogarnęło zaułki i sienie.

Światło niczym w soczewce skupiało się na fragmentach murów, kładło geometryczne ostre plamy, które stanowczo oddzielały się od cieni; kontrasty były prawie nierealne. Tuż obok głębokich szarości, złamanego kobaltu półmroku, w którym bez przeszkód mógł się rozwijać wykwit, *Coniophora puteana*, gdzie woda pod tynkiem pulsowała nieustannie zasysając wilgoć spod fundamentów, rozbrzmiewała jaskrawa plama światła, mieszanina bieli i wszelkich jasnych żółtych kadmów, w ciągu dnia przesuwająca się tylko nieznacznie, bo były takie miejsca w labiryntach ścieśnionych ulic, do których światło nigdy nie docierało. Kamienice już od samych parterów porastały balkony, antresole, dodatkowo zadaszone; przypominało to nieumiarkowany pęd zielska do światła, jedne zagłuszały drugie, jedne drugim ostentacyjnie wydierały resztki promieni.

Do tych enklaw barwnych, pustynnych temperatur nie miał dostępu grzyb, płaski miazmat o fantastycznych wprost kształtach, fragmentami orientalny jak tapety ze sklepów kolonialnych. Z każdym dniem, miesiącem pęczniał, rozrastał się powszechnie, w jego władaniu były niemal wszystkie piwnice, wilgotne sutereny i klatki schodowe. Nocami wypuszczał zarodniki, które nieomylnie trafiały na nietknięte obszary i zakładały nowe kolonie. Ale gdy tylko zbliżała się pora godzin południowych i światło przedzierając się przez zaskieki balkonów, docierało na ściany, przedproża piwnicznych okienek, kolonie zarodników musiały uznać wyższość światła, cofały się w pośpiechu, zasychały na tej rozgrzanej południem patelni.

Ale i ludzie czegoś zdążyli się nauczyć. W tej świetlnej topografii wyznaczali miejsca na trafiki, mikroskopijne warsztaty szewskie i krawieckie, tu ulokowali się sprzedawcy sznurków i batów, cieśle z dębowymi beczkami i maselnicami, rymarze z osprzętem do siodeł, walizek i butów; rzemienie i skóry wiązały wszystko, cały świat być może trzymał się w całości dzięki rzemieniom i kołodziejom, którzy wprawiali w ruch każdy z dwudziestu sześciu miejskich fiaków. Tuż po godzinie ósmej w głębokiej nabożności otwierano te małe przybytki, szczękały klucze w zamkach, brzęczały zasuwki, żelazne antaby, skrzypiały dawno nieoliwione zawiasy. Drewniane drzwi sklepików były jednocześnie oknami wystawowymi; na dziesiątkach haków, gwoździ, w pętłach dratw wisiały materiały, półfabrykaty, trwałe ingredencje z wieczystą gwarancją. Czasem owe sklepy, jak się później okazywało, swoją przestrzenią ograniczały się tylko do tych drzwi, zabudowywano w ten sposób nisze, dawno zamurowane stare wejścia do kamienic. Można tu było kupić wszystko. Knoty do lamp naftowych, sznurówki, zawiasy, fiszbiny do niemodnych już krynolin, gary, czopy, sagany, ocynkowane wiadra, kafle do pieców i szamoty, kosze, szare mydło, puszki z karbidem, sztucce, ale i podręczniki gimnazjalne, zdekompletowane nuty, binokle, błaszanne pudełka po tytoniu, czasem cygarach, w których chrzęściły gwoździe, śruby, stare marki i cesarsko-królewskie reńskie. Właściciele tych oaz, wysp w morzu rzeczy pięknych a nieużytecznych całymi godzinami wystawiali w słońcu, ich twarze były ciemne i ogorzałe,

suche niczym pęki pożółkłego tytoniu. Za odpowiednią opłatą, godnie się uniżając, przewozili każdego przez ciemne półmrocze odczłanianie, przez tę krainę zapomnienia, którą reprezentowali jej ambasadorzy, przedmioty, które zachowały swój kształt i charakterystyczny zapach, które przez lata wchłaniały pot, krew, mikroorganizmy rdzy i były niemymi świadkami narodzin, świąt, umierania, codziennego milczenia i pracy. Ileż dramatów, cichej świętości, krzykliwych zdrad małżeńskich, snów kryło się w skrawkach materiałów, zelówkach, kancerowanych markach, żołnierskich guzikach? Sprzedawcy znali wszystkie tajemnice, skrzętnie skrywane sekrety byłych właścicieli rzeczy i na oczekaniu, dowodząc praw własności, powoływali się na zastępy ciotek, stryjów, szwagrow, w ciszy sklepów rozrastały się drzewa genealogiczne, w powietrzu unosił się ściśle tylko dla wtajemniczonych zastrzeżony panteon heraldyki.

Wystarczyła chwila zawahania, moment niezdecydowania i z przechodnią, niedzielnego turysty człowiek przeistaczał się w ślepcę, którego po krainach zamierzających oprowadza domorosły Charon, po dotyku rozpoznaje się charakter rzeczy, ich sens i przeznaczenie.

Tam, gdzie nie ulokowano sklepów, straganów, warsztatów rzemieślniczych stali bezdomni Żydzi, handlowali czasem zużyтым, niepełnowartościowym. Bardziej przypominali figury woskowe niż realne istoty. Starzy, wynędniali, ze śladami dawnej świetności w postaci rozpadających się chałatów i lisiur, wykonanych, rozpoznawało się to od razu, z bardzo dobrych niegdyś materiałów. Z nieudawanym żalem rozstawiali się z połową sznurka, pałąkiem od czajnika, szczotkami ryżowymi, które służyły chyba od czasów hiszpańskiej aliji. Nie było rzeczy niepotrzebnych, bezużytecznych, nic nie mogło zaginąć w świecie, który powołał Pan dzięki swojej łaskawości.

Materia ma nieskończone możliwości, jest niespożyta w stwarzaniu coraz to nowych form istnienia. Ale na skutek tej nie do końca kontrolowanej płodności, powstają formy ubogie, kalekie, formy, które nigdy nie osiągają stanu spełnienia, chociaż przejawia się w nich ułamek boskości. Są to formy niejako wycofane z obiegu, żyjące w czasie przejściowym, formy, które w pewien sposób dopiero przygotowują właściwe, pełnoprawne byty do zaistnienia. Pojęcie sprawiedliwości ich nie dotyczy. Pojęcie sprawiedliwości odnosi się jedynie do form skończonych, to znaczy takich, które podlegają procesom, mającym doprowadzić je do ukończenia. Myliłby się jednak, kto uważałby, że takie istnienia nie czują, nie są wolne i odpowiedzialne na tym marginalnym i kalekim odcinku czasu, który został im ofiarowany. Kto wie, być może w tajemnicy stworzenia została zarezerwowana dla nich możliwość ostatecznej decyzji? Najpiękniejsza a zarazem najbardziej tragiczna chwila, w której ważą się losy całego istnienia? I okazałoby się, że gniew surowego Boga powstrzymuje głupi Antek, meszuga, który pod bożnicami rozgłasza, że droga zbawienia wiedzie przez grzech albo niewidzący Simche, a może w ogóle ktoś z gojów?

Dlaczego nie zostali w porę zauważeni, rozpoznani? Spełniali przecież wszystkie warunki boskiego cimum, idei wycofania, o których w półmroku, z daleka od światowej wrzawy nauczali światobliwi mężowie, pogrążeni w merkawach cadcey. Przyroda nie zna pojęcia pustki. Przyroda nie znosi pojęcia pustki. W takich miejscach od razu pojawiają się nowe formy, coraz doskonalsze i coraz bardziej odporne. Tymczasem z boku, z tyłu, może w równoległej rzeczywistości podążają za

nimi ciężarne kobiety, szaleńcy, ślepcy, wiejskie dziady, grzłnicy z ciemnych suterren, którzy nieustannie oddają swoje miejsca, wycofują się z istnienia, by jeszcze raz je usprawiedliwić.

Miasto zatem powracało do życia. W biurze koncertowym Adolfa Seidena planowano właśnie koncert Kwartetu Drezdeńskiego. Zaczęły się znowu przemarsze pułku piechoty, orkiestra od szóstej rano budziła całe śródmieście. Nowy wynalazek – beczkowóz odświeżający powietrze uparcie pokonywał drogę od Plant Kolejowych do kawiarni Avenue. W cukierni u Skolimowskiego i u Palucha jeszcze nieśmiało, choć coraz częściej powracał temat sobotnich wyjazdów za miasto, pikników nad Dunajcem i Białą. Pamięć ludzka jest bowiem krótka i zawodna. Ze zbyt wielką ufnością podchodzi człowiek do swoich możliwości, wydaje się mu, że panuje nad czasem i przestrzenią, że jest w stanie obłąskawić przestrzeń, wyrwać ją z rytmu, który ją organizuje od początku stworzenia. Ci, którzy ocaleli, będą uparcie powracać do miejsc, w których wszystko utracili, na zgłiszczach, ruinach, na podmytych fundamentach zacząć budować te same domy, zasadzać drzewa, płodzić kolejnych pogrobowców, ponieważ siła miejsca, siła tej krótkiej pamięci jest potężniejsza od instynktu i rozsądku.

Nowy prezydent Brodziński nie wiedział, od czego zacząć. W pięknym i nowym gmachu, do którego przeniósł cały magistrat był burmistrz, czuł się nie-swojo. Ale na Bernardyńskiej było przynajmniej cicho. Ratusz w niektóre dni przypominał obłożoną twierdzą, wyspę w morzu przekupni, straganów, hałas i zgiełk trwał do późnych godzin popołudniowych, wypełniając szczerze podcienia, sienie, klatki schodowe, niósł się i wielokrotnie jak w pudle rezonansowym. Zamykano wszystkie okna, posiedzenia rady i zarządu musiały odbywać się w odizolowanych pomieszczeniach. Był oczywiście i inny powód do przeprowadzki. Od kilku lat głośno mówiło się o utworzeniu w ratuszu muzeum. Całą sprawę powierzono księdzu Bulandzie, choć wiele osób wątpiło, czy temu podoła. Ksiądz kustosz sprawiał bowiem wrażenie, jakby go w ogóle nie było. Przygarbiony prawie do samej ziemi, nosem niemal ocierał o bruk uliczny, przemykał między zaułkami, jakby się obawiał światła, spotkania i rozmów z ludźmi. Musiał dokonywać niebywalej ekwilibrystyki, żeby spojrzeć w twarz rozmówcy i niebywale wyteńczyć głos, aby zostać usłyszanym. Snuł się jak mgła, którą niby każdy widzi, ale nie rozumie, w jakim celu istnieje. Ksiądz zatem unikał otwartych przestrzeni, Rynku, Burku i Krakowskiej, przemykał za to Małymi Schodami, nieoświetloną Wałową, całymi dniami przesiadywał wśród pielęgnowanych starodruków, rzeźb i barokowych płócien w swoim muzeum diecezjalnym. Tu był w swoim żywiole. Tutaj opuszczało go poczucie niemocy i wstydu, każde z tych dzieł, każdą figurę, obraz, księgę, niemal każdy mebel przynosił na swoich plecach, na swoich barkach nawet z odległych miejsc, kościołów, zrujnowanych kapliczek i strychów. Podobno właśnie dlatego tak go przygarbiło.

Cóż to był za widok! Oto z odległej Starodąbrowskiej w kierunku Lipowej zmierza popękany fotel. Ludzie przystają zdziwieni i żegnają się zamasyżycie, niektórzy klękają. Czort to czy zjawa? A fotel sam z siebie ewidentnie zmierza w ich stronę, nie widać, żeby coś go pchało, by coś fotel za sobą ciągnęło. Sam z siebie. Unosi się dwa łokcie nad ziemią, płynie, nierówno, przechyla się na boki. W ciągu paru chwil na Lipowej robi się zbiegowisko. Ludzie ciągle żegnając się, roz-

stępują się i w tym samym momencie dostrzegają księdza Bulandę, ponad swoją miarę przytłoczonego skórzanym fotelem. Podobno niósł go aż z Zaczarnia.

Mylili się zatem ci, którzy sądzą, że przynajmniej z technicznego, czy fizycznego punktu widzenia, ksiądz Bulanda nie podołał zadaniu i na wykonawcę muzeum w ratuszu proponowali rosnącego Paryłę. Ksiądz infulat Paryła rzeczywiście bardziej przypominał gladiatora niż infulata. Kiedy stał w ornatie w drzwiach katedry, wydawało się, że się nie zmieści. Nawet ornatów nie dawało się dopasować.

Ileż śmiechu, nieokielznanej radości przysparzało ludziom oglądanie tej pary razem. Ksiądz Bulanda przy Paryle wyglądał jak plecak, który na chwilę znużony olbrzym odstawił, żeby rozprostować kości. A kiedy szli obok siebie w procesji? Gdy koncelebrowali sumę, czyli popularnie tu nazywaną nygusówkę? Ksiądz Bulanda ledwo był widoczny zza ołtarza, dla księdza Paryły stół ofiarny bardziej przypominał składany ołtarzyk polowy. Zdawało się, że po skończonej mszy złoży go jak makietę, wsunie pod pachę i wyjdzie, pozostawiając za sobą zięjące pustką miejsce w prezbiterium.

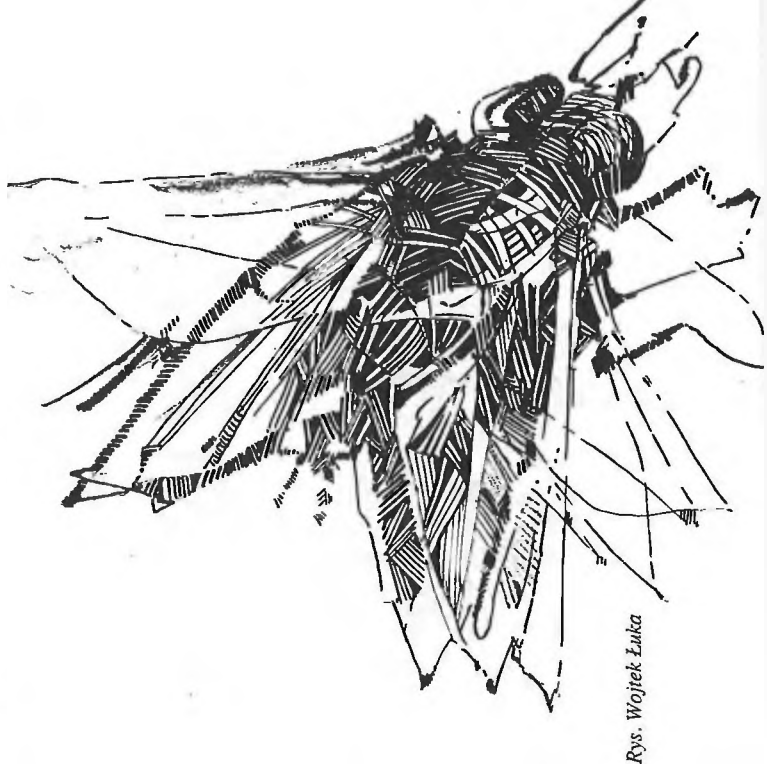
Brodziński siedział za mahoniowym biurkiem w swoim nowym gabinecie przy Bernardyńskiej i podpisywał stosy druków, rozporządzeń, aktów, odpowiadał na listy i pierwsze ataki prasowe. Chudziutki wiceprezydent Zygmunt Silbigier stał z boku i bez większego entuzjazmu podsuwał papiery i dokumenty, sennym głosem tłumaczył zawiłości budżetowe. Ciągłe kichał i wycierał nos sygnowaną chusteczką z jedwabiu. Niesprecyzowany zapach chudy kolońskiej, którą Silbigierowa delikatnie nasączała materia, roznosił się po gabinecie, mieszał z aromatem kawy i wonnością ziemi w drewnianych donicach, z których wystrzeliwały palmy. Pracowali do nocy. Każdego dnia. Wiezorami dzwoniła Maria. Byli dopiero rok po ślubie. Przez służącą Martę przysyłała mu stęsknione spojrzenia i posiłki.

Tak, nie wiedział od czego zacząć. Zaczęte budowy, nieskanalizowane miasto, na ulicach klepiska zamiast bruku, tysiące bezrobotnych, a przede wszystkim zadłużenie miasta. Siedem milionów złotych długu. Po pierwszych obliczeniach wynika, że spleta pochłonie dwadzieścia pięć procent dochodów miejskich. Skąd wziąć pieniądze?

I do tego powódź. Przerwane wały na Dunajcu, zalane osiedle na Hucie, ledwo uratowane zakłady w Mościcach. Zniszczone młyny na Bialej, Wątok półtora metra powyżej stanu ostrzegawczego.

Tego stanowczo było zbyt wiele. Rzucił na biurko stos papierów i zgasił połówkę cygara w kryształowej popielniczce. Zgasił światło i rozłożył się w fotelu. Odsunął firankę i zaczął się wpatrywać w nieprzeniknioną czerń nieba. Był sam. Wiedział o tym już dużo wcześniej. Nie należało zgadzać się na złożenie swojej kandydatury. Przeciwno sobie miał cały lokalny PPS i Żydów z Bundu, redaktor „Hasła” Kulesza szykował się do prywatnej wojny. Nie mógł znieść, że w magistracie nie ma już jego ulubieńca, Adama Marszałkowicza. To nic, że finanse miasta postawił na krawędzi bankructwa, że był bohaterem skandali i przeróżnych malwersacji. Jak przypuszczał Brodziński, chodziło zapewne o nazwisko. Kulesza nie mógł przeboleć, że na miejscu szlachcica znalazł się zwykły doktor praw, bez majątków, bez powinowactw z Lanckorońskimi i rodami marszałkowskimi. Zwykły Mieczysław Broda, Brodziński niejako z losu fortuny, wygórowanej ambicji tudzież społecznego awansu.

Był sam, ale przecież nie mógł w takiej sytuacji zrezygnować. Odsunął firankę i zamknął oczy. Przypominał



sobie szary budynek gimnazjum w Dębicy, studia, kurs podoficerski, piłsudczyków, święta Bożego Narodzenia spędzone pod Łowczówkiem. Kompanię 5 pułku, która zimą czternastego roku otrzymała rozkaz uderzenia na wzgórze 343.

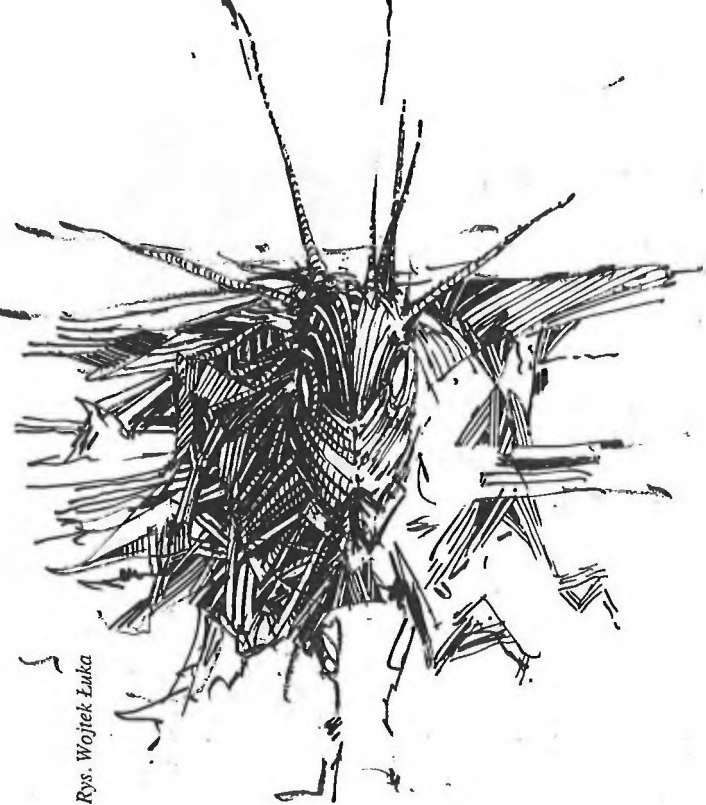
Tuż przed świtem 23 grudnia razem z piechotą węgierską zaczynają szturm wzgórze, zdobywają je i spychają Rosjan nad Białą. Sosnkowski idzie za daleko, alarmuje o pomoc, ale ta nie nadchodzi. Rosjanie odcinają ich od sztabu. Wysyłają łączników, ale żaden nie wraca. Pada deszcz ze śniegiem, mróz zaczyna ścinać ziemię, mętne kałuże, piechurzy otuleni czym się da, stoją oparci o krawędzie okopów. Nie wytrzymują. Czujki strzelają bez przyczyny, potem cały oddział. Pamięta chłopaka z Ropczyc, który cały drży, płacze, przy każdym strzale zwija się w kłębek. Podoficer Brodziński jest bezwzględny i wysyła go na zwiad. Do dziś nie wie, co się z nim stało. W wigilię otrzymuje piekący prezent w ramię i zawożą go do szpitala polowego w Zakliczynie. Kość pod obojczykiem rwie, jakby ją ktoś piłował. Kula zatrzymała się na torebecie stawowej.

Nie śpi przez całą noc po operacji, inni umierają. Kapitan Bojarski, Józiu Lesiecki, świetny taternik. Tyle razy opowiadał mu o południowej ścianie Zamarłej Turni, o urwiskach Galerii Gankowej. Nie mógł się tym niebywałym sukcesem nacieszyć.

– Mieciu, ty wiesz, ona jest z daleka taka niepozorna, kiedy patrzysz w stronę Kozich Czubów, to widzisz tylko Kościelec, co tam Turnia – macha w zniecierpliwieniu ręką. A po chwili dodaje w uniesieniu – Mnich albo Miegunzowieckie to jest coś! A nikt tego nie mógł przed nami zrobić. Rozumiesz? Ani Gyula i Roman Komarnicy ani Jędrzek Marusarz, ani Schiele. A myśmy poszli w bok, na prawo od trasy Komarnickich. Nie udawało się, ale w końcu puściła – śmieje się – w końcu Mieciu puściła. Trzeba było iść linią spadku wierzchołka.

Puściła, pomyślał Brodziński, puściła Józku, mamrotał przez sen prezydent Brodziński, zaciskając rękę na oparciu fotela w przekonaniu, że ścisła ciepłą jeszcze dłoń Józia Lesieckiego.

Kiedys stał tam zwykły drewniany parkan, który z czasem zbutwiał, zaczął się sypać i odsłonił szpetny



Rys. Wojtek Łuka

ugór, prawdziwie dzikie pola, na których w miesiącach letnich odprawiał się istny, pogański rytuał płodności. Tam to właśnie bez żadnych przeszkód rozrastały się kipiące od kwiecica dziczące czerwemchy i bzy ogłupiałe od secesyjnych form, które upijały skondensowanym zapachem roje owadów, pszczoł, które dawno opuściły ciasne ule, ciężkich trzmieli i os. Tuż pod sklepieniami strychów wisiały szare kule niczym lampiony, w których dawno wygasło światło i stamtąd każdego ranka wyruszały na krótki podbój armie wściekłych, rozjuszonych robotnic, obsiadały baldachimy barszczu i dzięgielu, rozety nagietków, dywany rozchodnika i macierzanki. Nad dzikim ogrodem unosiły się nieskończone i nudne prymy, małe sekundy dźwięku owadzich skrzydeł i wprawiały także w ruch powietrze, które leniwie i rozkosznie falowało. W tym ruchu, w owym kosmicznym laboratorium tkwiła być może cała tajemnica pierwszych dni stworzenia. W pocie i bólu rodzić będziecie, zdawały się mówić karłowate drzewa, kalekie krzewy, nad wyraz wybujałe darnie, suche i beużyteczne badyle, ledwo tkwiące w glebie od ostatniej jesieni. Oto bowiem ze zgniłych sadzawek, stosów śmieci i resztek z uboju wzbijają się chmary komarów i much, które od południa do wieczora nękają miasto, obsiadają nagie ramiona, stoiska z jatkami i rybą, być może właśnie przenoszą śmiercionośną broń, niepozorne pałeczki, granulki, wiję, każdą ze swym niepowtarzalnym kodem, tajemniczą księgą znaków. Wchodzą przez usta i lekkie, śmieszne zadrapania i powoli, cierpliwie powielają niczym na prasie drukarskiej, powtarzają w nieskończoność wzór białka. I pewnego parnego wieczoru zaczyna się drapanie w gardle, słaby kaszel, poty, stany podgorączkowe. Łamanie w kościach. W hałasie ogrodu, którego nikt nie bierze poważnie, w rozkładających się szczątkach ptaków, bezdomnych kotów trwa właśnie cud ewolucji. Małeńki organizm do złudzenia przypominający kasztan lub minę morską, oczywiście w mikroskali, pokonuje wreszcie barierę gatunkową. Dotąd niezdobytą, niesforsowaną bramą, otwiera się na oścież przed najmniejszym z istnień. A mianowani przez siebie władcy tej ziemi, śpią spokojnie, piją,

sprzedają i kupują akcje na giełdach, spierają się w klubach i restauracjach o imponderabilia. I nadchodzi wreszcie dzień, w konkretnym miejscu i czasie również wyznaczonym co do sekundy zaczyna się zwycięski pochód istnienia, który zdziesiątkuje Europę. Zadziwi nawet tych, których nie zadziwiły stopy trupów pod Ypres, Hastings i Saratogą.

Ale ogród, ów dziki ugór jednocześnie posiada lekarstwo. Tyle, że rodzaj *homo sapiens* dalej żyje w zaślepieniu. Kto wie, czy cierpienie i strach bardziej nie oślepią niż posiadanie. Bowiem tuż obok bajorka rynsztoku, rozkładających się szczątków zwierzęcych, rośnie napęczniała od kwiatów naparstnica purpurowa, w półcieniu bluszczu tkwią pojedyncze przecinki konwalii dwulistnej, na skarłowaciałej topoli rozsiadła się upita sokiem jemiola. Każde z nich ma coś do zaoferowania. Może pochód hiszpanki przerwie gruby jak ołówek korzeń mniszka, albo odpowiednio spreparowane szyszki chmielu połączone z wywarem z kory kruszyny? Kto ma się jednak o tym przekonać? Dzikie ugory przed browarami Sanguszków są obrazą dla ambitnego miasta, oszpecają galicyjskie gusta i widoki, wprawiają w nie lada zakłopotanie delegacje oficjeli.

Pod koniec sierpnia drzewa i krzewy uginają się pod naporem owoców, dzikich, małych i gorzkich. Nieforemne jabłka, kiście czarnych kul bzu i czerwemchy, głóg, tarnina, chmiel. Pękające z trzaskiem kłosa perzu i babki. Ziemia jest bombardowana przez nasiona, pestki, które odsłania na pół zgniły miąższ. Roje owadów brzęczą do nieprzytomności upite słodem, na pół sfermentowanymi sokami, ciężkie i posklejane opadają bezdźwięcznie w trawy i mchy.

Powoli jednak, jak każdego roku, zbliża się pora zagłady. Dojrzewa w ciszy i skupieniu wewnątrz spróchniałych pni, w opustoszałych norach lisów i starych oborach. Najpierw całkiem przypadkiem nad dzikim ogrodem pojawia się zwiadowca, gatunek dwa, trzy razy większy od osy, jest na tyle duży, że widać go zza parkanu. Ciemny podłużny kształt wypełnia nowym, nieznanym, czy może niepamiętanym już, głębokim tonem radosną orkiestrę. Nikt niczego się nie spodziewa, nikt nie słyszy tego zgrzytu. Tak mijają kolejne dni. Zwiadowcy przekazują w swoim ciemnym narzeczniu wszystkie informacje, współrzędne, burzą się i rwą sejmy, ale i tak, pewnego dnia ruszają wszyscy, wszystkie zastępy, zgodnie w postaci ciemniejszego obłoku wzbijają się nad miasto i bezbłędnie trafiają nad niczego się nie spodziewający ogród. Już na kilka chwil przed atakiem wszystko wstrzymuje oddech. Liście zastygają bez ruchu, soki przestają płynąć i głupieje chlorofil. Jest za późno na zwarcie szeregów. I osy, pszczoły, trzmiel, niestrudzeni pracownicy ugoru bezwolnie poddają się klęsce, zmasowanemu atakowi, masowemu mordowi, który nie ma żadnego celu, nie ma absolutnie sensu, chyba, że ów radosny i twórczy akt niszczenia wszystkiego co się rusza i żyje, ma jakiś ukryty cel, sens, który objawi się później, na jakimś końcu dziejów.

Radosław Kobierski, ur. 1971 w Chorzowie. Tomy poezji: *Niedogodny* (1997 Kraków), *Rzeź winiątek* (1999 Łódź), *We dwójkę płyną umarli* (Łódź 2002), *Południe* (Kraków 2004). Tom opowiadań: *Wiek rębny* (2000 Kraków), powieść *Harar* (2005 Warszawa). Tłumaczony na język czeski, słowacki, węgierski, angielski, włoski.

Prezentowany fragment pochodzi z powieści, nad którą Autor pracuje.

Don Johnston (w tej roli wielki Bill Murray!) ma zabezpieczony byt; dorobił się pieniędzy na komputerach. Może są to duże pieniądze, może zgola fortuna. Dowiadujemy się z jego ust tylko tyle, że w życiu interesowały go naprawdę tylko dwie rzeczy: komputery i panienki. Pierwsza namietność wypłaca mu się po latach z nawiązką; druga, z której czerpał tyle radości, odpłaciła mu całkowitym wyczerpaniem. Jak mówi poeta: „Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata. Cóż to za człowiek? Umarły!”.

Don Johnston nie kontaktuje się ze światem. Świat nie kontaktuje się z Donem Johnstonem. Współczesny Don Juan dożywa swojej smutnej egzystencji na swego rodzaju luksusowej emeryturze; owszem, starannie ogolony, ale już bez potrzeby strojenia się: wystarcza mu dość sfatygowany dres. Poznajemy Dona Johnstona w chwili, gdy opuszcza go kobieta (Julie Delpy), jeszcze młoda, ale już nie naiwna, stawia sprawę jasno: albo-albo. Albo prawdziwy dom, prawdziwe małżeństwo, prawdziwa rodzina, albo – definitywne rozstanie. Don Johnston siedzi na pierwszym planie, nie przestając oglądać filmu. Kobieta jest w głębi, jej obraz jest trochę niewyraźny. Tak rozumiemy charakter tego związku. Odeszła. Na twarzy Don Johnstona nie drgnął ani jeden muskuł.

W sytuacji człowieka, który nie zamierza spotkać się z własnym losem, Jim Jarmush wrzuca list z wieścią od kobiety, iż jest matką jego syna. Młodzieniec ma lat dziewiętnaście i opuścił dom, ponieważ postanowił odnaleźć ojca. List nie jest podpisany. Żadnych dodatkowych znaków, nie do odczytania jest stempel. Nie jest to wydruk z komputera, tekst został wystukany na starej maszynie do pisania. Papier jest różowy. Co może znaczyć, iż jego autorka ma szczególne upodobanie do tego koloru. Tak sugeruje czarnoskóry sąsiad Dona, Winston (Jeffrey Wright), detektyw-amator, żyjący w harmonii z piękną żoną i dziećmi, pracujący na trzech posadach, stale zagoniony, ale zwyczajnie, po ludzku szczęśliwy. Don z nawyku prawi komplementy pięknej czarnoskórej sąsiadce, której te piękne słówka nie są niemiłe, co może znaczyć, iż uwodzicielski urok Dona Johnstona musiał być kiedyś potężny, skoro nawet z tego spopielonego do cna osobnika emanuje jeszcze uwodzicielski wdzięk. Winston reaguje natychmiast: „Hej, hej, ona należy do mnie!” Jakby skądś wiedział, że z tym mężczyzną nie ma żartów. Jim Jarmush dał mu w sąsiedztwie taką właśnie rodzinę, by nią kluczyć w oczy.

Ten dom amerykańskich Etiopczyków jest zresztą jedynym, jaki Don Johnston nawiedza, przechodząc w dresie przez trawnik, trochę tak jakby przechodził po prostu z pokoju do pokoju. Poczciwy sąsiad nie ustąpi, niemal zmusi Don Johnstona do wyjazdu w różne strony Ameryki w po-



Broken Flowers

szukiwaniu matki domniemanego syna. Sąsiad wydobył zeń listę kobiet, które, zdaniem Dona Johnstona, mogłyby wchodzić w grę.

Czym jest ten list? Głosem z tamtego świata? Znakiem, który wysłał komandor, po to by zwać Don (Juana) Johnstona w pułapkę, skąd droga już tylko do piekielnej otchłani. To jedynie domysły, ponieważ Jim Jarmush nie bawi się mitem, nie uwspółcześnia legendy. Nie będzie w finale posągu komandora, a jednak Don Johnston zderzy się (czołowo) ze swoim losem. Stanie się zatem to, przed czym uciekał przez całe swoje życie.

Lecz nim to nastąpi będziemy mu towarzyszyć w podróży po Ameryce, ale dziwnie prowincjonalnej, pośledniej, Ameryce przedmieść i parterowych domów, Ameryce znanej z poprzednich filmów Jima Jarmusa, choć w „Broken Flowers” otrzymamy się raz, dwa razy o zamożność, czy nawet względne bogactwo. Kim są kobiety, z którymi, wedle swoich obliczeń, Don Johnston utrzymywał intymne stosunki przed dziewiętnastu laty? To osobna warstwa filmu, psychologiczno-obyczajowa: portrety kobiet z owego „spisu cudzołóżnic” nakreślone zostały dość bezlitośnie; są to piękności minionego czasu, każda z nich, na swój sposób, jest okaleczona.

Jedna z nich (Tilda Swinton) – odnaleziona na zrujnowanej farmie, nie kryje, że rana jaką zadał jej przed laty Don Johnston, nigdy się nie zagoi. Kobieta w nim prawdopodobnie widzi sprawcę wszystkich swoich niepowodzeń, przegania go od progu jak psa, a jej małżonek (o wyglądzie klienta licznych więzień) daje mu, pospolicie mówiąc, po mordzie.

Najmilsza okaże się rozwódka (Sharon Stone) z córką imieniem Lolita

POZA KADREM

(która nie wie, dlaczego jej imię wydaje się przybyszowi zabawne!). Jest to nastoletnia nimfomanka, która poszłaby do łóżka z Donem Johnstonem, ale tę przyjemność w oczywisty sposób rezerwuje dla siebie jej mamusia. Nic to spotkanie nie dało Johnstonowi, poza zdziwieniem, że obudził się obok kobiety doskonale mu obojętnej.

Z obcością, z trudem maskowaną, spotka się w gabinecie pani psy-

cholog (Jessica Lange), która wie siebie weterynarzem-komunikatorem, czyli jest kimś w rodzaju psychiatry, tyle, że nie kuruje ludzi, lecz zwierzęta. „Don Juana” spotyka szczególnie despekt, ponieważ dawna kochanka nie tylko nie ma nawet ochoty na kawę, lecz zgola gustuje w płci żeńskiej. Jej sekretarka, długonoga blondynka (Chloe Sevigny), absolutnie nieczuła na męskie uroki Dona Johnstona, jest najwyraźniej zazdrosna o swoją szefową, ta zaś dba, by swojej młodej przyjaciółki nie wprawić w zły humor. Na pożegnanie sekretarka wrzuca mu do samochodu bukiet kwiatów, jaki miała przekazać szefowej. Ten bukiet nagle jest przywiedły, połamany.

Nie lepiej powiodła się wizyta w domu dawnej hippiski (Frances Conroy), dziś żony obrotowego biznesmena, właściwie razem zajmują się handlem nieruchomościami. Słowem, nic nie zostało z ideałów jej młodości. Jest dzisiaj kimś z tego świata, przeciwko któremu niegdyś się buntowała. W gruncie rzeczy jest tak samo apatyczna jak Don Johnston.

W czasie tej podróży w poszukiwaniu matki domniemanego syna Don Johnston raz tylko spotyka osobę miłą i bezinteresowną, kwiaciarkę, która mu opatruje rany. Możliwe, że to błysk jego ostatniej szansy, ale w nim nie ma już nic oprócz popiołu.

Kilka razy pojawia się w filmie chłopak z plecakiem. Jakby też kogoś szukał. Kilka razy krzyżują się ich spojrzenia. Wreszcie pod koniec dochodzi do wymiany kilku zdań. Ale na sugestię Dona Johnstona, iż on wie, że chłopak myśli, że on jest jego ojcem, młody człowiek częstuje go podobnym bluźmieniem, jak jedna z listy cudzołóżnic.

Jim Jarmush sportretował człowieka wyrażonego. Człowieka, niemal przytwierdzonego do kanapy, z której wzrokiem na wpół nieobecny wpatruje się w ekran telewizora. Akurat leci film o Don Juanie, jakaś stara produkcja. Don Johnston patrzy na ten film z twarzą pokerzysty, zastygłą, nieruchomą, która nie wyrażając nic, wyraża bezmiar pustki, jaka wypełnia serce współczesnego Don Juana.

FELIKS NETZ

Jako gość miasta Karpacza przyjmowany był wtedy po raz pierwszy przez ówczesne władze miejskie. A miało to miejsce w czasie odwiedzin u Henryka Tomaszewskiego, twórcy Wrocławskiego Teatru Pantomimy, który tutaj mieszkał na stałe. Spotkania te zaowocowały później powstaniem wyjątkowo pięknego wiersza „W gościnie u Henryka Tomaszewskiego w Muzeum Zabawek”.

(...)
Starych artystów dwóch –
aktor i poeta –
spotkali się pod koniec
wieku
i mówią o zabawkach
milczą o człowieku
(...)

Ten wybitny twórca kultury polskiej od wielu lat był zaprzyjaźniony z Henrykiem Tomaszewskim, którego twórczość artystyczną bardzo sobie cenił. Wielokrotnie z nim tutaj spotykał się. Sam pisarz mówił:

– Znamy się mało, ale dobrze. Od wielu lat myślimy o współpracy. Ale nie mogliśmy się spotkać, zbyt zajęci własnymi warsztatami.

Kiedyś po zwiedzeniu Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu Tadeusz Różewicz poproszony został o wpisanie się do pamiątkowej księgi honorowej. Wertując ją, znalazł wpis, wybitnej polskiej himalaistki Wandy Rutkiewicz. W roku 1979 muzeum to zorganizowało wystawę czasową „Polka na szczycie świata” podsumowującą działalność wspinaczkową najwybitniejszej polskiej himalaistki, której ukoronowaniem działalności sportowej było wejście w dniu 16 października 1978 roku na najwyższy szczyt świata Mount Everest 8.848 m n.p.m., jako pierwszej Europejki i trzeciej kobiety świata. Pamiątką po wystawie pozostał ten wpis:

Dziękuję za mile uhonorowanie
mojego wejścia na Mt. Everest
wystawą, która przygotowana została
tak bardzo serdecznie
przez Muzeum Sportu i Turystyki
Wanda Rutkiewicz

Tekst ten zainspirował poetę do napisania pięknego utworu „Gawęda o spóźnionej miłości”.

Różewicz napisał;

TADEUSZ RÓŻEWICZ w Karkonoszach

Mało znanym faktem jest to, że Tadeusz Różewicz od wielu lat związany jest z Karkonoszami, najwyższymi a zarazem najpopularniejszymi górami w Sudetach. Początki związku poety z Karpaczem, małą górską miejscowością położoną u podnóża Śnieżki, najwyższego szczytu tych gór, sięgają lat dziewięćdziesiątych XX wieku.



Tadeusz Różewicz z żoną w Karkonoszach

Mogę zamieszkać w nieistniejącym domu

ZBIGNIEW KULIK

– Zainteresowałem się skalami, roślinnością i historią. Natknąłem się na wpis Wandy Rutkiewicz i na jej fotografię. Na poemat składa się bardzo wiele elementów; krajobraz, elementy przyrody i oczywiście mojego stosunku do tego miejsca. Była ona tu, zdaje się tylko jeden raz. Stała się w jakiś sposób przez swoją śmierć osobą, która zaginęła i weszła do mitu. W jakiś sposób została wniebowzięta. Muszę powiedzieć, że choć Wanda Rutkiewicz mieszkała i chodziła do szkoły we Wrocławiu, przez wiele lat obojętnie jej nie poznałem. Byłem bardzo zafascynowany jej osobą. Była dla mnie, jako dla człowieka równiny, czymś niezwykłym. Była dla mnie zagadkową, niezwykłą istotą, choć była podobno bardzo zwykłą osobą. Włączyłem również wątek nieosobisty, bo jak mówię nie znałem jej i jak gdyby wprowadziłem jej postać w ten krajobraz już po jej śmierci. Zresztą to była operacja dość skomplikowana, poemat nazywa się „Gawęda o spóźnionej miłości”. Nie jest to spóźniona miłość do W. Rutkiewicz, ale do Karkonoszy, do krajobrazów, do roślin. Wanda Rutkiewicz występuje w tle, ale jest główną osobą tego poematu.

Tadeusz Różewicz był naprawdę zafascynowany Karkonoszami. We wstępnej części tego utworu napisał;

liczę sobie
75 lat
i wypisz wymaluj
zakochałem się
w Karkonoszach
które mają
około 450 milionów lat
zakochałem się
w Górach Olbrymich
(...)

Na uroczystej sesji Rady Miejskiej w Karpaczu w dniu 5 września 1997 roku, wręczono mu dyplom i medal

„Zasłużony dla miasta Karpacza”. Poeta wtedy powiedział:

– Zdaje sobie sprawę, że moja miłość do Karpacza czy do Gór Olbrymich, czy do okolic jest trochę spóźniona. Jestem już człowiekiem doświadczonym i wiem, że nie wszyscy mieszkańcy Karpacza mnie kochają. Ale czy muszą mnie kochać? Oto jest pytanie. Niektórzy w ogóle mogą nie wiedzieć, że jest taki pan, co gdzieś tam sobie istnieje i pisze. Jest to zupełnie zrozumiałe. Mówiliśmy z przewodniczącym i burmistrzem wielokrotnie o możliwości mojego przeniesie-

(...)
na ulicze prowadzącej do
Muzeum Sportu i Turystyki
w Karpaczu
trafiłem na ślad Wandy
ślad jej stopy
ślad jej ręki
ślad uśmiechu
(...)

Sam poeta o tym poemacie w czasie spotkania autorskiego w dniu 5 września 1997 r. w amfiteatrze przy Muzeum Sportu i Turystyki powiedział:

nia się do Karpacza. Chęci były. Ale sobie pomyślałem, że dni i noce w narzeczeństwie są bardziej obiecujące i słodkie, niż w małżeństwie. Przenosiny z miejsca na miejsce na stare lata nie są łatwe. Jak to się mówi „starych drzew nie należy przesadzać”. Myślę, że gość jest zawsze miłszy, witany bardziej serdecznie niż ten, który na stałe zjedzie i sprawia gospodarzowi potem kłopoty. A to, że ma dziurę w dachu, a to że trzeba rynnę naprawić itd. Więc myślę sobie, że nasza sympatia będzie miłsza i bardziej gorąca, jeśli tego bardzo formalnego ślubu nie weźmiemy. Będziemy tylko żyli, co ma czasem swoje wielkie uroki, na „kocią łapę”.

Chciałbym przekazać panu przewodniczącemu prezent, skromny prezent. Jest to po prostu mój ostatni poemat „Gawęda o spóźnionej miłości” dotyczący Karpacza i wizyty w Muzeum Sportu i Turystyki, gdzie w pamiątkowej księdze znalazłem wpis Wandy Rutkiewicz.

Chciałbym, aby ten mój utwór pozostał tutaj w waszym mieście i żeby znalazł tu swój dom. Bo wiersz musi gdzieś zamieszkać. Poezja musi mieć miejsce do zamieszkania, tak jak człowiek.

Gawęda o spóźnionej miłości” została opublikowana po raz pierwszy w miesięczniku „Śląsk” oraz w bibliograficznym wydaniu w grudniu 1997 roku siłami przyjaciół z Karpacza w trzystu numerowanych egzemplarzach z autografem poety i ostatecznie znalazła się w tomiku wierszy zatytułowanych „zawsze fragment, recykling” wydanym przez Wydawnictwo Dolnośląskie.

Tą miłością poety do Karkonoszy zaszkoczony został przewodniczący Krajowej Rady Bibliotecznej, który zapraszając poetę na odczyt autorski do Biblioteki Narodowej w Warszawie, musiał podziwiać wielkie uczucie wybitnego poety do tych gór. Był tym zdumiony, ponieważ wcześniej Tadeusz Różewicz górami specjalnie się nie interesował. A proszony o napisanie wstępu do antologii wierszy o polskich górach, odmówił, oznajmiając, że one go nie obchodzą.

W tym też okresie powstała humoreska „Dziwna i nieprawdziwa historia o spotkaniu z Ruebezahlem, czyli Janem Liczyrzepą w Karpaczu”, którą autor przeczytał w czasie uroczystej sesji rady miejskiej. Inspiracją był autentyczny eksponat muzealny – cielő o dwóch głowach, które wystawione jest w muzeum w części ekspozycji poświęconej „Środowisko przyrodnicze Karkonoszy”.

(...) Zmęczeni przysiedliśmy koło Muzeum Sportu i Turystyki, gdzie przeprowadziłem wywiad z cielőciem o dwóch głowach. Każda głowa mówiła co innego i nic nie mogłem zrozumieć... Być może, że jedna głowa mówiła po polsku a druga po niemiecku. Jedna głowa mówiła, że w Karpaczu żyje się dobrze a druga, że źle... jedna głowa chwaliła rządy Zbigniewa i Józefa a druga głowa bardzo narzekała, kiedy się zapytałem czy zamieszkać w Karpaczu pierwsza

głowa powiedziała, że będzie bardzo ważne dla Karpacza a druga głowa powiedziała, że ma na głowie już dość kłopotów. Po tej ożywionej rozmowie cielő z dwiema głowami zamilkło a ja kazałem się nieść dalej do Samotni (...).

Od 1996 roku Tadeusz Różewicz przyjeżdża regularnie do Karpacza. Niechętnie udziela wywiadów, unika dziennikarzy. Bywało, że podczas kolejnych pobytów prosił o dyskrecję i o nie nagłaśnianie jego obecności, by móc czuć się tutaj swobodnie.

Na początku 2001 roku zrodziła się idea organizacji wystawy w muzeum w Karpaczu zdjęć dokumentujących pobyt tego artysty pt. „Tadeusz Różewicz – poeta i dramaturg w Karkonoszach” z okazji jubileuszu 80-lecia jego urodzin. W czasie swoich pobytów Tadeusz Różewicz odbył wycieczkę na Śnieżkę. Innego razu sam pieszo wszedł na szczyt Chojnika. Zwiedził wiele miejscowości i zabytków w Kotlinie Jeleniogórskiej. Był na spacerze w parku w uzdrowisku Cieplice. Oglądał jeden z nielicznych już zabytków średniowiecznego wymiaru sprawiedliwości, murowaną szubienicę na stoku Straconka koło Karpacza oraz pałac i park w Mysłakowicach.

Wśród dziennikarzy i fotografików znane jest to, że Tadeusz Różewicz nie bardzo lubi aby go fotografowano. Niezmiennie rzadko zdarza się, że wychodzi to z jego inicjatywy. I tak dzięki niemu powstała kiedyś seria zdjęć przedstawiająca poetę w karpackim antykwariacie. Ale nie byłoby tej wystawy, gdyby nie pani Wiesława Różewicz. Udostępniła ona „skarb Różewicza” przechowywany w tapczanie w mieszkaniu we Wrocławiu. Można więc było na tej wystawie oglądać nie tylko zdjęcia, ale wszystkie najcenniejsze pamiątki związane z Tadeuszem Różewiczem, które nigdy jeszcze nie ujrzały światła dziennego poza domem artysty; dyplomy doktoratów honoris causa polskich uniwersytetów; Wrocław, Opole, Katowice, Kraków, Warszawa, trzy nobilitacje do nagrody Nike (1998, 1999, 2000) oraz samą nagrodę Nike 2000 roku wraz ze „Srebrnym piórem i atramentem”, w etui – nagrodę czytelników w tym konkursie, cały szereg odznaczeń i wyróżnień, w tym szczególnie cenny Krzyż Wielkiego Orderu Odrodzenia Polski „Polonia Restituta”, najwyższe odznaczenie polskie, lecz także nagrodę tygodnika „Nowiny Jeleniogórskie”: „Kryształ Górski” przyznany „Mistrzowi Tadeuszowi Różewiczowi – laureatowi nagrody – luty 1998 r.

Pobyty Tadeusza Różewicza stały się też inspiracją do powstania prac innych twórców. Teresa Kępowicz namalowała obraz olejny zatytułowany Do wiersza „Gawęda o spóźnionej miłości”. Leszek Legut wykonał grafikę Tadeusza Różewicza na tle Śnieżki.

Na wystawie w Karpaczu pokazano wiele eksponatów i archiwaliów związanych z tym wielkim twórcą. Był dyplom i medal „Zasłużony dla miasta Karpacza”, dyplom „Honorowego mieszkańca Radomska”, gdzie poeta

urodził się, dyplom „Honorowego mieszkańca Gliwic”, gdzie przez wiele lat mieszkał oraz dyplom „Honorowego mieszkańca Wrocławia”, obecnego miejsca stałego zamieszkania. A w gablotach prezentowano wydawnictwa związane z twórczością tego pisarza w bardzo wielu językach świata oraz laudacje wygłaszane w czasie wręczania nagród honoris causa.

W czasie otwarcia tej wystawy poeta powiedział:

– Znam okolice Karpacza z niezbyt dalekich pieszych wędrówek. Z wiekiem się trochę kuleje. Lepiej się chodzi po równinach a nawet po dolinach, po górach trochę gorzej. Do Muzeum Sportu i Turystyki zachodzę często, tak często jak do naszego Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Czuję się między wami dobrze, a nie przeprowadziłem się jak to przed paru laty powiedziałem w radzie miejskiej, kiedy tam był jeszcze właśnie pan Kulik i pan Piotrowski, żeby wam kłopotu nie sprawiać. No tak, ale i tak istnieją legendy, że mam tu u was wspaniałą dom. Jak przystoi poecie tego domu nie ma i bardzo słusznie, mnie wystarczy ta piękna metafora. Ja mogę zamieszkać w nieistniejącym domu.

Z okazji wystawy Muzeum Sportu i Turystyki wydało okolicznościową kartę pocztową poświęconą jubileuszowi 80-lecia urodzin poety z jego wizerunkiem w nakładzie 1000 egzemplarzy oraz bibliofilskie wydawnictwo „Jeden dzień w życiu poety” w nakładzie 300 numerowanych egzemplarzy. Później przygotowywano kolejne, trzecie już wydawnictwo bibliofilskie: „Tadeusz Różewicz – poeta i dramaturg w Karkonoszach”, będące zapisem uroczystości otwarcia tej wystawy w Muzeum w dniu 12 października 2001 roku.

Po tej wystawie najcenniejsze eksponaty umieszczono na ekspozycji stałej w Muzeum Sportu i Turystyki w witrynie zatytułowanej „Tadeusz Różewicz – poeta i dramaturg w Karkonoszach”, stanowiącej część ekspozycji „Polacy w Karkonoszach”.

Prawie cztery lata później, w ramach cyklu poświęconego prezentacji wielkich twórców z Dolnego Śląska, Muzeum Miejskie „Dom Gerharta Hauptmanna” w Jeleniej Górze-Jagniątkowie we współpracy z Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu, zorganizowało z inicjatywy dyrektora Julity Cieślukowskiej-Ryży wystawę „Tadeusz Różewicz, Dolnoślązak, Europejczyk, poeta i dramaturg świata”. Wzbogacono ją wieloma rękopisami i plakatami teatralnymi wypożyczonymi z Biblioteki Ossolineum i Teatru Polskiego we Wrocławiu.

Wystawę uroczystie otwarto w dniu 21 maja 2005 r. w obecności autora i jego małżonki oraz bardzo wielu zaproszonych gości, przyjaciół i znajomych. Było to jedno z najważniejszych wydarzeń kulturalnych 2005 roku na Ziemi Jeleniogórskiej.

W połowie lat osiemdziesiątych już ubiegłego wieku dziennikarze z różnych miast Polski, uczestniczący w rekonesansie ekologicznym po Śląsku, dotarli także do Knuruwa. Chcieli zobaczyć jak osiada górniczy teren. Gdy autobus zbliżał się prostą drogą do największego wówczas 18-metrowego zapadliska, zamarli z wrażenia. W pewnym momencie wszyscy byli pewni, że droga się urwała i wpadną w przepaść!

Dwadzieścia lat później kilkunastoletnia uczennica Miejskiego Gimnazjum nr 4 z tego właśnie miasta Katarzyna Folga, przygotowując pracę na XV Ogólnopolski Konkurs Ekologiczny organizowany przez Pałac Młodzieży w Katowicach, spróbowała odpowiedzieć na pytanie „Czy gmina górnicza może być przyjazną środowisku? Taka właśnie gmina jak jej Knurów. Ze swoim najlepszym węglem i najgłębszymi na Śląsku zapadliskami. Z pyłącymi jeszcze hałdami, pogórnictwymi zalewiskami, pękającymi domami i zniszczonym krajobrazem. Ale też bogata w tę zwyczajną, piękną przyrodę i swoistą magię ekologii, która coraz częściej staje się wyzwaniem dla młodzieży.

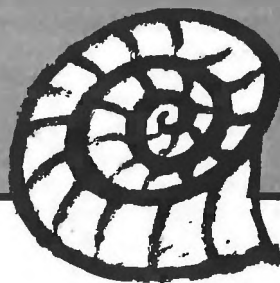
Bo co to znaczy być przyjaznym środowisku? Co to znaczy gmina? Jest nią prezydent, radni, a może mieszkańcy? Czy rzeczywiście znam swoje miasto, czy tylko utarte opinie o nim? Co moja gmina robi dla poprawy stanu środowiska i co ja sama wreszcie robię dla niej, by była bardziej przyjazna przyrodzie, a więc i ludziom?

Na każde z tych pytań Kasia Folga szukała odpowiedzi. I pod baczny okiem swojej nauczycielki mgr inż. Ewy Szczerbetki, wielkiej pasjonatki ekologii, ale i samodzielnie. Znajdowała je w wielu miejscach, u wielu osób, podczas obserwacji w terenie. Myślała, dorosłała i napisała bardzo dojrzałą, jak na swój wiek, ciekawą pracę o charakterze reporterskim w konkursie zakończonym w Katowicach 21-22 października br. I w gronie jego uczestników z całej Polski brauwrowo ją już jako licealistkę obroniła, zajmując w wybranej kategorii niekwestionowane I miejsce!

Historyczna, 700-letnia przeszłość Knuruwa robiła na młodzieży wrażenie. Jego górnicza współczesność także. Tworzą ją dwa światy czyli dwie kopalnie. Pierwsza, wraz z późniejszą koksownią, z początku XX wieku dała impuls do rewolucyjnego wręcz przeobrażenia terenów rolnych w przemysłowe. Druga, kopalnia „Szczylgłowice”, wydobywająca węgiel od 1961 roku spowodowała przemysłowy rozwój Knuruwa ze wszystkimi tego dobrymi i złymi skutkami. Dobry, koksujący węgiel decydował o bogactwie gminy, ale też o niewyobrażalnych jej szkodach

EKOLOGIA

Kolumny dofinansowane
ze środków Wojewódzkiego
Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej
w Katowicach



Taka gmina...

górnictwa i zniszczeniach. Dziś zniekształcony po truci krajobraz nieco się zabliznił.

Z powracającą przyrodą

W największym zapadlisku gminy składa się dziś odpady górnicze. Mniejsze wypełniła woda. Natura wraca do nich ze zdwojoną siłą. Pojawiają się nawet ginące płazy. Szczylgłowicka, księżycowa hałda wrosła w pejzaż miasta. Nikt nie ma wątpliwości. Musi się kiedyś cała zazielenić. Dziś jeszcze przesłania walory gminnej przyrody. Chociaż część szczylgłowickiej, osiedlowej dzielnicy leży w wytyczonych granicach Parku Krajobrazowego Cysterskich Kompozycji Ród Wielkich. To zadanie gminy, by godzić jego prawie niewykonalną ochronę tego Parku z mocno zaawansowanymi przekształceniami zasiedlonego, górniczego terenu. Za to w Dolinie Potoku Książnickiego i na uroczysku Kowacz jest co chronić szczególnie. Tu aż roi się od cennej flory i fauny. Uczniowie knurowskich szkół poznają takie miejsca dzięki wzorcowo prowadzonej w mieście edukacji ekologicznej.

Od 1997 roku prowadzone tu były przez nauczycieli szkół podstawowych i średnich z Centrum Edukacji Środowiskowej warsztaty ekologiczne dla pierwszych klas gimnazjów. Miejsc edukacji ekologicznej w mieście, łącznie z trzykilometrową ścieżką dydaktyczną jest tak wiele, że nie sposób je wszystkie wymienić. Są także wspaniałe okazy drzew, pomniki przyrody i wiele ciekawej zieleni,

jeszcze z czasów powstania pierwszej kopalni, której właściciele bardzo dbali o zielone otoczenie.

Z wolą ekorozwoju

Miasto dumne jest ze swoich obiektów służących ochronie środowiska. Z nowej oczyszczalni ścieków kopalni „Knurów” i wzorcowego niemal, nowoczesnego wysypiska śmieci Komart, gdzie wdrożony został System Zarządzania Środowiskowego ISO 14001. Szczyci się również wieloma setkami zlikwidowanych pieców węglowych, zazielenianiem hałd, sadzaniem setek nowych drzew. W bieżącym roku, roku 700. urodzin miasta przybędzie ich, co oczywiste, siedemset!

Gmina Knurów była inicjatorem powstania stowarzyszenia Związku Gmin Zlewni rzeki Bierawki. Wchodzące w jego skład oprócz Knuruwa Orzesze, Czerwionka-Leszczyny, Pilchowice, Sośnicowice i Bierawa otrzymały wspólnie wsparcie finansowe na ochronę środowiska z unijnego Funduszu Spójności.

Jej ekologiczne starania w ostatnich kilkunastu latach zaowocowały trzykrotnym wyróżnieniem w narodowym konkursie pod patronatem prezydenta A. Kwaśniewskiego „Przyjaźni środowisku”. Za trzecim razem przypadł jej tytuł „Mecenasa Polskiej Ekologii”.

Ten tytuł jest wyrazem uznania, ale i zobowiązaniem na rzecz ekorozwoju gminy. Nowy sposób myślenia i działania przyniósł jej korzystne przemiany, związane z naprawą zniszczeń wyrażanych środowisku przez przemysł głównie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Jednak ostatnich kilkanaście lat w Knurowie pokazało, że pozyskiwanie węgla z poszanowaniem prawa ochrony środowiska w niemałym stopniu jest nie tylko możliwe, ale i konieczne. Odradza się przyroda, w lepszych warunkach ekologicznych żyją dziś, niż przed 30 i 20 laty, mieszkańcy Knuruwa.

W podsumowaniu swojej pracy Kasia Folga napisała. „Moim zdaniem, to knurowianie, a także władze miasta oraz firmy tu działające tworzą gminę. Zgadzam się z Panią poseł Krystyną Szumilas, że wszystko zależy od ludzi i ich działania. Te proekologiczne przyniosły znaczną poprawę stanu środowiska w naszym mieście, co nie budzi wątpliwości. Knurów, który żyje z górnictwa jest gminą przyjazną środowisku i ludziom. Musimy pilnować, by tak było dalej” - zadeklarowała już jako radna Młodzieżowej Rady Miasta Knuruwa. I wyraźnie podkreśliła: „Knurów został przed 100 laty gminą górniczą, bo musiał. Zawsze miał węgiel.”

My dodajmy. Został przyjazny środowisku, bo chciał!

JOLANTA MATIAKOWSKA



Huta metali kolorowych usytuowana w pobliżu centrów Katowic i Siemianowic stanowiła stałe zagrożenie mieszkańców jako nadzwyczaj uciążliwe sąsiedztwo, toteż uległa likwidacji. Jej pozostałości stanowiące przykład interesującej architektury przemysłowej, straszą niestety rozpadającą się konstrukcją hali. Na ratunek za późno. Czy musiało się tak stać? A co zostało w ziemi?



Brzegi nieuregulowanych rzek tworzą wyjątkowo malownicze krajobrazy, które stanowią siedlisko wielu, często unikalnych gatunków roślin i zwierząt.



Pejzaż przemysłowy pomimo wiadomego oddziaływania hut i kopalni na środowisko, bywa jednak niesłychanie urokliwy. Można go pokochać nie mniej niż widoki pięknej przyrody. On też bywa źródłem naszej identyfikacji z krainami „małych ojczyzn”.



Eksploracja złóż węgla brunatego zaspokaja niewątpliwie potrzeby energetyczne kraju, a jednocześnie dewastuje naturalny krajobraz. Czy nie czas na realizację idei wykorzystania odnawialnych źródeł energii, jak to robią skutecznie nasi zachodni sąsiedzi.

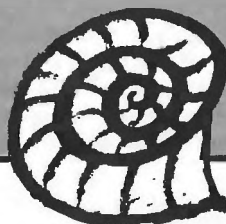
zdjęcia:

Janusz
Moczulski

ŚLĄSK
Z NIEBA

EKOLOGIA

Kolumny dofinansowane
ze środków Wojewódzkiego
Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej
w Katowicach



To boli

Pierwsze powojenne lata w sądach polskich, naznaczone są piętnem procesów politycznych. Okrutne i nie mające nic wspólnego ze sprawiedliwością, wyroki sądów wojskowych, a także działalność organów bezpieczeństwa rzutowały i rzutują na opinię o wszystkich sądach. Sądownictwo z tego okresu kojarzy się przeciętnemu Polakowi, zwłaszcza młodemu, wyłącznie z krzywdą obywateli.

Tak jednak nie było. Sądy karne i cywilne działały w miarę normalnie, mimo, że do 1956 roku częste były naciski na sędziów, zwłaszcza w sprawach karnych – z tym, że częste nie oznacza skuteczne.

Naciski i po tym okresie bywały, na szczęście coraz rzadsze, ale zdarzali się pojedynczy sędziowie, tzw. dyspozycyjni, którzy chwały sądownictwu nie przynieśli.

Należałoby wspomnieć jednak o tym, jak sądy na Śląsku rozpoczęły działalność, zaraz po wojnie. Do rządu polskiego w Lublinie, zgłosił się pod koniec 1944 roku katowicki sędzia Władysław Leyko, ale dopiero po wywołaniu Śląska w styczniu 1945, otrzymał od ministra sprawiedliwości polecenie zorganizowania sądu w Katowicach. Sędzia Leyko pojechał do Katowic i wraz z przybyłymi tam sędziami, Bolesławem Freyem, Tadeuszem Popławskim i W. Kurkowskim wzięli się do pracy. W ciągu kilku tygodni pojawili się inni śląscy sędziowie i urzędnicy sądowi. Zjeżdżali się nierzadko z obozów jenieckich i koncentracyjnych, z wojska, prosto ze szpitali wojskowych, później z deportacji i łagrów. Za pracę przy organizowaniu sądów; okręgowego, grodzkich i apelacyjnego sędziowie dostawali obiady w stołówce i kilogram cukru na miesiąc. I tak przez kilka miesięcy. Mieszkali kątem, gdzie się dało, ich przedwojenne mieszkania były zajęte albo nie było ich wcale. Ci powracający, przedwojenna kadra, to byli ludzie doświadczeni i ceniący etykę i powagę zawodu. Po kilku miesiącach dołączyli do nich sędziowie – repatrianci z Bułgarii. Praca w sądach ruszyła już z końcem lutego 1945 roku. Wbrew utartym obecnie przekonaniom, sędziowie byli przeważnie bezpartyjni, tylko prezesi musieli należeć do PPR.

W latach 1948-1950 pojawili się w naszych sądach tzw. kursanci. Byli to bądź aktywiści partyjni, przeszkoleni na rocznych kursach sędziow-

skich, bądź absolwenci dwuletniej szkoły prawniczej im. T. Duracza. Wszyscy oni w roku 1956, na polecenie ówczesnej minister sprawiedliwości, Zofii Wasilkowskiej, musieli ukończyć normalne studia albo odejść z zawodu. Co ciekawe, od samego początku, kursanci z małymi wyjątkami asymilowali się bardzo szybko w środowisku i bardzo starali się dorównać starszym bądź normalnie wykształconym kolegom.

Przypominam sobie jedną z takich historii. W 1948 roku przed I majem ówczesny sekretarz Komitetu Miejskiego PPR zarządził, aby w pochodzie jechała platforma, a na niej sędziowie w togach odgrywali sądzenie prezydenta Trumana. Nie kto inny jak kursant sędzia W., po strasnej awanturze, przekonał tych z komitetu, że nie można narażać w taki sposób powagę sądu.

Zarabialiśmy wtedy bardzo mało. Mniej niż nauczyciele, mniej niż dozorczy, nie mówiąc już o górnikach czy hutnikach.

Nieżyjący już sędzia Tadeusz Gawroński zawsze mawiał, że sędzia, to powołanie, a nie posada, toteż nie mogąc wyżyć, niektórzy odchodzili do adwokatury czy na radcostwa.

Pracowaliśmy ciężko. W wydziałach cywilnych w różnych sprawach trzeba było sięgać do kodeksów austriackiego, niemieckiego i Napoleona, bo przecież na tym terenie zbiegały się kiedyś trzy zabory.

Sędziowie, których często wspominały, to były autorytety moralne i prawnicze. Nigdy nie nagromadzili majątku, nie pozostawili po sobie willi ani samochodów. Najwyżej mniej lub więcej książek i publikacji w piśmiennictwie prawniczym. Za to z całą pewnością pozostawili pamięć o swojej wiedzy, mądrości i dobroci. I przekazali to wszystko młodszemu kolegom, także kulturę sądownictwa i rozumienie ludzkich problemów.

Katowickie Sądy, to były zawsze dobre sądy. Tutaj sprawy się nie przedawniały, akta nie ginęły, sądy cieszyły się szacunkiem. Naturalnie strony miały prawo odczuwać rozstrzygnięcia sądu subiektywnie. Oskarżony prawie zawsze uważa wyrok za zbyt surowy, a ofiara za zbyt łagodny. W cywilistyce, ponieważ na ogół obie strony procesu wygrać nie mogą, ktoś zawsze czuje się pokrzywdzony.

Tak było i jest, i tego zmienić się nie da. Natomiast twierdzę, że przez 45 lat mojej pracy, w tym 35 w sądzie wojewódzkim, w II instancji, nigdy sędziowie nie byli tak napastliwie i krzywdząco traktowani przez media, a zwłaszcza prasę. Orzeczenia sądów przedstawiano bardziej obiektywnie i rzetelnie, wypowiedzi sędziów nie były przekręcane. Nie epatowano czytelników tytułami, jak ten sprzed kilku tygodni „Złodziejstwo w sądzie” (sprawa dotyczy kasjerki z kasy zapomogowej), „Korupcja w sądzie” (sprawa dotyczy podejrzeń co do komornika) itp. Nie sugerowano, że wszyscy sędziowie „biorą”.

Za prasą powtarzają to ludzie, którzy nigdy w sądzie nie byli, również ci, którzy lubią kogoś szkolować (osoby pojedyncze i całe ugrupowania) i tak tworzy się opinia. Tworzą ją ludzie – dziennikarze, którzy nie mają pojęcia o ciężkiej pracy sądów, którzy, być może, nie mogą zrozumieć, że ktoś może być uczciwy. To boli – nawet sędziowie emeryci po takich artykułach nie śpią po nocach. Zastanawiające są występujące czasem w prasie objawy wręcz wrogości wobec sędziów. Być może to przynosi większe korzyści piszącym, być może, lepiej się sprzedaje dziennik z takimi insynuacjami.

Niestety, jak dotąd, ani Ministerstwo Sprawiedliwości, ani Krajowa Rada Sądownictwa nie bronią sędziów przed posądzeniami i inwektywami w sposób skuteczny. Nadeszła chyba pora na wyjaśnienie społeczeństwu, jak ciężka jest praca w sądach, pora na obiektywne spojrzenie na tę grupę około ośmiu tysięcy ludzi (to tyle, ile wynosi jedna załoga dużej stoczni, czy kopalni), którzy obsługują 39 milionów obywateli Rzeczypospolitej od urodzenia, po grób i poza grób.

O podziękowaniach i wyrazach szacunku nikt w sądach nawet nie marzy.

DANUTA TROJNAR
Sędzia Sądu Okręgowego
w Katowicach
w stanie spoczynku

Kadra dowódcza powstań śląskich

ZDZISŁAW
JANECZEK

Weszliśmy w kolejny cykl rocznic powstań śląskich – 85-lecia tych trzech historycznych rocznic. Tym razem nie stawia się już do ich obchodów weterani tamtych militarnych zrywów – ostatni spośród nich, Janas Wadas zmarł przed dwoma laty. Także dlatego obchody kolejnych rocznic powstań śląskich mają inny klimat. Lecz nie tylko ten fakt i coraz bardziej odległy dystans czasu wpłynęły na zmianę aury wokół tamtych wydarzeń. Pojawiły się bowiem nazbyt gorliwe próby reinterpretacji pod pozorami „naukowej obiektywizacji”. Przywykło się przy tym całkowicie nie pamiętać, co sądzili o wybuchu powstań śląskich oraz ich charakterze – jako z założenia narodowych zrywach niepodległościowych – sami powstańcy, organizatorzy i uczestnicy tych historycznych aktów. Przede wszystkim rodowici Ślązacy, którzy doszli do funkcji dowódczych a stali się później również autorami publikacji o wybuchu powstań śląskich i przebiegu toczonych walk.

Do faktów, które trzeba uznać za jeden z fenomenów tego okresu trzeba niewątpliwie zaliczyć zjawisko wyłonienia się na aż tak wielką skalę powstańczych dowódców spośród rodowitych Ślązaków, wcześniej żołnierzy armii pruskiej. To na frontach I wojny światowej przeszli oni w swej masie żołnierską szkołę sztuki dowodzenia ujawniając często niepospolite talenty i walory dowódcze. Ten rozdział życia zdeterminuje ich późniejsze losy, często tragiczne, gdy dojdzie do wybuchu drugiej wojny światowej a okażą się wierni powstańczej przysiędze bez względu na cenę. Właśnie ich sylwetki zamierzamy prezentować teraz co numer, aż do obchodów 85. rocznicy powrotu odzyskanej części Śląska do odrodzonej Polski. Nasz poczet będzie z konieczności jedynie wyborem – najbardziej sławnych spośród tego rozległego kręgu powstańczych dowódców. Ich imiona noszą nie od dziś ulice, place i szkoły – w większości w miejscowościach skąd wyszli, by przejść do historii. I to także jest faktem doniosłym a godnym pamięci.

Trzy powstania śląskie 1919-1921 wpisały się w tradycję polskich zrywów niepodległościowych. W przeciwieństwie do insurekcji kościuszkowskiej i listopadowej, kierowanych przez zawodowych wojskowych, powstańcy śląscy nie mieli armii regularnej i nie byli w stanie przeprowadzić powszechnego poboru. A przecież trzecie powstanie, które trwało najdłużej, wciągnęło w swoją orbitę masy robotników i chłopów śląskich, zakończyło się sukcesem politycznym, jakim był powrót Górnego Śląska do Macierzy. W sensie organizacyjnym walka Ślązaków miała wiele wspólnego z przebiegiem wydarzeń 1863 r. w Królestwie Polskim, gdzie z konieczności toczono wojnę partyzancką. Z tą jedną różnicą, iż w 1863 r. stosunek ilościowy kadry oficerskiej do powstańców był korzystniejszy.

U źródeł powstańczej idei

Narodowód i więź łączącą powstania śląskie z polskim ruchem narodowowyzwoleńczym wyraźnie wskazywały pseudonimy ich dowódców: „Hauke”, „Borelowski”, „Traugutt” i „Langiewicz”. Wielu oficerów chlubiło się przeszłością swoich przodków. Karol Gajdzik z Przełajki (obecnie dzielnica Siemianowic Śl.) uważał się za potomka uczestnika powstania kościuszkowskiego, a bracia Jan i Paweł Brandysowie z ziemi pszczyńskiej podtrzymywali pamięć o sołtysie Brandysie, który w 1794 r. miał wręczyć Tadeuszowi Kościuszkę na Rynku krakowskim pieniądze zebrane wśród Ślązaków na cele narodowe. Z kolei Walter Larysz z Ozimka (pow. opolski) utrzymywał, iż jednym z przodków jego matki Laury był gen. Jakub Jasiński, twórca konspiracji na Litwie i bohaterski obrońca szaniców Pragi. Symboliczny wymiar miała modlitwa powstańców śląskich z Pszowa uzbrojonych w kosy kute na sztorc. Za wnuków żołnierzy 1863 roku podawali się, m.in. tacy dowódcy jak ojciec poety, Stanisław Baczyński, Adam Benisz, oraz rodowici Ślązacy: Jan Emil Stanek i Jan Hlond, brat przyszłego prymasa Polski. Nieprzypadkowo 3 batalion I Pułku Strzelców Bytomskich otrzymał sztandar, którego fragmenty pochodziły z proporca powstańców 1863 r., a jego żołnierze walczyli na froncie polsko-bolszewickim m.in. pod Rybczanami i Filipowem.

W szeregach armii powstańczej znalazło się około 60 tysięcy ochotników; jeszcze więcej ludzi angażowało się pośrednio na rzecz ruchu, wspomagając go lub uczestnicząc w życiu polskich organizacji i towarzystw narodowych. O sile tychże wojsk złożonych z 12 baterii, 2 szwadronów ułanów, 16 pociągów pancernych, kilkunastu samochodów pancernych i 16 pułków piechoty

(każdy po 3-4 baonów) rozdzielonych między 3 grupy operacyjne decydowała m.in. kadra dowódcza licząca w czerwcu 1921 roku 1347 oficerów i p.o. oficerów oraz 6943 podoficerów. Jednak początkowo według obliczeń Stanisława Rostworowskiego na tę liczbę żołnierzy przypadało zaledwie 3 podpułkowników, 1 major Sztabu Generalnego, 14 kapitanów, 8-10 poruczników, razem około 30 oficerów bez przedwojennego przygotowania zawodowego. Dla porównania strona niemiecka już w pierwszych dniach trzeciego powstania wystawiła do walki kilkuset oficerów, a liczba ich stale rosła osiągając stan około 1000. W tym było 3 generałów, kilkunastu zawodowych pułkowników i podpułkowników oraz kilku starszych oficerów sztabu generalnego. Powstały nawet specjalne kompanie oficerskie. Tej sile przeciwstawiła się armia złożona ze śląskich robotników, której kadra dowódcza już po awansach powstańczych składała się z 10 podpułkowników (w tym po dwóch oficerów kolejnictwa i korpusu sądowego, dwóch majorów Sztabu Generalnego), około 10 majorów, 2 kapitanów Sztabu Generalnego, około 30 kapitanów i rotmistrzów oraz około 150 poruczników, podporuczników i chorążych, poza tym dwudziestu kilku kadetów.

Należy pamiętać, że w omawianym okresie nawet regularne formacje odrodzonej Rzeczypospolitej odczuwały brak oficerów z wyższym wykształceniem wojskowym. Akademię wojenną państw zaborczych ukończyło niewielu polskich oficerów. W armii monarchii austro-węgierskiej na ogół nie czyniono większych przeszkód. Polacy mogli wstępować do szkół kształcących nawet oficerów sztabu generalnego i w służbie czynnej osiągnąć najwyższe stopnie, jak to było w przypadku dwóch braci artysty malarza Henryka Rodakowskiego. Natomiast dla Polaków ograniczony był dostęp do szkół rosyjskich i zamknięty do niemieckich akademii wojskowych. W armii carskiej oficer pochodzenia polskiego wyjątkowo mógł być przyjęty do uczelni wojskowej tylko wtedy, gdy wyrzekł się swojej narodowości lub przeszedł na prawosławie. Dlatego około 50 oficerów sztabowych Wojska Polskiego wywodziło się z byłej armii austriackiej. Z ar-



Organizatorzy i przywódcy POW G.Śl. Od lewej Jan Przybyłek, Mańka, Stanisław Mastalerz, Renka.

mii rosyjskiej zgłosiło się do służby zaledwie kilkunastu. Natomiast według P. Staweckiego z byłej armii pruskiej nie pozyskano ani jednego oficera z wyższym wykształceniem wojskowym.

Wyjątkiem, który nie potwierdzał reguły były dzieje kariery dowódczej trzech Radziwiłłów, z których generał piechoty i artylerii Antoni Wilhelm książę Radziwiłł (1833-1904), pełnił funkcję adiutanta przybocznego trzech cesarzy Niemiec: Wilhelma I, Fryderyka III i Wilhelma II. Tak więc większość oficerów Wojska Polskiego wywodzących się z byłych armii zaborczych miała wykształcenie wojskowe, jakie zapewniały szkoły niższego szczebla. Niektórzy z nich mogli przekazać swym podkomendnym tylko pruski „dryl”, austriacki „kult niekompetencji” lub rosyjskie „urzędnictwo”. Uwagi powyższe w szczególności dotyczyły tych, którzy większość swojego życia spędzili w obcej armii, byli ludźmi starej daty i już nie bardzo przystawali do nowych czasów. Zastępowali ich młodzi, wychowani pod sztandarami Hallera, Dobór-Muśnickiego i Piłsudskiego, z doświadczeniem wyniesionym z pól

bitewnych pierwszej wojny światowej. Niestety, nie byli oni w stanie podołać wszystkim zadaniom i obowiązkom. Po latach zaborów polskie siły zbrojne odczuwały duży niedobór wysoko kwalifikowanych kadr dowódczych.

Kondycja polskiego korpusu oficerskiego nie była bez znaczenia dla organizatorów powstań śląskich, gdyż liczyli na pomoc państwa polskiego. Tym bardziej, iż rekrutacja i przygotowanie w konspiracji rodzimej kadry oficerskiej nie było możliwe w tak krótkim czasie. Ponadto Niemcy nie pozwalali na prowadzenie jakiegokolwiek formy szkole-

nia wojskowego nawet pod szyldem niewinnie brzmiących „Klubów Fajkowych”. Wacław Ryżewski w pracy *Trzecie powstanie śląskie 1921. Geneza i przebieg działań bojowych* wielokrotnie zwracał uwagę na brak wyszkolonych kadr dowódczych i okoliczności towarzyszące narodzinom ochotniczej armii powstańczej, formującej się w trakcie walk.

Kadra dowódcza powstań śląskich wywodziła się z byłych armii zaborczych, w większości pruskiej lub polskich formacji ochotniczych z czasów I wojny i związana była ze Związkiem Hallerczyków lub Sekcją Wychowania Fizycznego działającą przy Komisariacie Plebiscytowym. Część Górnoślązaków przeszła do powstania z policji „Apo”.

Większość wśród powstańczych dowódców stanowili urodzeni między 1888 a 1896 rokiem rodowici Ślązacy, podoficerowie armii cesarza Wilhelma II, którzy w latach 1914-1918 przeszli w większości jako prości żołnierze chrzest bojowy w szeregach pruskich na frontach pierwszej wojny światowej. Wśród licznej grupy rodzimych dowódców i organizatorów trzech powstań na

szczególną uwagę i uznanie zasłużyli: Augustyn Bańczyk z Poręby (pow. zabrzański), Karol Gajdzik z Przełajki, Walenty Fojkis z Katowic, Paweł Chrobok z Mysłowic, Jan Emil Stanek z Siemianowic, Rudolf Kornke z Szopienic (pow. katowicki), Jan, Karol i Paweł Brandysowie z Pawłowic, Jan Keller z Pogrzebień (pow. raciborski), Paweł Golaś z Lubszy (pow. lubliński), Józef Grzegorzek z Markłowic Dolnych (pow. rybnicki), Karol Grzesik z Siedlisk (pow. raciborski), Stanisław Mastalerz z Piekar Śl., Jan Pyka z Sośnicy (pow. zabrzański), Jan Ludyga-



Walenty Fojkis, Józef Bula, Alfons Zgrzebnik, Michał Grażyński.

Laskowski z Rozbarku (pow. bytomski), Rudolf Niemczyk, Adam Kocur z Kuźni Raciborskiej (pow. rybnicki), Szymon Białecki z Połomi (pow. rybnicki), Robert Oszek z Zabrze, Józef Jędrośka z Rydułtowa (pow. rybnicki), Seweryn Jędrzyk z Kamienia Śląskiego (pow. strzelecki), Nikodem Sobik z Rowienia (pow. rybnicki), Miłosz Sołtyś z Opola, Paweł Stania z Rudy Śl., Franciszek Szędzielorz, Jan Wyględa z Brzeźnicy (pow. raciborski), Alfons Zgrzebniok z Dziergowic (pow. kozielski), Bolesław, Henryk, Ludwik i Mieczysław Kopcowie z Siemianowic Śl., Karol Walerus, Marcin Watoła z Królewskiej Huty, Alojzy Seget z Lubomi (pow. raciborski), Fryderyk, Henryk i Karol Woźniakowie z Rożdżenia (pow. katowicki), Czesław Paul, Jan Faska z Królewskiej Huty, Józef i Mikołaj Witczakowie z Jastrzębia (pow. rybnicki), Wincenty Mięsoł z Rozmierki (pow. strzelecki), Maksymilian Żyła, Jan Przybyła z Sierakowic (pow. toszecko-gliwicki) i Jan Lortz z Rozbarku (pow. bytomski).

Wywodzili się oni z rodzin robotniczych lub chłopskich z małymi wyjątkami, jak Augustyn Bańczyk, syn kupca, Paweł Chrobok, syn właściciela cegielni, zawodowy wojskowy w stopniu majora armii pruskiej lub Walter Larysz, który pochodził z rodziny polskoniemieckiej (pasierb Emila Gajdasa, lekarza farmaceuty, posła do II, III i IV Sejmu Śląskiego) i przysywał sobie związki rodzinne z szlacheckim rodem Jasińskich. **Ludzie ci nie posiadali wyższego wykształcenia wojskowego, zaś dysponując głównie doświadczeniem wojennym stanęli na czele kompanii, batalionów i pułków. Wykazując przy tym duże, samorodne zdolności dowódcze i organizacyjne.** Wcześniej nie mogli oni jednak liczyć na awanse w armii pruskiej, której trzon stanowili oficerowie rekrutujący się spośród pruskich junkrów. Z szczytu tego dostąpili jedynie wspomniani Radziwiłłowie, jako kuzyni cesarza. Zasadniczą przeszkodą była bariera społeczna i narodowościowa.

Ślącacy po doświadczeniach żołnierskich na frontach I wojny światowej byli na ogół dobrze przygotowani do funkcji dowódczych na szczeblu podoficerskim, nad Niemcami górowali inteligencją i ideowością. Istniał wśród nich duży pęd do pogłębienia wojskowej wiedzy. Wielu z nich dokształcało się później już w czasie pełnienia zawodowej służby wojskowej. Byli dowódcą 7 Pułku Piechoty im. Stefana Batorego, Stanisław Mastalerz, uzupełniał własną edukację nawet w okresie emigracyjnym kończąc w Manchester dwuletni kurs ekonomiczny dla spółdzielców-oficerów wojsk sprzymierzonych. Zarówno on jak i jego koledzy cieszyli się autorytetem u podkomendnych, a także uznaniem i dużą popularnością nie



Robert Oszek

tylko wśród lokalnych społeczności. Ich kariery przypominały awanse w szeregach rewolucyjnej armii francuskiej końca XVIII wieku, której żołnierze wiernie służąc „małemu kapralowi”, jako synowie karczmarzy i bednarzy zdobywali stopnie generalskie i buławy marszałkowskie. Powstania śląskie, w których istotną rolę oprócz ucisku narodowościowego odgrywało poczucie krzywdy społecznej, nosiły znamiona rewolucji i miały charakter plebejski, a więc wykreaowały także swoich ludowych bohaterów.

Odsiecz z Poznania

Specjalne więzy łączyły Śląsk z Wielkopolską – dowodem potwierdzenie 28 XII 1918 r. dowództwa Sił Zbrojnych byłego Zaboru Pruskiego Wielkopolaninowi kpt. Stanisławowi Taczakowi, oficerowi armii pruskiej. Od stycznia 1919 r. z upoważnienia Komisarjatu Naczelnej Rady Ludowej, której członkiem był Wojciech Korfanty odpowiedzialny za resort spraw wojskowych i politycznych, zwierzchność nad działaniami organizacyjnymi na Śląsku objął ppłk Maciej Mielżyński ps. Nowina-Doliwa, oficer WP i działacz Narodowej Demokracji. W miesiąc później członkowie powołanej do życia przez Korfantego POW G.Śl. zostali zaprzysiężeni według słów roty Wojska Wielkopolskiego. Organizacja



Andrzej Mielęcki

rozrastała się szybko i w kwietniu jej stan liczebny przekroczył 14 tys. ludzi. Kolejne działania zmierzały m.in. w kierunku wyeliminowania niedoborów kadrowych. W sierpniu 1919 r. z Poznania przybyła na Śląsk grupa 15 oficerów z mjr. Ignacym Mielżyńskim, organizatorem pomocy wojskowej dla pierwszego powstania i współtwórcą Milicji Górnos Śląskiej. Zespół ten wzmocnił gen. Kazimierz Raszewski, na którego polecenie na Śląsk udał się mjr Mieczysław Paluch (dowódca 8 Pułku Strzelców Wielkopolskich) w towarzystwie innych oficerów WP. Odegrał on wiodącą rolę w drugim powstaniu śląskim, ponadto przyczynił się do powstania CWF.

W przededniu trzeciego powstania śląskie kadry dowódcze zasilili m.in. kpt. Henryk Zborowski, ppłk Kazimierz Zentkeller ps. Warwas, ppr. Alfons Breza, kpt. Józef Alojzy Gawrych ps. Laudanski, były uczestnik powstania wielkopolskiego i oficer łącznikowy z 1 Pułkiem Strzelców Bytomskich. Od 15 III 1920 r. działał na Śląsku także Mieczysław Chmielewski, w jednej osobie przewodniczący Towarzystwa Tomasza Zana i były żołnierz 4 Dywizji gen. Lucjana Żeligowskiego w Odessie. Odegrał on istotną rolę w drugim i trzecim powstaniu. Na Górny Śląsk wciąż przybywali na ochotnika oficerowie poznańscy i obejmowali odpowiedzialne stanowiska. Dzięki ich obecności wprawdzie podniósł się poziom organizacyjny POW G.Śl. i rozrosły się jej szeregi, ale i ożyły na nowo dzielnicowe antagonizmy i polityczne swary. Awanse Górnos Ślązaków: Augustyna Bańczyka, przywódcy Związku Hallerczyków i pułkownika Pawła Chroboka zwolennika endecji, powiązanego z Dowództwem Okręgu Generalnego w Poznaniu i Wojciechem Korfantym, oznaczały osłabienie wpływów Belwederu i zacieśnienie związków z Wielkopolską. Za to do Warszawy docierały niepokojące meldunki o fałszywych oskarżeniach o bierność w stosunku do spraw śląskich i o przeciwstawianiu „bałaganiarskim” Królewiałom „uporządkowanym” Poznańiakom.

Na temat oficerów z zaboru rosyjskiego mówiono, iż ci wszyscy Królewiałacy [...], którzy kariery w swoim wojsku zrobić nie mogli, poprzyłatywali do nas, by jako ochotnicy być na Śląsku sądząc, iż Górny Śląsk raz, dwa, trzy zdobędziemy a oni, będąc zaledwie podoficerami, wjadą do miast górnos Śląskich na zdobytych koniach jako kapitanowie, majorzy i pułkownicy... Dają głowę – pisał jeden z powstańców – iż pułkownik Żymirski także te fantazje podzielał i spodziewał się już dawno być generałem. Inną słabością przybyszów miało być zamilowanie do gustownego mundurku z cackami, błyszczącej szabelki i brzęczących ostróg. Niechęć do „obcych” budziła ponadto osobna kuchnia oficer-

ska, której nie akceptowali górnicy – powstańcy żywieni „cienką zupką”. Oficerów z POW identyfikowano z ruchem socjalistycznym. Upowszechniła się opinia, że *do socjalistycznej partii garnęła się przede wszystkim młodzież. Ta przeważała w organizacji POW [...] na Śląsku [i] w Polsce*. Tak więc zdaniem malkontentów: *niewykwalifikowani ludzie, młodzieniaszki otrzymali stanowiska dowódców, komendantów i zajęli po zdezonizowaniu okupantów, władzę i stanowiska [...] Oficerzy, bez patentu oficerskiego, bez szkoły. [...] Z socjalistów stali się naraz butnymi panoczkami i biada prostemu chłopu, żołnierzowi i nieumundurowanemu śmiertelnikowi, który ich nie uznał*.

Autorami tych pomówień według majora Romana Witorzeńca, organizatora i dowódcy Bytomskiego Pułku Piechoty, mieli być przybysze z nad Warty. W skrajnych przypadkach nie chcieli oni dzielić się przesłaniami z Poznania transportami broni, jeśli miałyby trafić do rąk podkomendnych oficerów z Kongresówki. Wyjątek wśród Wielkopolan stanowił Mieczysław Chmielewski, który w trzecim powstaniu pełnił funkcję zastępcy szefa sztabu Grupy „Wschód” i uczestniczył w zmaganiach o Górę św. Anny. Chmielewski przyłączył się do tych oficerów piłsudczyków, na czele których znajdowali się Michał Grażyński i Karol Grzesik dowódca Grupy „Wschód”. Wszyscy oni byli zwolennikami koncepcji orężnego rozstrzygnięcia sprawy śląskiej i przeciwstawiali się negocjacyjnej polityce dyktatora Korfanteo. Chmielewski podzielał ich opinię przystąpił do tzw. „buntu” grupy „Wschód” i poparł kandydaturę K.Grzesika na głównodowodzącego powstaniem.

Na Śląsk jako ochotnik w styczniu 1921 r. przybył m.in. Franciszek Rataj, jeden z znaczących dowódców w powstaniu wielkopolskim. Włączył się on w działania zmierzające do reorganizacji POW G.Śl. w powiecie pszczyńskim, gdzie w trakcie trzeciego powstania objął dowodzenie nad pułkiem. W tym samym czasie z Wielkopolski na Śląsk przyjechał kpt. Paweł Cymś. W chwili wybuchu trzeciego powstania stanął na czele podgrupy taktycznej wchodzącej w skład głównych sił Grupy „Wschód”, przekształconej w 2 Pułk Piechoty im. Tadeusza Kościuszki podporządkowany Janowi Ludycze-Laskowskiemu, dowódcy 1 Dywizji Wojsk Powstańczych. Cennym nabytkiem dla śląskiej kadry dowódczej była osoba pułkownika Bronisława Sikorskiego ps. Cietrzew. Sikorski należał do grona najlepiej wykształconych oficerów. W 1910 r. ukończył on agronomię we Wrocławiu, a w latach 1910-1912 podjął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przez kolejne lata pobierał nauki na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzy-



Karol Grzesik

mie. Od marca 1914 r. do października 1918 r. pełnił służbę wojskową w armii pruskiej. Odegrał kluczową rolę w przygotowaniach do powstania wielkopolskiego i był członkiem Tajnego Polskiego Sztabu Wojskowego. Jako ochotnik na Śląsk przybył w marcu 1921 r. obejmując stanowisko inspektora piechoty DOP. W trzecim powstaniu śląskim Sikorski dowodził grupą „Południe”.

Duży wkład w dzieło powrotu Śląska do Macierzy miał także Joachim Sołtys, przedstawiciel inteligencji wielkopolskiej, który już w 1898 r. przeniósł się do Bytomia, gdzie związał się z czasopismem „Światło” i redagował dział prawny „Katolika”. W latach 1914-1917 zaciągnął się do Legionów Polskich. Podczas trzeciego powstania pracował w Wydziale Prasowym NKWP. Równie wcześniej pracę niepodległościową rozpoczął Krzysztof Konwerski ps. Harden, organizator pierwszej Polskiej Drużyny Strzeleckiej w Wielkopolsce. Dnia 5 I 1921 r. został mianowany przez DOP naczelnikiem VI Inspektoratu DOP (obejmującego powiaty: prudnicki, strzelecki i kozielski), kilka miesięcy później dowódcą Podgrupy „Harden” w Grupie „Północ”.

Grupą „Południe” dowodził inny Wielkopolanin, ppłk Alojzy Nowak ps. Neugebauer, który wcześniej kierował IV Inspektoratem na powiat lubliński i oleski. Już wówczas wyka-



Jan Wyglenda

zał się dużymi umiejętnościami dowódczymi i odwagą broniąc dostępu do ważnych węzłów kolejowych: Fosowskie – Strzelce – Tarnowskie Góry. We wrześniu 1939 r. dowodząc 13 Pułkiem Piechoty w Pułtuskach toczył ciężkie walki na przedpolu Modlina; 24 września zagrożony okrążeniem poprowadził osobiście swoich żołnierzy do kontrataku w rejonie Kazunia Polskiego. W trakcie tej akcji poległ bohaterską śmiercią.

Wielkopolanie wsparli także Ślązaków grupą ludzi reprezentujących różne służby specjalistyczne, jak duszpasterska, intendentury, a w szczególności zdrowia. Do powstań śląskich zgłosiło się wielu oficerów lekarzy, m.in. Ignacy Nowak, który w stopniu kapitana pełnił kolejno funkcje: lekarza 2 białonu w pułku katowickim Walentego Fojkisa, a następnie lekarza naczelnego 1 Dywizji Wojsk Powstańczych i szefa sanitarnego Grupy „Środek”. Oprócz Jana Hlonda i Emila Cyrana, rodzimych Ślązaków, duże zasługi dla powstańczych służb sanitarno-medycznych oddali Wielkopolanie: kpt. Edward Hanke, kpt. Roman Konkiewicz oraz kpt. Stanisław Bobkowski, komendant pociągów sanitarnych ewakuujących rannych z Górnego Śląska w głąb Polski. Z kolei ks. major Franciszek Nowak, brat Alojzego Nowaka ps. Neugebauer został przełożonym Wydziału Duszpasterskiego powołanego w 1921 r. przez Nacelną Komendę Wojsk Powstańczych.

Zaślubiny Śląska z Warszawą

Już w marcu 1919 r. na kolejnym spotkaniu ze Ślązakami Józef Piłsudski obiecał pomoc mówiąc: [...] *dam cztery tysiące, co mam najlepszego, jeśli dojdzie do powstania*. Gdy wybuchło III powstanie śląskie, którym kierował Maciej Mielżyński, na jego doradców Piłsudski delegował doświadczonych „dwójkarzy”, m.in. Wojciecha Stpicyńskiego, legionistę i współorganizatora Wydziału Plebiscytowego dla Górnego Śląska przy Oddziale II Sztabu Ministerstwa Spraw Wojskowych oraz Bogusława Miedzińskiego, Szefa Oddziału II, organizatora pomocy wojskowej dla Górnego Śląska, który współpracował z Karolem Polakiewiczem, szefem sekcji plebiscytowej Ministerstwa Spraw Wojskowych i członkiem Komitetu Plebiscytowego przy Radzie Ministrów. Znaczny udział w przygotowaniu powstania mieli byli legionści: Feliks Ankerstein, pseudonim Butrym (powiat tarnogórski), Stanisław Rostworowski, pseudonim Lubieniec, szef sztabu NKWP w Szopienicach w randze majora, Adam Benisz, komendant garnizonu w Kędzierzynie oraz Stanisław Baczyński, pseudonim Bittner (syn powstańca 1863 r.) od

1920 r. szef referatu operacyjnego Centrali Wychowania Fizycznego i III Wydziału Operacyjnego Dowództwa Obrony Plebiscytu, który wraz z Tadeuszem Puszczyńskim, pseudonim Konrad Wawelberg, opracował plan działań powstańczych na Górnym Śląsku. Za Wydział Wydawniczy Polskiego Komitetu Plebiscytowego w trzecim powstaniu śląskim odpowiadał legionista, major artylerii Kasper Wojnar, do 28 VIII 1920 r. pracownik Departamentu Naukowo-Szkolnego Ministerstwa Spraw Wojskowych odkomenderowany na Górny Śląsk. Wszyscy oni korzystali z pomocy wiceministra spraw wojskowych gen. Kazimierza Sosnkowskiego oraz Ignacego Boernera eksperta spraw niemieckich, a także „dwójkarzy” Lucjana Miładowskiego i Ignacego Matuszewskiego. W tworzeniu podwalin śląskiej kadry dowódczej uczestniczyli także: mjr Kazimierz Kierzkowski, jeden z inspiratorów powstania POW G.Śl. i Roman Abraham uczestnik słynnej odprawy DOP z 29 IV 1921 r., podczas której zdecydowano o rozpoczęciu walki zbrojnej.

Żołnierzami Piłsudskiego byli również: Henryk Krukowski, dowódca oddziałów destrukcyjnych Grupy „Północ”, Szymon Białecki, szef Wydziału Organizacyjnego Grupy „Wschód” i Seweryn Jędrzyk, pseudonim Walenstein, organizator POW G.Śl. w powiecie strzeleckim, dowódca baonu w Podgrupie „Harden”, autor wspomnień *Polskie powstania w powiecie strzeleckim*, opublikowanych w zbiorze *O wolność Śląska* (Katowice 1931). W trakcie walk dołączyli do nich inni. Wśród 200 ochotników przybyłych do Szopieniec znalazł się m.in. Władysław Targalski, jeden z najmłodszych obrońców Lwowa. W akcji plebiscytowej i powstaniach śląskich uczestniczył także Marian Kantor Mirski, który przeszedł cały szlak bojowy 3 Pułku Piechoty I Brygady Legionów. Następnie organizował akcje dywersyjne Polskiej Organizacji Wojskowej na Ukrainie, a w 1922 r. był już kapitanem Wojska Polskiego odznaczonym Krzyżem Walecznych i francuskim orderem „De la Victoire”. Jako zwolennik akcji zbrojnej na Górnym Śląsku deklarował się Marian Koenig, działacz PPS, organizator pomocy wojskowej i patron grupy piłsudczyków w POW G.Śl., członek kierownictwa Wydziału Plebiscytowego, w okresie powstań pracownik Oddziału II Sztabu Ministerstwa Spraw Wojskowych. W trzecim powstaniu wzięło udział z terenu pozaplebiscytowego kilkudziesięciu oficerów i około 3600 strzelców o orientacji piłsudczykowskiej. Pod względem fachowym była to grupa złożona z zawodowych wojskowych i konspiratorów dobrze przygotowanych do wykonania powierzonego im zadania.



Alfons Zgrzebnik

W sposób znaczący zasilili oni kadry dowódcze powstania.

Śladem obecności piłsudczyków, zwolenników orientacji insurekcyjnej, oprócz ochotników i transportów broni, na Górnym Śląsku była śląska wersja *Pierwszej brygady*, uznana w 1921 r. przez wiele oddziałów powstańczych za hymn. Refren tej pieśni odzwierciedlał rodzący się wówczas konflikt między Józefem Piłsudskim a sympatykiem obozu narodowego – Wojciechem Korfantym, zwolennikiem rozstrzygnięcia dyplomatycznych z pominięciem walki zbrojnej. W odczuciu tej grupy, co było krzywdzące, Korfanty i otaczający go ugodowcy zasługiwali na tytuł „zaprzańców”:

My ślascy powstańce
Mimo was zaprzańce
Przez krew zdobędziem Śląsk
Mimo wasz gniew – przez krew,
przez krew.

Konflikt ten podzielił kadrę dowódczą na oficerów oddanych Korfantomu (sympatyków Narodowej Demokracji lub Chadeccji) i w przyszłości zwolenników Grażyńskiego tj. piłsudczyków. Sympatie polityczne oraz konflikty personalne i antagonizmy w znacznym stopniu pokrywały się z różnicami dzielnicowymi. Wielkopolska tradycyjnie uchodziła za bastion Narodowej Demokracji i matczynik przeciwników Piłsudskiego, którzy rugowali jego wpływ na Ślą-



Alojzy Seget

sku, m.in. wśród powstańczego korpusu oficerskiego.

Jednak większość jego przedstawicieli zarówno Wielkopolanie, Królewscy czy Małopolanie, korfanciarze, jak i piłsudczycy wzorowo pełnili swoje obowiązki służbowe i dawali dobry przykład szeregowym żołnierzom. Chociaż nie byli Ślązakami troszczyli się o potrzeby i byt podkomendnych. Wśród powstańczej kadry szczególną dbałością o swoich żołnierzy wyróżniał się dowódca pułku zabrzańskiego Paweł Cymś. Mimo że ciągle odczuwano dotkliwy brak pieniędzy, jego ludzie systematycznie otrzymywali żołąd i przydziały żywności. W szeregach 2 Pułku im. T. Kościuszki nie było przypadków dezercji lub nieposłuszeństwa o jakich wspominał Alojzy Pronobis z Bytkowa, gdy podczas marszu „rewolwerem trzeba było ludzi zmuszać do drogi i porządku”. Aby uniknąć dodatkowych napięć zarówno Wielkopolanie, jak oficerowie z Kongresówki lub Galicji najczęściej mieli status doradców wojskowych, decyzyjnie podejmowali Górnoszlascy. Potwierdza to raport majora Sikorskiego adresowany do ministra spraw wojskowych z 12 XII 1920 r., w którym pisał: „Wobec znanej niechęci Górnoszlazaków do żywiołu napływowego wszystkie funkcje kierownicze, aż do komendantów powiatowych włącznie, sprawują Polacy miejscowi. Mają oni wielki mir i posłuch w masach, gdyż każdy z nich ma za sobą przeszłość powstańczą, nie są jednak dostatecznie wyrobieni życiowo i wykształceni wojskowo, by móc operować większymi oddziałami wojskowymi. Rzeczywistą pracę organizacyjno-wojskową sprawują adiutanci lub pomocnicy powiatowych komendantów – oficerowie posiadający znajomość roboty konspiracyjnej i praktykę walki polowej. Tak przeprowadzona współpraca zaciera różnice, niebezpieczeństwa wspólnie zbliżają ludzi i z czasem oczywisty charakter pracy ujawnia się sam przez się, nie szkodząc całokształtowi tejże. Na konieczność zachowania tego systemu współpracy kładę szczególny nacisk, gdyż wszelka próba ujęcia organizacji w ramki ściśle wojskowe, podporządkowanie jej oficerom mianowanym, a nie znanym na miejscu wywoła nieufność, rozgoryczenie, a nawet nienawiść, wówczas gdy dzisiaj drogą przez nas stosowaną osiągamy zbliżenie i zacieranie różnic prowincjonalnych”.

Czas karier i rozczarowań

Dowódcy powstań śląskich i ich podkomendni byli liczebnie największą polską grupą kombatancką na terenie Górnego Śląska. Odgrywali ważną rolę polityczną i społeczną w ciągu 20-lecia między-

wojennego, stanowiąc w ogromnej większości ludność rodzimą. Przykładem awansu mogła być m.in. kariera Rudolfa Kornkego, Walentego Fojkisa czy Karola Gajdzika. Listę wybitnych postaci wywodzących się z tego regionu powinno jednak zawsze rozpoczynać nazwisko dyktatora trzeciego powstania Wojciecha Korfantego.

Okres powstań i plebiscytu dla najzdolniejszych stworzył wyjątkową okazję historyczną do awansu społecznego. Urodzeni w innym okresie, pozbawionym spłotu szczególnych okoliczności, które szansę tę im dawały, uznani dowódcy armii powstańczej musieliby pozostać górnikami, hutnikami czy rolnikami, o których nikt by nie słyszał. Umarliby jako ludzie mierni i przeciętni, przyjmujący życie i idee, w których ich wychowano, nic w nich nie zmieniając i tym samym pozostając dziećmi czasów, które ich zrodziły. Przykładem może być życiorys Karola Gajdzika, który po ukończeniu szkoły elementarnej, rozpoczął pracę zarobkową, najpierw w hucie „Laura”, później w kopalni „Maks”, uzyskując status nadgórnika. Jego kariera rozpoczęła się wraz z wybuchem wojny, podczas której dosłużył się stopnia sierżanta sztabowego. Po jej zakończeniu został zaprzysiężonym członkiem POW G.Śl. z nominacją na komendanta placówki w Przelajce. Włączył się wówczas w prace organizacyjne polskiego ruchu niepodległościowego na Śląsku. W pierwszym powstaniu śląskim dowodził siemianowicką kompanią, a w drugim i trzecim pełnił poważne funkcje dowódcze. Kierował zgromadzeniem królewskohuckim, które 10 V 1921 r. na mocy rozkazu dowódcy Grupy „Wschód” przekształcono w 4 Pułk a następnie przydzielono do 23 Dywizji. Za zasługi otrzymał patent oficerski, a po zakończeniu powstania został naczelnikiem Przelajki. Był jednym z bardziej znanych i szanowanych działaczy ZPŚl. i posłem na Sejm Śląski. Prowadził również działalność gospodarczą. Na terenie swojego gospodarstwa rolnego w Przelajce uruchomił cegielnię.

Z kolei Rudolf Niemczyk ps. Stein, dowódca 3 Pułku Piechoty im. Dąbrowskiego w okresie międzywojennym był urzędnikiem w Dyrekcji Poczty i Telegrafów w Katowicach. Równie błyskotliwe były kariery Walentego Fojkisa i Rudolfa Kornkego. Wszyscy oni zaczęli od służby w pruskiej armii, po powrocie z wojny organizowali POW na Górnym Śląsku i pełnili odpowiedzialne funkcje dowódcze, a później mając zaplecze polityczne w swoich podkomendnych odgrywali istotną rolę w życiu publicznym, obejmując stanowiska burmistrzów i naczelników gmin, posłując do Sejmu Śląskiego i parlamentu RP, wreszcie rozwijając



Jan Pyka

działalność ekonomiczną. Długo w rodzinie Domina Brandysa, byłego powstańca i podkomendnego Kornkego, który wzorem swojego komendanta założył restaurację, wspomniano kombatantkie spotkania organizowane przez weteranów – restauratorów w gorących okresach przedwyborczych.

Inni zabiegali o eksponowane stanowiska w wojsku. Poznać ich można było po wpiętej do munduru niebiesko białej wstążce Krzyża Górnosłańskiego. W grupie tej znaleźli się m.in. Jan Ludyga-Laskowski (prawdziwe nazwisko Józef Gabriel Ludyga) i Jan Emil Stanek. Obu łączyła przeszłość i pochodzenie społeczne, a także umiejętność łączenia działalności narodowej z podnoszeniem wykształcenia i doskonaleniem rzemiosła wojennego. Ludyga, syn rozbarskiego górnika, dezterter z armii pruskiej i jeden z pierwszych ochotników armii gen. Józefa Hallera we Francji, na początku 1918 r. został komendantem polskiej szkoły podoficerskiej w Le Mans, następnie adiutantem dowódcy pułku, wreszcie dowódcy I Korpusu WP we Francji. W chwili powrotu do kraju awansował na szefa II Oddziału sztabu Korpusu. Odegrał wybitną rolę w powstaniach śląskich jako szef sztabu POW G.Śl., współtwórca planu przygotowań drugiego powstania śląskiego, a w trzecim dowódca I Dywizji Górnosłańskiej. Po przyłączeniu Górnego Śląska do Polski podjął służbę w sztabie gen. Stanisława Szeptyckiego. W 1926 r. po ciężkiej chorobie został przeniesiony jako inwalida w stan spoczynku. Wówczas podjął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, a w 1935 r. złożył egzamin notarialny. Politycznie związał się z chadecją co źle wpłynęło na jego stosunki z wojewodą Michałem Grażyńskim. Odmówił też kandydowania na posła do Sejmu RP.

Zawodowym wojskowym został także jego bliski współpracownik Jan Emil Stanek, z czasem pułkownik WP i komendant Śląskiego Legionu AK. Rodziny Ludygów i Stanków (spokrewnionych z Wojciechem Korfan-

tym) znane były ze swej aktywności w walce o wyzwolenie Górnego Śląska spod panowania pruskiego. Ojciec Ludygi i matka Stanka za aktywną pracę w polskim ruchu narodowym zostali śmiertelnie pobici przez bojówki niemieckie. Patriotyczna atmosfera panująca w obu domach wywarła wpływ na postawę synów, którzy od najmłodszych lat angażowali się w działalność narodową. Szymon Stanek brat Jana Emila walczył w obronie Lwowa, a starszy Jan Ludyga zginął w trzecim powstaniu.

Nie wszyscy podjęli zawodową służbę wojskową lub byli równie zaradni życiowo, jak Fojkis, Gajdzik czy Kornke. Stanisław Mastalerz, jeden z najzdolniejszych dowódców w trzecim powstaniu śląskim, przeniesiony do rezerwy w 1924 r. znalazł się w trudnej sytuacji egzystencjalnej. Nie należał on do wyjątków. Dzielił los weteranów wszystkich wojen w Europie i na świecie. Gen. Kazimierz Sosnkowski już na posiedzeniu Sejmu 3 IV 1921 r. wyraził ubolewanie, iż polscy oficerowie cierpią nędzę, zajmując się do rąbania drewna lub zebrząc po dworcach. Opinię ministra spraw wojskowych potwierdził gen. Marian Kukiel publikując artykuł w podobnym tonie na łamach „Polski Zbrojnej”. O swoich trudnościach z goryczą na łamach „Śląskiego Kuriera Porannego” pisał także Jan Emil Stanek, dowódca I Dywizji Górnosłańskiej Wojsk Powstańczych, który obrał drogę kariery zawodowego oficera. Jednak szczególnie trudną była sytuacja materialna powstańców, których domy znalazły się w granicach państwa niemieckiego, a im pozostał jedynie status uchodźców.

Gdy nastał wrzesień 1939

Ostatnie lata życia kadry dowódczej były pełne wyjątkowego napięcia. Po wybuchu II wojny jednoznacznie opowiedzieli się przeciw agresji Niemiec hitlerowskich na Polskę tworząc bataliony samoobrony powstańczej. Nie żywili żadnych złudnych nadziei co do intencji polityków III Rzeszy. Zwracali uwagę polskiej opinii publicznej na niemieckie niebezpieczeństwo i groźbę wojny. Wyznając zasadę *Semper fidelis* odrzucili zarówno faszyzm, jak i komunizm ze względów politycznych i moralnych. Postawa taka naraziła grupę byłych dowódców powstańczych na eksterminację i różnego rodzaju represje i cierpienia. Lata drugiej wojny światowej i okres terroru stalinowskiego oznaczały dla większości z nich śmierć na polu bitwy, w obozie koncentracyjnym lub emigrację. Często w drodze tej towarzyszyli im ich żołnierze.

Walenty Fojkis, pod którego komendą w trzecim powstaniu bił się

katowicki pułk imieniem Józefa Piłsudskiego, jako naczelnik gminy Michałkowice 29 VIII 1939 r. powołał Straż Obywatelską, by następnie objąć kierownictwo walki z grupą SS-Sturmabführera Willi Pissarskiego. Po klęsce wrześniowej nie zrezygnował z dalszej walki i przedostał się do Francji, a później do Anglii. Zmarł w tragicznych okolicznościach 10 XI 1950 r. w Royal Infirmary w Edynburgu. Równie dramatyczne były losy kpt. Mieczysława Kopca. W pierwszej wojnie światowej w pruskiej armii walczył na froncie wschodnim (przez jakiś czas przebywał także na obszarze Grecji). Dnia 7 X 1918 r. został odkomenderowany z Rostowa do Kijowa. Początki jego służby w wojsku polskim łączyły się z „Armią Błękitną” gen. Józefa Hallera. W Siemianowicach Śl. rozwinął działalność w TG „Sokół” i POW G.Śl. Był weteranem drugiego i trzeciego powstania śląskiego, pełnił wówczas funkcję adiutanta Karola Gajdzika, dowódcy 4 Pułku. Od 1935 r. II zastępca sekretarza Zarządu Głównego ZPSŁ i bliski współpracownik Rudolfa Kornkego, z którym przed wybuchem wojny w 1939 r. wyjeżdżał do stolic takich państw, jak Rumunia, Węgry, Turcja i Jugosławia oraz na Wybrzeże do Gdyni. Prawdopodobnie wizyty te łączyły się z napiętą sytuacją międzynarodową i zbliżającą wojną z Niemcami. Członek samoobrony powstańczej i współorganizator oporu, jaki we wrześniu 1939 r. stawili powstańcy. Katowice opuścił dopiero po zajęciu miasta przez Wehrmacht, by ruszyć na tułaczkę, która prowadziła ze Lwowa przez Rumunię do Francji. Mieczysław Kopiec w 1940 r. uczestniczył w kampanii francuskiej, podczas której dostał się do niewoli niemieckiej. Występował wówczas pod nazwiskiem matki – Piechowicz. Rozpoznany i torturowany w obozie jenieckim, konwojowany zbiegł z transportu (skacząc z pędzącego pociągu) już na terenie III Rzeszy. Przez 3 dni ukrywał się w wodzie pod mostem, aby następnie dotrzeć do granicy szwajcarskiej, skąd przedostał się do Anglii. Po utworzeniu drugiego frontu walczył w randze kapitana w 1 Dywizji Pancerniej gen. Stanisława Maczka. Po demobilizacji odmówił powrotu do zniewolonej ojczyzny, odrzucił także propozycję przyjęcia obywatelstwa brytyjskiego, co nie pozostało bez wpływu na jego sytuację materialną, gdyż był pracownikiem państwowym. Tracąc nadzieję na możliwość powrotu do wolnej Polski, pragnął aby przynajmniej po śmierci jego prochy spoczęły na siemianowickim cmentarzu. Zmarł 29 V 1959 r. na emigracji w Anglii i został pochowany na cmentarzu w Rayleigh w hrabstwie Essex.

Gdy nad Polską i Śląskiem zawisła groźba niemieckiej agresji wśród po-

wstańców, którzy ponownie stanęli do walki w obronie Ojczyzny, znalazł się także Nikodem Sobik. W 1938 r. podlegało mu jako komendantowi powiatowemu osiem baonów samoobrony powstańczej w sile 3100 ludzi. W kampanii wrześniowej jednak dowodził batalionem 73 Pułku Piechoty w Mikołowie, toczącym ciężkie boje od Sandomierza do Tomaszowa Lubelskiego. Uniknąwszy niemieckiej niewoli przedostał się do Lwowa, w którym Słazacy wspólnie z żołnierzami gen. K. Sosnkowskiego stawiali twardy opór broniąc miasta przed wojskami niemieckimi i Armią Czerwoną. Ostatecznie podzielił los polskich oficerów internowanych w Starobielsku – zginął męczeńską śmiercią. W podobnych okolicznościach na terytorium okupowanym przez Armię Czerwoną został zamordowany uczestnik powstań i kampanii wrześniowej Jan Hlond.

Mimo zaawansowanego wieku na wezwanie do obrony Ojczyzny stawiał się także Karol Gajdzik. We wrześniu 1939 r. podczas odwrotu dotarł ze swoimi powstańcami do Gołonoga, gdzie rozwiązał oddział i polecił zakopać sztandar powstańczy. Jeszcze tego samego miesiąca aresztowany w okolicach Czeladzi przez gestapo, został dotkliwie pobity i osadzony w siemianowickim więzieniu, a następnie przewieziony do Rawicza skąd 24 IX 1939 r. skierowano go do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Dnia 8 IV 1945 r. został wyprowadzony z grupą więźniów do obozu w Allach. Wolność odzyskał 30 IV 1945 r., przeżywszy ewakuację obozu w Buchenwaldzie i słynny marsz śmierci. W punkcie repatriacyjnym w Koźlu zameldował się 5 V 1945 r. W nowej rzeczywistości politycznej, niezbyt przychylniej dla weteranów polskich walk niepodległościowych, próbował go osłaniać i wspomagał wicewojewoda śląski, Jerzy Ziętek. Dla schorowanego byłego dowódcy „Czwartaków” zabrakło nawet miejsca w szpitalu, skąd został usunięty mimo protekcji Ziętka. Karol Gajdzik zmarł w swej rodzinnej miejscowości 30 VIII 1955 r.

Równie tragiczną kartę historii zapisał płk Jan Emil Stanek, żołnierz września i konspiracji, więzień obozów koncentracyjnych, na którym Niemcy przeprowadzali doświadczenia medyczne. Po powrocie do kraju za próbę zorganizowania w Katowicach powstańczej manifestacji z okazji święta narodowego 3 Maja, na polecenie nowych władz został osadzony w więzieniu, a zimą 1947 r. eksmitowano jego rodzinę wystawiając na dwór łóżko ciężko chorej żony Marianny Stankowej, co przyczyniło się do jej śmierci.

Trudno byłoby znaleźć na Śląsku, a nawet w całej Polsce rodzinę tak represjonowaną przez okupantów, jak

ród Korfantych. Niemieckie działania eksterminacyjne dotknęły w szczególności najbliższych Jana Korfante-go, brata dyktatora trzeciego powstania śląskiego. O bezwzględności niemieckiej świadczyły także losy księży kapelanów powstańczych. Ks. Antoni Nikodem Korczok, prześladowany i ścigany przez bojówki „Orgesch” za poświęcenie sztandaru powstańców śląskich, został 24 VIII 1940 r. aresztowany w Gliwicach przez niemiecką policję i wywieziony do Dachau, gdzie na rozkaz gestapo 5 II 1941 r. zastrzelili go funkcjonariusze obozowi. Jego los podzielił znany dowódca powstańczy mjr Seweryn Jędrysik, ps. Wallenstein, który po powstaniach wstąpił do zakonu dominikanów w Krakowie. W kampanii wrześniowej 1939 r. ks. major Jędrysik pełnił funkcję szefa Służby Duszpasterskiej 20. Dywizji Piechoty. W oblężonej Warszawie kierował Służbą Duszpasterstwa Dowództwa Pododcinka „Północ”, za co prezydent Stefan Starzyński wręczył mu legitymację Zasłużonego Obroncy Stolicy. Dnia 8 X 1939 r. odprawił ostatnią mszę św. dla swoich żołnierzy przed ewakuacją do obozów jenieckich. Po kapitulacji został osadzony w Oflagu IV A Hohenstein, a następnie Oflagu IX A Rotenburg, skąd przewieziono go do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. 5 IX 1942 r. został zamordowany w Dachau. Śmierć jego przyspieszył raport pszczyńskiego gestapo o jego powstańczej przeszłości.

Z kolei Stanisław Mastalerz, weteran powstań śląskich, bohaterski dowódca kampanii wrześniowej, uczestnik walk na Zachodzie, po 8 latach emigracyjnej tułaczki, jako rezerwista, musiał podjąć pracę w Spółdzielni Pracy w Katowicach. Nie lepszy był los Rudolfa Kornkego, który we wrześniu 1939 r. wyruszył na wojenną wędrowkę przez Rumunię, Bliski Wschód aż do Afryki Południowej, gdzie pracował na plantacjach tytoniu. W 1947 r. wrócił do kraju i podobnie jak Karol Gajdzik, czy Jan Stanek, nie odegrał już żadnej roli. Na utrzymanie zarabiał w Związku Inwalidów Gluchoniemych „Odrodzenie” w Chorzowie.

Zbliżając się do końca przeglądu bohaterów wydarzeń lat 1919-1921 należy zwrócić uwagę na ideowość kadry dowódczej. Do powstań szła przeważnie młodzież nie oczekująca żadnych z tego tytułu korzyści materialnych. Dla niej często jedyną nagrodą były: śmierć i laur sławy. Jej odwaga, bezinteresowność i poświęcenie w pełni uzasadniają nobilitację polskich rycerzy spod Góry św. Anny. Dziś gdy odeszło już tamte pokolenie w przeszłość można powiedzieć: „umarli, by laurem wzrosnąć”.

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów S. Gierlotki.

Do Damaszku

RYSZARD
JASNORZEWSKI

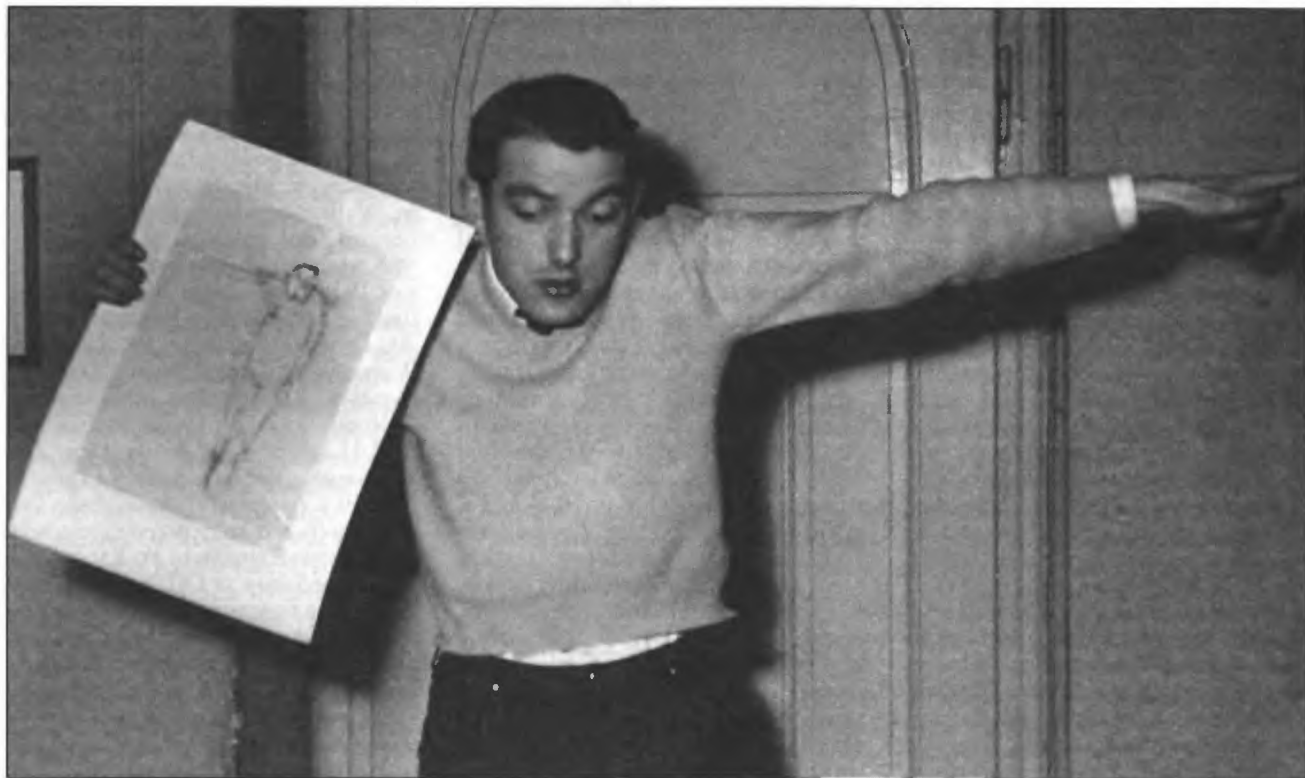


Foto: Muzeum Historii Miasta Katowic

Niewiele Konrada w Katowicach. Patronuje nagrodzie dla reżyserów, których spektakle wystawia się na festiwalu z interpretacjami i sztuką reżyserską. W Muzeum Historii Miasta Katowic przygotowano w 1999 roku okolicznościową wystawę. Zgromadzono trochę prac plastycznych, fotografii i frapujących projektów scenograficznych. Pokazano wypożyczone z kilku instytucji archiwalia. Wydano katalog.

Urodzony w 1929 roku w Warszawie Konrad Swinarski był synem podpułkownika Wojska Polskiego – Karola oraz Irmgardy z domu Liczbińskiej. Jego ojciec (jako dowódca 2 pułku strzelców podhalańskich w Sanoku) zmarł w 1935 roku. Po śmierci męża Irmgarda Swinarska zamieszkała z Konradem i starszym synem Henrykiem w Wieliczce. W czasie wojny wybrała niemiecką listę narodowościową. Henryk, jak ustaliła Barbara Witek-Swinarska, wstąpił w 1944 ochotniczo do Waffen SS. Ciężko ranny w czasie walk w okolicach Raciborza, zmarł w marcu 1945 roku.

W trzy lata po wojnie Konrad pisał w liście do przyjaciół: „[...] powracając do czasu od 1945 roku. Przybyłem wtedy jedynie do Katowic, gdzie spotkałem się z mamą. Przebywaliśmy u krewnych (u których zresztą jestem po dziś dzień). Po paru tygodniach nastąpiła bardzo przykra chwila, zostaliśmy zaarrestowani. Jakie wówczas istniały zarzuty, nie wiem, ale wiem tyle, że w ogóle ich nie było potrzeba. Ja zostałem wkrótce zwolniony. Mama została, zresztą nie na długo. Wkrótce była już w obozie, gdzie 11 X 45 zmarła, zmarła na bardzo rozpowszechnioną chorobę – zmarła z głodu i wycieńczenia”.

Konrad Swinarski miał sześć lat, kiedy zmarł jego ojciec, szesnaście w chwili śmierci matki w obozie w Mysłowicach. Znalazł przystań u krewnych, Anety i Mieczysława Cybińskich. W cytowanym wcześniej liście wspominał: „Początkowo nie wiedziałem, co zrobić, miałem wiele możliwości wyjazdu, ale nie – wolałem zostać, myślałem przecież, że odnajdę brata. Ale już po paru dniach dowiedziałem się o jego śmierci. Nie zostało mi więc nic...”.

W jednym akapicie da się zamknąć właściwie wszystko. Ten jeden akapit niczego nie wyjaśnia, jest ramą, we wnętrzu której kryje się dramat lub trauma. I długo rzeczywiste zagrożenie. Nie tylko posiadało się życiorys, ale należało niekiedy sporządzić jego skrót na potrzeby urzędowe, przedstawić zdając na uczelnię, chcąc otrzymać pracę. Zachowały się trzy użytkowe autoprezentacje, pisane ręką Konrada. Na jednej (nie wiadomo, kiedy i gdzie przedłożonej) wyznawał: „Po śmierci Ojca zamieszkałem wraz z matką początkowo pod Krakowem, później w Katowicach. W Katowicach przebywałem także podczas wojny [...] W [...] 1946 ukończyłem gimnazjum i wstąpiłem do S.S.P. w Katowicach”. Kolejny wyciąg z życia został sporządzony (bez daty) w Łodzi: „[...] Po śmierci ojca matka wyprowadziła się ze mną i bratem na Śląsk [...]. Tam przebywałem do momentu wybuchu wojny. [...] przeniesiono mnie przymusowo do Pszczyny, potem do Krakowa, a z kolei zostałem wysłany do Rzeszy stamtąd wróciłem w [...] 1945. Matka i Brat zginęli w mię-

dzyczasie. W roku 1946 ukończyłem małą maturę oraz zapisałem się do Szkoły Sztuk Plastycznych [...]”. I wreszcie fragment zyciorysu z teczki personalnej Swinarskiego w archiwum warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej: „Po wyzwoleniu matka wraz ze mną przeniosła się do Katowic, gdzie zmarła w październiku 1945 roku, w marcu 1945 r. w wyniku wypadku zginął mój brat”.

W jednym z ostatnich wywiadów zapytano go, czy czuje się uczucio-wo związany z Krakowem, gdzie stworzył najważniejsze spektakle. Zażartował, że najlepiej czuje się w samolocie, kiedy jest się nigdzie. Śmierć w katastrofie lotniczej – kilkanaście kilometrów od lotniska w Damaszku, w podróży do Teheranu – zdarzyła się właściwie nigdzie. Ale chyba naprawdę przyszła do kogoś, kto przedwcześnie zrozumiał, że nigdy nie będzie u siebie.

Karol Swinarski poznał Irmgardę Liczbińską w 1926 w Katowicach. Ojciec Konrada urodził się w Poznaniu, ale ukończył szkołę realną i zdał maturę w Cottbus. Rozpoczął studia rolnicze we Wrocławiu, ale zaliczył jedynie dwa semestry. Osiedlił się i zapewne pracował w Skidzynie pod Oświęcimiem. W 1913 roku otrzymał wezwanie do odbycia jednorocznej służby wojskowej. Do wybuchu I wojny światowej służył w 37 pułku piechoty w Krotoszynie. Jako oficer walczył na froncie zachodnim, między innymi nad Sommą i pod Verdun. Otrzymał wysokie odznaczenia za męstwo, w tym Krzyż Żelazny I i II klasy. Jesienią 1918 Karol Swinarski uczestniczył w powstaniu wielkopolskim. W czasie wojny polsko-radzieckiej dowodził kompanią, później batalionem. Kawaler Virtuti Militari i trzykrotnie Krzyża Walecznych. Pozostał w wojsku, powierzano mu różne zadania organizacyjne, w latach 1925-1927 pracował jako kierownik referatu wykształcenia w departamencie piechoty Ministerstwa Spraw Wojskowych. Do Katowic rzuciły go zapewne jakieś obowiązki służbowe. Irmgarda pracowała prawdopodobnie jako kasjerka w kawiarni „Wiedeńska” przy katowickim Ryнку (dokładnie naprzeciw Teatru Śląskiego). Właścicielem (czy może dzierżawcą) lokalu był ojciec Irmgardy – Franciszek Ksawery. Jej matka, Maria, nie żyła od 1923 roku. Jak ustalił katowicki historyk Jacek Siebiel, Franciszek Liczbiński, uczestnik powstania wielkopolskiego, przywodził z rodziną do Katowic z Wrocławia (gdzie w 1901 urodziła się

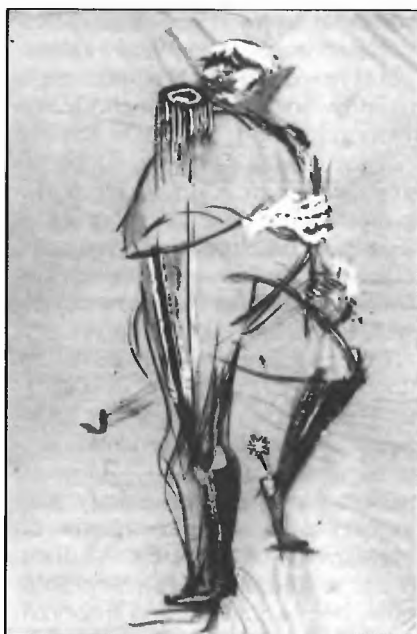


Foto: Muzeum Historii Miasta Katowic

Irmgarda). Był aktywnym działaczem polskich stowarzyszeń, m.in. współzałożycielem Towarzystwa Powstańców i Wojaków (wcześniejszego Związku Uczestników Powstania Wielkopolskiego) w Katowicach i członkiem Kurkowego Bractwa Strzeleckiego. Rodzice Konrada Swinarskiego pobrali się w lutym 1927 roku. W pięć lat później zmarł Franciszek Liczbiński. Dziennikarz „Polonii” zanotował: „Kondukt żałobny prowadził i modły odprawił ks. prałat Szramek”. Proboszcz kościoła Mariackiego wspominał nad grobem Liczbińskiego jego „zasługi dla sprawy narodowej”. Była orkiestra huty „Baildon”, były delegacje stowarzyszeń, było osiem sztandarów. Nie zabrakło poduszki z odznaczeniami zmarłego. Nie wiemy, jakie to odznaczenia. Nie znamy wielu innych faktów. I nie ma żadnych podstaw, aby przyjąć, że matka Konrada Swinarskiego czuła się Niemką. Mimo że w świetle niektórych wspomnień mówić po polsku miał ją nauczyć dopiero mąż.

Henryk, starszy brat Konrada, urodził się w Róźnie, gdzie major Swinarski dowodził batalionem. Tam też przyszły reżyser został ochrzczony, choć przyszedł na świat w Warszawie, zapewne dlatego, że jego matka bezpieczniej czuła się pod opieką stołecznych lekarzy. Po kolejnych awansach, Karolowi Swinarskiemu w 1933 powierzono dowództwo 2 pułku strzelców podhalańskich w Sanoku. Zmarł w dwa lata później, w wieku zaledwie 45 lat.

Po śmierci męża Irmgarda Swinarska kupiła dom w Wieliczce. W czasie wojny była właścicielką rozlewni piwa i wód mineralnych.

Wybrała niemiecką listę narodowościową. I nie zakwestionowano jej orientacji, chociaż była wdową po polskim pułkowniku. Może chciała chronić synów. Może narodowość była dla niej drugorzędna. Podobno po jej aresztowaniu złożono petycję z wieloma podpisami, dowodząc, że w czasie wojny pomagała Polakom. W jej domu miały odbywać się konspiracyjne odprawy żołnierzy Armii Krajowej. Białe plamy, niedostatek konturów. W jakiejś relacji wspomnieniowej Karol Swinarski miał na łożu śmierci nakazać Irmgardzie, aby wychowała synów na dobrych Polaków. Co naprawdę mógł jej nakazać? Jakże to ma znaczenie?

Dwujęzyczność Irmgardy jest oczywista. Dlaczego jednak zapominamy się, że i ojciec Konrada, były oficer pruskiej armii, doskonale władał niemieckim. W Wieliczce w każdym razie Irmgarda zatrudniła nauczycielkę Polkę. Maria Kansy uczyła Henryka i Konrada polskiego, niemieckiego, angielskiego i wszystkiego, co umiała. To matce zawdzięczał Swinarski, że nad formalnym wykształceniem dominowały ciekawość i głód prawdziwej wiedzy. Mało kto wiedział, że najwybitniejszy artysta w powojennym polskim teatrze dopiero w 1972 roku uzyskał dyplom reżysera w warszawskiej PWST.

Najlepszą nauczycielką życia jest podobno historia. Z obozu w Mysłowicach miał wyciągnąć Konrada Mieczysław Cybiński. Później przebywał w Ostrowie Wielkopolskim. Nie zaakceptowano Konrada, nocami czytał, za dnia sypiał. Wrócił do Katowic. Cybińscy mieszkali w kamienicy przy ulicy Zwirki i Wigury 4. Konrad podobno sypiał na połówym łóżku. Mieczysław Cybiński miał zakład i sklep ze sprzętem fotograficznym oraz filmowym na Dyrekcyjnej. Konrad pomagał w sklepie. I zaczął chodzić do szkoły. Przyjęto go klasy III gimnazjalnej Gimnazjum i Liceum Męskiego w Katowicach. Był przeciętnym uczniem. Najlepiej radził sobie z angielskim i „ćwiczeniami cielesnymi”. Skończył czwartą klasę, ale do matury nie przystąpił. Umiejętności z przedmiotu „rysunek” wyceniono na ocenę dostateczną. „W gimnazjum miałem wiele trudności – napisał w liście do przyjaciół rodziny – zaczęli wymagać papierów. Postanowiłem zatem ukończyć jedynie czwartą klasę i wynieść się. [...] Otrzymałem tzw. małą maturę i poszedłem sobie”.

Lata 1945-1947 to niezwykle ciekawy okres w historii Teatru Śląskiego w Katowicach. Bronisław

Dąbrowski wystawił *Wieczór trzech króli* i *Sen nocy letniej* Szekspira. Reżyser Edmund Wierciński i scenograf Andrzej Pronaszkowski przygotowali *Dwa teatry* Szaniawskiego, z legendarną rolą Tadeusza Łomnickiego jako Chłopca z deszczu. Nic nie wiadomo, aby Swinarski, uczeń najbardziej elitarnej szkoły w Katowicach, był w teatrze. Nie wiadomo także, kiedy zaczął fascynować się plastyką. Zrazu to była fascynacja obrazem. W mieszkaniu Cybińskich było wiele aparatów fotograficznych i kamer filmowych. Edward Poloczek wspominał: „Jeździliśmy na niedzielne wycieczki do Paprocana, gdzie znajdował się zabytkowy pałacyk i piękne jezioro. Zabieraliśmy sprzęt filmowy. Pamiętam, że Konrad brał kamerę do ręki i zawsze coś kręcił. Jakieś kwiaty, latające ważki, ale te taśmy już się nie zachowały”.

Swinarski przez rok studiował w katowickiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Później przeniósł się do Sopotu, gdzie po drugim roku uzyskał podyplom, dający prawo do starań o indeks na innych uczelniach. W Łodzi zdał do Wyższej Szkoły Filmowej, ale zdecydował się kształcić na Wydziale Plastyki Sceny przy tamtejszej PWSP. W czasie studiów najważniejsze okazało się spotkanie z Władysławem Strzemińskim, który prowadził wykłady z historii sztuki, prezentując studentom swoją oryginalną teorię widzenia. Strzemiński uważał, że najważniejsze w oglądzie rzeczywistości i jej przekładaniu na dzieło sztuki jest widzenie empiryczne (fizjologiczne). Według tej teorii świadomość wzrokowa malarza ewoluuje, a więc zmienia się też sposób przedstawiania natury. Strzemiński miał duży wpływ na studentów. Jego teoria krążyła w odpisach. Swinarski był jej gorącym zwolennikiem i propagatorem. Przyjaźnił się z Urszulą Broll, która poznała go z Klaudiuszem Jędrusikiem i innymi malarzami, inicjatorami powołania w Katowicach grupy ST-53. Broll podkreślała, że Swinarskiego można uznać za teoretyka grupy. W 1953 i 1954 w prywatnych mieszkaniach odbyły się wystawy malarzy z kręgu ST-53. Swinarski wziął udział w pierwszej z nich, ale w tym czasie malarstwo zeszło już na drugi plan.

W 1951 roku Swinarski zdał na Wydział Reżyserii Dramatu Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. To studiowanie, jak każde inne, wymagało złożenia stosownej dokumentacji o sobie. 24 sierpnia 1951 Wydział Społeczno-

Administracyjny Prezydium MRN w Katowicach wydał zaświadczenie: „Prezydium MRN na podstawie przeprowadzonego dochodzenia stwierdza, że ob. Swinarski Konrad [...] jest sierotą i majątku ruchomego na terenie m. Katowic nie posiada. Pochodzenie socjalne wymienionego jest: inteligencja pracująca”. Sygnował ktoś w zastępstwie kierownika wydziału. Podpis nieczytelny. Historia lubi takie podpisy.

Na egzaminie wstępnym wyceńcono Konrada na ocenę dostateczną. Podkreślono brak wiedzy historycznej i literackiej, zwrócono uwagę na „próby malarskie”. Zapewne podstawą przyjęcia do szkoły były projekty dekoracji i kostiumów do *Pociesznych wykwinłsi* Moliera. W czasie studiów miał wiele problemów. Nie bardzo umiano sprecyzować jego postawę ideologiczną. Nie rokował także najlepiej jako przyszły reżyser. Swinarski asystował m.in. Bohdanowi Korzeniowskiemu w *Zemście*. Korzeniowski sporządził opinię: „[...] przy dużych uzdolnieniach ogólnych niedojrzałość umysłowa i mała odpowiedzialność osobista, spora doza cynizmu pokrywana zewnętrzną układnością”.

Do Katowic przyjeżdżał coraz rzadziej. W liście do Urszuli Broll z czerwca 1954 roku są echa jakiejś awantury z Anetą Cybińską. Ale jeszcze u Cybińskich powstała zapewne (na przełomie 1957 i 1958) część projektów do niezrealizowanej pantomimy *Książdz i karabin* oraz *Opery za trzy grosze* Brechta. Swinarski debiutował inną sztuką Brechta. 30 września 1954 przygotował, jako warsztat reżyserski pod kierunkiem Erwina Axera, *Karabiny matki Carrara*. Spektakl zagrano w Teatrze Nowej Warszawy i trans-

mitowano przez telewizję. Wcześniej zrealizował wersję radiową tej samej sztuki. Jak zauważyła Joanna Walaszek, tytułowa bohaterka „[...] nie pozwala synom włączyć się do walki o sprawę, którą uważa za słuszną. Lęka się o ich życie, życie, które w walce stracił ich ojciec, jej mąż. Gdyby nie optymistyczne zakończenie związane z agitacyjnym charakterem dramatu, sztuka mogłaby być prawie tragedią. Wydaje się, że Swinarski od razu, w pierwszym swoim przedstawieniu, w sposób porażająco bezpośredni, próbował uporać się z najbardziej go dręczącymi problemami”.

Jeszcze przed swym debiutem Swinarski pisał w liście do Urszuli Broll o jakiejś możliwości pracy w Teatrze Zagłębia. Nic z tego nie wyszło. W 1955 roku reżyseruje w Kaliszu *Żeglarza Szaniawskiego*, a dla telewizji przygotowuje *Wyjtek i regułę* Brechta. 1 listopada wyjeżdża na staż reżyserski do Berliner Ensemble. Po powrocie jakiś czas widziano w nim ucznia Brechta, ale to nie miało żadnego znaczenia. Już żadne etykiety nie były ważne. Katowicki epizod w biografii Swinarskiego trwał niespełna dwa i pół roku. Po jego śmierci pisano o geniuszu i o teatrze integralnego człowieczeństwa. Ale może najbardziej sensowne było przypomnienie tego, co powiedział w 1967 roku: „Nie mam nadziei zbawiać ani leczyć świata jak wielu przy pomocy gotowej recepty teatralnej. Wypowiadam się we własnym imieniu”.

Według świadectwa nieżyjącego już Edwarda Poloczka, Konrad Swinarski był autorem kilkuminutowego filmu, nakręconego w 1947 na ślubie państwa Poloczaków. W tym samym kościele dwadzieścia lat wcześniej wzięli ślub Karol Swinarski i Irmgarda Liczbińska. Jeden kadr w filmie Konrada pojawiał się dwa razy: dotycząca nieba iglica wieży kościoła Mariackiego w Katowicach. Otwieram *Do Damaszku* Strindberga. ... „Los knuje spisek [...]”. Zawsze.

17 października 2005 roku w Muzeum Historii Miasta Katowic odbyła się sesja naukowa pod hasłem „Swinarski dzisiaj”. Wykłady wygłosili: mgr Anna Litak (Muzeum Starego Teatru), Wojciech Szulczyński (reżyser, asystent Konrada Swinarskiego), dr Ewa Dąbek-Derda (Uniwersytet Śląski). Na zakończenie spotkano się z wybitnymi aktorami i współpracownikami Konrada Swinarskiego.



Foto: Muzeum Historii Miasta Katowic

Przez ostatnich kilka lat zastanawiam się nad taką właśnie rolą poezji. Z poczynionych obserwacji wynika jednoznacznie i niezbicie – nie są to sporadyczne i odosobnione przypadki – mowa wiązana, taką właśnie właściwość posiada. Jest przecież, poprzez swą możliwość kreacji, środkiem do poznania i wyrażania siebie. Nawet nauka przyznaje poezji funkcję poznawczą, choć nie ma ona charakteru naukowego. Sytuuje się raczej w sferze estetyczno-psychicznej, a nie na polu naukowego dowodu. Nie zmienia to jednak faktu jej możliwości wypełniania bez reszty wnętrza człowieka, budowania idealnego, wewnętrznego świata, gdy łamią się przyjęte konwencje i moralne struktury. Właśnie wtedy objawia leczniczą moc, daje możliwość opierania się chaosowi, sklejania rozprzęgającej się osobowości, pomaga się odnaleźć i żyć.

Chcę wyjść od takiego przypadku, który dowodzi, że powyższe sugestie nie są zawieszone w próżni. Chciałbym nadać wywodom pewną wartość – myślę o zwartości czasowej – dlatego wychodzę od poety współczesnego choć nieżyjącego, a mianowicie od J. Brodzkiego. Zaczynam moich rozważań jest biograficzny, szeroko udokumentowany fakt z jego życia. Poeta ma 23 lata, gdy staje w fabrycznej świetlicy przed sądem. Nad wejściem wisi transparent: „Sąd nad pasożytem Brodzkim”. Sam, samiuteńki przed totalitarną machiną wielkiego mocarstwa. Jednak z tego marazmu się podniósł, kilkanaście lat później został noblistą. Jestem pewien, że pomogła mu poezja. A. Camus nazywa takie działanie „zastępstwem Boga” a polski psychiatra i filozof K. Dąbrowski (również poeta) „dezintegracją pozytywną”. Ten bardzo młody wówczas człowiek, znalazł w sobie tak wielką siłę. Tliło się w nim wielkie przekonanie o słuszności własnych racji, potrzeba wypowiedzenia tych racji dała taką siłę. Dzięki tym faktom, wielki poeta stał się symbolem, dowodem niezniszczalności człowieka, który miał w sobie tak wielką moc twórczą.

Uważam tę kreatywną moc poezji za uzdrawiającą. Na poparcie tego przekonania można znaleźć wiele jeszcze przykładów. Julia Hartwig, we wstępie do swojego wyboru wierszy w serii „Złota kolekcja poezji polskiej”, rozważając, psychiatryczne zawirowania poetów (m.in. Rimbauda i Nerwała) w konkluzji pisze: *Wszyscy ci wspinali osobnicy o wielkich nazwiskach poetyckich uchodzić by mogli z punktu zdrowia psychicznego za podejrzanych. A przecież ich twórczość, wykraczająca poza granice piękna, przyczynia się do poszerzenia znajomości świata i człowieka.*

Słowa godne uwagi, napisała je przecież poetka znana i uznana. Wzięła je z własnych doświadczeń, przemysleń, przede wszystkim z poetyckich peregrinacji. Mocno świeci w tych słowach przekonanie, że twórczość czasem w wątpliwościach i zachwianiu, potrafi postawić na nogi. Idźmy dalej w tych poszukiwaniach, próbując znaleźć dalsze poparcie dla prowadzonych rozważań. Łatwo je można wyszukać w wielu źródłach. Wziąłem jednak tekst z książeczki L. Szarugi wydanej przez Oficynę Literacką pt. „Klucz od przepaści”. Książeczka jest ma-

dra, a autor to wybitny krytyk i teoretyk literatury (także poeta). W rozdziale kończącym książkę: „Podstępny sztuki (Pytania do poezji najnowszej)” pisarz twierdzi: *Poezja przeciwstawia ideał doskonałości nieladowi rzeczywistości. I, myślę, sens jej istnienia na tym właśnie polega: na równoważeniu entropii, na utrzymywaniu stanu skupienia wbrew Obiektywnym Prawom Natury. Nie chodzi w końcu o „idiotyzm doskonałości”, cyzelatorstwo formalne (takie rozumienie klasycyzmu jest zresztą dość naiwne i płaskie), ale o przeciwstawianie formy chaosowi – formy zmiennej, wyczulonej na zmienny rytm rzeczywistości, która jest tym, co jest doświadczalne, lecz niekoniecznie poznawalne.* Może na tym polega lecznicza moc poezji, że „przeciwstawia ideał doskonałości” „nieladowi rzeczywistości”. Szaruga mówi jakby pośrednio, że poeci w słowie, w kreacji „swego świata” znajdują pewne ocalenie, niejako powrót do realiów (często dla nich nieprzychylnych) w codzienności.

Terapeutyczna rola poezji

A co na to wybitny psychiatra A. Kępiński – *Postawa 'artystyczna' jest postawą wolności, w tym sensie, że szuka się w niej wypowiedzenia tego, co w nas jest najbardziej indywidualne i spontaniczne, a tym samym zrzucenia z siebie uwierających masek i więzów.* To w „Rytmie życia” str. 160, Kraków 1973. Nie trzeba tu komentarza szerszego. Logiczne to przecież, że po zrzuceniu balastu sztuczności i zakłamania, jesteśmy wyzwoleni, uśmiechamy się, oddychamy pełną piersią, jesteśmy lepsi i bliżsi życia. Światowej sławy lekarz potwierdza tutaj uzdrawiającą rolę twórczości, a więc poezji również. W wielu swoich naukowych dezyderatach, ten słynny psychiatra zauważa często i udokumentowane związki schizofreników z poezją. Może tracąc realny kontakt ze światem, w poezji – intuicyjnie i podświadomie – szukają powrotu do realnego świata. Zagadnienia te, nie zawsze przecież do końca poznane, pozostają wielokrotnie i w dalszym ciągu w sferze domysłów i przypuszczeń. Bo filozof światowego formatu C. G. Jung głosi w „Archetypach i symbolach” (Czytelnik 1976) taką opinię: *tajemnica twórczości, podobnie jak wolność woli jest problemem transcendentnym, którego psychologia nie może rozwiązać, może go tylko opisać. Podobnie jak twórca jest zagadką, której rozwiązania szukamy na wiele sposobów, ale zawsze nadaremnie.* Człowiek tworząc szuka swojej wartości, podświadomie (tak sądzę) przeze do konfrontacji z uznanymi autorytetami, stając jakby do zawodów, które mogą go nobilitować, ale i pograżyć. To ta strona natury ludzkiej, czyniąca nas wiecznymi wojownikami, świadcząca dobrze o człowieczej nieograniczoności. Potwierdza taki ogłód czło-

wieka R. Ingarden, gdy w „Książeczce o człowieku” WL Kraków 1998 (rozdział „O naturze ludzkiej”) wyraża pogląd: *Natura ludzka polega na nieustannym wysiłku przekraczania granic zwierzęcości tkwiącej w człowieku i wyrastania ponad nią człowieczeństwem i rolą człowieka jako twórcy wartości.* Ingarden bardzo bliski jest człowiekowi, jego fenomenologia bardzo często o twórczości traktuje. Zajmując się tym zagadnieniem kiedyś bliżej, pamiętam jego pogląd: „twórczość uzyskuje wartość estetyczną w psychice odbiorcy, tyle jest tych wartości ilu odbiorców”. Nie jestem pewien dokładności cytatu, jednak sens na pewno był taki. Jest oczywiste, że filozof myśli tutaj o subiektywnie ocen, o szerokiej gradacji ludzkich gustów. Jest tu również pewna szansa dla tych twórców, którzy piszą bardziej hermetycznie, w sposób mniej klarowny, ale ich poezja posiada pewną rangę.

Wielokrotnie obserwowałem osobiście, gdy ludzie często zagubieni, zachwiani i rozkojarzeni znajdowali w poezji swój azyl. Możliwość wyrażenia siebie, wewnętrznego spenetrowania swej osobowości, kreowania jej według własnej koncepcji – nie tylko stawiała ich na nogi, przywracała siły i pozwalała trwać – ale dawała również nowe siły, szczególnie wtedy, gdy się udawało, byli drukowani, lub wzbudzili zainteresowanie czy przychylną dla swej twórczości. Myślę – człowiek wątpiący i poszukujący – gdy straci wiarę w świat i życie, właśnie w poezji, dzięki jej szczególnym właściwościom w literaturze, jej możliwościom (myślę tu o własnym i odrębnym widzeniu świata) metafizycznym i transcendentnym tę wiarę odzyskuje lub daje mu ona możliwość jakby „powstawania na nowo”. Wkracza w ten odkryty świat z nową wiarą i nadzieją. Liczy, że tam znajdzie poszukiwane wartości, a jeśli ich tam nie będzie, będzie je tworzył sam. Zyskuje w ten sposób jakby „drugą osobowość”, w której ma nadzieję znaleźć satysfakcję i spełnienie. Te moje wywody, nie mające przecież takiej rangi jak przytoczone wyżej poglądy i uwagi ludzi o znanych nazwiskach, są obserwacjami z życia, ale ze względów oczywistych nie mogą być poparte personalnie.

Chcąc uzyskać szerszy obraz poruszającego tutaj zagadnienia, zapytałem bezpośrednio na spotkaniu w kwietniu 2005 – Scena Kameralna Teatru Śląskiego – znane antropozofa i gnostyka Jerzego Prokopiuka, co sądzi o takiej właśnie roli poezji. Wywód był chyba dziesięćminutowy, umotywowany, o konkluzji: „rola taka jest niewątpliwa, gdyż dowartościowanie człowieka, nadaje mu nowy wymiar, z uprzednim założeniem, iż mamy do czynienia z człowiekiem poszukującym wartości, a nie z jakąś metodą leczenia konkretnych schorzeń”. Oczywiście, rozpatrując całe zagadnienie, nie myślę o poezji jako o metodzie leczenia, mającej już w medycynie odpowiednią rangę (czy w ogóle jakąkolwiek rangę), ale pragnę tylko zasygnalizować, że taka jej rola jest możliwa. Trzeba by ją rozpatrywać jako jeden z aspektów psychologii, jako część składową twórczości w ogóle.

JERZY LUCJAN WOŹNIAK

Na polskim rynku najsilniejszym operatorem kin wielosalowych jest izraelska firma Cinema City International (CCI), która posiada 12 kin. CCI zamierza zainwestować około 100 mln USD w ciągu 4 lat, do 2006 roku wybuduje 9 nowych kin. Mocną pozycję ma także amerykańska sieć Silver Screen, „Multikino” oraz Centrum Filmowe „Helios”, mające 11 kin.

Wśród dystrybutorów filmów najbardziej liczy się Syrena Entertainment Group, UIP, ITI, Warner Bros i Yision.

Słucham, kino

WIESŁAW
KOSTERSKI

To kino było tutaj zawsze, wtopione w róg Warszawskiej i 3 Maja, nieopodal tak zwanej patelni, dzisiaj centralnego placu Sosnowca z pomnikiem Jana Kiepury. Lada miesiąc dokona żywota. Nie będzie więc happy endu, jak w klasycznej operze mydlanej, będzie raczej dramat, jak w klasycznym dreszczowcu.

Zakładając, że na premierowy seans *Królestwa niebieskiego* trzeba zarezerwować bilety, dzwonię do „Muzy”.

– Słucham, kino – słyszę w słuchawce mocny męski głos i odpowiedź, że rezerwacji dokonywać nie muszę, bo nie ma takiej potrzeby. – Ostatni raz zabrakło u nas biletów czterdzieści pięć lat temu, na *Krzyżaków*.

Rozmowa schodzi na temat *Królestwa niebieskiego*. – Może to nie jest najlepszy film Ridleya Scotta, ale z pewnością warto go obejrzeć. Wymaga pewnego przygotowania i wiedzy historycznej – argumentuje rozmówca. W żadnym multikinie tak o premierze pogadać się nie da, tam podają numer rezerwacji, i tyle.

Prywatyzacja, jak w całym województwie śląskim, zawitała do „Muzy” na początku lat 90. Wtedy większość dużych kin przeszła w prywatne ręce. „Muza” miała przerosty zatrudnienia – na etatach było 20 osób. Trzeba więc było najpierw załatwić sprawy pracownicze. Przedłużyło to prywatyzację, która ostatecznie dokonała się w maju 1991 roku. Jak kino przeszło na własny rozrachunek, pracowało w nim 12 osób. Teraz zatrudnia dwóch pracowników.

Początek był obiecujący. Jednak z czasem tam, gdzie miały wyrosnąć poziomki, zaczęły wyrastać chwasty.

Narastające kłopoty przerwał rok 1999, jeszcze dla kina bardzo dobry. Było sporo głośniejszych tytułów. Właściwie był to rok polskich filmów. Na ekranach mieliśmy *Pana Tadeusza* i *Ogniem i mieczem*. „Muza” wspięła się na szczyt, mając ponad 200 tys. widzów. Ale rok 2000 był pierwszym sygnałem ostrzegawczym, że kończy się tendencja wzrostowa. Spadek liczby widzów był bardzo odczuwalny – do 110 tysięcy. Tłumaczono, że słabe filmy są tego przyczyną.

Potem zrobiło się nawet lepiej. Wszedł *Władca pierścieni*, *Harry Potter* i *Quo vadis*. Głośnie tytuły ściągnęły widzów. Wzrosła frekwencja, ale już nie tak wysoko jak w znakomitym 1999 roku. Na rynku tymczasem zaczęło się robić coraz ciasniej. Konfitury zważyły na ziemię obiecaną głodną sukcesu konkurencję.

2001 rok przyniósł oto początek inwazji kin wielosalowych. Pierwszy multiplex – „Cinema City” – ruszył w Katowicach. Nie była to jeszcze konkurencja decydująca. Gorzej dla „Muzy” zrobiło się

w grudniu 2003 roku, kiedy w rywalizację wdarł się „Helios”, usytuowany w „Altusie” w centrum Katowic.

Kina jednosalowe dopadł kryzys. Nie byłby on jednak gwałtowny, gdyby na rynku dystrybucyjnym panowały przejrzyste, jasne reguły. Ale ich nie ma. Wraz z wejściem multipleksów zaczęły się bowiem trudności z dostępem do filmów premierowych. Część dystrybutorów zdecydowała, że lepiej jest dać do multiplexu drugą kopię, niż tę samą kopię dostarczyć do kina jednosalowego.

– Wystarczy spojrzeć na gazetowy repertuar multipleksów. Z samego układu godzin można się zorientować, że „Cinema City” i „Helios” mają po dwie kopie danego tytułu, a nasze kino nie ma w ogóle filmu premierowego – mówi kierownik „Muzy” Władysław Pilarz. – Tak było niedawno, kiedy wchodził film rodzinny *Madagaskar*, budzący wielkie zainteresowanie. Tam były dwie kopie, u nas ani jednej.

To z panem Pilarzem rozmawiałem telefonicznie o *Królestwie niebieskim*. Teraz gawędzimy o „Muzie”, sztuce filmowej, rynku, pieniądzach... Co więc nowego? Dużo!

Rynek kinowy wyprąta z barw ochronnych klasyczna komercja. Firmy dystrybucyjne, mające spore wpływy i szereg atrakcyjnych tytułów, postanowiły postawić krzyżyk na kinach jednosalowych. Nie chcą z nimi współpracować. Króluje uznaniowość i jedno kryterium – zysk. A ten – i to dużo większy – zapewniają oczywiście multipleksy.

Tytuły premierowe wchodzi więc do „Muzy” z opóźnieniem czterech, pięciu tygodni. Grane są w drugim rzucie, a jak się już trafi jakaś premiera, to nie jest to jednak najgłośniejszy film.

Rachunek jest prosty: „Muza” ma 570 miejsc i może wyświetlać dwa, góra trzy tytuły dziennie. Maksymalnie kilka tygodni, bo w kolejce czekają następne filmy. Multiplexs ma miążdzącą przewagę – może pokazać wielokrotnie więcej, jakieś 10 tytułów jednocześnie i to przez kilka miesięcy.

W wakacje weszła *Wojna światów* i „Muza” musiała obejść się smakiem. *Karol – człowiek, który został papieżem* mimo, że grany był po dwóch tygodniach od premiery, miał dużą frekwencję. Przychodzili – co ciekawe – głównie ludzie starsi, młodych widzów

było niewielu, osób w średnim wieku prawie wcale.

Ten rok jest znowu słaby, to rok rozczarowań. Widzowie i krytycy zwykle oczekują od wielkich twórców hollywoodzkich samych szlagierów. Ale ich nie było. Zaczęło się od wpadki Olivera Stone'a, którego *Aleksander* został uznany za największą klapę dziesięciolecia. *Królestwu niebieskiemu* też czegoś zabrakło, chyba dobrej obsady. A Ridley Scott zrobił przecież *Gladiatora*, tyle jednak, że *Gladiator* obronił się główną rolą charyzmatycznego Russella Crowe.

Frekwencja zrobiła się tak niska, że „Muza” nie pokrywa kosztów wyświetlania. Pracuje na stratach, które od lipca 2004 roku do czerwca tego roku wyniosły około 130 tys. zł. W kwietniu była kompletna klapa. Właściwie tak źle jeszcze tu nie było. Sala opustoszała, prawdopodobnie z powodu rekolekcji związanych ze śmiercią Ojca Świętego Jana Pawła II. Właściciel utrzymuje kino od roku z własnych oszczędności.

– Czemu Pan go nie zamknie? – pytam.

– To kwestia honoru. Chcę doprowadzić „Mużę” do czasu, kiedy ruszy „Helios”, by Sosnowiec nie był bez kina.

Kamienica, w której mieści się „Muza” jest własnością miasta. I miasto otrzymuje czynsz co miesiąc. Do stycznia tego roku była to kwota 7,5 tys. zł, po obniżce – 5,5 tys. zł. Pilarz zamierzał wystąpić o całkowite zwolnienie z czynszu, bo w końcu – jak mówi – zabraknie mu gotówki.

– Z *Krzyżakami* trochę przesadziłem – przyznaje. – Rezerwacje mieliśmy także na inne filmy. W zeszłym roku choćby zabrakło biletów w Walentynki, na dwa seanse wieczorne *Nigdy w życiu*. Wcześniej podobnie było z miejscami na *Ogniem i mieczem*, *Titanikiem*.

To już chyba było ostatnie lato „Muzy” i – zdaje się nieodwracalnie – niebawem odbędzie się tu ostatni seans filmowy. Ale Sosnowiec może mieć dwa kina. W budowie jest „Helios”, powstaje w centrum miasta między Modrzewską i Małachowskiego. Ma być gotowy w grudniu tego roku. Budowę rozpoczęła też firma Plaža Centers, która podobnie jak w Rudzie Śląskiej zamierza postawić coś na wzór galerii rozrywki i handlu, gdzie jest również kino.



Zbliża się ostatni seans filmowy.

Czy multipleksy sobie poradzą, skoro „Muza” upadła? Jak będą mieć premiery, a wszystko za tym przemawia, to raczej tak. Rynek Sosnowca i okolicznych miast (Dąbrowa Górnicza i Czeladź nie mają kina, w Będzinie były problemy) obliczany jest na jakieś 300 do 350 tys. widzów rocznie. To w sam raz na jeden multipleks. Jeśli będą dwa, będzie między nimi żartowa walka. Widzowie pewnie się ucieszą, bo starcie gigantów powinno przynieść spadek ceny biletów. Oby.

Przyszłość kina rysująca się wyłącznie w postaci multipleksów, to jednak trochę film grozy. Wielu kinomanów czuje się w nich jak w barze szybkiej obsługi. Popcorn, chrupki, coca-cola, siorbanie. „Muza” nie wprowadziła bufetu, by widzowie mieli spokój. I traci na tym, bo są kina, gdzie wpływy z bufetu sięgają 30 procent całych wpływów. A i tak zdarza się, że ktoś przyniesie wałówkę i robi sobie kolację podczas seansu.

Do „Muzy” przestały przychodzić sosnowieckie szkoły. Wolą jeździć do multipleksów do Katowic. Z filmu uczniowie wynoszą niewiele. Film stał się tylko dodatkiem do kręgielni, gier automatycznych, ruchomych schodów.

Multipleksy kreują kiepski styl bycia. Kino przestało być miejscem strawy duchowej, gdzie coś się przeżywa i czegoś się oczekuje. Stało się takim samym miejscem jak pub z piwem i frytkami, gdzie publika siada przed telewizorem, by na pełnym luzie obejrzeć transmisję z meczu piłkar-

skiego. Kulturę filmu zastąpiła kultura popcornu.

– Wierzę, że to przeminie – mówi Pilarz. – Tylko trzeba na to czasu.

Kina jednosalowe, by przetrwać i wyjść na swoje, muszą mieć odpowiedni standard. Klimatyzację, wygodne fotele, dobry ekran, świetny dźwięk, nowoczesny projektor w kabinie. Samym filmem za wiele nie zwojują. Widzowie zdecydują, czy pójść do takiego kina, gdzie jest spokojnie i kameralnie, czy do multipleksu, gdzie odpoczywa się w tłumie.

Co z „Mużą”? Na szczęście nie zostanie przekształcona w knajpę albo market. Władzom miejskim marzy się wielofunkcyjna sala widowiskowo-koncertowa. Ruszyły prace przygotowawcze, gotowa jest inwentaryzacja architektoniczna. Przebudowa rozpocząć się ma na początku 2006 roku.

W II Rzeczypospolitej Sosnowiec miał dwa kina – „Żagłębie” i „Roxy”. „Żagłębie” mieściło się w kamienicy przy ul. 3 Maja, istniało od 1919 roku. Potem nastąpiła nieoczekiwana zamiana miejsc – kamienicę z kinem i sąsiednie budynki wyburzono i wybudowano dom handlowy „Sesam”.

Drugie kino powstało w latach 30., nosiło nazwę „Roxy”. Zajęło budynek, w którym jeszcze na początku XX wieku była wozownia, stajnia, konie. Słowem, przedsiębiorstwo przewozowe. Kamienicę przebudowano i tak przetrwała do dzisiaj. Po wojnie nowe czasy przechrzciły „Roxy” na „Nowe Pokolenie”. Obecna nazwa „Muza” pojawiła się pod koniec lat 50.

BARTŁOMIEJ MAJZEL

oto zadra-w której mam upodobanie

zamrożony w tej części europy
jestem ciągle podobny do ojców wędrownych.
którzy hulaki spine. ale melancholią
i pustą godziną poranka hojnie mnie obdarowali.

bo ty jesteś kryształ.
krzyżem na południe leżąc prosto w słońce.
ja żrenica zszyta, wypchnięta ze środka.

ty kryształ we mnie świecisz na ostrzu jeziora.
bo i bez ciebie nic w nas nie żyje pełniej niż my sami.
porośnięci jesteśmy włosami co w lodówce gniją
splęniałe i nadpsute.
lecz mimo wszystko większe niż całe zniszczenie
którym odbija się moim leśnym braciom i siostram.

zamrożony do rana. bo potem odpływam.
wiem już doskonale jak więdną liście twarzy.
wkrótce nas zabraknie.

zamrożony w tej chwili która nie nadejdzie.
zastygły jak bursztyn tuż koło lodówki
w której zbierają się robaki i białe jogurty.
wędrowałem dziwacznie na linie ostrej jak jęk.
chłodząc te ciała co w naglej gorączce
ujrzały przestworza.

niepodzielne królestwo objęło całą okolicę.

więc śpiewałem i wyłem między jogurtami.



Rys. Wojtek Łuka

**biała zasłona zwisająca z jej
pogiętej twarzy-za zasłoną pleśń**

znowu jesteś jak korona ziemi. ale brakuje ci przeszłości.
słowiańskim liściom nie. no nieeccc.
bo liście wypłynęły z ukrycia
w którym budowały długą mitologię zieleni.
tkwały okręty i rodziły dzieci.
rozbierały się lekko nad przepaścią.
a miłość była ciasna i odwracała uwagę od śmierci.

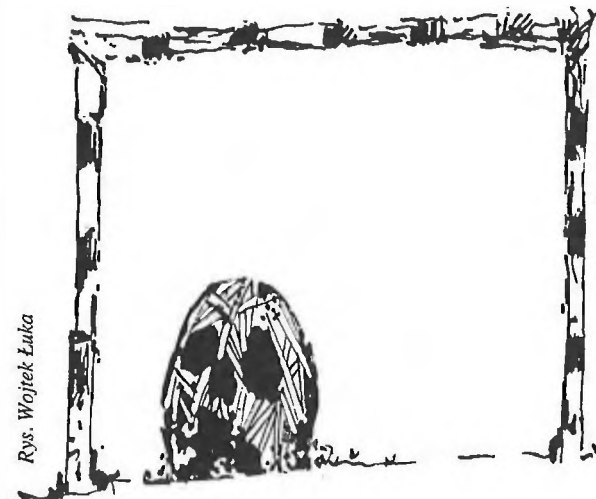
*jednak widzę ich jak wyrastają z ziemi.
i przypominają motyle.*

dotknij ściany a znieruchomiesz na wieki.
ciało jest miękkie. smaczne.
to tylko drzewa bartku. nie powtarzaj bredni
że szepczesz im do ucha
historię wzruszenia.

wszystkie liście na wietrze idą do nieba.
zakwita jednak nocą gwiazda ciał.
martwe kobiety stają się ważniejsze od kobiet żyjących.
oj żal tych piersi słowiańskich co kusily podróżnych
na progu dorodnymi zbiorami ziół.
teraz biel ich powiek i sine podbródki
to dla nas pamiątka zaślubin z ojcami.

trzymasz tę koronę ziemi w dłoniach obcych.
ale brak ci soczystego owocu w którym żyjesz mocniej.
poruszył zwłoki pajace przestworza i nic.

więc rekonstruuje tę historię plemion. stada martwych ciał.
odtwarza kawałki świata który zniknął już na dobre.
nocami odkrywa krainy w których dotyka miękkich kości.
ciepłe groby są wspólne.
w grobach leżą słowa.
w takim razie tygodniami chodzi na pogrzeby
wskrzeszając.
nasze umarłe piękno już go nie dotyczy.



Rys. Wojtek Łuka

umarły opuszcza port-w pośpiechu

nie hoduje. wyrwa razem z korzeniami.
niszczy najpiękniejsze.
i raptem staje się jasnym punktem widnokregu.

odcina linę. gryzie mosty.
pisze książkę okrutną.
pogańsko i soczyście nasączoną Bogiem.
popija każdą rzekę. jest już odwrócony
w stronę innego nieba i drobiazgami nie żyje.
nie żyje?

nocami wsłuchuje się w odgłosy zwierząt.
słucha ich jak logicznie skomponowanej partytury.
która wytacza mu rytm wschodów i zachodów.
wpatruje się w pływające w kawie cudze włosy.

i nie może zrozumieć.
że te zwierzęta
to oni – ukochani.
przedłużenie papilarnych linii jego słodkich dłoni.
szczekali jednak wytrwale.

*podobno stałaś się znowu ofiarą.
ponoć mówili ci to co chciałaś usłyszeć.
czy to prawda że nocami tulisz obce ręce by włożyć je w świat?
czy tym uniesieniu możesz wskazać moment
od którego przestało ci zależeć na czymkolwiek?*

umarły otrzepuje się z pyłu rosy gwiazd.
a kiedy pisze nasiona rozsypują się wokół niego.
wkrótce otacza go bujny i bezżębny las.
mimo wszystko stawia kolejne kropki.
świat się znów powieła.

umarły pije-póki szkło nie wyschnie -potem się śmieje jak jeszcze nigdy w życiu

*czy nasze święte myśli są przeładowane?
wypełnione jak jabłka tłustymi robotami?
kto wie niech słowem nie piśnie.
bo ja chcę byćście zamilkli!*

*ja już nie szepnę w waszą stronę. nic.
bo chcę byćście byli głęboki ocean
do tańca i do rozkochania.
jednak do umierania prowadź mnie delikatnie
jak na spotkanie ze wschodzącym słońcem.*

*nie proszę o nic więcej. bo o nic nie proszę.
i tylko snem wykładam twoje własne morze. ale co to za sen
skoro tak wyśniony upodabnia się do innych martwych?
co to za noc która znosi na brzeg odbłask wschodów słońca?
albo pocałunek po którym pozostaje pragnienie języka?*

*wnętrze kwiatu kielicha powoli się domyka.
i charczy w moim ciełe.*

*chciałaś abym „aniele” mówił kiedy zasnę.
ukrył się jednak we mnie ów stary ocean.
więc w aniele nie znalazłem nawet znaku życia.*

*lecz płynąc po omacku w zdrzutanej łodzi
wyrzucamy z ulgą ostatnie drobniaki.
łajba już się przechyla. napęlnia się
liśćmi i wywozi nas w czułość.
gdzie? – kto zna drogę – ma u mnie wódkę i chleb.
nie wiedząc w którym niebie bije dzwon
przestajemy w końcu układać się ze światem.*

żadnych konszachtów z wrogiem. przegrani biorą serce.

no pomyśl jakże piękne i dojrzałe bywa wówczas życie.

umarły podąża do źródeł – jednak po drodze pochłania go dym

hej wychodzimy!

pomóżcie mi najmiłsi wyczyścić blaty
zardzewiałych stołów.
wyrzeć tłustą podłogę. zdrapać paznokciami
pleśń która się przykleiła
do szafy i przywarła do włosów do bluzek i rąk.
pomóżcie mi wymazać
stare portrety. guziki. pogryzione płaszcze.
stłuczone lusterka.

wysuszone robaki spadają nogami w górę
niczym pestki śliwek.
chodzimy po nich w ciszy jak po suchych szyszkach.

*bo śmierć wymaga skupienia.
mówię to po cichu wyciągając
po omacku trefne karty i oto patrz:
mokradła konają na naszych ramionach osłabione.
samoloty wygodne. kołują nad dziurą.
przyjeżdżajcie!*

to dobrze że umarli. nie byłoby teraz tych ulic
szyldów pamiątek.
zgliszcza? szepnął szeleszcząc zgłiszczami.
mamo pomóż nam odjechać bez słowa.
mokradła opadły miękko na planetach.

jednak liczymy się z życiem.
bowiem jak zapisano: trzeba odbić w błękicie
swoją żywą twarz.

hej gwiazdy odchodzimy!

chłopaki grali mecz.
byliśmy z nimi przez ten wredny czas.
ktoś zapytał o wynik.
remis powiedziałem
choć wygrywamy.
a do bramki wpadło porażone światło

Na okładce tej potężnej książki, którą trudno utrzymać w jednej dłoni, słynne zdjęcie związanego z Gliwicami Jerzego Lewczyńskiego. Robociarz o spracowanych i brudnych rękach zasłania twarz łopatą. Oto portret typowego, wręcz klasycznego przedstawiciela „przodującej klasy”. Ironiczny, gorzki, metaforyczny, jakże odmienny od tego, jakim epatowano na plakatach i obrazach z lat 50. To programowa ucieczka od pęt, jaki narzucili artystom pracodawcy socrealizmu. Miło i przyjemnie, gdy pomyśli się, że takie manifestacje twórcze, jedne z pierwszych w kraju, powstawały u nas, na Górnym Śląsku. Teraz, po ukazaniu się zbiorowej pracy *Katowicki underground artystyczny po 1953 roku*, będziemy o tych faktach lepiej pamiętać.

Księga ta może też stanowić odtrutkę na kompleks prowincjonalizmu, na jaki cierpi ten region. Okazuje się, że nie zawsze i nie w każdym przypadku byliśmy naśladowcami tudzież dworakami oficjalnej ideologii. Górny Śląsk jawi się tu jako przestrzeń, w której wykrajano rewiry wolności, getta niezależności i swobody twórczej. Po latach warto do tych tradycji nawiązywać, podnosić je, by ostatecznie uznać, że nawet w Stalinogrodzie czy Katowicach Gierka i Grudnia rodziły się inicjatywy niezależne. Taki epitet jest uprątomocniony, nawet jeśli uznamy, że cele polityczne były skrywane bądź świadomie odsuwane na plan drugi. Wyzucie dzieła z obciążeń i zobowiązań, jakie narzucali akademicy i urzędnicy od kultury, już samo w sobie stanowiło wyzwanie i prowokację. Ta wartość jest do odczytania także dzisiaj, choć tak wiele się wokół nas zmieniło.

Księgę poprzedziła wystawa pod tym samym tytułem. Otwarta była pod koniec roku 2003. Na tych lamach szeroko o niej pisaliśmy. Tutaj Janusz Zagrodzki, komisarz wystawy, zamieścił obszerny szkic wprowadzający. Zatytułował go *Katowicki Underground. Od Strzezińskiego do Bellmera*. Oba nazwiska są nieprzypadkowo zestawione. Władysław Strzeziński i jego *Teoria widzenia* stanowiły punkt wyjścia i oparcia dla młodych katowickich (stalinogrodzkich!) artystów, którzy utworzyli Grupę St-53. Głównym ideologiem był Konrad Swinarski, zafascynowany osobowością profesora Strzezińskiego. To on podsuwał swym katowickim przyjaciółom lektury, prowokował spotkania i dyskusje. Później rolę głównego mentora przejął Kładiusz Jędrusik, przez długie lata ortodoksyjnie – jak twierdzą niektórzy – trzymał się zasad unizmu, szukał teoretycznego i artystycznego potwierdzenia teorii widzenia Strzezińskiego. Urszula Broll zaś szybko wyrosła na silną oso-



Katowicki underground artystyczny po 1953 roku. Redakcja: Janusz Zagrodzki. Opracowanie: Stanisław Ruksza. Galeria Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach. Katowice 2004, s. 479.

Niepokorni, niezależni, inni

bowość twórczą i czołową postać w Grupie.

A skąd nazwisko Hansa Bellmera? Nie odnosi się ono – rzecz jasna – do katowickich epizodów z życia tego niemieckiego surrealisty, a raczej lat znacznie późniejszych, gdy niejako „odkrył” go dla Katowic i tutejszych środowisk artystycznych Andrzej Urbanowicz. To również trop, który wiedzie w stronę sztuki niepokornej, prowokacyjnej, a nade wszystko – wchodzącej w głąb człowieka, traktowanego jako istota wolna, ale i tajemnicza dla samej siebie. Jesteśmy już zatem blisko kręgu grupy Oneiron. Mamy połowę lat 60. Pojawia się – obok Broll i Urbanowicza – Henryk Waniek, także Antoni Halor i Zygmunt Stuchlik. Obok zaś – krytycy (np. Andrzej Kostołowski), poeci (np. Ryszard Krynicki i Jarosław Markiewicz), filozofowie i badacze gnozy (np. Jerzy Prokopiuk), a także wielu innych artystów, których późniejszego dorobku lekceważyć nie można (np. Norbert Witek czy Zygmunt Lis). Ta epoka łagodnie i naturalnie przechodzi w czas kontrkultury, bliskich związków z filozofią Wschodu, katowicką grupą buddystów.

Katowicki underground artystyczny zawiera materiały rozmaitej wartości, znaczenia i nośności. Jedne mają charakter dokumentów, świadectw historii. Inne – analiz, szkiców i wspomnień. Jedne są przedrukowane z wielu rozproszonych źródeł. Inne – powstały wyraźnie z myślą o tym, by znaleźć swe miejsce w tej książce.

W pierwszej części mamy blok wierszy m.in. wspomnianych wyżej poetów (mało znany cykl G Krynickiego z roku 1971 to sarkastyczno-ironiczna układanka wycinków prasowych), także Tadeusza Sławka. Ważny rozdział to *Manifesty, postawy, komentarze*. Dominują tu teksty z katalogów wystaw. Mają na ogół charakter programowy bądź polemiczny. Czasem są wyimkami prac teoretycznych, z pogranicza sztuki i refleksji estetycznej, filozoficznej (dominują teksty artystów z grupy Oneiron, z których właściwie każdy jest także eseistą). Czasem – są to autoanalizy (np. Hilary Krzysztofiak czy Zygfryd Dudzik). Wiele spośród tych tekstów to świadectwa wagi i znaczenia organizowanych na przełomie lat 60. i 70. Katowickich Spotkań Twórców i Teoretyków Sztuki.

W rozdziale *Eseje, wspomnienia* wiele źródłowych tekstów, w tym m.in. piszącego dla katowickich „Przemian” Juliana Przybosia, który wysoko cenił dokonania Grupy St-53, zwłaszcza Broll i Zdzisława Stanka. Ale chyba najważniejsze dla zrozumienia istoty pozaakademickich poszukiwań śląskich środowisk artystycznych są teksty Henryka Wańka i Andrzeja Urbanowicza. Pracownia tego drugiego była miejscem wielu formalnych i nieformalnych spotkań. To był adres ważny dla wielu starszych i młodszych artystów, także pokrewnych środowisk. Tutaj pierwsze szlify zdobywali malarze i graficy następnych generacji (m.in. Piotr Szmitke czy Roman Maciuszkiewicz). Ważną rolę w latach 80. zaś odegrał Kościół i jego „podziemne” galerie, konkursy i inne inicjatywy (pisze o tym ks. Henryk Pyka).

Książka zawiera w swej końcowej części kilkadziesiąt ilustracji, poprzedzonych biogramami artystów. Niestety, wielu z nich już od nas odeszło na zawsze (w ostatnich latach m.in. Andrzej Szewczyk, Andrzej S. Kowalski, wcześniej Zofia Rydet czy Stefan Krygier). Inni – wyjechali z kraju (m.in. małżeństwo Kulików). Jeszcze inni (a to naturalna rzecz) – skłasychnieli, choć w wielu przypadkach zachowali dawną potencję twórczą lub dopiero w latach 90. jeszcze szerzej rozwinęli skrzydła (np. Roman Kalarus).

KRZYSZTOF KARWAT



Hilary, *Autoportret*, 1956, olej, płyta (Hilary Krzysztofiak).



Hilary, *Szczeka (Martwa natura)*, 1955, olej, płótno



Hilary, *Głowa (Autoportret)*, 1957, gwasz, papier

Niepokorni, niezależni, inni



**KOMPANIA
PIWOWARSKA**



SPONSOR „ŚLĄSKA”



Czerwona w Annecy



Życie w Katowicach

Henryk Bzdok grafiki digitalne



Improwizacja z dziejów jazzu



W lutym, kiedy wał się krzesła

Nie ma bardziej katowickiego artysty nad Henryka Bzdoka – i nieistotne czy się tu urodził, czy nie. On TU mieszka. On zna TO miasto: z jego ulicami, budowlami starymi i nowymi, z jego ruchem, rytmem, powietrzem i oddechem. Spogląda na nie z różnych perspektyw – ze swoich okien, z okien znajomych, z dworcowej estakady, z piętrowych wieżowców. Wszędzie są Katowice, których panorama – jak w kalejdoskopie – zmienia się w zależności od punktu, z którego jest oglądana.

Wreszcie wszystko zaczyna się mieszać, robi się z tego taki miejski mix, niewiele mający wspólnego ze statyczną rzeczywistością, za to przylega do naszych wyobrażeń o mieście, bo kiedy pada nazwa miasta mamy z nim różne skojarzenia, niezależnie od lokalizacji obiektów. Takie też są rysunki Henryka Bzdoka. Nazywa je „kolorowanymi rysunkami” – i jest w tym jego malowaniu coś z teatru rysowania – wszystko jest dokładnie obwiedzione kreską, są detale jak znaki drogowe odpowiadające właściwemu usytuowaniu, czy nazwy sklepów – jak najbardziej prawdziwe (w danym momencie oczywiście, co stanowi swego rodzaju dokument!), a powierzchnię między kreskami wypełnia kolor – delikatny, nieco przezroczysty.

Ale nie byłoby Katowic Henryka Bzdoka, gdyby nie ludzie zarejestrowani w kolejnych kadrach – to oni są najważniejsi, to oni tworzą życie tego miasta: znajomi i nieznajomi, jadący autobusami, tramwajami, czekający na przystankach, stojący pod sklepem, dźwigający zakupy, biegnący, zakochani, lub – jak bezdomni na jednej z akwrel – siedzący na skwerze dworcowym (a są tam naprawdę). A iluż na tych obrazach typów ludzkich – Bzdok to znakovity obserwator ulicy. A kiedy podpisuje swoją akwrelę *W Szopienicach też jest pięknie*, to znaczy, że Katowice – zwłaszcza śródmieście, po którym przechadza się najczęściej, jest najpiękniejszym miejscem na świecie. Inny napis na obrazie: *Marząc o dalekiej podróży jadą do Bogucic, Wełnowca, Ligoty i Murceku*. Bo właśnie takie są nasze dni powszednie: spotykamy znajomych, rozmawiamy o planach urlopowych,



Henryk Bzdok, „W lutym, kiedy wał się krzesła”, grafika cyfrowa

Notatnik osobisty

mijamy okna wystawowe z reklamami światowych eskapad, a tymczasem najważniejsze jest to, czy nadjechał tramwaj, pociąg, czy jest miejsce na parkingu...

Bzdok rejestruje miejsca, w których bywał: w pobliskiej Pszczynie, Kazimierzu nad Wisłą, w Zakopanem, na dożynkach w Raciborzu (!), ale też w kilku miastach słonecznej Italii i jeszcze innych – i wszędzie, jak w Katowicach odnajduje przede wszystkim ludzi w ich codziennych czynnościach. Miejsce zdradza inna architektura precyzyjnie odzwierciedlana przez autora „kolorowanek” czy strój mieszkańców danego miejsca na kuli ziemskiej.

Każda z akwrel jest świadectwem niespiesznego życia Henryka Bzdoka, jego fascynacji codziennością i zwykłością, z której wyczarowuje swoje światy – kameralne, mimo szalonego tempa życia, delikatne i subtelne w kolorystyce. Wszystkiemu nadaje swoją miarę: pozytywne nastawienie do ludzi, jakąś czułość dla miejsc, zaułków, nawet rozkrzyczanych ulic. Wszystko to wyciszone, mimo ulicznego gwaru i odgłosów spieszącego się miasta. Tak, Henryk Bzdok jest mieszczuchem.

Znając akwale Bzdoka, z dużym zainteresowaniem oczekiwano prezentacji jego grafik komputerowych. I tu było, a może nie było, zaskoczenia. Bo jego grafiki okazały się wariacjami na tak dobrze znane tematy. Program komputerowy daje Bzdokowi większe możliwości

w wydobywaniu szczegółu, lub wręcz odwrotnie – rozmywaniu ich. Pozwala na komponowanie nowych całości – powstające kolaże oparte są czasem na dysonansach, czasem uzupełniają jedną z części dzieła. Do malarskich akwrel wdzierają się geometryczne przedmioty, czasem kolorystyczne dominanty (jak w *Czerwonej z An-nency*). Imponujące są akwarelo-grafiki, w których część centralną zajmuje dobrze znany widok, natomiast okalają go postaci, z którymi w jakiś sposób związany był autor – wszystkie one funkcjonują w kontekście Bzdokowego świata. Są też grafiki funkcjonujące na zasadzie szkła powiększające-

go: oto na obrzeżach pracy pojawiają się powiększenia sytuacji wprost z miasta: ale są to oczywiście ludzie: narciarze oczekujący na przystanku autobusowym, przechodzień na pasach, starsza pani z zakupami, pan z psem, pianista (pewnie z jakiejś kawiarerii). Ciekawa jest też praca *Niewielu z wielu...*, w której pojawiają się autentyczne postaci z katowickiego środowiska artystycznego z przezroczystymi opaskami na oczach: bo przecież dla Henryka Bzdoka to starzy znajomi, często koledzy „po fachu”, dla ludzi z ulicy – są tylko przechodniami, jak każdy w mieście.

I jeszcze inne zestawienia: w rozmyte zdjęcie ukazujące ulicę Moniuszki (pomiędzy dwoma zabytkowymi, statecznymi, okazałymi kamienicami stoi żuraw budujący nowoczesny obiekt wieżowca) wpisana została jakaś grająca machina, będąca jakby zbitkiem myślenia: Moniuszki, dźwigi, fortepian przypominający jakąś technodziwaczną maszynę – słowem i tu, i tu wszystko gra... Inne prace ukazują poplapastyczne zainteresowania Bzdoka.

Słowem, grafiki komputerowe Henryka Bzdoka ogląda się od szczegółu do szczegółu – od twarzy do twarzy, od detalu do detalu – w ten sposób nieznajomi stają się naszymi znajomymi a i uliczki jakby bliższe sercu.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Henryk Bzdok: *Grafika cyfrowa*. Wystawa w galerii Art. Nova 2 ZPAP w Katowicach. Wernisaż 1 września 2005 roku.

Polski malarz – ale także malarz Polski: to określenie można by odmieniać jeszcze na wiele sposobów. Wszystkie bowiem wyrastają z tego samego pnia: z jego – jak mawiał – „choroby na Polskę”. Malarz światowego formatu, który najlepiej czuł się na swojej częstochowskiej prowincji, która ostatecznie stała się swoistym skrótem myślowym, bez mała całej jego twórczości.

Ze skrupulatnych zapisów dat, miejsc, tytułów wystaw, nagród, wyróżnień, posad uniwersyteckich, rejestrujących wszelkie ślady aktywności i obecności Artysty, można wywnioskować, że był nie tylko wielkim artystą, ale przede wszystkim tytanem pracy. Jego dokonaniem można by obdzielić niejednego twórcę, a on zdążył to wszystko zrobić w ciągu zaledwie 36 lat pracy, od otrzymania w 1968 roku dyplomu krakowskiej ASP na Wydziale Grafiki w Katowicach počawszy. A potem rok po roku wydłuża się lista wystaw indywidualnych, by ostatecznie osiągnąć liczbę 168 (krajowe i zagraniczne), ilość wystaw zbiorowych zamyka liczba 359. Ostatnia wielka wystawa indywidualna – to życiowy, chyba największy remanent jego życia – wystawa w katowickiej galerii BWA w rocznicę śmierci.

„Z pewnością nazwałby tę wystawę *Remanenty* – mówiła podczas wernisza Agata Duda Gracz, córka Artysty. I tak też się stało. *Remanenty 2005* to największy obrachunek z twórczością Jerzego Dudy Gracza dokonany, niestety, już nie przez Niego. Tworzone przez całe życie cykle tematyczne (*Motywy i Portrety Polskie 1968-1979*, *Motywy, Tańce, Dialogi polskie 1980-1983*, *Obrazy Jurajskie 1984-1986*, *Obrazy Arystokratyczno-Historyczne 1985-1991*, *Pejzaże Polskie i Obrazy Prowincjonalno-Gminne* – od 1986) poukładane zostały w nową całość, chociaż podzieloną na dopełniające się części: *Dom*, *Zapiski historyczne*, *Sacrum-Profanum*, *Bestiarium*, *Studium Przemijania*, *Inspiracje*, *Choroba na Polskę*. Zabrakło tylko wielkiego, ostatniego cyklu *Chopinowi* – gigantycznej pracy, na którą złożyło się ponad 200 obrazów zainspirowanych dziełami Fryderyka Chopina, powstałej zaledwie w ciągu czterech lat (1999-2003).



Śląski Orzeł 2005

Jerzy Duda Gracz (1941-2004)



Jerzy Duda Gracz i jego „Parnas śląski” (redakcja „Śląska”, 2001 r.)

kopaniem i Teatru Starego oraz Teatru im. Słowackiego w Krakowie, także dla Centrum Sztuki Impart we Wrocławiu. Jeśli do tego dodać pracę pedagogiczną w katowickiej filii ASP w Krakowie na Wydziale Grafiki, zajęcia ze studentami w Europejskiej Akademii Sztuki w Warszawie i na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, wreszcie znajdowanie czasu na warsztaty w ukochanym Łagowie czy na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, to wylania się z tego wszystkiego postać nieprawdopodobna: tytan pracy z nieprzebraną wolą uczestniczenia w tak szybko mijającym życiu, nienasycony uczestnik polskiej codzienności, komentator życia zwykłego człowieka, bezkompromisowo obnażający żyjącą ponad stan „polską magnaterię” – świecką i duchowną.

Obrazy Jerzego Dudy Gracza denerwowały, obrażały, stawały się przedmiotem kpín o wątpliwej jakości malarstwa – czego niejednokrotnie dawano wyraz w działaniach pozaartystycznych. Jego malarstwo było jak on sam: był częścią świata, który malował: ani lepszy, ani gorszy, nie był sumieniem narodu, nie filozofował, nie nauczał. Był zanurzony w Polskę – osiągając jako artysta sławę w kraju i na

Jak to możliwe, że w ciągu tych niewielu lat spod pędzla Dudy Gracza wyszły nie tylko tysiące obrazów, ale i tak wielkie realizacje, jak wspomniany *Chopinowi* czy wcześniejsze *Przemienienie* – plafon w kościele pw. Przemienienia Pańskiego w Toporowie (1995) i *Golgota Jasno-górska* w klasztorze o.o. Paulinów w Częstochowie (2000/2001)? Dziś można powiedzieć, że im bardziej zbliżał się do kresu życia, tym stawał się bardziej zachłanny na malowanie, jakby w obawie, że nie zdąży namalować wszystkiego.

Wprawdzie malarstwo zajmowało Dudę Gracza najbardziej, ale poczynił też kilka teatralno-operowych realizacji scenograficznych, wśród nich m.in. w Teatrze Śląskim (1981) do *Filomeny Marturano* w reżyserii Macieja Pawlickiego (1981), w Operze Śląskiej do *Carmen* w reżyserii Marii Foltyn (1988), a kilkanaście lat później do *Don Giovanniego* w reżyserii Wiesława Ochmana (1999). Tworzył również dla Teatru Witkacego w Za-

świecie, przy tym sukces finansowy (jego dzieła na aukcjach dzieł sztuki osiągały rekordowe kwoty), nie musiał dokonywać wyborów, określających miejsce zamieszkania czy motywy, jakie pojawiały się na obrazach. Miał jeden temat do malowania – Polskę. Żył w tym naszym „polskim piekle”, jak wszyscy: doświadczał za-zdrości, odwracania się plecami (te nagrody Rady Ministrów, order i odznaczenia w latach 80., uznanie władz – także samego prezydenta Kwaśniewskiego i Kościoła – nawet papieża Jana Pawła II (!) – tego było za wiele do zniesienia przez co niektórych „kolegów po fachu”), ale nie rezygnował. Rezygnowano z Niego: jego katowicka ASP i krakowska ASP. Tymczasem świat hołubił jego twórczość, wskazując na niezwykle talent, na wspaniałe laserunki jak u Holendrów czy renesansowych weneckich klasyków, na piktoralizm pozwalający na pozorną trójwymiarowość dzieł.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Henryk Mikołaj Górecki był zawsze w muzyce polskiej zjawiskiem osobnym. Komponował swój styl ze skrajności, trzymając się tylko sobie znanej logiki i dyscypliny. Na początku szokował muzycznym wypowiedzianiem się bardzo prostym, takim „bez ceregieli”. W czasach ogromnego zapotrzebowania na rewolucję (w sztuce) on na nie odpowiadał najlepiej – bo „oddolnie”. Potem był jednym z pierwszych, którzy uświadomili sobie fiasko rewolucji, która skazała polskich kompozytorów na wewnętrzną emigrację w sensie możliwości komunikowania postaw.

W większości polskich i zagranicznych szkiców historii polskiej muzyki XX wieku za sprawcę przełomu w tej mierze uchodzi Krzysztof Penderecki. To jego *Pasja według świętego Łukasza* (wprawdzie zamówiona przez radio kołońskie) stała się symbolem roku Tysiąclecia Państwa Polskiego, czy, jak chcieli niektórzy, Tysiąclecia Chrztu Polski. Poszła za tą *Pasją* lawina utworów o tematyce religijnej. Do żywiołowo rozwijającego się w latach 70. nurtu patriotyczno-religijnego dołączył w połowie dekady Henryk Mikołaj Górecki, występując z *Ad Matrem* i *III Symfonią „Pieśni żałosnych”*.
Foto: Zbigniew Sawicz

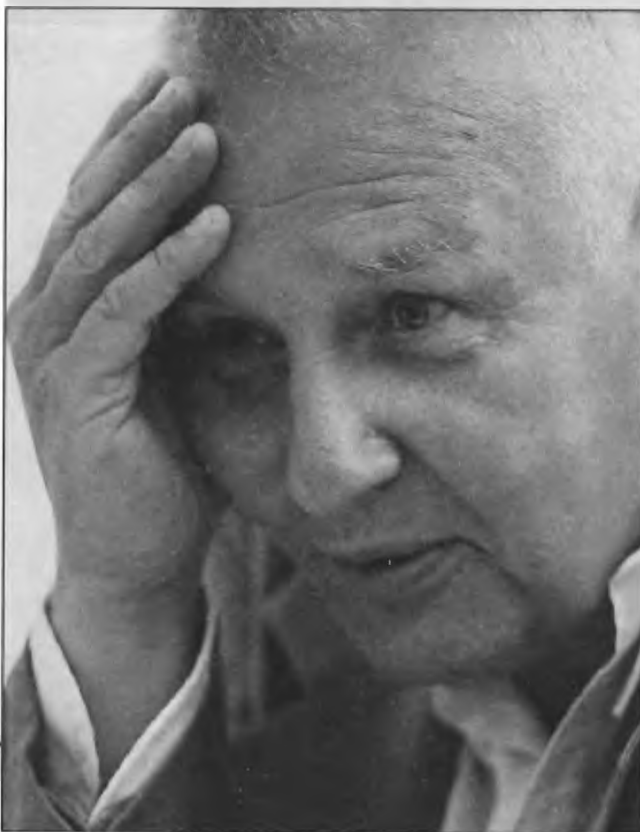
Właśnie: czy „dołączył”? Pamiętam, że przez długie lata myłono tytuł III Symfonii, zamieniając „pieśni żałosne” na „żałobne”. Można rzec, że zadziałał tu rozgłos utworu Lutosławskiego o podobnym tytule: *Muzyki żałobna Bela Bartok in memoriam*. Możliwe jednak, że słowo „żałosny” wydało się wtedy nieznane, niezrozumiałe: wszak nie było go w ówczesnym obiegowym słowniku polszczyzny. Podobnie – „spoza słownika” pochodziła muzyka tego utworu i następnych: chóralnych motetów *Amen* i *Euntes ibant et flebant* z początku lat 80., psalmu *Beatus vir*, którego prawykonanie zbiegło się w czasie z powołaniem Karola Wojtyły na urząd Piotrowy, motetu *Totus Tuus*, skomponowanego w 1987 roku z okazji trzeciej pielgrzymki Ojca świętego do Polski – jednego z nielicznych dzieł „papieskich” naprawdę natchnionych.

Górecki zachował tę swoją osobność nawet w okresie największej aktywności zawodowej, wtedy, kiedy był profesorem kompozycji, a później rektorem Państwowej



Śląski Orzeł 2005

Henryk Mikołaj Górecki



Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach, czy prezesem miejscowego Koła Związku Kompozytorów Polskich. Intensywność poszukiwań twórczych szła u niego zawsze z poważnym samoograniczeniem. Dotyczyło ono na przykład lektur. Większość kompozytorów namiętnie czyta, szukając w książkach, albo wprost w słownikach i encyklopediach pomysłów na tematy i tytuły utworów. Zestaw lektur Góreckiego jest bardzo skromny, a i tak z niego raczej ubywa niż przybywa.

Od lat mieszka w Zakopanem, z rzadka opuszczając swoją siedzibę w najwyżej w Polsce położonej wsi. Nie znaczy to, że jest nieobecny we współczesnym życiu muzycznym. Choć nie udziela wywiadów, nie pisze artykułów ani nie komentuje swoich utworów – jest. Z rzadka spotyka się z młodzieżą, a od czasu przełomu solidarnościowego udziela swego autorytetu środowisku skupionemu w KIK-u. Od kilku lat firmuje też swoim nazwi-

skiem festiwal muzyki polskich kompozytorów, który odbywa się w Bielsku-Białej. Tegoroczny festiwal miał program wyjątkowy, wręcz symboliczny: połączyły się w nim nazwiska Góreckiego i Pendereckiego, które długi czas nie miały w Polsce „wspólnego mianownika”. Górecki ceni bielski festiwal, a miarą tego może być fakt, że podczas tegorocznej jego edycji Kwartet „Kronos” prawykonał *III Kwartet smyczkowy*, zapowiadany od wielu lat. Właśnie w Bielsku, nie w Katowicach, Warszawie, Krakowie, Londynie, Kolonii czy Nowym Jorku.

Pozamuzycznym działaniem Henryka Mikołaja Góreckiego nie sposób przypisać „organizacyjnego rozmachu”, systematyczności, a tym bardziej ostentacji. Jediną rzeczą systematyczną u Góreckiego jest twórczość. W latach 80. łączyła się z rzeczywistością, mówiła – krzyczała – o ofiarach reżimu. Dziś się już nie pamięta, że słynne *Miserere* na chór mieszały powstało dla upamiętnienia walki bydgoszczan z milicją, bo na karcie tytułowej brak odpowiedniego zapisu. Dedykacją jest muzyka, nie słowa. Był okres, kiedy ta muzyka działała jak Chopinowskie „armaty ukryte wśród róż”.

Uczestnicy Poznańskiej Wiosny Muzycznej w 1985 roku tak właśnie zapamiętali prawykonanie *O Domina Nostra. Medytacje o Jasnogórskiej Pani naszej* w wykonaniu Stefanii Woytowicz, tak też odebrano wiele innych prawykonanych utworów z ostatnich dwóch dekad.

Do ich listy przybyło ostatnio kilka ważkich dzieł religijnych, na przykład *Kantata o świętym Wojciechu „Salve, Sidus Polonorum”* – ogniwo planowanego cyklu poświęconego polskim świętym, oraz utworów inspirowanych folklorem, jak chóralne *Pieśni kurpiowskie* – symboliczny wręcz gest złączenia się z polską tradycją poprzez dziedzictwo Szymanowskiego. Nowe są w twórczości Góreckiego z ostatnich lat utwory-dedykacje: *Concerto-Cantata na flet i orkiestrę „Dla Ciebie, Anne-Lill”*, czy tajemnicze *Requiem dla pewnej Polki* o tytule nigdy nie wyjaśnionym przez kompozytora. Dary czy pożegnania?



Śląski Orzeł 2005

Wojciech Kilar



Foto: Zbigniew Sawicz

W latach 80. rodził się „inny” Wojciech Kilar, diametralnie różny od tego z okresu „żywiolu”, czyli debiutu na Warszawskiej Jesieni i innych festiwalach polskiej muzyki współczesnej. Wtedy Kilar zadziwiał, jak wszyscy Ślązacy, samodzielnością poszukiwań, niezależnością od mód i właśnie żywiołowością. Takie utwory, jak *Riff'62*, *Générique* czy *Upstairs-Downstairs* (odpowiednio: z roku 1962, 1963 i 1971) torowały drogę muzyce otwartej na inspiracje jazzowe, na wpływy Strawińskiego, Gershwina, francuskiej Szkoły Sześciu – wówczas jeszcze bardzo mało znanej w Polsce (dopiero w 1973 roku charyzmatyczny baletmistrz Opery Poznańskiej Conrad Drzewiecki wystawił balet do muzyki Poulenc'a, zresztą zaraz potem przestał być baletmistrzem Opery Poznańskiej, na własne życzenie).

W latach 70. „żywiol” obecny w muzyce Kilara został okiełznany i zaprężony w służbę X Muzy. Do dziś szerokiej publiczności kompozytor kojarzy się z kultową muzyką do *Ziemi obiecanej* i szeregu innych filmów polskich i zagranicznych. Ich lista kończy się już w XXI wieku na *Draculi* do obrazu w reżyserii Coppoli, *Panu Tadeuszu* (otwierający tę muzykę polonez jest kongenialnym uchwyceniem istoty „stylu polskiego” – nie mylić z „narodowym” – takim, jaki znamy z polonezów Ogińskiego, pieśni Szymanowskiej i wczesnych opusów Chopina) i *Pianiście* w reżyserii Romana Polańskiego (2002). Kutz, Zanussi, Polański – nazwiska tych reżyserów dają pojęcie o rozmiarze sztuki muzyczno-filmowej Wojciecha Kilara.

Wojciech Kilar jest wymieniany we wszystkich współczesnych podręcznikach historii muzyki polskiej XX wieku jako współautor wielkiego przełomu w polskiej twórczości połowy lat 70. Dziwny to był przełom, dokonany pół dekady po zakończeniu harców zwolenników reżimu Moczara, pod parasolem zagranicy, która hołubiła autora *Jutrzni*, *Pasji według świętego Łukasza* i *Diabłów z Loudun*, dała przytułek twórcy spektaklu *Tristana i Izoldy*, przyjęła do europejskiego domu autora *Gier weneckich* i *Livre pour orchestre*. Wojciech Kilar nie skorzystał z otwartych drzwi frontowych. Jak jego kolega z uczelnianych murów Henryk Mikołaj Górecki, upierał się przy polskich fobiach i kompleksach. Napisał *Krzesanego*, wznica-

jąc do dziś trwający spór o to, kto pierwszy „zrehabilitował” folklorystyczny trop twórczej inspiracji, kto pierwszy wyszedł w góry i wydarł z płuc zdrowy okrzyk: „hej!”. Po napisaniu *Orawy* stał się Kilar kultową postacią młodego pokolenia. Ten utwór i ta poetyka zaspokajały potrzebę „powrotu do źródeł”, przekonywały o nietrwałości oficjalnej twórczości o obliczu akademickim, prowokowały różne odmiany szczerości. Stąd już blisko było do „modlitwy”.

Utwory z przełomu lat 70. i 80.: patriotyczna *Bogurodzica*, ludowo pobrmiewające *Siwa mgła* i *Kościółec'1909*, *Victoria*, którą czczono zwycięstwo Solidarności, napisany w 1984 roku *Angelus* z tekstem modlitwy *Zdrowaś Mario* czy prawykonany w Katowicach przez WO-SPR pod dyrekcją Kasprzyka, w sercu ciemności stanu wojennego *Exodus* budziły niedowierzanie, zwłaszcza, że zaopatrzone były w „normalny” tekst słowny. A były to czasy, kiedy pod presją

awangardy (w jej rodzimym rozumieniu) polscy kompozytorzy zostali przekonani o tym, że należy się wstydzić semantyki, bezpośredniego znaczenia słów, że trzeba uciekać w bezpiecznie-nie-określony „symbol słowadźwięku” (to cytat z „Ruchu Muzycznego” rocznik 1975). Brak tego rodzaju wstydu kosztował Kilara dziesięć lat wyrzeczenia się czołowej pozycji na polskim kompozytorskim Parnasie, zresztą wtedy z Parnasu wyrzucono bardzo wielu „bezwstydników”. Zaczęli oni być nieprawnie porównywani z socrealistami.

Ostatnie dziesięć lat w życiu i twórczości Wojciecha Kilara to czas, w którym kompozytor rzucił się w dzieło „ewangelizacji”. Nie dosłownie: Ewangelią było osobiste twórcze przesłanie, które uściśla tytuł wydanej niedawno książki o kompozytorze: *Na Jasnej Górze odnalazłem wolną Polskę*. Ewangelizacja zaczęła się od rozmów i wywiadów, których poprzednio udzielał kompozytor bardzo niechętnie, w myśl podzielnego i przez innych twórców zasady, że „muzyka tłumaczy się sama”, no i że oczywiście „nie potrzebuje słów”. W wywiadach z lat 80. i 90. dał się kompozytor poznać jako człowiek wiary i nadziei, przy tym – twórca świadom ogromu zmarnowanego czasu, który w jego wypowiedziach symbolizuje motyw „ślepej uliczki”, trop dość wyświechtany, ale w tym wypadku znaczący. Czas zmarnowany to czas „terroru awangardy”, a w sensie wewnętrznym – czas kamufażu postawy i związane go z tym wyobcowania z prawdziwego życia społecznego.

Do tego życia powraca Kilar u progu XXI stulecia bardzo ochoczo i, co ciekawe, w tym powrocie – biegu wstecz, towarzyszą mu kibice. Są nimi ludzie bardzo młodzi. „Kupują” go zwłaszcza w Krakowie, w Warszawie – słyszy się tam o tym, że imponuje im szczerością, skromnością, „zwykłością”. Zwyczajności nie zabija nowa pozycja w polskim życiu społecznym – liczne nagrody, wyrazy uznania, obecność wszędzie tam, gdzie zbiera się elita. O tę pozycję kompozytor nie zabiega, raczej przyjmuje ją, jak nowy, niełatwy obowiązek. W ostatnich latach trudno mu się komponuje: latami trwa praca nad *Requiem dla Ojca Kolbe*, *Koncertem fortepianowym*, *Missa pro pace*. Utwory te są również przesłaniem wiary i dlatego są szalenie skromne. Asceza, kontemplacja – to ich główne cechy.

MAGDALENA DZIADEK

Urodzony w 1972 roku w Chorzowie Wojtek Kuczok nie wiedział, bo wiedzieć nie mógł, że stanie się docenionym przez krytykę, ukochanym synem śląskiej ziemi. Poeta, prozaik, krytyk filmowy, publikujący swe teksty m.in. na łamach „Kina”, „Tygodnika Powszechnego”, „Kresów” czy „Twórczości”, jest absolwentem Wydziału Filologicznego w Katowicach, który stara się dowieść (trzeba przyznać – z całkiem dobrym skutkiem), że można żyć z pisania. Po zbiorze poetyckim *Opowieściach samowitych* (1996) wydał, nominowane do najbardziej prestiżowej polskiej nagrody literackiej – NIKE (i nagrodzone w V Konkursie Literackim Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek w 2000 roku) opowiadania zatytułowane *Opowieści słychane* (1999). Trzy lata później pojawiły się, nominowane z kolei do „Paszportów Polityki” *Szkieleciarki*. Rok 2003 przyniósł natomiast powieść *Gnój* (uhonorowaną nagrodą NIKE 2004 i Paszportem „Polityki” za rok 2003 w dziedzinie literatury, uznaną za książkę Wiosny 2003 Poznańskiego Przeglądu Nowości Wydawniczych), która stała się bazą filmu fabularnego *Pręgi* (wyreżyserowanego przez Magdalenę Piekorz, nagrodzonego Złotymi Lwami na Festi-



Śląski Orzeł 2005

Wojciech Kuczok



Foto: Zbigniew Sawicz

walu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni), zaś rok później pojawił się trzeci zbiór opowiadań – *Widmokrąg*. Nagrody i prestiżowe nominacje dla książek (wymienione tu tylko częściowo) tego autora dowodzić mogą trafności prognozy Henryka Berezy powiadającego, iż Kuczok „to gwiazda literacka z przyszłością”. Co ciekawe, stając się prozaikiem, autor *Szkieleciarek* nie odciął się od opublikowanej liryki. Wielokrotnie wyznawał, że swoje wiersze „zeżłomował” i teraz służy mu jako sentencje, metafory, które wykorzystuje podczas pisania tekstów prozatorskich.

Za prekursorów tej twórczości, słusznie choćby ze względu na „polifoniczność”, specyficznie konstruowaną składnię i styl wypowiedzi, uważa się Witolda Gombro-

wicza oraz Stanisława Czyczka. Kuczok pozostaje wierny swoim pisarskim obsesjom: tropieniu rozmaitych patologii, tematyzowaniu żywiołu śmierci i miłości. Jego pisanie zaczyna się tam, gdzie kończy się tzw. pozerstwo/pozorantstwo. Stara się rejestrować „prawdziwe”, bo najbardziej intymne ludzkie zachowania. Penetrując przestrzenie ekstremalne, śledzi ludzkie lęki i słabości. Szuka w rzeczywistości „pęknięć”, które umożliwiają swobodne przechodzenie między poziomem realnym i fikcyjnym. Stąd, poszukując bliskich formuł gatunkowych, trzeba wskazać sąsiedztwo realizmu magicznego i funkcjonowanie jawy na prawach snu. Kuczok wiele czerpie z tradycji katastroficznych, podbudowanych buntem przeciwko mieszczaństwu z tzw. „pre-

tensjami wyższego rzędu” – jak w przypadku *Gnoju*, u genezy którego legł sprzeciw wobec filisterskiego drobnomieszczaństwa.

W tekstach autora *Opowieści słychanych*, mimo iż w swoistego rodzaju zaangażowanych w obnażanie naszego chorego „tu i teraz”, nie mamy jednak do czynienia z publicystyką. To codzienność opowiedziana w specyficzny sposób. Kuczok przyzwyczał nas już do tego, że o sprawach zwyczajnych rozprawia niepospolitym językiem. Bowiem, tak jak w przypadku twórczości poetyckiej, główny nacisk kładzie na pracę nad językiem: łamanie związków frazeologicznych czy budowanie skojarzeń opartych na brzmieniowych predyspozycjach dyskursu to tylko nieliczne przykłady umiejętności i możliwości jego wyobraźni językowej. Autor *Szkieleciarek* udowodnił, że potrafi generować język ludzi niewykształconych, slang młodzieżowy czy gwarę śląską. To przede wszystkim za „odkrywanie (...) przepaści językowych, psychicznych i moralnych”, „za nieprzeciętny słuch językowy” połączony z „diagnozowaniem rzeczywistości środowiskowej jej własnym językiem, brawurowe przechodzenie od empatii do dystansu, od realności

do groteski” Kuczok został uznany za jednego z najciekawszych i najzdolniejszych („młodych”) pisarzy, jacy pojawili się w ostatnich latach. Zyskawszy uznanie na arenie ogólnopolskiej nie zapomniał jednak o swoich śląskich korzeniach. Po okresie poszukiwań miejsca osiedlenia, powrócił do rodzinnego miasta.

Kuczok nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. W W.A.B. czeka nowy i zarazem nienowy zbiór opowiadań – *Opowieści przebrane*, w którym zebrane zostały znane czytelnikom, bo pochodzące z jego dwóch wczesnych tomów teksty. Czas pokaże, czy recepcja tomu przyniesie nowe odczytania i umocni pozycję doświadczonego już prozaika.

AGNIESZKA NĘCKA



Śląski Orzeł 2005

Kazimierz Kutz



Foto: Zbigniew Sawicz

Minie wkrótce dekada Modkąd znany reżysera Kazimierza Kutza także z roli senatora, co nastąpiło po wyborach 1997 roku. Nie jest rzeczą wykluczoną, że wielu zna Kutza już wyłącznie jako senatora, felietonistę i w ogóle osobę publiczną. Jako polityka i namiętnego komentatora sceny politycznej, wreszcie jako reprezentanta interesów górnośląskich w Warszawie. Jednak dla tych, którzy znają Kutza od dawna przede wszystkim jako artystę jest rzeczą zaskakującą, że tak niepostrzeżenie, rok po roku, zmienia się jego społeczne postrzeganie, chociaż wiadomo przecież, iż chodzi o tego samego Kazimierza Kutza – reżysera filmowego i teatralnego, twórcę *Soli ziemi czarnej*, *Perty w koronie* i *Paciorków jednego różańca*.

Dopiero gdy się spojrzy na biografię Kutza z pewnej perspektywy, właśnie z perspektywy niemal dekady, łatwiej dostrzec te zaskakujące zmiany. Wprawdzie Kutz zawsze potrafił zaskakiwać, jak choćby swoim powrotem z Warszawy na Górną Śląsk w 1967 roku, co w efekcie zaowocowało serią filmów śląskich przynoszących panoramę losu Górnolązaków w XX stuleciu, lecz mimo to jego decyzja o kandydowaniu do Senatu w 1997 roku była pewną niespodzianką. I to nawet dla tych, którzy znali wcześniej reżysera z roli społecznika, choćby w przełomowym 1981 roku, gdy wybrano go i przewodniczącym Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych w Katowicach, i zaraz potem prezesem Śląskiego Towarzystwa Filmowego.

Z chwilą upadku komunizmu Kutz mógł zrealizować wreszcie film o tragedii w kopalni „Wujek”, o czym myślał przez całe lata 80. Zarazem erupcja społecznej aktywności regionalnej, jaka nastąpiła w warunkach wolności, wciągnęła w swe tryby i Kutza z warszawskiego oddalenia. Jego wizyty na Górnym Śląsku już w pierwszej połowie dekady lat 90. stawały się coraz częstsze, a zwłaszcza przy realizacji ostatnich filmów śląskich, to znaczy *Śmierci jak kromka chleba* i *Zawróconego*. Z pewnością niezwykle ważne stały się dla Kutza rozmowy telewizyjne z cyklu *Wesoło czyli smutno*, które dawały Polsce obraz wielokulturowości Górnego Śląska w połowie tamtej dekady.

I tak doszło do brzemiennej w skutki decyzji o kandydowaniu do Senatu w 1997 roku. Jak pamiętamy, Kutz promował wtedy Leszka Balcerowicza do Sejmu, wojażując z nim po całym Śląsku. Natomiast kandydatura samego Kutza do Senatu pojawiła się w ostatniej chwili, niespodziewanie. No i pokazało się, że artysta dysponuje w regionie ogromnym kapitałem zaufania. Tak wielkim, że dwa lata później w plebiscycie „Gazety Wyborczej” na najwybitniejszego Ślązaka XX wieku zajął trzecie miejsce po Korfantom i Jerzym Ziętku. Ale pierwsze spośród osób żyjących. Z pewnością wyniki tego plebiscytu należy zaliczyć do największych sukcesów reżysera.

W tym samym czasie Kutz rozpoczął pisanie cotygodniowych felietonów na łamach „Dziennika Zachodniego”, które stały się formą jego stałego kontaktu ze społecznością górnośląską. Dzięki nim uczestniczył czynnie w coraz silniejszym nurcie kształtowania się odrębnej tożsamości górnośląskiej.

Dzięki nim wpływał na procesy społeczne na Górnym Śląsku. W tych felietonach można było zaobserwować, jak sam Kutz zmienia swoje stanowisko w kwestiach górnośląskiej odrębności. Wobec Związku Ludności Narodowości Śląskiej jego postawa przeszła pewną ewolucję od dystansu do dzisiejszego zdecydowanego poparcia. Wreszcie podczas spisu powszechnego Kutz zadeklarował się do narodowości śląskiej, co oznajmił w jednym z felietonów. Jednak przy coraz wyraźniejszej opcji górnośląskiej postawa Kutza zawsze cechowała się europejską otwartością i własną niezależnością sądów, co niedawno doprowadziło nawet do pewnych rozdzźwięków z częścią jego tradycyjnego elektoratu regionalnego.

Dzisiaj te cotygodniowe felietony, przeniesione z „Dziennika Zachodniego” do „Gazety Wyborczej”, pozostają nadal najbardziej istotną formą kontaktu autora ze społecznością górnośląską, ale i sposobnością komentowania polityki krajowej. Przed kilku laty Kutz rozpoczął dodatkowo współpracę z „Przekrojem”, gdzie zjadliwie komentuje już niemal wyłącznie politykę polską. Można powiedzieć, że stał się jednym z czołowych felietonistów polskiej prasy, publikującym regularnie dwa felietony tygodniowo. Do tego dochodzą jeszcze poważniejsze teksty publicystyczne i eseje, no i niezliczone wywiady.

Swoje ostatnie filmy Kutz nakręcił w latach 1995-1996 (kinowy *Pułkownik Kwiatkowski* i serial *Śława i chwała* oparty na powieści Iwaszkiewicza). Do realizacji kolejnego projektu fabularnego nie doszło. W wywiadach Kutz coraz częściej podkreśla, że już żadnego filmu nie nakręci. Pozostają prace teatralne i telewizyjne, chociaż w tej kategorii widać jego mniejszą aktywność w ostatnim czasie. I trudno się dziwić, zważywszy na niepotykaną pracowitość autora na polach polityczno-polemicznych. A teraz Kutz rozpoczyna swoją trzecią kadencję senatorską...

Z reżysera przemienił się Kutz w polityka i delegata reprezentującego interesy górnośląskie na forum ogólnopolskim. Jego opinii niemal na każdy temat spragnione są media, a z jego poglądami liczą się w kręgach politycznych i opiniotwórczych w całym kraju. Takiej pozycji w Polsce nie miał nigdy żaden Górnolązak.

JAN F. LEWANDOWSKI

Pisarz, scenarzysta i reżyser filmowy, absolwent łódzkiej filmówki, urodzony w r. 1953 w Katowicach, należy bez wątpienia do wybitnych katowiczów. Charakter zawodu, jaki uprawia, z widocznym sukcesem, sprawia, że filmy oraz spektakle operowe realizuje w Polsce i poza jej granicami.

Największe uznanie przyniosły mu dwa filmy, które były całkowicie polskimi produkcjami: „Wojaczek” (nagroda za reżyserię na gdyńskim festiwalu w r. 1999) i „Angelus”. Z tymi filmami Lech J. Majewski podróżuje po świecie, prezentując na festiwalach, zbierając pochwały i nagrody. Pierwszy, poprzez osobę mikołowianina, Rafała Wojaczka związany jest ze Śląskiem miejscem akcji oraz produkcji, drugi, „Angelus”, jest filozoficzną opowieścią o trzech malarzach z Janowa, którzy swoją sztuką wywiedzioną z mistycyzmu, stawiają, jak potrafią, opór stalinowskiej inżynierii dusz. Film mówiony śląską gwarą, wyrafinowany i jednocześnie prosty, należy do najwybitniejszych polskich produkcji ostatnich lat.

Z Katowicami związana jest opera *Pokój saren*, której prapremiera odbyła się w Operze Śląskiej w Bytomiu. Lech Majewski był autorem libretta i współautorem muzyki; autor nie ukrywał, że jest to opera „autobiograficzna”; istotnie: jest to opowieść o życiu pewnej rodziny (Matka, Ojciec, Syn) na katowickiej Koszutce, przy ulicy Armii Czerwonej (Dzisiaj aleja Korfanteo), gdzie wciąż mieszka Matka reżysera. Dal się również poznać jako twórca inscenizator wielkich dzieł operowych, m.in. „Carmen” Bizeta na scenie Teatru Wielkiego oraz w Teatrze Opery w Wilnie. Wielki sukces odniosła jego inscenizacja *Opery za trzy grosze* Brechta w Niemczech.

Najnowszy film Lecha Majewskiego, *Ogród rozkoszy ziemskich*, doskonale przyjęty w Polsce przez widzów i krytykę, zdążył zdobyć Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Kina Niezależnego w Rzymie.

Lech J. Majewski jest wychowankiem wielkiego Mistrza polskiego



Śląski Orzeł 2005

Lech J. Majewski



Foto: Zbigniew Sawicz

kina Wojciecha J. Hasa, artysty bez reszty oddanego sztuce. Has gardził komercją. Ten stosunek do rzemiosła wpoił swoim studentom. Stąd też Majewski z uporem realizuje swoje własne filmowe marzenia w sposób, jaki uważa za jedynie możliwy i konieczny. Całą jego filmową twórczość przenika duch poezji, co nie dziwi, bowiem Majewski jest poetą. Poetycką strukturę miał jego pełnometrażowy debiut kinowy, film pt. *Rycerz*. Również filmowym poematem jest ostatnie dzieło Lecha J. Majewskiego – *Ogród rozkoszy ziemskich*, wywiedziony z opublikowanej wcześniej powieści pod prowokacyjnie niekomercyjnym tytułem „Metafizyka”.

Rycerz, który tak dalece odbiegał od „kina moralnego niepokoju”, w ogóle od polskiej produkcji filmowej, że został odrzucony przez wła-

dze kinematografii PRL-u, i dopiero w rok później (1981), interwencja Agnieszki Holland spowodowała, że Lech J. Majewski został formalnie uznany za zawodowego reżysera.

Ten film zadecydował o losach Lecha J. Majewskiego na całą następną dekadę. W roku 1981 Majewski został zaproszony z *Rycerzem* do Anglii na Festiwal Kultury Średniowiecznej. *Rycerz* zrobił tam furorę, a jego twórca otrzymał propozycję wystawienia *Odysei* w teatrze na barce pływającej po Tamizie. Widowsko wywarło na krytykach i publiczności ogromne wrażenie! Stamtąd już tylko krok do Hollywood. W Ameryce Lech J. Majewski zrealizował *Lot świerkowej Gęsi* (1987), osnuty na katowickiej powieści Majewskiego pt. *Kasztanaja!*, i *Więzień Rio* (1988) – rzecz o napadzie stulecia, lecz w ujęciu Majewskiego jest to studium samotności, zaszczucia, niepewności i wiecznej ucieczki.

Ostatni, amerykański (choć zrealizowany w Polsce z udziałem amerykańskich aktorów) film Majewskiego to *Ewangelia według Harry'ego* (1993), i już jedynie jako scenarzysta i producent podpisał w r. 1985 film pt. *Basquiat. Taniec ze śmiercią*.

Imponujący jest dorobek pisarski Lecha J. Majewskiego, od tomików poezji, poprzez *Kasztanaję*, *Szczury Manhattanu*, *Pielgrzymkę do Grobu Brigitte Bardot cudownej*, wspomnianą już *Metafizykę*, po intrygującą i tajemniczą powieść pt. *Hipnotyzer*.

Lech J. Majewski wiele pracuje za granicą, co jest również rezultatem niewydolności polskiego przemysłu filmowego. Artysta, który nie chce kręcić wielce lukratywnych telenowel, jest zmuszony – chcąc żyć z zawodu reżysera – szukać pracy w różnych miejscach świata. Nie każdego dnia można go spotkać na katowickim Rynku, lecz w filmie i w prozie nie raz dał wyraz temu, iż Katowice, a jeszcze dokładniej Koszutka, to jego prywatne centrum świata.

Architektoniczna twórczość Stanisława Niemczyka charakteryzuje się oryginalnością formy i niespotykanym w innych realizacjach architektonicznych dopracowaniem rękodzielniczych detali. Niemczyk z uporem realizuje swoje architektoniczne pomysły, spędzając długie tygodnie i miesiące na budowach, nadzorując prace czy raczej kierując budowlami własnych projektów jak średniowieczni muratorzy. W czasach pośpiechu i powierzchownej szybkości jest to postawa heroiczna. Ale może dzięki temu jego prace wyróżniają się spośród wielu budowli powstających w regionie i w całym kraju w ostatnich dziesięcioleciach. Niemczyk, absolwent Politechniki Krakowskiej, jest projektantem kościołów i budowli realizowanych w Tychach, w tym domów mieszkalnych, usługowych i innych.

Jego swoisty, rozpoznawalny styl rozwija się począwszy od kościoła św. Ducha w Tychach budowanego w latach 1979-83. Kościół ten znacznie odbiegał od licznych nowoczesnych kościołów budowanych wówczas w Polsce. Licznie odwiedzany i publikowany w czasopiśmie krajowych i zagranicznych był wówczas dla wielu architektów przełomem w myśleniu o współczesnej architekturze sakralnej.

Niemczyka „sposób myślenia o architekturze” znalazł rozwinięcie w realizacji zespołu mieszkaniowego Nad Jamną w Mikołowie. Zamiast powszechnie spotykanych prostopadłościennych budynków, przypominających sterty pudełek z butami, widzimy tam postmodernistyczne kilkupiętrowe kamieniczki z kolorowej cegły, ustawione wokół kameralnych wnętrz, ze szczytami, wykuszami, schodkami i podcieniami.

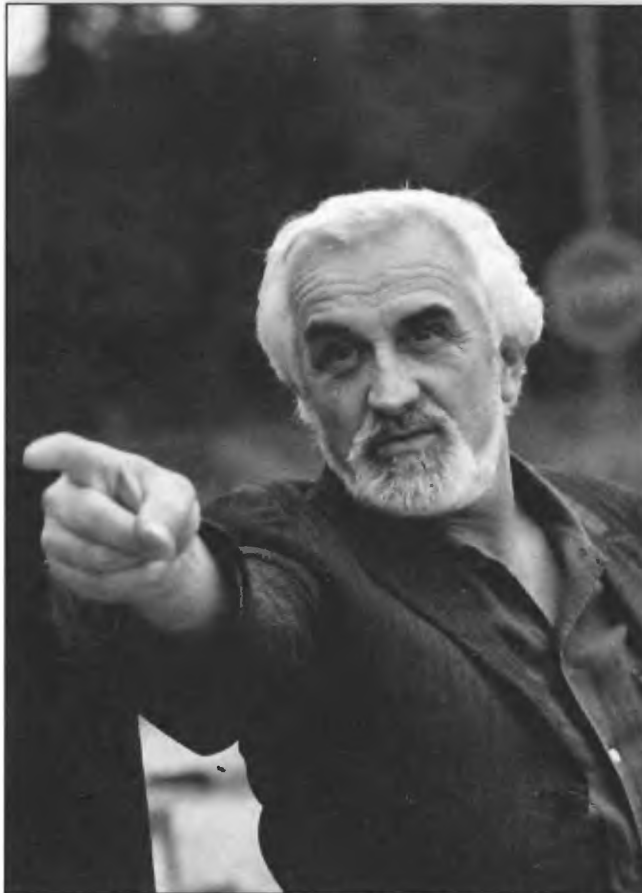
W kilka lat później powstała szkoła w Giszowcu. Na obrzeżu wielkiej wartości robotniczego osiedla – ogrodu z początku XX wieku, zespół Niemczyka zaprojektował harmonizujący z zabytkowym otoczeniem budynek. Jak w innych obiektach tak i tu spotykamy czerwoną cegłę i dbałość projektantów o detale architektoniczne. (Współautorami osiedla w Mikołowie i szkoły w Giszowcu są Anna i Marek Kuszewscy).

Zbudowany w latach 1991-94 kościół Miłosierdzia Bożego z zespołem parafialnym przy ul. Brodowicza w Krakowie ma charakter kameralny (projekt: S. Niemczyk, Marek Kuszewski). Jak we wszystkich projek-



Śląski Orzeł 2005

Stanisław Niemczyk



tach Niemczyka i tu starannie dopracowano szczegóły. Współczesna architektura świątyni nawiązuje do krakowskiej odmiany art déco i ekspresjonizmu, którego przykłady można znaleźć w otaczającej kościół zabudowie.

Kolejny kościół pw. Jezusa Chrystusa Odkupiciela powstał w latach 90. w Czechowicach-Dziedzicach. Ten zespół zabudowy sakralnej z czerwonej cegły, podobny do kościoła krakowskiego, w charakterystycznym rozpoznawalnym stylu dobrze wkomponowany jest w krajobraz. Jego dwie wysokie wieże symbolizują dwa tysiąclecia chrześcijaństwa.

Kościół te, zdaniem wielu, należą do najpiękniejszych realizacji architektury sakralnej ostatnich lat. Dołączy do nich zapewne budowany obecnie w Tychach zespół klasztoru franciszkanów zawierający cechy charakterystyczne dla stylu architektury Niemczyka.

Niemczyk projektuje obiekty z naturalnych materiałów, jak cegła i kamień. Powściągliwie, ale konsekwent-

nie stosuje ciepły, ludzki ornament we wnętrzach. Nazywany przez niektórych „śląskim metafizykiem” tworzy rozpoznawalną, osobistą architekturę o cechach regionalnych. Jak pisze o nim Paweł Boguszewicz: „Daleki od bezmyślnego kopiowania zachodnich pomysłów, od wznoszenia obiektów pozbawionych osobowości, tworzy Stanisław Niemczyk solidny fundament dla poszukiwań rodzimego, lokalnego charakteru architektury.” Jego realizacje zaliczyć można do nurtu współczesnej „architektury miejsca”.

W wypowiedzi dla miesięcznika „Architektura & Biznes” w roku 2002 powiedział o czasach swoich studiów w latach 60.: „Wyrastaliśmy wtedy na modernistycznym myśleniu, funkcjonalistycznym. Na wszystkim, co było związane z Kartą Ateńską, która stała się normatywem w krajach takich, jak nasz. Ona wyrastała z ideologicznego myślenia o idealnym społeczeństwie. Nie przez przypadek ideologia modernizmu narodziła się w tym samym czasie, co faszyzm i komunizm. Myślę, że ideologie budują zagrożenie dla człowieka, jedynie w niektórych miejscach krzyszą z jakiejś prawdy, zbliżają się do niej. Ale generalnie przyjęcie linii ideologa prowadzi do czegoś, z czego ideolog nie może już zejść. On nie może powiedzieć „pomyliłem się”, on siebie kształtuje jako monolit, który już tylko może

pchać naprzód. Jak czołg, perpetuum mobile, którego nie zatrzyma przeszkoda ani przeciwnik. Idzie i wszystko walcuje”.

W 1996 roku Stanisław Niemczyk został laureatem Honorowej Nagrody SARP, przyznawanej od 1966 roku najwybitniejszym twórcom polskiej i światowej architektury. W 1998 roku za realizację kościoła w Czechowicach-Dziedzicach otrzymał on i jego współpracownicy: córka Anna Niemczyk-Wojtecka i zięć Robert Wojtecki nagrodę „Architektura Roku Województwa Śląskiego” przyznaną przez Wojewodę Śląskiego oraz Katowicki Oddział Stowarzyszenia Architektów Polskich. Autorzy ci otrzymali także nagrodę za „Najlepsze zagospodarowanie przestrzeni publicznej” – laur przyznany przez Marszałka Województwa Śląskiego i Stowarzyszenie Architektów Polskich, a w 2000 roku „Pro Ecclesia et Pontifice” przyznaną przez papieża Jana Pawła II.

ANDRZEJ GRZYBOWSKI

Urodzona w Sosnowcu, wychowana w Katowicach, gdzie pobierała nauki, począwszy od szkoły podstawowej, poprzez Liceum Ogólnokształcące, po Uniwersytet Śląski (dziennikarstwo na Wydziale Nauk Społeczno-Politycznych i reżyseria na Wydziale Radia i Telewizji im. Krzysztofa Kieślowskiego). Gdy ze swoim dokumentalnym filmem pt. „Dziewczyny z Szymanowej” próbowała przekroczyć wysokie progi Telewizji Polskiej, usłyszała nie jeden raz kąśliwe żarciki na temat blondynek, ale wystarczyło jej uporu, determinacji i pewności siebie – cech niezbędnych dla wykonywania zawodu reżysera filmowego – by mądrałom z TVP utrzyć nosa. Film nie tylko doczekał się emisji, lecz zdobył Brązowego Lajkonika na krakowskim festiwalu!

Do historii rodzimego dokumentu przeszła sekwencja z zakonnica – nauczycielką wychowania fizycznego, z zapalem demonstrującą w habicie nieskomplikowane, lecz w jej przypadku, nieodparcie zabawne ewolucje gimnastyczne.

O tym, że potrafi być nie tylko drapieżna, ale i czuła, pokazała w jednej, lecz niezwykle poruszającej (mówię o własnym odczuciu) scenie „Franciszkańskiego spontanu”. W tej dokumentalnej opowieści o budowaniu tradycyjnej stajenki betlejemskiej (rozmiarów gigantycznych) w panewnickiej bazylice, obserwujemy przez kilka chwil młodego mężczyznę w szacie zakonnej, trzymającego na rękach Dzieciątko wielkości solidnego noworodka, ale: jak trzymającego! W tym „jak” zawarła Magdalena Piekorz bardzo intymną prawdę o niemożliwym w tym przypadku, a jakże naturalnym, rzec by można atawistycznym głodzie ojcostwa.

Gdy wreszcie obejrzałem etiudę pt. „Kamienica”, zrealizowaną przez Magdalenę Piekorz, studentkę I roku reżyserii, nie miałem wątpliwości, że na Śląsku – za chwilę, za rok, dwa, najwyżej trzy – objawi się talent filmowy pierwszej światłości.

Po drodze było jeszcze kilka prac dokumentalnych: „Przybyśże”, „Znaleźć, zobaczyć, pochować”, „Opuszczone miasto”. Przy-



Śląski Orzeł 2005

Magdalena Piekorz



znaje, że oglądając dokument „Znaleźć, zobaczyć, pochować”, o uczonnej Polce, dokonującej ekshumacji zwłok w Bośni, i bośniackich kobietach czekających cierpliwie, aż pani antropolog ukończy swoją pracę, by one mogły zidentyfikować szczątki bratobójczej wojny, tak, przyznaję, że chwilami mocno zaciskałem powieki, chwilami czułem gwałtowny ucisk w gardle. Magdalena Piekorz zbliża widza do ludzkiego cierpienia bez jednej fałszywej nuty.

Ta umiejętność (czy też dar) pozwoliła jej nieomylnie poprowadzić bohatera „Pręg” przez wąskie przejście między melodramatem a czystym dramatem.

Tym filmem, pełnometrażowym debiutem, do którego scenariusz napisał Wojciech Kuczok (silne są związki „Pręg” z powieścią „Gnój”, choć nie są to utwory tożsame), Magdalena Piekorz weszła do ekstraklasy polskiego kina. Weszła krokiem zdobywcy, biorąc Złote Lwy

w Gdyni w roku 2004, i nikt nie miał wątpliwości, że ta nagroda nie mogła trafić do innych rąk.

Magdalena Piekorz, odbierając Złote Lwy, przeżywała chwilę wielkiego szczęścia, ale nie zmieniało to faktu, że „Pręgi” powstawały etapami, bo co rusz okazywało się, że i tak skromny budżet, został do cna wyczerpany. To był czas także wielkiej próby charakteru, czas, kiedy Magdalena Piekorz – siłą rzeczy – musiała poznać granice własnej odporności psychicznej. Jeszcze raz zmobilizować się i zgromadzić ten ostatni, trzeci milion złotych! I jeszcze raz skupić się, ogarnąć cały materiał i wybrać z niego to, co my, widzowie, poznaliśmy jako piękny, głęboko poruszający film „Pręgi”, film, który, co ujawnił Feliks Falk nazajutrz po gdyńskim festiwalu, zyskał jednogłośnie rekomendację komisji typującej polski film do Oscara.

Po tak świetnym debiucie – co dalej? Jak pokierować własną karierą?

Po krótkim czasie, jeszcze niejako w blasku Złotych Lwów, Magdalena Piekorz wyreżyserowała w warszawskim Teatrze Studio monodram Wojciecha Kuczoka pt. „Doktor

Haust” w wykonaniu Michała Żebrowskiego, współtwórcy sukcesu „Pręg”. We wrześniu tego roku telewizja publiczna wyemitowała dokument pt. „Arystokraci nowej Rosji”, do którego materiał Magdalena Piekorz zgromadziła jeszcze przed „Pręgami”.

Ale najważniejszy jest ten drugi pełnometrażowy film fabularny!

Czy będzie to wysokobudżetowy „Filip” wg znakomitej powieści Leopolda Tyrmanda (scenariusz K.T. Toplitza), czy też wymagający skromniejszych środków finansowych film pt. „Dziesiąta Muza” wg scenariusza młodego autora, Dawida Kędzi?

Ale jedno jest pewne: ten drugi pełnometrażowy film fabularny jest nieuchronny i bliski!

A tymczasem Magdalena Piekorz prowadzi zajęcia z podstaw reżyserii i adaptacji filmowej na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

Pseudonim Jarosława Świerszcza jest być może pewnego rodzaju kostiumem czy egzotycznym uniformem, ale bardziej znakiem gry o taką tożsamość, która jednoznacznie odrywa pisarza od jego poprzednich wcieleni zawodowych. Historyk sztuki z wykształcenia, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, ceniony kurator sztuki współczesnej, w przeszłości wicedyrektor Biura Wystaw Artystycznych w Katowicach i warszawskiej „Zachęty”, nauczyciel akademicki, wybierając literaturę wybrał siebie, być może, na nowo – lub też oznajmił o sobie publiczności inaczej. Pseudonim był podobno przypadkowy, ale gra o siebie celowa.

Autor dramatów przetłumaczonych na kilkanaście języków – m.in. *Oskara i Ruth*, *Nocy Helvera*, *Helmucika*, *Preparatów*, *Sprawy miasta Ellmit*, *Entartete Kunst*, jednoaktówek z cyklu *Bezlenowce* – połączył pisanie dla teatru z obecnością w teatrze. Przygodę z reżyserowaniem rozpoczął w 1998 roku, pisząc dla Izabeli Walczybok i Roberta Stefaniaka *Oskara i Ruth*. Wtedy także powstał Teatr Kriket z siedzibą w Chorzowie. Rodzinne miasto dramaturga nazwane zostało swym pierwotnym imieniem i jako Królewska Huta nieodmiennie już towarzyszyło pierwszym przygodom teatralnym Villqista. Autorska realizacja *Oskara i Ruth* odniosła ogromny sukces, zdobywając wiele nagród na przeglądach małych form teatralnych i przesadzając o narodzinach nowej gwiazdy dramaturgii polskiej. W Teatrze Kriket odbyły się ponadto prapremiery *Nocy Helvera* i *Kostki smalcu z bakaliemi*, ale dramaturg wyruszył na podbój scen profesjonalnych, podejmując współpracę jako reżyser swych utworów m.in. z Teatrem Rozmaitości w Warszawie, Teatrem Wybrzeże w Gdańsku, Teatrem Polskim w Poznaniu i Teatrem Śląskim w Katowicach.

Villqist podkreśla, że interesuje go wyłącznie teatr autorski i że dobrze mu w świecie powołanych do życia bohaterów, że lubi i kocha postaci ze swoich sztuk. Najlepiej czuje się jako dyrektor „własnej przestrzeni artystycznej”, czego mógł dowiedzieć m.in. jako etatowy reżyser Teatru Wybrzeże. Sukcesy odnosiły jednak również realizacje jego dramatów, których podejmowali się inni reżyserzy. Wśród nich telewizyjne spektakle przygotowane przez Łukasza Barczyka czy



Śląski Orzeł 2005

Jarosław Świerszcz



Foto: Janusz Świerszcz

W Królewskiej Hucie, a raczej w Chorzowie, rzeczywiście wszystko się rozpoczęło. Świerszcz, rocznik 1960, Górnolazak od pokoleń, wnuk zasłużonego w dobie powstań Jana Faski, uważa, że duży wpływ miała na niego szkoła. Liceum im. Stefana Batorego skupiło wtedy sporo młodzieży może nie do końca pokornej, ale ciekawej świata. Wśród szkolnych kolegów przyszłego pisarza byli m.in.: dziennikarz i krytyk Krzysztof Karwat, malarz Piotr Naliwajko, filozof Jan Kielbasa, czy bardzo zdolny, przedwcześnie zmarły Tomasz Chmiel. Po latach próbowano nawet ukuć teorię o „chłopcach z ferajny”, wyjątkowych i noszących w sobie zaczyn twórczych talentów. Tak naprawdę „Batory” przełomu lat 70. i 80. miał dobrych nauczycieli, ale uczył przede wszystkim odporności na szykany, których nie skąpili gorsi nauczyciele. Siłą rzeczy bardziej wrażliwi uczniowie uciekali w pisanie i Ignęli do siebie. Trzeba by jednak umiejętności psychoanalitycznych, by rzeczywiście dostrzec w szkolnych epizodach coś więcej niż wprawki i etiudy.

Paradoksem w drodze Villqista przez literaturę jest co najmniej umiarkowane przyjęcie jego pierwszej powieści. Ogłoszony w 2004 roku *Archipelag wysp pingwinich* powstawał podobno kilkanaście lat. Ironiczną groteskę, której bohaterem jest oficer Kunst Armii i gdzie w kluczowej scenie blejtramy, palety i wszelkie plastyczne dobro zmierzyć się musi z czołgami i artylerią, można uznać za rozrachunek środowiskowy. Zmilitaryzowanie sztuk plastycznych to zapewne echo nieustannego sporu o artystyczne rangi i odpowiedzialnie szkodliwe mundury dla najbardziej zasłużonych. Może jednak za dużo w tej powieści konceptualnej brawury, może za mało tak ważnych w dramatach tonów wyciszonych i kameralnych, aby spełniła oczekiwania, jakże już zawyżone w wypadku mówiącego osobnym głosem pisarza.

Coraz częściej Villqist pracuje na Śląsku. Dla Opery Śląskiej przygotowuje prapremierę rzeczy Piotra Szmitke, o tytule *Muzeum Historyczne Mmmme Eurozy*. W Teatrze Bez Sceny trwają próby *Oskara i Ruth*, z Andrzejem Dopierałą i Moniką Zalewską. Dramaturg postanowił zmierzyć się także z adaptacją i reżyserią *Procesu* Kafki. Pierwsze pokazy, w formie prób czytanych, zobaczy publiczność jeszcze w 2005 roku.

RYSZARD JASNORZEWSKI

Barbarę Sass. Prapremierę *Helmucika* – jako koprodukcję Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu i Teatru Polskiego w Poznaniu – reżyserował Paweł Łysak. Agnieszka Lipiec-Wróblewska przygotowała *Fantoma* w Starym Teatrze w Krakowie. Zbigniew Brzoza zrealizował *Noc Helvera* (z pamiętną kreacją Krystyny Jandy) w warszawskim Teatrze Powszechnym.

Villqist-Świerszcz często mówi, że wybrał teatr z przypadku, że ani nie zaplanował, ani nie przewidział sukcesu *Oskara i Ruth* i daleki był u progu przygody z dramaturgią od myśli o zmianie zawodu. Życie chciało jednak inaczej, autor zdobył sławę i wszedł w teatr na dobre i na złe. Tekst dla autorskiego Teatru Kriket nie był jednak pierwszą próbą literacką Villqista. Dużo pisał od czasów licealnych i studenckich, w wielu publikowanych dramatach pojawia się nawet podwójne datowanie, wskazujące na powstanie pierwszej wersji tekstu na początku lat osiemdziesiątych. Nieodmiennie z dopiskiem, że w Królewskiej Hucie.

Mam kłopot. Wypadło na mnie. To ja muszę parę słów o Henryku Wańku napisać, choć czuję, że nie powiem niczego nowego, czego bym już wcześniej, przy innych okazjach, nie powiedział. Kłopot, bo odnoszę wrażenie, że nieco straciłem dystans do jego twórczości literackiej, eseistycznej. Także do niego samego. Stało się tak dlatego, że w ostatnich latach spotykaliśmy się często. Trudno byłoby zliczyć te jego wieczory autorskie, konferencje i sesje, panele dyskusyjne i wszelkiego typu wystąpienia publiczne, w których uczestniczyłem nieraz tylko dlatego, że i on tam był. Nie brakowało także spotkań prywatnych, również tych mniej lub bardziej przypadkowych, bo przecież Waniek, choć od lat nie mieszka na Górnym Śląsku, to często tu bywa, więc można nawet podejrzewać, że nigdy się stąd nie wyprowadził. Ileż to razy zderzałem się z nim na katowickim Rynku. I dawno przestało mnie to dziwić. Niby taka zażyłość daje prawo do jakiegoś sądu, a przynajmniej opinii, a jednak robi się niezręcznie...

CÓŻ, z Henrykiem Wańkiem miło jest obcować, bo ma naturę uroczego gawędziarza, nie pozbawionego poczucia humoru, bystrego i zjadliwego obserwatora polskiej codzienności. Zdziwiające, że ten sam ton niespiesznej opowieści o tym, co obok, co za i przed nami, przynosi potem do swych książek. Przynajmniej niektórych. Miło jest zatem obcować i z książkami Wańka, więc z tym większym niepokojem spoglądam na podręczną biblioteczkę, skąd znikła jedna z najważniejszych prac w jego dorobku: *Opis podróży mistycznej z Oświęcimia do Zgorzelca 1257-1957*. Syn odebrał? Niechby tak było, bo jest to lektura, która głęboko otwiera na śląską przeszłość, zapomnianą śląską wielkość, różnorodność kulturową i tę „dziwną tajemnicę” w niej tkwiącą. Bodaj w roku 1997 *Opis* nominowano do literackiej Nike. Ta książka okazała się też wystarczającym argumentem dla gremium przyznającego prestiżową Nagrodę Kulturową Śląska Kraju Dolnej Saksonii. Byłabyż to więc pozycja w jego artystycznych dziejach przełomowa?

Nie zaryzykowałbym takiej tezy, bo przecież chwilę wcześniej ukazał się *Hermes z Górach Śląskich*, a chwilę



Śląski Orzeł 2005

Henryk Waniek



Foto: Janusz Szewczyk

potem *Inny Hermes*. I parę jeszcze rzeczy, także tych ciągle łączących Wańka ze światem sztuk pięknych. Mówię: „ciągle”, bo Waniek w ostatnich latach troszeczkę się dystansuje do swych malarskich profesji, choć ja mam podejrzenie, że dzieje się tak dlatego, bo w pewnym momencie artysta doszedł do przekonania, że nie powinien się rozpraszać. Ani niepotrzebnie, ponad rozsądek, męczyć. Pióro zdaje się być lżejsze od pędzla. I może „skuteczniejsze”? „Czas ucieka, a tyle jeszcze do napisania” – oto jakim tropem mogą podążać jego myśli.

Jeśli tak rzeczywiście jest, to być może takim momentem progowym była, zapewne kilkuletnia, praca nad powieścią *Finis Silesiae*. Notabene też nominowaną do Nike, choć to akurat nie najważniejsze, bo kto jak kto, ale Waniek nie jest wyścigowcem. To samotny piechur, który i tak pójdzie własną drogą, choćby nią miała być jakaś jemu tylko znana wąska sudecka ścieżynka... Sudecka, czyli śląska, bo

on nas wszystkich nauczył, że Śląsk trzeba postrzegać jako pewną całość. Pewną, choć niepewną, bo nie wiadomo, która z jego części jeszcze żyje...

Ale bałbym się twierdzić, że to wraz z *Finis Silesiae* w biografii twórczej Wańka dokonał się przełom. Coś się jednak stało. Tak, odniósł spektakularny sukces. Bez wątpienia. Napisał rzecz, której na polskim Śląsku nie było. Atrakcyjną – czy to bez znaczenia?! – czytelniczo. Dał więc i sobie nadzieję, że to ciekawy i ciągle płodny kierunek możliwych artystycznych penetracji. Znalazł się tym samym, chcąc nie chcąc, trochę w innym miejscu niż był przedtem. Zdecydował o tym nie tyle on sam, co czytelnicze oczekiwania, jakby mimowolnie kierowane w jego stronę. Także oczekiwania tych, którzy go tu i ówdzie zapraszają, by Śląsk po swojemu „poświadczył”. By o nim pisał i mówił. Mówił i pisał. A on te wyzwania i oczekiwania bez zbędnych emocji przyjmuje. Idzie dalej. Nie ściga się, nie biegnie. Idzie.

W marszu – zwłaszcza gdy rozsądnie zadba się o to, by nie dostać zadyszki – widać i słyszać lepiej. Można i przystanąć. O, wtedy dopiero wszystko widać i słyszać! Jeszcze lepiej! Taki jest właśnie Henryk Waniek: niespieszny, ale konsekwentny, przekonany do swych racji. Toruje drogę sobie i innym. Tym, którzy przyjdą potem. Ten marsz, ten spacer nieledwie, przywiódł go w miejsce, w którym inni chcieliby go zobaczyć w roli już nie tylko wspaniałego gawędziarza, ale także mentora. Nawet – boję się tego słowa, bo jak żadne inne się w tej naszej kochanej Polsce zużyło – autorytetu! W tych szatach Waniek – chyba? – czuje się średnio. Dlaczego? Bo sceptycznie ocenia polskie szanse na zerwanie z narodową tromtadracją, nie podobają mu się codzienne akty ekspiacji, dziwacznych uniesień, gdy trudno odróżnić przywiązanie do wartości lokalnych i regionalnych od szowinizmu i ksenofobii.

Więc dajmy mu spokój. Oczekiwania wobec jego osoby nieco powściągnijmy. On ma swój Śląsk, który – to zupełnie prawdopodobne – umarł albo w ogóle nie istniał. On ma swój styl. I z niego głównie czerpie. Jako człowiek i jako pisarz. Styl to także postawa. To nam musi wystarczyć. I wystarcza.

KRZYSZTOF KARWAT

140. rocznicy nadania Katowicom praw miejskich (11 września 1865) towarzyszyło tak wiele dobrze zorganizowanych i atrakcyjnych dla szerokiej publiczności imprez artystycznych i naukowych. Warto odnotować szerzej jedno z nich, które stało się okazją do podjęcia dyskusji nad niemieckim i polskim dziedzictwem kulturowym oraz nad polsko-niemieckim, splotami kulturalnymi w naszym mieście.

Zorganizowana w dniach 28.09 do 1.10.2005 przez Instytut Filologii Germańskiej Uniwersytetu Śląskiego, Bibliotekę Śląską oraz Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach konferencja pt. „Miasto Kattowitz/Katowice jako polsko-niemiecka przestrzeń kulturowa w latach 1865-1939” zgromadziła w pięknej sali Parnassos liczne grono referentów i dyskutantów z różnych środowisk humanistycznych, przedstawicieli kilku pokoleń, Polaków i Niemców. Jej inicjatorzy, ślascy germaniści, wychodząc naprzeciw zapytaniom i zainteresowaniom przede wszystkim studentów, postanowili przybliżyć fragment dziejów Katowic, który dokumentuje historię niemiecko-polskich powiązań w nurcie piśmienniczym miasta i podkreśla jego wielokulturowy charakter. Po 1945 r., kiedy Katowice przestały być metropolią na pograniczu języków, konfesji i kultur, zmieniły nie tylko swój kształt architektoniczno-urbanistyczny, ale i literacki wizerunek.

Wskazane przez referentów nieznane obszary wspólnego polsko-niemieckiego dziedzictwa kulturowego w mieście, dowodzą, iż wiele jeszcze zostaje do zrobienia, toteż bez znajomości wielokulturowej przestrzeni miasta nie sposób jest dyskutować o jego teraźniejszym obliczu.

★ ★ ★

Pierwszym zaprezentowanym publiczności tematem były „Kartograficzne wizerunki Katowic od XVI do połowy XX wieku i ich autorzy” (Piotr Greiner/Andrzej Złoty), zilustrowane prezentacją multimedialną. Temat ten stanowił znakomite wprowadzenie do kolejnego referatu pt. „Obraz Katowic w niemieckich i polskich monografiach miasta” (Piotr Chmiel), w którym omówione zostały i poddane wartościującej refleksji dzieła niemieckich i polskich monografistów Katowic: np. R. Holtzego, G. Hoffmanna, L. Musioła, J. Szaflarskiego i in. Po południowe obrady zakończył cykl wystąpien poświęconych katowickim kinom (Dagmara Rosół), ich re-

Spotkanie kultur, języków i narodów

Niemcy i Polacy w Katowicach 1865-1939

pertuarowi oraz ich recepcji na łamach śląskiej prasy (Urszula Biel). Pokazano także nakręcony w 1928 r. osiemnastominutowy film pt. „Stolica Śląska Katowice” w reżyserii Jana Skarbka-Malczewskiego, poprzedzony kompetentnym jak zwykle wprowadzeniem śląskiego filmoznawcy Jana Lewandowskiego.

Drugi dzień konferencji zainicjował swoim wystąpieniem dyrektor Biblioteki Śląskiej, prof. dr hab. Jan Malicki, który przedstawił długie dzieje imponującego, gromadzonego i powiększanego systematycznie księgozbioru biblioteki. Kolejne referaty kierowały uwagę ku nieznanym i zapoznanym tematom w ruchu kulturalnym i w niemieckim piśmiennictwie Katowic. Przedstawiono obraz Katowic w literackiej prasie niemieckiej (Michał Skop), w powieści „Der große Janja” napisanej przez utalentowanego niemieckiego pisarza, Arnolda Ulitza (Grażyna Barbara Szewczyk) i w prozie górnośląskiego prozaka Bruno Arndta (Monika Mańczyk-Krygiel). Zrekonstruowano w oparciu o materiały źródłowe historię pism literackich, wydawanych w Katowicach, niemieckiego „Die Gäste” (Robert Rduch) i polsko-niemieckiego „Most” (Tobiasz Janikowski) oraz dzieje niemieckich oficyn wydawniczych (Marek Kryś). Zaprezentowano niemieckich i polskich patronów ulic miasta (Ewa Tobiasz) i dokonano semantycznej analizy nazewnictwa miejskiego (Wacław Miodek/ Małgorzata Płomińska). Historię sztuk Irma Kozina omówiła najciekawsze obiekty architektoniczne Katowic w pierwszej połowie XX w., a studenci (Agnieszka Buczak i Marta Sudnik) zaproponowali „multimedialną” przechadzkę po zakątkach miasta w przeszłości i dzisiaj, dołączając do pięknych zdjęć komentarz najstarszych, pamiętających lata przedwojenne mieszkańców Katowic.

W ostatnim dniu konferencji wiedzą o życiu religijnym miasta podzielili się biskup Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego ks. Tadeusz Szurman („Ewangelicy w życiu kulturalnym Katowic”) oraz historyk niemiecki Tobiasz Weger, który na podstawie opublikowanych wspomnień katowiczana żydowskiego pochodzenia, architekta i przedsiębiorcy Waltera Grünfelda (1908-1988) przybliżył dzieje stosunków narodowościowych

w mieście („Niemcy, Żydzi i Polacy. Rzeczywistość i stereotypy w obrazie Katowic we wspomnieniach Waltera Grünfelda”). Z dużym zainteresowaniem wysłuchano także referatu ks. Andrzeja Nowickiego, który przedstawiając sylwetkę wybitnego katowiczana, uczonego ks. jezuitę Ericha Przywary (1889-1972) i nazwał go „teologiem pogranicza i dialogu”.

Referat Józefa Śliwioka („Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku 1920-1942”) skierował uwagę ku postaci innego śląskiego teologa, ks. dr. Emila Szramka, założyciela Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku. Rezultaty swoich żmudnych i odkrywczych poszukiwań badawczych zaprezentowała Ilza Kowol („Polskie Radio Katowice na pograniczu kultur 1927-1939”); Elżbieta Nawrat wskazała na polsko-niemieckie związki w życiu teatralnym Katowic („Wybijanie się na samodzielność Teatru Polskiego w Katowicach w okresie 1922-1939”); Marian Kisiel dokonał oceny najważniejszych nurtów w polskim życiu literackim miasta, a niemiecki gość Christian Lotz podjął próbę spojrzenia na dzieje Katowic z perspektywy współczesnego ich odbioru w Niemczech.

Uwieńczeniem obrad były wystąpienia potomków niemieckich katowiczian, praprawnuka sołtysa Katowic (Casimira Skiby), Bernda Skiby i prawnuka jednego z pierwszych burmistrzów miasta (Augusta Schneidera), Dirka Schneidera.

★ ★ ★

Bogactwo tematów i problemów podjętych przez referentów, młodych i starszych wiekiem badaczy, przedstawicieli kilkunastu dyscyplin naukowych oraz ożywiona dyskusja, w której często zabierali głos świadkowie historii, Andrzej Różanowicz i prof. Rudolf Buchała, świadczą o potrzebie systematycznego penetrowania obszarów kultury, w tym literatury pięknej powstającej w prężnie rozwijającym się i porównywanym na początku XX w. do Nowego Yorku mieście. Docenili ten fakt zarówno przedstawiciele władz Uniwersytetu Śląskiego (dzienek Wydziału Filologicznego Piotr Wilczek), władz miasta, (prezydent Katowic Piotr Uszok, wiceprezydent Józef Kocurek, wiceprzewodniczący Rady Miasta Tomasz Czakon), jak również władze Wydziału Teologicznego oraz dostojnicy kościołni (Metropolita Górnośląski Arcybiskup Damian Zimoń i Biskup Diecezji Opolskiej Jan Kopiec), którzy swoją obecnością zaszczytili organizatorów i uczestników spotkania.

GRAŻYNA BARBARA SZEWCZYK

KONFERENCJA

Nowy sezon w Teatrze Lalki i Aktora „Ateneum” przywitano w Katowicach prapremierą nowej bajki śląskiej *O smoku grubeloku* pióra Edmunda Wojnarowskiego. Ten uznany autor wielu sztuk dla dzieci, wystawianych chętnie przez teatry lalkowe w całej Polsce, opowiada tym razem historię bardzo prostą. Oto do jakiejś krainy przybywa na sobótkowe szaleństwa i swawole niejaki Torgolik. Wieczny powsinoga, włóczykij. Bajkowy głupi Jaś, który na końcu okaże się całkiem mądry. W każdym razie szybko staje się jasne, że ów Torgolik nie ma co liczyć na zabawę, bo siedmiogłowy smok pozabierał mieszkańcom uśmiechy, więc wszędzie jest ponuro i strasznie. Torgolik, po wielu przygodach, pokonuje smoka. Właściwie – smoczka wielkości jaszczurki, ponieważ próżność, chciwość, (a i – jak myślę – „władanie” na swoim terytorium szerzeniem strachu oraz zwalczaniem poczucia humoru) uczyniły go rzeczywiście kimś małym. Bajka kończy się szczęśliwie – uśmiechy wracają do ludzi. Opowiadając tę prostą historię autor (do tego nas zresztą zdążył już dawno przyzwyczaić) sam bawi się teatrem, jego konwencjami, wykorzystuje też rozmaite motywy baśniowe – np. kwiat paproci, diabła, widziadła sobótkowe, oczywiście tytułowego smoka, aby poprzez ich zderzenia, czy inne „poukładanie” przechodzić w swojej bajce od poezji do komizmu.

Wróćmy jednak do utraconych i odzyskanych uśmiechów. Polacy nie mają opinii narodu zbyt radosnego. Tak nas ukształtowała historia. Ale może to też wina tego, że nie potrafimy dostrzec małości naszych „smoków”? I musimy czekać nadal na jakiegoś Torgolika-Godota, który jest naszą nadzieją? Takie to, całkiem „dorosłe” (i pozbawione uśmiechu – smok czuwa) myśli nasuwają się na marginesie opowiedzianej przez Wojnarowskiego historii. Na szczęście dzieci – najważ-



Jacek Popławski jako Torgolik.

Smok nie ma wyjścia

niejszy adresat sztuki – są wolne od podobnych refleksji, dzięki czemu mogły się cieszyć bajeczką bez doszukiwania się w niej ukrytych znaczeń, jakiegoś „drugiego dna”. O dobrą zabawę małych widzów zadbali realizatorzy spektaklu. A byli to znakomici fachowcy z Czech: reżyser Petr Nosalek, scenograf Pavel Hubiczka i autor muzyki Pavel Hellebrand.

Scena „Ateneum” nie jest na pewno „teatrem ogromnym”. Jednak gościom z Czech w jakiś cudowny sposób udało się ją „powiększyć”, bo nagle przekształciła się w miejsce pełnego rozmachu, dynamicznego, barwnego widowiska. Zmieścił się na niej cały jarmark z takimi atrakcjami jak połykacz szabli, katarzyniarz, wróżące Cyganki (przy oka-

TEATR

zji – taniec Torgolika z młodszą z nich był prawie akrobacją) i inni. Scenograf zaprojektował scenę opadającą dosyć stromo w stronę widowni. To było spore utrudnienie dla aktorów, ale dzięki takiemu rozwiązaniu można było zmieścić w tej niewielkiej przecież w rzeczywistości przestrzeni nawet piekło. Brawo za tę wspaniałą inscenizację. Petr Nosalek jeszcze raz potwierdził wielką klasę. Zespół w składzie: Marta Popławska, Ewa Reymann, Aleksandra Zawalska, Marek Dindorf, Piotr Gabriel i Piotr Janiszewski „kupił” zabawę zaproponowaną przez Czechów i dobrze zrealizował swoje zadania. Bardzo atrakcyjnie wypadły wspo-

mniane już sceny zbiorowe, dobra była animacja (sztuka właściwie grana jest w żywym planie, ale pojawiają się też swoiste lalki – np. ogromne smocze głowy). Jednak prawdziwą sensacją można nazwać występ Jacka Popławskiego. Zdanie to wymaga pewnego dopowiedzenia: Edmund Wojnarowski pochodzi ze Starego Sącza. Napisał „nową bajkę śląską”, w której główny bohater mówi naszą gwarą. A Jacek Popławski, grający Torgolika, także nie jest Ślązakiem. I mimo to poradził sobie z rolą. „Godol” tak, jakby się urodził na Wilhelminie albo w Hajdukach. Wielkie uznanie.

Wojnarowski, autor doświadczony w pisarstwie teatralnym dla dzieci, bardzo dba o włączanie młodocianej widowni w akcję spektaklu. Jego bo-

haterowie zwracają się do publiczności z pytaniami, proszą o pomoc itd. Dzięki temu dorośli mają dodatkową satysfakcję z obserwowania spontanicznych reakcji dzieci, którym – co można było zobaczyć od samego początku przedstawienia – smok grubelok nie zdołał ani na chwilę odebrać uśmiechów.

BOGDAN WIDERA



„O smoku grubeloku” – scena zbiorowa.

Edmund Wojnarowski:
O smoku grubeloku. Reżyseria:
Petr Nosalek. Scenografia: Pa-
vel Hubiczka. Muzyka: Pavel
Hellebrand. Prapremiera 10
września w Śląskim Teatrze
Lalki i Aktora „Ateneum”
w Katowicach.

To, co w grafice robi Katarzyna Chudzik wraz ze swoim bratem Tomaszem obserwuję od kilku lat. Najpierw jednak pewna refleksja, która narzuca się sama, jeśli uświadomimy sobie, że mamy do czynienia z rodzeństwem, absolwentami katowickiego Wydziału Grafiki ASP w Krakowie: chociaż dzieli ich różnica kilku lat, tym co ich łączy, to sposób postrzegania świata i podobne inspiracje. Oboje są grafikami, ale na rozwój ich twórczości miały wpływ inne osobowości artystyczne: Tomasz ukończył grafikę warsztatową u prof. Stanisława Kluski, a projektowanie graficzne u prof. Tomasza Jury, natomiast Katarzyna jest absolwentką malarstwa i rysunku u prof. Jacka Rykały i grafiki warsztatowej u prof. Romana Staraka. Tomasz uprawia grafikę warsztatową i rysunek, Katarzyna rysunek i grafikę – linoryt, tworząc przy tym technikę własną – grafikę na folii. Od początku imponujące wrażenie sprawiały jej przezroczyście grafiki; w większości są to prace wielkoformatowe. Tomasz skłania się ku tradycyjnym formatom, chociaż i u niego pojawiają się duże rozmiary.

Łączy rodzeństwo Chudzików precyzja, z jaką wypracowują każdą pracę, szczególnie wypełnione kadry tylko czasami pozwalają przeдрzeć się światłu do wnętrza obrazu. Z kolei tym, co różni Tomasza i Katarzynę, to traktowanie światła: jej grafiki są gęsto wypełnione misternie kładzioną, a raczej mozolnie wydrapywaną kreską, które tworzą gęste płaszczyzny nie do prześliśnięcia się. Od dawna Katarzyna próbuje opisywać naturę: przemierzając pola i ogrody, które bardziej są tworem jej wyobraźni aniżeli odzwierciedleniem rzeczywistości. W cyklu *Ogrody*, który pokazała podczas wystawy w chorzowskiej galerii MM, z roślin formuje bryły o regularnych kształtach – nie ma tu miejsca na przypadkowość czy chaos. Można by stwierdzić, że są to pola uformowane przez człowieka, jak wszystko, co człowiek kształtuje wokół siebie. Stąd pewnie w niektórych lokuje coś na wzór starych akweduktów



Katarzyna Chudzik, *Ogród VI*, 2002, rysunek, technika własna.

Chudzik&Chudzik

z regularnymi łukami. Jest jednak w każdej z tych prac bezkres przestrzeni, chociaż dominuje ład i porządek. Czasem artystka podgląda naturę, nieco z boku, nie chcąc zburzyć harmonii. Bo to chyba właśnie tak jest: człowiek od natury uczył się ładu i porządku, a zarazem spokoju i wyciszenia. Czy człowiek w tym świecie będzie intruzem? Z pewnością nie, bo to on od tysięcy lat stara się pogodzić to, co naturalne, z tym, co przez niego wytworzone. Świat Katarzyny to świat symbiozy. Chociaż można odnieść wrażenie, że nie ma w tym świecie miejsca na światło, na zdecydowane przenikanie światła. Nic bardziej mylnego. Katarzyna potrafi przeciąć ten ułożony krajobraz światłem jak brzytwą, otworzyć inny – równie doskonały jak świat natury. Najwięcej jednak w tym świecie jest ciszy – wcale nie przerażającej czy złowroźnej. Czasem – jak w *Miętowych polach* – obrazy są pełne orzeźwiającego zapachu. Graficzne obrazy Katarzyny wprowadzają nas jak Alicja w Krainę

zontu. Najczęściej odbija się w nim światło – staje się dominujące, przenikające każdy szczegół – to na światło zwracamy uwagę w pierwszym rzędzie. Tak też jest w *Zapamiętanych kadrach*. Pejzaże Tomasza mimo pozornej statyczności są oczekiwaniem, chwilą zamkniętą w obrazie. Pełno w nich napięcie i wzajemnej zależności. Jednak pejzaże zaczynają czasem tworzyć szczelnie wypełnione przestrzenie, z biegnącymi diagonalnie fakturami, są „pejzaże przecięte” i „pejzaże łamane” – wtedy wkłada się do nich element geometrii, jakby wbrew naturze pejzażu, ale u Tomasza nie są ciałem obcym. To jedyna ingerencja artysty w ten uporządkowany świat. Bo nie wszystko w życiu jest tak poukładane...

Jednak w monochromatyczny świat Tomasza wkraśl się również kolor, czasem zestawiany w tryptykach z pejzażem czarnym, czerwonym i purpurowym. Oprócz ołówka wykorzystuje w nich pastele, które odmieniają czarno-białą materię. Jednak rysunek pozostaje w zgodzie z metalową techniką: dopracowane szczegóły starannie pokrywają często zrytmizowaną powierzchnię.

Wystawa w galerii MM pokazała, jak twórczość Katarzyny i Tomasza uzupełnia się, że mimo pozornego oddalenia są bardziej bliscy niż tylko na pierwszy rzut oka.

WIESŁAWA
KONOPELSKA



Tomasz Chudzik, z cyklu „Zapamiętane kadry”, pejzaż czarny łamany, 2005, rysunek, technika własna.

Tomasz i Katarzyna Chudzik. Rysunek, grafika. Wystawa w Miejskiej Galerii Sztuki MM w Chorzowie. Wernisaż odbył się 5 września 2005 r.

Ślężacy na Warszawskiej Jesieni

Już drugi raz z rzędu katowicki Oddział Związku Kompozytorów Polskich wystąpił z własnym koncertem towarzyszącym Międzynarodowemu Festiwalowi Muzyki Współczesnej Warszawska Jesień. Tegoroczny koncert miał świetną oprawę – odbył się 17 września w Sali Kameralnej Filharmonii Narodowej. Program musiał być dobrany pod kątem zminimalizowania kosztów, co oznacza ograniczenie liczby wykonawców i tym samym konieczność wybrania utworów o określonej obsadzie. Oszczędność kosztów nie zawsze idzie w parze z jakością. W tym przypadku asceza okazała się wyborem szczęśliwym, a prezentacja ośmiu utworów zawierających w składzie wykonawczym flet i/lub fortepian nie tylko nie znużyła słuchaczy, ale pozwoliła pokazać „śląską szkołę kompozytorską” w całym jej bogactwie i różnorodności.

Na omawianym koncercie wystąpili znakomici ślężcy muzycy: pianistka Gabriela Szendzielorz, flecistka Grażyna Jursza i pianista Andrzej Jungiewicz. Zaprezentowali utwory kompozytorów trzech pokoleń: Henryka Mikołaja Góreckiego (*Toccata na 2 fortepiany* z 1955 roku), Witolda Szalonka (drugie zaledwie w Polsce wykonanie *Bagatellae di Dalhem* z 1998 roku), Edwarda Bogusławskiego (wybór z *Preludiów dziecięcych* z 2002 roku), Aleksandra Glinkowskiego (*Dialogos na fortepian na 4 ręce* z 1976 roku), Ryszarda Gabrysia (*Deux Valses pour Gabriela* – 1. *Blanc* – już prezentowany na Śląsku i 2. *Noir* – prawykonanie), Jolanty Zdechlikiewicz-Reclik (*Walc kryminalny* – 2003), Andrzeja Dziadka – *Dzwony na fortepian* – 2004 i Mikołaja Góreckiego (*Wariacje na flet i fortepian*, 2002).

Przyjęcie koncertu ze strony warszawskiej publiczności było bardzo ciepłe. Co napiszą recenzenci, to się jeszcze okaże. Tymczasem koncert powtórzono dla katowickiej publiczności jako 93. Śląską Trybunę Kompozytorów.

Znowu „Partnerstwo”

Również drugi raz z rzędu Śląskie Towarzystwo Muzyczne wystąpiło z cyklem koncertów kameralnych połączonych z wykładami, opatrzonym wspólnym tytułem „Partnerstwo”. W muzyce kameralnej idea partnerstwa tłumaczy się zawsze jednakowo, jako idea rozmowy, współ-grania i współ-bycia. Ja-

MIEDZY NUTAMI



ko temat wykładu przybrała w tym roku bardzo różnorodne postacie, wypływające z zainteresowań osób zaproszonych do ich wygłoszenia. Na inauguracyjnym koncercie-wykładzie w Studio Koncertowym Polskiego Radia (14 września) socjolog Mieczysław Juda mówił o dialogu współczesnego artysty z „cyfrowym cieniem”; w części muzycznej znalazła się m.in. *Historia żołnierza Strawińskiego*. Drugi koncert w studio radiowym (1 września) był wieczorem pieśni (Schubert – Schönberg – Dworzak). W kontekście pieśniowego programu o „sztuce rozmowy” mówił Krzysztof Kłosiński. Trzeci koncert (10 października) zorganizowano aż w Rybniku (zasadą cyklu jest powtarzanie imprez w ośrodkach ościennych; w tym roku odbyły się one, poza Katowicami i Rybnikiem, w Rudzie Śląskiej i Bytomiu – tam oczywiście w nowej sali imienia Adama Didura).

O części wykładowej tej trzeciej imprezy zamilczę, gdyż była mojego autorstwa. Natomiast koniecznie muszę wspomnieć o wydarzeniu, jakim było wykonanie przez skrzypka Piotra Plawniera (mieszkającego w Szwajcarii, ale utrzymującego kontakt z krajem – profesora katowickiej Akademii Muzycznej) i znaną wszystkim doskonale pianistkę Magdalenę Lisak dwóch wielkich sonat: *Kreutzerowskiej* Beethovena i *II Sonaty na skrzypce i fortepian* op. 94 bis Sergiusza Prokofiewa. Pierwsza sprawa: genialny Stainway, który stoi od niedawna w pięknej, nowoczesnej rybnickiej szkole muzycznej. Po drugie: wspaniała kreacja dwójga artystów, niesłychanie emocjonalna, nakierowana na stałe, niemal intymne porozumienie, poszukująca wspólnego rytmu fraz, akcentów, oddechu. Absolutny profesjonalizm i czyste, naturalne piękno. Szkoda, że ta para koncertuje ze sobą tak rzadko.

Pożegnaliśmy Klarę

W niedzielę 18 września zmarła w Domu Kombatanta w Bytomiu-Miechowicach Klara Langer-Danecka. Wprowadziła się tam kilka tygodni wcześniej. Ze zlikwidowanego mieszkania na katowickiej Koszutce zabrała swoje pianino, parę książek i ukochany portret Beethovena, który dawniej wisiał nad kanapą w salonie. W niedzielny wieczór zaczęła ćwiczyć Chopina – następnego dnia miała wystąpić z półrecitalem jego utworów. „Śmierć przy ukochanym instrumencie – tak odchodzą tylko najwięksi” – napisał Marek Skocza w pożegnalnym wspomnieniu wydrukowanym w gazecie „Silesia Prezentuje”. Czy dano jej za życia poczuć się największą? – wiele by o tym mówić. Sama wolala być potrzebną – jeszcze wprowadzając



Ostatnie zdjęcie Klary Langer-Daneckiej z uczniami, zrobione w czerwcu w Miechowicach.

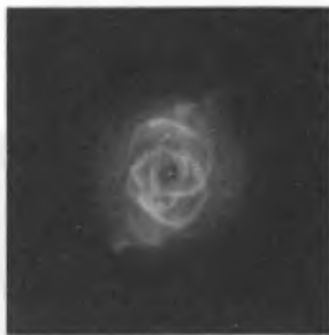
się do Domu Kombatanta snuła plany otoczenia opieką innych pensjonariuszy, cieszyła się z ich podekscytowania faktem, że w „zielonej” sali służącej jako klub i miejsce prób chóru seniorów stanęło pianino. Nie zamykała przez nikim swego instrumentu – dzieliła się w ten sposób muzyką również wówczas, gdy milczał. Dzielenie się muzyką uważała za sens swego życia. Wiele razy powtarzała, że będzie żyć tak długo, jak długo będzie mogła grać.

We wrześniowe, bajecznie ciepłe i pogodne przedpołudnie odprowadzili Ją na cmentarz krewni, przyjaciele, współpracownicy, uczniowie. Były łąy i morze kwiatów, a przedtem Msza święta w Katedrze, uświetniona ostatnimi darami muzycznymi w wykonaniu przyjaciół. Do mszy grał Julian Gembalski. Pożegnał trumnę ze szczątkami Wielkiej Artystki przepiękną improwizacją opartą o motywy Jej najbardziej ukochanych utworów – sonat Beethovena. Ostatni raz zabrzmiała dla Klary *Patetyczna*, *Księżycowa* i *Appassionata*.

MAGDALENA DZIADEK

Wiersz jest twardy, zimny, pozabawiony uczuć, ale równocześnie delikatny, ledwie zaznaczony, jakby słowo tylko musnęło istotę rzeczy, tworząc niewiele ponad notatkę, sygnał, nietrwały ślad. Taki wniosek można wywieść z – zapewne topornej, bo opartej na odczytaniu znaczeń dosłownych – interpretacji tytułu najnowszego zbioru wierszy Ryszarda Krynickiego zatytułowanego „Kamień, szron”. Określenie „najnowszy zbiór wierszy” jest bardzo nieadekwatne, bo sugerować może, że raz po raz pojawiają się nowe tomy Krynickiego. Tymczasem Krynicki przede wszystkim milczy. I w tym milczeniu rzadko wraca do poezji, ale powraca tak jakby wracał do wół przerwanego listu, wiersza, zdania; po prostu kontynuuje. Może właśnie dlatego jest jednym z najlepszych poetów tzw. Nowej Fali, bo nie czuje potrzeby, aby kolejnymi książkami dokumentować rozwój, mówić dużo, a przy okazji powtarzać wciąż te same frazy – tyle, że w coraz bardziej nużący sposób. Kiedy kolejni nauczyciele odczytują listę obecności – nie wyrywa się bez przerwy ze swoim głośnym „jestem”. Dlatego na jego głos się czeka, a jego milczenie też wiele znaczy. Podobnie jest zresztą w przypadku innego nowofalowego twórcy, prezentującego zupełnie inny etos i paradygmat, Stanisława Stabro – wielkiego nieobecnego dzisiejszej literatury, choć kiedyś wyznaczał szlaki, dzięki którym literatura rozumiana jak głos uczciwy mogła przetrwać.

Z „Kamienia, szronu” najgłębiej zapadają we mnie teksty z cyklu „Wiersze podróże” oraz cykl „Szron”. Uwagę poety przykuwa przede wszystkim to, co znajduje się u ostatecznego celu podróży; już za końcową jej stacją. Te kamyki składają się w traktat o przemijaniu. Stąd dialog z umarłymi. Z tymi w gruncie rzeczy obojętnymi: „*Jak tu się znalazłaś, / biedna mumio egipskiej księżniczki, / wystawiona na cudze spojrzenia? / Teraz tutaj są twoje zaświaty. / Sam przez chwilę jestem ich częścią, / póki patrzą na ciebie. // Innych, jak dotąd, nie ma. / Nie wiadomo, / czy będą.*” Albo z umarłymi, którzy byli bliscy. W wierszu poprzedzającym zacytowane przed chwilą „Muzeum Sztuk Pięknych w Budapeszcie” czytamy: „*Przed chwilą rozmawialiśmy o Brechcie / z Györgym Petri, / moim rówieśnikiem, / który umarł dwa lata temu. // (Szczepnie mówiąc, milczeliśmy, / ale dobrze wiedzieliśmy, o co chodzi). // No dobrze – przerwałem mu – ale powiedz mi, / jak*



Ryszard Krynicki
Kamień, szron

Ryszard Krynicki – *Kamień, szron*. Wydawnictwo a5, Kraków 2005, str. 120.

Pod ścianą ze znużenia i mgły

tam jest? // Jakie tam – wzruszył ramionami – / przecież jesteśmy tutaj.” Z obu tekstów wynika dość jasna pointa – prawdziwych zaświatów nie ma, albo przynajmniej ich istnienie pozostaje nader wątpliwe. Pewni możemy być tylko tego, co „tutaj”, nawet gdyby „tam” miało jednak istnieć: „*Po drugiej stronie, / jeśli się przypadkowo spotkamy, / będzie pewnie podobnie. // Jeśli jest.*” Dlatego tylko „tutaj” możemy odcisnąć, zaznaczyć swój ślad. Zostawić swój ślad „Ukradkiem”: „*Ukradkiem, dyskretnie / podnoszę ze ścieżki / swojego starszego brata, / ślimaka, / żeby go nikt nie nadepnął. // Starszego pewnie o miliony lat. / Brata w niepewności istnienia. / Obaj jednak nie wiemy, / po co zostaliśmy stworzeni. / Obaj jednak zapisujemy nieme pytania, / każdy swoim najbardziej intymnym piśmem: // potem strachu, nasieniem, służem.*”

Równie ważna jak pytanie o wartość wieczności wydaje się dla Krynickiego próba zdefiniowania samej poezji: „*Na kruchych rękopisach starego poety / widać ślady popiołu, liczne dziurki po / papierosach, plamy po kawie, rzadko / po czerwonym winie, i niekiedy / ledwo*

czytelne odciski / kocich łapek, ginące // w czasoprzestrzeni.” Czy poezja ginie w czasoprzestrzeni, a zaświatów nie ma? Czy oznacza to, że omnis moriar, że nic nie pozostaje. Jaką próbą nadziei jest „Miłorząb”: „*Był pojedynczy, rozdwojony w sobie / posadziłem miłorząb japoński / (na cześć Goethego, / to jasne). // Nie chciałbym, żeby żył samotnie. / Jednak by się przekonać, / czy jest on męski, czy żeński / musiałbym przeżyć jeszcze / co najmniej czterdzieści lat. // Nie zanoszę się na to. // Jeżeli przeżyje mój wiersz, / dosadźcie mu towarzysza, / dosadźcie mu towarzyszkę / na resztę życia. // U miłorzębów / taka drobna różnica wieku / nie ma większego znaczenia.*” To piękna przypowieść o kruchości człowieka wobec przyrody i manifestacja nadziei w ocalającą siłę – już nie poezji – wiersza. Trudno o dobitniejszy wyraz pokory twórcy wyrastającego z cywilizacji, u której podwalin leży m.in. stwierdzenie *ars longa, vita brevis*. Taka pokora dotyczy nie tylko pryncypiów, ale także własnego miejsca. Zacytujmy w tym miejscu jeszcze metapoetycki „Efekt obcości”, który zapewne jakoś usprawiedliwia predylekcje Ryszarda Krynickiego do milczenia:

*Własne wiersze wolę czytać
w obcym języku:
zajęty obracaniem w ustach
kamyków prawidłowej wymowy*

*mniej odczuwam bezwstyd swojego
wyznania*

„Kamień, szron” to wielka książka. Przykład, że wciąż jeszcze można pisać poezję o czystym tonie. Krynicki przekonuje jak wielką wartość ma milczenie w poezji i poezja w milczeniu. Oszczędność w słowie. Można odnaleźć podobieństwa dykcyjne z twórczością Jana Polkowskiego; pewne jest jednak, że autor ma znacznie większych mistrzów – z Herbertem na czele. Wiersze Ryszarda Krynickiego są szlachetne powściągliwością. Ascezą w środkach wyrazu, w metaforze. Bo nie chodzi o to, żeby poezja była piękna. Taką łatwo sprowadzić do rangi bibelotu. Nie musi być też dramatem, a światła nie wyjaśni, bo jego samotność jest zbyt przejmująca. Poezji wystarczy rola małego znaku zapytania w chwili, kiedy stoimy pod „ścianą ze znużenia i mgły”. Wiersz jest pukaniem w ten najtwardszy z murów, wyrzuceniem na nim małym znakiem, który być może odczytają inni.

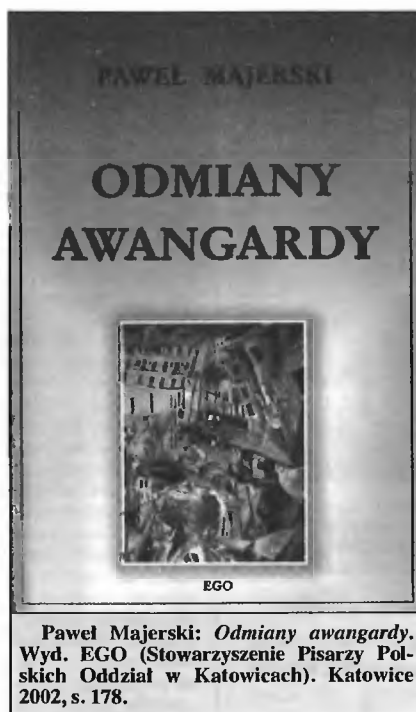
MARCIN HAŁAŚ

O książce Pawła Majerskiego *Odmiany awangardy* Marian Kisiel we *Wstępie* pisał: „W trakcie tej lektury pytałem siebie wielokrotnie o to, czy awangardyzm może stanowić odtrutkę na zmącenie dzisiejszej świadomości literackiej; czy jego rozmaite ekscesy cokolwiek zmieniają w nabytych przyzwyczajeniach; czy jego – po latach – „ustandaryzowanie” poszerza powszechną wiedzę o meandrach rozwoju sztuki... Niechętnie przystałem na opinię paseistów. Chyba niełatwo będzie beatyfikować w powszechnej świadomości tych, którzy przeciwko powszechnej świadomości programowo wystąpili. Walczy we mnie historyk literatury z opornym czytelnikiem. (...) w dziejach sztuki słowa recepcyjne odtrącenie, na początku wyraźne, z biegiem lat staje się zupełnie marginalne i wreszcie naturalnie zanika. Tak będzie (już jest) z recepcją myśli i dokonań awangardowych...” (s. 9).

Trafne to spostrzeżenia, zwłaszcza że Majerski omawia w publikacji awangardyzm z pozycji historyka literatury i proponuje czytelnikowi nową sytuację lektury twórczości, uchodzącej za awangardową. Czytając poprzednią książkę Majerskiego (poświęconą w całości liryce Anatola Sterna, współtwórcy polskiego futuryzmu), Andrzej K. Waśkiewicz zwracał na przykład uwagę w „*Twórczości*”, iż jest ona „świadectwem fascynacji, takiej, która owocuje odkrywczymi interpretacjami, nowymi odczytaniem, przedmiot swych badań ukazuje z niedostrzeganych dotąd perspektyw”, Jan Pieszczachowicz notował na łamach „*Śląska*”, że uzupełnia ona wiedzę o „powikłanych dziejach polskiej poezji” w sposób „rozważny i obiektywny”, Andrzej Zawada zwracał natomiast uwagę w „*Nowych Książkach*” na „bogaty w nowe uporządkowania i oryginalne odczytania opis twórczości najpierw głośnego, potem znanego poety”. Teraz w esejach o Jerzym Jankowskim, Anatolu Sternie, Brunonie Jasieńskim, Janie Brzękowskim i Tadeuszu Różewiczu Majerski wskazuje drogi wyłamywania się twórców z utartych szlaków i ich poszukiwanie własnego wyrazu rzeczywistości. Ale Paweł Majerski udowadnia, że awangardyzm wynika z naturalnych praw rozwoju sztuki.

Jego publikacja składa się z czterech części. Każda posiada własną, odrębną stylistykę. Wyraża się ona w propozycji już w tytule ocen dokonanych przywoływanych twórców. Nie bez znaczenia pozostaje tu fakt, że Majerski jest również poetą.

W pierwszej części, przypominając Jerzego Jankowskiego. – *Jerzy Jankowski i symbolistyczna autodestrukcja. O zapomnianym epizodzie*



Paweł Majerski: *Odmiany awangardy*. Wyd. EGO (Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Katowicach). Katowice 2002, s. 178.

Drogi awangardy

wileńskiej poezji – autor zwraca uwagę, że powstanie grupy literackiej Banda (1909) zaważyło na jego poezji. Jej literackie zdobycze mierzyć należy almanachem *Zórawce*. Majerski z literackiej drogi Jankowskiego omawia nieznane dotąd, lecz ważne epizody: „*Zórawce* natomiast pozostały nie zauważone i szybko zapomniane. Potwierdzeniem niech będzie chociażby wspomnienie Czesława Miłosza: „»Gdyby nie przeglądana tam (tj. u siostry Wacława Pawlikowskiego – przyp. P.M.) przeze mnie zawartość półek nigdy bym np. nie wiedział, że wychodził kiedyś, w 1914 czy 1915, taki almanach *Zórawce*, wypełniony późnomłodopolską poezją i prozą.« Znamienne – Miłosz myli nawet rok publikacji.” (s. 28).

W eseju drugim – „*Widzenie rzeczy*”. O języku (w) poezji Anatola Sterna – autor wskazuje sposoby awangardowych poszukiwań tego poety, jak na przykład sięganie do wzorów hai-kai. Wyjaśnić trzeba, że gdy Majerski omawia drogi poszukiwań polskich futurystów, swoje spostrzeżenia sytuuje na tle futurystycznych osiągnięć europejskich.

Kolejna część książki poświęcona jest Brunonowi Jasieńskiemu. – *Brunona Jasieńskiego re-konstruowanie*

literatury i świata. Przygotowanie do lektury powieści „Pałę Paryż”. W jej podsumowaniu Majerski stwierdza: „Jasieński uznał sztukę słowa za »nieodparty oręż«, który będzie mógł wykorzystać w rozwijających się naokoło »klasowych bitwach«. Dlatego – a może to być główna przyczyna – napisał *Pałę Paryż*” (s. 78).

Przy Janie Brzękowskim. – *Boczny tor awangardowego eksperymentu. O powieściach Jana Brzękowskiego* – autor zastanawia się nad milczeniem wokół jego twórczości, konkludując, że jego prozatorską spuścizną nie interesują się wydawcy („dziś zresztą – czytamy w szkicu – proza polskiej awangardy znalazła się na marginesie edytorskich zainteresowań. (...) Jego dorobek zasługuje wszakże na przypomnienie – w kontekście propozycji Wielkiej Awangardy, a także w kontekście powojennych przeobrażeń form gatunkowych”). To wielka szkoda, że w polskiej czytelniczej świadomości pozostaje tylko Brzękowski-poeta.

Trzecia część książki Pawła Majerskiego dotyczy konfliktu Antoniego Słonimskiego z Anatolem Sternem (*Sytuacja futuryzmu polskiego po przełomie październikowym. Na marginesie sporu Anatola Sterna z Antonim Słonimskim*), pokoleniowej debaty Nowej Fali o kształcie poezji (*Spór o poezję: Kontekst i Nowa Fala*) oraz zjawiska art-zinowego („*Odnova użebienia naszej świadomości*”, czyli *neofuturystyczne tendencje w polskim obiegu alternatywnym*). W czwartej części natomiast autor poszukuje głębi w poezji Tadeusza Różewicza (*W stanie niepokoju. Tadeusza Różewicza „zawsze fragment. recycling”*). W tym końcowym eseju niezwykle istotne są dwa ostatnie wyróżnione podtytuły: *Księga, katharsis* oraz *Granice Niepokoju*. W nich to Majerski – krytyk literacki stara się odnaleźć miarę poetyckości, a próbując ją w jakikolwiek sposób określić odwołuje się do tomu Różewicza *Niepokój. Wybór wierszy* (2000). Majerski – poeta kończy swoje uwagi zdaniem (nie puentą): „Ten tom będzie niepokoił poetów i interpretatorów, będzie niepokoił czytelników. Pamiętając o egzystencjalnej metaforze Różewicza – zastanowią się oni, czy wciąż spadamy, czy nic nie istnieje (istnieje Nie?) w racjonalnie pojętym kresie upadku...” (s. 172).

Stwierdziłam wcześniej, że Paweł Majerski w *Odmianach awangardy* proponuje nową sytuację lektury utworów twórców awangardowych. To końcowe zdanie potwierdza moją konstatację, jak też dowodzi wagi tej publikacji.

BARBARA PYTLOS

Nową serię wydawnictwa PIW „80 światów” rozpoczął fascynujący zbiór opowiadań Paula Bowlesa (1910-1999). Urodzonego w Stanach Zjednoczonych, ale potem przez ponad połowę życia żyjącego w Maroku. Kompozytora, poety, prozaika, tłumacza, ale też podróżnika, a o podróżach – rozumianych jako przemieszczanie się w przestrzeni, ale też penetrowanie rozmaitych obszarów umysłu traktuje wspomniana seria. W swoich opowiadaniach Bowles zachwyca odmiennością spojrzenia. Opowiada o tym co się dzieje ustami swoich bohaterów, poprzez opisy ich działań, ale brak w tym relacjonowaniu jakiegokolwiek emocjonalnego stosunku do nich, jakieś, choć drobnej wskazówki, że autor pochwała to co czynią. Wszystko, w przedstawianym świecie, wydaje się, jest na swoim miejscu (tak jak dobro i zło nieodłącznie istnieją w ludzkiej naturze). A my, czytelnicy powinniśmy czuć się szczęściarzami, że możemy go podpatrzeć, przez moment zobaczyć z przenikliwością i dokładnością jak w filmowym, trochę zwolnionym zapisie. Chwilami mamy wrażenie, że świat i wrzuceni w niego ludzie obserwowani są nie przez oko jakiejś kamery, ale przez szkło powiększające wnikliwego badacza. Tyle, że nie dowiadujemy się do jakich dochodzi wniosków. W miarę lektury przyzwyczajamy się do myśli, którą w podtekście chcemy sugerować autor – nie nam oceniać czyny bohaterów, ich zachowania, reakcje, skoro często dla nich samych pozostają one tajemnicą. Świat opowiadań Bowlesa jawi się jak zagadka, którą podczas lektury, wspomaganą przez podpowiedzi autora, sami musimy rozwiązać. Bohaterowie pokazani są w sytuacjach ekstremalnych – oszczenie i okaleczenie językoznawcy, francuskiego Profesora w wiosce Ajn Tawirt („Odległy epizod”), podróż poślubna na statku, kończąca się rozstaniem („Postój w Corazon”), praca pastora w indyjskiej wiosce, gdzie wszystko pcha duchownego do zaprzeczania wierze i ideałom, co ostatecznie kończy się jego ucieczką



Tajemnica Bowlesa

(„Pastor Dowe w Tacate”). Widzimy ich w punkcie, w którym dotychczasowe życie ulega zmianie. Owa „ekstremalność” przedstawiania potęgowana jest przez konfrontację postaci z inną kulturą, w której przyszło im się znaleźć (często przyjeżdżają z USA do Afryki czy Ameryki Południowej). Ci przybywający są biali, dźwigają cały bagaż cywilizacji. I w nowych dla siebie krajach spotykają czarno bądź czerwono-skórych. Początkowo, tak jak Anicie („Z daleka od domu”) wydają im się oni „cieniami ludzi, którzy nie są zdomowieni w kraju białych, (...) przez co są ludźmi z zewnątrz”. Z czasem zaczynają dostrzegać, że ci ludzie „są panami otoczenia, całkowicie zdomowionymi w lokalnej kulturze (...) że to czarni są prawdziwymi ludźmi (...)”, oni zaś cieniami. Często wydaje się, że świat widziany przez tych drugich, pozornie prymitywniejszych, całkowicie uzależnionych od siły natury, staje się o wiele bardziej czytelny. Że to oni, paradoksalnie, posiadli tajemnicę życia w harmonii z nim i z sobą. A to chyba najważniejsze co może człowiekowi się zdarzyć – wydaje się konstatować autor.

BARBARA GRUSZKA-ZYCH

„Popiół i wiatr” to kontynuacja „Zbioru felietonów „Życie i literatura”, które opublikowane zostały w 1998 roku. Aleksander Jurewicz autor książek poetyckich oraz powieści (m.in. „Lida” i „Prawdziwa ballada o miłości”) śledzi w swoich tekstach przenikanie życia i literatury, banału i cudu, narodzin i śmierci miłości.

W zbiorze „Popiół i wiatr” pisarz po raz kolejny wyraźnie określa swój stosunek do literatury, która idzie pod prąd, nie podporządkowuje się chwilowym modom, towarzyskim bądź politycznym układom ani niezbyt wyrafinowanym gustom. Broni odważnie twórczości, która nie daje gotowych odpowiedzi, lecz nieustannie zadaje pytania, rodzi się ze zwątpienia, wskazuje granicę między dobrem i złem oraz pomaga czytelnikowi iść „nawet prawędzią rozpacz”. Iść do końca. Pisarz cytuje znakomity wiersz Denise Levertova, w którym poetka napisała: „Dwie dziewczyny / odkrywają nagle / w jednej linijce wiersza / tajemnicę życia. / Ja, która nie znam tej / tajemnicy, napisałam / tę linijkę. / Powiedziały / mi / (przez osobę trzecią), / że ją znalazły, / ale nie powiedziały / co to za tajemnica / i która to linijka”. I tak oto wiersz tej poetki staje się dla autora „Popiołu i wiatru” pretekstem do rozważań na temat pisania jako tajemnicy życia. Pisarz próbuje opisać tajemnicę bólu, rozłąki, miłości (a przynajmniej jej fragment, ułamek), nazwać ją, zamaskować. Natomiast czytelnik odnajduje w niej swoją własną tajemnicę, swój prywatny, intymny sekret. I tak oto powstaje tajemny krąg, przedziwna, niepowtarzalna więź, literacki dialog.

Jurewicz bardzo przekonująco, bez kokieterii pisze o niepewności towarzyszącej pisaniu, będącej integralną częścią tworzenia, jak również o wewnętrznej przymusie pisania w taki, a nie inny sposób – mimo że książka może naruszyć rodzinne tabu, mimo że panują obecnie inne mody i o miłości mówi się już zupełnie innym językiem. Pisarz odwołuje się również do wywiadu z Janosem Pilinskim, który odpowiadając na pytanie, dlaczego pisze tak mało, stwierdził: „Nie jest ważne, ile razy ptak bije skrzydłem, ale że stworzony do lotu”. To bardzo ważne słowa w kontekście sposobu myślenia o literaturze, która ma być formą brania odpowiedzialności za słowa, a nie produkcją jak największej ilości komunikatów – fabryką książek.

W rozważaniach Aleksandra Jurewicza do głosu nieustannie dochodzą inni twórcy. Pisarz wspomina wykład Zbigniewa Herberta na Uniwersytecie Gdańskim, cytuje wypowiedź Salmána Rushdie o Günterze Grassie i przywołuje anegdotę, iż autor „Błaszczanego bębna” wybierał się do dentysty, kiedy dowiedział się o Nagrodzie Nobla, jak również w „Wypiskach z Osobistego Elementarza” przedstawia ślady po swoich lekturach, czyli wybrane fragmenty z książek ulubionych autorów (pojawia się m.in. Emily Dickinson, Jarosław Iwaszkiewicz, Malcolm Lowry, Emanuele Severino, Czesław Miłosz). I dzięki tym wypowiedziom po raz kolejny dostrzegamy w tej książce tajemnicę literatury. Fragmenty dzieł innych autorów odsłaniają bowiem prawdę o tych, którzy owe dzieła czytają i zatrzymują swój wzrok na tej – a nie innej linijce.

Ta książka jest również opowieścią o miłości, rozstaniu, które jest już bli-

Aleksander Jurewicz

Popiół i wiatr

Aleksander Jurewicz: **Popiół i wiatr**, wys. słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2005.

Tajemny krąg

zną, ale taką o której się nie zapomina, która boli. Aleksander Jurewicz przywołuje fragment z „Dzikich palm” Williama Faulknera, w którym pisarz stwierdził: „Mówią, że miłość umiera między dwójgim ludźmi. To nieprawda. Nie umiera. Opuszcza tylko człowieka, odchodzi, jeśli nie zasługuje na nią, jeśli nie jest jej godzien. Miłość nie umiera, tylko ludzie umierają.” Czy tak jest na pewno? Jurewicz opisuje swój bunt wobec śmierci miłości, nagle zdziwienie, że można żyć bez siebie, zaskoczenie, iż „drugie klucze leżą na podłodze jak wypalone gwiazdy rzucone na trawę” – tak po prostu i nie dzieje się nic. Nie udziela jednak żadnych jednoznacznych odpowiedzi, nie oskarża, nie szuka zemsty ani usprawiedliwienia.

Pisałam o buncie w tej książce. Ten bunt pojawia się u tego autora także w kontekście niezgody na przemijanie i próby ocalania ludzi poprzez umieszczenie ich w literackim świecie, dramatyczne zatrzymywanie ich w języku, w słowach. Ta próba pojawia się przy opisywaniu powrotu na rodzinny Białoruś, jak również wspomnień o ojcu zapisanych chociażby w znakomitym wierszu „Elegia rodzinna na motywach snu z 19/20 lipca 1999 roku”. Ale Jurewicz jako wnikliwy komentator i obserwator rzeczywistości chce zmierzyć się nie tylko z prawdą w sobie, ale i prawdą wokół siebie. Dlatego obok prywatnych wspomnień, pojawiają się obrazy, chociażby takie jak bezdomna para przeszkukująca śmiertelności i porozumiewająca się „krótkimi błyskami zmęczonych oczu”. Mogą pojawić się głosy czytelników, których nie przekona męska wersja sentymentalizmu i nostalgii, tak charakterystyczna dla Aleksandra Jurewicza. Mnie ta książka jednak przekonuje. Jest w niej silna i konsekwentna niezgoda na przemijanie, otwarte, twórcze spojrzenie na świat – ten za oknem i ten na kartce papieru oraz odwaga, by nazywać to, co wydaje się być poza językiem, ponad nim, ponad nami. I jeszcze coś. Wspólna tajemnica.

KATARZYNA E. ZDANOWICZ

Tylko poeta mógł znaleźć słowa adekwatne do wyrażenia wszystkich odcieni ciemności spowijającej duszę człowieka w depresji. To właśnie ona – badana „od wewnątrz” i „z zewnątrz” – stanowi główny nurt narracji *Rzeka podziemnej* Tomasza Jastruna – nurt rwący i nieokiełznany – o niepewnym początku i dramatycznym końcu. Wszystkiemu, co napotka na swej drodze, od rośliny po człowieka, każe zstąpić pod ziemię – zaniknąć. Do połowy powieści jest ona tylko rysem indywidualności ekstrawertyka, którego odczucia i przemyślenia nie mieszczą się w skali przeciętności. Rozkładając jego osobowość na nieprzystające do siebie elementy, stopniowo wymyka się wszelkiej skali. Anektując umysł narratora, wciąga go w otchłań rozpacz. Dąży jak mikro błąd po tkanecce, zatruwając je jadem niemocy. W myśl zasady, że *każde oko ma swój oczodół*, wdzierając się do samego dna jestestwa. Nikłą pociechą intelektualisty są próby „zniczulenia” słowem niecznośnego bólu istnienia. Graniczące z narcyzmem celebrowanie własnej wrażliwości nie sprawdza się jednak jako skuteczne antidotum. Język – dosadnie potoczny, momentami wulgarny, to znów kipiący od wyszukanych metafor, pozwala wprawdzie „otworzyć” wrzody duszy, ale pogłębiając samoświadomość, tylko wzmacnia chorobę. Jego siłą jest bez wątpienia autentyzm – na tyle przekonujący, by ugruntować w nas przeświadczenie, że mamy do czynienia z wypowiedzią konfesyjną. Wrażenie rozbrajającej szczerości wyznają potęgę ich gorączkowa emocjonalność, chaotyczność i brak autocenzury. Szybko wpaść można w pułapkę współodczuwania, a poniekąd i utożsamiania się z bohaterem, zwłaszcza, że jego doświadczenia wpisują się w kontekst spraw, którymi na co dzień żyjemy – znamienitych dla wielkomiejskiej dżungli. Stopniowo jednak postrzeganie rzeczywistości i własnej egzystencji staje się coraz bardziej irracjonalne, z nadzbyt wyraźnie odcisniętym piętnem szaleństwa, byśmy mogli mówić o jakiegokolwiek identyfikacji. Skala ekscesów, których się dopuszcza przekracza nieraz granice dobrego smaku. Zwłaszcza, gdy niczym rasowy ekshibicjonista bezwstydnie zdziera wszystkie zasłony intymności, nie pozostawiając nawet symbolicznego figowego listka. Ale, paradoksalnie, w tym szaleństwie libido i ekstrawertycznych zachowań rozgrywa się jego walka o pozory normalności. Głośna i szokująca, by zagłuszyć szum *rzeki podziemnej*, której utajony nurt rozsada go od środka. Wszystkie poczynania zmierzają więc ku temu, by stawić mu opór: ucieczka w przyjemności, poszukiwanie namiastek uczuć, nerwowe studiowanie incipitów recept, rady szarlatanów, radiestetów, psychiatrów itp. Zanim powieść ostatecznie przekształca



Zapiski z dna

się w świadectwo umierania bohatera, otrzymujemy przejmującą diagnozę choroby, toczącej jego życie. Dezintegracja osobowości nie przebiega oczywiście w społecznej próżni – towarzyszy jej rozkład wizji świata, której wierzył. Jako były opozycjonista, obserwuje postępującą dewaluację idei „Solidarności”: rozmycie granic między wizją i czernią, miłość aspiracji, zanik zmysłu prawdy i kilku innych, które zapewniały niegdyś pewną życiową orientację. Dojrzuje do buntu, ale wobec braku wroga, nie znajduje jego „adresata”? Atakuje swą elokwencją zmyły konsumpcjonizmu, ulegając im jednak z taką łatwością jak ci, którzy nie znają ich prymitywnych sztuczek. Tak samo jak oni przedkłada cenę nad wartość, oportunizm nad opór, a komfort i luksus nad wszystko inne. Rezygnując z pisarskich ambicji, tworzy słowne paki dla reklamy. Świadomość niemoralności pracy niczego w nim nie zmienia – rodzi tylko poczucie duchowego bankructwa. Cena kompromisu jest wiadoma – po rozmieleniu wszystkich wartości na drobne i roztrwonieniu ich w przyjemnościach, sięga dna. Rozpaczliwe poszukiwanie ratunku w bliskości drugiego człowieka, kończą się tylko grą pozorów i utratą złudzeń. Każde zbliżenie odpycha i wtrąca w jeszcze większą samotność. Ostatnią namiastką prawdziwej więzi jest ta, łącząca go z równie samotnymi – przez ekran monitora lub szybę samochodu, którym pędzi w mrokach nocy. Na końcu drogi pada już tylko pytanie: *jak zanieść śmierć?* Jedyńm sprzymierzeńcem pozostaje czas, który może ukończyć cierpienie. *Wewnętrzny lekarz przeistacza się w grabarza.*

ALEKSANDRA FRANKE

Maria Dąbrowska-Partyka w dobrze udokumentowanej publikacji naukowej „Literatura pogranicza, pogranicza literatury” rozróżnia dwie postawy społeczne: ksenofobiczne z ostrym podziałem na terytorium swoje i obce oraz pomostowe, ukazujące źródło bogactwa kontaktów sąsiedzkich. Żadna postawa nie jest statyczna. Znakomita slawistka wielokrotnie wypowiadała się o złożonej problematyce literatur peryferyjnych wychodząc z założenia, iż „kultury słowiańskie to typowe kultury pogranicza”. W kompleksie prowincjonalności, kontrastów, nadmiaru historii i braku historii, zagrożenia odczyn bliższych, płynnej tożsamości, identyfikacji, nacjonalizmów dostrzega także np. niezwykle żywotność mitów.

Oto jeden z przykładów. Gdy kłeska traci status ważnego faktu historycznego – pisze autorka – przybiera postać mitycznej opowieści o „początku dzisiejszego świata”, prądródle współczesnego losu, czyli narodowego mitu politycznego, „którego byt w sferze świadomości społecznej staje się bardziej wyrazisty niż wiedza o historycznym przebiegu wydarzeń”. Ten model przemian przywołuje w oparciu o doświadczenia nacjonalne byłej Jugosławii (Ivo Andrić), jak również relacje niemiecko-polskie (Günter Grass, Horst Bienek).

Odrębność świata pogranicza pojawia się nie tylko na planie narracyjnym dzieła literackiego, ile poprzez symboliczne partnerstwo ciągłych konfrontacji wartości. Geografia pogranicza opisuje przestrzeń wyobraźni i pamięci skoncentrowanych na opozycji swojskości-obcości, współistnienia postaw otwarcia i zamknięcia, dialogu, osławiania inności. Dwoistość i ambiwalencja kultury charakteryzuje najważniejsze modele literackie. Duża część pisarzy pogranicza eksponuje piętno, przekleństwo życia „po-między” (Andrić), inni podkreślają wpływ pozytywny z rysem tragizmu (Bienek, Grass).

Pierwsza część omawianej pozycji podejmuje analizę ważnych składników istoty pogranicza, np. jako stan



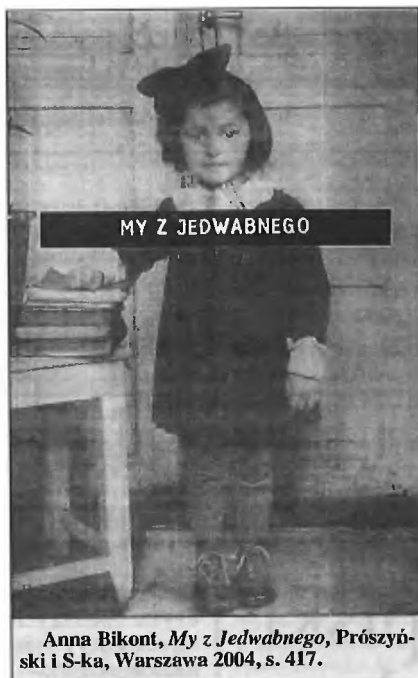
Paradoksy pogranicza

świadomości kultury, znak sytuacji kultury, czasoprzestrzeń i bohater literatury, wreszcie paradoksy losu bałkańskiego pisarza zafascynowanego urodą egzotyki krainy granicznej a jednocześnie pomawianego o zdradę Bośni i Serbii, wykorzenionego, osamotnionego. Świat, którego centrum stanowi granica, bywa często światem „ludzi znikąd”, natomiast zło jawi się jako atak podstępnej i agresywnej inności na świat dobry i uporządkowany.

Druga część interesującej książki Marii Dąbrowskiej-Partyki poświęcona jest szczegółowym aspektom konfliktów narodowościowych Jugosławii, szczególnie w obrazach porażek, zbrodni jednostek i grup, długotrwałej pamięci krzywd, nienawiści, złych instynktów. Szczegóły nie są jednak tylko marginesem większej całości, raczej podskórną metaforą. Polityczna manipulacja losami jednostek może bowiem np. być skuteczna wtedy, gdy wewnątrz zbiorowości tkwi gotowość poddania się narzuconym regułom gry, gdy słaba jest więc integrująca. Może być gorzej, kiedy sakralizacja społecznego profanum prowadzi do profanacji sacrum.

JÓZEF GÓRDZIAŁEK

Historia społeczności jedwabieńskich Żydów kreślona przez Annę Bikont z okrucich wspomnień świadków i ocalałych ofiar lipca 1941 r. jest kondensatem okrucieństwa, którego stężenie przyprawia o chorobę. Zapuszczając się raz w mroczną otchłań tego zaginionego mikroświata, nie sposób już z niego spokojnie powrócić. Jeszcze długo po zamknięciu książki przeszywa dreszczem niepokój zbudzonych duchów. Ich przeszłość ożywa z pożółkłych fotografii, archiwalnych dokumentów i strzępków zasłyszanych opowieści – tych pełnych żaru i tych dogasających – spowijanych nutą sentymentalnego milczenia lub wymownym przemilczeniem. Nuta cichej, pokornej kontemplacji służy prawdzie. Zapatrzeni w kolumny imion i nazwisk, które wyrokiem kilku minut odeszły w niebyt, a wyrokiem dziesiątków lat we wstydliwą niepamięć, pochylamy w milczeniu głowę. Chana Bejla, Malka Hurwitz, Szmul Bursztein, Dwejra Laszko, Mordechai Jakow Kadysz, Ejlahu Stolarski... i setki innych, wypowiedzianych w ciszy ze ściśniętym gardłem, wypełniają pierwszą stronę dziennika Anny Bikont. Przewracając kolejne, stykamy się oko w oko z ich „właścicielami” – patrzą na nas z indywidualnych i zbiorowych zdjęć, nieświadomi swej przyszłości. Nuta prawdy oczyszcza. Z nut fałszywej pamięci tworzone są mity, zagęszczające się zarówno wokół ofiar, jak i oprawców. Oslaniając rzeczywistość szczelnym kordonem półprawd, bywają nieprzenikalne dla wszelkich weryfikujących je dowodów. Nośne medialnie i nie podlegające sprostowaniu przez autorytety, zyskują grono gorliwych wyznawców. Jak choćby ten o rozrastającej się do niebotycznych rozmiarów górze żydowskiego złota, która miała przapaść w udziale mordercom. Albo o sprawowanej od wieków męczeńskiej ofierze Narodu Wybranego, wpisując jedwabieńską stodołę w uniwersalną przestrzeń sacrum. Autorka przeświecila także te pomniejsze, stworzone na użytek chwili – na przykład w geście Piłatowego umywania rąk. Czytamy więc raz po raz, że to nie Polacy, lecz Niemcy mają na swych dłoniach krew żydowskich „sąsiadów”. A w skrajnie nacjonalistycznej wersji – że utoczona została w imię dziejowej sprawiedliwości – w odwecie za rzekome krzywdy, których Polacy doznawali od Żydów, wydających ich Sowietom. W obliczu piętrzących się mitotwórczych uprzedzeń, upraszczających uogólnień i pomówień, zataczających kręgi wśród obydwu społeczności, trudno zdobyć się na obiektywizm – aspirować do roli



Z okrucich zaginionego świata

Sprawiedliwej – oddzielającej „ziarną prawdę” od fałszujących ją „plew”. Rozmachem osobistego śledztwa w sprawie Jedwabnego, trwającego nieprzerwanie blisko cztery lata (od sierpnia 2000 r. do czerwca 2004 r.), autorka przypisała sobie taką rolę. Czy miała szansę jej sprostać? Dziesiątki wizyt w miasteczku, setki spotkań z jego mieszkańcami i świadkami wydarzeń z lipca 1941 r., poszukiwaniami na trzech kontynentach, tysiące godzin poświęconych pisemnym świadectwom zbrodni – tym obiektywnym i najbardziej intymnym – wyznaczają skalę jej zaangażowania. Czy jednak tak osobisty, gorączkowy stosunek do problemu przybliży prawdę, czy też od niej oddala? Czy wreszcie prawda, której szuka, tkwi w szczegółach rekonstruowanych zdarzeń, czy może w warstwie ich uogólniających interpretacji i diagnozy relacji polsko-żydowskich? Co do tego, że prawda jest dla niej pojęciem kluczowym nie można mieć wątpliwości. Osobiście musiała zmierzyć się z tą najboleśniejszą, bo zatajoną przed nią w młodości – o żydowskim pochodzeniu. Symbolem tej trudnej jest także Jacek Kuroń – autor wstępu, recenzent i duchowy opiekun jej śledczych poczyniń (przedzierający się przez książkę

między jedną a drugą dializą na oddziale intensywnej terapii) oraz bohater ostatniego zdania, harmonizującego smutkiem z całością (17 czerwca 2004 bladym światem telefon, że zmarł Jacek Kuroń). Ufając jego autorytetowi, powtarzamy słowa, z którymi musiało skonfrontować swoje sądy jury Nagrody Literackiej Nike 2005: *Bikont nie oszalała. Napisała najodważniejszą i najlepiej udokumentowaną ze wszystkich dotychczasowych książek o „sąsiadach”. Piękną i straszną. Bezlitosną. Bez przesłodzonej nadziei, że czas zagoi rany, a pojednanie między narodami polskim i żydowskim jest w zasięgu ręki.* Pierwsza część wypowiedzi, traktująca o faktach historycznych, nie budzi kontrowersji. Od oceny współczesności w reportażu, chociażby uzasadnionej doświadczeniem setek faktycznych i tysięcy potencjalnych rozmówców, można się odwoływać. Anna Bikont pozbawia nas nie tyle przesłodzonej, co wszelkiej nadziei – dusząc ją w zarodku. Tworząc obraz relacji polsko-żydowskich trzeba mieć świadomość, że ich odbicie, choćby najwierniejsze, podatne jest na zniekształcenia. W zależności od punktu obserwacji, doboru materiału i przyjętej optyki spojrzenia (zawsze subiektywnej) można uzyskać skrajnie odmienne efekty końcowe. Autorka zdaje się dostrzegać je na długo przed przystąpieniem do pracy. Jej „obraz”, wypełniony przejawionymi barwami – bez światłocienia i niuansów – przedstawia głównie oblicza polskiego antysemityzmu – od neutralnej obojętności, po zjadłą wrogość. Tę ostatnią dostrzega ona zwłaszcza w mentalności dawnych i obecnych mieszkańców Jedwabnego. To oni skazują na banicję Sprawiedliwych, niegdyś udzielających pomocy Żydom, teraz mających odwagę mówić prawdę. Poruszające portrety owych Sprawiedliwych (Antoniny Warzykowskiej, Leszka Dziedzica, Stanisława Ramotowskiego i in.), ukazanych na granicy dwóch światów – tego z przeszłości i obecnego, stanowią bezspornie jasny plan „obrazu”. Bardziej sugestywny i bliższy wydaje się jednak ten mroczny. Komentując wymowę dzieła, odnieśmy je do jednego z przemówień Jana Nowaka – Jeziorańskiego: *Skoro poczuwamy się do zbiorowej dumy, musimy się też poczuwać do zbiorowego wstydu.* Czytając reportaż Anny Bikont ma się wrażenie, jakby ci Zawstydzeni stanowili zaledwie kroplę w morzu Niegodziwców. W każdym razie mniejszość. Ich głos nie brzmi czasem donośnie, ale trzeba się w niego wsłuchiwać.

ALEKSANDRA FRANKE

Dariusz Suska, poeta dobiegający czterdziestki, urodzony w Złotorzy, mieszkający w Warszawie. W tym roku po raz drugi (poprzednio w roku 2001) za swoje poezje nominowany do najbardziej prestiżowej nagrody literackiej w Polsce, słynnej statuetki Nike. Już ta informacja jest jakimś certyfikatem jakości, czy też rekomendacją.

Tytuł wyróżnionego nominacją tomiku – *Cała w piachu*, niewiele zdradza. Trzeba otworzyć książeczkę, żeby odkryć, że „krajobrazem” tej poezji jest piaskownica, boisko, plac zabaw za blokiem, jakieś chaszcze, w których odbywały się dziecięce wojny. Nie chodzi tu jednak o sielskie obrazki z dzieciństwa. Ten tytuł ma także złowrogą konotację, związaną z potocznym wyrażeniem „pójść do piachu”. Autor pokazuje bowiem w swoich wierszach obecność śmierci w naszym życiu niemal od momentu narodzin:

*Przysyp ją piaseczkiem,
zbudujemy zamek,
pa pa już zrobiłaś nieżywej
biedronce (...)*

Są żaby, które *rozjechane schną bardzo szybko*, mrowisko zalane smolą podczas budowy drogi, kundelki pochowane na innej ulicy, gniazdo szerszeni zniszczone „granatem” z butelki denaturatu. Inwentaryzacja nieobecnych trwa, do zwierząt dołączają ludzie: Babuś, Frydek, Kodżak. W wierszu *Pudełko jak dla lali, tylko trochę większe* Suska zawarł opis pogrzebu (a raczej zdjęcia z pogrzebu) niemowlęcia:

*ruda kotka kręciła się koło kaplicy
też jest poza kadrem (czy jest on
niezmienny?,
patrzac na to zdjęcie, na co
jeszcze liczysz?
może się poruszyć) i się ruszyliśmy
żeby to, co później, obyło się bez
niego
bez żadnego problemu niczym
był kolegą,
w szkole nie zauważono, że do
niej nie chodził
i że kłopot miał będzie,
by program nadrobić*

*szczipionki też nie dostał,
na prawym ramieniu
nie miał żadnej blizny, rytuał
chwalenia
się jej rozmiarami pod klatką
schodową
gdzie wystawaliśmy, minął go
jak obłok (...)*



Śmierć w piaskownicy

Obecność śmierci wśród rekwizytów dzieciństwa szokuje. Można się nawet zbuntować przeciwko mieszanii jej do rzeczywistości „sielskiej, anielskiej”. Umieszczeniu jej w otoczeniu słów z języka dziecka (choćby to *pa pa* dla nieżywej biedronki). O co tu chodzi? Czemu ma służyć nagromadzenie drastycznych czasem zgonów? Wiadomo, że dzieci („niewinne” dzieci) są okrutne wobec ptaków, żab, owadów, wreszcie – nawet swoich rówieśników. U podłoża tego znęcania się tkwi – jak tłumaczą psychologowie – często nie jakieś zło, ale zwykła ciekawość, chęć poznawania świata, pragnienie zobaczenia, co jest w środku misia, budzika, karpia, czy kurczaka. Ileż to napisano o wyrzucaniu skrzydełek muchom, o przyglądaniu się podczas wakacji na wsi zabijaniu kogutków na rosół itp. Można takie obrazy mnożyć, każdy znalazłby w swojej pamięci zapisany w dzieciństwie obraz czyjegoś umierania, czasem straszny, czasem ciekawy, intrygujący, czasem komiczny. A czasami nie budzący już nawet ciekawości, jak wspomnienie karpia wędrujących z wanny na ku-

chenny stół. Ale Susce nie chodzi o epatowanie drastycznością opisu ani okrucieństwem. Jest świadomy tego, że poezja nie przebije pod tym względem horrorów, filmów akcji – ba! niejednych telewizyjnych wiadomości. Autor przypomina nam po prostu, że śmierć towarzyszy życiu od zarażenia. Że jest czymś zwyczajnym, banalnym nie tylko dla lekarza, biologa, przedsięwzięcia pogrzebowego. Tylko na co dzień nie widzimy tego. A raczej – niewiele o tym myślimy, staramy się nie myśleć. Boimy się. Śmierć jest tajemnicą, zarazem zaś konkretem. Tymczasem, być może, już tylko dziecko ma w sobie jeszcze dość wrażliwości, żeby się nad nią zastanowić. Jest w tomiku wiersz *Natasza idzie na Legendy* (czasem tak się cudownie składa, że nazwa zwykłej ulicy dodaje wierszowi znaczeń, poszerza jego odczytanie). Narratorką jest tytułowa Natasza. Każdy może stwierdzić, że dziecko niczego takiego nie mogłoby powiedzieć, to nie ten język. A przecież właśnie jest to utwór jak najbardziej wiarygodny przez to, że tylko w tym wieku można dokonać podobnych odkryć:

*Pójdę do przedszkola
na Legendy.*

*Czy dlatego,
że jestem
już stara?*

*Na moich oczach
umarły
dwa pokolenia
liści.*

Można w wieku dwóch lat czuć starość, oglądając śmierć tylko dwóch pokoleń liści, przecież na jedno ich pokolenie przypało pół naszego życia. Czas dziecięcy biegnie inaczej. Wie o tym Suska, stąd niespieszny (powiedziałbym – klasycystyczny) rytm jego poezji, równa ważność opisywanych wydarzeń: zakładania pieluchy, rozsypania się mandarynek na ulicy, nocnego deszczu i leżącego od listopada śniegu. Powrót do lat dzieciństwa inspirował twórców od zawsze.

A przecież to dla każdego czas dawno miniony. Umarły, jak te wszystkie żaby, kotki, odległy, jak moment śmierci ukochanego wujka. Utracony bezpowrotnie. Czy może jednak ocalony, dzięki tej poezji?

BOGDAN WIDERA

Hermann Hesse: Księga obrazów. Tłum. Sława Lisiecka. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2005 r., s. 192.

Zbiór opublikowanych po raz pierwszy szkiców z podróży po Indiach, Szwajcarii i Włoszech laureata literackiej Nagrody Nobla z 1946 roku. To nie są reportaże, dzienniki podróży, chyba rzeczywistość trafne dla określenia tych zapisów jest słowo „obrazy”. Bo to „portrety” ludzi, miejsc, chwil malowane przez autora *Gry szklanych paciorków* jego własnymi „kolorami”. W krótkiej powieści *Podróż na Wschód* Hesse opisywał wędrówkę, którą bohater odbywa nie ruszając się z miejsca. Podsumowując swoją rzeczywistą podróż do Indii, mówi o tym, że ducha Azji odkrył właściwie po powrocie do Europy. Wtedy jasne stało się dla niego i nauczanie Buddy, i Lao-tsy, i to, że nie interesujący się wcale Wschodem Goethe był znacznie bliżej Tao niż studiujący latami mądrości Wschodu. Nic dziwnego, że odwiedzający pisarza w jego domu gość z Indii, czuje się tam jak u siebie. Hesse na statku i na własnym balkonie odbywa nieustającą podróż w krainę ducha. Czasem potrzebna mu do tego pisząca szklanka, która we Włoszech była głównym rekwizytem podczas zabawy w seans spirytystyczny. Wielbicieli twórczości autora *Wilka stepowego* na pewno te szkice z podróży nie rozczarują. **F.P.**

Pisanie dobre na chandrę – antologia 2005, Oświęcimskie Centrum Kultury, Oświęcim, wrzesień 2005 r., str. 36.

Po wielu organizowanych w Polsce szerokiej konkursach literackich nie zostaje żaden ślad dla potomności. Dlatego cieszą (laureatów, ale też czytelników – o czym za chwilę) takie zbiorki jak *Pisanie dobre na chandrę*. To pokłosie zorganizowanego w Oświęcimiu już po raz dwunasty ogólnopolskiego konkursu o fatalnej, pretensjonalnej nazwie, ale za to niezłym pokłosiu w poezji i w prozie. Laureatów wyłaniało śląsko-krakowskie jury (Marcin Hałas, Marian Kisiel, Adam Ziemiański). I to właśnie nazwiska laureatów stały się powodem dla którego warto sięgnąć do tego pokonkursowego w końcu (ale z numerem ISBN, o którym mali wydawcy często zapominają) zbiorku. Bo oto nagle spotkali się tutaj poeci o znanych nazwiskach (Janusz Koryl), autorzy, którzy byli kiedyś enfant terrible poezji współczesnej (Marek Brymora) i wiele zapowiadający młodzi – Monika Mostowiak z Krakowa i Miłosz Kamił Manasterski z Łomianek. Tym samym przy banalnej w gruncie rzeczy okazji konkursu – złożył się ciekawy międzypokoleniowy dialog poetów z kiepskiej ligi nazwisk medialnych i zarazem z dobrej ligi literackiej roboty. Może dlatego właśnie konkursy takie nie są wcale bez sensu?

jesz

Edward Nęcka, Janek Sowa: Człowiek – umysł – maszyna. Rozmowy o twórczości i inteligencji. Wydawnictwo Znak. Kraków 2005 r., s. 247.

Edward Nęcka jest profesorem psychologii na Uniwersytecie Jagiellońskim i w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej. Zapis rozmów z nim, przeprowadzony przez ucznia, również psychologa, ale też filozofa i filologa – Janka Sowę, wprowadza nas w zagadnienia, którymi interesują się obaj panowie. Na początku wspólnie z nim zastanawiamy się, jak długo będzie istnieć psychologia jako nauka i sposób pomocy człowiekowi znajdującemu się w kryzysie. Czy nie zastąpi jej neuronauka, oparta na bazie biologicznej i neurobiologicznej. Następnie zagłębiamy się w tajniki inteligencji i procesu twórczego. Okazuje się na przykład, że myślenie twórcze polega na świadomym postawieniu sobie problemu, zrozumieniu go i... zapomnieniu. Bardzo istotną rolę odgrywa wtedy moment „przerwy inkubacyjnej”, podczas której nieświadome procesy doprowadzają do cichego rozwiązania problemu. Interesujące są wiadomości, że wahania nastroju związane z pracą twórczą mogą warunkować stany hipomaniakalne, nienormalnie podwyższony nastrój, depresję. Dobra lektura nie tylko dla znawców przedmiotu.

Bgz.

Julia Hartwig: Zawsze powroty. Z dzienników podróży. Wydawnictwo Sic! Warszawa 2005 r., s. 349.

Julia Hartwig – poetka, eseistka i tłumaczka utrwalała w swoich dziennikach czas od 1986 do 1992 r. Zdecydowała się je drukować, bo „miały walor bezpośredniości, pachniały świeżym przeżyciem ówczesnego, bieżącego dnia”. A czas był ciekawy – rodząca się wolno niepodległość widziana z dystansu, z perspektywy podróżniczki, której dom i ojczyzna są w Polsce. Hartwig podróżuje ze swoim mężem – poetą Arturem Międzyrzeckim. Widać jaką radość sprawia jej to podwójne przeżywanie nowego. Troska o męża każe czasem ograniczyć zapisywanie, bo np. trzeba przygotować obiad. Ale to tylko zbliża dziennik do spraw, którymi żyje czytelnik, nie oddala go od zwyczajnej rzeczywistości. To na jej bazie autorka „Bez pożegnania” dzieli się refleksjami na temat procesu pisania, lektur, spotkań z Czesławem Miłoszem, Olą Watową – wdową po Aleksandrze Waciu, drażliwym, ale i ironicznie dowcipnym Zbigniewem Herbertem, odwiedzin w Maisons-Laffitte u Zofii Hertz i Jerzego Giedroycia. Znajdziemy też opowieści o francuskich i amerykańskich przyjaciółach poetki. Jak w dobrym dzienniku – jest tam wszystko. Na jednej stronie dowiadujemy się, że jej ulubiony Marcel Proust przychodził na obiady do Ritza w furtce, na innej – że najtańsze zakupy w Paryżu można robić na targu Aligre. Z tą książką można zwiedzać wiele ulubionych miejsc poetki. Czasem może służyć za przewodnik po muzeach. Niekiedy – jako drogowskaz do jej wierszy, które znalazły się w tomikach. **Bgz.**

Anna Brzezińska, Joanna Janiszewska-Rain: W poszukiwaniu złotego środka. Rozmowy o rozwoju człowieka. Wydawnictwo Znak. Kraków 2005 r., s. 208.

To kolejna z interesujących „znakowskich” rozmów przeprowadzona między psychologami – prof. Anną Brzezińską, psychologiem na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu i Szkole Wyższej Psychologii Społecznej, a jej uczennicą Joanną Janiszewską-Rain. To interesujący poradnik pomocny nie tylko w wychowaniu dzieci, ale też życiu w ogóle. Celem jest – co sugeruje tytuł – poszukiwanie złotego środka, który pomaga trwać. Profesor Brzezińska dużo miejsca poświęca problemowi „odpępowienia” dzieci, które po skończeniu szkoły powinny naturalnie odejść z domu i żyć na własną odpowiedzialność. Paradoksalnie – lepsza jest sytuacja tych z rozbitych albo przeżywających konflikty rodzin, im łatwiej budować swoje życie, niż tym chowanym w domowym cieple, przez często nadopiekuńczych i uzależniających rodziców. Rozmówczynie zwracają też uwagę na sposoby utrzymania kontaktu, a więc więzi z dziećmi. Okazuje się, że ważna jest, choćby krótka rozmowa każdego dnia, a nawet wspólne oglądanie... seriali.

Bgz.

Ken Bugul: Ulica Felix-Faure. Tłum. Jacek Giszczak. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2005 r., s. 240.

Na tytułowej ulicy leży poćwiartowane ciało wysokiego, trędowatego mężczyzny z wielkim brzuchem, któremu wetknięto w usta jego obcięte przyrodzenie. Poćwiartowano tego nieszczęśnika siekierą? Nożem? Jaki potwór mógł dokonać tak przerażającej zbrodni? Powieść Ken Buguli, choć zaczyna się taką właśnie okrutną sceną, nie jest jednak „kryminałem” ani horrorem. To rzecz o afrykańskich kobietach krzywdzonych, wykorzystywanych i hańbionych przez rozmaitych fałszywych „świętych”, proroków i mędrców, sekty wykorzystujące magię i „modlitwę zawodową”. One są bohaterkami owego afrykańskiego moralitetu. Ale jest nim i Dakar – stolica Senegalu, ze swoimi dzielnicami kolonialnymi i zaludnionymi przez przybyszów z Wysp Zielonego Przylądka slumsami, bazarem itd. „Bohaterką” jest też ulica Felix-Faure, żyjąca dniem i nocą, niezbadana, pełna tajemnic i... muzyki. Być może dlatego także ta proza przesyciona jest rytmem egzotycznej dla nas pieśni. Kolejna książka świadcząca o tym, że Afryka odnalazła w literaturze swój własny, oryginalny głos. **F.P.**

W przygotowanej w czterech językach słowiańskich instrukcji użytkownika importowanej lodówki zobaczyłem konstrukcje: czeską i słowacką *Chladnička s mrazničkou*, rosyjską *Cholodilnik s morozilnoj* i naszą *Lodówka s zmrażarką*. Polską wersję z błędnym zapisem „s zmrażarką” należałoby, oczywiście, poprawić na postać *Lodówka z zamrażarką*.

Ale przecież stokroć ciekawsza od owego ortograficznego uchybienia jest jego konfrontacja z formami innosłowiańskimi, pozwalająca sięgnąć do historii języka.

To porównanie niejako podpowiada, że w językach czeskim, słowackim i rosyjskim zachowało się dawne bezdźwięczne brzmienie przyimka „s”, którym w lodówkowej instrukcji objęto również polski zapis.

Proszę sobie wyobrazić, że i w naszym języku było najpierw bezdźwięczne „s” – pełniące funkcję i przyimka, i przedrostka. Funkcjonowały więc zarówno postacie *s tobą*, *s matką* czy *s ojcem*, jak i *sbierać*, *sgorzeć*, *sjechać*, *slecieć*, *słóżyć*, *sbić*, *sgubić*, *sdawać*, *zlamać*.

Już jednak w XVI wieku przed spółgłoskami dźwięcznymi, przed półotwartymi *r*, *l*, *m*, *n* oraz przed samogłoskami pojawił się i potem utrwalił dźwięczny wariant przedrostkowy „z”: *zbierać*, *zgorzeć*, *zjechać*, *złecieć*, *zbić*, *zgubić*, *zdawać*, *zlamać*. Pierwotne „s” utrzymało się tylko przed bezdźwięcznymi: *spiąć*, *skuć*, *stopić*, *spalić*, *stoczyć*, *skropić*, *spulchnić*.

Podobnie zaczął się zachowywać przyimek – przed spółgłoskami dźwięcznymi, półotwartymi i samogłoskami wymawiamy dźwięcznie jako „z”: *z grubsza*, *z dzbanka*, *z wozu*, *z mamą*, *z ojcem*, *z lewa*, *z Adamem*, a przed bezdźwięcznymi – bezdźwięczne jako „s”: *s tatą*, *s Tarnawą*, *s Celiną*, *s Pawłem*, *s solą*. Oba jednak warianty fonetyczne norma ortograficzna każe zapisywać przez „z”: zarówno *z grubsza*, *z dzbanka*, *z wozu*, *z mamą*, *z ojcem*, *z lewa*, *z Adamem*, jak i *z tatą*, *z Tarnową*, *z Celiną*, *z Pawłem*, *z solą*. Stąd, oczywiście, konieczność poprawienia zapisu z instrukcji: z wersji *s zmrażarką* na *z zamrażarką*.

A czemu o tym wszystkim piszę w „Śląskiej ojczyźnie polszczyźnie”? – Bo Ślązakom o wiele łatwiej sobie uświadomić pierwotny charakter owego bezdźwięcznego przyimkowo-przedrostkowego „s”. Wszak jedną z bardziej charakterystycznych cech gwar śląskich, do dziś dobrze zachowaną, jest właśnie wymowa typu *sebylc* (*sie*) – „zdjąć” odzież, *rozebrać się*, *sebuć* (*sie*), *sebuwać* (*sie*) – „zdjąć buty, zde-

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Sjechać i uwarzyć

mować buty, *serwać* (*sie*) – „zerwać się”, *sfalić* – „zwalić”, *sfijać*, *sfinąć* – „zwijać, zwinąć”, *sfrocać*, *sfrócić* – „zwracać, zwrócić”, *sjechać* – „zjechać”, *slecieć* – „zlecieć”, *slazić* – „złazić”, *słóżyć* – „złożyć”, *smietka* – „zmiotka”, *smówić* – „zmówić”, *smówiny* – „zmówiny, czyli zaręczyny”, *słyść* – „zleść”, *snerwować się* – „zdenerwować się”, *sniywać* – „zniesić”, *swada* – „zwada”, *swadzić się* – „(z)wadzić się”, *swalić*, *swalać*, *swalować* – „zwalić, zwałać”, *swijać*, *swinąć* – „zwijać, zwinąć”, *syjmnąć*, *symnyć*, *syjmować* – „zdjąć, zdejmować”, *swarzyć* – „zwarzyć, czyli ugotować” – wariantywna wobec postaci z nagłoskowym *ś*: *ślatować*

– „zlatywać, spadać”, *ślatować się* – „zlatywać się”, *ślecieć* – „zlecieć”, *śłyżć* – „zleżć”, *śmiatek*, *śmiatka* – „zmiotka, zmiotka”.

Nie bez kozery przytoczyłem wyżej czasownik *zwarzyć* w śląskim brzmieniu *swarzyć* (*swarzyć*), abstrahując przy tym od zdecydowanej przewagi frekwencyjnej postaci *uwarzyć*, *nawarzyć* (*uwarzyć*, *nawarzyć*). W jego kontekście i całego dzisiejszego wywodu także Ślązakom na pewno łatwiej uświadomić sobie pochodzenie wielkopolskiej nazwy miejscowej *Swarzędz*.

Jej etymologia jest niepewna. Niektórzy widzą w tej formie rdzeń *swar* oboczny do *skwar* – „żar, ogień” i wtedy oznaczałaby ona osadę, która powstała przez wypalenie lasu (znaczeniowo należałaby do nazw typu *Zary* – w śląskiej wersji *Zory*). Do mojej słotwórniczej wyobraźni bardziej jednak przemawia jej rodowód od imienia osobowego *Swaręda*, utworzonego od staropolskiej wersji czasownika *swarzyć* właśnie z pierwotnym bezdźwięcznym przedrostkiem „s-”. A może i to imię, i tę nadziejorną miejscowość nazwano od *swarzenia soli* – tak jak *Swarzewo* znad Zatoki Puckiej?

A dlaczego po formach *swarzyć*, *uwarzyć*, *nawarzyć* umieściłem w nawiasach warianty fonetyczne *swarzić*, *uwarzić*, *nawarzić*? – Bo wymowa połączenia głoskowego *rzy* jak *rzi* to kolejna doskonale zachowana do dziś staropolska cecha gwar śląskich. Kiedy czytam *Kazanie przeciwko pijaństwu* pszczyńskiego pastora Zygmunta Bartelmusa z roku 1765, wydane ostatnio bibliofilsko we wspaniałej Artystycznej Oficynie Drukarskiej Aleksandra i Zdzisława Spyrów w Pszczynie, znajduję w nim konsekwentnie stosowane zapisy potwierdzające taką realizację fonetyczną: *prziszedł*, *przjizdzie*, *przychodzi*, *stworziciel*, *którzi*, *niektórzi*, *przi tym*, *przi sobie*, *krzyczy*, *obrzidlwość*, *przitomny*, *krziż*, *przikazanie*, *przipijają*, *prziwpdzi*, *prziwieść*, *krziwé*, *przisięganie*, *przileżytość*, *przikład*.

Dzisiejsze „rz” to dawne miękkie „r”, które poprzez kolejne etapy ewolucji od „rj” poprzez „rż” (na tym etapie pozostali Czesi) zlało się u nas ostatecznie w wymowie z „ż”. To „rz” wymawiane jak „ż” wraz ze spółgłoskami *c*, *dż*, *dź*, *sz*, *ż* zachowało długo swoją pierwotną miękkość. Gdy jednak wszystkie te głoski stwardniały, następujące po nich „i” musiało przejść w „y”. Śląska archaiczność fonetyczna polega właśnie na utrzymywaniu do dziś owego dawnego „i” po „rz”.

W sierpniu 2005 roku Muzeum w Sosnowcu przygotowało okolicznościową wystawę dokumentującą działalność NSZZ „Solidarność” w mieście. Sztandary, afisze, prasę, plakietki, znaczki poczty podziemnej, osobiste pamiątki internowanych opowiadały powszechnie znane fabuły, których ostatnim muzealnym ogniwem były fotografie przypominające obrady Okręgowego Stołu i wybory do Sejmu z przydomkiem „kontraktowy”.

Wystawa typowa, a jednak w roku jubileuszu dwudziestolecia Muzeum w Sosnowcu typowa inaczej. Placówka, jako oddział Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, powstała w 1985 roku głównie z myślą o dokumentowaniu historii rozumianej propagandowo. Pierwszą ekspozycją były *Pamiątki ruchu robotniczego*, kolejną przygodą wystawienniczą (zawieszoną w sosnowieckim KMPiK-u) *Portrety działaczy – oczywiście również ruchu robotniczego*. W latach następnych przypomniano m.in. *Wielką Socjalistyczną Rewolucję Październikową* czy *Tradycje pierwszomajowe na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim*. Już jednak w 1988 roku wypożyczono z Muzeum Narodowego głośną wystawę *Oblicza socrealizmu*. W dwa lata później ponad 20 tysięcy osób zobaczyło ekspozycję *Katyń*.

Historia oznajmia o sobie na wiele sposobów. Siedzibą Muzeum w Sosnowcu – od dziesięciu lat instytucji samodzielnej i finansowej przez samorząd – jest od początku neobarokowy Pałac Schöna, wzniesiony w końcu XIX wieku. Budynek usytuowano przy trasie kolei warszawsko-wiedeńskiej i otoczono parkiem w manierze neoromantycznej. Pałac, wielokrotnie przebudowywany, w 1980 roku wpisano do rejestru zabytków województwa katowickiego. Wtedy rozpoczęto jego przystosowanie do potrzeb muzealnych.

Niemca Ernesta Schöna przywiodły do Sosnowca – jeszcze wówczas Sosnowic – interesy. W 1886 roku uruchomił na Środulce przedsiębiorstwo wełny chłopskiej. Jego brat Franz w tym samym czasie został właścicielem przedsiębiorstwa wigoniowej w Sielcu. Schönowie wznosili nie tylko fabryki i rezydencje (byłe domostwo Franza w Sielcu jest dzisiaj siedzibą Sądu Rejonowego), ale także domy dla urzędników i robotników. Pałac Ernesta był domostwem szczególnym. Siostra Ernesta, Fanny Lamprecht, wspominała: „Wygląd budynku odpowiadał właścicielowi i twórcy, zarówno z zewnątrz i wewnątrz. Ernest także miał wyraziste rysy twarzy, wysoko podniesioną głowę i władczy wzrok, prawdziwie pomieszanie dobroci i łagodności... Pałac razem z parkiem utrzymywały tylko to wrażenie”.

Pałac o rysach właściciela

Przemysłowcy wybrali peryferie Królestwa Polskiego z uwagi na możliwość bezpośredniego dostępu do potężnego rynku wschodniego. Już pod koniec XIX wieku Franz Schön zabiegał o nadanie Sosnowicom praw miejskich. Był radnym, przewodniczył komitetowi, który zebrał 200 tysięcy rubli na najważniejsze inwestycje tworzącego się miasta. Franz i Ernest wspomagali budowę cerkwi i kościołów, wprowadzili rozległą działalność charytatywną i społeczną.

Restrykcyjne przepisy nie pozwalały dziedziczyć fabryk potomkom rodzin, które nie przyjęły rosyjskiego obywatelstwa. Schönowie oraz ich kuzynowie Lamprechtowie zostali lojalnymi poddanymi cara, ale nie przerwali związków z dawną ojczyzną. Po gazety i pocztę – a także na kufel piwa – jeździło się powozem do nadgranicznych Mysłowic. Większe zakupy robiono w głębi Niemiec. Sto lat temu podróż koleją z Sosnowic do Wrocławia zajmowała niespełna trzy godziny.

Za najlepszych pracowników uznawano majstrów i robotników sprowadzonych z Saksonii. „Polacy byli jednak – jak wspomina Fanny Lamprecht – zrzędni i chłonni na wiedzę oraz zdobywanie nowych umiejętności”. Wraz z umiejętnościami rosło w polskich robotnikach poczucie wartości. Zapłacili za to właściciele fabryk. W 1905 roku polska bojówka zastrzeliła Oskara Schöna, bratanka Franza i Ernesta. Ciężko pobity w czasie ruchów Paul Lamprecht nigdy nie wrócił do zdrowia i zmarł dwa lata później.

W Polsce niepodległej powstała spółka akcyjna, która czerpała zyski z odbudowanej i zmodernizowanej przedsiębiorstwa na Środulce. Prezesem został Wilhelm Schön, długoletni radny miejski i radca Izby Przemysłowo-Handlowej w Sosnowcu. Rodzina w większości spolonizowała się. Borys, syn Wilhelma, uczestniczył w kampanii wrześniowej jako polski oficer, uwolniony z niewoli radzieckiej dotarł z wojskami Andersa do Palestyny, gdzie zmarł z powodu odniesionych ran. Jego brat Aleksander zdezerterował z armii niemieckiej, działał w ruchu oporu. W pałacu na Środulce miał się podobno ukrywać Zygmunt Walter-Janke, komendant Okręgu Śląskiego Armii Krajowej.

Nikommu z gości Muzeum w Sosnowcu udawany barok pałacu nie kojarzy się już z rysami twarzy pierwszego właściciela. W holu zawieszono

drzewo genealogiczne Schönow i kopie fotografii. Historia to dzieje własności, więc wystawiono także papier wartościowy, 10 akcji Zakładów Przemysłu Włókienniczego G.G. Schön. W rodzinie czytano również inne papiery, o czym zaświadcza książka z ex librisem Georga Schöna.

Wśród blisko ćwierć tysiąca wystaw, które przygotowało Muzeum w Sosnowcu, najciekawsze wydają się te, które opowiadają o korzeniach miasta. Były wśród nich cztery ekspozycje pod hasłem *Sosnowieckie ABC*, przypominające sylwetki ludzi bądź historyczne wydarzenia, popularyzujące zabytki. Wystawom towarzyszyły informatory, układające się w kolejne tomy ilustrowanej miejskiej encyklopedii.

Po latach tymczasowości, przejęcie muzeum przez miasto Sosnowiec zagwarantowało placówce stabilizację i możliwości rozwoju. Każdego roku otrzymujemy nagrody i wyróżnienia w eliminacjach wojewódzkich konkursu *Najciekawsze Wydarzenie Muzealne Roku*, ale najważniejsze, że zaakceptowali nas odbiorcy. Cykle wystaw i różne przedsięwzięcia edukacyjne pozwoliły pozyskać zarówno dorosłych, jak i młodzież czy dzieci. Uruchomione jesienią Studium Wiedzy o Regionie dla nauczycieli jeszcze silniej powinno związać muzeum ze środowiskiem lokalnym – mówi dyrektor Zbigniew Studencki, kierujący placówką od chwili jej powołania jako oddziału Muzeum Górnośląskiego.

Muzeum w Sosnowcu to jedno z najciekawszych w regionie. Przesądza o tym interesująca działalność ekspozycyjna, systematycznie powiększane zbiory, sensowne inicjatywy popularyzatorskie i naukowe (w tym tegoroczna konferencja, zmierzająca m.in. do przygotowania monografii Zagłębia Dąbrowskiego), a także szereg umów o współpracy z muzeami zagranicznymi.

Historia jest nie tylko nauczycielką życia, ale i ekonomii. Na jednym z *Sosnowieckich ABC* przypomniano protokół z posiedzenia powołanej 15 listopada 1918 roku Rady Delegatów Robotniczych Okręgu Sosnowieckiego. Postanowiono, że każdy delegat „powinien być wynagradzany z kasy przedsiębiorstwa, w którym pracuje, zarówno pieniędzmi, jak i produktami za czas zużyty przy pracach Rady”. Kroniki milczą, czy podczas zebrania pito herbatę. Kotlarnia braci Piątkowskich wyceniała pobielanie samowara na 2 ruble i 50 kopiejek. To niewiele. Tyle, ile przed pierwszą wojną światową wypadało dać napiwku kelnerowi w restauracji I klasy na dworcu w Maczkach.

BARBARA FARSKA



Pałac Schöna, elewacja zachodnia



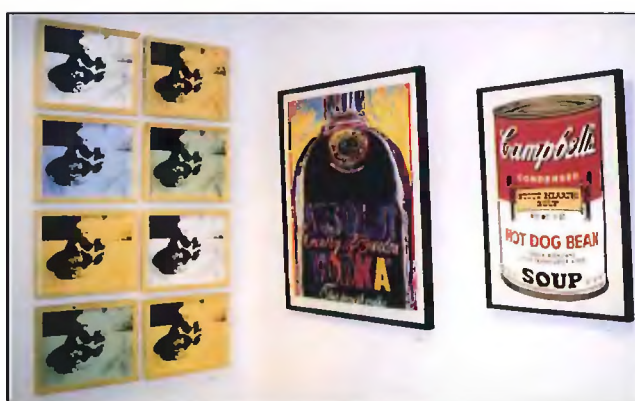
Witraż, Hermes, koniec XIX w.



Wazon, ok. 1900



Karta pocztowa, Trójkąt Trzech Cesarzy, 1910



Andy Warhol, Percepcja życia i twórczości, 2003

20 lat Muzeum w Sosnowcu



Kompozycja przestrzenna, proj. Stefan Sadowski, 1977



Wincenty Choremalski, Żebrak, 1922



Marian Malina, Trzy figury, 1957

Paweł Steller na cokole

W Galerii Artystycznej na placu Grunwaldzkim w Katowicach został zapleciony kolejny cokół: swoje należne tu miejsce otrzymał Paweł Steller. Towarzyszą mu w tej promenadzie Karol Stryja i Zbigniew Cybulski. Paweł Steller był wybitnym artystą grafikiem, zwanym za granicą „polskim Durrerem”.

Uroczystość odsłonięcia wizerunku Pawła Stellera odbyła się 9 września 2005 r. z udziałem najbliższej rodziny Pawła Stellera i władz samorządowych Katowic. W tym dniu w Muzeum Historii Katowic odbył się wieczór wspomnień poświęcony temu wybitnemu artyście, a dr Agnieszka Chmielewska w Uniwersytecie Warszawskiego wygłosiła wykład nt. „Grafika Pawła Stellera w służbie państwa, narodu, społeczeństwa”.

Paweł Steller (1895-1974) urodził się w Hermanicach, ale 50 lat swego życia spędził w Katowicach. Ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie u prof. Władysława Skoczylasa w 1935 roku. Uprawiał drzeworyt sztorcowy, techniki metalowe, malarstwo olejne, pastele, rysunek, a także sztukę użytkową i witraże.

Był wybitnym artystą śląskim, który zdobył uznanie w kręgach artystycznych Europy i Ameryki.

Był wieloletnim pedagogiem w Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych a także założył prywatną szkołę rysunku. Wraz ze Stanisławem Ligoniem współtworzył Związek Zawodowy Artystów Plastyków Śląskich, który rozpoczął działalność 20 marca 1929 roku. Był też członkiem Związku Artystyczno-Literackiego na Śląsku. Wraz z Adamem Bunschen pracował nad projektem powstania w Katowicach szkoły artystycznej. W 1945 roku był deportowany do Związku Radzieckiego, skąd powrócił po dwudziestu miesiącach.

Spuścizna Pawła Stellera to 10 500 prac, w tym 243 drzeworyty i 1000 akwael. Do najznakomitszych i najbardziej znanych należą drzeworyty „Rybak”, „Ślązaczka”, „Typy śląskie” i „Typy polskie”. (wk)

**ZNAKI
I TWARZE
MIASTA**



Foto: Zbigniew Sawicz



W uroczystym odsłonięciu popiersia Pawła Stellera wzięła udział najbliższa rodzina Artysty. Było to również ważne wydarzenie w życiu miasta.



Plaskorzeźbę z wizerunkiem Pawła Stellera odsłania prezydent Katowic Piotr Uszok wraz ze Stefanem Stellerem, synem artysty i jego prawniczką Dominiką.

XIV Górnoląski Festiwal Sztuki Kameralnej

ARS CAMERALIS SILESIAE SUPERIORIS

Budźmy szalone emocje

Górnoląski Festiwal Sztuki Kameralnej, odbywa się zawsze w listopadzie i prezentuje najbardziej fascynujące zjawiska w sztuce. Motywem przewodnim tegorocznego Festiwalu jest szaleństwo w sztuce, będzie to przegląd najbardziej szo-



Lenine

kujących zjawisk i wydarzeń, które zaistniały w różnych kręgach kulturowych. W ciągu 15 dni ponad trzydzieści imprez!

Wielkie, uznane gwiazdy jak również te nowe, dopiero co wschodzące, zadziwiają publiczność m.in. w Katowicach, Bielsku-Białej, By-

tomiu, Chorzowie, Tychach... Koncert inauguracyjny uświetni brazylijski wokalista, Lenine. Obrazy szaleństwa w filmie zagospodzą w Kinoteatrze Rialto w Katowicach: gromki śmiech B. Keatona i H. Lloyda czy obłęd i zatracenie w psychicznych labiryntach w filmach Andrzeja Żuławskiego. Tu także odbędą się projekcje twórczości filmowej Jonasa Mekasa, prezentacja nowych realizacji Lecha Majewskiego oraz zapis filmowy spektakli Tadeusza Kantora. Melomani usłyszą m.in.: Piotra Anderszewskiego, Polish-German

Double Trio, Arto Lindsay Band, zespół Lao Che, Ketila Bjoernstada, zespół Salifa Keity (Mali), Kapelę ze Wsi Warszawa, w Filharmonii Śląskiej zabrzmiały muzyka W. A. Mozarta, W. Kilara. W galeriach zagospodzą wystawy m.in.: Tomasza Struka, fotografii Zhu Hao. Wśród zaproszonych poetów pojawiają się twórcy z Chin, w tym intrygujący Wang Yin oraz Zhu Hao, który poza wierszami zaprezentuje swoje fotografie. Prosto z Francji przyjedzie Frédéric Pajak... szczegóły w WIK-u.

Konfrontacje Poetyckie im. Haliny Poświatowskiej

CZĘSTOCHOWA

Rewia talentów

Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Haliny Poświatowskiej należy do najstarszych w kraju. A wszystko zaczęło się na początku lat 70. w kłobucko-częstochowskiej gru-

pie poetyckiej im. Władysława Sebyły. Wkrótce dołączyła redakcja „Gazety Częstochowskiej”, w której w 1956 r. debiutowała patronka konkursu. Konfrontacjom Poetyckim towarzyszyły od początku: Turniej Jednego Wiersza, imprezy muzyczne, spotkania literackie, prezentacje recytatorskie, wieczory autorskie, dyskusje. Konkurs umożliwia konfrontację twórczości poetyckiej, promuje utalentowanych poetów, integruje środowisko

literackie i pobudza twórczą aktywność debiutujących autorów. Rekordowa pod tym względem 20. edycja imprezy obejmowała około 5 tys. wierszy. W bieżącym roku organizatorzy 29. edycji otrzymali 506 zgłoszeń, około 2,5 tys. tekstów poetyckich. Tegoroczny program Konfrontacji Poetyckich po-



święcony jest twórczości patronki konkursu. Organizatorzy proponują obok tradycyjnych już literackich imprez konkursowych także seminarium na temat dorobku poetyckiego Haliny Poświatowskiej, Prezentację Recytatorskie Poezji Lirycznej im. H. Poświatowskiej, projekcję filmu pt. „Haśka” ze zbiorów archiwalnych TVP, recital Wandy Warskiej w repertuarze obejmującym m.in. wiersze Haliny Poświatowskiej.

XIII Jazz Sessions 2005

GLIWICE

Jazz w pigułce

Jak co roku w listopadzie gliwicki festiwal w Teatrze Muzycznym podsumuje artystyczny sezon w polskim jazzie. Będzie można usłyszeć najciekawsze dokonania młodych improvizatorów, a także artystów z ugruntowaną od lat pozycją na muzycznym rynku. Dzięki temu festiwalowy widz otrzyma w pigułce porcję najważ-



Grażyna Auguścik, foto D. Kudzi

niejszych informacji o muzyce, która od początku lat 50. była w Polsce synonimem wolności, dobrego gustu, kontaktu ze światem i niezależności w myśleniu. Współczesny polski jazz coraz silniej wpisuje się w mapę światowej muzyki improwizowanej. Polscy muzycy – Tomasz Stańko, Leszek Możdżer, Grażyna Auguścik, Bracia Marcin i Bartłomiej Oleś, Jacek Kochan, zespół Pink Freud, Mateusz Kołakowski, Sławek Jaskulke, Marek Napiórkowski, The Cracow Klezmer Band i wielu innych zapraszani są do

zagranicznych klubów i na festiwalach gdzie otrzymują wyróżnienia i nagrody. Polski jazz od zawsze był uważany za jeden z najciekawszych w Europie. Takich właśnie instrumentalistów mających, poprzez swój talent, szansę zaistnienia na światowej scenie jazzowej usłyszymy w tym roku. Zagrają także artyści, którzy przetarli im szlak osiągając sukces w Ameryce i Europie oraz podtrzymując tę dobrą opinię o wyjątkowej muzykalności polskich jazzmanów.

22-24.11 program str. 111.

Bielska Jesień 2005

BIELSKO-BIAŁA

Bez abstrakcji

„Bielska Jesień” jest konkursem o ponadczterdziestoletniej tradycji. Od początku jego organizatorem jest Galeria Bielska BWA. Pierwsza edycja odbyła się w 1962 roku – z czasem przegląd rozwinął się, stając się jednym z najważniejszych w Polsce kon-

kursów poświęconych malarstwu współczesnemu. „Bielska Jesień” – odbywająca się od 1995 roku w cyklu biennale – od początku ma formułę otwartą, nie narzuca tematu, problemu, techniki ani wieku uczestników. Artyści nadsyłają prace malarckie ze swego dorobku z dwóch ostatnich lat. Na tegoroczny konkurs odpowiedziało 349 artystów, którzy nadesłali 1.351 prac. Jury zakwalifikowało do wystawy pokonkursowej 94 prace 48 artystów. Nagrody i wyróżnienia „Bielskiej Jesieni 2005”

jury przyzna podczas posiedzenia w dniu wernisażu wystawy, 19 listopada. Na bielskiej wystawie będzie można zobaczyć malarstwo bardzo zróżnicowane pod względem stylistycznym i formalnym, bez dominującej tendencji czy też mody, ale za to bardzo reprezentatywne dla młodego i średniego pokolenia malarzy. W porównaniu z wystawami z lat 90. XX wieku, kiedy dominowała abstrakcja, widać dużo większe zainteresowanie artystów realnością świata zewnętrznego, przejawiające



Rafał Korez-Stach

się często w sposób krytyczny. Wewnętrzne przeżycia artysty, jego emocjonalność, zwykle przesłonięte są ironią.

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA
PALAC MIEROSZEWSKICH
ul. Świerczewskiego 15
tel. 267-77-07

ZAMEK
ul. Zamkowa 1
tel. 267-47-31
www.zamek.bedzin.pl

TEATR DZIECI ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4, tel. 267-36-25
www.teatr-bedzin.gronet.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA BWA
ul. 3 Maja 11a,
tel. (33) 812-58-61
www.galeriabielska.pl

MUZEUM
ZAMEK SUŁKOWSKICH
ul. Wzgórze 16
tel. (33) 822-06-56
www.muzeum.bielsko.pl

TEATR POLSKI
ul. 1 Maja,
tel. (33) 822-84-53
www.teatr.bielsko.biala.pl

TEATR LALEK
BANIALUKA
ul. A. Mickiewicza 20
tel. (33) 815-09-15
www.banialuka.pl

BYTOM

MUZEUM
GÓRNOŚLĄSKIE
pl. Jana III Sobieskiego 2
tel. 281-82-94; 282-36-12

OPERA ŚLĄSKA
ul. S. Moniuszki 21/23
tel. 281-84-39
www.opera-slaska.art.pl

ŚLĄSKI
TEATR TAŃCA
ul. S. Żeromskiego 27
tel. 281-82-53
www.stt.art.pl

BIELSKO-BIAŁA
GALERIA BIELSKA
BWA
sala górna
Poznań Art Now II

9.11. środa, godz. 17.00
Promocja książki
Artura Palygi
„Kołchoz imienia Adama
Mickiewicza”



Reportaże z Białorusi
spotkanie z autorem
... reporterska opowieść o Białorusi, na której autor szuka ostatnich już śladów polskości. Wędrówka – w pewnym sensie sentymentalna, bo przecież świadomie trafiał on w te miejsca, które opisywał Adam Mickiewicz – staje się w istocie bardzo głębokim doświadczeniem rzeczywistości.

19.11. sobota, godz. 17.00,
wernisaż wystawy
i ogłoszenie wyników konkursu
37. Biennale
Malarstwa
Bielska Jesień 2005
pod patronatem
Ministra Kultury RP
19 listopada – 31 grudnia
obie sale

21.11. poniedziałek, godz. 18.00
wernisaż
Ars Cameralis
kawiarnia w Galerii Bielskiej
BWA
Zhu Hao
Stilen Shainghai
fotografia



Artysta jest absolwentem Wydziału Dramatu i Literatury Akademii Teatralnej w Szanghaju (1991). W 1989 roku wydał w Kalifornii swoją pierwszą książkę – zbiór haiku. „Milczący Szanghaj” jest wnikliwym, nie pozbawionym poezji spojrzeniem na Szanghaj, życie tej metropolii i jej mieszkańców.
Tuż po wernisażu wystawy, odbędzie się spotkanie autorskie z Zhu Hao oraz drugim chińskim poetą – Wangiem Yin.
czynna do 5 grudnia

GALERIA W RATUSZU
Tadeusz Król
„Otoczenia”
malarstwo

Wystawa najnowszych prac malarzskich bielskiego artysty, zajmującego się dotąd głównie grafiką warsztatową i plakatem. O ile grafiki były podróżą w mroczne i groźne obszary egzystencji człowieka, obrazem jego świadomości niedoborów własnej kondycji – choć od katastrofizmu chroniło je poczucie humoru i pewien dystans artysty, to w malarstwie przebijają bardziej optymistyczne tony. Jest to artystyczny powrót w rodzinne strony – rustykalną przestrzeń kieleckich pól i wiosek. W tych obrazach artysta zmagą się ze stawiającą wysokie wymagania rzeczywistością koloru.

czynna do 14 listopada

BYTOM
GALERIA OD NOWA 2

Harry J. Young
Fotografia
„Jesteśmy częścią historii
– my z Bytomią,
my z Filadelfią”

H. J. Young pochodzi z Filadelfii, gdzie studiował w Instytucie Sztuki na wydziale projektowania graficznego i fotograficznego. Od 1990 r. pracuje dla takich firm jak: W. Disney, Warner Brothers Entertainment jako szef działu projektowania. W latach 2000-2002 był prywatnym fotografem wielu amerykańskich zespołów muzycznych. Obecnie zajmuje się fotografią powietrzną, wykonywaną z unikatowych pozycji z małego samolotu.

CHORZÓW
MIĘJSKA GALERIA SZTUKI
„MM”

Anna Stawiarska
Ziarno
jubileusz 25-lecia pracy
twórczej,
wystawa rzeźby ceramicznej



Absolwentka PWSSP we Wrocławiu na wydziale Ceramiki i Szkła (1980 r.) Obecnie jest adiunktem na wydziale Artystycznym Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie.

Prowadzi zajęcia w szkole ceramicznej dla dzieci specjalnej troski w Katowicach. Uprawia ceramikę unikatową, rzeźbę ceramiczną i rysunek.

czynna do 28 listopada

CZĘSTOCHOWA
MIĘJSKA GALERIA SZTUKI

Sala Śląska
Międzynarodowy Salon
Martwa Natura
w fotografii
czynna do 27 listopada

GLIWICE
Galeria w Ratuszu
Portret we wnętrzu.
Gliwiczanin i mieszkańcy
Górnego Śląska
w XIX-wiecznej fotografii
czynna do 5 listopada

KATOWICE
GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ BWA

19. Biennale Plakatu
Polskiego,
Katowice 2005
czynna do 4 grudnia

GÓRNOŚLĄSKIE CENTRUM
KULTURY

GALERIA POZIOM „0”

19.11. sobota, godz. 18.00
wernisaż
Ars Cameralis
Obermarxloh Schleife
– Huta Katowice Pętla
Poszukiwanie podobieństw
między
Zagłębiem Ruhry
a Górnym Śląskiem
autorzy fotografii:
Dirk Bültz,
Tinko Fritsche-Treffkorn,
Sarah Holzmeier,
Robert Knippschild
Ekspozycja zorganizowana
przez IFA – Instytut Stosunków
Międzynarodowych
w Sztutgarcie
czynna do 27 listopada

GALERIE

GALERIE

GALERIA „ENGRAM”

Ars Cameralis

15.11. wtorek, godz. 18.00,
wernisaż

Ślady pamięci

Hommage à Tomasz Struk
wystawa prac Tomasza Struka
czynna do 15 stycznia

GALERIA „SEKTOR I”

Grzegorz Kłaman

Praktyki adaptacyjne
czynna do 12 listopada

15.11. wtorek, godz. 18.00,
wernisaż

Ars Cameralis

Ślady pamięci

Hommage à Tomasz Struk
wystawa poświęcona pamięci
T. Struka
prace:

J. Berdzyskiego – obiekt,
R. Bujnowskiego – malarstwo,

J. Burego – fotografia,

P. Chawińskiego – fotografia,
T. Ciecierskiego

– malarstwo i fotografia,

I. Gustowskiej – videoinstalacja,

I. Degardo Pajonk

– videoinstalacja,

Z. Janin – fotoinstalacja,

M. Kasperczyka – malarstwo,

L. Lewandowskiego – obiekt,

R. Opatki – instalacja, fotografia,

M. Pyrlík – video, fotografia,

J. Robakowskiego – fotografia,
technika własna,

A. Romaniuka – grafika,

A. Tajbera – videoinstalacja,

J. Truszkowskiego

– malarstwo,

J. Wórzeczeki – malarstwo

czynna do 15 stycznia

GALERIA „5”

4.11. piątek, godz. 17.00,
wernisaż

Buddyzm Diamentowej Drogi
na Zachodzie

fotografia

wystawa organizowana jest

w ramach Tygodnia Kultury

Buddyjskiej

czynna do 18 listopada

GALERIA „PIĘTRO WYŻEJ”

WORLD PRESS PHOTO 2005
czynna do 18 listopada

23.11. środa, godz. 17.00,
wernisaż

... myśląc Europa. Europejskie
pielgrzymowanie Jana Pawła II

fotografie Arturo Mari

czynna do końca grudnia

GALERIA „PUSTA”

9.11. środa, godz. 17.00,
wernisaż

Halina Morcinek

Senność miejse

fotografia

czynna do końca grudnia

MUZEA

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA

ZAMEK

Historia zamku będzńskiego

PAŁAC

Dawne miary

w zbiorach Muzeum Dawnego

Kupiectwa w Świdnicy

czynna do 31 grudnia

Polska – Japonia

w ramach cyklu Triennale

100 Miast

Stowarzyszenie

Międzynarodowego Triennale

Grafiki

BYTOM

FILIA MUZEUM

GÓRNOŚLĄSKIEGO

Podróż przez centrum Europy.

Obrazy z podróży pałatyna

Otteinricha z lat 1536/37



Otteinrich. Bytom

Wystawa Niemieckiego Forum Kultury Europy Środkowej i Wschodniej. Od niedawna dopiero wiadomo, że pałatynowi, a późniejszemu księciu-elektorowi Otteinrichowi (1502-1559), zawdzięczamy powstanie 65 najwcześniejszych wizerunków miast, zamków i rezydencji z terenu Europy Środkowej. Mamy w ich przypadku do czynienia z pierwszym, po Kronice świata Hartmana Schedla z roku 1493, cyklem 50 wędut stanowiących pierwszą wizualną dokumentację książęcej podróży – podróży pałatyna Otteinricha do Krakowa i Berlina odbytej na przełomie lat 1536/37. Te rozmalowane akwarelę rysunki piórkem trafiły w 1803 roku, po sekularyzacji klasztoru cystersów w Ebrach we Frankonii, do zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w Würzburgu. Ich naukowe znaczenie, jak i historia ich powstania pozostały przez lata nieznane. Podróż Otteinricha ma dla współczesnych doniosłe znaczenie – uświadamia bowiem, jakie związki historyczne i tradycje kulturalne łączyły i łączą trzy sąsiadujące ze sobą kraje – Niemcy, Polskę i Czechy. Trasę podróży potraktować można jako symbol ówczesnej „zjednoczonej Europy”. (Deutsches Kulturforum osliches Europa) czynna do 15 stycznia 2006

GALERIA

SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ

22.11. wtorek, godz. 17.00

Ars Cameralis

Wystawa fotogramów

Zbigniewa Libery

z prezentacją towarzyszącą

tekstów Darka Foksa

„Co robi łączniczka”

projekt we współpracy

z Galerią Kronika w Bytomiu

CZĘSTOCHOWA

MUZEUM

CZĘSTOCHOWSKIE

Pawilon Wystawowy

w Parku im. St. Staszica

Historia Muzeum

Częstochowskiego

Wystawa z okazji

jubileuszu 100-lecia instytucji

Koń w malarstwie polskim

XIX

i połowy XX w.

wystawa organizowana wspólnie

z Muzeum Narodowym

w Warszawie

PAŁAC ŚLUBÓW

Skazani na karę śmierci

w czasach stalinowskich i ich losy

wystawa organizowana

wspólnie

z Instytutem Pamięci Narodowej

oddział w Katowicach

czynna do 20 listopada

Wystawa osiągnąć Aeroklubu

Częstochowskiego

z okazji 60-lecia istnienia

REZERWAT

ARCHEOLOGICZNY

Cmentarzyska kultury łużyckiej

zbiory

Muzeum Częstochowskiego

Wystawa fotograficzna,

przedstawiająca Rezerwat

Archeologiczny

od czasów jego powstania

ZAGRODA WŁOŚCIAŃSKA

„Idąc przez życie”

rzeźby Zdzisława Purchały

Wystawa jubileuszowa z okazji

35-lecia pracy twórczej artysty

GLIWICE

MUZEUM W GLIWICACH

WILLA CARO

10.11. – 31.01.2006 r.

Żydzi gliwicy



Gliwice. Synagoga

CHORZÓW

MIEJSKA

GALERIA SZTUKI „MM”

ul. H. Sienkiewicza 3

tel. 249-17-19

www.galeriamm.chorzow.pl

TEATR ROZRYWKI

ul. M. Konopnickiej 1

tel. 246-19-31

www.teatr-rozrywki.pl

CIESZYN

MUZEUM

ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

ul. T. Regeera 6,

tel. (033) 852-15-77

CIESZYŃSKI

OŚRODEK KULTURY

Rynek 12, tel. (33) 851-25-20

www.domnarodowy.pl

CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZTUKI

Aleja NMP 64

tel. (34) 324-60-57

www.net-galeria.art.pl

MUZEUM

CZĘSTOCHOWSKIE

Al. NMP 45 A

tel. (34) 360-56-31

www.czystochowa.pl

TEATR IM. A. MICKIEWICZA

ul. J. Kiłińskiego 15

tel. (34) 360-56-50

www.teatr-mickiewicz.pl

FILHARMONIA

CZĘSTOCHOWSKA

ul. Wilsona 16

tel. (34) 324-42-30

www.filharmonia.com.pl

GLIWICE

MUZEUM W GLIWICACH

WILLA CARO

ul. Dolnych Wałów 8a

tel. 231-08-54

ZAMEK PIASTOWSKI

tel. 231-44-94

www.muzeum.gliwice.pl

**GLIWICKI
TEATR MUZYCZNY**
ul. Nowy Świat 55/57
tel. 232-13-39
www.teatr.gliwice.pl

KATOWICE

**GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ BWA**
al. Korfańtego 6, tel. 259-90-40
www.bwa.katowice.pl

**GÓRNOŚLĄSKIE
CENTRUM KULTURY**
pl. Sejmu Śl. 2, tel. 255-43-69
www.gck.org.pl

**MUZEUM
ARCHIDIECEZJALNE**
ul. Wita Stwosza 16
tel. 608-15-24

MUZEUM ŚLĄSKIE
al. Korfańtego 3, tel. 258-56-61
www.muzeumslaskie.art.pl

**CENTRUM
SCENOGRAFII POLSKIEJ
GCK, pl. Sejmu Śląskiego 2**
tel. 256-21-34
www.katowice.pl

**MUZEUM HISTORII
KATOWIC**
ul. ks. Szafranka 9
tel. 256-21-34
www.mhk.katowice.pl

TEATR ŚLĄSKI
Rynek 1, tel. 258-72-51
www.teatrslaski.art.pl

TEATR KOREZ
GCK, pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 209-00-88
www.korez.art.pl

TEATR „ATENEUM”
ul. św. Jana 10, tel. 253-82-21
www.ateneum.art.pl

FILHARMONIA ŚLĄSKA
ul. Sokolska 2,
tel. 258-62-61
www.filharmoniaslaska.art.pl

ESTRADA ŚLĄSKA
ul. T. Kościuszki 88/90
tel. 251-93-38
www.estradaslaska.pl

**wystawa, konferencja,
koncert**

Od 2001 r. Muzeum w Gliwicach realizuje projekt „Gliwickie mniejszości”, w ramach którego przedstawiono dotychczas wystawy poświęcone Ormianom i ewangelikom. Kolejną z cyklu jest wystawa pt. „Żydzi gliwicy”, prezentuje ona historię gliwickiej wspólnoty żydowskiej od XVIII w., poprzez wiek XIX – czas rozwoju liczebnej gminy i znaczącego udziału jej przedstawicieli w rozwoju miasta – aż po czasy współczesne.

17-18.11
Konferencja międzynarodowa
Prezentacja wszelkich dotychczasowych nurtów i wyników badań związanych z dziejami gliwickiej gminy żydowskiej

20.11. niedziela, godz. 16.00
kościół pw. Wszystkich Świętych
Koncert muzyki synagogałnej
wystąpi: Chór Synagogi pod Białym Bocianem pod dyktando Stanisława Rybarczyka

GALERIA W RATUSZU
Portret we wnętrzu.
XIX-wieczna fotografia mieszczańska na Górnym Śląsku
czynna do 5 listopada

KATOWICE
MUZEUM
ARCHIDIECEZJALNE
Wydzie z chaosu świat ducha
wystawa inspirowana postacią Ojca św. Jana Pawła II,
organizowana wspólnie z ASP
czynna do 17 listopada

MUZEUM ŚLĄSKIE
Brandt... Malczewski...
Siemiradzki...
Polscy Monachijscy
ze zbiorów
Lwowskiej Galerii Sztuki
czynna do stycznia 2006 r.

Nikifor – mistrz z Krynicy
Wystawa jest kolejną prezentacją Galerii Sztuki Pogranicza. Składa się z 82 obrazów, głównie akwarel, pochodzących ze zbiorów Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie.
czynna do stycznia 2006 r.

**Wizerunek człowieka,
czyli sztuka Heinza Tobolli**
czynna do stycznia 2006 r.



Heinz Tobolla „Ludzie”

**CENTRUM SCENOGRAFII
POLSKIEJ**
14.11. poniedziałek, godz. 16.00
Ars Cameralis
Cricot 2.
Fotografie
Romano Martinisa
ze spektakli
Tadeusza Kantora
wystawa ze zbiorów
Ośrodka Dokumentacji Sztuki
Tadeusza Kantora
Cricoteka

**MUZEUM HISTORII
KATOWIC**
Herbert Hoover a Polska
W ubiegłym roku minęło 40 lat od śmierci Herberta Clarka Hoovera, polityka i działacza społecznego, którego pamięta się dzisiaj przede wszystkim jako prezydenta USA w czasie Wielkiego Kryzysu (1929-1933), niesłusznie zapominając o angażowaniu się przez niego w walkę z biedą i ludzką krzywdą.
czynna do 12 listopada

RACIBÓRZ
MUZEUM

Matejko Kolekcjoner
ze zbiorów
Muzeum Narodowego
w Krakowie,
Oddział Dom Jana Matejki
czynna do końca listopada

RYBNIK
MUZEUM W RYBNIKU
**Związek Nauczycielstwa
Polskiego na Górnym Śląsku**
w 100-lecie istnienia
Wystawa jubileuszowa prezentująca dzieje i osiągnięcia ZNP na Górnym Śląsku, ze szczególnym uwzględnieniem ziemi rybnicko-wodzisławskiej
czynna do 24 listopada
30.11. środa

MUZEA

Muzyka na Ratuszu
W noc tysiąca gwiazd
wykonawcy:
S. Olbricht – sopran,
M. Błaszczyk – tenor,
G. Griner – fortepian,
w programie:
R. Frieml – „Król Włóczęgów”;
L. Bernstein – „West side story”;
A. L. Webber – „Duch w operze”;
„Evita”, „Cats” i inne

SOSNOWIEC
MUZEUM

8.11. wtorek
Marian Malina
(1925-1985).

W 20. rocznicę śmierci
Artysta należy do jednych z najwybitniejszych polskich grafików XX wieku. Jego sztuka ma wyraz uniwersalny, a z drugiej strony nie zatracą indywidualizmu sztuki polskiej. Na ekspozycję składa się ponad siedemdziesiąt prac pochodzących z kolekcji Muzeum w Sosnowcu.



Autoportret: 1968

czynna do końca grudnia

Sekrety egipskich mumii
czyli stąd do wieczności
ze zbiorów
Muzeum Narodowego
w Warszawie

Wystawa historyczna poświęcona starożytnej kulturze Egiptu. Na ekspozycję składają się: sarkofagi, mumie, kilkanaście figurek, amulety, zastawa grobowa (naczynia gliniane, fajansowe, żywność z grobu), papirusy i inne.
czynna do końca grudnia

Plakat XX-lecia
(1985-2005)
czynna do 30 listopada

ŚWIĘTOCHŁOWICE
MUZEUM MIEJSKIE
Prezentacje 2005
przegląd twórczości plastycznej uczniów
świętochłowickich szkół
czynna do 30 listopada

MUZEA

14.11. poniedziałek, godz. 17.00
Echa niepodległości w muzyce
 koncert
 wykonawcy:
 L. Dareńska – śpiew,
 H. Władysławski – fortepian

TARNOWSKIE GÓRY MUZEUM

In vino veritas.
Tradycje restauratorskie
w Tarnowskich Górach.
 220 lat restauracji Sedlaczek
 Wystawa poświęcona została
 tarnogórskim restauracjom. Wi-
 niarnia Sedlaczka w szczególności
 sposób wpisała się w pamięć i tra-
 dycję tarnogórzan.



ZABRZE

**MUZEUM GÓRNICICTWA
 WĘGLOWEGO**
Saga o Śląskim Mieszkanin
 ... jak na przestrzeni
 mijających dziesięcioleci
 i wymieniających się pokoleń
 wyglądało przeciętne mieszkanie,
 rodowitego Ślązaka.

**Pokonkursowa wystawa prac
 proekologicznych**

MUZEUM MIEJSKIE

Zabrze. Z dziejów miasta
 czynna do sierpnia 2006 r.

70 lat Muzeum Miejskiego
 czynna do lutego 2006 r.

GALERIA POD MUZEUM
 2.11. środa
Malarstwo Antoniego Cygana
 czynna do końca listopada

**EKSPOZYCJA W HOTELU
 DIAMENT**
W kręgu piwa i piwozsy
 czynna do końca grudnia

ŻORY

MUZEUM MIEJSKIE

4.11-11.12
Niedźwiedzie, mikołaje
i inne maskary
 Projekt edukacyjny

10.11. czwartek
Obchody Święta Niepodległości

TEATRY

BĘDZIN

TEATR DZIECI ZAGŁĘBIA
 5.11. sobota, godz. 17.00,
premiera!

19.11. sobota, godz. 16.00
Kot w butach
 H. Januszewska
 adaptacja D. Wiktorowicz
 reż. S. Ochmański
 scen. B. Wójcik
 muz. M. Makulski

26.11. sobota, godz. 17.00,
premiera!
Zimowa przygoda
 K. Rau
 reż. L. Wróbel
 scen. A. Kuryło
 muz. B. Pasternak

BIELSKO-BIAŁA

TEATR POLSKI

5.11. sobota, godz. 19.00,
premiera!
 6.11. niedziela, godz. 19.00,
 12.11. sobota, godz. 19.00,
 13.11. niedziela, godz. 19.00
Korowód wedlug
Marka Grechuty

6.11. niedziela, godz. 19.00,
premiera!
 12.11. sobota, godz. 19.00,
 13.11. niedziela, godz. 19.00
 na scenie Teatru Białaluka
Oskar i Ruth

9.11. środa, godz. 11.00
Ożenek
 reż. B. Kokotek
 gościnnie:
 Teatr Lubuski
 z Zielonej Góry

10.11. czwartek, godz. 11.00
Pół żartem, pół sercem
 reż. M. Sławiński

16.11. środa, godz. 19.00
Skrzypek na dachu
 reż. M. Kochańczyk
 gościnnie:
 Teatr Rozrywki
 z Chorzowa

20.11. niedziela, godz. 18.00
Tamara
 reż. T. Dutkiewicz

25.11. piątek, godz. 18.00
Porwanie Sabinek
 reż. T. Wiśniewski
 gościnnie:
 Zagłębiowska Scena Muzyczna

25.11. piątek, godz. 19.00
 Zamek Sulkowskich
Kolacja na cztery ręce
 reż. H. Rozen

26.11. sobota, godz. 20.00,
 27.11. niedziela, godz. 20.00
Songi
 reż. T. Dutkiewicz

29.11. wtorek, godz. 11.00,
 30.11. środa, godz. 11.00
Czarownice z Salem
 reż. B. Wyszomirski

Mala scena
 26.11. sobota, godz. 19.00,
 27.11. niedziela, godz. 19.00
Jabłko
 reż. T. Dutkiewicz

TEATR LALEK BANIAŁUKA
 4.11. piątek, godz. 10.00 i 17.00
Antygona
 reż. B. Kierc

6.11. niedziela, godz. 11.00
Zielony wędrowiec
 reż. P. Aigner

13.11. niedziela, godz. 11.00
O diabelku Widelku
 reż. Petr Nosálek

18.11. piątek, godz. 9.00 i 11.30,
 20.11. niedziela, godz. 11.00
Mr. Scrooge
 reż. Marián Pecko

27.11. niedziela, godz. 11.00,
 godz. 16.00, **premiera!**
Kot w butach
 wg Ewy Szelburg-Zarembiny
 reż. Lucyna Sypniewska

BYTOM

OPERA ŚLĄSKA
 4.11. piątek, godz. 18.00
Koncert promocyjny płyty
Trust You Lord
 występują: E. Uryga
 R. Lynch (USA)

6.11. niedziela, godz. 18
Nabucco
 reż. L. Hellwig-Górzyński
 w partii tytułowej Luigi Cirillo

15.11. wtorek, godz. 18.00
Mayday 2
 reż. M. Sławiński
 gościnnie:
 zespół Teatru Śląskiego

20.11. niedziela, godz. 18.00
 sala A. Didura
Koncert muzyki polskiej
 Orkiestra Opery Śląskiej,
 T. Serafin – dyrygent,
 P. Paleczny – fortepian.
 w programie:
 S. Moniuszko, F. Chopin,
 W. Lutosławski

25.11. piątek, godz. 18.00
 sala A. Didura
Recital mistrzowski
 A. Teliga, S. Olbrich-Szafranec

26.11. sobota, godz. 18.00
Rycerskość wieśniacza
 reż. J. Jędrusik
Pajace
 reż. S. Żerdzicki

IPiUM „SILESIA”

ul. 3 Maja 31a
 tel. 259-84-83
www.silesia.art.pl

KINOTEATR RIALTO

ul. św. Jana, tel. 251-04-31
www.rialto.katowice.pl

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

Plac Europy 1
 tel. 208-37-00
www.bs.katowice.pl

KOSZĘCIN

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA ŚLĄSK

ul. Zamkowa 3
 tel. (34) 357-63-40
www.slask.art.pl

MIKOŁÓW

MIEJSKI DOM KULTURY
 Rynek 19, tel. 226-21-47
www.mikolow.um.gov.pl

INSTYTUT MIKOŁOWSKI
im. RAFAŁA WOJACZKA
 ul. 1 Maja 8, tel. 738-07-55

PSZCZYNA

MUZEUM ZAMKOWE
 Brama Wybrańców 1
 tel. 210-30-37
www.zamek-pszczyzna.pl

PSZCZYŃSKIE
CENTRUM KULTURY
 ul. Piastowska 1
 tel./fax 210-45-51
www.pszczyzna.bip.info.pl

RACIBÓRZ

MUZEUM
W RACIBORZU
 ul. Rzeźnicza 15, tel. 415-49-01
www.muzeum.raciborz.pl

RYBNIK

MUZEUM W RYBNIKU
 ul. Rynek 18, tel. 422-14-23
www.muzeum.rybnik.pl
RYBNICKIE
CENTRUM KULTURY
 ul. Saint Vallier 1, tel. 42-22-132

SOSNOWIEC

MUZEUM

ul. Chemiczna 12
tel. 363-16-70
www.muzeum.org.pl

MIEJSKI KLUB

im. JANA KIEPURY
ul. Będzińska 6
tel. 291-39-48
www.kiepura.pl

TEATR ZAGŁĘBIA

ul. Teatralna 4
tel. 266-04-94
www.teatrzaglabia.pl

ŚWIĘTOCHŁOWICE

MUZEUM MIEJSKIE

ul. Dworcowa 14
tel. 245-23-88
www.muzeum-swietochlowice.com.pl

TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE

ul. Katowicka 9, tel. 327-18-20

TEATR MAŁY

ul. kard. Hłonda 1
tel. 227-36-11
www.teatrmaly.tychy.pl

ZABRZE

MUZEUM GÓRNICICTWA

WĘGLOWEGO
ul. 3 Maja 19, tel. 271-88-31
www.muzeumgornictwa.pl

MUZEUM MIEJSKIE

pl. Krakowski 9, tel. 271-56-89
www.muzeum-miejskie-zabrze.pl

FILHARMONIA

ZABRZAŃSKA
ul. Wolności 325, tel. 271-47-17

ŻORY

MUZEUM

MIEJSKIE
ul. Dolne Przedmieście 1
tel. 434-48-82
www.muzeum.zory.pl

29.11. wtorek, godz. 18.00
Halka
Spektakl Jubileuszowy
z okazji 60. rocznicy
pierwszego bytomskiego
przedstawienia

ŚLAŃSKI TEATR TAŃCA
18.11. piątek, godz. 19.00
Czar zwyczajnych dni
– Sen świętego
chor. J. Łumiński

Ogólnopolskie warsztaty
tańca współczesnego
25 - 27 listopada

CHORZÓW

TEATR ROZRYWKI

2.11. środa, godz. 19.00
The Rocky Horror Show
reż. M. Kochańczyk

3.11. czwartek, godz. 19.00,
4.11. piątek, godz. 19.00,
5.11. sobota, godz. 15.00 i 19.00,
6.11. niedziela, godz. 15.00 i 19.00
Odjazd
Fred Apke

7.11. poniedziałek, godz. 19.00
Science fiction
gościnnie:
Wrocławski Teatr Pantomimy

8.11. wtorek, godz. 19.00
Scena w Galerii
Shirley Valentine
reż. D. Milkowski

9.11. środa, godz. 19.00
Krzyk
według J. Kaczmarek
scen. i reż. R. Talarczyk

10.11. czwartek, godz. 19.00
Jaromir Nohavica
recital

11.11. piątek, godz. 19.00
Pięciu braci Moe
wystąpią: D. Kordek,
M. Milowicz, R. Rozmus,
T. Steciuk i inni

13.11. niedziela, godz. 19.00
Ars Cameralis
Lenine
brazylijska gwiazda sceny
muzycznej
koncert inauguracyjny
XIV Górnosląskiego
Festiwalu
Sztuki Kameralnej

15.11. wtorek, godz. 19.00
FIUK
spektakl tańca współczesnego
Pal Frenak Compagnie
(Francja)

17.11. czwartek, godz. 19.00
Okno na parlament
reż. M. Korwin

18.11. piątek, godz. 19.00
Kocham O'Keeffe
spektakl prapremierowy
z udziałem
Małgorzaty Zajackowskiej
i Krzysztofa Kolbergera

19.11. sobota, godz. 18.30,
20.11. niedziela, godz. 18.30
Skrzypek na dachu
reż. M. Kochańczyk

20.11. niedziela, godz. 16.00
Koło Teatralne Chochlik
I LO im. J. Słowackiego
w Chorzowie

21.11. poniedziałek, godz. 19.00
Miłość i pożądanie
Audiowizualna Grupa
Przyjaciół RH+ z Warszawy

22.11. wtorek, godz. 19.00
Dzieła wszystkie Szekspira...
reż. J. Jędrusik, M. Książek,
R. Talarczyk

23.11. środa, godz. 19.00
Grażyna Auguścik
The Cracow Klezmer Band
koncert

24.11. czwartek, godz. 19.00
Ars Cameralis
Salif Keita (Mali)
koncert

25.11. piątek, godz. 19.00
3 x KUTZ
teatr, telewizja, film
Śmierć komiwojagera
gościnnie:
Teatr Narodowy z Warszawy

28.11. poniedziałek, godz. 19.00,
29.11. wtorek, godz. 19.00
3 x KUTZ
teatr, telewizja, film
Damy i huzary
gościnnie: Stary Teatr z Krakowa

CZĘSTOCHOWA

TEATR

IM. A. MICKIEWICZA
Duża scena
3.11. czwartek, godz. 19.00
Dni Kultury Chrześcijańskiej
Tryptyk Rzymski
Krzysztof Kolberger

5.11. sobota, godz. 19.00
Odyseja 2
reż. A. Sadowski

Międzynarodowe Spotkania
Teatralne
25.11. piątek, godz. 19.00
Odyseja 2
reż. A. Sadowski

26.11. sobota, godz. 19.00
Morze... noc... świece
Teatr Dramy i Komедii
z Kijowa

27.11. niedziela, godz. 19.00
Krzyk
wg J. Kaczmarek
Teatr Rozrywki z Chorzowa

Scena kameralna
4.11. piątek, godz. 19.00,
6.11. niedziela, godz. 19.00
Skrzyneczka bez pudła
reż. A. Sadowski

10.11. czwartek, godz. 19.00,
12.11. sobota, godz. 19.00
Lęki poranne
reż. B. Michalik

16.11. środa, godz. 18.00,
17.11. czwartek, godz. 16.00,
19.11. sobota, godz. 19.00
Mayday
reż. W. Pokora

20.11. niedziela, godz. 17.00
Final XXIX Ogólnopolskiego
Konkursu Poetyckiego
im. H. Poświatowskiej

Międzynarodowe Spotkania
Teatralne
25.11. piątek, godz. 17.00
Jabłko
Teatr im. W. Siemaszkowej
z Rzeszowa

26.11. sobota, godz. 16.00
Hamlet
Teatr Clipperton
z Bańskiej Bystrzycy

27.11. niedziela, godz. 21.30
Tajemnica
Teatr „Porywacze ciał”
z Poznania

GLIWICE

GLIWICKI TEATR MUZYCZNY

4.11. piątek, godz. 18.00,
5.11. sobota, godz. 18.00
Zemsta nietoperza
reż. J. Chmielnik

6.11. niedziela, godz. 18.00,
27.11. niedziela, godz. 18.00,
29.11. wtorek, godz. 18.30
godz. 18.30
42nd Street – 42 ulica
reż. M. Sartova

7.11. poniedziałek, godz. 18.00
Piękna pamięć
reż. R. Szejd
gościnnie:
Teatr Syrena Prezentacje
z Warszawy

8.11. wtorek, godz. 18.30
Dajcie mi tenora!
reż. M. Sławiński

10.11. czwartek, godz. 18.00,
Kwiat Hawaii
reż. J. Chmielnik

TEATRY

TEATRY

II Listopadowa Epidemia Komedii w GTM

11.11. piątek, godz. 18.00
Pół żartem, pół sercem
reż. M. Sławiński
gościnnie:
Teatr Polski w Bielsku-Białej

12.11. sobota, godz. 18.30
**Sztuka kochania, czyli
serdeczne pocałunki**
reż. J. Szurmiej
gościnnie:
Kino-Teatr Bajka z Warszawy

18.11. piątek, godz. 19.00,
premiera!
19.11. sobota, godz. 18.30,
20.11. niedziela,
godz. 17.00, **premiera!**
Skansen „Królowa Luiza”
Chodnik 05
Jarosław Staniek
reż. i choreograf. J. Staniek
scenografia K. Nesteruk

20.11. niedziela, godz. 18.00
W hołdzie Piazzolli
koncert

21.11. poniedziałek, godz.
10.00 i 11.30
Festiwal „Na ziarnku grochu”
Krzesiwo
Jeleniogórski Teatr
Scena Animacji

KATOWICE

TEATR ŚLĄSKI
Duża scena

5.11. sobota, godz. 18.00,
6.11. niedziela, godz. 18.00,
18.11. piątek, godz. 18.00,
premiera prawnicza!
19.11. sobota, godz. 18.00,
20.11. niedziela, godz. 18.00,
premiera nauczycielska!
27.11. niedziela, godz. 18.00
Mayday 2
reż. M. Sławiński

7.11. poniedziałek, godz. 18.00
Nabucco
reż. L. Hellwig-Górzyński
gościnnie: Opera Śląska
w Bytomiu

12.11. sobota, godz. 18.00,
13.11. niedziela, godz. 18.00
Nie teraz kochanie
reż. M. Sławiński

22.11. wtorek, godz. 18.00,
23.11. środa, godz. 18.00
Król Edyp
reż. G. Kempinski



26.11. sobota, godz. 18.00
Ireneusz Krosny

28.11. poniedziałek, godz. 18.00
Rycerskość wieśniacza
reż. J. Jędrusik

Pajace
reż. S. Żerdzicki
gościnnie:
Opera Śląska w Bytomiu

30.11. środa, godz. 19.00
Twórcy obrazów
reż. K. Kutz

Scena kameralna
3.11. czwartek, godz. 18.30,
4.11. piątek, godz. 18.30
Beztlenowce
reż. I. Villqist

5.11. sobota, godz. 18.30
Aleksander Maceradi
Koncert zaduszkowy

16.11. środa, godz. 15.00,
29.11. wtorek, godz. 18.30
Antygona w Nowym Jorku
reż. B. Tosza

21.11. poniedziałek, godz. 17.00
Czytanie dramatów Pintera

23.11. środa, godz. 18.00
Ars Cameralis
**Szaleństwo – obietnica
czy wygnanie?**
Wokół Fiodora Dostojewskiego

24.11. czwartek, godz. 18.30
Zamiana
reż. A. Smolar

Scena w Malarni
17.11. czwartek, godz. 19.00
**Dom przeznaczony
do wyburzenia**
Jacek Rykała

24.11. czwartek, godz. 19.00
Fantom
reż. I. Villqist

26.11. sobota, godz. 19.00,
27.11. niedziela, godz. 19.00
Pan Paweł
reż. G. Kempinski

TEATR COGITATUR
6.11. niedziela, godz. 19.00



W hołdzie ekspresjonistom
scen. i reż. W. Izdebski

13.11. niedziela, godz. 19.00
Aztec Hotel
scen. i reż. W. Izdebski

SOSNOWIEC

TEATR ZAGŁĘBIA
4.11. piątek, godz. 18.00,
5.11. sobota, godz. 18.00
Prywatna klinika
reż. J. Fedorowicz

6.11. niedziela, godz. 18.00
Profesjonalista
reż. B. Ciosek
12.11. sobota, godz. 18.00,
Tango, tango
reż. J. Niesobka

17.11. czwartek, godz. 18.00,
26.11. sobota, godz. 18.00,
27.11. niedziela, godz. 18.00
Kandyd
reż. H. Adamek

25.11. piątek, godz. 18.00
Hamlet
reż. B. Wyszomirski

TYCHY

TEATR MAŁY
5.11. sobota, godz. 16.00
Kopciuszek
Opolski Teatr Lalki i Aktora

11.11. piątek, godz. 18.00
Narodowe Święto Niepodległości
**Koncert orkiestry
symfonicznej Filharmonii
Śląskiej**
dyrygent: J. Błaszczyk
solista: Z. Raubo – fortepian
w programie: F. Chopin,
L. van Beethoven

16.11. środa, godz. 9.00, 11.00
Dziady cz. II
aktorzy scen krakowskich;

17.11. czwartek, godz. 18.30
Ars Cameralis
koncert jazzowy
Polish-German Double Trio

18.11. piątek, godz. 8.30, 11.30,
30.11. środa, godz. 8.30, 11.30
Balladyna
Bałtycki Teatr Dramatyczny
z Koszalina
reż. J. Machulski

19.11. sobota, godz. 20.00
**Ireneusz Krosny i jego gość:
Grzegorz Halama**

22.11. wtorek, godz. 18.30
Czuwanie
reż. B. Augustyniak
Teatr na Woli z Warszawy

24.11. czwartek, godz. 12.00, 19.00
Wariat i zakonnica
Teatr polonijny Dom Otwarty
z Budapesztu

MUZYKA

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA
Pałac

20.11. niedziela, godz. 16.00
Od Bacha do Beatełsów
koncert kameralny
wystąpi: Kwartet Flavtato

CZĘSTOCHOWA

FILHARMONIA
CZĘSTOCHOWSKA

11.11. piątek
Koncert muzyki polskiej
Orkiestra Filharmonii
Częstochowskiej
wystąpi: W. Matuszewski

18.11. piątek

Święto Muzyki

Orkiestra Filharmonii
Częstochowskiej
Tilo Lehmann – dyrygent,
E. Kaltschmidt, C. Odermatt,
F. Hoffmann, E. Andree,
Zabrzeński Chór Młodzieżowy
„Resonans con tutti”, Zespół
Wokalny „La musica corale”,
Kłodzki Chór Kameralny
„Concerto Glacensis”,
w programie:
G. F. Haendel – „Mesjasz”

GLIWICE

GLIWICKI TEATR MUZYCZNY
Festiwal Jazz Sessions 2005

22.11. wtorek
Zespół JWP.org
W. Fedkowicz, J. Fedkowicz,
D. Wania, T. Pruchnicki,
J. Pilch

Walk away international Edition
Koncerty z okazji 20. rocznicy
założenia zespołu
E. Marienthal, S. Logan, M. Birta,
D. Szabo, K. Zawadzki

23.11. środa
New Bone
T. Kudyk, M. Ślusarczyk,
J. Gajda, M. Adamczak,
P. Dobrowolski
promocja płyty
„Something For Now”

Marcin i Bartłomiej Oleś
prezentują:
Simon Nabatov
Chriss Speed

24.11. czwartek
Kwartet
Marka Napiórkowskiego

Grażyna Auguścik
– **Cracow Klezmer Band**
– **John Mclean**

Najnowszy projekt Grażyny Auguścik łączący elementy jazzu i muzyki etno oraz klezmerskiej z gościnnym udziałem chicagowskiego gitarzysty Johna McLeana.

KATOWICE

FILHARMONIA ŚLĄSKA

4.11. piątek, godz. 19.00
sala im. K. Stryji.
koncert

Orkiestra Symfoniczna Fil. Śl.
Chór Fil. Śl.

W. Sutryk – dyrygent,
K. Nowak-Stańczyk, T. Kuk
w programie:
A. L. Webber, J. S. Bach

10.11. czwartek, godz. 18.00
Sosnowiec, Klub im. J. Kiepury,
Miejskie

Obchody Święta Niepodległości
Śląska Orkiestra Kameralna
J. W. Hawel – dyrygent
wystąpi: A. Kaczmarek-Białic
w programie: C. Debussy,
G. F. Haendel, F. Janiewicz

11.11. piątek, godz. 18.00
Tychy, Teatr Mały
Koncert

z okazji Święta Niepodległości
Orkiestra Symfoniczna Fil. Śl.
M. J. Blaszczyk – dyrygent,
Z. Raubo – fortepian
w programie:
L. van Beethoven, F. Chopin

12.11. sobota, godz. 17.00
sala im. K. Stryji

**Koncert Jubileuszowy z okazji
95-lecia**
**Oddziału Śląskiego Polskiego
Związku Chórów i Orkiestr.**
W hołdzie Moniuszce

17.11. czw., godz. 11.00 i 17.00

18.11. piątek, godz. 10.00 i 12.00
sala im. K. Stryji
Młoda Filharmonia

Spotkanie
z Wojciechem Kilem
Orkiestra Symfoniczna Fil. Śl.
M. J. Blaszczyk – dyrygent
w programie: Wojciech Kilar
muzyka symfoniczna i filmowa

18.11. piątek, godz. 18.00
Cieszyn

Teatr im. A. Mickiewicza
**Mistrzowskie Spotkania
nad Olzą**

Śląska Orkiestra Kameralna
J. W. Hawel – dyrygent,
V. Brodski – skrzypce
w programie:
utwory F. Kreislera, V. Montiego

20.11. niedziela, godz. 18.00
Ars Cameralis

Koncert nadzwyczajny
Piotr Anderszewski
Orkiestra Kameralna Miasta
Tychy „Aukso”
M. Moś – dyrygent,
w programie:
W. A. Mozart,
W. Kilar – Ricordanza
(prawykonanie)

25.11. piątek, godz. 19.00
sala im. K. Stryji
koncert

Orkiestra Symfoniczna Fil. Śl.
M. J. Blaszczyk – dyrygent,
M. M. Lelek – skrzypce
w programie: B. Britten,
D. Szostakowicz

27.11. niedziela, godz. 19.30
Muzyka w kościele Mariackim
Śląska Orkiestra Kameralna
J. W. Hawel – dyrygent,
J. Gwizdon – wiolonczela
w programie: F. Couperin

GÓRNOŚLĄSKIE
CENTRUM KULTURY
JAZZ CLUB HIPNOZA
JaZZ i okolice
2.11. środa, godz. 20.00
**Bill Frisell/Greg Leisz/Jenny
Scheinman**

18.11. piątek, godz. 20.00
Josh Roseman Execution Project

24.11. czwartek, godz. 20.00
Bojan Z / Julien Lourau
(Francja)

TARNOWSKIE GÓRY

Muzeum

13.11. niedziela

**Klejnoty polskiej muzyki
czasów Mickiewicza**
wystąpią: K. Lason, I. Migocz,
J. Maksymiuk

ZABRZE

FILHARMONIA
ZABRZAŃSKA

2.11. środa, godz. 19.00
kościół św. Anny

**Koncert zaduszkowy pamięci
wszystkich zmarłych**
Orkiestra Fil. Zabrzeńskiej
i Chór Resonans Con Tutti
S. Chrzanowski – dyrygent
w programie:
W. A. Mozart – Requiem

10.11. czwartek, godz. 18.00,
sala koncertowa PSM
**Koncert symfoniczny
w ramach obchodów
Święta Niepodległości**
J. Rogala – dyrygent,
P. Pławner – skrzypce
w programie:
S. Moniuszko,
M. Karłowicz, F. Schubert.

25.11. piątek, godz. 18.00,
sala koncertowa PSM
**Słynne przeboje
wielkiego ekranu**
S. Chrzanowski – dyrygent
w programie: muzyka z filmów:
Gwiezdne wojny, Król lew,
Śniadanie u Tiffany'ego,
Różowa pantera, Przemiętło
z wiatrem i wielu innych

BYTOM

BYTOMSKIE CENTRUM
KULTURY

27.11. niedziela, godz. 18.00
Ars Cameralis
**Przegląd
twórczości filmowej**
Jonasa Mekasa: *Walden*

KATOWICE

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

8.11. wtorek
sala Parnassos
Imago Mundi

Świat Kultury Islamu
W ramach imprezy odbędą się
wykłady, panel dyskusyjny oraz
wystawy: malarstwa, książek
w językach oryginału i tłuma-
czeniach na język polski oraz
tradycyjnych strojów muzul-
mańskich. Współorganizatorzy:
Liga Muzulmańska w RP Od-
dział Śląski, Muzulmańskie Sto-
warzyszenie Kształcenia i Kul-
tury, Stowarzyszenie Studentów
Muzulmańskich.

16.11. środa, godz. 17.00
wernisaż

sala Parnassos
**Polska prasa kobieca
mecenasek muzyki**

18.11. piątek, godz. 11.00-15.00
sala Parnassos
**II Katowickie
Prezentacje Biblioteczne**

18.11. piątek
wernisaż

Ars Cameralis
Galeria Ars Typographica
Frédéric Pajak.
Ilustracje i rysunki
spotkanie z artystą

24.11. czwartek, godz. 17.00
sala Benedyktynka
spotkanie
w Klubie Dobrej Książki
Vaclav Burian
zarekomenduje książkę
Doroty Masłowskiej
„Paw Królowej”

Salon „Polityki”
Promocja książki
**Rola Biblioteki Naukowej
w kształtowaniu
społeczeństwa wiedzy**
pod red. Z. Dacko-Pikiewicz
i M. Chmielarskiej

GÓRNOŚLĄSKIE
CENTRUM KULTURY

9.11. środa, godz. 18.00
sala Teatru Korez
Spotkanie
z Radosławem Nowakowskim

11.11-13.11
Festiwal GoGospel 05

15.11. wtorek, godz. 11.00
sala 411

Ars Cameralis
Symposium naukowe
„Ślady pamięci”
poświęcona twórczości
Tomasza Struka

16.11. -17.11

Konferencja naukowa
„Warsztat scenografa.
Tradycja i współczesność.
Spotkanie I”
w programie m.in.:
16.11. środa, godz. 16.00
Centrum Scenografii Polskiej:
Wręczenie statuetki
Koryfeusza
Scenografii Polskiej
Leszkowi Mądzikowi

godz. 17.00
sala 411

Spotkanie
z Józefem Szajną
i Leszkiem Mądzikiem
promocja książki
„Życie zamieniam w obraz...
Sztuka Józefa Szajny”

TEATR KOREZ

23.11. środa, godz. 16.30, 18.00
Ars Cameralis
Wieża z kamienia
Niezależna Grupa Teatralna
Tukchum
III LO im. Stefana Batorego
w Chorzowie

KINOTEATR RIALTO
Ars Cameralis

13.11. niedziela, godz. 17.00
Obrazy szaleństwa w filmie
Marynarz słodkich wód
reż. Buster Keaton
& Charles Reisner
Jeszcze wyżej
reż. Fred C. Newmeyer
& Sam Taylor

14.11. poniedziałek, godz. 17.30
Prezentacja
zapisów filmowych
spektakli
Tadeusza Kantora
Umarła klasa
Wielopole, Wielopole

16.11. środa, godz. 19.00
Arto Lindsey BandSalt
koncert

18.11. piątek, godz. 18.00
Zbieg poetycki Na Dziką
dzień pierwszy
prezentacje poetyckie:
J. Fiedorczyk.
M. B. Kielar, J. Müeller,
J. Wajs

projekt multimedialny
Muzyka dla ryb
koncert w wykonaniu
Ketila Bjoernstada (Norwegia)

19.11. sobota, godz. 18.00
Zbieg poetycki Na Dzik
dzień drugi
 Prezentacje
 poetyckie i prozatorskie
 połączone z projekcjami
 multimedialnymi
 Uczestnicy:
Zhu Hao (Chiny),
Wang Yin (Chiny),
Frédéric Pajak (Francja),
Darek Foks,
Trupa Poetycka Na Dzik
 koncert w wykonaniu zespołu
Lao Che

20.11. niedziela, godz. 17.00
Obrazy szaleństwa w filmie
Diabel
 reż. A. Żulawski
Trzecia część nocy
 reż. A. Żulawski

25.11. czwartek, godz. 18.00
Przegląd twórczości filmowej
Jonasa Mekasa

26.11. sobota, godz. 20.00
 koncert
Kapela ze Wsi Warszawa

27.11. sobota, godz. 16.00
 Prezentacja nowych realizacji
Lecha Majewskiego
 przedpremierowy
 pokaz video artu

MIKOŁÓW

MIEJSKI DOM KULTURY
 Galeria

3. 11. czwartek, godz. 18.00,
 wernisaż
Przegląd

sztuki nieprofesjonalnej
 Mają talent i często są bezsilni
 wobec nagłego natchnienia.
 Swoją wrażliwość wyrażają po-
 przez tworzenie obrazów, rzeźb,
 artystycznych tkanin.
 To już IV finał Przeglądu Sztuki
 Nieprofesjonalnej.
 Spośród 156 prac jury wybrało
 dzieła 50 artystów – amatorów,
 które ozdabiać będą ściany Ga-
 lerii.

6.11. niedziela, godz. 8.00-14.00
 Rynek
Jarmark staroci

8. 11. wtorek, godz. 18.00
Galeria podróżnicza
Bogusław Magrel
 – **Sisha Pangma**

11.11. piątek, godz. 17.30
 sala widowiskowa
Wieczornica listopadowa

15.11. wtorek, godz. 18.00
Galeria literacka
Maciej M. Szczawiński
 zaprezentuje
 swój najnowszy tomik wierszy
Mity

19.11. sobota, godz. 16.00
 sala widowiskowa
15-lecie Chóru Chopin
 gość specjalny
Feliks Widera,
 tenor Opery Śląskiej

21.11. poniedziałek, godz.
 18.00
Galeria muzyczna
Izabela Rzepka – flet

26.11. sobota, godz. 18.00
 GALERIA
Impresje Mikołowskie
 Tradycyjni od 1991 roku Mi-
 kołowie stali się natchnieniem dla
 twórców.
 Uczestnikami tegorocznych Im-
 presji byli:
Roman Banaszewski, **Kiejstut**
Bereźnicki, **Renata Bonczar**,
Franciszek Dziadek, **Andrzej**
Kacperek, **Włodzimierz Kolk**,
Elly Kraft z Holandii, **Franci-**
szek Maśluszczak, **Stanisław**
Mazuś, **Ryszard Pater**,
Daniel Pielucha, **Lu Pin**
z Chin, **Stefan Poniewiera**, **Alina**
Siberam, **Joanna Sierko-Filipow-**
ska, **Piet Snellaars z Holandii**,
Stanisław Tabisz, **Henryk**
Wanick, **Barbara Warzeńska**,
Leszek Żegalski.

godz. 18.00
 sala widowiskowa
Katarzyna Groniec
 koncert

INSTYTUT MIKOŁOWSKI
 IM. RAFAŁA WOJACZKA
Ars Cameralis
 21.11. poniedziałek, godz. 18.00
Spotkanie
ze Zbigniewem Libera
oraz Darkiem Foksem
 poświęcone realizacji projektu
Co robi łączniczka
 projekcja multimedialna prac

24.11 - 25.11
 Konferencja naukowa
Sacrum profanum
 a inne języki prawdy
 uczestnicy:
 M. K. E. Baczewski,
 o. J. Bereza, P. Lachmann,
 P. Motywiecki, o. S. Obirek,
 J. Prokopiuk, T. Sławek,
 A. Sobolewska

PSZCZYNA

MUZEUM ZAMKOWE
Ars Cameralis

26.11. sobota, godz. 18.00
Koncert
Orkiestry Kameralnej Amadé
 pod dyr. Friedera Obstfelda
 (Aachen)
 w programie: F. Liszt,
 J. S. Bach, P. Czajkowski
 J. Herbold

PSZCZYŃSKIE CENTRUM
 KULTURY

19.11. sobota, godz. 17.00
 Klub „13”
Pszczynski Salonik Artystyczny
Wiesław Ochman
 prowadzenie:
 Kamila Kielbińska
Spotkanie będzie połączone
z wernisażem wystawy
malarstwa Wiesława Ochmana.
 czynna do 2 grudnia

26.11. sobota, godz. 17.00
 sala widowiskowa
Krzysztof Kiljański
 koncert

RYBNA

PAŁAC
Ars Cameralis

18.11. piątek, godz. 18.30
Koncert jazzowy
Polish-German Double Trio

RYBNIK

RYBNICKIE CENTRUM
 KULTURY
XX Silesian Jazz Meeting

18.11. piątek, godz. 18.00
Dzień Wyszehradzki
 wystąpi m. in.:
 zespół „Take it jazzy”
 w składzie:
 W. Karolak, L. Cichoński,
 K. Szukalski

19.11. sobota, godz. 18.00
Koncert finałowy XX SJM
 wystąpią:
 „Bracia Niedzielowie
 i przyjaciele”
 w składzie:
 W. Niedziela – fortepian,
 J. Niedziela – kontrabas,
 R. Majewski – trąbka,
 M. Jahr – perkusja.
 Walk Away International
 Edition
 20-lecie zespołu „Walk away”
 w składzie: Eric Marienthal
 – sax (USA, Chic Corea Band),
 Steve Logan-bass
 (USA, David Sanbor Band, John
 Scofield, Aretha Franklin etc.),

Miki Brita – git.
 (TOP 1 gitarzysta węgierski),
 Daniel Szabo – keyb
 (Węgry),
 Krzysztof Zawadzki – drums

SOSNOWIEC

MIEJSKI KLUB
 im. JANA KIEPURY
 7.11. poniedziałek, godz. 18.00
Cztery krańce Europy
 spotkanie
 ze Stanisławem Pisarkiem

8.11. wtorek, godz. 19.00
W poszukiwaniu aniołów
Anna Maria Rosół
 wystawa oraz koncert zespołu
 w składzie:
 E. Czardybon – flet,
 A. Patrys – mezzosopran,
 A. Rosół – fortepian

10.11. czwartek, godz. 18.00
Koncert
Śląskiej Orkiestry Kameralnej

14.11. wtorek, godz. 18.00
Jan Peszek
 w spektaklu
Scenariusz dla nieistniejącego
 lecz możliwego aktora
 instrumentalnego

LICEUM
 OGÓLNOKSZTAŁCĄCE
 Im. E. PLATER

18.11. piątek, godz. 17.00
 finał
XIII Turnieju
Jednego wiersza
„O laur Plateranki”

TARNOWSKIE GÓRY
 GALERIA POD-NAD
Ars Cameralis

20.11. niedziela, godz. 18.00
Zaskroniec
 monodram
 Bogusława Kierca
 Teatr Współczesny we Wrocławiu

25.11. piątek, godz. 16.00
Wielopole, Wielopole
 wystawa z okazji 25-lecia
 premiery spektaklu *T. Kantora*
 godz. 17.00
 Prezentacja zapisów filmowych
 spektakli *Tadeusza Kantora*
 Umarła klasa
 Wielopole, Wielopole

Żle się wywdzięcza mistrzowi.
 kto zawsze tylko jego uczniem
 zostaje. Nietzsche

Miesięcznik Społeczno-Kulturalny „ŚLĄSK” – Wojewódzki Informator kulturalny

Wydawca: Górnośląskie Towarzystwo Literackie w Katowicach • Informacje wraz ze zdjęciami (do 2 fotografii) prosimy przysyłać do 15. każdego miesiąca • Redakcja zastrzega so-
 bie prawo dokonywania skrótów i nie ponosi odpowiedzialności za zmiany w repertuarach. Tel/fax 206-82-71 (wtorek, godz. 11.00-14.00) • e-mail: slask@neotrada.pl,
 wikslask@poczta.onet.pl

Jubileuszowy „Karlówicz”

Kolejną edycję Śląskiej Trybuny Kompozytorów zainauguruje Rok Jubileuszowy Państwowa Szkoła Muzyczna I i II stopnia im. Mieczysława Karłowicza w Katowicach. Kolejne koncerty z tej okazji zostały zaplanowane na 23 listopada („Muzykowanie dla świętej Cecylii” w wykonaniu chóru i orkiestry PSM pod dyktando Wojciecha Sągółki), 2 grudnia – koncert śląskich filharmoników pod dyktando Mirosława Jacka Blaszczyka będzie dedykowany znacznej jubileatu. Również w grudniu (12) będzie miało miejsce Święto Szkoły czyli Juwenilia Mieczysława Karłowicza w wykonaniu „Karlówiczów”. W tym dniu prócz koncertu odbędzie się promocja wydawnictwa nutowego oraz płyty CD z młodzieńczymi utworami patrona szkoły. Absolwenci i pedagodzy będą także wykonawcami koncertów kameralnych, podczas których będzie można usłyszeć muzykujące rodziny rodem z „Karlówicza”, popisy fletowe, skrzypcowe, wokalne, kontrabasowe i akordeonowe.

Najważniejsza jednak uroczystość została zaplanowana na 3 czerwca przyszłego roku. Jej zwieńczeniem będzie Koncert Galowy w kościele Zmartwychwstania Pańskiego, którego wykonawcami będą soliści, orkiestra i chór PSM, a improwizacje organowe zaprezentuje prof. Julian Gembański.

Nie byłoby jednak prawdziwego jubileuszu bez nocnego muzykowania, to już tradycja „Karlówicza”.

Oczywiście jest, że dzieje tej niezwykłej szkoły, wymagają odrębnego opisanie. Jednak 60 lat, jakie mijają od chwili jej powstania, mogą dać wyobrażenie o ilości znakomitych muzyków, wokalistów czy przyszłych kompozytorów, którzy niegdyś byli jej uczniami. Absolwenci „Karlówicza” są wszędzie – w najznakomitszych orkiestrach, zespołach chóralskich, w gronie wybitnych solistów i kompozytorów, ale także wykonują zawody często nie związane bezpośrednio z zawodem muzyka czy wokalisty, jednak na zawsze pozostali „absolwentami Karlówicza”. Bo każdy, kto chociaż przez kilka lat miał coś wspólnego z tą szkołą, otarł się o atmosferę w niej panującą, miał przyjemność zetknąć się z pedagogami – w dużej mierze wybitnymi muzykami, solistami, kompozytorami, to na całe życie nosi w sobie „piętno” szkoły z Wita Stwosza czy, późniejszej, ulicy Teatralnej. Swoisty genius loci tych miejsc sprawiał, że od „Karlówicza” nie można się uwolnić – zresztą chyba nie ma nikogo, kto by tego chciał.

PSM im. Karłowicza od 60 lat jest znaczącym elementem kształcenia muzycznego, obok podstawowej szkoły muzycznej i liceum muzycznego. Mimo, iż zawsze jest „drugą” szkołą, równoległą do szkół ogólnokształcących, w efekcie często staje się szkołą „pierwszą”, najważniejszą, nie tylko ze względu na zdobyte wykształcenie muzyczne.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

W Muzeum Śląskim

4 października br. Muzeum Śląskie zaprosiło wszystkich miłośników sztuki do aktywnego zwiedzania Galerii Malarstwa Polskiego. Tego dnia, pod hasłem „Pomożemy Ci zrozumieć dzieło sztuki”, odbyły się kolejne warsztaty zajęciowe z cyklu „Wtorki z niespodzianką”. Spotkanie rozpoczęło się zabawami „Kim był człowiek z obrazu?” oraz „Mój wymarzony portret”. Ich uczestnicy, przy pomocy przygotowanych przez muzeum materiałów, sami oceniali wygląd i charakter ludzi z najsłynniejszych obrazów Galerii Malarstwa Polskiego oraz wybierali portret, na którym chcieliby się znaleźć. W ten sposób, w lekkiej i przystępnej formie, poznali prace najsłynniejszych polskich artystów oraz dowiedzieli się czegoś o swoich zamilowaniach artystycznych. Następnie wszyscy zainteresowani zostali oprowadzeni szlakiem malarstwa portretowego.

Kolejne spotkanie – odbędzie się 8 listopada na ekspozycji „Brandt... Malczewski... Siemiradzki... Polscy Monachijscy. Wystawa malarstwa ze zbiorów Lwowskiej Galerii Sztuki”.

Wyjazdy i powroty



Od lewej: Krzysztof Karwat, Ryszard Krynicki, Adam Zagajewski, Jerzy Kronhold, Julian Kornhauser i Andrzej Kowalczyk.

To tytuł kolejnego spotkania z cyklu „Górny Śląsk – świat najmniejszy”, jakie odbywają się w Teatrze Rozrywki w Chorzowie. Tym razem prowadzący dyskusję Krzysztof Karwat zaprosił wybitnych przedstawicieli pokolenia Nowej Fali – najciekawszej powojennej formacji literackiej, która zadebiutowała na przełomie lat 60. i 70. ubiegłego stulecia. Każdy z zaproszonych gości: Julian Kornhauser, Jerzy Kronhold, Ryszard Krynicki i Adam Zagajewski, ma w swej biografii śląskie epizody.

Podczas spotkania wybrane utwory czytał aktor Teatru Rozrywki Andrzej Kowalczyk.

Nobel sprzed 50 lat

Również w Bibliotece Śląskiej odbyła się sesja poświęcona laureatowi Pokojowej Nagrody Nobla z 1952 roku – Albertowi Schweitzerowi, muzykowi, filozofowi, teologowi ewangelickiemu i lekarzowi, jednej z najwybitniejszych osobowości XX stulecia. Jako koncertujący muzyk-organista zbierał fundusze na utrzymanie i rozwój szpitala w Lambarenie (Gabon) w Afryce. Był autorem fundamentalnego dzieła w historii muzyki – monografii Jana Sebastiana Bacha.

Wspominano Bereskę

W Sali Portretowej Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego odbyło się spotkanie poświęcone twórczości translatorskiej i poetyckiej Henryka Bereski – niedawno zmarłego tłumacza i propagatora polskiej kultury w Niemczech. Przypomniano jego niezwykłą i skomplikowaną biografię, która wyprowadziła go z rodzinnych Szopienic poza granice Śląska. Zaakcentowano, że Bereska – nie bacząc na niesprzyjające okoliczności – utrzymywał stałe kontakty z katowickim środowiskiem literackim. Tadeusz Kijonka opowiadał m.in. o jego związkach z redakcją „Poglądów”.

Henryk Bereska pisał również wiersze. O ich recepcji w Niemczech mówiła prof. Grażyna Barbara Szewczyk, zaś ich tłumaczenia autorstwa Feliksa Netza czytał aktor Artur Świąs. Do historii przejdzie jednak przede wszystkim

■ W Centrum Scenografii Polskiej w Katowicach odbył się finał wystawy „Argumenta. Na coś stworzon i wystawion. Mikołaj Rej w teatrze” – zorganizowanej z okazji urodzin Mikołaja Reja.

■ Muzeum Miejskie w Tychach było organizatorem spotkania z Bogdanem Prejsem, dziennikarzem, pisarzem, autorem książki „Subkultury młodzieżowe. Bunt nie przemija”.

■ Również tyskie Muzeum na „Popołudnie czwartkowe” zaprosiło dra Krzysztofa Bierwaczonka z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Śląskiego, który przedstawił wyniki badań nad przestrzenią centralnej miasta.

■ Muzeum w Tychach prowadzi także Akademię Historii Sztuki, podczas której Jacek Dębski wygłasza prelekcje na temat historii sztuki europejskiej.

■ W ramach Roku Polsko-Niemieckiego Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” w Katowicach zorganizowała koncert w wykonaniu Michalina Growiec, która z akompaniamentem Roberta Marata wystąpiła w repertuarze Schumanowskim, prezentując „Miłość i życie kobiety”.

■ Z okazji 140-lecia nadania praw miejskich Katowicom IPIUM „Silesia” zapraszała melomanów na cykl koncertów poświęconych Stanisławowi Moniuszce („Szkice do opery” – „Flis”), muzyce Pucciniego („Dzieje pewnej miłości” – „Cyganeria”) oraz na koncert Kwintetu Dętego NOSPR z utworami Bacha, Haydna, Świdra i Kilara.

■ W Muzeum Archidiecezjalnym odbyło się otwarcie wystawy obrazów Izabeli Gros do krypty Katedry Chrystusa Króla w Katowicach.

kim jako znakomity tłumacz dzieł tek pozycji klasycznych i współczesnych. Jego przekład „Wesela” Wyspiańskiego uchodzi za genialny.

Polscy Monachijszczy

7 października odbył się w Muzeum Śląskim wernisaż wystawy malarstwa zatytułowanej „Brandt... Malczewski... Siemiradzki... Polscy Monachijszczy”. Wszystkie prezentowane prace pochodzą ze zbiorów Lwowskiej Galerii Sztuki. Muzeum Śląskie w Katowicach jest pierwszym miejscem w Polsce, w którym gości ta wyjątkowa kolekcja. Ekspozycja potrwa do stycznia 2006 roku.

Na wystawie można zobaczyć obrazy 48 polskich twórców, kształcących się w Akademii Sztuk Pięknych w Monachium, w latach 1828-1914. Poza twórczością Józefa Brandta, Jaka Malczewskiego oraz Henryka Siemiradzkiego, można oglądać dzieła takich wybitnych postaci jak Józef Chelmoński, Władysław Czachórski, Artur Grottger, Juliusz i Wojciech Kossakowie, Jan Matejko, czy też Franciszek Żmurko.

W XIX oraz na początku XX wieku Monachium było jednym z najważniejszych ośrodków kształcenia artystycznego Europy, o renomie porównywalnej z Paryżem. Swoją warsztat doskonali tam nie tylko artyści niemieckojęzyczni, ale również reprezentanci wielu innych narodów, m.in. Węgrzy, Słowacy, Czesi oraz Amerykanie. Wystawa w Muzeum Śląskim ogranicza się do prezentacji tylko artystów malarzy, ale należy zaznaczyć, iż w monachijskiej ASP studiowali także przyszli architekci,



Marceli Harasimowicz, „Zdobyc kruków”, 1888

■ Jerzy Pawleta prezentował wystawę fotografii pt. „Nepal. Bogowie gór” w galerii Teatru Małego w Tychach.

■ Również w Tychach, lecz w galerii Obok grafiki swojego autorstwa prezentował Jan Sznatloch.

■ Śląski Wawrzyn Literacki – nagroda Biblioteki Śląskiej została wręczona Januszowi Głowackiemu za książkę „Z głowy”.

■ Przed Teatrem Śląskim, na gliwickim rynku i placu 100-lecia w Sosnowcu Stowarzyszenie „4D architektury” prezentowało plenerowe ekspozycje 24 fotografii terenów i obiektów poprzemysłowych na Śląsku autorstwa Kamili Cieśli, Pawła Duszy, Marcina Spyry i Aleksandra Witczaka.

■ W Klubie Filmowym „Silesia” odbyło się spotkanie z reżyserem Radosławem Markiewiczem oraz projekcja jego filmu „Metanoia” opowiadającego o za-

rzeźbiarze, graficy oraz twórcy uprawiający sztukę użytkową.

Prezentowana kolekcja stanowi wybór 48 prac z twórczości około 300 polskich artystów, określanych mianem polskiej szkoły monachijskiej.

Ekspozycja jest owocem długoletniej współpracy Muzeum Śląskiego z Lwowską Galerią Sztuki, z której pochodzą wszystkie prezentowane obrazy. Jej bogate zbiory rzadko możemy podziwiać w Polsce. Niektóre z nich przyjechały do Katowic po raz pierwszy. Po Muzeum Śląskim, kolekcja zostanie zaprezentowana w Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie oraz w Muzeum Historii Miasta Łodzi.

Ostatnia pielgrzymka Piotra Szymona

Na początku września śląskie środowisko fotograficzne pożegnało Piotra Szymona (1957-2005). Odszedł jeden z najlepszych fotografików średniego pokolenia. Mottem jego pracy twórczej były słowa Edwarda Steichena: „Misją fotografii jest przedstawienie człowieka drugiemu człowiekowi, jak również wytłumaczenie człowiekowi samego siebie. I jest to najbardziej skomplikowana rzecz na ziemi.”

Piotr Szymon zaszczerpił wśród bardzo wielu młodych ludzi prawdziwą pasję fotograficznej sztuki. Przez wiele lat był wykładowcą fotografii w katowickiej Akademii Sztuk Pięknych oraz w innych szkołach i wielu kursach. Był współtwórcą Śląskiego Towarzystwa Fotograficznego i to on nadal mu artystyczny szlif. Przekonywał do dobrej, wnikliwej i prawdziwej dokumentacji fotograficznej.

Szymon studiował w Instytucie Twórczej Fotografii w Uniwersytecie Śląskim w Opawie. Tam poznał swojego profesora i mistrza Jindricha Streita.

Zestaw jego prac z pielgrzymowania do Kalwarii Zebrzydowskiej znalazł się w zbiorach watykańskich jako dar Uczelni dla papieża Jana Pawła II. W swoich fotografiach proponował spojrzenie człowieka religijnego, przy tym świetnego dokumentalisty i poszukiwacza symboli.

konniku, który opuszcza klasztorne mury by opiekować się umierającym zakonikiem.

■ Kamienice mieszczańskie były tematem konferencji naukowej, jaka odbyła się w Muzeum Miejskim w Rudzie Śląskiej z udziałem Ryszarda Szopy, Barbary Klajmon, Krystiann Galuski, Adama Hemleckiego i innych.

■ W foyer Opery Śląskiej otwarta została wystawa „Halka od podszewki” pokazująca narodziny ostatniej premiery – „Halki”, przygotowanej z okazji jubileuszu 60-lecia Opery.

■ Wystawę pt. „Herbert Hoover a Polska”, poświęconą niestrudzonemu orędownikowi niepodległości Polski i jednemu z najbardziej wpływowych przywódców naszego kraju na światowej scenie politycznej w okresie międzywojennym, otwarto w Muzeum Historii Katowic.



Wynikało to z uwagi, jaką poświęcał ludziom. Wiedział o nich dużo a chciał jeszcze więcej.

Nie zdążył ukończyć swojego fresku fotograficz-

nego poświęconego Romom na Śląsku.

Pracował też w Muzeum Historii Katowic, gdzie opracował setki zdjęć archiwalnych. Dzięki tej pracy, jak mawiał, nabrał szacunku do starych fotografii i podziwu dla dawnych mistrzów obiektywu. To on przybliżył postać doskonałego fotografa śląskiego Józefa Dańdy. Szymon szczególnie cenił fotografię czarno-białą, ale jedno z jego ostatnich zdjęć nosi tytuł „Ku jasności”, jakby na przekór losowi.

Sala śpiewu im. Wiesława Ochmana

Dobłą tradycją Opery Śląskiej w Bytomiu jest nadawanie salom śpiewu imion słynnych śpiewaków z nią związanych. 17 września br. imię wybitnego tenora i przyjaciela Opery Śląskiej Wiesława Ochmana nadano kolejnej sali. Z tej okazji artysta wystąpił z recitalem, a partnerowały mu Renata Dobrosz i Aleksandra Stokłosa.

Przypomnijmy, że w Operze Śląskiej Wiesław Ochman wyreżyserował kilka spektakli premierowych, m.in. Don Giovanniego (ze scenografią Jerzego Dudy Gracza) i Borysa Godunowa. To właśnie w Operze Śląskiej, w 1960 roku, rozpoczął swoją wielką światową karierę. Był niestrudzonego ambasadorem kultury polskiej w świecie. W ubiegłym roku otrzymał godność Honorowego Obywatela Bytomia.



■ W holu głównym Biblioteki Śląskiej otwarta została wystawa poświęcona pamięci i twórczości Henryka Bereski – zmarłemu 11 listopada wybitnemu tłumaczowi, poecie, ambasadorowi kultury polskiej w Niemczech.

■ 15 września br. w koncercie urodzinowym na Zamku Ujazdowskim w Warszawie koncertowała tyska Orkiestra Kameralna Aukso.

■ Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach wraz ze szwajcarską fundacją Pro Helvetia była organizatorem międzynarodowych warsztatów typograficznych.

■ 14 października Orkiestra Symfoniczna i Chór Filharmonii Śląskiej byli wykonawcami II Symfonii Adama Wesolowskiego, kompozytora rodem z Katowic.

■ 25 września w Katedrze Chrystusa Króla odsłonięto tablicę autorstwa Zygmunta Brachmańskiego, z wizerunkiem Katowickiej Wieży Spadochronowej, poświęconą „Obrońcom Katowic”.

Legendy nie umierają...

...tymi słowami Małgorzata Kozłowska pożegnała Ryszarda Palucha w imieniu zespołu Teatru Polskiego na emigracji w Starym Bielsku. Wybitny charakterystyczny zmarł 29 września. Spoczął nieopodal grobu innego człowieka teatru Janusza Walejskiego. Urodzony w 1932 roku Ryszard Paluch pracował w bielskim Teatrze Polskim od 1949 roku! Współpracował także z teatrami: Narodowym, Wielkim i Polskim w Warszawie, Starym w Krakowie, Teatrem im. W. Horzycy w Toruniu, scenami muzycznymi Poznania, Wrocławia, Lublina, Bytomia i Gliwic. Jeśli na deskach bielskiej sceny wystawiali słabsi reżyserzy, często po spektaklach pozostawali w pamięci tylko charakterystyczne Ryszarda Palucha...

W ostatnich miesiącach ciężko chorował, ale nie skarżył się; skarga nie leżała w jego naturze. Przeciwnie, był wzorem wychowania, smaku; arbitrem elegancji. Henryk Talar, który m.in. towarzyszył mu w ostatniej drodze, zauważył, iż największą przykrością dla Pana Ryszarda było powiedzieć, że... nie wyczyścił butów. Oczywiście nikt go nigdy nie złapał na tym, iż butów nie wyczyścił czy nie miał wyprasać koszu. Co więcej – zawsze stał na straży dobrych teatralnych obyczajów. Był źródłem wiedzy o historii bielskiej sceny, choć znał granice, które nakazywały mu nie korzystać. Dlatego trudno było wydobyć z niego pikantne szczegóły z odległej nawet przeszłości, w które życie teatralne obfituje. Mógł zatem uchodzić za wzór dyskrecji i dobrego tonu.

Był pedantyczny i ceniał rytuały dnia codziennego. Często jadłem w stołówce, do której przechodził na obiad. Przybywał tuż przed 13.00 i siadał – przy tym samym stoliku, na tym samym krześle najbliżej okna, za którego szerokiego parapetu właściciel stołówki rozdawał posiłki. Towarzyszyli mu ci sami koledzy z aktorem Cezariuszem Chrapkiewiczem na czele. Kiedyś przybył nieco później i rozmowę ze mną zaczął od tego, że nie mógł przyjść wcześniej, bo dopiero co wrócił z objazdowego występu. Wyglądało to tak, jakby u mnie szukał usprawiedliwienia, iż naruszył ścisłe reguły rytmu dnia. Często pytał mnie o bielskich siatkarzy lub piłkarzy. O szczegóły ich gry. Mówił o nich z dużym zapałem, gdyż czytał relacje z zawodów. Dlatego zdziwiłem się, że nie znał osobiście żadnego zawodnika i nie był na żadnym meczu.

Nie miał na to czasu. Był bowiem bez reszty oddany teatrowi, z którego niemal nie wychodził. Zresztą jeśli gdzieś wyszedł, to na ogół do stołówki – 20 metrów od teatru – lub do mieszkania, odległego o 120 metrów. Mimo pedanterii był człowiekiem dowcipnym. Przekonałem się o tym już podczas pierwszego spotkania. Przyszliśmy do jego domu z koleżankami z „Gazety Prowincjonalnej”. Zanim złączył się ze mną przywitać, koleżanki zaszczebiotały, że prosimy, żeby nas uchał. Charakterystyczny do... fotomontażu, m.in. na Żyda. Wtedy dopiero spojrzął na mnie, podszedł, podkręcił mocno kosmyk włosów z bokobrody, jak to robili na filmach pęjsi Żydzi, oddalił się na dwa kroki i zapytał: – Pan Picheta, prawda?

Pozostały po nim – puste miejsce w pracowni, wolne krzesło w stołówce.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Nagroda dla Łabińca

Ustępujący minister kultury Waldemar Dąbrowski przyznał nagrodę za wybitny wkład do kultury polskiej Aleksandrowi Andrzejowi Łabińcowi. Okazją było mijające właśnie pięćdziesięciolecie działalności twórczej bielskiego artysty. Nagroda ma nie tylko wymiar prestiżowy, lecz również finansowy, gdyż bielski malarz, scenograf, reżyser, pedagog, autor wierszy i sztuk dla dzieci otrzymał 15 tys. zł.

Dorobek twórczy Aleksandra A. Łabińca jest bardzo szeroki i obejmuje głównie malarstwo oraz scenografię i reżyserię w teatrach lalkowych, dramatycznych, muzycznych oraz telewizji. Mało kto dziś już pamięta, iż bielski twórca jest także autorem adaptacji scenicznych i sztuk dla dzieci, tłumaczonych na bułgarski, rosyjski, niemiecki czy turecki. W swym dorobku pedagogicznym ma m. in. wieloletnie wykłady w uczelniach Katowic i Paryża. Ostatnio wystawiał swe prace malarzkie w Kielcach. Na deskach tamtejszej sceny reżyserował i tworzył także scenografię.

Pół wieku chóru

W tym roku mija pół wieku od powstania Chóru Mieszanego im. Stanisława Moniuszki w Czechowicach-Dziedzicach. Założył go w 1955 roku znany kompozytor i wykładowca PWSM w Katowicach Józef Świder. Z chórem była związana przez pewien czas wybitna dyrygentka czechowicka Anna Szostak. Od 1994 roku natomiast kieruje nim bytomski dyrygent i śpiewak Dariusz Nurzyński.

Początkowo chór działał przy kościele p.w. NMP Królowej Polski w Czechowicach-Dziedzicach, a następnie Związku Zawodowym Kolejarzy i PSS „Społem”. Od 1975 roku

chórzystom patronuje czechowicki Miejski Dom Kultury. Chór w 2002 roku został uhonorowany nagrodą „Promotio Urbis”, przyznaną przez władze Czechowic-Dziedzic. Chór uczcił półwiecze swej działalności serią koncertów w kościołach i placówkach kultury w swym macierzystym mieście.

Dwa razy Picasso

W dwóch galeriach bielskich prezentowane były prace Pabla Picassa. W Galerii Bielskiej BWA – o czym już na tych łamach pisaliśmy – grafikom wybitnego Hiszpana towarzyszyły dzieła Henri'ego Matisse'a i Joana Miro. 17 września natomiast w Galerii Środowisk Twórczych Bielskiego Centrum Kultury otwarto wystawę grafiki Pabla Picassa. O ile w bielskim salonie BWA wystawiono głównie litografie do opowiadania Prospera Merime'ego „Carmen”, o tyle w BCK eksponowano oryginały i reprodukcje słynnych akwafort Picassa z cyklu „Suity Vol-larda”. Były również dwa linoryty i cztery staloryty poświęcone erotyce, 20 grafik z cyklu upamiętniającego 80-lecie powstania wieży Eiffla oraz wielkoformatowe i mniejsze serigrafie barwne. Wystawę zorganizowano we współpracy z chorzowską galerią „Plus”.

Fotografie fabryk

Jeszcze do niedawna zakłady przemysłowe Bielska i Białej stanowiły najbardziej charakterystyczny element architektury centralnych dzielnic miasta nad Białką. W latach 1830-1939 powstało tam bowiem około sto fabryk – głównie włókienniczych i maszynowych. Do dziś zachowało się ponad 60, ale tylko w około 20 pracą wre jak za dawnych lat. Obiekty przemysłowe dokumentuje wystawa, którą we wrześniu i październiku eksponowano w holu Ratusza w Białej.

Wystawę „Architektura przemysłowa Bielska-Białej” zorganizowały Galeria Bielska BWA oraz Gimnazjum nr 1. Ekspozycja powstała z inicjatywy nauczycielki i bibliotekarki Anny Wajdziak, a materiały do niej pochodzą ze zbiorów dr. historii sztuki Ewy Janoszek.

Jednym zdaniem

■ „Kolchoz imienia Adama Mickiewicza” to zbiór reportaży białoruskich hielsczanina Artura Palygi, który ukazał się nakładem bielskiego Wydawnictwa Buffi.

■ 18 września w Teatrze Lalek Baniuluka odbyła się premiera „Zielonego Wędrowca” Liliany Bardijewskiej w reż. Pawła Aignera.

■ Absolwent ASP w Krakowie, bielszczanin Janusz Gembalski wydał autobiograficzną powieść „Omen”.

■ 7 października w Galerii Bielskiej BWA otwarto wystawę „Poznań Art. Now II” i ekspozycję twórczości bielskiego artysty Tadeusza Króla.

■ W październiku w Zaułku Kulturalnym Domu Kultury Włókniarzy w Bielsku-Białej

prezentowano prace bielskiej plastyczki i pisarki Kamili Machnio.

■ Do 14 października w Galerii Sztuki Regionalnego Ośrodka Kultury prezentowano grafikę Jana Nowaka z Katowic.

■ Michał Litki i Janusz Karbowiczek prezentowali w październiku swe dzieła w galerii „Fraktal” w bielskim DH „Sfera”.

■ Śląski Zamek Sztuki i Przedsiębiorczości w Cieszynie zorganizował w październiku imprezę pn. „Skarby z cieszyńskiej trawły”.

■ W październiku odbyła się w Cieszynie XVI Międzynarodowa Dekada Muzyki Organowej, Chóralnej i Kameralnej.

■ 1 października w Domu Muzyki w Bielsku-Białej koncertowało Trio Leszka Możdżera.

Nie tylko modlitwa

Szczególnie uroczystą oprawę otrzymała wrześniowa 23. Pielgrzymka Ludzi Pracy na Jasną Górę. Nie mogło stać się inaczej w roku, w którym obchodzona jest 25. rocznica powstania „Solidarności”. Pielgrzymowanie ludzi pracy do Czarnej Madonny stało się równie częścią historii „Solidarności”. Ksiądz Jerzy Popiełuszko w 1982 roku zapoczątkował tę tradycję, organizując dla robotników Huty Warszawa, po raz pierwszy, pielgrzymkę na Jasną Górę. Obecnie uczestniczy w niej kilka tysięcy wiernych z całej Polski. Ważnym wydarzeniem dla pątników „Solidarności” stało się odsłonięcie pomnika zamordowanego przez władze komunistyczne ich kapelana. Pomnik ks. Jerzego stanął w Częstochowie u wylotu al. Sienkiewicza nieopodal jasnogórskiego szczytu. Autorem pomnika jest znany artysta-rzeźbiarz związany z Częstochową, Jerzy Kędziora.

Oprócz uroczystych mszy świętych, w których pielgrzymi modlili się o beatyfikację Jana Pawła II i kanonizację ks. Jerzego Popiełuszki, odbyło się również widowisko słowno-muzyczne „Prowadź nas, Nadziejo”. Oltarz u podnóża klasztornej szczytu zamieniał się w scenę, na której wystąpili m.in.: Edyta Geppert, Grażyna Łobaszewska, Natalia Kukulska, Anna Szalapak, Ryszard Rynkowski i Jan Pospieszalski. Swoją „artystyczną modlitwę” dedykowali papieżowi Janowi Pawłowi II. Ważnym dopełnieniem Pielgrzymki Ludzi Pracy stało się także otwarcie 18 września w Sali Kordeckiego na Jasnej Górze wystawy „Narodowy zryw Solidarności w wotach pielgrzymów jasnogórskich”. Na ekspozycję złożyły się przede wszystkim obrazy, transparenty, sztandary, fotografie. Wiele ekspонатów prezentowanych na wystawie ofiarowali członkowie „Solidarności”, w tym również sam Lech Wałęsa. Ekspozycję można oglądać do końca roku.

Oltarz jasnogórski przed szczytem zamieniał się w scenę również z okazji obchodów 350. rocznicy obrony klasztoru przed Szwedami. W widowisku „Częstochowska Victoria” wzięło udział 400 osób, wśród nich znalazły się prawdziwe gwiazdy, m.in.: Anna Seniuk, Daniel Olbryski, Krystyna Feldman, Natalia Kukulska, Paweł Kukiz, Mateusz Pospieszalski. Nie zabrakło również aktorów sceny częstochowskiej – m.in. Marka Słosarskiego, Michała Kułi, Adama Hutery – oraz Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Częstochowskiej pod dyrekcją Jerzego Swobody. Widowisko słowno, muzyką, obrazem (50-metrowy telebim) opowiadało o historii zakonu jasnogórskiego oraz znaczeniu cudownego obrazu Marki Boskiej w dziejach Polski. Przed oczami przybyłych pod jasnogórski szczyt zmieniały się obrazy nieczym w drewnianej szopce. Najbardziej efektownie przedstawiona została obrona Jasnej Góry w czasie najazdu szwedzkiego. Nie zabrakło wystrzałów armatnich, mgły ukrywającej klasztor przed kulami Szwedów – wszystko zgodnie z „relacją” Henryka Sienkiewicza. Widowisko „Częstochowska Victoria” na żywo relacjonował Program 2 Telewizji Polskiej.

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Sezon rozpoczęty

Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Częstochowskiej rozpoczęła kolejny sezon artystyczny pod zmienionym kierownictwem – nowym szefem orkiestry został Jerzy Salwarowski. Częstochowską orkiestrę poprowadził po raz pierwszy w trakcie koncertu inauguracyjnego obecny sezon. Na ten właśnie koncert zaproszenie przyjął wybitny wirtuoz i pianista Piotr Paleczny. Z częstochowskimi muzykami artysta wykonał dwa dzieła Beethovena: V Koncert Fortepianowy Es-dur op. 73 oraz V Symfonię c-moll op. 67. Z prasowych wypowiedzi Jerzego Salwarowskiego wynika, iż nowy kierownik orkiestry postawił na wybitnych klasyków muzyki poważnej; zapowiedział powrót do muzycznego repertuaru orkiestry częstochowskiej dzieł Haydna, Mozarta.

Kolejnym dużym wydarzeniem muzycznym, które dla melomanów przygotowała Filharmonia Częstochowska był V Festiwal Violinistyczny im. Bronisława Hubermana. Festiwal trwał przez siedem dni, podczas których rozbrzmiewała muzyka m.in.: Czajkowskiego, Bacha, Dvořaka, Paganiniego, Mozarta w mistrzowskim wykonaniu. Doskonale zaprezentowali się młodzi artyści: skrzypaczka Maria Machowska – wychowanka Konstantego Andrzeja Kułki oraz altowiolinista Ryszard Groblewski – student Akademii Muzycznej w Warszawie, nagrodzony m.in. na Międzynarodowym konkursie ARD w Monachium. Jednym z gości Filharmonii Częstochowskiej była także Kaja Danczowska, która wystąpiła w towarzystwie swojej córki – znakomitej młodej pianistki – Justyny Danczowskiej. W V edycji Festiwalu po raz pierwszy wzięli udział goście z zagranicy. Największe zainteresowanie słuchaczy wzbudził kwartet La Gamba stworzony przez wybitnych muzyków z Niemiec (Freiburg), którzy są jednymi z najlepszych wykonawców muzyki dawnej na świecie.

Raz na ludowo

Początek września w Częstochowie należy do rolników. Dzieje się tak za sprawą jasnogórskich dożynek – na Jasną Górę przybywa wtedy kilkutyśięcna Ogólnopolska Pielgrzymka Rolników. Charakterystycznej oprawy tradycyjnemu świętu plonów dostarczyły: XIV Krajowa Wystawa Rolnicza oraz VI Dni

Kultury Ludowej. III Aleja prowadząca na Jasną Górę zamienia się w wielki ludowy targ. Prezentowano nowoczesne maszyny rolnicze obok niezliczonych straganów, na których można było kupić prawdziwe skarby rękodzielnictwa artystów regionu częstochowskiego m.in. drewniane rzeźby, wyroby ze skóry i wikliny, haftowane serwety i obrusy.

Ludową atmosferę stworzyły także wydarzenia związane z Dniami Kultury Ludowej. W trakcie imprezy zaprezentowały się zespoły folklorystyczne z Polski, Czech i Litwy. Ważnym wydarzeniem były obchody 35-lecia twórczości Zdzisława Purchały – jednego z najbardziej znanych twórców ludowych regionu częstochowskiego. Rzeźby artysty z Kosowa pod Szczekocinami znajdują się w wielu znanych kolekcjach muzealnych i prywatnych. W Zagrodzie Włosciańskiej (Park im. Staszica – jedna z siedzib Muzeum Częstochowskiego) Purchała zaprezentował swoje rzeźby, natomiast w siedzibie Regionalnego Ośrodka Kultury – głównego organizatora Dni Kultury Ludowej – pokazał artysta malarstwo na szkle.

Teatr nie tylko w teatrze

Już od kilku lat Teatr Dramatyczny im. A. Mickiewicza w Częstochowie próbuje walczyć o widza poprzez różne działania artystyczne. Zadanie jest trudne, gdy nie ma w zespole aktorskim wielkich gwiazd, a na dodatek pragnie się wystawić na scenie repertuar, który by zdołał połączyć artystyczne ambicje zespołu oraz gust i upodobania publiczności. Organizowane są w teatrze spotkania z aktorskimi gwiazdami, odbywają się także specjalne spektakle dla młodzieży szkolnej i studenckiej, połączone z możliwością spotkań oraz dyskusją z twórcami i aktorami sceny częstochowskiej. Aktorzy wychodzą poza „noble” gmach teatru interpretując współczesne sztuki na zaimprovizowanych scenach w klubach i pubach Częstochowy. Wszystko po to, aby publiczność nie zapominała o jednym w mieście teatrze.

Ostatnio sporym sukcesem w promocji teatru okazała się impreza pod znamienym szyldem: „Piknik Teatralny Olsztyn 2005. Najazd Teatru na Zamek”. Miejsce nietypowego spotkania z Melpomeną organizatorzy wybrali nieprzypadkowo. Olsztyn to ulubione miejsce niedzielnego wypoczynku częstochowian. Były piosenki z granych w teatrze sztuk; sporo atrakcji przygotowano dla najmłodszych, odbyło się również losowanie zaproszeń na znajdujące się aktualnie w repertuarze teatru przedstawienia. Częstochowscy twórcy przenoszą w plener również całe spektakle. We wrześniu „Piaskownicy” w reżyserii Michała Walczaka zagrano w prawdziwej piaskownicy na jednym z częstochowskich osiedli.

Jednym
zdaniem

- W Muzeum Częstochowskim prezentowana była wystawa „Prawda przeciw kłamstwu” upamiętniająca 25. rocznicę powstania „Solidarności”.
- W galerii Wejściówka – siedzibie redakcji częstochowskiej „Gazety Wyborczej”, prezentowała swoje malarstwo Olga Staniszevska.
- W Filharmonii Częstochowskiej swoje wirtuozowskie możliwości prezentowali młodzi pia-

- niści – uczestnicy Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego – Łukasz Trepczyński oraz Maciej Gański.
- W dwóch filiach Biblioteki Publicznej w Częstochowie gościła Wanda Chotomska.
- W pubie Pod Gruszką koncertem kwintetu Michała Walczaka uczczono rocznicę śmierci Milesa Davisa.

Pamięć podzielona

Nie ma drugiej takiej nekropolii jak ta w Łambinowicach. I jest właśnie świetna okazja, by o tym przypomnieć. Po pierwsze – muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach Opolu obchodziło dopiero co 40-lecie istnienia. Po drugie – mieliśmy niedawno 60-lecie utworzenia na bazie stalagu Lamsdorf oślawionego obozu pracy dla wysiedlanych ze Śląska Niemców. Po trzecie wreszcie łambinowicki cmentarz, jak chyba żaden inny, skłania do – niewesołych raczej – refleksji związanych z dniem Wszystkich Świętych. Zaczniemy od końca. Jak wiadomo, jako pierwsi do jeńckiego obozu trafili żołnierze Napoleona III wzięci do niewoli w czasie wojny prusko-francuskiej. Po 52, którzy w obozie zmarli, zostały groby i marmurowy krzyż ufundowany przez towarzyszy broni. Las krzyży został też po 6.500 żołnierzach państw Ententy, którzy zmarli w obozie w czasie I wojny światowej. Przetwały, bo w okresie międzywojennym o groby dbała niemiecka obsada poligonu. Ale potem przyszły czasy totalitaryzmów i II wojna światowa. Po jej ofiarach w Łambinowicach nie ma już mogił. Groby angielskich żołnierzy (jedynych, wobec których Niemcy przestrzegali konwencji genewskiej) zostały po wojnie ekshumowane. Ciała 40 tysięcy żołnierzy radzieckich trafiły do masowych grobów i rowów strzeleckich. To była epoka, w której majestat śmierci na nikim nie robił już wrażenia, obojętna zasada, że śmiertelny wróg nie zasługuje na pamięć i godny pochówek. Nie inaczej – niestety – chowano Ślązaków, którzy zmarli bądź zginęli w obozie pracy.

Dopiero kilka lat temu ofiary te doczekały się upamiętnienia. Dodajmy, że w dniu Wszystkich Świętych najwięcej zniczy płonie na cmentarzu ofiar tego właśnie obozu. Zostawmy jednak te eschatologiczne rozważania. W przypadku Łambinowic zawsze były one, niestety, mniej istotne od rozważań natury politycznej. Łambinowicka nekropolia to jedyne chyba miejsce w Europie, w którym spotykają się martyrologie wszystkich stron konfliktu. I dziś, gdy debaty o przeszłości nie tłumia już cenzura, wypada uznać to za wielką szansę. Zwłaszcza w kontekście debaty o Centrum Przeciwwypędzeniom i cierpieniach niemieckich ofiar ostatniej wojny.

„Piekło Łambinowic”, by użyć tytułu kwestionowanej przez polskich historyków relacji obozowego lekarza Heinza Essera, stało się dla wielu Niemców symbolem tej cierpienia. Ale też jest miejscem, które – znów jak żadne inne – pokazuje, że Niemcy byli wtedy nie tylko ofiarami i nie oni pierwsi trafili w Łambinowicach do masowych grobów. Najpilniejszym, ale też i najtrudniejszym, zadaniem CMJW i dyrektora Edmunda Nowaka jest wykorzystanie tego edukacyjnego potencjału łambinowickiej nekropolii. A rzecz jest naprawdę niełatwa, bo pamięć o Łambinowicach nadal jest mocno selektywna. Bliścy ofiar pielgrzymują do swoich grobów, nie bardzo chcąc pamiętać o pozostałych mogiłach.

MAREK ŚWIERCZ

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Gwiazdy perkusji

Rockowi weterani Ian Paice i Carl Palmer, czarnoskóry mistrz bębnow Tony Royster Jr i znakomity jazzowy wibrafonista Mike Mainieri to największe gwiazdy 14. już edycji Międzynarodowego Festiwalu Perkusyjnego, który odbył się w dniach 16-23 października. Po raz pierwszy impreza obejmie nie tylko Opole i Wrocław, ale także województwo śląskie: kilka koncertów odbyło się w Gliwicach i Piekarach Śląskich.

Opolski festiwal perkusyjny organizowany jest od 19 lat, z pięcioletnią przerwą po wielkiej powodzi z 1997 roku. Tegoroczny przegląd ma wyraźnie rockowy charakter: Ian Paice to perkusista legendarnej grupy Deep Purple, Carl Palmer grał w Emerson Lake and Palmer i Supergrupie Asia, Tomy Aldridge kooperował z Whitesnake a Mike Mangini z Extreme i gitarzystą Stevem Vai'em. Z kolei wibrafonista Mike Mainieri grał z wieloma gwiazdami pop, ale najbardziej znany jest jako lider jazzowej grupy Steps Ahead.

Głubczyckie чудо

Opolska część programu Górnośląskich Dni Dziedzictwa objęła wizyty w Opolu, Nysie, Jemielnicy, Pokoju i na Górze św. Anny. Zaczęła się od mocnego akcentu – wizyty w Archiwum Państwowym w Opolu, gdzie można podziwiać unikatową XV-wieczną Księgę Głubczycką. Dzieło to prezentowane jest publiczności niezwykle rzadko. Oprawiona w skórę z okuciami księga została napisana w 1425 roku na zlecenie głubczyckich rajców. Spisał ją po niemiecku Mikołaj Brevis, ilustracje wykonał Jan z Żytawy. Na 190 kartach zapisano prawa miejskie Głubczyc, wzorowane na niemieckim prawie magdeburskim, oraz odtworzono dwa starsze dokumenty (z 1265 i 1270), w których czeski król Ottokar potwierdzał nadane miastu przywileje i obdarowywał magistrat

kawalkiem lasu. Cenna księga spoczywała w głubczyckim ratuszu aż do lat 50. minionego stulecia, po czym ślad po niej zaginął. Podobno została wywieziona do Rzeszowa, krążyła po Dolnym Śląsku, w końcu odnalazła się kilkanaście lat temu w zbiorach Barbary Piaseckiej-Johnson. Amerykańska milionerka polskiego pochodzenia początkowo chciała sprzedać ją na aukcji, ale dała się namówić na przekazanie skarbu państwu polskiemu. O księgę walczyły Głubczyce, ostatecznie trafiła jednak do skarbcza Archiwum Państwowego w Opolu. Ciekawostką jest to, że księgę można oglądać i można z niej nawet korzystać dla celów naukowych, ale – na życzenie ofiarodawczyni – nie wolno jej fotografować.

Bez grand prix

Jury XXII Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Lalkowych, który odbył się w Opolu w dniach 10-15 października, nie przyznało nagrody głównej. To właściwie norma – w dziejach przeglądu grand prix przyznano raptem czterokrotnie. Najlepszym przedstawieniem festiwalu okazała się być „Baśń o rycerzu bez konia” w reżyserii Janusza Rył-Krystianowskiego Teatru Animacji w Poznaniu. – To nagroda za skromność i prostotę – powiedziała mediom przewodnicząca jury Irena Jun. Spektakl poznańskiego Teatru Animacji dostał trzy nagrody: za reżyserię dla Rył-Krystianowskiego, zbiorową aktorską dla czworga aktorów (Sylwii Koronczewskiej, Piotra Grabowskiego, Krzysztofa Dutkiewicza i Marcina Rył-Krystianowskiego) oraz nagrodę specjalną dla autorki sztuki Marty Guśniewskiej. Nagrody za reżyserię przypadły też Ondrejowi Spisakowi za „Buratino” Teatru „Lalka” z Warszawy i Aleksandrowi Maksymiukowi za „Ostatnią ucieczkę” z Wrocławskiego Teatru Lalek. Nagroda za inscenizację trafiła do rąk reżysera Krystiana Kobylki i scenografa Joanny Braun za „i odsłoniłam noc” Opolskiego Teatru Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki. Zbiorowa nagroda aktorska przypadła Teatrowi Lalek „Pleciuga” ze Szczecina za „8 dni stworzenia świata”, indywidualne zaś Andrzejowi Mikoszy (za tytułową rolę w opolskim spektaklu „Mr. Scrooge”), Agnieszce Niezgodzie za rolę Ubicy w spektaklu Teatru „Baj Pomorski” z Torunia i wreszcie Ryszardowi Sypniewskiemu za rolę Tereźjasza w „Antygonie”, którą pokazał w Opolu Teatr Lalek „Banialuka” z Bielska-Białej.

Jednym zdaniem

■ Remont i rozbudowa Muzeum Śląska Opolskiego zostanie dofinansowana z unijnych środków Zintegrowanego Programu Operacyjnego Rozwoju Regionalnego – Regionalny Komitet Sterujący zdecydował przyznać tej inwestycji prawie 15 milionów złotych.

■ Gratka dla kolekcjonerów – z okazji rocznicy bitwy pod Arnhem w opolskim Klubie Skorpionia zorganizowano wystawę odznak jednostek spadochronowych ze 160 krajów świata.

■ W Galerii Pierwsze Piętro w Opolu pokazano wystawę pastel i obrazów olejnych Jakuba Janczyńskiego.

■ Polskie plakaty filmowe z prywatnej kolekcji Tomasza Lehidzy z Prószkowa pokazała opolska galeria Mlynek.

■ Opolska scena lalkowa da do końca roku 10 darmowych przedstawień we wszystkich po-

wiatowych miasteczkach Opolszczyzny – nietylko trasa zaczęła się od Brzegu.

■ W Galerii Sztuki Współczesnej można było oglądać grafiki szwedzkiego plastyka Mikaela Kihlmana i rysunki wrocławskiego artysty Jacka Szewczyka.

■ Galeria Pierwsze Piętro zorganizowała wystawę prac Anny Awieruszek-Drozd i Agaty Morawiec, świeżo upeieczonych absolwentek Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego.

■ Znaczkę, koperty i karty pocztowe dokumentujące pontyfikat Jana Pawła II można było oglądać na wystawie w opolskim Muzeum Diecezjalnym.

■ Na półki księgarskie trafił kolejny odcinek przygodz komiksowego antysuperbohatera Wilga, bohatera uznawanego za kultową serię wymyśloną przez braci Bartka i Tomasza Minkiewiczów.

Sto dębów na 100-lecie

Dyrektor Instytutu Polskiego w Pradze Mirosław Jasiński – w imieniu laureatki literackiej Nagrody Nobla, poetki Wisławy Szymborskiej – wysadził 22 października przy budynku wędryńskiej PSP dąb „Piast”. Stało się tak podczas inaugurującej obchody jubileuszu 100-lecia szkoły imprezy pn. „Sto dębów na stulecie”. Autorem tej inicjatywy jest prezes Macierzy Szkolnej działającej przy wędryńskiej szkole, a zarazem wiceprezes Rady Kongresu Polaków, Tadeusz Wantula.

Noblistka pierwotnie sama miała zasadzić przy szkole dąb, któremu patronuje. Niestety, stan zdrowia nie pozwolił jej na przyjazd na Zaolzie. Niemniej T. Wantula, który odwiedził poetkę w Krakowie w sobotę rano, przywiozł jej pozdrowienia i list, w którym W. Szymborska zgadza się na objęcie patronatu nad małym dębkiem „Piastem”. – „Zachwyciłam się tym pomysłem – napisała w liście poetka, która przed kilku laty osobiście zawitała do wędryńskiej szkoły. – Uważam bowiem, że koty i dęby są najbardziej udanymi żywymi stworzeniami stworzonymi przez Pana Boga. Mam nadzieję, że będę jeszcze kiedyś mogła przejechać do Wędryni i odwiedzić mego dąbka”.

Noblistka zgodziła się na to, by dąb zasadził w jej imieniu M. Jasiński. Złożyła też podpis na świadectwie patronackim, na którym widnieją też podpisy: wójta gminy, Rudofa Bilki, dyrektor PSP Elżbiety Wani, jej poprzedniczki Marty Roszki, absolwentki szkoły – dyrektora generalnego Huty Trzyniec Jerzego Cieniacha, prezesa Macierzy T. Wantuły oraz szefa samorządu uczniowskiego Adama Donocika.

Po wysadzeniu „Piasta” i krótkim programie artystycznym uczestnicy imprezy przenieśli się nad Olzę, gdzie na działce подарowanej Macierzy przez jednego z rodziców, Romana Sikorę, powstała Dąbrowa Sulecia. Tam zasadzili swoje drzewka – wraz z rodzicami – wszyscy obecni uczniowie szkoły-jubilatki. A tych dębów jest nie 100, jak można by się spodziewać po nazwie imprezy, ale aż 107, bo tylu uczniów liczy obecnie wędryńska PSP.

Warto dodać, że oficjalne uroczystości z okazji 100-lecia szkoły odbędą się w dniach 12-13 listopada br. W budynku PSP zostanie otwarta wystawa o historii jubilarki, w „Czytelniku” zaś odbędzie się akademicka, na którą złożą się przedstawienie pt. „O Zaczku Szkolaczku i Sowizdrzale” w wykonaniu młodszych uczniów oraz program „Szkoła lokomotywa” przygotowana przez klasy wyższego stopnia. Uroczystościami będą towarzyszyć spotkania absolwentów szkoły oraz byłych i obecnych nauczycieli.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Ludoznawcy w Chorzowie

„Polacy na Śląsku Cieszyńskim (Zaolziu) to tytuł wystawy, którą otwarto 2 października w Górnośląskim Parku Etnograficznym w Chorzowie. Wystawę przygotowano z okazji 40-lecia działalności Sekcji Ludoznawczej przy ZG PZKO (dawniej – Sekcja Folklorystyczna) oraz 20-lecia powstania Klubu Twórców Ludowych. – Właśnie – powstania Klubu, bo on już dzisiaj nie istnieje. Ale przymierzamy się do jego reaktywacji – wyjaśnia prezes Sekcji Ludoznawczej, Leszek Richter.

Wystawę zainstalowano w spichlerzu przywiezionym do Chorzowa z Wojkowic. Zaprezentowano na niej cały dorobek Sekcji, przede wszystkim wydawnictwa: m.in. 15 Zeszytów Ludoznawczych, 24 Biuletynów Ludoznawczych, monografię „Płyniesz Olzo”, wiele fotografii, rzeźb i obrazów zaolziańskich twórców... Goście wernisażu mieli okazję posmakować także specjalów góralskiej kuchni, m.in. „bachorów” i „kapuśnioków”, które, być może, trafią do oferty karczmy skansenu.

Wystawa potrwa co najmniej miesiąc, później powinna trafić do Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich. – Nie wiemy jeszcze, kiedy będą ją mogli obejrzeć Zaolziacy, ale najprawdopodobniej zaprezentujemy ją albo w Izbie Regionalnej im. Adama Sikory w Jabłonkowie, albo też w siedzibie Kongresu Polaków w Cz. Cieszyń – dodał L. Richter.

Benefis Jana Pyszk

Chrzest najnowszego tomiku poetyckiego Jana Pyszk „Kamyki światła” był 14 października punktem kulminacyjnym urodzinowego wieczoru w jabłonkowskim Domu PZKO, którym przyjaciele z całego Zaolzia, a nawet Olomuńca uczcili jubileusz życiowy tego nawijskiego poety, nauczyciela i społecznika – 80. urodziny.

Jan „z Potoków” Pysko jest od samego początku jednym z gospodarzy Kawiarenki „Pod Pegazem”, nic więc dziw-

nego, że urodzinowe spotkanie odbywało się właśnie pod ogromnym obrazem uskrzydłonego konia, symbolem tej literackiej kawiarenki. Benefis poety prowadzili, Stanisław Gawlik, Karol Suszka i Kazimierz Kaszper. A że Pysko zawsze się przyznawał do swoich góralskich korzeni, gospodarze wieczoru zaprosili na benefis poety aż dwie kapele góralskie, które często bywały gośćmi „pegazowskich” wieczorów – „Zaolzi” i „Nowina”.

Nie zapomniano też o tym, iż bohater wieczoru od lat związany jest z amatorskim ruchem teatralnym. O tym przypominał krótki gwarowy skecz „Randka na rymby”, który przedstawili młodzi aktorzy z dolnośląskiego Klubu Młodych. Natomiast do lat spędzonych przez Pyszkę za katedrą nawiązał krótki koncert Chóru Nauczycieli Polskich pod batutą Alojzego Suchanka (nb. jest również jubilat i też obchodzi 80-lecie).

J. Pysko jest jednak kojarzony ostatnio przede wszystkim z poezją. Chociaż zadebiutował późno, bo dopiero w połowie lat 80., jest poetą znanym nie tylko na Zaolziu, ale i w Polsce, w Czechach... O poezji jubilata mówił K. Kaszper, sporą porcję wierszy przedstawił zaś – tradycyjnie – K. Suszka.

– Nie ma takich słów, którymi mógłbym podziękować wam, przyjaciele, za taki piękny wieczór. Jestem szczęśliwy, że mogłem dożyć tego wieczoru, tak wspaniałej uroczystości, która odbywała się w moim pięknym Jabłonkowie, pod tym moim ukochanym Pegazem – zakończył swój benefis J. Pysko.

AVION poetycki

W Teatrze Cieszyńskiego odbyła się 22 października trzecia już edycja „Avion Festu”, organizowanego przez Spolek-Towarzystwo AVION. Główną bohaterką wieczoru była tym razem młoda poetka Hanna Rybicka. W ramach spotkania w „Kawiarni AVION; której nie ma...” w Klubie Teatralnym odbył się chrzest jej debiutanckiego tomiku „Obrazki – Oblázky”. Autorka zaśpiewała też z zespołem „Czwórka Okazjonalna”, a jej wiersze czytali aktorka Lena Peśák i brat poetki Jacek Rybicki.

Spotkanie z H. Rybicką poprzedził – w Kawiarni Teatralnej – wieczór poezji „pociągowej”. Swoje wiersze czytali i o polsko-czeskich spotkaniach poetyckich z 90. lat ub. wieku wspominali poeci: Renata Putzlacher, Petr Hruška i Jacek Sikora, a spotkanie z poezją śpiewem urozmaiciła Yvetta Ellerová z Ostrawy.

Jednym zdaniem

■ Cztery zespoły z Jabłonkowa – „Gorol”, „Zaolzi”, „Zaolzioczki” i „Lipka” – zaprosiły 24 września mieszkańców zaolziańskich „dołów” na koncert pn. „Gorole miasta Hawierzów”.

■ Scena Polska zaprosiła 23 września na pierwszą w sezonie premierę – adaptacji teatralnej powieści Jerzego Pilcha „Inne rozkosze” (reż. Katarzyna Deszcz).

■ Polskie przedszkole w Będowicach po 78 latach musiano się przeprowadzić ze swojej dotychczasowej siedziby przy ul. Selskiej do lokali przy ul. Piłch.

■ Jubileusz 40-lecia pracy na scenie Teatru Cieszyńskiego obchodziła aktorka Halina Branna.

■ Spotkanie byłych i aktualnych redaktorów w auli czeskocieszyńskiego Gimnazjum Polskie-

go uświetniło 1 października obchody 60-lecia gazety Polaków w RC – „Głosu Ludu”.

■ 23 studentów rozpoczęło nowy rok akademicki na polonistycznym Uniwersytecie Ostrawskim.

■ Zespół „Suszanie” reprezentował Zaolzie na V Europejskim Festiwalu Zespołów Polonijnych w niemieckim Recklinghausen.

■ Funkcję konsula generalnego RP w Ostrawie objął w październiku Antoni Sadowski.

■ W ramach obchodów 20-lecia swojej siedziby nawiązanie nadali miejscowemu Domowi PZKO imię Władysława Niedoży, twórcy Góralskiego Święta, niezapomnianego „Jury spod Grónia”.

■ Ministerstwo szkolnictwa RC przyznało Towarzystwu Nauczycieli Polskich dotację na zakup podręczników w Polsce.

Południowy Koncern Energetyczny SA jest jednym z największych w Polsce producentów energii elektrycznej i ciepła (około 5000 MW_e i ponad 2300 MW_t), który posiada osiem elektrowni i elektrociepłowni w województwach: śląskim, małopolskim i opolskim – na terenie miast: Jaworzno, Łaziska, Trzebinia, Będzin, Katowice, Ruda Śląska, Kędzierzyn-Koźle i Bielsko-Biala.

W koncernie pracuje 5,7 tys. ludzi. Właścicielami akcji spółki są: Skarb Państwa, który posiada 85,08 proc. akcji i głosów na Walnym Zgromadzeniu; osoby fizyczne i prawne, w tym głównie pracownicy, emeryci oraz inni uprawnieni do otrzymania akcji, którzy mają 14,92 proc. akcji i głosów.

W 2004 roku PKE SA wypracował 297,2 mln złotych zysku netto (w 2003 roku – 83,4 mln złotych). Spółka osiągnęła przychody na poziomie 3,55 mld złotych. Rentowność netto firmy wzrosła z 2,3 proc. do 8,4 proc.

Spółka kontynuowała realizację programu obniżenia kosztów. Wprowadzono budżetowanie działalności, centralizację planowania remontów, inwestycji i zakupów oraz realizowano program obniżenia kosztów pracy.

W skład firmy wchodzi osiem zakładów – elektrownie: Jaworzno III, Łaziska, Łagisza, Siersza, Halemba i Błachownia oraz Elektrociepłownia Katowice i Zespół Elektrociepłowni Bielsko-Biala.

Koncern powstał w 2000 roku z potrzeby stworzenia nowego, silnego

Południowy Koncern Energetyczny SA



Elektrownia Łaziska

Polska energia

podmiotu gospodarczego w branży energetycznej, który będzie w stanie sprostać oczekiwaniom Unii Europejskiej w zakresie wymaganych przez nią norm, jak również wciąż rosnącej, także na rynku energetycznym, konkurencji. Strategia rozwoju firmy zakłada przyłączanie do PKE SA kolejnych zakładów wytwórczych oraz związki kapitałowe z górnictwem

a więc świadczące usługi multi-utility, realizujące ekspansję na rynku energetyki cieplnej, zajmujące się dostawami surowców, w tym przede wszystkim paliw, zapewniające dywersyfikację działalności w obszarach związanych z energią lub pokrewnymi dziedzinami. Nie wyklucza się zainteresowania nowoczesnymi, dochodowymi i potencjalnie rozwojowymi nowymi dziedzinami działalności.

Koncern jest aktywnym uczestnikiem życia gospodarczego kraju i regionu. Spółka, jej zakłady oraz podmioty zależne aktywnie kreują rzeczywistość gospodarczą. Pracownicy PKE SA z zaangażowaniem uczestniczą w życiu lokalnych społeczności.

**Południowy Koncern
Energetyczny SA**
ul. Lwowska 23, 40-389 Katowice
tel. (+ 48 32) 731 20 00
fax (+ 48 32) 731 21 02
e-mail: pke@pke.pl
www.pke.pl



Elektrownia Jaworzno III



Elektrownia Łagisza



PKE

Południowy Koncern
Energetyczny

POLSKA ENERGIA



Południowy Koncern Energetyczny SA

ul. Lwowska 23, 40 – 389 Katowice

tel. +48 32 731-20-00

fax. +48 32 731-21-02

www.pke.pl

e-mail: pke@pke.pl

351674



KOMPANIA WĘGLOWA S.A.



WĘGIEL EKOLOGICZNY

NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO CIEPŁA

DBAJ O ŚRODOWISKO

KUPUJ RETOPAL I EKO GROSZEK

DO KOTŁÓW RETORTOWYCH

Pełna oferta handlowa na stronach www.kwsa.pl